

MICHAEL DiMERCURIO

Pełne zanurzenie

Przekład KRZYSZTOF BEDNAREK

„KB”

Tęsknota

Marzę o tej

która dawała mi zdrowie

swą miłością

i podnosiła mnie na duchu, gdy upadałem.

„Dotykaj mnie, kiedy tylko chcesz

- mawiała -

moje ciało i dusza należą do ciebie „.

Pamięć krąży wokół spędzonych wspólnie chwil

jak wir wokół skały.

Moje życie zmieniło się jak w długim, wstrzymanym

w ekstazie oddechu.

Wypuściłem go i znów zostałem sam.

Czy był to sen?

po katastrofie

znalazłem się w niebie

i dopiero teraz widzę, że umarłem?

„Boże, daj mi więcej czasu - błagałem -

pozwól wypełnić jej godziny,

jej dni, jej serce „.

Odpowiedź nadeszła

w postaci straszliwego ciosu,

odpowiedź negatywna,

„nie „, wypowiedziane pełnym żalu szeptem.

Pozostaję zagubiony,

cisza kpi ze mnie.

Moje serce biło niegdyś tylko dla niej

czyżby miało teraz bić dla mnie samego?

Moja jedyna, najdroższa, nadziejo moja

patrzyłem na ciebie, gdy spałaś.

Gdy ciebie nie ma, moja dusza

śni zawsze o tobie.

Dżihad w postaci przyjętej przez GIA jest zgodny z nauczaniem prawdziwego islamu. (...) Nie będzie zbawienia (...) jeśli nie będziemy stale głosić hasła: „Powieś ostatniego niewiernego najelitach ostatniego chrześcijańskiego księdza „. Jedyłą bronią, jaką my, muzułmanie, możemy przeciwstawić dysponującemu nowoczesnymi urządzeniami nieprzyjacielowi, jest dżihad, kontynuacja dżihadu i „umiłowania śmierci”. Rządzący [Algierią] to apostaci i jedynym rozwiązaniem jest pozabijanie ich.

szejk Abu Katadeh zwany Al Falastini, nieoficjalny minister propagandy i teoretyk algierskiej organizacji terrorystycznej znanej jako GIA (Groupe Islamique Arme, czyli Zbrojna Grupa Islamska)

Widok okrętów wojennych na horyzoncie onieśmiela. A jeszcze bardziej onieśmielają okręty, których nie widać. (...) Dziś amerykańskie okręty podwodne, wykonując swoje tajne zadania, są jeszcze trudniejsze do wykrycia niż dawniej. Bez ostrzeżenia trafiają w cel raketami samosterującymi, przekazują dane wywiadowcze ugrupowaniom bojowym, przewożą personel sil specjalnych, wysyłają i wylawiają podwodne

pojazdy typu UUV i UAV. W Electric Boat nie tylko zmieniamy sposób, w jaki ludzie myślą o okrętach podwodnych, ale także także sposób, w jaki ludzie patrzą na pustą połać oceanu. (...) General Dynamics/Electric Boat/ Tu zaczyna się działanie w ukryciu.

reklama General Dynamics, lipiec 2004, „Submarine Review”

Będziecie służyć na najbardziej zaawansowanych technicznie obiektach podwodnych znanych człowiekowi. Na okrętach, które stanowią najdalej wysunięte niewidzialne bastiony amerykańskiej obrony. Zasużycie na odznakę delfinów, która będzie certyfikatem waszych umiejętności, świadectwem uznania was za prawdziwych marynarzy amerykańskiej floty podwodnej. Wspominałem już, jak bardzo wam zazdroszczę. I ja miałem okazję tańczyć podwodny taniec z Boginią Indukcji Energii Napędu Głównego. Doświadczyłem życia w grupie towarzyszy, jakie wkrótce stanie się waszym udziałem. Słyszałem jęk stali w głębinie, ale nigdy nie byłem na takich głębokościach, na jakich wy będziecie pływać swoimi nowoczesnymi cudami techniki.

Bob „Dex” Armstrong

Boże, zetrzyj im zęby w paszczy;

Panie, połam zęby lwiatkom!

Niech się rozejdą jak sphywające wody,

niech zwiędną jak trawa na drodze.

Niech przeminą jak ślimak, co na drodze się rozplywa,

jak plód poroniony, co nie widział słońca.

Zanim ich ciernie w krzak się rozrosną,

niech powiew burzy go porwie, póki jest zielony.

Sprawiedliwy się cieszy, kiedy widzi karę,

myje swoje nogi we krwi niegodziwca.

*A ludzie powiedzą: „Uczciwy ma nagrodę;
doprawdy, jest Bóg, co sądzi na ziemi”.*

Psalm 58 (57), w. 7-12 (Biblia Tysiąclecia)

Część 1

Nadejście burzy

1

Odwrócił się od zaciemnionego okna, by spojrzeć jej w oczy. Jej twarz była delikatnie oświetlona blaskiem świec stojących na marmurowym kominku sypialni. Miała długie włosy, czarne i błyszczące jak skrzydło kruka, ale już od tygodni nie pozwalała im swobodnie opadać na ramiona. Skręcone w luźny kok układały się w falę powyżej uszu. Straciła szczupłą figurę, przynajmniej w talii, ale nogi miała nadal tak długie, smukłe i jędrne jak zeszłej zimy. Piersi powiększyły się - chociaż nic jej w tym względzie nie brakowało. Narzekała oczywiście na tysiąc wad swojego ciała, ale on nic nie chciałby w niej zmienić.

Zapadła się głębiej pod kołdrę. Przeszedł ją dreszcz, gdy nagły podmuch wiatru uderzył w okno strugami deszczu, aż wiekowy dom zaskrzypiał w proteście.

- Musimy obejrzeć prognozę pogody - powiedziała aksamitnym głosem.

Dąb za oknem zakotłosał się, ocierając gałęziami o okap. Świece przygasły od zimnego powiewu, pokój rozświetliła błyskawica, a potem rozległ się grzmot. Mężczyzna próbował wyrzeć przez okno, ale mimo że było wczesne, niedzielne, sierpniowe popołudnie, zrobiło się ciemno jak o północy. Znow uderzył piorun, błyskając w pokoju jak stroboskop. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale przerwał mu nagły odgłos gromu.

- Nie ma prądu. - Jego ciepły, dźwięczny tenor brzmiał uspokajająco. - Obejrzymy pogodę, kiedy znowu włączą. - Usiadł w końcu łóżka, kładąc rękę na jej nodze. Miał na sobie tylko bokserki i starą szarą koszulkę z wypisanym dużymi niebieskimi literami słowem NAVY. Wyszuszone przez wiatr skóra w kąciach oczu zmarszczyła się, gdy się uśmiechnął. Kurze łapki pojawiły się u niego wcześniej niż u większości mężczyzn. Siwizna we włosach też pojawiła się przedwcześnie. Ale mimo że miał już czterdziestkę na karku, nic poza tym nie zdradzało jego wieku. Jego ciało nadal było szczupłe i umięśnione, chociaż już nie tak jak wtedy, kiedy próbował zostać mistrzem boksu w swojej kategorii.

Jego twarz zdawała się wyrzeźbiona przez domorosłego artystę - rysy były dalekie od ideału. Nos złamano mu podczas piętnastorundowej walki, którą przegrał przez decyzję sędziów, jedno ucho zostało zdeformowane po urazie, miał także głęboką bliznę na wystającym podbródku, chłodno patrzące szaroniebieskie oczy, przedwcześnie posiwiiałe włosy i białe, choć nierówne zęby. Ale wszystko to razem nadawało mu oryginalny wygląd twardziela. Jego aparycja była tak nietypowa, że niedawno pewna lokalna gazeta, której reporter zobaczył go w sklepie spożywczym, opublikowała artykuł o jego pracy. Dzięki temu stał się bohaterem na kilka tygodni. Zaczął nawet odnosić sukcesy zawodowe w tym okresie.

- Teraz musimy się troszczyć o kogoś więcej niż tylko o samych siebie - powiedziała cichym głosem kobieta. - Włącz laptop. Może złapiesz Internet na łączu bezprzewodowym i zobaczymy, co z tą burzą.

Jej głos zawsze miał na niego dziwny wpływ. Była w nim jakaś muzyka, coś więcej niż dźwięk słów. Miała trudny do określenia, ledwo zauważalny akcent, którego nie słyszał przedtem, zanim się w niej zakochał. Dorastała w okolicach Filadelfii, w Huddonfield, miasteczku po stronie rzeki Delaware należącej do stanu New Jersey. Ale śpiewna intonacja i rytm jej mowy nie przypominały akcentu z tego regionu. Czasami, kiedy mówiła, słuchał jej, jakby starając się rozpoznać prawie zapomnianą, ale dziwnie znajomą piosenkę z radia, prawie nie zważając na sens słów. Przez ostatnich osiem miesięcy uczył się pilnie jej reakcji, co nie zdarzało mu się dotąd z innymi kobietami. Nadal nie mógł jednak przewidzieć, co ona powie, zrobi lub poczuje za chwilę. I to właśnie w niej kochał.

- Laptop jest w samochodzie - powiedział. - Mam do wyboru: zostać tutaj z tobą albo iść po niego i zmoknąć jak kura.

Spotkali się w bardzo dziwnych okolicznościach i wielu później potępiło go za ten związek. Nie zaszkodziło to jego karierze, ponieważ najbliżsi współpracownicy nie mieli mu tego za złe, ale to nie zmieniało faktu, że związał się z kobietą, która była jego podwładną. Oboje wiele wycierpieli podczas katastrofy morskiej, co uciszyło krytykantów. Gdyby nie wyciągnięto ich z przywodzących na myśl piekło płomieni, leżeliby teraz razem z wrakiem na skalistym dnie morza, na głębokości trzech i pół kilometra. Podczas następnych dni wiele razy zastanawiał się, czy naprawdę nie umarł, czy rzeczywistość, w której teraz żyje, nie jest tylko wytworem jego wyobraźni w ostatniej sekundzie życia.

W tym nowym życiu nic nie było jak przedtem. Ona teraz była dla niego wszystkim. Bez niej poczucie winy po stracie ponad stu ludzi chyba go załamało. Przed katastrofą był raczej człowiekiem czynu niż skłonny do refleksji. Świat wydawał mu się prosty, czarno-biały. Istniało dobro i zło, on był po stronie dobra. Do czasu, kiedy ci dobrzy wysłali go w samobójczą misję.

Po wybuchu bomby wodorowej stu siedmiu ludzi z jego załogi znalazło się na dnie zimnego Morza Barentsa. Kiedy odzyskał przytomność, nie istniał już podział na nieskażone dobro i bezwzględne zło. Czerń i biel ustąpiły miejsca odcieniom szarości. Pojawiła się w nim nowa cecha, której nigdy dotąd nie doceniał - skłonność do refleksji. W tej nowej rzeczywistości poczucie winy za horror tamtego dnia było ogromne, ale nie pogrążył się w rozpacz. Spojrzał na nią. Czuł się szczęśliwy, mając ją przy sobie. To, że sam przeżył, było cudem, ale fakt, że ona przeżyła, znaczył wielokrotnie więcej. To był dar boży, spełnienie życzenia z gorączkowej, desperackiej modlitwy na łożu śmierci.

Oboje obawiali się o wyniki badań, którym się poddali następnego miesiąca, podczas gdy on czekał na kolejny przydział. W wyniku eksplozji nuklearnej zostali napromieniowani potężnymi dawkami promieni gamma, alfa i neutronów. To wystarczyłoby, by ich zabić, gdyby mieli słabsze zdrowie. Ale badania wykazały coś więcej. W jej oczach pojawiły się malutkie jak brylanciki łzy, kiedy powiedziała mu, że zostanie ojcem. Był zaskoczony. Myśl o tym, że będą mieli dziecko, zdawała mu się dziwniejsza niż to, że minionej zimy przeżyli koszmar.

Perspektywa pojawienia się dziecka zmieniła go tak, jak przedtem katastrofa na morzu, zmuszając do przeanalizowania każdego aspektu swojej osobowości, do prześledzenia wszystkich wydarzeń życia, by ocenić, czy jest tego wart. Doszedł do wniosku, że nigdy nie uznałby się gotowym do ojcostwa, ale życie zadecydowało za niego. Cały następny miesiąc poświęcił nowemu zadaniu. Jego wykonanie było dla niego tak naturalne jak oddychanie. Był zaskoczony faktem, że po tych wszystkich przemianach osobowości pracuje lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

Ale wiedział też, że zmiany, które w nim zaszły, nie były spowodowane tylko katastrofą i perspektywą ojcostwa. To ona go tak zmieniła. Było w niej coś, co go wyciszało i uspokajało. Była odpowiedzią na ważne pytanie, które postawiło mu życie. Chwile, które z nią spędzał, były dla niego najważniejsze. Dawniej, z powodu złego przykładu ojca, zawsze zakładał, że to praca stanowi o tożsamości człowieka. Teraz zdał sobie sprawę, że to, co się robi, ma tylko drugorzędne znaczenie w stosunku do tego, kim się jest. Kiedy myślał o sobie samym, takim, jakim był obecnie, w pierwszych sekundach po przebudzeniu czy po zaśnięciu w jej ramionach, widział siebie przede wszystkim jako jej męża, jako ojca i dopiero na szarym końcu jako marynarza.

Gdy miesiąc później otrzymał nowy przydział, poznali kolejne wyniki badań. Z uśmiechem powiedziała, że wielkość dziecka wskazuje na to, że zostało poczęte, kiedy byli razem pierwszy raz, we wczesnych godzinach porannych tego dnia, który miał być ich dniem ostatnim.

- Wiesz, że mogliśmy wtedy umrzeć.

- Wiem - powiedział, wpatrując się w nią. Nie poruszali więcej tego tematu.

- Czy myślisz, że ocaleliśmy dzięki naszemu dziecku? - spytała drżącym głosem.

Uśmiechnął się do niej w ciemności, przyciągnął ją blisko do siebie i udzielił jej racjonalnej odpowiedzi:

- Kochanie, przeżyliśmy wtedy, bo człowiek, którego chcieliśmy zabić, uratował nas, ryzykując własne życie. Nie sądzę, żeby to miało coś wspólnego z dzieckiem.

Zaprzeciła powolnym ruchem głowy.

- Peter Vornado może być świętym - powiedziała - ale to nie on zdecydował, że przeżyjemy napromieniowanie.

Na to nie miał odpowiedzi.

Błyskawica nagle rozświetliła pokój, a dom znów zatrzeszczał od poddmuchu wiatru. Grzmot wstrząsnął oknami. Wyciągnęła do niego rękę i go przytuliła. W pierwszych miesiącach ciąży zawsze kładła się naga w łóżku, kiedy razem spędzali weekendy, ale teraz stale było jej zimno. Wkładała grubą piżamę mimo ciepłego lata na wybrzeżu Wirginii, i zakopywała się w pościeli.

Zastanawiał się, dlaczego jego ukochana żona nie narzeka na gorące lato tak jak inne kobiety w ciąży. Była dziwnie spokojna. Była teraz jeszcze piękniejsza niż wówczas, kiedy po raz pierwszy ją zobaczył.

Lampa przy łóżku nagle zamigotała i zapaliła się. Włączono prąd.

Szybko znalazła pilota i przywróciła do życia płaski plazmowy ekran telewizora. Przełączyła na prognozę pogody. Meteorolog wyglądał tak, jakby stał wysoko nad Wschodnim Wybrzeżem Stanów. Wskazywał na gęste chmury nad Wirginią.

- ...od czasu gdy burza tropikalna George wczoraj późnym wieczorem nadeszła nad brzeg Karoliny Północnej i Wirginii, powodując powódź na wybrzeżu. Ale jak państwo mogą zobaczyć na obrazie satelitarnym, George to nic w porównaniu z siłą huraganu Helena, który utworzył się nad Bermudami cztery dni temu. Helena już jest huraganem trzeciej kategorii i według prognoz w ciągu najbliższych kilku godzin stanie się huraganem kategorii piątej. Helena prawdopodobnie będzie podążać za George'em i dotrze do wybrzeża tutaj, na wysokości wysp Outer Banks w Karolinie Północnej. Jeżeli Helena nie zmieni kursu, Wschodnie Wybrzeże czeka kataklizm, jakiego nie było tu od czasu Wielkiego Huraganu Święta Pracy kategorii piątej, który uderzył w wyspy Keys na Florydzie w 1935 roku...

Zmrużył oczy, patrząc w ekran. Kiedy w piątek wychodził z pracy, w wiadomościach nie mówiono nic o tym huraganie, który za chwilę miał uderzyć w Wirginię. Znaczyło to, że powinien już być otrzymać rozkazy odprowadzenia okrętu w bezpieczne miejsce na pełnym morzu wiele mil stąd. Rzucił na nią okiem, wiedząc, że ona na pewno myśli o tym samym. Dostrzegł, że zmarszczyła brwi. Spojrzała na niego porozumiewawczo.

- ...władze federalne i stanowe rozpoczęły przygotowania do uderzenia huraganu, mieszkańcom zaleca się ewakuację...

Ekran telewizora i lampka przy łóżku nagle zgasły, pokój znów był oświetlony tylko przez świece. Z dołu dobiegł jakiś odgłos, który ją wystraszył. Po chwili hałas się powtórzył. Był to dźwięk zbyt regularny jak na uderzenie pioruna, nie były to też gałęzie smagające ściany domu.

- Co to? - spytała, pochmurniejac. Na jej twarzy pojawił się lęk. Rzadko widywał ją w takim stanie.

- Ktoś puka do drzwi. Otworzę.

Skinęła głową i schowała się głębiej pod kołdrę. A on wciągnął dzinsy, ostrożnie zdjął jedną świecę z kominka i zszedł po schodach. Kiedy otworzył drzwi, burza wtargnęła to holu i zgasła świecę. Zauważył na oświetlonym przez błyskawicę podjeździe samochód terenowy, a na werandzie mężczyznę w przemoczonym żółtym płaszczu przeciwdeszczowym.

- Komandor Dillinger?! - zawołał gość, przekrzykując odgłosy burzy. Złapał go za kołnierz i wciągnął do domu, po czym zatrzaskał za nim drzwi.

- Dobry Boże, wejdź do środka, człowieku - powiedział. Przemoknięty gość odsunął kaptur. Nie był to mężczyzna, ale kobieta, która w mroku holu wyglądała na najwyżej dwadzieścia kilka lat.

- Dziękuję, sir - powiedziała, wycierając twarz.

Poznał ją. Służyła u Joego Krafta, jego dowódcy.

- Mat Leonah, tak? - zapytał. Przytaknęła ruchem głowy.

- Przyniosę pani ręcznik.

- Nie, dziękuję, sir - powiedziała. - Nie ma czasu. Nadchodzi huragan Helena. Głównodowodzący Floty Atlantyckiej wydał rozkaz natychmiastowego wypłynięcia całej floty w morze. Muszę jechać do innych kapitanów.

- Dlaczego po prostu nie zadzwoniliście? - spytał, patrząc jej w oczy.

- Telefony nie działają - powiedziała, wyglądając przez okno.

- Wszyscy mamy komórki.

- Sieci komórkowe i bezprzewodowe są przeładowane, szczególnie po tym, jak w kilkanaście wież uderzyły pioruny, więc admirał Jones odwołał się do wojennej procedury, co oznacza, że powinniśmy lądować śmigłowcami na podwórkach domów i zbierać ludzi, ale wszystkie śmigłowce są uziemione w taką pogodę. Wysłano więc mnie, abym powiadomiła dowódców okrętów, którzy odpowiadają za sprowadzenie załóg na swoje jednostki.

- Według mnie Paully Jones powinien był poczekać, aż minie burza. Wyjście w taki sztorm jest bez sensu. To niebezpieczne. I miną godziny, zanim bez telefonu sprowadzę moich ludzi. - Przemilczał fakt, że maszyna została w ubiegłym tygodniu rozebrana z powodu pewnej usterki, co dodatkowo opóźniłoby wypłynięcie.

- Sir, Helena zbliża się szybciej, niż przewidywano. Flota musi dotrzeć na spokojne wody, zanim utworzą się wielkie fale. Ja nie wymyślałam rozkazów, tylko je przekazuję.

- Wiem, przepraszam. Do kogo teraz pani jedzie?

- Zostało już tylko dwóch. Kapitan McDonovan z USS „Wirginia” i kapitan Vornado z „Teksasu”.

- Vornado mieszka po drodze do bazy. Ja go zawiadomię.

Pierwsi mechanicy jego i Petera Vornado mieszkali w tej samej okolicy, a to oni musieli najpierw znaleźć się na pokładzie, żeby uruchomić reaktory i włączyć obwody pary. Tak więc mógł spędzić kilka minut ze swym dawnym współlokatorem z Annapolis.

- Dziękuję, panie komandorze, ale jeśli nie będzie go pan mógł znaleźć, proszę nie tracić czasu. Po dotarciu do okrętu proszę połączyć się przez radio ze sztabem eskadry. My go odnajdziemy. - Leonah wciągnęła na głowę kaptur, stanęła na baczność i zaszalutowała. - Powodzenia, sir. - Odwróciła się, otworzyła drzwi i wyskoczyła w ciemność, w której szalała burza.

Komandor Burke Dillinger zapatrzył się w kałużę wody na marmurowej podłodze holu. Światło błyskawicy wdarło się przez okno, ale on nie zwrócił na to uwagi. Spojrzał na brzuch żony; po raz setny pomyślał, że z odległości kilku metrów jedyną zauważalną oznaką tego, że znajdowała się w ósmym miesiącu ciąży, była wypukłość jej brzucha. Cała reszta wcale się nie zmieniła.

- Natalie - powiedział z żalem w głosie - dostaliśmy rozkaz wypłynięcia. Muszę iść.

- Wiem - odparła powoli - słyszałam. Wypływać w taki sztorm to kompletny bezsens.

- Czy widziałaś rozmiar huraganu na globalnym obrazie pogody? Nie o mnie powinnaś się martwić. Musisz się ewakuować. I nie chcę, żebyś sama jechała do matki. Przyślę kogoś z samochodem. Albo może mogłabyś wyjechać z miasta razem z Rachel Vornado.

- Burke - uśmiechnęła się, jak gdyby chcąc coś wytłumaczyć upartemu, ukochanemu dziecku - jestem dużą dziewczynką. Zbyt dużą. - Zaśmiała się. - Potrafię się o siebie zatroszczyć. Chodź, pomogę ci się spakować.

Od czasu, gdy rozpoczęła się burza, była jakaś nieswoja, podenerwowana. Mówiła, że silne burze zawsze ją niepokoiły. Nie uwierzył, że tylko o to chodziło. Zastanawiał się, czy zrobił coś złe, coś, co mogło być przyczyną jej melancholii, ale ona uśmiechnęła się, pocałowała go i powiedziała:

- Podczas takich burz czuję się, jakbym uczestniczyła w strasznym filmie, z którego nie ma wyjścia.

Zmarszczył brwi. Natalie Dillinger, dawniej komandor podporucznik Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych Natalie D'Assault, była jedną z najtwardszych kobiet, jakie kiedykolwiek spotkał, a teraz próbowała mu wmówić, że boi się małego deszczu.

Odwróciła się i poszła na górę, do sypialni. Już po chwili torba marynarska Burke'a leżała na łóżku. Natalie szybko powkładała do niej ubrania męża. Pośpieszyła do łazienki i spakowała jego przybory do golenia. Kiedy wyszła z łazienki, jej oczy były napuchnięte, a po policzkach spływały łzy.

- Natalie, co się dzieje?

- Burke, musisz mnie zrozumieć - powiedziała łamiącym się głosem. Tylko raz widział, jak płakała, w dniu, w którym powiedziała mu, że jest w ciąży. - Jestem w ciąży, hormony we mnie buzują, a mój mąż wyjeżdża podczas huraganu nie wiadomo dokąd. Czego ode mnie oczekujesz? - Odwróciła się do niego, a on przytulił ją i ich dziecko. Ciekawe, czy to chłopiec, czy dziewczynka? Natalie uważała, że płeć dziecka powinna być niespodzianką. Burke otarł dłonią jej łzy.

- Przykro mi, że muszę wyjechać właśnie teraz - powiedział łagodnie, całując ją w usta. Pociągnęła nosem, po czym pocałowała go lekko.

- No chodź, komandorze. Gotuj się do rejsu.

- Powinniśmy porozmawiać o tym, co ty masz teraz zrobić - zaprotestował.

- Martw się o siebie i swoich ludzi. Ja się zajmę domem.

- Do diabła z domem. Stoi już sto lat. Jeśli przyszedł na niego czas, to się zawali. A jak nie, to wytrzyma. Chcę, żebyś wyjechała.

- Wiem - powiedziała, patrząc na niego. - Ale nawet nie jesteś jeszcze w mundurze, pośpiesz się.

Poczuł ochotę, żeby się z nią kochać, zanim wyjedzie. Kiedy wróci z tego rejsu, może nie będzie już domu. Za cztery dni może pozostanie z niego tylko kupa gruzu. A jeśli to ostatnia szansa, żeby kochać się w tym łóżku? Natalie zawsze była gorąca, a ciąża zwiększyła jej apetyt jeszcze bardziej. Jednak ostatni miesiąc był dla niej szczególnie trudny. Miała mdłości, rano źle się czuła - dziwne, jak na końcówkę, a nie początkową fazę ciąży - i po raz pierwszy od początku ich związku nie chciała seksu. Te mdłości martwiły Burke'a, ale nie znał się na tym, pierwszy raz miał wystąpić w roli ojca. Bohatersko przetrzymał post, ale myślał, że miał zniknąć na cały tydzień, nagle obudziła w nim żądzę. Przyciągnął Natalie, by ją pocałować, ale ona go odepchnęła.

- Na to będzie mnóstwo czasu, kiedy wrócisz do domu - powiedziała, uśmiechając się przez łzy. - No już, uciekaj stąd. Wszyscy na ciebie czekają - Odwróciła się, po czym wyciągnęła z szafy mundur polowy i podała go mężowi. - Ubierz się. Pójdę do łazienki i spotkamy się przy drzwiach na dole.

No tak, cała Natalie... Delikatna, chowająca się pod kołdrą, a za chwilę wyrzucająca go za drzwi, gotowa stawić czoło huraganowi piątej kategorii. Czasem zastanawiał się, w jaki sposób zdolna jest do tego stopnia panować nad swoimi emocjami.

Westchnął, zawiedziony, ale zdał sobie sprawę, że miała rację. Zdjął dżinsy i włożył spodnie i buty od munduru. Wpychając bluzę w spodnie, rzucił okiem w lustro, po czym chwycił torbę i zbiegł na dół do holu. Znalazł płaszcz przeciwdeszczowy i narzucił go, włożył czapkę oficerską, a potem odwrócił się w kierunku stolika, na którym leżały kluczyki do półciężarówki. Odłożył je jednak, myśląc, że może Natalie będzie potrzebować półciężarówki, żeby wyjechać z miasta. Wziął kluczyki od jej samochodu i spojrzał w górę, Natalie właśnie schodziła. Miała surowy, nienaturalnie spokojny wyraz twarzy.

- Dbaj o siebie - powiedział. - Zostawiam ci półciężarówkę. Lepiej się sprawi przy tej pogodzie.

Skinęła głową, jakby nie ufała swemu głosowi. Pociągnęła nosem i przytuliła Burke'a. Poczł dziecko kopiące w jej brzuchu. Pocałował Natalie w szyję.

- Kocham cię - powiedział. Nie mógł ruszyć się z miejsca. Czuł się tak, jakby zostawiał ją na rok, a nie na tydzień.

Przygryzła wargę.

- Ja też cię kocham, misiu. Wrócisz, zanim miną dwa tygodnie. A wtedy zrobimy coś razem...

- Tak, na przykład wymienimy okna w tym starym domu - uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Obiecuj, że będziesz ostrożny. - Będę, ale...

Nagle wyciągnęła rękę i za jego plecami otworzyła drzwi. Deszcz wdarł się do domu. Wypchnęła męża na zewnątrz, w burzę. Zatrzasnęła za nim drzwi. Odwrócił się i krzyknął:

- Pa, kochanie!

- Bądź ostrożny! - zawołała w odpowiedzi.

Dwa razy zastukał w drewniane drzwi platynowym pierścieniem ze szkoły morskiej w prastarym geście pożegnania.

Zanim zdążył wydostać laptopa z półciężarówki i przełożyć go do bagażnika samochodu Natalie, miał już przemoczony mundur. Usiadł za kierownicą i wyjechał tyłem z podjazdu; dom zniknął w strugach deszczu na przedniej szybie. Spojrzał w górę, próbując dojrzeć okno sypialni, ale słabe światło świec nie było widoczne z ulicy.

- Żegnaj, Natalie - szepnął. Wcisnął gaz i wielki mercedes ostro ruszył do przodu.

Dotarcie do domu Petera Vornado, w normalnych warunkach zajmujące piętnaście minut, pochłonęło mu prawie godzinę. Trzy razy musiał się cofać, bo drogi były zalane. Jazdę dodatkowo utrudniało ukształtowanie geograficzne regionu nadbrzeżnej Wirginii, gdzie jest tyle węższych i szerszych zatok, że mapa drogowa przypomina labirynt. Wreszcie Dillinger wjechał na podjazd domu Vornado. Światła paliły się, więc przynajmniej oni mieli prąd. Ukochana zabytkowa corvetta Vornado, którą Dillinger podarował mu kilka lat przedtem, stała zaparkowana od frontu, ale na nic by się nie zdała na zalanych drogach. Biegąc od samochodu do frontowych drzwi domu, Dillinger przemókł do suchej nitki. Zanim zdążył podnieść rękę, by zastukać, Rachel Vornado otworzyła i zaprosiła go ruchem ręki do środka.

- Proszę, masz tu ręcznik - powiedziała, marszcząc brwi, co sprawiło, że jej piękna twarz spoważniała. - Daj mi płaszcz i osusz się.

- Cześć, złotko. - Dillinger wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Moja wizyta jakoś cię nie zaskoczyła. - Dillinger zawsze zwracał się do niej tak czule, udając, że wciąż konkuruje o jej względy. Jednak zamiast jak zwykle odpowiedzieć mu w ten sam sposób, Rachel znów zmarszczyła brwi.

- Dziewczyna z eskadry powiedziała, że do nas jedziesz.

- Była tu? - zdziwił się Dillinger. Przecież powiedział jej, że sam zawiadomi Vornado.

- Nasz telefon czasem działa. Udało jej się dodzwonić.

Dillinger widział zdenerwowanie Rachel. Na pewno przestraszyła się nadciągającego huraganu. Rachel była wysoka, o egzotycznej, niezwyklej urodzie. Miała długie, błyszczące włosy o trudnym do określenia odcieniu zbliżonym do kasztanowego. Jej oczy były duże, w kształcie migdałów, zwężone w kącikach, piwne z ciemnobrązowymi i zielonymi planikami. Rzęsy miała naturalnie długie, zakręcone. Była piękna i atrakcyjna, a jednak nigdy nie zdawała sobie sprawy ze swojego wpływu na mężczyzn. Czas działał na jej korzyść. Znów zapuściła włosy po tym, jak krótko je ścięła ostatniego lata, kiedy to zaczęły się te wszystkie problemy, które w końcu osiągnęły punkt kulminacyjny w postaci listopadowej

katastrofy.

Dwadzieścia lat temu Natalie stała w długiej czarnej sukni, sącząc drinka, przy balustradzie Sali Pamięci Akademii Marynarki, skąd rozpościerał się widok na dziedziniec. Vornado zobaczył ją dwie sekundy przed Dillingerem, z czego wynikało, że to on będzie mógł pierwszy z nią porozmawiać. Jeśli nic nie wskóra, szczęścia spróbuje Dillinger. Ale dwie minuty po tym, jak Vornado się przedstawił, on i Rachel byli już parą. W następnych latach Dillinger przekomarzał się z nią, że ciągle czeka, kiedy pokłócą się i rozstaną, żeby i on mógł mieć swoją szansę. Rachel w takich chwilach uśmiechała się słodko i mówiła, że nie wyszłoby mu to na dobre. Co takiego Vornado powiedział jej tamtego wieczoru, że tak szybko zdobył tę wyjątkową, cudowną kobietę? Vornado uśmiechał się tajemniczo i odpowiadał, że Rachel po prostu potrafiła wyczuć w nim prawdziwego mężczyznę, co miało znaczyć, że Dillinger nie jest wystarczająco męski.

Dillinger śmiał się z tego, ale ostrzegał Vornado, żeby nie zaniedbywał jej, bo może się okazać, że pojawi się ktoś jeszcze bardziej męski.

Dillinger był drużbą Vornado na ślubie, który nastąpił wkrótce po ukończeniu przez nich akademii w Annapolis. W holu przy wejściu wisiała duża, oprawiona fotografia, na której Rachel i Vornado przechodzą pod skrzyżowanymi szablami kolegów Vornado, z szeroko uśmiechniętym Dillingerem na czele. Dillinger rzucił okiem na zdjęcie, zastanawiając się, co też się z nimi wszystkimi stało. Jakże inne było życie, gdy mieli po dwadzieścia kilka lat - czuli się tak silni, pełni nadziei. Teraz, kiedy miał czterdziestkę na karku, traktował życie znacznie poważniej, wiedział, że każda decyzja pociąga za sobą skrajne konsekwencje. Poczul złowieszczy dreszcz, gdy pomyślał, że zostawił Natalie samą.

Spojrzał na Rachel, myśląc, że w normalnej sytuacji jej pogoda ducha poprawiłaby mu nastrój. Uśmiechnął się do niej, ale ona tylko skrzywiła się w odpowiedzi. A może jednak martwiła się nie tylko huraganem? To niełatwo wychowywać dwoje dzieci chodzących do szkoły i trzeciego przedszkolaka, a w dodatku pracować na pełnym etacie, podczas gdy mąż znika na morzu na całe tygodnie albo nawet miesiące.

Vornado dwa razy w zeszłym roku cudem uniknął śmierci, za drugim razem tego samego dnia, kiedy Dillinger i Natalie też omal nie zginęli. W czasie zeszłorocznej operacji coś się stało z Vornado, czego Rachel nigdy nie zdołała zrozumieć, czego żadna żona nie mogłaby zrozumieć. Gdyby prawda wyszła na jaw, mogłoby to zniszczyć ich małżeństwo. Rachel w pewien sposób przypominała Dillingerowi Natalie - ten sam spokój, to samo pełne determinacji podejście do życiowych problemów. Jeszcze rok temu Rachel na pewno by się tak nie zachowywała.

Spojrzał na nią pytająco.

- Gotowi do ewakuacji?

- Właśnie się pakujemy - powiedziała. - Ale nie wyjedziemy, zanim nie przestanie lać. Drogi są w strasznym stanie. - Przygryzła wargę. - Jak na pewno sam już zauważyłeś. - Jej głos nabrał goryczy. - Podczas ewakuacji w obliczu klęski żywiołowej kobieta szczególnie potrzebuje mężczyzny. A gdzie on jest? - Powiedziała to w taki sposób, jakby nie chciała wymówić imienia męża. - Bawi się swoją zabawką za miliard dolarów. - Próbowała się uśmiechnąć. - Czasem myślę, że wy chyba na zawsze zostanieiecie dziećmi.

Dillinger kiwnął głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć, a jego wątpliwości związane z małżeństwem Vornado powróciły.

- Gdzie jest Peter, kotku? - spytał ściszym głosem.

- Pod prysznicem. Może zrobić ci kawy?

- Nie, dzięki. Nie zwracaj sobie mną głowy. Wiem, że jesteś zajęta. - Podnosząc głos, zawołał: - Gdzie jest mój pierwszy oficer? Peter junior!

Dziewięcioletni syn Vornado zbiegł na dół z uśmiechem na twarzy, głośno zeskakując ze stopnia na stopień.

- Wujek B.K.! - Złapał dłoń Dillingera i uściśnął ją na powitanie. Dillinger udał ból, słaniając się na nogach.

- Masz grabę, synku - powiedział, targając mu włosy. - Możesz iść na górę i powiedzieć ojcu, żeby wylazł spod prysznic?

Peter junior pobiegł, przeskakując tym razem po dwa stopnie. Dillinger spojrział na zegarek, wielki, ciężki i piekielnie drogi, który Vornado podarował mu w zeszłym roku na święta. Było już wpół do szóstej, co znaczyło, że nie dotrą do przystani przed zmrokiem. Mógł tylko liczyć na to, że deszcz zrobi sobie przerwę. Wstąpił do kuchni i spojrział w telewizor, gdzie lokalne wiadomości były poświęcone dwóm burzom, tej, która właśnie w nich uderzyła, i jeszcze gorszej, która dopiero miała nadejść - huraganowi Helen. Pokazano autostradę numer 64, kompletnie zatkaną, bo mieszkańcy miasta rozpoczęli ewakuację. A więc dotarcie do przystani może trwać dobrych parę godzin.

- Hej, B.K. - Dillinger usłyszał za plecami słowa i odwrócił się, by powitać starego przyjaciela.

- Cześć, Peter - powiedział, uśmiechając się i podnosząc zaciśnięte pięści, jak gdyby przygotowywał się do meczu bokserskiego. Tak właśnie witali się na ringu w dniu inauguracji roku szkolnego w akademii marynarki i bili się potem bez pardonu. Vornado tym razem uściśnął dłoń Dillingera nie mocniej niż Peter junior. W jego minie było coś niepokojącego. Co się dzieje w tym domu?

Peter Vornado był o głowę wyższy od Dillingera i tak szczupły jak w dniu ukończenia szkoły. Każdego tygodnia przebiegał pięćdziesiąt do sześćdziesięciu kilometrów, nawet jeśli musiał krążyć między silnikami swego okrętu, tak gorącymi, że można by na nich coś usmażyć. Miał jasne włosy, ciemnoniebieskie oczy, bladą cerę, silny podbródek i wystające kości policzkowe, co pozwalało mu w razie potrzeby przekonać przeciwnika samym wyrazem twarzy. Od urodzenia wyglądał nad wiek poważnie. Vornado zawsze roztaczał aurę niekwestionowanego autorytetu, co być może wynikało z faktu, że był najstarszym spośród braci wychowujących się bez matki. Od tamtego dnia, w którym spotkali się na ringu, Vornado przypominał Dillingerowi własnego starszego brata. Zazdrościł mu wrodzonej pewności siebie. Ale w przeciwieństwie do impulsywnego Dillingera Peter Vornado zawsze skrzętnie ukrywał uczucia. Czy będzie tak i dzisiaj?

- Ładną mamy pogodę - stwierdził Peter.

- Przepiękną, ale czas już, żebyś spakował swoje ciuchy i pojechał ze mną. Joe Kraft chce nas wszystkich widzieć przed północą w strefie operacyjnej.

- Przynajmniej nie musimy jechać daleko - powiedział Vornado, zapinając bluzę munduru. - Chłopcy z floty nawodnej będą musieli wlec się aż na północny Atlantyk, żeby uciec przed tym huraganem. My możemy zatrzymać się tuż za szelfem kontynentalnym, dzień drogi od przystani. Już trzysta metrów pod wodą nawet huragan piątej kategorii nic nam nie zrobi.

- Mam nadzieję, że nie będzie to jednak kategoria piąta, bo inaczej zostanie po nim dużo sprzątanina. - Dillinger rozejrzał się wokół, zastanawiając się, co z tego domu zostałyby po przejściu Heleny.

Zadzwoił dzwonek do drzwi, brutalnie wrywając Burke'a z zamyślenia. Rachel otworzyła, na ganku stał policjant. Zaprosiła go do środka. Wszedł do holu, ociekając wodą.

- Dzień dobry pani - powiedział. - Sir - zwrócił się do Vornado - czy jest pan gotów?

Dillinger uniósł brwi.

- Chwileczkę - powiedział Vornado do policjanta. Burke odciągnął Petera na stronę.

- O co tu chodzi? - spytał przyciszonym głosem.

- Kraft zadzwonił po eskortę policyjną. Bez niej nie dojedziemy na czas do przystani. Wszystkie okręty mają wypłynąć w tej samej sekundzie, kiedy zaczną pracować silniki, bez względu na to, czy brakuje kogoś z załogi.

- Płyniemy z niepełnymi załogami? Vornado skinął głową.

- Jak tylko huragan się skończy, śmigłowce przetransportują nam maruderów.

- Musimy przynajmniej wziąć pierwszych mechaników - zauważył Dillinger.

Vornado pokiwał głową.

- Dzwoniłem do mojego, miał po drodze zabrać również twojego. Już powinni być na przystani. Kazano wszystkim oficerom dyżurnym włączyć reaktory.

- Oprócz mojego - powiedział Dillinger. - Muszę najpierw złożyć do kupy maszynę.

Vornado lekko się uśmiechnął.

- Ktoś musi jako ostatni wypłynąć z portu. Dlaczego nie ty, B.K.?

- Odwal się - powiedział Dillinger.

Rachel stała w holu, podczas gdy Peter junior ciągnął po schodach jflaryrarski worek ojca. Obaj oficerowie włożyli płaszcze. Przed pożegnaniem męża Rachel spojrzała na Dillingera.

- Co robi Natalie?

Wzruszył ramionami, zakłopotany.

- Wszystko, co mogłem zrobić, to zostawić jej półciężarówkę. Wiesz, jalca jest niezależna.

Vbrnado przytaknął.

- Trudno mi teraz wyobrazić sobie, że kiedyś służyła pod twoimi rozkazami. Zawsze wyglądało tak, jakby to ona tobą dowodziła.

- Wiem o tym. - Dillinger uśmiechnął się z przymusem.

- Zostawiłeś kobietę w ósmym miesiącu ciąży samą, przed nadejściem huraganu, zostawiając jej tylko kluczyki do półciężarówki? Co z ciebie za mąż? - Rachel zmarszczyła brwi. - Burke, mogłeś przynajmniej poprosić, żebym ja się nią zajęła.

Dillinger patrzył na Rachel zaskoczony. Nigdy jej takiej nie widział.

- No dobra, wynoście się stąd - powiedziała. - Bawcie się w okręciki, a my, kobiety, jak zawsze zajmiemy się przyziemnymi sprawami.

Vornado skrzywił się, kręcąc głową. Położył dłoń na ramieniu Rachel i szepnął jej coś do ucha. Zmarszczyła gniewnie brwi i pobiegła na górę po holu zeszyły dzieci Vornado. Najstarsza córka, Marla, była tak podobna do mamy, że Dillingerowi przypomniała się tamta noc w Sali Pamięci. Yornado dał jej buziaka, uściskał syna. Mała Erin, trzylatka o blond włosach, nie chciała puścić ojca. Vornado uklęknął, pocałował Erin i pogłaskał japo włosach, jednocześnie mówiąc starszym dzieciom, żeby słuchały mamy. Vornado włożył niebieską bej sbolówkę z wyszytymi złotymi liśćmi laurowymi i delfinem, symbolem Floty Podwodnej Stanów Zjednoczonych, a także wyszytym złotą nicią napisem USS TEKSAS SSN-775. Yornado skinął na policjanta. Otwarto drzwi i Cała trójka wyszła na zewnątrz, pod prysznic burzy.

Przez następne dwadzieścia minut Dillinger prowadził samochód, nie odzywając się ani słowem. Szumiał nawiew, stukwały pracujące na najwyższych obrotach wycieraczki. Jechał za wozem policjanta bocznymi drogami, aby uniknąć zalanych ulic. Wreszcie skręcili na podjazd do autostrady międzystanowej, ale ścisk tam był ogromny, samochody stały zderzak przy zderzaku, jak okiem sięgnąć czerwone światła. Wtedy

policjant włączył koguta i syrenę. Dillinger jechał utorowaną przez niego drogą, między rzędami stojących samochodów. Kiedy policjant wyłączył syrenę, pozostawiając koguta, Dillinger odezwał się, nie patrząc na Yornado:

- O co, u diabła, chodziło u was w domu?

Peter nie odpowiedział od razu, tylko gapił się w okno, po którym lały się strugi deszczu. Kiedy wreszcie przemówił, jego głos był płaski, bez wyrazu.

- Rachel miała kiepską noc.

Dillinger obawiał się, że tak się w końcu stanie, ale miał nadzieję, że jego przyjaciel potrafi odgradzić się od swoich wspomnień. Może przez sen powiedział coś, czego Rachel nie powinna była usłyszeć?

Nagle policjant skręcił na zjazd prowadzący na północ, w kierunku autostrady 65. Syrena znów zawyła, bo ruch na tym odcinku był zablokowany. Kiedy przyspieszyli, Dillinger zadał kolejne pytanie:

- Powiedziałeś coś przez sen? Vornado spojrzął w podłogę samochodu.

- Ostatnio byłem przygaszony. Co tydzień przeprowadzaliśmy różne operacje w VaCapes.

Skrót ten - od słów *Firginia Capes* - oznaczał Rejon Operacji Podwodnych Przylądków Wirginii, kwadratowy wycinek oceanu wielkości stanu Ohio przy szelfie kontynentalnym, gdzie odbywała się większość ćwiczeń taktycznych. Operacje takie wymagały częstych rozruchów i wygaszania reaktora, układania list zadań do wykonania przed wypłynięciem, całonocnych przygotowań okrętu do wypłynięcia w niedzielę wieczorem, czuwania w stanie najwyższego skupienia uwagi przy opuszczaniu portu; a potem następowały nieprzespane noce na morzu, ryzykowna przeprawa przez płycizny w drodze powrotnej do portu, wygaszanie reaktora, przenoszenie zapasów na ląd. W soboty spędzało się czas w domu na przeglądaniu poczty, opłacaniu rachunków, załatwianiu różnych spraw, praniu i wysłuchiowaniu wkurzonej żony, po czym człowiek pakował się od nowa, by w niedzielę wypłynąć i zacząć całą zabawę od początku. Miesiąc takich cotygodniowych operacji mógł postarzeć człowieka o pięć lat.

- Wiem, wiem. Dlatego ty i twoi ludzie od jakiegoś czasu nie macie ochoty na żadne hulanki.

Koledzy Dillingera i Vornado spotykali się w tawernie na nabrzeżu, prowadzonej przez dawnego starszego bosmana sztabowego, który niegdyś uczył Petera sekretów służby na okrętach podwodnych.

- Mówiłeś, że byłeś zmęczony...

- Tak. Wczoraj w nocy zasnąłem w momencie... w którym normalnie się nie zasypia.

Dillinger zmarszczył brwi. Rachel z pewnością należała do tych niewielu kobiet, które się nie obrażają, kiedy ich zapracowani mężowie zasypiają podczas akcji... Ale może teraz się zmieniła?

- Nic więcej nie przeszkrobałeś?

- Chyba przez sen wypowiedziałem imię innej kobiety - mruknął Peter, kręcąc głową.

- Cholera, Peter! Powiedziałeś coś jeszcze?

No i proszę, chyba jednak Peterowi nie udało się odgrodzić od wspomnień.

- Tak, ale nie jestem pewien, co. Rachel nie chce powiedzieć. O ile ją znam, chyba powiedziałem o wiele za dużo.

- Kurde, to niedobrze. Kiepsko z tobą, brachu. Vornado milczał.

- Czy chcesz, żebym z nią pogadał? - spytał Dillinger. Miał nadzieję, że Rachel zrozumiałaby, co tamta przekłeta operacja zrobiła z psychiki Vornado.

- Dzięki, ale to pogorszyłoby sprawę.

Jechali dalej w milczeniu. Dillinger podążał za radiowozem zjazdem na autostradę 264, odnogę prowadzącą do bazy w Norfolk. Ta część drogi była prawie pusta i nieco przyspieszyli. Dillinger spojrzął na zegar na desce rozdzielczej. Szósta trzydzieści. Za godzinę Vornado będzie już na morzu, zanim on wypłynie, minie kilka godzin.

- Więc myślisz, że ona wie. - To było raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Co teraz?

- Nie wiem. Jesteśmy na nieznanym lądzie i myślę, że ona wybierze złą drogę. W tym tkwi sedno sprawy. To nie był tak naprawdę skok w bok.

- A jednak... - powiedział Dillinger łagodnym głosem.

- Wiem...

Burke spojrzał na niego zaniepokojony. Nigdy przedtem nie widział Vornado tak przygnębionego. Twarz miał czerwoną a oczy zapuchnięte. Potarł je i spuścił głowę.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć. I Vornado był praktykującym katolikiem, rodzinę uważał za rzecz świętą. Jako jeden z pierwszych wśród kolegów został ojcem. Jego małżeństwo stanowiło wzór dla innych. A teraz padł ofiarą zeszłorocznej operacji. Dillinger zawsze myślał, że to on dźwiga najcięższy krzyż po tamtej katastrofie, bo w końcu to on stracił najwięcej ludzi, ale, z drugiej strony, odnalazł Natalie, oboje przeżyli, a całe to doświadczenie tylko wzmocniło ich związek. Vornado zaś musiał zmyślić Rachel jakąś historyjkę, która wyjaśniłaby cztery miesiące wyjęte z jego życia. Peter nie miał szans obronić się przed podejrzeniami żony, bo wszelkie dowody, które mogłyby mu w tym pomóc, były opieczętowane oznaczeniami na poziomie trzy razy wyższym niż „ściśle tajne”.

Dillinger próbował znaleźć słowa pocieszenia.

- Słuchaj, gdybyśmy nie musieli wypływać, kupiłbym butelkę szkockiej i może odpowiedź znalazłaby się na jej dnie. - Ćwiczyli to już wcześniej, ale jak dotąd to Vornado zawsze doradzał Dillingerowi. Jak można pomóc facetowi, który zna odpowiedzi na wszystkie pytania?

Vornado się roześmiał.

- Może powinniśmy poprosić glinę, żeby zatrzymał się przy jakiejś knajpie? Zabralibyśmy whisky na przystań.

- Wkrótce wrócimy - uspokoił go Dillinger. - Do tego czasu Rachel już ochłonie. A ty w czasie tej całej huraganowej operacji możesz pogłowić się, jak powiedzieć jej prawdę.

- Nie mogę tego zrobić - powiedział Vornado.

- Nie zrozumiałaby?

- To specjalnie zaszufladkowane informacje. Nie pomogłoby Rachel ani dzieciom, gdybym wylądował w wojskowym pierdlu i spędził w nim resztę życia.

- Następnym razem i tak wszystko jej wygadasz przez sen - mruknął Dillinger. - Kto wie, czy już tego nie zrobiłeś?

- W życiu by mi do głowy nie przyszło, że mogę stanowić zagrożenie bezpieczeństwa państwa - powiedział Vornado, wyglądając przez okno.

- To nie twoja wina, że cię tam wysłali. Nie prosiłeś się o to. Po prostu zrobiłeś swoje.

- Tak - burknął Vornado, zamyślony.

- Będzie dobrze, Peter - powiedział Dillinger. - Daj jej tydzień, się uspokoi.

- To nie będzie tydzień.

- Co masz na myśli?

- Coś się kroi - powiedział Vornado. - Zaczęło wyłazić przy okazji tych wszystkich cotygodniowych operacji.

- Co wyście tam w ogóle robili?

- Nic takiego, wysysaliśmy jajka.

Dillinger minął stojącą obok ciężarówkę z włączonym kierunkowskazem, ledwo ją zauważając; zamyślił się nad słowami Vornado. „Wysysaliśmy jajka”. Czasami zdarzało się, że SNN, szybki, uzbrojony w torpedy okręt podwodny, taki jak te, którymi obaj dowodzili, śledził SSBN, czyli swój strategiczny okręt podwodny, naładowany międzykontynentalnymi raketami balistycznymi, zdolnymi uśmiercić całe miasta. Celem śledzenia okrętu przenoszącego rakiety atomowe było upewnienie się, czy w okolicy nie ma wrogich, przyczajonych okrętów. W razie wojny mogłyby go zatopić, zanim zdołałby wykonać zadanie, czyli odpalił rakiety. Ćwiczenia, o jakich mowa, są nazywane się SecEx, od słów *Security Exercise* - Ćwiczenia Bezpieczeństwa. Skrót SecEx jest jednak celowo przekręcany przez członków załóg łodzi okrętów, którzy wymawiają go jak suck eggs, czyli „wysysać jajka”. Chyba najlepiej wyraża to niechęć do tego rodzaju ćwiczeń wśród załóg SSN. Wolą one bawić się w swoje gry, na przykład w obserwację wrogiego portu, wysadzanie komandosów, wystrzeliwanie torped czy krążenie wśród wrogich okrętów podwodnych. Zabawa w ochroniarza nosiciela raket wcale im nie odpowiada.

Ćwiczenia SecEx bywały frustrujące z powodu rywalizacji między dwiema częściami Sił Podwodnych Stanów Zjednoczonych. Szybkie okręty SSN dostawały zwykle najtajniejsze misje, ciągle przydarzały im się niebezpieczne sytuacje, a życie załóg stale było zagrożone: szpiegowano wrogów w płytkich portach, wysadzano agentów CIA, zakładano podsłuch na podwodnych kablach przekazujących dane, zatapiano statki terrorystów. Natomiast okręty podwodne z rakietami balistycznymi, SSBN-y, po prostu wypływały w daleko położone rejony oceanów i próbowały unikać spotkań z innymi okrętami, jednocześnie pozostając w gotowości wystrzelenia swoich międzykontynentalnych rakiet balistycznych w razie nadejścia rozkazów z Waszyngtonu. Jeśli istniałby odpowiednik w lotnictwie, okręty SSN można by porównać do myśliwców, a te z rakietami do bombowców. W okresie pokoju SSN-y prowadziły tajne wojny, a SSBN-y tylko się „zręcznie chowały”. W istocie sprawa nie kończyła się na tym. SSBN-y mają taką siłę ognia, że mogą zmieść z powierzchni ziemi miasta wroga, uderzając z głębin oceanu, mogą przeważać szalę wojny. Kiedy są na morzu, w nieznanym miejscu, znakomicie spełniają funkcję straszaka wobec każdego państwa, które mogłoby być na tyle głupie, żeby chcieć rozpocząć pojedynek nuklearny ze Stanami Zjednoczonymi... Zwrotne SSN mogły dokonywać czynów nieosiągalnych dla żadnego innego okrętu, ale w sensie strategicznym znaczą niewiele w porównaniu z flotą okrętów z rakietami balistycznymi o straszliwej sile rażenia.

- To co zwykle? - spytał Dillinger. - Próbowaliście śledzić boomera, po czym go zgubiliście ku uciesze dziewczyn na jego pokładzie? - SSBN-y były nazywane przez marynarzy „boomerami”, od wielkiego „bum!”

- Mniej więcej - powiedział Vornado. - Głównym punktem programu ćwiczeń było tym razem oddanie fikcyjnego strzału w kierunku boomera od razu po wyśledzeniu go.

Burke zerknął na kolegę, kierując mercedesa do bramy wjazdowej bazy. Policjant pomachał im na pożegnanie. Dillinger zsalutował i otworzył okno od strony budki wartownika. Podczas okazywania dokumentów deszcz przemoczył go gruntownie. Pierwsza brama bezpieczeństwa powoli przesunęła się w bok, wpuszczając przybyszów między zewnętrzne a wewnętrzne ogrodzenie. Gdy zamknęła się za nimi brama zewnętrzna i odsunęła się wewnętrzna, Dillinger ruszył z wolną drogą, która prowadziła na przystań. Ponownie spojrzął na Vornado, zachęcając go do kontynuowania opowieści.

- Było coś jeszcze. Musieliśmy mieć nadzieję, że boomer nas nie wykryje ani nie wystrzeli w naszym kierunku, nawet jeśli popełnimy jakiś błąd. To nie było ćwiczenie typu „pojedynek okrętów”, tylko coś w stylu „znajdź ich i rozwal”.

- Dziwne.

- Wiem. Odnieśliśmy wrażenie, że coś jest nie w porządku z boomerem. Że admirałowie chcą, byśmy byli gotowi go zatopić.

Dillinger zatrzymał auto przy budynku ochrony molo numer 3. Myślał o tym, co powiedział Vornado. Zapomniał nawet o huraganie.

- Jedź dalej - powiedział Peter. - Przejdę się z tobą. I tak obaj zmokniemy, idąc po nabrzeżu.

Dillinger skierował mercedesa na parking dla starszych oficerów, znalazł swoje miejsce z niebieskim znakiem, z napisem głoszącym złotymi literami: DOWÓDCA USS „HAMPTON”. Wysiedli z auta i deszcz zmoczył ich natychmiast tak, jakby weszli pod prysznic. Dillinger wyjął torby z bagażnika, podczas gdy Vornado zarzucił na ramię worek marynarski. W milczeniu szli przez deszcz. Wiatr stawał się coraz silniejszy, niosąc niemal poziomo strugi deszczu.

Dillinger wzdrygnął się z zimna.

- No więc co - powiedział, przekrzykując wiatr - myślą, że jeden z naszych boomerów może nawalić?

- Nie - powiedział Vornado, przybliżając się do Dillingera i przytrzymując jedną ręką czapkę na głowie. - Oni martwią się nie o nasz okręt.

Okręty podwodne przenoszące rakiety balistyczne miały też Rosja, Chiny, Wielka Brytania i Francja. Dillinger założył, że Vornado ma na myśli Rosjan. Prawdopodobnie wstrząsy polityczne w Moskwie niepokoiły Pentagon.

- Znów Rosjanie - mruknął.

- Nie - odrzekł Vornado, spoglądając w jego stronę. - Na ostatnich dwóch misjach było trzech francuskich oficerów z ich okrętów podwodnych i jeden cywil. Pewnie szpieg. I to wysokiej rangi.

Dillinger nie zdążył mu odpowiedzieć, bo doszli już do budynku ochrony przy molo. Otworzyli drzwi i oddali swoje rzeczy do kontroli, po czym okazali dokumenty i zostali poddani skanowaniu tęczówek oczu. W budynku było już kilkunastu innych oficerów i marynarzy tak samo

przemokniętych jak Dillinger i Vornado. Kiedy zabrali torby w drugim końcu budynku i wyszli na zewnątrz od strony przystani, Burke zapytał Petera:

- Myślisz więc, że coś się święci we flocie francuskich boomerów? Dlaczego oni nie ćwiczą ze swoimi SSN-ami?

- Ćwiczyli - powiedział Vornado. - Ale ich boomery są zbyt ciche, żeby mogli je namierzać.

- A więc dotyczy to francuskiego okrętu z rakietami balistycznymi. Czy Francuzi coś mówili?

- Nie. Ale byli bardzo zainteresowani naszymi sonarami, za pomocą których jesteśmy w stanie słyszeć nasze boomery.

- Klasa Virginia jest cicha jak szept - przyznał Dillinger. Vornado pokiwał głową.

- Sonar FY08 dobrze się sprawdza. Gdy ci go założą, będziesz miał taką samą przewagę akustyczną nad boomerami, jaką my mamy. Czy skończyli już unowocześnianie twojego okrętu?

- W zeszłą sobotę skończyliśmy testy na przystani. Okręt jest uzbrojony, gotów do akcji. - Burke ciągle myślał o francuskiej flocie. - A więc uważasz, że to potrwa ponad tydzień? I co, wyślą cię na wschodni Atlantyk, żeby wypróbować nasze możliwości na Francuzach?

Doszli do moła numer 3 - bazy 8. Eskadry Okrętów Podwodnych. Na tablicy widniał rekin z czarną kulą bilardową oznaczoną numerem osiem. Po prawej stronie stał zacumowany wielki okręt pomocniczy „Olympus”. Był to w istocie pomalowany na szaro oceaniczny liniowiec pasażerski, którego wewnątrz zamieniono na magazyn części zamiennych, warsztaty, biura, zbrojownie. „Olympus” stanowił centrum dowodzenia eskadrą - górny pokład zajmowały biura i kajuty oficerów sztabowych eskadry. Na najwyższym pokładzie urzędował szef, Joe Kraft. Człowiek ten odegrał niemałą rolę w życiu obu bohaterów.

- Może. Ale nie tylko mnie. Ciebie też. Teraz, kiedy już masz nową wersję sonaru, nasze okręty zostaną skierowane na wschód i popłyną dalej.

- To nie ma sensu, Peter. Czy mamy tylko poćwiczyć z Francuzami? Czy to jest... - Dillinger zatrzymał się na przystani i przyciągnął do siebie Vornado. - Czy to jest wojna?

- Oni nazwą to ćwiczeniem. Ale może mówią tak dlatego, żebyśmy nie stracili głowy. Wiem tylko, że ci nad nami mają niewielką kontrolę nad tym wszystkim. Jedno jest pewne: coś się szykuje z francuską flotą podwodną.

- Cholera - zaklął Dillinger, patrząc na ciemniejące chmury. - Jestem potrzebny Natalie, tutaj. Kiepski czas na taką operację.

- Tak - powiedział Vornado. - Wiem, co masz na myśli. Rachel wybrała idealną porę na zniszczenie naszego małżeństwa.

Dillinger skinął głową, ale pomyślał, że ona też się nie ucieszyła, że jej mąż właśnie wypływa. Żadnemu z nich nigdy nie było łatwo wyobrazić sobie, co też dzieje się w głowach ich żon, ale Burke był przekonany, że zniknięcie Petera zeszłego lata na cztery miesiące w tak dziwnych okolicznościach, a potem powrót do domu bez wytłumaczenia i wymawianie imienia innej kobiety przez sen wkurzyłoby każdą żonę. Nie wściekłyby się tylko wówczas, gdyby naprawdę go nie kochała. Pytanie tylko, czy Vornado powie Rachel prawdę, czy też nic nie zdradzi?

Co jeszcze poza imieniem tamtej kobiety Peter powiedział przez sen? To mogło być jeszcze gorsze. Poza Vornado Dillinger był jedyną osobą nienoszącą odznaki CIA, która znała całą paskudną prawdę, i to tylko dlatego, że uczestniczył przy tym wszystkim. Zastanawiał się, co mógłby powiedzieć Rachel, aby pomóc przyjacielowi, ale nic nie przyszło mu do głowy.

- Jak wrócimy, wszystko się ułoży - powiedział, nie wierząc we własne słowa. Mijali okręty podwodne zacumowane przy „Olympusie” od strony morza. Po lewej stał okręt McDonovana, po prawej Willeya. Minęli kolejne stanowisko z dwoma okrętami podwodnymi, wreszcie dotarli do końca długiego na czterysta metrów betonowego mola, gdzie znajdowały się ostatnie stanowiska.

Niektórym marynarzom wydawać by się mogło, że to najgorsze miejsca postojowe, w odległości czterystu pięćdziesięciu metrów od lądu i jeszcze drugie tyle od parkingu. Ale każdy doświadczony kapitan okrętu podwodnego chciałby właśnie tu widzieć przycumowaną swoją jednostkę. Tutaj, gdy okręt stał zwrócony dziobem ku morzu, wystarczyło rzucić cumy i dać całą naprzód, by natychmiast wypłynąć na otwarte morze. Okręty stłoczone bliżej lądu potrzebują holowników, by wydostać się spomiędzy betonowych pirsów. Okręty podwodne są znane z tego, że trudno nimi manewrować, a ich zaokrąglone dzioby zrobione z delikatnego włókna szklanego mogą zostać uszkodzone przez każde uderzenie w beton. Tutaj, na samym końcu mola Dillinger i Vornado mogli wypływać w morze tak łatwo, jakby dowodzili zwrotnymi okrętami nawodnymi wyposażonymi w liczne dysze sterujące i śruby. Niszczyciele i krążowniki popisywały się widowiskowymi manewrami, z radarami kręcącymi się w zgodnym rytmie, z łopoczącymi banderami, przy dźwięku syren, jak gdyby nabijając się z poniżonych kuzynów z floty podwodnej wyciąganych przez pary holowników. Na poprzednim okręcie, sędziwym USS „Tucson”, Dillinger zawsze prosił, żeby pozwalano

mu cumować na samym końcu mola. Peterowi na tym nie zależało. Dla niego wyruszenie za pomocą holowników było czymś oczywistym. To czysty przypadek, że jego okręt stał tutaj, obok jednostki Dillingera.

Zatrzymali się na końcu mola, na wysokości ruf swoich łodzi. Po lewej stał USS „Hampton” klasy Los Angeles, okręt Dillingera. Stary okręt przed zeszłoroczną letnią operacją pływał pod dowództwem Vornado. Po utracie „Tucsona” Joe Kraft zaoferował Dillingerowi okręt w spadku po Vornado. Po prawej stał USS „Teksas” klasy Virginia, najnowszy myśliwski okręt podwodny we flocie należący do Petera. Vornado i Dillinger od zawsze byli najlepszymi dowódcami okrętów podwodnych eskadry, często współzawodniczyli o odznaczenie „bojowe E”. Dawniej, przed tamtym latem, obaj bardzo się tym pasjonowali, zmuszając załogi do wysiłku, ale teraz chyba już wiedzieli, że są ważniejsze rzeczy.

Vornado odwrócił się do Dillingera.

- Czas się na razie pożegnać, B.K.

- Powodzenia, brachu - powiedział Dillinger, myśląc bardziej o francuskich raketach balistycznych niż o huraganie.

Peter wyciągnął rękę na pożegnanie. Dillinger objął go mocno, jakby mieli nie widzieć się przez całe lata. Po raz drugi tego dnia zwykłe pożegnanie wywołało w Dillingerze irracjonalne emocje. Co, u diabła, się ze mną dzieje? - pomyślał. Vornado klepnął go w plecy i się cofnął.

- Owocnego polowania - powiedział. Odwrócił się i odszedł do trapu swojego okrętu. Czuwający na mostku okrętu wartownik wyprężył się i zsalutował. Vornado odsalutował mu, po czym zwrócił się ku banderze na rufie i także jej zsalutował. Z głośnika na okręcie Petera dobiegał głos przebijający się przez hałas deszczu: „Kapitan na pokładzie!” Vornado zdjął z ramienia worek, wrzucił go przez właz i jeszcze raz spojrzął na Burke’a. Skinął głową i zniknął wewnątrz okrętu.

Dillinger stał jeszcze przez chwilę na deszczu, potem odwrócił się w stronę własnego okrętu.

3

Odkąd Dillinger objął stanowisko kapitana okrętu, wiedział o czymś, czego inni nie rozumieli. W dniu wyjścia w morze kapitan nie może postępować jak Vornado - zwyczajnie wchodzić na okręt, tak jak wsiada się do pociągu. Nawet w tak psią pogodę jak tego dnia. Okręt to nie

kupa pospawanego żelastwa i zwojów kabla. Dla kapitana ma on duszę i osobowość. Ocean zawsze miał chrapkę na to, by połknąć zuchwalców, którzy po nim pływają. Dlatego w walce z oceanem trzeba zawrzeć koalicję z okrętem, tym żywym organizmem, który tętni własnym rytmem i też walczy o przetrwanie. Prawdziwy człowiek morza traktuje swój statek jak ukochaną kobietę. Wie, jak zachowuje się w trudnych sytuacjach, jak przyjmie najbliższą wielką falę, jak jego pokład drży i przechyla się, kiedy woda uderza z boku. Prawdziwy kapitan nie chwytą od razu za stery. Dillinger obszedł swoją pływającą fortecę dookoła na tyle, na ile pozwalał mu na to pirs, by przyjrzeć się każdemu szczegółowi, najmniejszym śladom jej wewnętrznego życia, wsłuchać się w jej szept, wczuć w ten szczególny rytm jej działania. Piloci, kapitanowie statków powietrznych, doskonale wiedzą, o co chodzi. Przed lotem spędzają dobrą godzinę na inspekcji odrzutowego potwora, oglądając każdy szew, nit, każdy centymetr powierzchni opony. Nazywają to kontrolą bezpieczeństwa, ale tak naprawdę to tylko hołd, który składają tej rzeczy, która może ich uratować od śmierci. Tam, gdzie Burke i jego ludzie mieli znaleźć się jeszcze tego dnia, czekało ich mnóstwo niebezpieczeństw, więc okręt z pewnością zasługiwał na hołd.

Ciemny, niski, podługowaty okręt przycumowany do nabrzeża nazywał się USS „Hampton”. Imię to godnie nosiły wcześniej już cztery amerykańskie okręty wojenne. Pierwszy „Hampton” patrolował James River i dzielnie walczył w bitwach o Dutch Gap i Chaffin’s Bluff. Potem został zniszczony przez własne wojska, kiedy wrogowie siły Unii odcięły mu drogę na Richmond. Jego drugim wcieleniem był skromny holownik oceaniczny, który patrolował Hampton Roads. Jego praca była tak trudna i niebezpieczna, że okręt z pewnością odkupił swoje dawne przewiny. „Hampton” wrócił potem do życia jeszcze raz jako ścigacz okrętów podwodnych z czasów II wojny światowej, używany potem jako okręt szkoleniowy. Następnie wykorzystywano go jako transportowiec. W 1993 roku USS „Hampton” uzyskał swoją obecną postać za przyczyną stoczni Newport News Shipbuilding and Drydock Company. Odkąd miał korpus z ultrawytrzymałej stali i serce z radioaktywnego uranu, sprzyjało mu szczęście: zawsze występował w centrum akcji, zawsze zwyciężał. Nie dziw więc, że admirałowie nie oszczędzali go i gdy tylko coś się działo, wzywali „Hamptona” do akcji. Raz za razem otrzymywał oficjalne pochwały - Presidential Unit Citation i Meritorious Unit Citations. Walczył w Iraku, wystrzeliwując pociski samosterujące, podczas pełnej napięcia operacji w Panamie wysadzał na brzeg komandosów. Na Morzu Czarnym przeprowadzał supertajną akcję ewakuacji okrętu „Rogaczow”, został wtedy trafiony dwiema bombami głębinowymi Ukraińców, z których jedna zdmuchnęła mu kiosk razem z masztami i peryskopami, co omal nie spowodowało zalania wnętrza okrętu. Brał też

udział w supertajnej akcji międzynarodowej na Morzu Arktycznym, która omal nie skończyła się katastrofą, i w słynnej operacji „Skradzione Strzały” na południowym Atlantyku. Nie ulegało wątpliwości, że „Hampton” przeżył już niejedno i Dillinger miał nadzieję, że okręt przetrzyma jeszcze wiele. Służyli na nim najlepiej w całych Stanach Zjednoczonych wyszkoleni oficerowie i marynarze. Prowadzili go kolejno najodważniejsi kapitanowie Marynarki Wojennej USA, z których ostatnim był Peter Vornado. Objęcie dowództwa na tym czcigodnym okręcie, szczególnie po Peterze, było wielkim wyróżnieniem i Dillinger doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Doskonale wysklepione burty „Hamptona” schodziły łagodnie ku wodzie, w której odmętach ginął cylindryczny kadłub. Na dalekim krańcu kadłuba wystawał pionowo z wody dumny ster. Wyglądał tak, jakby był niezależny od reszty. Kształtem przypominał ogon samolotu. Na jego czubku świeciła biała lampka nawigacyjna przypominająca policyjnego koguta, ale w tej chwili jej światło nikło w strugach ulewnego deszczu. Dillinger spojrzał tam, gdzie kończył się ster. Za sterem znajdowała się napędzająca okręt śruba. Burke oglądał to miejsce z dołu, gdy „Hampton” stał bezsilny w suchym doku podczas naprawy. Mniej więcej dwa metry za sterem kadłub zwężał się i kończył mosiężną śrubą o średnicy trzech metrów, z siedmioma łopatom, które oczekiwały na moment, gdy puszczone w ruch nadadzą okrętowi odpowiednie przyspieszenie. Na ukrytej obecnie pod wodą rufie były dwa skrzydełka pełniące funkcję steru głębokości. U spodu kadłuba znajdowała się płetwa steru kierunkowego.

Dillinger spojrzał teraz przed siebie. Goły kadłub ciągnął się na sześćdziesiąt metrów aż do miejsca, w którym z pokładu wyrastał kiosk zwieńczony masztami i peryskopem ledwie widocznymi poprzez mgłę. Idąc w jego stronę, przyglądał się uważnie wszystkiemu, nawet kablowi poprowadzonemu od nabrzeża do tylnego włazu, gdzie kłębiły się przewody grube jak jego ramię, podłączone do sieci elektrycznej okrętu. Obejrzał podwójne cumy łączące okręt z pirsem, obłożone na wielkich pachołkach. A także pokrywy otworów zbiorników balastowych, zamkniętych, by nie dostały się do środka morskie fale. Po otwarciu pokryw zbiorniki wypełniały się wodą, dzięki czemu okręt mógł się zanurzać.

Amerykańska bandera zwisała smutno z masztu. Tuż za kioskiem znajdował się trap. Nad przednim włazem rozpięto brezent chroniący przed deszczem. Dillinger minął trap i przeszedł dalej, by spojrzeć na dziób okrętu. Przypominał pocisk zaprojektowany specjalnie tak, by pruć wodę przy dużych prędkościach. Dojrzał dwanaście pokryw wyrzutni, z których mogły być wystrzelwane pociski tomahawk.

Stanął na skraju pirsu, spojrzął na wody Elisabeth River, spienionej przez huragan w wielkie grzywacze, i zwrócił się w stronę „Hamptona”. Z tego miejsca sylwetka okrętu zdawała się jeszcze zgrabniejsza, opływowy kadłub był gotów pruć fale podczas każdej powierzonej przez dowództwo misji. Dillinger spojrzął jeszcze na okręt Vornado, USS „Teksas”.

„Teksas” był o pięć metrów dłuższy od „Hamptona”. Jego kiosk umieszczony został bliżej rufy. Na szczycie masztu wystającego z kiosku kręcił się radar. Na pokładzie stali marynarze odziani w sztormiaki i kamizelki ratunkowe; czekali w gotowości na odebranie cum, które lada moment miały być rzucone im przez marynarzy z pirsu. Na szczycie kiosku stali dwaj oficerowie. Jeden z nich przekazywał komunikaty przez krótkofalówkę, drugi patrzył w stronę rzeki. W wyższym, szczuplejszym Burke rozpoznał Vornado, który zamachał ręką na pożegnanie. Dillinger odpowiedział w ten sam sposób i zasalutował. Przypomnił sobie słowa przyjaciela o Francuzach i pomyślał, że cokolwiek miało się zdarzyć, on nie będzie się w to angażować.

Usłyszał, jak oficer dyżurny „Teksasu”, młody Dekę Flynn, podaje przez megafon komendę rzucenia cum. Natychmiast na pirsie zrobił się ruch, ciężkie liny zdjęto z pachołków i jedną po drugiej przerzucono na okręt. Powietrze przeszył dźwięk syreny oznajmiającej, że Vornado wypłynął w morze.

„Teksas” powoli sunął wzdłuż nabrzeża, potem Flynn dał kurs na prawo i okręt klasy Virginia popłynął rzeką na północ. Dillinger miał wrażenie, że znikający we mgle Vornado jeszcze raz pomachał mu ręką.

Przez dłuższą chwilę patrzył w kierunku, gdzie zniknął okręt i poczuł, że nieobecność przyjaciela ciąży mu na sercu bardziej, niż przypuszczał. Westchnął i odwrócił się twarzą do „Hamptona”. Zobaczył, że ktoś stoi koło niego. W strugach deszczu nie mógł stwierdzić, kto to może być. Widział tylko żółty sztormiak, jakie nosili wszyscy w eskadrze. Sądząc po jego zachowaniu, łatwo było się domyślić, że to oficer dyżurny. Po tylu miesiącach służby na „Hamptonie” pod dowództwem Dillingera wszyscy nauczyli się, by na godzinę przed wyjściem w morze zostawić go samego. Ich kapitan rozmawiał najpierw z okrętem, potem słuchał ludzi.

W końcu Dillinger przerwał milczenie.

- Czekam na pański raport - odezwał się.

- Dobry wieczór, panie kapitanie! - Głos niewyraźnej postaci w sztormiaku przebił się przez ryk wichru i szum ulewy. Należał do komandora porucznika Matta Mercury-Pryce'ę, byłego oficera łączności na „Tucsonie”, który przeszedł na „Hamptona” wraz z wieloma innymi oficerami. Obecnie Merc, jak nazywano Matta od skrótu nazwiska, pełnił funkcję nawigatora. Był jednym z najważniejszych ludzi Dillingera, zaraz po pierwszym oficerze. Jeszcze przed rokiem zachowywał się jak młody chłopak, a dzięki niekończącym się wyprawom rowerowym zachował doskonałą formę. W jego ciemnych włosach migotały rozjaśnione słońcem kosmyki. Słowem, zdolny marynarz, zawsze pierwszy w regatach, narciarstwie, surfingu... piciu i flirtowaniu. Kiedy jednak został wyciągnięty ze stojącego w ogniu i tonącego już „Tucsona”, zmienił się tak jak Dillinger. Merc był teraz o wiele poważniejszy. Jasne kosmyki ustąpiły miejsca siwym. Razem z nimi zginęła gdzieś jego natura awanturnika. Był teraz żonaty, stał się jednym z najbardziej odpowiedzialnych członków załogi. Dillinger prosił komandora Krafta o przydzielenie Merca na jego okręt, ale raczej wątpił, że tak się stanie. Ucieszył się, kiedy zobaczył go na pokładzie. Gdyby kiedyś miał syna, chciałby, żeby był on właśnie taki jak Merc. Dlatego jak wymagający, ale czuły ojciec, czuwał nad karierą młodego oficera, chwalał jego sukcesy przy wszystkich i dając mu na osobności surowe reprimendy za potknięcia. Rady, które dawał hojnie Mercowi, młody nawigator chłonał niczym gąbka.

- Reaktor wygaszony - Mercury-Pryce zaczął raport o stanie okrętu, tak samo jak co rano od dwóch dłużeń się tygodni. - Główne pompy chłodzące zabezpieczone, reaktor ustawiony na chłodzenie awaryjne. Główny obwód wody zaburtowej pozostaje odłączony ze względu na pracę przy zaworze MSW-3. Główny obwód pary odłączony i odizolowany ze względu na pracę przy przepustnicy lewego silnika głównego. Pierwszy oficer i szefowie sekcji na pokładzie, listy czynności kontrolnych przed wyjściem w morze zakończone, prócz sekcji maszynowni. - Merc skończył i pokręcił głową, jakby raport go zniesmaczył.

Za nimi nad wodą rozbrzmiewał długi donośny dźwięk syreny. Oznajmiał wyruszenie kolejnej jednostki. Dillinger odwrócił się w tamtą stronę, ale widoczność tak się pogorszyła, że nawet ster „Hamptona” tonął we mgle. Dawało to taki efekt, jakby pirs był oddzielony od reszty świata. Oby ulewa ustała, kiedy będą wychodzili w morze.

- Co z wymianą głównego zaworu wody zaburtowej?

- Niezbędne części zostały dziś dostarczone. Pierwszy mechanik czeka z hydrostatycznym pakietem testowym SUBSAFE.

Dillinger pokręcił głową. Nie było już czasu na testowanie systemów w porcie. Test musiał być przeprowadzony na pełnym morzu. Gdyby zawór sienie sprawdził, uratowaliby okręt, zamykając wodoszczelny przedział stanowiący pół maszynowni; musieliby potem wlec się na jednym silniku.

- Pominie test - powiedział i pomyślał o mechaniku, który niechybnie przeżyje szok, kiedy usłyszy tę decyzję. Jednak były rzeczy ważniejsze niż jego ukochany reaktor.

- Tak jest, sir - odpowiedział Merc jak uczeń gimnazjum recytujący fragment wiersza, który wygłaszał już setki razy. Prawdopodobnie domyślał się, że to z powodu huraganu kapitan upraszcza jeszcze procedury.

- Przepustnica lewego silnika głównego? - zapytał Dillinger. Była to druga denerwująca część przeglądu, który trwał, odkąd zawrócili z kursu na Zatokę Meksykańską, i który zdawał się nie mieć końca.

- To niesamowite, sir. Części do niej także udało się znaleźć, jak tylko zapowiedziano huragan Helena. Kiedy wychodziłem z maszynowni, właśnie kończyli przykręcać obudowę.

Dillinger uśmiechnął się w duchu na myśl, że Joe Krat najwyraźniej postanowił dać załodze „Hamptona” w pełni zasłużony, choć krótki odpoczynek. Pomyślał, że powinien był zabrać trochę części z „Teksasu”, by umożliwić taki urlop także Vornado.

- Party ma też pakiet testowy do obwodu pary wodnej, kapitanie.

- Przeprowadzimy test urządzeń, kiedy reaktor uzyska moc wystarczającą do napędzania okrętu. Czy pierwszy mechanik jest na pokładzie?

- Czekam na pana. Chciałby złożyć raport. Dillinger kiwnął głową.

- A co z załogą? Merc pokręcił głową:

- Jest o wiele lepiej niż dwie godziny temu, ale nie jest dobrze. Brakuje około trzydziestu ludzi. Pierwszy oficer z podoficerem łącznikowym siedzą przy telefonach, ale łączność urywa się co parę minut. Wysłali już podoficera łącznikowego z dwoma operatorami wyrzutni

torped, by odszukali członków załogi. W dodatku przyszedł komandor Willey i wykradł nam pół tuzina ludzi na „Jacksonville”. Widywałem już podprowadzanie sprzętu, ale kradzież załogi widzę pierwszy raz! Ostatni zawsze mają w plecy, kapitanie.

Żeby to był ktoś inny, a nie George Willey, Dillinger starałby się odzyskać skradzioną załogę. Ale Willey służył kiedyś na „Hamptonie”, potem był pierwszym oficerem u Vornado. Tym razem zostanie mu to wybaczone. Dillinger usłyszał ryk silników holownika. To USS „Jacksomdle” powoli przesuwał się wzdłuż burty „Hamptona”. Burke spojrzął na mostek na szczycie kiosku, gdzie brodaty mężczyzna stał na baczość i przepisowo salutował.

- Czy zabrał kogoś z oficerów albo bosmanów?

- Tak, panie kapitanie - odpowiedział z rozgoryczeniem Merc - zabrał pierwszego bosmana i podporucznika Wanga.

- Do diabła! - zaklął Dillinger. Mniejsza o oficera torpedowego, ale jak płynąć bez pierwszego bosmana?!

- Pierwszy oficer jest wściekły. Nigdy nie oddałby bosmana, gdyby komandor Willey nie przyszedł osobiście.

- Dziękuję, Nav. - Dillinger użył przezwiska, które Merc otrzymał, kiedy objął stanowisko nawigatora. - Zejdźmy pod pokład.

Poprawił na ramieniu worek marynarski i skierował się do trapu. Pełniący wachtę marynarz stanął na baczość i zasalutował. Dillinger rozpoznał w chłopaku operatora sonaru, mata MacKenziego. Odsalutował. Odwrócił się, zasalutował przemoczonej amerykańskiej banderze i skierował się ku zejściu prowadzącemu w głąb kadłuba okrętu. Kiedy stąpił po czarnej gładkiej powierzchni kadłuba, pokrytej pianką antysonarową, miał wrażenie, że jest na grzbiecie wieloryba. Wsunął się przez właz, czemu towarzyszył głośny trzask dochodzący z pokładowego systemu nagłośnienia. Głos operatora sonaru zahuczał nad całym pirssem i odbił się echem od rozwartej paszczy włazu:

- Kapitan na pokładzie!

Dillinger uśmiechnął się pod nosem. Lubił tak zaczynać dzień. Zapach deszczu ustąpił nagle miejsca woni charakterystycznej dla okrętu podwodnego. Była to szczególna mieszanka łącząca zapachy drażniącego nozdrza ozonu, wielokrotnie przesmażonego tłuszczu z patelni, ropy naftowej, zasiarczonych spalin silników Diesla i zwykłego oleju maszynowego. W tle tej mieszanki przebijał obiecujący aromat świeżo zaparzonej kolumbijskiej kawy. Komandor przez chwilę wdychał ten zapach, tak indywidualny i niepowtarzalny. Pamiętał pierwszy raz, kiedy go poczuł. Było to, gdy jako kadet zwiedzał jednostkę przycumowaną w porcie koło Annapolis. Był wtedy tylko młokosem z pierwszego roku.

Ciemności wypełniające namiot i tunel wjazdu ustąpiły w dole miejsca światła jarzeniówek. Wnętrze okrętu podwodnego było jaśniejsze niż burzowy półmrok dnia na zewnątrz. W uszy Burke'a uderzyły różne dźwięki pochodzące z okrętu. Słychać było cienki świst przy wtórze głuchego dudnienia sprężarek za pomocą wentylatorów rozprawdzających powietrze po całym okręcie. Do tego duetu dołączało się echo rozmów prowadzonych w mesie dla załogi.

- Uwaga na dole! - krzyknął Dillinger, zanim rzucił worek marynarski w głąb szybu. Worek mógł odbić się i wpaść w drugi właz, lądując sześć metrów niżej na środkowym pokładzie. Worek zatrzymał się jednak pokład wyżej, przy szybie wjazdu dziobowego. Burke jeszcze raz spojrzął na zalany deszczem pirs. Instynkt marynarza okrętów podwodnych nakazywał mu po raz ostatni rzucić okiem na świat ponad wodą i zaczerpnąć ostatni łyk świeżego powietrza, nim zanurzy się w czeluściach kadłuba. Bóg jeden wiedział, czy nie miał to być jego ostatni kontakt z naturalnym powietrzem. Spojrzął w dół i zaczął schodzić w ciemność szybu wjazdu dziobowego, stalowego cylindra długości około trzech metrów, na tyle przestronnego, by pomieścić dziesięciu mężczyzn. Oświetlały go jedynie dwie jarzeniówki w drucianych osłonach. Można było tędy ewakuować załogę, szyb służyłby w takim wypadku za służbę powietrzną. Jednak lepiej tego nie próbować. Dillingera przerażała myśl o czterystu metrach oceanu nad głową. Gdyby przyszło co do czego, wolałby chyba pójść na dno razem z okrętem niż ratować się za pomocą tego piekielnego urządzenia. Dowódca okrętu podwodnego, który boi się morskich głębin!

Pokręcił głową i zsunął się żwawo po drabince na dół szybu. Znowu krzyknął „uwaga na dole!” i rzucił worek marynarski do drugiego wjazdu. Podążył za nim i po chwili wyłonił się z czeluści szybu w pełnym świetle mesy.

Schylił po leżący u jego stóp worek. Kiedy się prostował, w mesie rozległ się wybuch radości. Zaskoczony Dillinger rozejrzał się dokoła i ujrzał członków załogi zgromadzonych wokół niego i klaszczących ze szczerym, niemal dziecięcym entuzjazmem.

- Pluj w oko cyklonu, kapitanie! - zakrzyknął jeden z nich. Dillinger przyglądał się przez moment swojej załodze. Deszcz kapał mu z twarzy, usta zaczęły się uśmiechać, kurze łapki wokół oczu zrobiły się jeszcze bardziej wyraźne. Ruszył w stronę swojej kajuty, podnosząc zaciśniętą pięść w odpowiedzi na powitanie załogi. Był to jego rytualny gest oznaczający, że będzie zwyciężać na okręcie, tak jak niegdyś zwyciężał na ringu bokserskim.

Mesa, urządzona w stylu kantyny, była ciasna, lecz wygodnie zagospodarowana. Na jej krańcu dziobowym znajdowało się wąskie przejście, wyłożone boazerią z laminatu, prowadzące do kajut załogi. W połowie korytarza były strome schody prowadzące na górny pokład. Dillinger wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie. A potem głównym korytarzem górnego pokładu skierował się w stronę sterówki. Otworzył drzwi do swojej kajuty, wrzucił do niej worek i poszedł do łazienki oddzielającej jego kajutę od kajuty pierwszego oficera. Cisnął ubrania w kąt i wszedł pod prysznic, z którego woda tryskała mocno, masując mu plecy i głowę.

Wytań się i włożył świeży mundur. Gdy wiązał sznurówki w butach używanych na okręcie, ktoś zapukał do drzwi kajuty. Burke otworzył i ujrzał swojego zastępcę.

- Witaj, pierwszy oficerze - odezwał się Dillinger. - Proszę wejść.

Koja Dillingera przymocowana była do ściany małej kajuty i składało się jajak w pociągach z kuszetkami. Dzięki temu można było rozłożyć na jej miejscu mały stolik do kawy i dwie ławeczki. Dillinger ruchem ręki zaprosił pierwszego oficera do stolika.

Komandor podporucznik Steve Flood był wysokim, chudym, sympatycznym i inteligentnym człowiekiem. Miał regularne, jakby wyrzeźbione, niemal kobiece rysy, jego włosy były gęste i na tyle długie, że zaczesywał je do tyłu. Był lubiany przez załogę za bezpośredniość i szczerą troskę o marynarzy. Miał zdolność do wzbudzania u podwładnych entuzjazmu, nawet przy wykonywaniu najzwyklejszych prac. Znakomicie wypełniał także obowiązki administracyjne. Flood miał też trudne zadanie reprezentowania okrętu wobec ludzi z zewnątrz, szczególnie wobec dowództwa eskadry. Każdy jego błąd mógł zaszkodzić karierom oficerów i marynarzy, ale przede wszystkim mógł być niebezpieczny dla samego okrętu.

Dillinger poznał Flooda przed dwoma laty, kiedy przejął dowództwo nad „Tucsonem”. Flood został tam pierwszym mechanikiem, zaledwie kilka tygodni przed przyjściem Burke’a. Momentalnie się zaprzyjaźnili. Podczas operacji „Skradzione Strzały” Flood pełnił obowiązki pierwszego oficera. Spisał się tak doskonale, że Dillinger żałował bardzo, iż to nie on, lecz Natalie D’Assault została mianowana jego pierwszym oficerem. Był pewien, że Natalie nie zdoła zrobić nawet połowy tego, co Flood. Jednak na odwoływanie jej było już za późno, dostali rozkaz skierowania się na północ. Mylił się w ocenie Natalie. Gdy wystąpiła z marynarki, natychmiast złożył wniosek, by Flood został mianowany pierwszym oficerem. Flood nieustannie potwierdzał swoje wielkie możliwości mimo problemów osobistych, które ujawniły się po katastrofie.

Tuż przed operacją „Skradzione Strzały” ożenił się. Po powrocie z Morza Barentsa jeszcze przez ponad pół roku budził się w środku nocy z krzykiem. W końcu Patricia Flood postawiła mu ultimatum: albo okręt podwodny, albo ona. Dwa miesiące po tym on nadal był na okręcie, a ona poszła w swoją stronę. Koił ból, troszcząc się o swoje maszyny. By zabić czas po pracy, jako utalentowany mechanik Flood zajął się swoim dawnym hobby - restaurowaniem motocykli i zabytkowych samochodów sportowych. Dillinger nieraz zastanawiał się, czy Flood podjął właściwą decyzję. Jednak zanim zdążył zachęcić młodego oficera do próby pogodzenia się z żoną, ona go uprzedziła, ogłaszając swe zaręczyny z pewnym atrakcyjnym lekarzem, cywilem. Flood odebrał to jako straszliwy cios. Od tamtej pory całkiem zagrzebał się w pracy.

- Dobry wieczór, panie kapitanie.

- Co słychać?

Flood wyciągnął paczkę nikotynowej gumy do żucia. Zaczął palić po odejściu żony. Od kiedy weszły nowe przepisy zakazujące palenia na okrętach podwodnych, pozostała mu guma.

- Gdyby nie problemy techniczne, bylibyśmy już w kanale. Schluss pracuje bez przerwy, odkąd przyszedł rozkaz ewakuacji w związku z huraganem.

- Niech pan go wezwie.

Flood wyciągnął zza pasa krótkofalówkę. Zawołał mechanika i chwilę potem usłyszeli pukanie do drzwi. Postać porucznika komandora Pata Schlussa wypełniła niewielki otwór drzwi.

- Miło z pana strony, że dołączył pan do nas, kapitanie - zażartował Schluss, wchodząc z szerokim serdecznym uśmiechem na twarzy.

Dillinger zwerbował dawnego asystenta do spraw kontroli uszkodzeń z „Tucsona”, powierzając mu na „Hamptonie” stanowisko pierwszego mechanika. Schluss był krępy, zaczął przedwcześnie łysieć, podczas gdy reszta jego niedźwiedziowatego ciała była absurdalnie owłosiona. Miał okrągłą, ospowatą twarz. Nosił okulary, grube jak denka od butelek, w plastikowych czarnych oprawkach. Stanowczo nie chciał korzystać z soczewek kontaktowych ani poddać się laserowej korekcie wzroku. Mimo to kobiety nie mogły mu się oprzeć. Gdyby nie całkowite oddanie się w służbę ukochanej atomowej bestii, prowadziłby najbogatsze życie towarzyskie spośród wszystkich członków załogi. Był niezmiennie optymistycznie nastawiony do świata, zawsze wesoły, potrafił znaleźć coś pozytywnego w każdej, nawet najgroźniejszej sytuacji.

Jeszcze na „Tucsonie” znany był z tego, że pierwszy zjawiał się w portowym pubie, by oblać zwycięstwo. Przed dwoma laty w Fort Lauderdale Patty wskoczył na scenę klubu nocnego i tańczył jak szalony wśród roznegliżowanych aktorek - gruby i owłosiony, w samych majtkach. Nocne szaleństwa nie przeszkodziły mu być nazajutrz zupełnie trzeźwym i w profesjonalny sposób wyprowadzić w morze „Tucsona” w związku z akcją „Panamanian”.

W przeciwieństwie do Pryce’a, Flooda i innych dawnych członków załogi „Tucsona”, których Dillinger zwerbował na „Hamptona”, Schluss nie miał żadnych objawów traumy po akcji na Morzu Barentsa. Nominację na pierwszego mechanika, związaną z wielką odpowiedzialnością, traktował jako coś przypadkowego, nie wynikającego z jego dawnych dokonań. Zwykle ciężar zadań spoczywających na pierwszym mechaniku sprawiał, że młody człowiek, obejmujący to stanowisko, starzał się o całe dziesięciolecia. Jednak Schluss zachowywał się, jakby to było jego wymarzone stanowisko. Delektował się pracą, od roboty papierkowej po wszystkie rytuały należące do Programu Nuklearnego Marynarki Wojennej USA. Schluss świetnie się czuł w roli kapłana atomowej świątyni. Parafia, którą zarządzał, składała się z oficerów szkolonych w obsłudze reaktora, szeregowych operatorów urządzeń i oczywiście maszyny, która zajmowała niemal dwie trzecie kadłuba okrętu. Schluss nieraz beształ maszynę, przemawiał do niej, zachęcał do pracy. Traktował ją tak samo jak podwładnych. Tak samo wczuwał się w duszę okrętu jak Dillinger.

- Dobrze znaleźć się na pokładzie - odezwał się Burke, uśmiechając się na powitanie. - Ale wolałbym być w tej chwili o jakieś trzy tysiące kilometrów na wschód stąd. Czy są szanse na to, że napęd zostanie uruchomiony w niedługim czasie?

Schluss spoważniał i zdał kapitanowi szczegółowy raport ze stanu maszyny napędzającej okręt. Zażądał przeprowadzenia testu obwodów wody zaburtowej i głównych obwodów pary wodnej. Dillinger rozkazał, by wszystkie obwody były w gotowości do normalnej pracy. Schluss z trudem przełknął ślinę. Jego zazwyczaj pogodna twarz spochmurniała.

- Za ile godzin można uruchomić silniki główne? - zapytał Dillinger.

- Za sześć godzin, sir - westchnął Schluss. - Powinniśmy być gotowi do drogi o pierwszej trzydzieści, najpóźniej drugiej nad ranem.

- Polecam zastosować awaryjny tryb rozgrzewania reaktora, by doprowadzić go do odpowiedniego poziomu mocy tak szybko, jak to możliwe. Proszę też uruchomić awaryjny obieg pary wodnej - powiedział Dillinger.

Schluss zmarszczył brwi, stanął na baczność i odparł:

- Sir, proszę o zezwolenie na uruchomienie reaktora, rozgrzanie go w trybie awaryjnym oraz awaryjne uruchomienie maszynowni.

- Zezwalam - odpowiedział Dillinger, spoglądając na zegarek. Po odejściu Schlussa Flood wstał.

- Szefie - odezwał się - jeśli Party ma przygotować bestię w tempie awaryjnym, będziemy gotowi w ciągu godziny, a nie sześciu. Może więc lepiej pójdę ustalić stan załogi.

- Proszę dać mi znać, jakie braki udało się uzupełnić.

- Dobrze. Proszę o rozkaz obsadzenia wachty do manewrów. Dillinger skinął głową.

- Obsadzić wachtę do manewrów.

- Jest, obsadzić wachtę do manewrów - powtórzył Flood i zniknął.

Dillinger został sam w maleńkiej kajucie. Wyciągnął laptopa i podłączył go do sieci. W tym samym momencie usłyszał z głośnika systemu informacji IMC komunikat:

- Na stanowiska, wachta do manewrów!

W korytarzu natychmiast rozległ się tupot nóg i okrzyki ludzi biegnących na stanowiska. Dillinger oparł się wygodniej i przez dobrą chwilę wsłuchiwał się w te odgłosy, upajając się nimi niczym ulubioną muzyką.

Rozległo się pukanie do drzwi. W progu stanął Mercury-Pryce. Wokół jego stóp, na pokrytej gumą podłodze, szybko tworzyła się kałuża wody kapiącej z mokrego sztormiaka.

- Słucham pana, Nav - odezwał się Dillinger.

- Panie kapitanie, obsadziłem wachtę. - Przerwał. Przez jego twarz przebiegł cień niepokoju. Nigdy przedtem nie zdarzyło się, by Dillinger uruchamiał reaktor według procedury awaryjnej. Ewidentnie martwiło to nawigatora. Burke pomyślał, że ten dawny Merc z czasów „Tucsona” pozostałby niewzruszony. - Proszę o rozkaz opuszczenia masztów, włączenia systemów, uruchomienia obwodów hydraulicznych i urządzeń maszynowni.

Dillinger wydał rozkazy, po czym znów oparł się wygodnie w fotelu i spytał:

- Kto zastąpi pana przy manewrach?

- Porucznik Scottson, sir. Właśnie dotarł na pokład.

- Bardzo dobrze. Kiedy zejdzie pan z wachty, proszę o uaktualniony raport o stanie okrętu.

- Tak jest. Panie kapitanie, jeszcze jedno. Z pokładu właśnie zameldowano, że po moło jedzie w naszą stronę wózek golfowy komandora Krafta.

- Dziękuję, Nav - odparł Dillinger, odprawiając oficera i zastanawiając się, dlaczego Kraft miał zamiar złożyć mu wizytę w momencie, gdy okręt pomocniczy „Olympus” właśnie szykował się do wypłynięcia.

Odezwał się głośnik systemu 1MC:

- Dowódca 8. Eskadry Okrętów Podwodnych na pokładzie!

Burke chwycił świeży ręcznik i wybiegł z kajuty. Wprawnie zsunął się po drabince na środkowy pokład i pobiegł w kierunku rufy do mesy załogi. Czekał na dowódcę, kątem oka dostrzegł kucharza i zamówił kawę do swojej kajuty. W tym samym momencie pojawiły się we władze dwie nogi w mokrych spodniach koloru khaki, a potem ukazała się cała postać komandora Josepha Krafta. Odwrócił się i ujrawszy Dillingera, uśmiechnął się do niego.

- Witam na pokładzie, panie komandorze - odezwał się Burke, wręczając swojemu dowódcy suchy ręcznik. Kraft, wycierając mokrą twarz, mocno uściśnął dłoń Dillingera. - Zapraszam do mojej kajuty.

W korytarzu Kraft powiesił sztormiak i wytarł ręcznikiem szyję. W kabinie Dillingera czekał już na nich stolik nakryty dla dwóch osób. Oprócz filiżanek i dzbanka z kawą stała tam również kryształowa popielniczka, srebrna gilotynka do cygar oraz zapalniczka z napisem USS „HAMPTON”. Rosły Kraft usiadł na jednej z malutkich ławeczek. Dillinger zajął miejsce po przeciwnej stronie i z uniesionymi w skupieniu brwiami nalał kawy. Kraft wydobył tymczasem z wewnętrznej kieszonki munduru skórzany futerał, z którego wyjął dwa kubańskie cygara marki Cohiba o kształcie torpedy i z wprawą obciął im koniuszki. Burke wziął jedno z cygar, zaczekał, aż Kraft zapali swoje, a potem też to uczynił. Cygaro miało łagodny i przyjemny aromat prawdziwego kubańskiego tytoniu. Przypomniały mu się dawne grille, na które razem z Vornado bywali zapraszani przez Krafta.

- W jakim stanie jest „Hampton”, B.K.? - spytał z poważnym wyrazem bladoniebieskich oczu i zmarszczonym ponad krzaczastymi brwiami czołem dowódca eskadry. Kraft był o głowę wyższy od Dillingera. Miał gęste, siwiejące blond włosy, ostrzyżone na groźnie wyglądającego, spłaszczzonego jeża. Miał około dziesięciu kilogramów nadwagi, czego się niemal nie zauważało przy jego atletycznej budowie. Podobnie jak Dillinger Kraft trenował kiedyś boks, ale było to dawno, bo skończył akademię trzy lata wcześniej, nim Dillinger i Vornado wstąpili do niej jako kadeci.

Burke zdał dowódcy krótki raport o stanie okrętu. Przy okazji wspomniał mimochodem, że wydał polecenie uruchomienia reaktora w trybie awaryjnym. Patrzył przy tym uważnie na Krafta, ciekaw jego reakcji.

- Właśnie dlatego przyjechałem - odezwał się tubalnym głosem Kraft - aby zasugerować panu rozruch awaryjny, ale widzę, że już mnie pan ubiegł.

- Wychodzimy w morze mniej więcej za godzinę, sir. - Dillinger wypuścił kółko dymu w kierunku głośnika nad ich głowami.

W tym samym momencie, jakby w odpowiedzi, system 1MC przekazał komunikat pierwszego mechanika:

- Reaktor osiągnął moc krytyczną!

Kraft skinął głową nie zbierając się jednak do wyjścia.

- Mam dla pana coś jeszcze - oznajmił z beznamiętnym wyrazem twarzy. Zawsze miał minę pokerzysty. - Nie wiem jeszcze na pewno, ale szykują się kłopoty i będę potrzebował „Hamptona”.

Dillinger zamrugał oczami.

- Mówi pan o misji, komandorze?

Kraft przytaknął, ale jego oczy pozostały nieprzeniknione.

- Sir, Natalie jest w trzydziestym siódmym tygodniu. Zaraz będzie rodzić. Nie chciałbym w tym czasie znajdować się po drugiej stronie kuli ziemskiej... - Doskonale zdawał sobie sprawę, że stan jego żony nie zatrzyma okrętu w porcie, a stosowanie podobnej argumentacji może pozbawić go stanowiska. Przerwał więc i spojrzał w nieruchome oczy komandora. - Gdyby jednak nie było to coś ważnego, nie mówiłby pan o tym...

- To jest bardzo ważne - wycedził Kraft.

- Co zatem może mi pan powiedzieć o tej misji?

Kraft zaciągnął się cygarem i zmrużył oczy wśród kłębow dymu.

- Miejscem akcji będzie EastLant. I potrzebuję pańskiej FY-08. Dillinger patrzył na dowódcę. A jednak Vornado miał rację. EastLant, czyli wschodni Atlantyk, znajdował się podejrzanie blisko Francji. I jedynym powodem, dla którego Kraft chciał wysłać tam właśnie „Hamptona” zamiast innych okrętów należących do eskadry, było to, że jego system sonaru BQQ-5E został zmodernizowany w 2008 roku. Posiadały go jeszcze tylko „Seawolf”, „Connecticut”, „Jimmy Carter”, „Teksas” i „Virginia”. Unowocześniony system sonarów czynił je wszystkie nową generacją okrętów. Wszystkie trzy okręty klasy Seawolf w chwili obecnej nie nadawały się do akcji, jeden był na przeglądzie technicznym w suchym doku, dwa pozostałe przygotowywano do innych operacji specjalnych. A najwyraźniej chodziło o wysłanie ultracichej jednostki podwodnej. Dillinger miał ochotę spytać, czy „kłopoty” dotyczą francuskich okrętów podwodnych przenoszących rakiety balistyczne, ale przecież nie mógł zdradzić, że Vornado powiedział mu o cotygodniowych ćwiczeniach. Peter nie powinien o tym w ogóle wspominać, ale Dillinger znał dzięki niemu parę tajemnic, których potrafił dotrzymać. Czego nie można było być pewnym w przypadku Rachel.

- A „Virginia”? - spytał Dillinger. Miało to oznaczać: czy oni nie mogą popłynąć zamiast nas?

- Są problemy - odpowiedział Kraft, gestykulując cygarem. - Awaria SES.

SES oznaczał przedział z wyposażeniem sonaru. Czyli „Virginia” była chwilowo niezdolna do służby.

- No a „Teksas”? - Okręt Vornado także był wyposażony w unowocześniony sprzęt sonarowy FY-08.

- Vornado płynie z wami. Będziecie przydzieleni do dowodzącego siłami NATO.

- Panie komandorze, czy to misja na serio, czy tylko manewry? Komandor jakby nagle postarzał się o dziesięć lat.

- To są ćwiczenia. Ale niezmiernie ważne. Ma pan same torpedy bojowe, poza czterema torpedami ćwiczebnymi typu ADCAP Mark 48. Za dwa dni z portu Brest wyruszy francuski okręt „Le Vigilant” przenoszący rakiety balistyczne. Ma najlepszą załogę podwodną pod wodzą geniusza marynarki wojennej, faceta, który otrzaskał się z robotą na okrętach myśliwskich. Pamięta pan tę zeszłoroczną awanturę, gdy Koreańczycy próbowali nastraszyć Japończyków okrętem podwodnym o napędzie dieslowskim, z raketami termojądrowymi na pokładzie, który wynurzył się u wybrzeży Japonii? Tamten okręt nagle zniknął w tajemniczych okolicznościach, tonąc wraz z całą załogą...

Dillinger przytaknął. Siły podwodne Pacyfiku dostały wtedy ściśle tajny rozkaz, by wypłynąć okrętem klasy Los Angeles z bazy na Guam i zatopić północnokoreańskiego supercichego diesla. Jednak na dzień przed dotarciem Amerykanów w rejon zagrożenia po koreańskim okręcie została jedynie plama ropy na powierzchni morza koło Japonii. Na odprawie po misji ogłoszono, że koreańska załoga popełniła jakiś kardynalny błąd, który kosztował życie ich wszystkich. Kolejny dowód na to, jakie niebezpieczeństwa czyhają na marynarzy z okrętów podwodnych.

- A więc nie poszli na dno z powodu zwarcia w układzie sterowania zaworu zalewania zbiorników - kontynuował Kraft. - Zatonęli z powodu dziury, którą zrobiła w kadłubie torpeda. Francuska torpeda. Torpeda, jaką wystrzelił komandor Jean-Paul Gardes. Ten sam człowiek, który obecnie dowodzi okrętem „Le Vigilant” nafaszerowanym raketami balistycznymi. Pański przeciwnik podczas zbliżających się manewrów.

Francja i Japonia handlowały między sobą bronią, Japonia zdecydowała się ostatnio na wprowadzenie napędu atomowego do swojej marynarki wojennej. Był to doskonały moment dla Francji, by zaprezentować Japończykom możliwości systemów kierowania ogniem i uzbrojenia okrętów podwodnych.

- Zatem Gardes jest taki dobry? - upewnił się Dillinger.

- My powinniśmy być tak samo dobrzy, B.K. Z tego, co wiemy od naszego wywiadu, Gardes to urodzony kapitan okrętu podwodnego.

- A więc razem z Vornado mamy go znaleźć i sfignować zatopienie, tak? To wszystko?

- To jest gwóźdź programu. Szczegóły znajdzie pan tutaj. - Kraft wyciągnął z kieszeni płytę kompaktową. - Musi pan jeszcze podpisać dokument, w którym poświadczy pan odebranie rozkazów. Płyta zawiera rozkaz operacyjny dotyczący ćwiczeń pod kryptonimem „Urgent

Surge” - „Szybka Fala”. Mimo to niedługo po wyjściu w morze będzie pan musiał wynurzyć się na głębokość peryskopową, by odebrać ostatnie instrukcje, dotyczące dokładnego kursu na spotkanie z Francuzami. Niestety może to oznaczać, że wynurzycie się w samym środku huraganu.

- Tak jest, sir - odparł Dillinger.

- Na płycie znajdzie pan również pełne informacje o francuskim okręcie i jego załodze. Szczególnie dużo miejsca poświęcone jest samemu kapitanowi „Le Vigilanta” Jean-Paulowi Gardesowi. Pozna pan jego styl walki i dowie się, jak go pokonać. Popłyniecie tam i wsadzicie w sukinsyna cztery torpedy ćwiczebne, zanim on zdąży zrobić to samo. I oczywiście nim odpali ćwiczebną raketę balistyczną nad atlantyckim poligonem.

- Panie komandorze, jeśli wolno spytać, dlaczego te ćwiczenia są tak pilne?

- Nasz wywiad podaje, że istnieje poważna możliwość przejęcia jednego z francuskich boomerów przez algierską organizację terrorystyczną o nazwie GIA - odparł z westchnieniem Kraft, spuszczać wzrok. - Usiłowaliśmy przekonać Francuzów, że zagrożenie bezpieczeństwa ich okrętów strategicznych może spowodować straszliwe konsekwencje. Niestety, jak dotąd Francuzi uparcie lekceważą nasze ostrzeżenia, odrzucili nawet pomoc NATO. Twierdzą, iż gdyby ich okręt przenoszący rakiety balistyczne został porwany, poradzą sobie z nim ich własne okręty myśliwskie. Celem tych ćwiczeń jest wykazanie Francuzom, że ich boomer jest na to za cichy, że z łatwością zwałby okrętom myśliwskim.

- To niby po co my mamy być w to zaangażowani?

- Wszystko to wymyślił prezydent, by ich zaskoczyć. - Prezydentem był dawny oficer marynarki wojennej, a konkretnie były komandos jednostki specjalnej SEAL. Po odejściu ze służby, po zakończeniu wojny w Iraku, zrobił karierę w polityce. - Założył się z prezydentem Francji, że nasze okręty myśliwskie go dostaną. Ale kryje się za tym coś więcej. Jeśli ten okręt nam zwieje, może wyniknąć coś znacznie gorszego niż to, że wszyscy wyjdziemy na durniów. Jeśli nam się nie uda, senacka komisja do spraw sił zbrojnych podejmie bardzo radykalne środki zaradcze w zakresie neutralizacji zagrożenia ze strony zagranicznych okrętów przenoszących rakiety balistyczne.

- Radykalne środki zaradcze? Jakież? - dociekał Dillinger.

Kraft zerknął na zegarek i widać było, że bije się z myślami, czy wyjawić Burke’owi całą prawdę. Wziął głęboki oddech.

- Te informacje są oczywiście objęte tajemnicą najwyższego stopnia i proszę zapomnieć, że zostały panu przekazane. Powiem jednak, że wydano by rozkaz wysłania naszych okrętów myśliwskich w celu zatopienia każdego zagranicznego okrętu uzbrojonego w rakiety z głowicami jądrowymi. Dla samoobrony. Taka operacja wywołałaby straszliwe skutki. Byłyby liczne ofiary w ludziach. Nasi sąsiedzi źle by to odebrali. Ktoś mógłby nawet zdecydować się na odpalenie rakiet, sądząc, że atak okrętów myśliwskich jest pierwszym sygnałem wojny.

- No tak, ale jeśli zwyciężymy i złapiemy francuski okręt, czy nie potwierdzi to opinii Francuzów, że mogą być spokojni o swoje bezpieczeństwo? - Nie dawał za wygraną Dillinger.

- Francuzi stwierdzą, że mieliśmy rację, skoro wygraliśmy te ćwiczenia, że francuski system zabezpieczeń ma luki. Jeśli wystarczająco upokorzymy Francuzów, zrobią wszystko, by nie dać się więcej zawstydzić. Wielu naszych sądzi, że Francuzi to maminsynki. Może i kochają przesadnie swoje wino i sery, ale to przecież ich naród wydał Napoleona, który zawładnął niemal całym cywilizowanym światem. Proszę również nie zapominać, że to oni stworzyli Legię Cudzoziemską. Francja poniosła ogromne straty podczas I wojny światowej. Oni potrafią być twardzi. I niech pan i pańska załoga ani przez moment w to nie wątpi. - Kraft zmarszczył czoło. - A poza tym Kongres i prezydent będą pana obserwować, B.K. - Kraft zadusił niedopałek cygara w popielniczce, dopił ostatni łyk kawy i zaczął zabierać się do wyjścia. Po tylu latach służby pod rozkazami Krafta Dillinger wiedział doskonale, że dowódca potrafi go przejrzeć na wylot. - Więc nie spieprzcie sprawy.

- Rozkaz, sir.

- Czy coś jest nie tak, B.K.?

- Ach, nic takiego. Po prostu martwię się o Natalie. Powinienem więcej z nią przebywać. - Dillinger spuścił wzrok, ale zaraz spojrzał z powrotem na dowódcę.

- To tylko nerwy młodego ojca. - Kraft klepnął go w ramię wielką dłonią. - Pomieszane z lekkim poczuciem winy. Cięża zawsze budzi pewien niepokój, B.K. - Spojrzał na zegarek. - Muszę się pośpieszyć, bo inaczej „Olympus” wyjdzie w morze beze mnie. - Otworzył drzwi kajuty i ruszył do schodków prowadzących na środkowy pokład, zabierając po drodze sztormiak. Razem przeszli przez opustoszałą mesę i dotarli do dolnego wjazdu dziobowego szybu ewakuacyjnego. Kraft oddał kapitanowi ręcznik i cicho, żeby nikt nie usłyszał, rzucił na odchodnym: -

Proszę się nie martwić, w dniu narodzin dziecka będzie pan już z powrotem. Do zobaczenia. - Uścisnął dłoń Dillingera i zniknął w ciemnym szybie.

- Dziękuję, panie komandorze. Do zobaczenia na morzu.

Z głośników 1MC rozległ się komunikat:

- Dowódca 8. Eskadry Okrętów Podwodnych opuszcza pokład.

Dillinger pragnął zadzwonić do Natalie, ale co mógł właściwie jej powiedzieć? „Kochanie, zjawię się dopiero na poród. Muszę bawić się w wojnę, te ćwiczenia są tak ważne, że sam prezydent zakłada się o ich wynik”. Przecież to absurd. Te manewry już zaczynają się źle i nie wróży to nic dobrego. Burke był przesądny jak każdy kapitan okrętu podwodnego. Ze zdenerwowania rozboleł go żołądek.

4

Dillinger obudził się sam, zanim punktualnie o 6.30 zadzwonił telefon. Burke otworzył szeroko oczy, ale w kajucie panowała kompletna ciemność. Coś było nie w porządku. Z bijącym szybko sercem zrzucił z siebie kołdrę i usiadł na koi; zrozumiał od razu, co go tak zaniepokoiło - okręt przechylał się to na jedną, to na drugą burtę. A przecież kazał sprowadzić okręt trzysta metrów pod powierzchnię morza, żeby uniknąć kołysania podczas huraganu! Nie pozwolił oficerowi dyżurnemu na wynurzenie „Hamptona”. Zerknął na tablicę wskaźników umieszczoną na ścianie przy jego poduszce, jednocześnie sięgając do telefonu, aby zadzwonić na mostek. Odczytał wskazania przyrządów i odłożył słuchawkę, głębokościomierz pokazywał trzysta metrów zanurzenia. A jednak okręt przechylał się o dziesięć stopni, na takiej głębokości! Jak to możliwe? Ubrał się błyskawicznie, bez mycia, i pobiegł do sterówki.

- Kapitan w sterówce! - zameldował dyżurny szef załogi, bosman AJ. Anderson. Funkcję oficera dyżurnego pełnił kapitan Mikey Selles.

- Dzień dobry, panie kapitanie! - odezwał się pogodnym tonem. Dillinger skinął głową, skupiając uwagę na przechyłomierzu. Bąbelek powietrza wewnątrz przechyłomierza przesunął się po skali w miarę przechylania się okrętu na prawą burtę, dotarł do siedmiu stopni. Potem pokład zatrzymał się i zaczął przechylać się w lewo; tym razem bąbelek, przeszedłszy przez zero, dotarł aż do kreski oznaczającej

dziesięciostopniowy przechył. Burke wpatrywał się w cyfrowy głębokościomierz, który stale wskazywał trzysta metrów zanurzenia. Komandor popatrzył ze zdziwieniem na Sellesa.

- Nad nami jest Helen - wyjaśnił cicho Mikey. - Współczuję wszystkim, którzy znajdują się teraz na powierzchni morza.

Dillinger pokiwał głową, zastanawiając się, jak wielkie zniszczenia spowoduje huragan w Virginia Beach i Norfolk. Była środa, według prognoz pogody Helen właśnie tego dnia miała uderzyć w ląd.

- Mostek, tu radio - odezwał się głośnik.

- Tu mostek - zawołał w górę Selles, nie sięgając po mikrofon. Przedział radiooperatora był podłączony do systemu „otwartego mikrofonu mostka”. Radiooficer słyszał wszystko, co mówiono na mostku, dzięki zbiorczemu mikrofonowi. Jednocześnie nagrywało się to w pancерnej czarnej skrzynce, na podstawie której można było odtworzyć rozmowy w przypadku katastrofy okrętu. Na bieżąco zapisywano również wskazania przyrządów pokładowych, położenie sterów i stan zbiorników balastowych. Do systemu „otwartego mikrofonu” był również podłączony znajdujący się przed sterówką przedział sonaru, aby jego operatorzy mogli łatwo porozumiewać się z prowadzącymi okręt oficerami podczas szybko zmieniającej się sytuacji.

Dillinger uniósł brwi, radiooperatorzy mogli się odezwać tylko z jednego powodu.

- Mostek, tu radio, odbieramy sygnał z anteny VLF.

- Potwierdzam - odpowiedział Selles, sięgając po słuchawki interkomu. Rozmawiał chwilę z radiooperatorem: - Jesteś pewien? Rozumiem... dobrze. - Odwiesił słuchawki. - Panie kapitanie, antena VLF odebrała pierwszą literę naszego dzisiejszego kodu wywoławczego.

Burke starał się zachowywać, jakby była to zwykła sytuacja. Antena pętlowa VLF, *Very Low Frequency*, odbierała bardzo niskie częstotliwości radiowe, antena ELF - *Extremely Low Frequency*, jeszcze niższe. Tylko one potrafią przeniknąć przez wodę na taką głębokość. Nadawanie w zakresie ELF wymaga olbrzymiego zestawu anten, około dwunastu wież czterystumetrowej wysokości każda, które pobierają tyle prądu, że potrzebują własnej elektrowni. Na Wschodnim Wybrzeżu USA są tylko dwie stacje nadawcze ELF - jedna w Annapolis, a druga w Cutler, w stanie Maine; obie służą do porozumiewania się z okrętami podwodnymi. Z pozoru możliwość porozumiewania się z zanurzonym okrętem wydaje się wielkim udogodnieniem, jeśli nawet wymaga tak skomplikowanych i kosztownych urządzeń, jednak w rzeczywistości

szybkość transmisji danych za pomocą ELF jest bardzo niska - przekazanie zaledwie jednej litery czy cyfry zajmuje aż dwadzieścia minut. Dlatego systemu ELF używa się tylko do wywoływania okrętów podwodnych za pomocą ustalonego z góry tajnego kodu wywoławczego złożonego z zaledwie dwóch liter lub cyfr. Wywołany okręt wynurza się następnie na głębokość peryskopową, na której może wysunąć antenę HDR bądź peryskop - który jednocześnie także stanowi antenę - i porozumiewać się za pośrednictwem satelity na zwykłych częstotliwościach radiowych, z dużą szybkością transmisji.

Jednak wynurzenie się na głębokość peryskopową pod huraganem piątej kategorii, tak silnym, że kołysał okrętem zanurzonym trzysta metrów pod powierzchnią wody, było ryzykownym manewrem. Dowództwo, czyli ComSubLant, mogło tego zażądać tylko z powodu jakiejś nagłej, nie cierpiącej zwłoki sytuacji. Pewnie tajemnicza misja EastLant komandora Krafta stała się rzeczywistością.

- Mostek, tu radio, odebraliśmy drugą literę naszego kodu wywoławczego - odezwał się tymczasem radiooperator. - Zalecam wynurzenie na głębokość peryskopową.

- Potwierdzam - odpowiedział Selles. - Panie kapitanie, mamy rozkaz wynurzyć się na głębokość peryskopową. Przy takim stanie morza! Będziemy podskakiwać jak korek w shakerze.

Diłlinger zmarszczył brwi. Komandor Kraft naprawdę to zrobił! Zadanie, jakie miał do wykonania „Hampton”, wymaga wynurzenia okrętu pomimo szalejącego huraganu...

- Oficer dyżurny, włączyć alarm kolizyjny i zabezpieczyć okręt - polecił.

Ten alarm postawi na nogi załogę - śpiący zerwą się z koi, podłączą się do interkomów i będą gotowi na wszystko. Wysokość fal sięgała pewnie połowy długości okrętu. Diłlinger nie był nawet pewien, czy zdoła porozumieć się przez radio z dowództwem, ponieważ antena będzie zalewana wodą. Jeśli jednak działo się coś tak ważnego, że kazano im się wynurzyć na głębokość peryskopową, to znaczy, że uznano, iż należy zaryzykować uszkodzenie okrętu.

- Tak jest! - potwierdził odebranie rozkazu Selles. - Bosmanie, uruchomić alarm kolizyjny i zabezpieczyć okręt.

W głośniku systemu 1MC odezwał się głos dyżurnego bosmana:

- Zabezpieczyć okręt! - Jednocześnie na całym okręcie rozległo się wycie alarmu, któremu towarzyszyły błyski czerwonych świateł ostrzegawczych. Bosman powtórzył rozkaz po raz drugi.

Teraz Dillinger sięgnął do sufitu po mikrofon i oznajmił całej załodze:

- Uwaga załoga, mówi kapitan. Właśnie odebraliśmy rozkaz wynurzenia się na głębokość peryskopową pomimo szalejącego na powierzchni huraganu. Musimy odebrać jakiś pilny komunikat, jednak wynurzenie w tych warunkach oznacza dla okrętu ryzyko. Niech każdy sprawdzi osobisty ekwipunek i przygotuje się na huraganowy stan morza. Oddział pomocy medycznej, przejść do mesy załogi i czekać w pogotowiu.

Stanowiska bojowe, zameldować się w sterówce. Wykonać! - Odwiesił mikrofon.

Tymczasem do sterówki wpadł Flood, zapinając kombinezon. Spojrzał na Dillingera znacząco, a ten odpowiedział mu takim samym spojrzeniem.

- Obsadzić stanowiska bojowe - rozkazał.

- Tak jest! - odparł Selles.

Do sterówki wszedł kapitan Eddie Scottson, przecierając zaspane oczy. Pełnił funkcję asystenta kontroli uszkodzeń, był jednym z najważniejszych ludzi pierwszego mechanika. Odpowiadał za złożone systemy zajmujące przedział sąsiadujący z reaktorem, a także, jak wskazywała nazwa jego funkcji, za opanowywanie sytuacji w razie uszkodzeń okrętu. Był starszy niż większość oficerów w stopniu kapitana; początkowo służył na okrętach nawodnych jako zwykły marynarz, ale w nagrodę za wzorową służbę przeszkolono go na oficera.

- Dzień dobry, kapitanie - mruknął do Dillingera, kiwając głową.

Po chwili Scottson i Selles naradzali się już po drugiej stronie mostka; Selles podszedł do Dillingera i powiedział:

- Panie kapitanie, zdałem wachtę oficera dyżurnego Eddiemu Scottsonowi. Zanurzenie trzysta metrów, kurs na wschód, jedna trzecia naprzód, płyniemy na silnikach głównych, główne pompy systemu chłodzenia pracują na wolnych obrotach.

- Dziękuję - odebrał meldunek Dillinger.

- Ster, szef załogi! - zawołał Scottson. - Mówi kapitan Scottson, przejąłem mostek!

- Tak jest! - odpowiedział sternik.

- Tak jest! - dorzucił Anderson.

- Panie kapitanie, proszę o zezwolenie na zmniejszenie zanurzenia. Dillinger pokręcił głową.

- Nie ma sensu nawiązywać łączności na pięćdziesięciu metrach, bo nie usłyszymy nic poza szumem wody. Zerknąć w tył na głębinię i natychmiast wyjść na głębokość peryskopową. Osiem węzłów, stromy kąt. Proszę użyć peryskopu z osiemnastokrotnym obiektywem, tylko ostrożnie, żeby nie zerwały go fale. Jeśli tak się stanie, przez otwór może nas zalać woda. I nie ryzykujemy wysuwania masztu z HDR. Postawmy BRA-34, najwyżej go stracimy. Zrozumiano?

- Tak jest - odpowiedział Scottson. - Uwaga sterówka, radio i sonar! - zawołał. - Chcę zerknąć w tył na głębinię, a potem natychmiast wyjść na głębokość peryskopową, żeby nie hałasować tuż pod powierzchnią. Kiedy wyrównamy, wysuniemy BRA-34 i odbierzemy komunikat, a potem zejdziemy z powrotem w głębinię.

- Tak jest, mostek, tu sonar - odezwał się głośnik.

- Tak jest, mostek, tu radio.

- Sonar, meldować wszystkie namierzone obiekty - rozkazał Scottson, wpatrując się w ekran sonaru. Czuł się jak przy włączonym telewizorze nieodbierającym żadnego sygnału; tylko śnieżyło. Szalejące w górze fale powodowały takie zakłócenia, że nic nie było widać.

- Mostek, tu sonar, nie odbieram żadnych sygnałów - usłyszał.

- Rozumiem, sonar; zerkniemy w tył przez prawą. Ster, prawa na burt, cała naprzód, trzymać kurs dwa siedem zero.

- Ster prawo na burt, cała naprzód, trzymać kurs dwa siedem zero - odezwał się jak echo głos sternika. - Tu sternik, jest prawo na burt, maszynownia melduje całą naprzód.

Okręt zaczął powoli skręcać.

- Mijamy kurs na południe, sir - zameldował sternik.

- Dobrze - potwierdził Scottson. „Zerknąć w tył” oznaczało wykonać zwrot, aby sferyczna antena sonaru BQQ-5 mogła odebrać echo z obszaru dotąd znajdującego się za śrubą i stanowiącego martwe pole. Ciągnięta przez okręt antena hydrofonu, przypominająca długi kabel,

zaczęła skręcać za „Hamptonem”. Ów stalowy kabel miał półtora kilometra długości i rejestrował wyższe częstotliwości. Śledził także obszar za okrętem, ale mógł nie wykryć sygnału o niskiej częstotliwości.

Dillinger pomyślał właśnie o ciągniętej antenie i uświadomił sobie, że na głębokości peryskopowej fale mogą ją zerwać.

- Oficerze dyżurny, po opróżnieniu zbiorników balastowych, przed wynurzeniem, proszę schować ciągniętą antenę.

Scotsson zmarszczył brwi, skoro komandor kazał schować antenę, oznaczało to, że na górze morze naprawdę szalało.

Burke rozejrzał się po sterówce. Poczul się nagle tak samo jak w domu, w sypialni, kiedy przed wyjściem zastanawiał się, co z tego zostanie po przejściu huraganu.

- Mijamy kurs dwa sześć zero, dziesięć stopni do zleconego kursu - zameldował sternik.

- Dobrze.

- Ustabilizowany kurs dwa siedem zero.

- Dobrze. Sonar, tu mostek, kurs prosto na zachód, melduj wszystkie obiekty.

- Tak jest.

Nastała chwila ciszy. Dillinger patrzył na podwójny ekran sonaru, jednak widać było na nim tylko takie same jak wcześniej zakłócenia.

- Mostek, tu sonar, żadnych obiektów.

- Dobrze - potwierdził Scottson. - Sonar, tu mostek, chowamy ciągniętą antenę. Bosman, wykonać.

Bosman potwierdził odebranie rozkazu, po czym przesunął dźwignię umieszczoną w górnej tylnej części pionowego panelu stanowiska sterowania balastem.

- Antena ciągnięta chowa się - zameldował, obserwując nadal wskaźnik stanu anteny. - Antena schowana.

Scottson wziął głęboki oddech.

- Uwaga sterówka, radio i sonar, wychodzimy na głębokość peryskopową. Ster, dwie trzecie naprzód. Oficer zanurzenia, podnieść okręt na głębokość dwudziestu metrów, stromy kąt. - Sięgnął po mikrofon 7MC. System ten łączył głosowo sterówkę z przedziałem manewrowania. - Tu mostek, zygzakuj do ośmiu węzłów.

- Jest, zygzakować do ośmiu węzłów. Chodziło o to, by okręt zwolnił.

- Dziobowy ster poziomy dziesięć stopni w górę - zameldował Kenderson, oficer zanurzenia. - Rufowy ster poziomy, dwadzieścia stopni w górę.

Pokład zaczął powoli się przechylać. Dillinger złapał się poręczy obok peryskopu i obserwował wskazania głębokościomierza.

- Dwieście siedemdziesiąt metrów, sir - zameldował Kenderson. Pokład przechylał się coraz bardziej. Stojący za peryskopem numer 2 Scottson zaparł się, aby się nie przewrócić.

- Dwieście dziesięć metrów, sir.

Przechyły boczne wzmogły się, przekraczały dziesięć stopni, zwłaszcza te na prawą burtę, fale nacierały z południa. Dillinger zaczął już odczuwać zawroty głowy.

- Sto osiemdziesiąt metrów. Chwila pełnej napięcia ciszy.

- Sto pięćdziesiąt metrów - zameldował Kenderson. - Sto dwadzieścia. Bosmanie, podaj przechył podłużny.

- Trzydzieści procent.

- Dziewięćdziesiąt metrów. Ster rufowy, zmniejszyć do piętnastu stopni, ster dziobowy, pięć w górę. Głębokość sześćdziesiąt. Ster rufowy, pięć w górę. Czterdzieści pięć metrów, sir.

Pokład przechylał się coraz bardziej na lewą burtę, dochodząc aż do dwudziestu stopni, potem nagle ruszył gwałtownie w przeciwną stronę i przechylił się o całe dwadzieścia dwa stopnie. Zza przegrody doleciało głucho uderzenie, ktoś musiał się przewrócić.

- Podnosić dalej - rozkazał Scottson. - Wysuwam peryskop numer 2.

- Trzydzieści metrów, sir; prędkość osiem węzłów. Dwadzieścia siedem metrów. Ster dziobowy, zwiększyć do dziesięciu stopni.

Cyfrowy głębokościomierz pokazał nagle trzydzieści trzy metry zanurzenia, a chwilę potem dwadzieścia cztery.

- Głębokościomierz niestabilny, będę podawał z zapasowego. Dwadzieścia cztery metry.

Pokład przechylał się na boki, ale dziób cały czas był skierowany w górę; nagle gwałtownie opadł w dół. Dillinger z całych sił chwycił się poręczy, aż zbieleły mu kostki dłoni. Pokład pochylił się stromo w dół.

- Czterdzieści osiem metrów, straciłem kontrolę nad zanurzeniem - zameldował Kenderson, jakby inni tego nie wiedzieli.

- Spróbuj jeszcze raz - rozkazał cierpliwym tonem Scottson. Burke spojrział na ekran pokazujący obraz z kamery peryskopu, ale na razie nic nie było widać, peryskop znajdował się zbyt głęboko pod powierzchnią wody. Kenderson powstrzymał zanurzanie się okrętu i spróbował podejść do powierzchni po raz drugi.

- Ster dziobowy dwadzieścia stopni w górę, pokład dziesięć stopni w górę - odezwał się ponownie.

Okręt kołysał się, Kenderson podawał zmieniające się nierównomiernie odczyty głębokościomierza; dziób uniósł się i „Hampton” znowu zbliżał się do powierzchni. Tym razem za bardzo się wynurzyli.

- Utrata kontroli zanurzenia! Przebijamy powierzchnię! - zameldował Kenderson.

Dillinger wpatrywał się z natężeniem w ekran peryskopu. Czerń ustąpiła w jednej chwili widokowi morza z dużej wysokości. Dziób okrętu opadł w dół, na ekranie pojawiła się olbrzymia fala, na której widok komandor zamarł ze strachu. Nawet oglądając ją na niewielkim monitorze, zdołał ocenić, że miała około dwudziestu metrów wysokości; przysłaniała teraz całkowicie widok. Tymczasem pokład wciąż przechylał się w dół. Ściana wody zbliżała się, a potem rozległ się głuchy huk i okręt, dygocząc, szarpnął się gwałtownie na prawą burtę; jednocześnie dziób zanurzył się szybko jeszcze głębiej.

- Sześćdziesiąt metrów, sir! - zameldował Kenderson, zły na siebie, że nie potrafił ustabilizować zanurzenia okrętu. Nie była to jednak jego wina przy takim stanie morza. Żołądek Dillingera wykonywał dziwne ewolucje, ale uratowało go to, że nie jadł kolacji. Jakoś opanował mdłości.

- Przejmuję mostek! - rzucił. - Sterówka, uwaga! Wynurzyć okręt ze schowanym peryskopem i wysuniętym BRA-34. To pozwoli nam na osiągnięcie większej prędkości.

- Szeffie załogi! - zawołał Scottson, opuszczając peryskop - kapitan przejmuje mostek, ja pozostaję w pogotowiu. Opuszczam peryskop numer dwa.

Burke wszedł na mostek, trzymając się mocno poręczy. Stał przy peryskopach.

- Radio, sonar, przygotować się do awaryjnego wynurzenia! - rozkazał. - Radio, melduj, kiedy tylko BRA-34 odbierze komunikat!

- Tak jest!

Dillinger wziął głęboki oddech, podobnie jak wcześniej Scottson.

- Bosmanie, wysuń BRA-34 półtora metra ponad kiosk.

Rozległ się odgłos hydrauliki i maszt radiowy przesunął się nieco w górę.

- BRA-34 półtora metra nad kioskiem, sir.

- Ster, cała naprzód! Bosmanie, awaryjnie opróżnić balast dziobowy! Martinez z przerażenia zrobił wielkie oczy, ale wstał, trzymając się poręczy, i chwycił błyszczącą stalową dźwignię ponad panelem jego stanowiska.

- Jest, awaryjne opróżnienie balastu dziobowego! - Odblokował dźwignię i pchnął ją zdecydowanym ruchem.

Rozległ się szcęk, a potem sterówkę wypełnił ryk przepływającego rurami sprężonego powietrza i uchodzącej wody. Po dwóch sekundach zimna biała mgła wypełniła sterówkę do tego stopnia, że Dillinger nie widział Kendersona ani sternika.

Tymczasem sprężone pod bardzo wysokim ciśnieniem powietrze w butlach systemu awaryjnego wynurzenia przedostawało się przez dwa dwudziestocentymetrowe zawory kulowe do dziobowych zbiorników balastowych, wypychając z nich wodę, która wypłynęła przez otwory w dnie okrętu, dzięki czemu stał się lżejszy o setki ton. Wydajność systemu była tak duża, żeby uratować okręt w przypadku zalania jego wnętrza

nawet na głębokości testowej. Zatem tuż pod powierzchnią, gdzie ciśnienie jest nieporównanie niższe, system zadziałał błyskawicznie. Już po trzech sekundach dziobowe zbiorniki balastowe były puste.

- Bosman, awaryjnie opróżnić zbiorniki rufowe! - zawołał Dillinger, przekrzykując łoskot.

Z mgły doleciał głos Martineza powtarzającego wydany rozkaz. Nie było widać, co robi, ale po chwili rozległ się ryk od strony opróżniających się rufowych zbiorników balastowych.

- Zamknąć zawory dziobowe! - rozkazał komandor. Odliczył w myśli do dziesięciu. - Zamknąć zawory rufowe!

Teraz dał się słyszeć odgłos alarmu wynurzeniowego.

- Wynurzenie, wynurzenie, wynurzenie! - trzykrotnie ostrzegł przez głośniki Martinez.

- Przebiliśmy powierzchnię! - zameldował Kenderson, który pojawił się z powrotem we mgle.

Przechył boczny stał się niepokojąco duży, rósł ciągle; Dillinger już myślał z przerażeniem, że okręt przewróci się do góry dnem. Pokład stał się ścianą, w dole była burta. Obok głowy komandora przeleciało coś ciężkiego, uderzyło w głębokościomierz... to była gruba instrukcja obsługi, która jakimś sposobem wypadła z zaryglowanego regału. Rozległy się krzyki dwóch mężczyzn, po czym ktoś przeleciał obok Burke'a tą samą drogą co instrukcja. Zderzenie człowieka z uszkodzoną już konsolą głębokościomierza nie było przyjemne, rozległ się przerażający trzask pękającej kości.

Przechył przestał się pogłębiać, ale i nie zmniejszał się, obrócony o sześćdziesiąt stopni okręt zaczął teraz dodatkowo przechylać się dziobem do góry. Kolejni członkowie załogi spadali w kąt, przechył wzdłużny osiągnął po chwili czterdzieści stopni. Wszystko, co nie było trwale przymocowane do pokładu, spadło tam, gdzie ludzie. Dillinger zwiślał z poręczy pod dziwnym kątem. Ciężkie stalowe pokrętło zaworu, umocowane klamrami do ściany, zerwało się i z prędkością rakiety pomknęło w jego stronę. Uderzyło z ogłuszającym brzękiem w peryskop, a potem spadło niżej; natychmiast rozległ się krzyk bólu.

- Jezus Maria! - krzyknął ktoś. - Murphy jest ciężko ranny!

Pokład szarpnął się nagle w prawo; leżący na lewej ścianie ludzie przetoczyli się na prawą. Dziób wciąż znajdował się tak wysoko, że Dillinger zastanawiał się, czy nie puszczać śruby trzymające fotel oficera zanurzenia, gdyby tak się stało, Kenderson razem z fotelem spadłby prosto na niego.

- Awaryjne wyłączenie reaktora! - rozległ się głos gdzieś ze ściany, która niedawno była sufitem.

- O kurwa! - zaklął ktoś, po czym rozległ się odgłos zatrzymującego się systemu wymiany powietrza. Tymczasem pokład znowu zaczął przechylać się z prawej na lewo.

Reaktor nie działał, bez niego odzyskanie sterowności okrętu było niemożliwe. Trzeba było zejść z powrotem w głębinę.

- Maszyna stop! - zawołał Dillinger.

- Okręt wciąż wynurzony! - zameldował Kenderson.

- Tu radio do mostka, odebraliśmy komunikat, opuszczam BRA-34! - zawołał z głośnika chrapliwy głos radiooperatora.

- Tu mostek, przejść na napęd zapasowy! - krzyknął Burke. - Meldować stan gotowości do manewrowania!

Pokład szarpnął się teraz tak, że nogi Dillingera przeleciały pomiędzy peryskopami w stronę biurka na przedniej ścianie mostka. Zdążył chwycić się przechylonego blatu, dzięki czemu nie uderzył w niego głową. Kątem oka widział spadające przedmioty i ludzi. Odruchowo zamknął oczy, nie chcąc oglądać rozgrywającej się tragedii; dowodził jednak okrętem, nie mógł okazywać słabości. Otworzył oczy z powrotem i zobaczył nagle wskazanie głębokościomierza, osiemdziesiąt siedem metrów. Jakim cudem znaleźli się nagle na tak dużej głębokości?

Podniósł się, stwierdzając, że pokład jest teraz opadającą ku niemu pochylnią.

- Meldować przechył wzdłużny! - zawołał, nie widząc przyrządów za plecami Kendersona.

- Pięćdziesiąt stopni w dół, panie kapitanie! - zawołał oficer zanurzenia. - Głębokość sto piętnaście!

Burke spróbował odszukać mikrofon systemu 7MC.

- Co z napędem?! - zawołał.

Puścił mikrofon, który zwiślał teraz na przewodzie niemal równolegle do pokładu. Okręt gwałtownie zanurzał się, dziobem w dół.

- Mostek, silnik zapasowy gotów do manewrowania! - odezwał się głośnik.

- Cała wstecz! - krzyknął Dillinger.
- Sto trzydzieści metrów! - powiadomił Kenderson. - Zanurzamy się dalej!
- Bosman, zalać tylne zbiorniki, awaryjnie opróżnić przednie! - rozkazywał komandor.
- Zalewam tylne, opróżniam przednie! - krzyknął Martinez. Znowu zagłuszył wszystko ryk sprężonego powietrza i wody.
- Dwieście metrów! Dwieście trzydzieści! - wołał Kenderson. - Przechył sześćdziesiąt stopni w dół!

Zanurzali się pod kątem sześćdziesięciu stopni, zbliżając się do głębokości, przy której „Hampton” zostanie zmiażdżony, a w butlach zbiorników balastowych zaczyna brakować powietrza!

Dziób coraz bardziej kierował się w stronę morskiego dna. Przednia ściana sterówki zmieniła się w pokład.

- Panie kapitanie... - zawołał drżącym głosem oficer zanurzenia - przechył siedemdziesiąt stopni w dół!

Matko Boska! - pomyślał bliski paniki Dillinger. Idziemy pionowo na dno!

- Trzysta sześćdziesiąt metrów, sir! - ostrzegł Kenderson. - Trzysta dziewięćdziesiąt... Kapitanie, głębokość testowa; zanurzamy się pod kątem siedemdziesięciu stopni!

Można by wykorzystać reaktor... Przed pięćdziesięciu laty USS „Tresher” zatonął, ponieważ podczas awaryjnego zalania zbiorników załoga postępowała zgodnie z procedurami i wyłączyła cały obwód pary, kiedy nastąpiło wyłączenie reaktora. Może i ocalili w ten sposób reaktor, ale zginęli, bo okręt zatonął. Chodziło o to, że jeśli przy wyłączonym reaktorze wypuści się zbyt wiele pary z kotłów, woda krążąca pod ciśnieniem w obwodzie chłodzącym reaktora wystygnie na tyle, że ponowne uruchomienie reaktora stanie się już niemożliwe; jeśli jednak uruchomi się on z powrotem samoczynnie, niekontrolowana reakcja wyzwoli olbrzymią ilość energii i wytworzy nagle tyle pary, iż jej ciśnienie rozerwie kadłub okrętu. Inżynierowie nazywali to „wypadkiem zimnej wody”; jednak załogi okrętów o napędzie atomowym nazywali to prościej: wybuch reaktora. Zanim jednak doszłoby do wybuchu, Dillinger przez kilka sekund mógłby dysponować potężną mocą cieplną wyzwoloną przez reaktor, i ocalić okręt, powstrzymując jego dalsze opadanie w głębinę. Silnik zapasowy był na to za słaby. Choć, z drugiej strony, przestawienie napędu z powrotem na silniki główne musiało potrwać parę minut, zbyt długo. Nie mówiąc już o tym, że aby dostać się do

panelu sterowania napędem, załoga maszynowni musiałaby wspiąć się po pionowej ścianie, w jaką zmienił się pokład. No i po wyłączeniu silnika zapasowego przez jakiś czas śruba już wcale nie ciągnęłaby okrętu w górę.

To koniec! - stwierdził Burke. Za kilka minut umrę. Dziś, w środe rano, przed śniadaniem, przed kawą, nie wzięwszy nawet prysznic, znajdę się w stalowej trumnie, zmiądzony tonami wody. A mój okręt tonie dlatego, że popełniłem błąd i posłuchałem idiotycznego rozkazu wynurzenia się na głębokość peryskopową podczas huraganu piątej kategorii. Rozkaz wydał jakiś szaleniec, ale to przeze mnie moja żona będzie wdową, a dziecko, sierotą. Każdy inny mąż zdecydowałby, że lepiej, żeby dowódca operacji kazał mu wracać, a potem...

- Podać głębokość i kąt zanurzenia! - krzyknął Dillinger, przerywając bieg chaotycznych myśli.

- Czteryście dwadzieścia metrów, jeszcze trzydzieści i osiągniemy głębokość zgniotu kadłuba! Kąt sześćdziesiąt pięć stopni, sir!
Zaraz... Kąt zmalał. Przystajemy się zanurzać.

- Sześćdziesiąt stopni, sir!

Burke czekał, odmawiając po kolei wszystkie modlitwy, jakie znał.

- Czteryście pięć metrów zanurzenia i kąt pięćdziesiąt pięć stopni.

Teraz sam mógł spojrzeć na wskazania głębokościomierza. Zacisnął usta aż do krwi.

- Mostek - odezwał się z głośnika systemu 7MC głos Schlussa - krytyczna moc reaktora!

Świetnie! - pomyślał Dillinger. Za kilka minut Schluss będzie mógł z powrotem włączyć silniki główne.

- Trzysta dziewięćdziesiąt metrów, przechył dziobu w dół czterdzieści siedem stopni! - meldował podekscytowany Kenderson. - Panie kapitanie, idziemy w górę!

Rozległy się radosne okrzyki załogi. Burke'owi szumiało w głowie tak, że wszystko odbierał, jakby działo się to w zwolnionym tempie. Ledwie usłyszał dobywający się gdzieś z dołu głos: „Kapitan uratował okręt!” Stopniowo do jego świadomości dotarło, że to o nim mówią. Udało się! - pomyślał. Będziemy żyli! Czy to modlitwy uratowały „Hamptona”, czy też jego rozkazy wydawane pod wpływem instynktu doświadczonego oficera. Nie było wątpliwości, że skoro przechył na dziób maleje, będą wynurzać się coraz bardziej dzięki powietrzu wypełniającemu dziobowe zbiorniki balastowe.

- Bosmanie - odezwał się pewnym głosem - zamknąć zawory przednich zbiorników awaryjnych i zalać główne dziobowe zbiorniki balastowe!

- Głębokość trzysta siedemdziesiąt pięć, dziób dziesięć stopni w dół - zameldował Kenderson.

- Reaktor osiągnął moc napędową, generatory pracują pełną mocą, zalecam przełączenie napędu na silniki główne! - odezwał się z głośnika Schluss, a w jego głosie słychać było dumę i ulgę.

- Ster, maszyna stop - rzucił Dillinger. - Przełączyć napęd na silniki główne!

- Głębokość trzysta sześćdziesiąt, dziób pięć stopni w dół - meldował cały czas Kenderson.

- Sir, mamy rannych w sterówce - odezwał się cicho Eddie Scottson. - Potrzebny natychmiast sanitariusz.

- Wezwij go przez 1MC - polecił Burke.

- Trzysta trzydzieści metrów, dziób wypoziomował i idzie w górę.

- Napęd przełączony na silniki główne, gotów do manewrowania! - zameldował Schluss.

- Ster, cała naprzód. Oficer zanurzenia, odzyskaj kontrolę nad zanurzeniem i ustal na trzysta metrów.

- Odzyskać kontrolę nad zanurzeniem, ustalić na trzysta metrów - odpowiedział Kenderson takim tonem, jakby nie zdarzyła się żadna niebezpieczna sytuacja. Jednak jego włosy były tak mokre od potu jak po wyjściu z wody.

- Sanitariusz, zamelduj się w sterówce! - rozkazał Scottson.

Burke Dillinger wziął głęboki oddech. Rozejrzył się i zobaczył na pokładzie krew, mnóstwo krwi; wyglądało to tak, jakby ktoś rozlał w tylnej części sterówki ze trzy puszki farby. W jej kałuży leżał bosman Dick Murphy, dyżurny technik kierowania ogniem, z okropną raną na czole. Nieopodal jego głowy leżało pokrętko zaworu pokładowego systemu wymiany powietrza, które zerwało się z zamocowania podczas przechyłu.

- Zanurzenie ustabilizowane, trzysta metrów, pokład poziomo, sir - zameldował Kenderson.

Okręt wciąż lekko kołysał się na boki z powodu szalejących na powierzchni fal.

Burke przetarł oczy. Przeżyli, będą mogli opowiadać innym o tym, co się działo, ale żeby zacząć rejs od czegoś takiego! Kręciło mu się w głowie; spoglądał na zajmującego się Murphym sanitariusza. W sterówce byli też inni ranni. Człowiek, który rozkazał im się wynurzyć podczas tak potężnego huraganu, naprawdę musiał mieć do przekazania pilną wiadomość.

- Radio, tu mostek, czy odebrałeś wiadomość dla nas? - upewnił się Burke.

- Radio do mostka, odebrałem - potwierdził przez głośnik radiooperator. - Mamy jedną pilną wiadomość do rąk własnych dowódcy okrętu.

- Dobrze. Panie Scottson, proszę przejść mostek - polecił Dillinger. - Niech pan zbierze ze wszystkich stanowisk raporty o uszkodzeniach i rannych. - Zszedł z mostku i podszedł do stołu nawigacyjnego, gdzie leżał Dick Murphy; w tej chwili jego głowa była owinięta przesiąkniętym krwią bandażem. - Bardzo z nim źle? - spytał sanitariusza Burke.

Pokładowy sanitariusz, w Stanach Zjednoczonych sanitariusze pełnią też rolę lekarzy, bosman sztabowy Phelps Navone, wyprostował się i pozwolił komandorowi podejść bliżej, po czym szepnął mu do ucha:

- Trzeba przewieźć go do szpitala. Ma złamanie czaszki i poważny uraz mózgu. Tutaj może już nigdy nie odzyskać przytomności. Ja nie jestem w stanie mu pomóc. Niewykluczone, że umrze.

Dillinger zmrużył oczy, wpatrując się w sanitariusza. Navone wcześniej służył na okrętach nawodnych, był krępy, niskim, zdecydowanym mężczyzną; zawsze chodził bardzo krótko ostrzyżony. Postanowił przejść do floty podwodnej i szkolił się w tym celu z takim zapalem, jakby zależało od tego jego życie; pukał do kapitańskich kajut nawet w nocy, żeby uzyskać podpis pod rekomendacją. Może był trochę dziwny, ale wyglądał na dobrego sanitariusza. Chociaż Burke jeszcze nie miał okazji obserwować, jak Navone radzi sobie z trudnym przypadkiem.

- Nie możemy znowu się wynurzyć przy takim stanie morza - powiedział komandor. - Moglibyśmy mieć potem więcej rannych.

- Może wypuściłby pan boję SLOT, panie kapitanie - zaproponował Navone. - Trzeba przekazać dowództwu eskadry, że potrzebny nam śmigłowiec ratunkowy.

Odezwał się telefon na stanowisku bosmana. Bosman odebrał go, po czym zwrócił się do sanitariusza:

- Dyżurny mechanik zgłasza dwóch poważnie rannych w górnym przedziale rufowym, prosi, żeby pan tam przyszedł.

Navone wybiegł ze sterówki akurat wówczas, kiedy wszedł tu radiooperator. Podał notatnik Dillingerowi. Komandor przeczytał wiadomość. Była krótka, konkretna, dokładnie taka, jak myślał - nadszedł rozkaz operacyjny zmiany kursu na taki, na którym prawdopodobnie mieli napotkać przeciwnika. Rozkazano też potwierdzać odbiór wiadomości za pomocą boi nadawczych SLOT. Nazwa SLOT była skrótem od *Submarine-Launched-One-Way-Transmitter*, czyli Jednokierunkowy nadajnik wyrzucany z okrętu podwodnego”. Boja SLOT przypomina rozmiarem i kształtem kij baseballowy; w grywa się do niej wiadomość, a następnie wyrzuca się ją z wyrzutni boi sygnałowych przypominającej małą wyrzutnię torpedową. USS „Hampton” miał dwie takie wyrzutnie, jedną w przedziale rufowym, drugą w dziobowym. Boja wypływa na powierzchnię morza z wystającą z wody anteną, po czym wiadomość zostaje przekazana za pośrednictwem satelity. Antena boi działa kierunkowo, dzięki czemu jej sygnału raczej nie da się wykryć. Okręt nie zdradza swojej pozycji, używając SLOT. Dillinger mógł dołączyć do wiadomości informację o stanie rannych i prośbę o śmigłowiec ratunkowy. Najpierw chciał się jednak upewnić, czy sanitariusz pod wpływem emocji nie przesadził z diagnozą.

- Dyżurny, przyślij nawigatora i pierwszego oficera do mojej kajuty - polecił. - Kiedy sanitariusz skończy opatrywać rannych na rufie, proszę i jego tu przysłać, żeby zameldował nam o sytuacji. Radio niech przygotuje boję SLOT.

Po tych słowach Burke wyszedł ze sterówki i schował się na chwilę w swojej kabinie. Opadł na kapitański fotel i oparł głowę na dłoniach. Jeszcze kilkanaście sekund i osiągnęlibyśmy głębokość, na której by nas zmiażdżyło!... - myślał. Nie wolno jednak tego zbyt długo rozpamiętywać. Popatrzył na kombinezon i przekonał się, że jest mokry od potu. Ładny początek operacji, cholera jasna! I to operacji na niby.

5

- Obudź się, dupku - odezwał się Emile Everard zjadliwym tonem. - Furgonetka będzie tu za dziewiętnaście minut. Nawet pieprzonego samochodu nie umiesz prowadzić, a co dopiero ważącą czternaście tysięcy ton łódź podwodną. - Everard otworzył drzwi, wyciągnął rękę po worek marynarski kolegi i rzucił go przez pokój. Worek trafił powyżej poduszki, na której, mimo komunikatu Everarda, Jacques Legard spał snem sprawiedliwego. Coś poruszyło się pod kołdrą, po czym ukazała się spod niej piękna kobieta, która usiadła na łóżku.

- O, cześć, Aurelie! - powiedział Everard słodkim głosem, szybko przytomniejąc. Nawet uklonił się lekko w progu drzwi pokoju Legarda. Dziewczyna odsunęła kruczoczarne włosy z oczu i mruknęła mu coś niewyraźnie.

- Czy jest tu może Jacques? - spytał Everard, gdy głowa kobiety znowu opadła na poduszkę.

- Mhm - jęknęła Aurelie, wskazując ręką łazienkę. Zawsze tak było, następnego ranka, po dwóch butelkach wina, do niczego się nie nadawała. Najśmieszniejsze, że Everard użył wina, żeby namówić ją do seksu, aleją tylko to uśpiło.

- Jacques! - zawołał Everard w stronę drzwi łazienki.

- Co? - odezwał się z tamtej strony słaby głos. Everardowi zdało się, że słyszy odgłos wymiotowania.

- Jezu, Jacques, za siedemnaście minut wyjeżdżamy na statek! Rusz tylek, do cholery! Przez ciebie Rhino straci reputację, a nikomu nie wolno robić z niego idioty. Nikt nie przeżyje, żeby móc opowiedzieć o tym innym.

- Już wychodzę. - Teraz to na pewno był odgłos wymiotowania, potem zabulgotała spłuczka. Drzwi otworzyły się i z łazienki wyszedł Jacques Legard. Miał na sobie idealnie wykrochmalone białe spodnie, baretki odznaczeń perfekcyjnie wypoziomowane, a insygnia sił podwodnych tak wypolerowane, że aż błyszczały. Porucznik Jacques Legard był dwudziestosześcioletnim paryżaninem średniego wzrostu i dość

drobnej budowy, ostrzyżonym na krótko brunetem o całkiem przeciętnym wyglądzie. Miał piwne oczy, świdrujące spojrzenie i bladą cerę. Mimo niepozornej urody dostał chyba od Boga księgę kodów do odpalania kobiet i z zapalem z niej korzystał. Rzadko się zdarzało, żeby dwa razy ta sama lądowała w jego łóżku, a jeszcze rzadziej, że noc na łądzie spędzał sam.

Legard żartobliwie zasalutował. Jego oczy błyszczały jak stal, mimo że były trochę podkrążone. Minął Everarda po drodze do swojego pokoju i zatrzasnął drzwi.

- A niech cię, Jacques! - Everard krzyknął przez drzwi - może byś tak zwrócił uwagę na to, że jest jeszcze dwadzieścia osiem milionów pięknych, niezamężnych Francuzek i trzymał swojego fiuta z dala od mojej dziewczyny?

- Ona nigdy nie była twoja - odparł stłumionym głosem Legard.

- Nie pierdol! - Everard podniósł głos. - Miałem ją prosić o rękę... Wtedy drzwi otworzyły się z trzaskiem i Legard wszedł z pokoju z naj- obojętniejszą na świecie miną. Everard darł się dalej na temat małżeństwa, gdy zza jego pleców ukazała się rozebrana do naga Aurelie. Piękna jak bogini, uśmiechnęła się.

- Czemu krzyczysz, Emile? - powiedziała rozkosznym głosem. - Nic mi o tym nie mówiłeś. Czy to oświadczyny?

Everard pokręcił głową i uniósł ręce ze złości.

- Pieprzony dzień wyjazdu! - krzyknął w stronę sufitu. - Zawsze jest do dupy! - Skierował się do drzwi zajmowanego wspólnie z Legardem mieszkania. Jacques już na niego czekał.

Lieutenant de Vaisseau Emile Everard służył na pokładzie okrętu podwodnego „Le Vigilant”. Zgłosił się do stoczni w Cherbourgu na tydzień przed Legardem. Był od niego o rok starszy, ukończył Ecole Navale rok wcześniej, ale przed zgłoszeniem się na szkolenie nuklearne pojechał na rok do Oksfordu, by tam zdobyć dyplom studiów magisterskich. Mimo że był starszy wiekiem i stopniem od Legarda, pewność siebie młodszego oficera bez przerwy go irytowała. Właśnie ta pewność siebie przyciągała do łóżka każdą kobietę, jaka znalazła się w zasięgu głosu Legarda. Śmieszne, Emile gotował się ze złości, bo Jacques wyglądał na przeciętniaka, podczas gdy on był słusznego wzrostu, szczupły, umięśniony, miał męską twarz, jasnobłękitne oczy i blond włosy. Kiedyś dostał propozycję pozowania dla magazynu „Mariné Nationale”. Raz

nawet zmierzył swój organ płciowy i dokuczał Legardowi tak długo, aż ten zrobił to samo. Także i w tej kategorii Emile rozłożył Jacques'a. Ale dziwnym trafem Jacques'owi nigdy nie brakło dziewczyn, podczas gdy Everard był wiecznie sam, co doprowadzało go do skrajnej frustracji.

- Nie masz w sobie ani odrobiny zdecydowania - dał mu do zrozumienia Legard pewnej nocy, kiedy Everard zaczął narzekać na swego pecha. - Ani radości życia. Kobiety nie szukają ślicznych chłoptasiów ani mięśni, ani nawet końskiego kutasa. Pragną opiekuńczości w każdym względzie. I pewności siebie.

Najwyraźniej ma rację, pomyślał Everard, tego nie można drugiego człowieka nauczyć. Miał jednak chętkę na niektóre z porzucanych przez Legarda dziewczyn, w tym na Aurelie.

Złapał swój marynarski worek, po czym zatrzasnął drzwi mieszkania. Na zewnątrz czekała już furgonetka. Wsiedli z bagażami do środka na krótką przejażdżkę do bazy. Przynajmniej marynarka zapewnia nam transport w dniu wypłynięcia - pomyślał Everard, nie musimy więc łapać autobusu albo, co gorsza, parkować w bazie własnego samochodu przez ponad dwa miesiące. Podczas gdy furgonetka jechała przez wąskie uliczki, Legard nasunął sobie na oczy oficerską czapkę i zaczął chrapać.

Przy zewnętrznym punkcie kontrolnym wszyscy wysiedli z furgonetki, by poddać się kontroli dokumentów. Everard obudził Legarda, który ziewnął, wstał i wysiadł. Samochód wjechał do budynku kontrolnego, gdzie stanął nad kanałem w celu sprawdzenia, czy nigdzie nie ma bomb ani podejrzanych paczek. W tym czasie wnętrze auta zostało sprawdzone przez psy. Siły bezpieczeństwa miały się na baczności. Furgonetka wytoczyła się z budynku, a wszyscy marynarze i oficerowie przeszli przez wysoki na dwa i pół metra kołowrót wzmocniony grubymi prętami. Wsiedli z powrotem do furgonetki na krótką przejażdżkę do wewnętrznej strefy bezpieczeństwa.

Pogoda była przepiękna. Słoneczna i rześka, nie za gorąco, nie za zimno. Byłby to świetny dzień na wypad na plażę, tym bardziej że to piątek. Everard pokręcił głową. Dzień wypłynięcia był zawsze najgorszym dniem w roku. W dodatku przepuścił okazję spędzenia ostatniej nocy w damskim towarzystwie, a sześćdziesiąt dni bez kobiety to bardzo długo.

Samochód zatrzymał się przy wewnętrznym ogrodzeniu bazy. Tu czekała ich jeszcze skrupulatniejsza kontrola. Furgonetką nie wolno było wjechać, więc wszyscy wysiedli. Marsz dłużył im się, bo nieśli ciężkie worki marynarskie. Po chwili znaleźli się w budynku, gdzie każdy podchodził do stolika, kładł na nim zawartość kieszeni i wyjmował wszystko z worka. Każdy punkt kontrolny miał przestrzeń oddzieloną

zasłonami, gdzie zdejmowali mundury, które następnie sprawdzano, a oni sami byli przeszukiwani przez żandarmów z DPSD - francuskiej żandarmerii wojskowej. Przyczyną tak skrupulatnej kontroli było założenie, że można ukryć w slipach plastikowego glocka albo nawet przenieść w otworach ciała poszczególne części plastikowej broni. Na szczęście ludzie z DPSD nie byli zbyt dociekliwi. Everard usłyszał, że Legard chichocze.

- Hej, Emile - odezwał się śpiewnym, kpiarskim tonem - mnie bada kobieta!

- Pierdol się, Jacques - zaklął Everard, nie dając się wyprowadzić z równowagi.

Wreszcie kontrola się skończyła; Everard włożył mundur, zebrał rzeczy do marynarskiego worka i założył go na ramię. Ruszyli wzdłuż długiego nabrzeża.

- Piękny dzień - odezwał się Legard.

- Ty zostaniesz na dworze, na miłym wiatku - mruknął Everard. - A ja będę tkwił pod pokładem i rozbijał atomy.

- Nie martw się, jeśli zdołam skłonić jakieś laski na jachtach, żeby pokazały mi cycki, zamelduję ci o tym do sterowni reaktora.

- Chrznąć się - burknął Everard. Legard tylko się uśmiechnął.

Przy końcu nabrzeża stał duży metalowy hangar typu Sól6, który służył do ładowania rakiet z głowicami termojądrowymi. Budynek miał czterysta metrów długości. Gdzieś w jego czeluściach, strzeżony przez żandarmów z DPSD uzbrojonych w pistolety maszynowe, karabiny maszynowe i granatniki, stał „Le Vigilant”, nowiutki okręt podwodny klasy Triomphant przenoszący rakiety balistyczne. Dowodził nim najzdolniejszy kapitan od czasów Napoleona. Kto wie, myślał Everard, gdyby tak Capitaine de Fregatę Jean-Paul Gardes żył w 1805 roku, być może cały świat zachodni mówiłby teraz po francusku.

W wejściu do budynku ładowania rakiet znajdowała się ostatnia bramka, przez którą trzeba było przejść; także i tu żandarmi kontrolowali wchodzących, choć już nie każdego poddawano kontroli osobistej. Everard chyba nie miał tego dnia szczęścia, bo los padł na niego. Znowu musiał się rozebrać, a zawartość jego marynarskiego worka została dokładnie zbadana. Kiedy wreszcie wszedł do hangaru, Legarda już nie było widać.

Wnętrze budynku robiło wrażenie. Lampy grzały tak mocno, że w środku było cieplej niż na zewnątrz. Everard czuł się jak w studiu telewizyjnym. Spojrzał na zegarek. Była 06.45, a odprawę oficerów wyznaczono na 07.00. Zostało mu więc niewiele czasu do dyspozycji. W dodatku jak zawsze musiał mu zawracać głowę pierwszy oficer, prawdziwy maniak pracy, nazywany przez członków załogi Białym Niedźwiedziem, kazał Everardowi stawić się w sterowni reaktora, by przejąć wachtę od sukinsyna, który miał pecha objąć wachtę nocną przed wyjściem w morze. Zazwyczaj był to któryś z młodszych oficerów na pokładzie, żonatych lub nie.

Na „Le Vigilant” kadra oficerska składała się niemalże z samych kawalerów, poza nudnymi starszymi oficerami. Niesamowite, co małżeństwo może z człowieka zrobić. Żonaci oficerowie nigdy nie wracali skacowani, zawsze wydawali się spokojni i zrównoważeni. Według Everarda płacili za to wysoką cenę. Ciągłe dzwonili do swoich żon, pytając o pozwolenie: „Kochanie, czy mogę dziś zostać trochę dłużej w pracy?”, „Skarbie, czy mogę pójść z kolegami do klubu oficerskiego na drinka, dosłownie na jednego”. Emile Everard przeżywałby katusze piekielne, gdyby musiał błagać kobietę o zezwolenie na wyjście z kumplami na drinka.

Dotarł do trapu. Pod jego stopami, po zachodniej stronie stalowej platformy ciągnącej się wzdłuż osi budynku, stał w doku okręt „Le Vigilant” przenoszący rakiety balistyczne z głowicami termojądrowymi. Everard przystanął i objął go jeszcze raz wzrokiem. Nie tyle z powodu jakiegoś przesądu, ile z zachwytu nad tą jednostką. Niezależnie od tego, ile lat spędził na danym okręcie, zawsze jego widok zapierał mu dech. „Le Vigilant” był okrętem podwodnym gigantycznych rozmiarów. Miał aż 138 metrów długości, długość boiska do piłki nożnej z okładem, i 12 metrów średnicy, co umożliwiało umieszczenie wewnątrz czterech pokładów. Ważył 14 355 ton, dorównując pod tym względem wielkim krążownikom. Przy pełnej wydajności reaktora okręt mógł rozwinać prędkość 31 węzłów. Można było ją zwiększyć o parę węzłów przy przeciążeniu reaktora. Jego reaktor atomowy typu KI5 osiągał moc cieplną 150 megawatów, co przekładało się na 41 500 koni mechanicznych na wale śruby. Miała ona siedem łopat i była ukryta wewnątrz specjalnej osłony. Osłona sprawiała, że „Le Vigilant” miał najcichsze źródło napędu, jakie kiedykolwiek zbudowano. Okręt mógł zanurzyć się na głębokość pięciuset metrów i wytrzymać pod wodą do osiemdziesięciu dni, a przy odpowiednim racjonowaniu żywności nawet do pięciu miesięcy. Prawdziwą granicę okresu zanurzenia stanowiła wytrzymałość załogi. Przy przedłużającym się ponad miarę czasie spędzonym na morzu marynarze zaczynają mieć halucynacje, dochodzi do bijatyk, a nawet możliwy

jest bunt. Przynajmniej taki obrót przyjęły sprawy podczas rejsu SSN „Rubis” we wczesnych latach pięćdziesiątych, kiedy testowano wytrzymałość załogi i okrętu.

Wytrzymałość załogi i okrętu była sprawą kluczową na ewentualność wojny. Gdyby Francja została zaatakowana bronią atomową bez uprzedzenia, misja „Le Vigilant” polegałaby na trwaniu w bezruchu. Dalszy los okrętu zależałby od treści opieczetowanego rozkazu przechowywanego na pokładzie. Na pewno kazano by kapitanowi czekać, dwa tygodnie, dwa miesiące czy jeszcze dłużej. Potem, jakiś czas po zamienieniu się Republiki Francuskiej w zgliszcza, we wskazanym dniu „Le Vigilant” wynurzyłby się i w rewanżu zrównałby z ziemią kraj, który okazał się na tyle bezmyślny, by podnosić rękę na Francję. Po to właśnie przeprowadzano testy wytrzymałości. Należało sprawdzić, po jakim czasie załoga zaczyna się łamać, bo nie ulegało wątpliwości, że do tego dojdzie. Jediną niewiadomą było zachowanie załogi w momencie, gdyby faktycznie nastąpiła wojna atomowa. Czy świadomość, że wszystko, co dotąd kochali, za czym tęsknili, ich domy, ich rodziny, przestało istnieć, spalone nie do poznania, rozbite na miliony molekuł i rozproszone w fali uderzeniowej, nie załamałaby ich? Ile dni, a raczej, ile godzin wytrzymaliby marynarze, nim wybuchłby bunt przeciwko przebywaniu w wyizolowanej od świata konserwie, jaką stałby się okręt podwodny? Woleliby znaleźć się w świecie, nawet tym strasznym, zniszczonym, gdzie zmarli ich ojcowie i matki, ich żony i dzieci.

Po całej flocie krążyły plotki o ewentualności przetestowania takiej sytuacji. Załoga przyjechałaby na pokład „Le Vigilant” jak zwykle, tak jak dzisiejszego ranka. Jednak zaraz po zanurzeniu rozeszłaby się pogłoska, że Francja została zmieciona z powierzchni globu. Oczywiście byłyby to ćwiczenia, ale nawet kapitan nie wiedziałby, że wszystko jest sfingowane. I stoper odliczałby czas, podczas gdy szczyty gdzieś na górze śledziłyby zachowanie załogi przez niezliczone ukryte kamery za pośrednictwem spowijającej okręt sieci kabli i podsłuchów. Admirałowie czekali, kiedy marynarze zaczną wariować. A może zaskoczą wszystkich i ze spokojem, w pełnym skupieniu będą wykonywać swoje obowiązki i jeszcze po ośmiu czy jedenastu tygodniach bezbłędnie i celnie odpalą groźne rakiety, nawet nie wiedzieliby, że wszystkie zostały jeszcze w bazie podmienione na ślepaki, w kierunku domniemanego wroga. Za każdym razem, gdy Everard wchodził na pokład „Le Vigilant”, zastanawiał się, czy tym razem ćwiczenia nie będą przebiegały według powyższego scenariusza. I czy oświadczenie, że to tylko manewry, zmieniałaby cokolwiek. A gdyby, nie daj Boże, do czegoś takiego doszło, czy mało prawdopodobna nadzieja, że to wszystko jest tylko złym snem, symulacją, pomogłaby przetrwać koszmar?

Rozumowanie admirałów było niedostępne dla tak niskiego rangą oficera jak kapitan Everard. Nigdy nie zastanawiał się, czy mógłby kiedyś zostać admirałem. Nie był predestynowany do objęcia dowództwa floty. Było to zarezerwowane dla takich nadludzi, jak Jean-Paul Gardes, Jaques Legard i Niedźwiedź Polarny, Courcelle. Mimo to Everard uważał, że jeśli miał dobrze rozegrać swoje karty, nauczyć się czegoś podczas lat służby, to powinien z czasem zostać dowódcą okrętu podwodnego. Najpierw jednak należało zostać jednym z niezastąpionych ludzi wśród załogi. I Emile, a także Legard, właśnie nimi byli. W tym wypadku lojalność i siła charakteru mogły się opłacić.

Everard spojrzał pieszczotliwie na okręt. Dziób o kształcie pistoletowego pocisku wylał się z czarnej wody pod dachem budynku. Dziób przechodził w regularny walec kadłuba. Dalej wyrastał kiosk z peryskopami, masztami i antenami, kluczowymi środkami łączności z rządem kraju i dowództwem. Z boków kiosku wystawały bliźniacze stabilizatory o kształcie skrzydeł samolotu. Zostały zainstalowane tak wysoko dla dokładniejszej kontroli sytuacji w tych rzadkich wypadkach, gdy okręt musiał się wynurzyć na głębokość peryskopową. Okręt najczęściej posługiwał się długą anteną w formie holowanego za rufą kabla. Taka antena umożliwiała jedynie odbiór komunikatów nadawanych przez Centrum Dowodzenia francuskich SSBN-ów w Breście, przez Zapasowe Centrum Dowodzenia w starej bazie w Houilles lub przez Trzecie Centrum Dowodzenia SSBN w Rosnay. A gdyby wszystkie trzy wymienione ośrodki zostały zniszczone przez atak nuklearny, okręt wyposażony był w kilka samolotów łączności Astarte C-160H. Przez cały okres trwania alarmu „pomarańczowego” lub wyższego jeden z nich zawsze znajdowałby się w powietrzu. C-160H były zdolne do komunikowania się z okrętami podwodnymi i przekazywania im rozkazów wystrzelenia rakiet balistycznych lub oczekiwania w głębinie. A gdyby zawiodły nawet te środki, kapitan Jean-Paul Gardes przejmował ciężar decyzji na siebie i z upoważnienia prezydenta Republiki miał prawo odpowiedzieć atakiem odwetowym, jeśliby uznał, że Francja została zaatakowana.

Za kioskiem kadłub wyrzusał się w górę, tam, gdzie był przedział rakietowy. Mieściły się w nim pionowe wyrzutnie z raketami balistycznymi. Rurowate wyrzutnie były dłuższe, niż wynosiła średnica cylindrycznego kadłuba okrętu, stąd wyrzucenie. Każdą wyrzutnię zamykano od góry osobną pokrywą. Wyrzutni było szesnaście i tyleż pokryw widać było z zewnątrz. Pod każdą z nich mieściła się trójstopniowa rakiet M45 na paliwo stałe, zaś każda z rakiet miała sześć głowic termojądrowych o sumarycznej sile wybuchu stu pięćdziesięciu kiloton trotylu. Zasięg rakiet wynosił aż sześć tysięcy kilometrów.

Za wyrzutniami garb znikał i kadłub znów stawał się cylindryczny. Tu zaczynały się przedziały, w których królowali mechanicy. Dalej kadłub się zwężał i ostatnia jedna czwarta długości okrętu była już w całości zanurzona. Obok przedziału reaktora znajdował się przedział turbin za sterownią reaktora. Tam właśnie pełnił wachtę Everard. Zameldował się wartownikowi pokładowemu, zasalutował banderze Republiki i wszedł na pokład okrętu. Trap prowadził do włazu na końcu przedziału raketowego. Everard dotarł do szerokiego włazu, rozejrzał się po wnętrzu olbrzymiego budynku i po raz ostatni przed zniknięciem w czeluściach okrętu zaczerpnął świeżego powietrza.

Krzyknąwszy: „Uwaga na dole!”, wrzucił do środka worek marynarski, a potem podążył za nim, schodząc po drabince z nierdzewnej stali. Jak zawsze natychmiast poczuł charakterystyczną, trudną do określenia woń okrętu podwodnego. Everard zwiedzał kiedyś niemieckiego U-Boota z czasów II wojny światowej i zapach był tam niemal identyczny. Oznaczało to, że pod pewnym względem niewiele się zmieniło od tamtych czasów. Woń pochodziła od potu, zasiarczonego paliwa dieslowskiego, jeszcze bardziej zasiarczonych spalin, spalonego oleju kuchennego, amin powstających podczas gnicia produktów białkowych, ozonu wydzielającego się z urządzeń wysokiego napięcia, i oczywiście ścieków wypompowywanych za burtę przez potężne pompy. System czasem się nie sprawdzał, zdarzało się, że w opróżnianych zbiornikach na ścieki pojawiało się powietrze, które następnie znów wchodziło do obiegu wewnątrz okrętu. Everard nieraz miał ochotę udusić pomysłodawcę tego genialnego rozwiązania. Niestety nie można było wyrzucać zepsutego powietrza poza okręt, bo gigantyczny kilwater natychmiast zdradziłby jego położenie. Alternatywa w postaci załatwiania się do plastikowych torebek też była mało atrakcyjna.

Od momentu, gdy Everard przeszedł przez wąż, świat poza okrętem przestał dla niego istnieć, jak gdyby był tylko snem. Wszystko ograniczało się do stalowego walca szybu ewakuacyjnego stanowiącego zarazem wielką śluzę powietrzną, która od zewnętrznego pokładu okrętu sięgała aż po górny pokład przedziału raketowego. Everard podniósł worek z pokładu, powtórzył ostrzeżenie i cisnął worek na kolejny, niższy pokład. Podążył za nim i znalazł się w zagraconej przestrzeni pomieszczenia z osprzętem pomocniczym. Znajdowała się tu maszyna do kontroli atmosfery, elementy systemu utrzymywania stałej pozycji w zanurzeniu i część systemu wspomagającego wyrzutnie. Dla nowicjusza przerażające mogło się wydawać to kłębowisko konsol, rur, przewodów, zaworów, kabli i przełączników najróżniejszego rodzaju i rozmiaru. Na profesjonalistów, nawet zwykłym marynarzom, nie robiło większego wrażenia. Każdy element miał jasno ustaloną funkcję i każdy służył prawidłowemu działaniu okrętu.

Teraz Emile zwrócił uwagę na panujące tu dźwięki. Nadmuchujące powietrze wentylatory wydawały niski pomruk, basowy szum, który miał prześladować go dzień i noc przez najbliższe dwa miesiące. Co prawda po pewnym czasie nie zauważało się go, ale z kolei po powrocie do zwykłego mieszkania cisza kilku pierwszych nocy nie dawała zasnąć. Everard uśmiechnął się na myśl o tej ciszy przerywanej zwykle przez westchnienia którejs z dziewczyn Legarda, osiągającej orgazm. Jak to dobrze, że Legard, ten głupek, jest na pokładzie i po wachcie będzie można z nim pogadać. Właściwie wszyscy członkowie załogi byli kumplami. No, może poza szefem, tym cholernym Rhino, którego stać było na paskudne zagrywki.

Emile po raz trzeci podniósł swój marynarski worek i rozpoczął długi spacer przed siebie tunelem prowadzącym pomiędzy niekończącymi się rzędami identycznych wyrzutni rakietowych. Każda z nich była olbrzymia jak szyb windy. Można byłoby nią spuścić samochód. W końcu dotarł do wjazdu nr 58 w przegrodzie, za którą znajdował się przedział dziobowy. Zszedł kilka schodków w dół i znalazł się na pokładzie drugim następnego oddziału, zwanym też pokładem 02. Niemal cały pokład 02 należał do oficerów. Wąski korytarz prowadzący w głąb wyłożony był laminatem. Pod ściankami i wokół drzwi znajdowały się stalowe listwy, oczywiście klamki także wszędzie były stalowe. Gdyby wprowadzić tu kogoś z zasłoniętymi oczami, niechybnie sądziłby, że znalazł się w korytarzu pociągu dalekobieżnego.

Po prawej burcie znajdowało się pomieszczenie kontroli wyrzutni. To tam przebywał Officier d'Armes De Lorme wraz z grupą techników zajmujących się rakietami, kiedy nie byli z tyłu, w przedziale rakietowym. Bliżej dziobu, też na sterburcie, znajdowała się mesa oficerska, a jeszcze dalej kambuz, gdzie kucharze spędzali dwadzieścia cztery godziny na dobę, konspirując, jak by utuczyć oficerów. Bardzo trudno było na morzu utrzymać dobrą sylwetkę, ale na szczęście kapitan Gardes zezwalał na bieganie w kółko po górnym pokładzie przedziału rakietowego i podnoszenie ciężarów na środkowym pokładzie. Te ćwiczenia oraz omijanie dwóch z czterech przepysznych posiłków umożliwiały przybranie na wadze tylko o trzy kilogramy podczas rejsu. Niemniej pomiędzy jedną a drugą misją trzeba było się starać, by zrzucić zbędne kilogramy. Problem polegał na tym cholernym zapachu jedzenia. Gdy tylko Everard go poczuł, nie mógł odmówić sobie zjedzenia przygotowanego posiłku. Raz nawet zabrał w rejs zatyczki do nosa, ale zaniechał ich używania, kiedy stał się obiektem drwin podoficerów i marynarzy.

Jeszcze bliżej dziobu znajdowały się kajuty oficerów. Emile wszedł do swojej, którą dzielił z pierwszym mechanikiem zwanym Nosorożcem oraz Lieutenant de Vaisseau Michele Ganntem pełniącym funkcję Officier de Communications. Nie był zachwycony mieszkaniem z przełożonym, tym bardziej że temu cwaniakowi Legardowi tak się udało, że jego współmieszkańcami byli Navigateur Molyneux i Tristan Cholmondeley, oficer do spraw obwodów elektrycznych. Emile był w rozterce: z jednej strony jako najstarszy rangą podwładny powinien otrzymać kajutę oddaloną od kajuty pierwszego mechanika, swojego łatwo wpadającego w gniew szefa. Z drugiej jednak strony powinien umieć sobie radzić ze zmianami nastroju Nosorożca i być w stanie stawić mu czoło.

- Niech pana szlag trafi, Everard! - ryknął pierwszy mechanik ułamek sekundy po wejściu porucznika do ciasnej kajuty. - Jest pan znów spóźniony jak jasna cholera.

Pierwszy mechanik, komandor podporucznik Teisseire, ważył sto dziesięć kilo i już samo to czyniło go groźnym. Przewisko Nosorożec uzyskał dzięki swojej ogromnej posturze i gwałtownej naturze. Ochrzcił go tak jego dowódca z przedostatniego rejsu. Teisseire był wysokim człowiekiem o dużych dłoniach, szerokiej twarzy zwieńczonej okazałym nosem, dużych niebieskich oczach i wydatnych ustach. Miał ciemnoblonde włosy, dość cienkie, skręcone w drobne loczki. Wyglądał tak, jakby nosił peruczkę ze skalpu samego Kupidyna. A jednak nikt nigdy nie odważył się żartować na ten temat, widząc jego pięści jak bochny. Inaczej niż większość niedźwiedziowatych mężczyzn nie był obdarzony łagodną naturą. Byle co przyprawiało go o białą gorączkę. Miał jednak poczucie humoru, już nieraz uratowało jego karierę. Jak utrzymywał, nawet maszyna czuła przed nim respekt. Kierował podlegającymi mu młodszymi oficerami, podoficerami i marynarzami w szorstki sposób, z bezwzględnością, niemal okrucieństwem. Niemniej często okazywał im też swoją łaskawość i wszyscy co do jednego byli mu lojalnie oddani, nazywając siebie samych brygadą Rhino.

Miał problemy rodzinne. Jego żona nie była szczęśliwą kobietą. Miało to związek z pewnym niechlubnym incydentem, do którego doszło w portowej tawernie, kiedy Nosorożec i jego ludzie ponad dwa lata temu przebywali na przepustce w jednym z portów na południowym wybrzeżu USA. Everard przypomniał sobie, że to było w Fort Lauderdale. Ich okręt myśliwski S605 „Amethyste” zawinął tam z wizytą dyplomatyczną. Obok stał amerykański okręt. Załogi obu atomowych okrętów podwodnych, mimo różnic kulturowych, jako ludzie dzielący trudy pracy pod wodą, zgodnie pili razem. Dla Teisseire skończyło się to bardzo źle. Opóźnił wyjście okrętu w morze. Odnalazła go dopiero

miejscowa policja, w pokoju hotelowym, z egzotyczną czarną tancerką w łóżku. Sprowadzono go na okręt, gdzie był wówczas *aide principal de propulsion*, czyli asystentem pierwszego mechanika do spraw napędu. Kompletnie pijany, po drodze wygrażał jeszcze policji. Otrzymał zakaz opuszczania kajuty, ale wrzeszczał przez drzwi, że właśnie powinien pełnić wachtę i uruchamiać reaktor. Wieści w marynarce rozchodzą się z prędkością światła i kiedy „Amethyste” powrócił do portu Brest, Michele już tam nie było - wyprowadziła się, zanim mąż zdążył jej cokolwiek wyjaśnić. Przez dwa kolejne lata Teisseire błagał ją i przekonywał, by wróciła do niego, tłumacząc, że jeden głupi incydent po pijanemu nie jest żadną zdradą, ale Michele była nieustępliwa. Przed tą awanturą ubóstwiała go, dała mu dwie córki - pięcioletnią Claire i dwuletnią Juliette. Tracąc rodzinę, Teisseire dostał solidną lekcję. Przeniósł się wtedy z zawadiackich okrętów myśliwskich na spokojniejsze okręty przenoszące rakietę balistyczne. Poświęcił się całkowicie pracy, by zapomnieć o sprawach domowych.

- Do wszystkich diabłów! - Everard wycodził przez zaciśnięte ze złości zęby. - Jestem na czas. I w dodatku dwukrotnie przechodziłem pieprzoną kontrolę osobistą.

Teisseire pogardliwie zacisnął usta i wyszedł, trzaskając drzwiami kajuty. Everard po chwili pokręcił głową. Właściwie spodziewał się podobnej reprimendy i cieszył się myślą, że ma już to za sobą. Nie było tajemnicą, dlaczego ten człowiek był ciągle taki wściekły. Na ile Everard się orientował, ta suka żona znowu zaczęła swoje. To, że dzieci separuje się od ojca, jest niezgodne z prawem naturalnym. Kolejny argument przeciwko małżeństwu. A poza tym ten pieprzony Nosorożec nie musi wyżywać się na podległych mu ludziach.

Emile spojrzął na chronometr umocowany na przegrodzie i cisnął worek marynarski na górną koję umieszczoną nad koją Teisseire. Wyszedł z kajuty, kierując się do mesy oficerskiej. Mesa była dość dużym pomieszczeniem, co należało do rzadkości na okrętach podwodnych. Na jej krańcu rufowym urządzone kącik wypoczynkowy wyposażony w miękką kanapę, dwa wielkie fotele i stoliki do kawy. Fotele oczywiście zostały przyśrubowane do pokładu. Środek mesy zajmował wielki stół, przy którym mogli się pomieścić wszyscy oficerowie - osiemnastu naraz. W drugim krańcu pomieszczenia stał fotel kapitana, którego podczas jego nieobecności nikt nie miał prawa zająć. Tak miało być i tym razem, podczas zbiórki oficerów zarządzanej przez Courcelle'a, Niedźwiedzia Polarnego. Starał się w ten sposób zmotywować kadrę oficerską do odpowiedzialnego wykonywania powierzonych jej zadań.

Vincent Courcelle był tak energicznym pierwszym oficerem, jakiego nigdy dotąd nie widziano na tym okręcie. Był wysoki i kościsty, miał rzadkie rudawe włosy oraz kanciastą twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi i wydatną szczęką. Spoglądał na ludzi błękitnymi, świdrującymi oczami. Nosił wąsy i coś na kształt brody, która przypominała niesforne rzysko. Był tak nabuzowany energią, jakby co jakiś czas wkładał swój kościsty palec do gniazdka, by się doładować. Z drugiej strony znany był ze swego spokoju w sytuacjach kryzysowych. Kapitan Gardes raz zażartował nawet, że Courcelle uspokaja się tylko wówczas, gdy świat wokół niego się walił.

Courcelle dostał swoje przezwisko, kiedy służył na podwodnym okręcie myśliwskim „Perle”. Płynęli pod czapą lodową Arktyki, gdy inercyjny system nawigacyjny najpierw się zablokował, potem kompletnie wysiadł, a w końcu stanął w płomieniach. Gęste kłęby dymu momentalnie wypełniły sterówkę i rozpełzły się po całym przedziale dziobowym. Courcelle, wtedy jeszcze w stopniu kapitana, pełniący na „Perle” funkcję nawigatora, miał właśnie wachtę jako oficer dyżurny. Jakimś cudem udało mu się wycofać okręt tą samą drogą do punktu, gdzie znajdowało się rzadko spotykane arktyczne jezioro, ledwie pokryte cienką warstwą lodu. Courcelle, z maską przeciwgazową na twarzy, spokojnie prowadził okręt na ślepo, podczas gdy wszystko wokół spowite było gęstym, czarnym dymem. Po wynurzeniu się i gruntownej wentylacji okrętu na arktycznym jeziorze wyruszyli w dalszą drogę. Dziesięć dni później, przy gorącym aplauzie załogi, Courcelle wyprowadził „Perle” poza kraniec lodowej czapy Arktyki, na otwarte morze. Od tamtej pory ochrzczono go Niedźwiedź Polarny, dla podkreślenia jego instynktu nawigacyjnego na obszarze Arktyki oraz lodowatego spokoju w sytuacji zagrożenia okrętu. Przezwisko nie tylko się przyjęło, ale zostało także wpisane w oficjalne rejestry. Courcelle otrzymał Legię Honorową i został awansowany na stopień komandora podporucznika. Wkrótce też uzyskał prestiżowe stanowisko pierwszego oficera najnowocześniejszego francuskiego okrętu przenoszącego rakiety balistyczne.

Biały Niedźwiedź był świetnym dowódcą, tak dobrym, jak tylko można sobie wyobrazić, choć funkcja pierwszego oficera jest wyjątkowo niewdzięczna, ponieważ wiąże się z odpowiedzialnością praktycznie za wszystko. Za każdy drobiazg administracyjny, stosunki załogi okrętu z dowództwem, logistykę, taktykę - dosłownie wszystko. Pierwszy oficer nie narzeka na brak pracy. Niedźwiedź Polarny uciekał się do różnych metod, by wszystko robiono tak, jak należy. Potrafił publicznie upokarzać podwładnych oraz zastraszać oficerów podczas zbiórek. Najmniej przyjemna odprawa czekała zawsze oficerów w dniu wyjścia w morze.

Punkt jedenasta, czyli za cztery godziny, mieli odbić od brzegu. W tym czasie na okręcie będzie wrzało jak w ulu. Każdy oficer i podoficer musi się spieszyć, aby zdążyć wykonać zadania na czas. Rytm pracy będzie narastać w obłądnym crescendo aż do momentu rozpoczęcia manewru opuszczania doku. Na szczęście Everard obejmie wachtę na rufie jako dyżurny mechanik, w przedziale maszynowni, gdzie będzie panował względny spokój.

Everard zajął miejsce na końcu stołu przeciwległym do fotela kapitana. Sam szczyt stołu zarezerwowany był dla oficera od spraw zaopatrzenia. Obok usiadł niedbale Jacques Legard. Everard zajmował stanowisko *aide de commande de dommages*, czyli asystenta pierwszego mechanika do spraw uszkodzeń. To oznaczało, że wraz z podlegającym mu podoficerem w stopniu starszego bosmana byli odpowiedzialni za wszystkie systemy techniczne i urządzenia wspomagające przed przegrodą 137, czyli ścianą przedziału reaktora; a także za awaryjny silnik Diesla, system wyważania, system osuszania okrętu, odpływ ścieków, system wentylacyjny, układ do utrzymywania nieruchomej pozycji w głębinie, układ kontroli powietrza, obwody hydrauliczne i ze setką innych organów okrętu. Była to ciężka praca. Zawsze coś się psuło, a ta cholerna załoga *Rouge* była o wiele mniej dokładna niż załoga *Bleu* podległa Gardespowi. Przejmowanie okrętu po *Rouge* zawsze omal nie przyprawiało Everarda o zawał serca. Dobry Boże, modlił się w duchu, pozwól mi jakoś przeżyć dzień wyjścia w morze. Legard otworzył bloczek do stenografowania położył go na stole obok ulubionego wiecznego pióra marki Mont Blanc. Był gotów do notowania. Everard poczuł przypływ zazdrości względem młodszego kolegi, który w wielu dziedzinach lepiej sobie radził niż on sam. Legard pełnił na „Le Vigilant” funkcję głównego asystenta pierwszego mechanika do spraw napędu. Jako *aide principal de propulsion* Legard był odpowiedzialny za atomowy i dieslowski napęd okrętu, co, mówiąc otwarcie, było stanowczo łatwiejszym zadaniem niż praca, którą wykonywał Everard. Mechanicy atomowi byli znacznie lepiej wyszkoleni i chętni do pracy niż większość sekcji, za którą był odpowiedzialny Everard. Poza tym czegokolwiek by te primadonny atomowe zażądały, było natychmiast im dostarczane, podczas gdy większość zamówień Everarda ignorowano, o ile nie uzasadnił ich koniecznością zapewnienia okrętowi bezpieczeństwa. Na dodatek cała maszyna atomowa mieściła się w przedziałach reaktora i turbin, gdzie była widoczna jak na dłoni, w przeciwieństwie do wijących się, poukrywanych w kątkach i zęzach przewodów, za które odpowiadał Emile. Uśmiechnął się w duchu, marząc o tym, by w przyszłym życiu zreinkarnować się jako Legard. Dzisiejszego ranka, mimo kaca, Legard miał objąć wachtę jako oficer dyżurny podczas prowadzenia okrętu od punktu, gdzie miał się zanurzyć. Wszyscy go będą podziwiali. Ale w końcu kto

jeszcze był w stanie chlać i rznąć panienki całą noc, a potem sprawnie wyprowadzić atomowego giganta na głębokie morze? Jakby czytając w myślach kolegi, Legard podniósł wzrok znad filiżanki kawy i spojrzął na niego, uśmiechając się ironicznie.

Wkrótce pomieszczenie zajęli pozostali oficerowie. Młodszy, sami kawalerowie, ostatni noc przed rejssem wykorzystali na hulankę. W wielkim trzypiętrowym domu, gdzie mieszkał oficer sonaru Victor Vasser, urządzili z kolegami pożegnalną imprezę. Wzięli w niej udział oficer wyrzutni rakiet Remy Sanxay, oficer łączności Michel Gannt, najmłodszy oficer torpedowy Roland Beauvais, oficer do spraw zaopatrzenia Darman Rothsens i drugi oficer Gerard Ramsden. Tych sześciu oficerów nieatomowych, „dziobowych”, jak ich ochrzcił Legard, skończyło imprezę bardzo późno. Zaprosili na nią ponad dwadzieścia miejscowych dziewczyn. Była wśród nich jasnowłosa Aurelie, którą Everard miał ochotę ściągnąć do siebie do domu, jednak po powrocie z wizyty w toalecie nigdzie nie mógł jej odnaleźć. Dopiero rano skojarzył moment jej zniknięcia ze zniknięciem Legarda. Co za skurczybyk! Emile uśmiechnął się do przysypiających oficerów dziobowych siedzących po drugiej stronie stołu. Pokiwali głowami w odpowiedzi. W końcu zjawili się pozostali młodszy oficerowie, dowódcy oddziałów i wreszcie Polarny Niedźwiedź.

- Dzień dobry panom - rozpoczął radośnie Courcelle. - Mam dla panów na dzisiaj coś specjalnego. Jak dotąd była to niepotwierdzona wiadomość, ale teraz możemy już z całą pewnością ogłosić, że misja, w jaką wypływamy, to nie zwykły patrol strategiczny, ale manewry z udziałem NATO. Przeciwno nam wystąpią okręty myśliwskie nasze, brytyjskie oraz najlepsze spośród amerykańskich. - Przerwał na moment, wyraźnie zadowolony z siebie. - Ale to nie wszystko. Będziemy występować w roli atakującego, a nie ściganego. - Na ustach pierwszego oficera malował się uśmiech. - W momencie gdy opuścimy wody terytorialne, nie jesteście już obywatelami Francji, ale algierskimi terrorystami. Jeśli uda nam się ująć okrętom myśliwskim lub je zatopić oraz usunąć się z pola działania wszelkich sił nawodnych i wystrzelić ślepą rakietę balistyczną ponad atlantyckim poligonem, najlepiej dwie rakiety, wygrywamy. A jeśli wygramy - Courcelle zrobił efektowną pauzę - dostaniemy w nagrodę miesięczny urlop. Wrócimy do Brestu na odprawę w dowództwie floty i zdamy okręt załozie *Rouge*, czerwonej, by przez miesiąc oni ćwiczyli, podczas, gdy my będziemy odpoczywać.

- Na Boga - Legard nie wytrzymał - wyobrażacie sobie miny załogi *Rouge*, kiedy się dowiedzą, że znowu dostają okręt, w czasie gdy my będziemy wylegiwali się na plaży?

Everard nie mógł się powstrzymać, by nie spojrzeć na oficera torpedowego Rolanda Beauvais, który spotykał się z dziewczyną oficera łączności załogi *Rouge*. Ta dziewczyna ma dobrze, pomyślał Everard, dwóch chłopaków, którzy nigdy nie przebywają w porcie w tym samym czasie... Beauvais usiłował zachować obojętny wyraz twarzy, ale Emile dostrzegł błysk zadowolenia w jego oczach.

Pełen podniecenia gwar trwał jeszcze przez chwilę, aż w końcu Ours Blanc podniósł rękę, nakazując milczenie.

- Panowie - dodał - a zatem na stanowiska i obyśmy mieli zwycięskie manewry.

Everard klepnął kolegę po ramieniu.

- Nie wpakuj nas na mieliznę, Jacques, bo mamy do zatopienia parę okręcików myśliwskich. Głupio byłoby, gdyby mieli nas podziwiać zagrzebanych w piachu.

Legard uśmiechnął się i odparł:

- Skup się lepiej na tym, żeby podawać mi odpowiednią ilość paliwa, kiedy będę go potrzebował.

- Przyjemnej wachty.

Everard ruszył na rufę, pogwizdując. Zastanawiał się nad tym, co zrobi z nieprzewidzianym miesiącem wakacji.

6

Jacques Legard przystanął i rozejrzał się po tętniącej życiem sterówce. Zajmowała większą część górnego pokładu przedziału dziobowego, ale wydawała się jednak ciasna, gdyż tyle było w niej stanowisk i pulpity, mostek z rurą peryskopu oraz cały tłum oficerów i marynarzy. W lewym przednim rogu sterówki znajdowało się stanowisko sterowania okrętem, gdzie będą pełnić wachty sternik oraz oficer zanurzenia. Stanowisko to przypominało kabinę pilotów niedużego odrzutowca, były tam miniaturowe drążki sterowe, środkowa konsola na wysokości kolan siedzących oficerów, zintegrowany wyświetlacz wskazań przyrządów na ścianie przedniej, następny wyświetlacz na ukośnym panelu powyżej. Nieco dalej, również po lewej burcie, znajdowało się stanowisko sterowania balastem. Stamtąd dyżurny bosman będzie

kontrolował ponad sto najrozmaitszych systemów okrętu, w tym zbiorniki balastowe, zbiorniki wyważające, systemy utrzymywania zanurzenia, osuszania, silnik spalinowy, maszty i anteny, pompy obwodów hydraulicznych i system utrzymywania okrętu w miejscu.

Jeszcze dalej po tej samej lewej burcie znajdowały się stanowiska elektronicznej nawigacji, na ich ekranach widać było wskazania inercyjnego systemu nawigacyjnego oraz odbiornika nawigacji satelitarnej systemu GPS. Był też głębokościomierz mierzący głębokość wody pod kilem. Obok znajdowało się stanowisko sonaru do pływania pod lodem. To oczywiście nie będzie używane podczas tego patrolu, chyba że włączy się dla sprawdzenia, czy działa. Po prawej stronie sterówki, na samym przedzie, było stanowisko ze zdublowanymi ekranami sonarów dla użytku oficera dyżurnego. Nieduże, z dwoma ekranami. Jeden zwykle pokazywał sygnały odbierane przez szerokopasmową antenę sferyczną DMUX 80 na dziobie lub z anten burtowych, drugi zaś to, co odbierał zestaw wąskopasmowych podłużnych anten niskiej częstotliwości DSUV 61 holowanych za okrętem.

Za stanowiskiem z ekranami sonarów znajdował się zespół stanowisk kierowania ogniem zajmujących resztę prawej strony sterówki. Było to pięć stanowisk, z których operatorzy mogli celować w nieprzyjacielskie okręty podwodne i nawodne. Cztery przednie stanowiska były sprzężone z SAT, *systeme d'armes tactique*, komputerowym systemem kierowania ogniem, który zbierał dane z sonaru i przetwarzał je w sposób użyteczny dla operatorów uzbrojenia. System był na tyle inteligentny, że nastawiony na tryb automatyczny mógł od razu wyświetlać parametry celów, jak jednak dotąd ludzie okazywali się lepsi od niego, przewyższając go intuicją czy też zdrowym rozsądkiem; ani jednego, ani drugiego nie udało się dotąd dołączyć do oprogramowania SAT. Piąte, tylne stanowisko, służyło do kontroli uzbrojenia. Było sprzężone z systemem DLA 4A i służyło do programowania za jego pośrednictwem zarówno znajdujących się trzy pokłady niżej wyrzutni torpedowych, jak i samych torped. Torpedy również były całkiem inteligentne, programowanie ich ograniczało się do czynności przypominających odprawę, na której przedstawia się załodze zaplanowany przebieg rejsu.

Przy tylnej przegrodzie sterówki, po prawej burcie, było dwuosobowe stanowisko sterowania bronią elektroniczną systemu Thomson-CSF ARUR13 oraz DR 3000U. Chodziło tu nie o strzelanie, lecz o zagłuszanie systemów nieprzyjaciela. Operatorzy śledzili na powierzchni sygnały nieprzyjacielskich radarów, komunikaty radiowe, ustalali kierunki, z których je nadawano. Stanowisko to było bardziej rozbudowane w stosunku do tych, jakie mają okręty nieprzenoszące rakiet z głowicami jądrowymi, i znajdowało się w sterówce, a nie jak na zwykłych okrętach w osobnym pomieszczeniu. Znajdował się tu też ekran radaru, który podczas pływania po powierzchni pomagał w nawigacji, pokazując zarys linii brzegowej i inne okręty, dzięki czemu łatwiej było uniknąć zderzenia.

Środek tylnej części sterówki zajmował prostokątny mostek z dwoma bliźniaczymi peryskopami Thomson Mod 5 wyposażony we wszystkie urządzenia, jakie mają na mostku okręty podwodne. Jednak na okręcie przenoszącym rakiety balistyczne nie są one często używane, rzadko bowiem wynurza się on podczas rejsu na głębokość peryskopową. Wszelkie rozkazy odbiera w głębinie wodnej. Przed peryskopami umieszczono stanowisko dowodzenia, które najczęściej wykorzystywał oficer dyżurny. Nad głową miał kolejny ekran sonaru, monitor pokazujący widok z peryskopów, przed sobą głośniki, mikrofony i telefony do komunikacji wewnątrz okrętu, a także mnóstwo wskaźników alarmowych i osłonięte pokrywami wyrzutnie urządzeń, które pomagały ujść wrogiej torpedzie. Choć porucznik Legard był przekonany, że pod dowództwem komandora Gardes'a „Le Vigilant” nigdy nie zostanie zaatakowany torpedą. We francuskiej marynarce wiadano, że to najlepszy kapitan floty podwodnej. W lewym przednim rogu sterówki znajdował się właśnie fotel dla kapitana, z którego mógł dowodzić. Nikomu poza kapitanem statku nie wolno było siadać w tym fotelu, chociaż wszyscy wiedzieli, że Legard ma zwyczaj go zajmować podczas nocnych wacht, kiedy pełni funkcję oficera dyżurnego.

Przed mostkiem umieszczono także stół do map, bezpośrednio pod szybem, którym wchodziło się do kiosku. Stół z mapami wisiał na zawiasach i można go było złożyć, kiedy spuszczało się z góry drabinkę. Był to nowy pomysł mający na celu oszczędność miejsca. Ze względu na swoje przeznaczenie i możliwości „Le Vigilant” wynurzał się średnio raz na dwa miesiące i przez cały ten czas nikt nie będzie spuszczał drabinki i utrudniał oficerowi dyżurnemu rozłożenia mapy.

Legard powitał pełniących wachtę marynarzy. Dyżurny bosman podał mu pomarańczowy nieprzemakalny kombinezon. Bosman dyżurny był najstarszym stopniem podoficerem sekcji pomocniczej i podlegał Legardowi. Jednak nieraz trudno było określić, kto tak naprawdę komu podlega. Maitre Benoit Turnock był typem starego marudy, choć liczył dopiero trzydzieści pięć lat. Wiele lat odsłużył na okrętach myśliwskich i twierdził, że zna je lepiej niż własną żonę. Legard żartował, że nic w tym dziwnego, ponieważ Turnock większość czasu spędzał poza domem. Na okręcie żyli w dobrych stosunkach i szanowali się wzajemnie mimo różnicy stopni. Legard widział w tym coś więcej niż tylko relacje służbowe. Traktował Benoit jak przyjaciela, który nie skąpił mu przydatnych wskazówek w każdej sprawie, od tego, jaki samochód opłaca się kupić, po sposoby na Nosorożca.

Legard zabrał kombinezon i udał się do pomieszczenia nawigacyjnego mieszczącego się na tyłach sterówki. Sprzęt nawigacyjny ściśnięty był na przestrzeni o połowę mniejszej niż sterówka. Szarki z elektroniką bliźniaczych inercyjnych systemów nawigacyjnych zostały rozmieszczone wzdłuż lewej burty, obok nich zmieściły się odbiorniki systemu nawigacji satelitarnej. Środek i prawą stronę pomieszczenia zajmowały dwa duże stoły z mapami, przy których będzie pracować Navigateur Molyneux ze swoimi elektronikami, wykonując skomplikowane obliczenia niezbędne do wyprowadzenia okrętu na otwarte morze.

Molyneux i jego ludzie byli już w pomieszczeniu i wyciągali potrzebne mapy. Legard powitał nawigatora, szybko wciągnął kombinezon i powrócił do sterówki. Pierwszy oficer czekał już na niego przy peryskopie. Legard przeszedł na sterburtę i spojrzał na wysokiego chudego rudzielca.

- Poruczniku Legard - odezwał się komandor Courcelle głosem, w którym nadal słychać było zadowolenie z porannej odprawy - proszę obsadzić wachtę manewrową.

- Tak jest, Cadre Dirigeant! - odpowiedział Legard, prężąc się na baczność. - Wystawić wachtę manewrową.

Courcelle pośpiesznie zszedł z mostka i ruszył w stronę dziobu. Legard wziął lornetkę i krótkofalówkę, które podał mu bosman.

- Bosmanie - zwrócił się do Turnocka Legard - obsadzić wachtę manewrową.

Turnock chwycił mikrofon na kablu podobnym do telefonicznego. Głos bosmana rozległ się po całym statku:

- Obsadzić wachtę manewrową!

Porucznik Jacques Legard zawiesił lornetkę na szyi i wspinał się po drabince do włazu umieszczonego nad sterówką, który prowadził na górny mostek. Tunel włazu był celowo słabo oświetlony, by w razie nocnego wyjścia z portu światło nie pogarszało dodatkowo widoczności. Tunel w formie pionowego walca ze stali nierdzewnej nie mieścił żadnych urządzeń poza drabiną, wyłącznikami światła i kilkoma zaworami. Legard wspinał się siedem metrów w górę, gdzie widniał okratowany górny wąż.

- Oficer dyżurny na górnym mostku - zapowiedział się. Odsunięto kratę, wszedł do małej kabiny, kratę natychmiast zasunięto

z powrotem. Spojrzał na dwóch pełniących tu już wachtę mężczyzn. Pierwszym z nich był oficer torpedowy Vaisseau de 1-re Classe Roland Beauvais, drugim zaś stojący na oku Quartier Maitre de 1-re Classe Bruyere - jeden z podległych Molyneux'emu marynarzy, którego

zadaniem było obserwowanie ruchu na powierzchni akwenu i przekazywanie informacji oficerowi dyżurnemu, by pomóc mu w unikaniu kolizji. Beauvais miał obserwować pracę Legarda przy wyprowadzaniu statku i w zależności od decyzji kapitana ewentualnie przejąć wachtę na górnym mostku, gdy wypłyną na szersze wody.

- Witam panów - odpowiedział Legard na ich powitanie. - Cóż tam mamy, panie Beauvais? - Odebrał od młodego oficera raport dotyczący pogody, trasy opuszczania portu, prądów i pływów. Pomyślał, że dobrze mieć na pokładzie tylu młodych ludzi. Jeśli nawet nie mieli doświadczenia, byli świetnie wyszkoleni, chętni do pracy i nie narzekali.

- Brakuje nam jedynie kapitana - stwierdził Beauvais. Legard spojrzął na zegarek. Za dziesięć jedenasta.

- Zaraz tu będzie.

Nagle zmieniło się oświetlenie. Podnoszono wrota na końcu olbrzymiej hali. Szykowano się, żeby ich wypuścić. Na stalowych pomostach zajmowali stanowiska marynarze z bazy, by odcumować okręt. Załoga na pokładzie w podobny sposób przygotowywała się do odbicia od nabrzeża.

Krótkofalówka, którą trzymał Legard, zatrzeszczała.

- *Marine Nationale sousmarin*, tu oficer doku MLF, próba radia, odbiór - usłyszał.

- Tu okręt podwodny - odpowiedział - słyszę głośno i wyraźnie, odbiór. - Ujawnianie się jako „Le Vigilant” przez zwykłą krótkofalówkę było surowo zabronione, dlatego Legard przedstawił się jako „okręt podwodny”.

- Dok gotów do uruchomienia wyciągarki, odbiór.

- Potwierdzam, podaj status holownika.

- Holownik stoi u wyjścia.

- Potwierdzam, jestem gotów.

Radio kliknęło dwa razy, co było sygnałem potwierdzenia.

- Mostek, tu sterówka - odezwał się w umieszczonym z przodu kokpitu głośniku zniekształcony, metaliczny głos Turnocka.

Legard sięgnął po mikrofon

- Tu mostek - odezwał się.
- Wachta manewrowa obsadzona. Kapitan i Cadre Dirigeant poinformowani.
- Dobrze.
- Mostek, tu nawigator - huknął z głośnika głos Molyneux. Legard przyciszył nieco dźwięk.
- Nawigator, słucham.
- Dok potwierdza gotowość, kurs początkowy dwa siedem pięć. Prędkość marszu dziesięć węzłów.

- Przyjąłem - odpowiedział Legard, spoglądając na mapę. Kurs na wyjście z portu Brest rzeczywiście wynosił 275 stopni, czyli prawie prosto na zachód.

- Mostek, tu sterówka, kapitan idzie na mostek - powiadomił Turnock.

Capitaine de Fregatę Jean-Paul Gardes po raz ostatni rozejrzał się po sterówce, wziął lornetkę od dyżurnego bosmana i wspiał się po drabince na mostek.

- Kapitan na mostku - powiadomił załogę. Natychmiast odsunięto kratę, aby mógł wejść do pomieszczenia.

- Dzień dobry, panie kapitanie - powitał go porucznik Legard. Gardes uśmiechnął się wesoło, co uwydatniło kurze łapki w kącikach jego szmaragdowych oczu. Gęste ciemnoblonde włosy miał zaczesane do tyłu, krócej niż zwykle przycięte i usztywnione żelem. Szczupły dowódca „Le Vigilanta” wydawał się znacznie potężniejszy w przeciwdeszczowym kombinezonie, tym bardziej że tors miał dodatkowo opasany uprzężą bezpieczeństwa. Gardes był pięknie opalony i sprawny fizycznie, niczym kapitan jachtu żaglowego, a nie okrętu podwodnego. Jednak dostrzegalne było tryskające z niego szczęście, na jego twarzy malowały się tego poranka wielka satysfakcja i duma.

Gardes był dzieckiem generała. Miał opinię dobrego stratega i taktyka, utalentowanego przywódcy, według zwierzchników był także urodzonym wojownikiem, kiedy jednak pojawiał się w cywilu na jakimś przyjęciu, ludzie byli zaskoczeni faktem, że to oficer marynarki wojennej. Okazywał bowiem ludziom prawdziwe ciepło i szczere zainteresowanie, był typem człowieka, który nie jest w stanie przejść obojętnie obok płaczącego dziecka. Z pewnością przyklęknąłby i zacząłby do niego przemawiać, uśmiechając się jednocześnie do matki i pytając ją, czy może otrzeć dziecku łzy. Jego żona Danielle twierdziła, że właśnie ta cecha przyciągała do męża jak magnes, jego głębokie współczucie i miłość, jakie okazywał bliźnim. Dzięki swojej osobowości robił błyskawiczną karierę we francuskiej marynarce wojennej, a admirałowie byli nim oczarowani niemal tak samo jak żona. Wspaniały charakter to za mało, żeby być dobrym oficerem. Gardes odziedziczył jednak jeszcze inne przymioty po ojcu generale - w tym wybitną inteligencję, której potrafił używać niepostrzeżenie dla tych, którzy bali się ludzi inteligentnych. Z wykształcenia był fizykiem jądrowym i reaktor okrętu nie miał dla niego tajemnic. Rówieśnicy kapitana żartowali, że zna on cząstki elementarne równie dobrze jak członków najbliższej rodziny.

Jean-Paul Gardes miał jeszcze jedną pozytywną cechę, której nigdy nie odnotowano w jego papierach, była to zdolność jasnowidzenia. Podobnie jak inni ludzie nie znał przyszłości, ale zdarzało się, że przeczuwał pewne wydarzenia. Przed trzema laty, tego samego poranka, kiedy admirał oznajmił Jean-Paulowi, że oddaje pod jego dowództwo okręt myśliwski „Emeraude”, Gardes, stojąc przy szafie z ubraniami, spojrzawszy na żonę, poklepał się po lewej kieszeni munduru, tam, gdzie dowódcy okrętów podwodnych noszą odznakę kapitana okrętu, i powiedział: „Przed zachodem słońca będę dowodził okrętem”. Sam nie wiedział, dlaczego wypowiedział te słowa, ale sześć godzin później w elegancko urządzonej gabinecie admirała usłyszał, że został mianowany dowódcą „Emeraude”. Miał natychmiast wypłynąć w rejs o kluczowym znaczeniu dla bezpieczeństwa Republiki Francuskiej. Następnego ranka był już na morzu, z rozkazami zatopienia północnokoreańskiego okrętu, który rzucił wyzwanie Japonii.

Jean-Paul miał także zadziwiającą zdolność odczytywania ludzkich myśli, oczywiście tylko czasami. Niespodziewanie potrafił przejrzeć człowieka na wylot, całkiem nieświadomie.

Nieraz zdarzało się, że ktoś przychodził do Gardes’a w jakiejś trudnej sprawie, a on od razu wiedział, co się stało i jak można temu zaradzić. Politycznych wrogów, którzy przeszkadzali mu od czasu do czasu w karierze, Jean-Paul Gardes neutralizował dzięki znajomości motywacji, jakimi kierował się każdy z nich. Czasem miał wrażenie, że zna ludzi lepiej, niż znają ich własne matki. Danielle roześmiała się kiedyś, gdy napomknął jej o tym. Popatrzyła na niego roziskrzonym od pożądania wzrokiem i odpowiedziała: „Jean-Paul, w pierwszej godzinie naszej znajomości odkryłeś we mnie rzeczy, których moja matka nawet nie podejrzewała”. Gardes uważał swój szósty zmysł za boski dar. Starał się go pielęgnować, zdając sobie sprawę z jego niezwykłości, ale nigdy nie polegał na nim, kiedy znajdował się w trudnej sytuacji. Miał przeświadczenie, że straci ów szczególny dar, jeśli tylko uzna go za coś oczywistego, danego mu raz na zawsze.

- Dzień dobry panom - odezwał się w drodze przez właz na zewnątrz kiosku na właściwy mostek, metr kwadratowy pokładu, ograniczony zdejmowanym relingiem z nierdzewnej stali.

Gardes przypiął swoją uprząż bezpieczeństwa do metalowego pierścienia na relingu. Legard podał mu drugą krótkofalówkę, na wypadek gdyby kapitan chciał porozmawiać z dowódcą innego okrętu albo oficerem doku.

- Oficer dyżurny, proszę o raport - odezwał się Gardes.

- Tak jest! Reaktor osiągnął moc krytyczną, napęd elektryczny podłączony, gotów do pracy pełną mocą. Główny obwód chłodzenia na krążeniu naturalnym, napęd na silnikach głównych. Grzejemy silniki. Ludzie przy wszystkich cumach gotowi. Maszty i peryskopy opuszczone do czasu, aż wypłyniemy z doku. Rozkazy na pokładzie wydane, trajektoria rejsu wyznaczona. Oficer doku melduje pełną gotowość. Obsługa wyciągarki gotowa. Nasza załoga pokładowa gotowa. Proszę o pozwolenie na zdjęcie trapu.

- Dziękuję - odparł komandor Gardes, kiwając głową. - Zdjąć trap.

- Jest, zdjęć trap - powtórzył zgodnie z procedurą Legard. - Oficerze doku - odezwał się przez krótkofalówkę - tu *Navale sousmairn*, odbiór.

- Potwierdzam, ruszajcie.

- Zdjąć trap.

- Potwierdzam, zdjęć trap.

Jacques Legard uniósł głowę i popatrzył, jak dźwig ponad nim odciąga trap od pokładu.

- Dok do okrętu, trap zdjęty - zameldował przez krótkofalówkę oficer doku.

- Panie kapitanie, proszę o pozwolenie na uruchomienie wyciągarek - powiedział Legard.

- Uruchomić wyciągarki - zgodził się Gardes, kiwając głową. Legard powiadomił przez krótkofalówkę nawigatora:

- Tu mostek, uruchamiamy wyciągarki.

- Tak jest, mostek, tu nawigator.

- Dok, tu okręt, uruchomić wyciągarki, odbiór - rozkazał przez krótkofalówkę Legard. Beauvais podał mu megafon. - Uwaga na pokładzie! - huknął Jacques. - Luzować cumy do wyciągarek! - Stojący na pokładzie marynarze zaczęli stopniowo luzować cumy, tak aby dwie liny nawijające się na bębny dwóch głównych wyciągarek po obu burtach okrętu mogły wyciągnąć okręt z hali przez otwarte wrota, za którymi czekał holownik.

„Le Vigilant” ruszył powoli, niemal niezauważalnie. Wydawało się, że stoi, tylko olbrzymi budynek zaczął się przesuwać. Legard widział obracające się powoli bębny wyciągarek. Wyjrzał przez prawą burtę, aby upewnić się, czy okręt nie zaczepi o przeciwległą ścianę doku, ale

odległość była wystarczająca. Odsunął na bok stojącego mu na drodze Beauvais'go i wyjrzał z kolei przez lewą burtę. I z tej strony było bezpiecznie.

Wkrótce dziób długiego „Le Vigilanta” znalazł się pod podniesionymi wrotami. Oświetliło go jaskrawe słońce. Granica światła i cienia przesuwiała się powoli po płaskim, czarnym kadłubie w stronę rufy.

- Dok do okrętu, wyciągarki zatrzymane.

- Uwaga na pokładzie! - rzucił przez megafon Legard. - Wybrać liny jeden i dwa! Zostać w gotowości do wybrania lin trzy i cztery!

Okręt nieco zwolnił, podczas gdy marynarze wybierali liny numer jeden i dwa, a obsługa doku zaczepiała na wyciągarkach liny trzy i cztery.

- Dok do okrętu - odezwała się po chwili krótkofalówka. - Jesteśmy gotowi do uruchomienia wyciągarek.

- Okręt do doku, uruchomić ponownie wyciągarki - polecił w odpowiedzi Legard.

„Le Vigilant” znów ruszył do przodu. Legard, Beauvais i marynarz na oku sięgnęli po okulary przeciwsłoneczne.

- Sterówka, tu mostek - odezwał się Legard. - Kiosk poza budynkiem. Możesz podnosić maszty.

- Sterówka do mostka - odpowiedział spod pokładu bosman Turnock. - Podnoszę peryskopy jeden i dwa, maszty radarowy i radiowy.

- Mostek do sterówki, potwierdzam. - Rozległ się odgłos siłowników hydraulicznych i ponad kiosk wysunęły się bliźniacze peryskopy, wysokie jak słupy telegraficzne. Podniósł się także maszt radarowy, a na końcu kiosku niewysoki maszt radiowy.

- Mostek, tu nawigator. Proszę o pozwolenie uruchomienia radaru - odezwał się Molyneux.

- Panie kapitanie, czy możemy uruchomić radar? - upewnił się Legard.

- Uruchomić radar - potwierdził Gardes.

- Mostek do nawigatora, uruchomić radar. Umieszczony na maszcie radar zaczął się obracać.

Jacques rozejrzał się po wodach zatoki. Holownik czekał nieruchomo, ustawiony równolegle do „Le Vigilanta”. Ten zwolnił znowu na chwilę, kiedy z budynku wysunął się cały garb ponad przedziałem rakietowym. Zamieniono znów liny na wyciągarkach, z trzeciej i czwartej na piątą i szóstą. W końcu cały okręt poza zanurzoną w wodzie rufą znalazł się w zatoce.

- Tu kapitan holownika „Champney” - odezwała się krótkofalówka. - Okręt, odbiór.

- Słyszę pana, kapitanie - potwierdził Legard.

- Proszę o zezwolenie na rzucenie lin na wasz dziób, od lewej burty. Będę ustawiony do was prawą burtą.

- Zezwalam - zgodził się Legard. - Staniecie prawą burtą do nas, przyjmujemy liny na dziobie, na lewej burcie.

Jacques ściągnął czapkę i otarł pot z czoła, po czym spojrzał na lewą burtę, żeby przekonać się, czy holownik prawidłowo pod pływa do okrętu; potem popatrzył w stronę rufy, jeszcze pół minuty i ster wysunął się z budynku.

- Dok do okrętu podwodnego - odezwała się krótkofalówka. - Gotów do oddania lin z wyciągarek. Miłego dnia i *bon voyage*.

- Okręt do doku, potwierdzam i dziękuję. Okręt wypłynął z budynku. - Jacques wychylił się ku rufie i rozkazał przez megafon. - Uwaga na pokładzie, wybrać liny pięć i sześć! - Opuścił megafon. - Podnieś banderę Republiki! - Marynarz na oku podniósł z tyłu kiosku trójkolorową banderę Republiki Francuskiej. Zgodnie z regulaminem okręt w tej chwili wypłynął z portu. Legard sięgnął pod pokład i znalazł umieszczoną na suficie dźwignię syreny. Pociągnął ją i w uszy marynarzy uderzył ogłuszający ryk. Teraz całe miasto wie, że wypływają. Trzymał dźwignię całe osiem sekund. Kiedy ją puścił, szumiało mu w uszach. - Panie kapitanie, „Le Vigilant” odbił od nabrzeża - zameldował przez ramię.

- Doskonale - odparł zadowolony Gardes. On i jego okręt znowu znaleźli się w swoim naturalnym żywiole.

- Mostek do nawigatora, okręt opuścił dok - powiadomił przez mikrofon Legard, spoglądając na lewą burtę.

- Tak jest.

- Mostek do sterowania napędem atomowym. Bądź gotów do odbioru rozkazów.

- Sterowanie napędem atomowym do mostka - odpowiedział głośnik głosem Emile'a Everarda. - Gotów do odbioru rozkazów.

Legard popatrzył jeszcze raz na wody zatoki, aby ocenić prąd i stan morza.

- Mostek do steru, ster lewo na burt, jedna trzecia naprzód! - rozkazał.

- Jest ster lewo na burt, jedna trzecia naprzód! - rozległ się młodzieńcy głos sternika.

- Okręt do holownika, ustaw ster lewo na burt, jedna trzecia naprzód. Kapitan holownika potwierdził rozkaz, a jego maszyny ruszyły nieco

energiczniej. Legard popatrzył ku sterowi, żeby upewnić się, iż sternik nie pomylił kierunków. Gdyby tak się stało, Legard mógłby nie zdążyć zareagować; dlatego właśnie starannie dobierano obsadę wachty do manewrów. Tarcza busoli wskazywała, że okręt płynie niemal prosto na północ. Igła drgnęła, „Le Vigilant” zaczął skręcać w portowym kanale.

- Mostek do steru, ustabilizuj kurs na dwa siedem osiem.

- Ster do mostka, tak jest, stabilizuję kurs na dwa siedem osiem. Świat obracał się wokół kiosku. Droga wolna, na Atlantyku widać było jedynie kilkanaście jachtów. Piękny dzień na pływanie pod żaglami.

- Mostek, tu ster, mijamy kurs dwa osiem osiem, dziesięć stopni od zleconego - zameldował sternik.

Olbrzymi budynek MLF zaczął się stopniowo zmniejszać. Okręt przestawał skręcać.

- Ster do mostka, ustabilizowałem kurs na dwa siedem osiem.

- Potwierdzam - rzucił Legard. - Ster stop! Uwaga na pokładzie! Oddać liny holownikowi! Panie kapitanie holownika „Champney”, proszę odebrać liny i odsunąć się. Dziękuję panu; miłego dnia.

- Tu kapitan holownika „Champney”. Potwierdzam. *Bon voyage*. Odwinięto z knag liny holownika. Po chwili holownik dał podwójny sygnał syreną i ostro zawrócił na południe.

- Uwaga na pokładzie! Zabezpieczyć pokład do rejsu na otwartym morzu! - rozkazał Legard. Marynarze na pokładzie zaczęli chować cumy i tak ustawiać knagi, aby nie stawiały zbędnego oporu. Po chwili nic nie wskazywało na to, że „Le Vigilant” cumował w porcie. Porucznik Legard wciągnął w nozdrza słony zapach morza. Wiała łagodna bryza, dzięki której mniej dokuczał mu kac. - Ster, tu mostek, dwie trzecie naprzód! - rozkazał Legard. Tak nieznaczny wzrost prędkości nie był niebezpieczny dla marynarzy na zewnętrznym pokładzie. Kiedy skończyli pracę na dziobie, przeszli ku rufie, aby dołączyć do tych, którzy chowali cumy na wysokości końca przedziału raketowego.

- Uwaga mostek! - zawołał z pokładu bosman kierujący pracami. - Pokład gotów do rejsu na otwartym morzu, z wyjątkiem wjazdu przedziału raketowego! Wachta pokładowa schodzi pod pokład!

- Dobrze! - odkrzyknął Legard, odkładając megafon. W końcu będzie można przyspieszyć i rozpocząć patrol.

- Sterówka do mostka - odezwał się głos bosmana Turnocka. - Wachta pokładowa w całości pod pokładem, wjazd zamknięty i zabezpieczony.

- Mostek do sterówki, potwierdzam. - Legard się odwrócił. - Panie kapitanie, pokład zabezpieczony i gotowy do rejsu na pełnym morzu. Zwiększam prędkość zgodnie z rozkazem operacyjnym.

- Doskonale - odpowiedział Gardes.

- Mostek do steru, cała naprzód.

„Le Vigilant” przyspieszył, wywołując ogromną falę dziobową, eliptyczny dziób rozcinał morze, woda spływała po przednim pokładzie aż do końca garbu, za którym tworzyły się wiry. Wiatr wzmagał się, trudno było rozmawiać inaczej niż krzykiem. Odgłosy wiatru z szumem fali dziobowej tworzyły swoistą muzykę morza. Za plecami kapitana okrętu obracał się spokojnym, równym rytmem radar, a za nim łopotą wściekle na wietrze flaga Republiki.

Capitaine de Fregatę, komandor, Jean-Paul Gardes zapalił cygaro. Z poważną miną skłonił głowę, polecając tym samym pierwszemu oficerowi Courcelle'owi rozpoczęcie odprawy, na której miały zostać omówione cele i przebieg misji. Oficerowie zebrali się w mesie oficerskiej. Oczy wszystkich były w tej chwili utkwione w mapę zachodniego Atlantyku wyświetlaną z projektora na rufowej przegrodzie mesy. Gardes zajął miejsce u szczytu stołu, Courcelle siedział po prawej stronie kapitana, zaś po lewej Capitaine de Corvette, komandor podporucznik, Aymeric Teisseire, pierwszy mechanik. Miejsce obok Courcelle'a było puste, należało do nawigatora, który miał za chwilę opisać oficerom trasę rejsu. Koło Teisseire'a siedział oficer uzbrojenia Bertrand De Lorme. Na samym końcu siedział oficer do spraw zaopatrzenia, zaś pomiędzy nim a dowódcami sekcji zajmowali miejsca młodszy oficerowie okrętu, nadstawiając pilnie uszu. Wszyscy mieli przygotowane notatniki. Steward podał filiżanki z kawą. O to właśnie chodzi, pomyślał Gardes. Załoga powinna być gotowa i czuwać w napięciu, jak gotowy do skoku tygrys.

- Proszę zaczynać, kiedy będzie pan gotowy, nawigatorze - polecił Courcelle.

Komandor podporucznik Adrian Molyneux, nawigator okrętu, stanął przy mapie z laserową wskazówką. Molyneux był średniego wzrostu, potężnej budowy ciała. Kiedy nie pełnił wachty, na przemian biegał wokół maszynowni i ćwiczył z ciężarami. Miał ciemną cerę, wyraźnie odznaczający się kruczoczarny zarost i idealne, niemal kobiece rysy. Gdyby nie zarost i biegnąca ukośnie przez prawy policzek blizna, każda kobieta mogłaby pozazdrościć mu takiej twarzy. Ciemne oczy nawigatora ocieniały długie rzęsy pod symetrycznymi łukami brwi, policzki zdawały się wykute przez klasycznego rzeźbiarza, nos lekko zaokrąglony, pełne usta, zęby białe, duże i równe, szczęka wyrazista, ale proporcjonalna, włosy czarne i błyszczące, zaczesane do tyłu. Uroda Adriana Molyneux od zawsze była przedmiotem żartów załogi, jednak zdawał się nimi nie przejmować. Ostatnio zresztą ożenił się z niedawno poznaną kobietą, ciemnowłosą piękną o imieniu Anad's. Przed tygodniem wrócili z podróży poślubnej. W tej sytuacji marynarze spekulowali na głos, czy nawigator wciąż będzie z takim samym zapalem jak dawniej wykonywał ćwiczenia fizyczne. Jednak on nie reagował na to zupełnie, co zniechęcało dowcipniśców. Gardes podejrzewał, że jego nawigator dlatego wkłada tyle wysiłku w ćwiczenia siłowe, aby mieć bardziej męski wygląd. Musiał mieć dość zdziwienia, jakie wszędzie budziła jego dziewczęca twarz. Dla Gardes liczyło się tylko to, że Adrian Molyneux był znakomitym nawigatorem. Bezblędna nawigacja ma

kluczowe znaczenie dla powodzenia misji okrętu podwodnego przenoszącego rakiety balistyczne. Nie da się bowiem trafić międzykontynentalną rakieta w cel, jeśli nie jest znane położenie wyrzutni, z dokładnością do kilku metrów. Mawiano o nim, że można by mu zawiązać oczy, obrócić go dziesięć razy wokół osi i wypuścić w ciemnym, zadymionym klubie nocnym, a on i tak natychmiast znalazłby drogę do najpiękniejszej kobiety na sali. Wygląd Anad's w pełni to potwierdzał. Nikt nie miał teraz wątpliwości, że ród Molyneux wcześniej czy później powiększy się o nadzwyczajnej urody dzieci. Adrian Molyneux znany był również z tego, że wiecznie okazywał niepokój. Gardes widział go uśmiechniętego nie więcej niż dwa razy. Molyneux miał zwyczaj trzymania pięści przed zaciśniętymi ustami. Wyglądało to tak, jakby chciał ugryźć się w palce, i w sposób oczywisty wynikało z odczuwanego niepokoju. Gardes wiedział, iż załoga może przez to uznawać nawigatora za tchórza, co nie było dobre. Być może żona zdoła go uspokoić, pomoże mu nabrać pewności siebie?

Obok miejsca przeznaczonego dla Molyneux'go siedział z zadowoloną miną komandor podporucznik Bertrand De Lorme. De Lorme był wyższy niż Molyneux, ale niższy od Courcelle'a i Gardes'a, miał smukłą budowę ciała i był prawie łysy. Cztery lata starszy od Gardes'a, rozpoczynał służbę w stopniu zwykłego marynarza, jako technik raketowy. Szybko awansował na kolejne stopnie podoficerskie, aż wreszcie z podoficera stał się oficerem, co zdarzało się rzadko.

Przed tygodniem Gardes i Danielle byli u De Lorme'a na proszonym obiedzie. Wówczas komandor Gardes poznał żonę swojego oficera uzbrojenia. Veronique De Lorme była o kilka lat starsza od męża; starzała się jednak pięknie, siwe pasemka włosów dodawały jej jedynie atrakcyjności. Dzieci De Lorme'ów były już nastolatkami - szczupły i wiecznie nadąsany Matthieu miał piętnaście lat, a wygadana Marlenę - trzynaście. Gardes, mimo że celowo wyęczał swój szósty zmysł, nie był jednak w stanie zajrzeć do wnętrza duszy tego opanowanego, małomównego człowieka.

Oficer uzbrojenia jest bardzo ważną postacią na takim okręcie jak „Le Vigilant”, w przypadku konieczności użycia rakiet ma taką samą władzę jak kapitan. To De Lorme'owi podlegała obsługa wyposażonych w głowice termojądrowe rakiet M45, które mogły przelecieć na drugą stronę kuli ziemskiej i zmieść z powierzchni ziemi miasta każdego państwa, które ośmieliłoby się spróbować zniszczyć Francję. Tak straszliwej siły nie oddawano nigdy w ręce przypadkowego człowieka. Nie wystarczyło być opanowanym, lojalnym wobec przełożonych, utalentowanym, nie wystarczyło nawet być wiernym patriotą. Oficerów uzbrojenia francuskich Oceanicznych Sił Strategicznych starannie dobierano. Wywiad

badał ich przeszłość, przyglądał się ich życiu, analizował ich osobowości, tak aby mieć pewność, iż nie zabraknie im zarówno powściągliwości, jak i zdecydowania, kiedy trzeba będzie odpalić śmiertelne rakiety, które zabiją miliony ludzi, nie tylko wrogów Francji, ale także niewinne kobiety i dzieci. Niewielu oficerów było w stanie znieść brzemień takiej odpowiedzialności, jednak De Lorme wydawał się Gardes'owi najbardziej dojrzałym człowiekiem, jakiego w życiu poznał. Odpowiedzialność za rakiety „Le Vigilant” złożono zatem na barki właściwego człowieka.

Każdy z siedzących przy stole młodszych oficerów był za to bardzo żywiołowy, i wszyscy byli kawalerami. Najstarsi, pięciu oficerów w stopniu kapitana lub porucznika, którzy kierowali życiem na okręcie, trzymali się oddzielnie. Każdy z nich zgłosił się na „Le Vigilant”, zanim jeszcze ukończono budowę okrętu. Pierwszemu mechanikowi Teisseire'owi podlegało dwóch, główny asystent do spraw napędu Jacques Legard i asystent kontroli uszkodzeń Emile Everard. Dalej siedział oficer łączności Michel Gannt podlegający nawigatorowi. Następne miejsca zajmowali podlegający oficerowi uzbrojenia oficer sonaru Victor Vasser i oficer od rakiet Remy Sanaxy. Pomiędzy kapitanami a dowódcami sekcji siedzieli młodszy oficerowie, podporucznicy. Każdy z nich spędził na pokładzie „Le Vigilanta” około roku i uczyli się jeszcze pracy na okręcie podwodnym. Dwaj podlegali Nosorożcowi, czyli pierwszemu mechanikowi, oficer urządzeń elektrycznych Tristan Cholmondeley i asystent sterowania reaktorem Henri Rousseau. Oficer torpedowy Roland Beauvais podlegał De Lorme'owi, zaś podporucznik Gerard Ramsden był prawą ręką Molyneux'ego. Ciekawe, jak młodszy oficerowie upodabniają się do swoich przełożonych. Ludzie Nosorożca byli agresywni i niespokojni. Dwaj oficerowie podlegli Molyneux'emu byli bardziej nieśmiali i uważnie słuchali w milczeniu, kiedy się do nich mówiło. Zaś chłopcy De Lorme'a byli spokojni i małowinni, może nieco zadzierali nosa. W końcu odpowiadali za rakiety i torpedy najgroźniejszego okrętu wojennego, jaki kiedykolwiek zbudowano.

- Dzień dobry panom - powiedział Molyneux. - Płynąc założonym kursem, przemieścimy się z Brestu o tutaj - pokazał - przez wschodnią część Atlantyku. W tym miejscu napotkamy „wrogi” okręty, w rzeczywistości należące do NATO. - Pomarańczowe światło wskazywało punkt na mapie. - Prawdopodobnie w tym rejonie będzie czekał w zanurzeniu kordon naszych okrętów myśliwskich rozstawionych wzdłuż trajektorii tego rejsu. Jeśli uda nam się im wymknąć, napotkamy następnie brytyjskie okręty podwodne, prawdopodobnie w osobnej strefie, aby mogły

operować niezależnie od francuskich. A za Anglikami czekają na nas dwa amerykańskie okręty myśliwskie, jeden jest ulepszonym okrętem klasy Los Angeles, ze zmodernizowanym sonarem, zaś drugi to okręt klasy Virginia.

- Mam pytanie, panie nawigatorze - odezwał się Legard.

- Słucham.

- Gdybyśmy byli algierskimi terrorystami, czy nie zatonielibyśmy od razu w pobliżu Brestu, podczas próby zanurzenia okrętu? Przecież terroryści nie potrafią sterować okrętami podwodnymi.

- Być może - odparł Molyneux, kiwając głową. - Admirałowie są jednak zdania, że gdyby okręt postanowili opanować terroryści, byłiby to dobrze wyszkoleni fachowcy. Nie Francuzi, ale ludzie z zagranicy. Na przykład Chińczycy z któregoś z chińskich okrętów nosicieli rakiet.

- Ale gdyby nasz okręt opanowali terroryści zdeterminowani odpalić raketę na Paryż, czy nie wystrzeliliby jej od razu stąd? - wypytywał Legard. - Przecież w ten sposób uniknęliby spotkania z jakimikolwiek okrętami myśliwskimi.

- Dobre pytanie - przyznał Molyneux. - Jednak nawet fachowcy muszą zapoznać się z nowym okrętem i przenoszonymi przezeń raketami, aby być w stanie je odpalić. Planując nasze ćwiczenia, założono, że zajmie to terrorystom około ośmiu dni. Przez ten czas musi dojść do spotkania z okrętami myśliwskimi. Jeśli więc ich nie pokonamy, znajdziemy się na dnie.

- Według tych założeń terroryści są tak dobrzy jak my - zauważył Legard.

- Niech im będzie - stwierdził Molyneux. Wskazał rejon czuwania okrętów amerykańskich. - Dwa amerykańskie okręty będą dla nas największym wyzwaniem, panowie - kontynuował odprawę. - Z naszymi poradzimy sobie bez kłopotu, bo są starsze i głośniejsze, poza tym znamy taktykę własnej marynarki. Brytyjczycy będą deptać nam po piętach, ale według danych naszego wywiadu elektronicznego mamy nad nimi przewagę sześciu decybeli. Natomiast jankesi są podobnie cisi jak my. Bazując na tej wiedzy, nasz kapitan oparł swoją taktykę pokonania Amerykanów. Panie kapitanie - Molyneux zwrócił się z uśmiechem do Gardes'a - czy mógłby pan omówić naszą taktykę przeciwko amerykańskim okrętom?

- Jest prosta - odpowiedział z uśmiechem Gardes. - Panie Cholmondeley, co zrobić, żeby okręt bardziej hałasował?

- Najgłośniejsze jest chyba wypuszczenie pary z generatora, panie kapitanie - odparł ze wzruszeniem ramion oficer do spraw obwodów elektrycznych. - Rozgrzana do wysokiej temperatury para, pod ciśnieniem wypuszczona za burtę do wody o temperaturze bliskiej zeru, powinna spowodować hałas słyszalny przez sonary z odległości stu mil. Można jeszcze wypuszczać spaliny z diesla przez chrapy. Okręt płynący na silniku Diesla słyhać chyba z takiej samej odległości jak wyrzut pary. A może z jeszcze większej.

- Nie o to mi chodzi. A co pan na to, panie Legard?

- Pan kapitan pewnie myśli, co zrobić, żeby okręty nieprzyjacielskie bardziej hałasowały. W tym celu należy je skłonić do przyspieszenia.

- Otóż to, poruczniku. Panowie, zmuszone do zwiększenia prędkości okręty amerykańskie będą hałasować bardziej niż my, co jest bardzo istotne z punktu widzenia wykrywalności okrętu pod wodą. Jeśli Amerykanie będą płynąć szybko, a my powolutku, usłyszymy ich znacznie wcześniej niż oni nas. Czy to jasne?

Oficerowie pokiwali głowami.

- To dobrze. Panie De Lorme - kontynuował Gardes - jak zmusiłby pan nieprzyjacielski okręt podwodny do zwiększenia prędkości?

- Pewnie wystrzeliłbym w niego torpedą - odparł oficer uzbrojenia.

- To byłoby skuteczne - przyznał z ironicznym uśmiechem Gardes - ale zbyt agresywne jak na nasz okręt. Powinniśmy działać subtelnie. Może pan Molyneux udzieli nam właściwej odpowiedzi?

- Amerykanie, żeby nas wykryć, będą posuwać się kursem niemal równoległym do przewidywanego naszego. Chcąc przeszukać tak duży obszar, być może wykraczający nawet daleko poza nasze wody terytorialne, muszą posuwać się z prędkością od ośmiu do dwunastu węzłów. Może nawet piętnastu. W każdym razie my musimy mieć zdecydowanie niższą prędkość niż dziesięć węzłów. Dwa węzły, tylko tyle, ile potrzeba dla zachowywania kursu i ciągnięcia prosto anteny wleczonej. Jeżeli dwa równie ciche w sensie konstrukcyjnym okręty płyną z różnymi prędkościami, jeden dziesięciu, a drugi dwóch węzłów, który wygra bitwę?

- My! - stwierdził Nosorożec, uderzając pięścią w stół, aż podskoczyły filizanki z kawą,

Gardes uśmiechnął się i wypuścił kłęb dymu z cygara. To będzie udana misja, pomyślał. Amerykanie wkrótce zostaną upokorzeni.

Odezwał się telefon, dzwoniło ze sterówki. Komandor Dillinger podniósł słuchawkę i zerknął na chronometr. Była za kwadrans czwarta rano czasu uniwersalnego.

- Słucham, tu kapitan - odezwał się.

- Panie kapitanie, tu oficer dyżurny - odpowiedział w słuchawce głos Merca, nawigatora. - Sonar wykrył nowy obiekt, sierra pięć siedem, na wschodnim północnym wschodzie, prawdopodobnie zanurzony okręt podwodny.

Może misja zakończy się szybciej, niż sądziliśmy? - pomyślał z uśmiechem Burke.

- Obsadzić ciche stanowiska bojowe - rozkazał.

Wyłączył notebooka, przeciągnął się i spokojnym krokiem ruszył do sterówki. Kiedy wszedł, Steve Flood podał mu bezprzewodowy zestaw słuchawkowy. Burke stanął na mostku, podwyższeniu obok peryskopów, z którego było dobrze widać stanowiska bojowe oraz jeden z ekranów sonaru. Pełniący wachtę szybko obsadzili stanowiska. Komandor założył słuchawkę i włączył mikrofon. Zestaw miał tylko jedną słuchawkę, aby używający go oficer słyszał głosy otaczających go w sterówce ludzi, głośniki systemu 7MC, głośniki sygnalizacyjne radaru i hydrofony sonaru.

- Kapitan do sonaru - odezwał się Dillinger - melduj o wszystkich wykrywanych obiektach.

- Tak jest - odpowiedział głębokim głosem bosman Tom Albanese. Albanese był wesołym, muskularnym trzydziestoczterolatkiem o gęstych, płomieniście rudych włosach. Był średniego wzrostu, przystojny, jego męska twarz o regularnych rysach nadawałaby się na plakat zachęcający do wstąpienia do marynarki. Miał duże niebieskie oczy i sympatyczny wygląd, bardzo często się uśmiechał. Zawsze trzymał w ustach papierosa francuskiej marki Gauloises. Jego koledzy z obsługi sonaru żartowali, że w masce przeciwwgazowej Toma znajduje się specjalny otwór na papierosa.

Albanese był kawalerem o nie najlepszej reputacji, kiedyś został przyłapany w łóżku z żoną ówczesnego oficera do spraw obwodów elektrycznych. Rozdzielił on kochanków i podbił oko zarówno Tomowi, jak i swojej żonie. Tydzień później porzucił żonę i okręt, przechodząc do służby na lądzie. Dillinger zastanawiał się, czy odnotować ten incydent w kartotece Albanese'a. Gdyby to zrobił, zdolny bosman miałby zrujnowaną karierę. Gdyby jednak nic nie napisał, umożliwiłby mu tym samym dalsze wyskoki.

Burke nie miał wątpliwości, jak na zaloty bosmana zareagowałaby Natalie. Osobiście wytrzebiłaby go z wyrzutni torped. Na nic by się nie zdały wszelkie próby negocjacji. Poprzedni pierwszy oficer „Hamptona” stwierdził, że Albanese jest niereformowalny. Prędzej dałby się zabić, niż zrezygnowałby z palenia, uwodzenia kobiet i obsługi swojego BQQ-5.

Każdy inny człowiek nie miałby szans utrzymania się na takim stanowisku, jednak Toma ratowały wyjątkowe zdolności, chyba już urodził się sonarzystą. W rekordowym czasie zakwalifikował się do służby na okręcie, zaś obsługę BQQ-5 opanował do perfekcji w czasie wprost niewyobrażalnie krótkim. Podczas poprzedniego rejsu jako młody bosman lepiej radził sobie z sonarem niż jego koledzy w stopniu starszego bosmana, dorównując umiejętnościami swojemu przełożonemu, starszemu bosmanowi sztabowemu. Albanese miał wprost nadnaturalną zdolność wykrywania okrętów podwodnych, wychwytyjąc ich odgłosy spośród bezładnego szumu tła. Za pomocą sprzężonego z sonarem komputera znajdował okręty w wodzie niczym igły w stogu siana. Im dłużej Dillinger go znał, tym większą miał ochotę pomóc mu w dalszych awansach, mimo że tak fatalnie się prowadził.

- Mostek, tu sonar, wykryłem nowy obiekt, sierra dwanaście, azymut zero siedem osiem, bez wątpienia jest to zanurzony francuski okręt podwodny klasy Triumphant!

- Koordynator - odezwał się do mikrofonu Burke, spoglądając w stronę Flooda - obliczyć kurs na oddanie strzału.

- Tu koordynator, obliczyć współrzędne do oddania strzału - powtórzył pierwszy oficer. - Nawigator, oficer kierowania ogniem, wykonać.

- Tak jest - potwierdził Merc.

- Tak jest, tu stanowisko dwa - odezwał się ze swojego stanowiska kapitan Mickey Selles.

Flood nachylił się nad stanowiskiem Sellesa, a potem podszedł do nawigatora.

- Panie kapitanie, współrzędne obliczone - zameldował. - Zalecam oddanie strzału.

- Uruchomić procedurę oddania strzału - oznajmił głośno do mikrofonu Burke. Jego głos rozległ się wyraźnie w całej sterówce. - Wyrzutnie główne jeden i dwa, strzał poziomy, wyprzedzenie jeden stopień, odstęp pomiędzy strzałami, jedna minuta.

Pełniący wachtę ludzie meldowali kolejno o gotowości do oddania salwy torpedowej.

- Okręt gotowy - mruknął Scottson pełniący funkcję oficera dyżurnego.

- Wyrzutnie gotowe - rzucił Tonelle od strony stanowisk kontroli uzbrojenia.

- Współrzędne gotowe - powiadomił Flood.

- Wyrzutnia jeden, strzał w obliczonym kierunku! - rozkazał Dillinger. Serce mu przyspieszyło. Czekał na odgłos wyrzutni, jak sprinter czeka na strzał z pistoletu startowego.

- Gotów! - zakomunikował Selles, wprowadzając naciśnięciem przycisku obliczony kurs torpedy do jej komputera pokładowego.

- Czekam! - zameldował Tonelle, przekręcając stalową dźwignię spustu z pozycji „na godzinę dwunastą” w położenie „na dziewiątą”.

Teraz i torpeda była „gotowa”, jak głosił napis koło dźwigni, to znaczy odłączony został przewód doprowadzający dane i uzbroił się w pełni system napędu torpedy.

- Ognia! - zawołał Dillinger.

- Strzelam! - potwierdził Tonelle, przekręcając dźwignię w położenie „strzał”.

Rozległ się nagle głośny gwizd, a potem głuche uderzenie, które zatrzęsało pokładem i rozbrzmiało jak grzmot w uszach Dillingera. Ziewnął, aby wyrównać ciśnienie po obu stronach bębneków uszu, podczas gdy do wnętrza okrętu powróciło powietrze, które przed chwilą wypchnęło torpedę.

- Sonar do mostka - zameldował w słuchawce Albanese. - Słyszę naszą torpedę, strzał normalny.

- Wyrzutnia numer dwa - rozkazał Burke - strzał w obliczonym kierunku!

Po raz drugi rozległ się szum, a po nim głuchy huk, i Burke znowu poczuł się, jakby ktoś jednocześnie uderzył go pięściami w oboje uszu.

- Sonar do mostka, słyszę drugą z naszych torped, strzał normalny.

- Dobrze, sonar.

Dillinger znowu ziewnął, aż odetkały mu się uszy. A potem cofnął się od relingu mostka, zadowolony z siebie. Dwie torpedy zmierzały do celu. Za mniej więcej dziesięć minut powinny rozleć się dwie eksplozje ślepych głowic oznaczające koniec ćwiczeń. Pozostanie tylko napisać

raport z patrolu, zdać raport ustnie, co zajmie około dwóch godzin, i pojechać do domu. Burke wyobrażał już sobie, jak wraca do Natalie, przy której było jego miejsce, tam, w Norfolk. Obiecał sobie, że nie wypłynie więcej z portu, jeśli Natalie i ich dziecko nie będą bezpieczni. Następnym razem niech płynie „Hamptonem” Steve Flood.

Komandor Gardes uśmiechnął się do pierwszego oficera. Stali w pełnej ludzi sterówce okrętu.

- Chyba dobrze nam idzie, Polarny Niedźwiedziu - odezwał się Gardes. - Wpadli w naszą pułapkę.

- Świetna robota, panie kapitanie - zgodził się Courcelle. Pochylił się nad ekranem systemu kierowania ogniem, a potem znowu popatrzył na kapitana. - Plan taktyczny alfa działa. Po wyrzuceniu urządzenia odwracającego uwagę nieprzyjaciela będziemy mieli wolną drogę do wycofania się. Zalecam odpalenie urządzenia.

- Stanowisko kierowania ogniem - odezwał się do mikrofonu Gardes - przygotować wyrzutnię numer dwa do wystrzelenia urządzenia odwracającego uwagę nieprzyjaciela, według planu alfa.

- Urządzenie odwracające uwagę gotowe w wyrzutni numer dwa, panie kapitanie - zameldował De Lorme.

- Strzał w obliczonym kierunku - rozkazał spokojnie Gardes, wpatrując się w ekran sonaru.

- Mostek, tu sonar - zawołał Albanese głosem, w którym było słycać dziwny niepokój. Burke pomyślał, że coś źle idzie. Spojrzał na ekran sonaru. Echo o częstotliwości dwustu sześćdziesięciu sześciu herców pozostało na swoim miejscu, ale stało się podwójne. Z nierównej linii oznaczającej szumy tła wyrastały bliźniacze „wieże” sygnału.

- Słucham, sonar - powiedział Dillinger.

- Mamy przerywany sygnał Echa Jeden, ton o częstotliwości dwa-sześć-sześć stał się podwójny.

- Dziękuję, sonar - odpowiedział Dillinger, zastanawiając się, co to znaczy.

- Sonar do mostka, mamy dwa główne echa - zameldował Albanese.

- Słucham? Powtórz, sonar.

- Panie kapitanie, myślę, że Echo Jeden odpalił urządzenie, które ma nas zmylić, dźwiękową makietę okrętu. Oba echa brzmią tak samo.

Dlatego sygnał jest przerywany, nakłada się.

- Sonar, czy między sygnałami jest pewien odstęp kątowy? - spytał Dillinger.

- Sonar do kapitana, jest odstęp, być może Echo Jeden zygzakuje. Szum Echa Jeden robi się coraz głośniejszy i brzmi trochę inaczej.

- Cholera! Sonar, nazwij lewy kontakt Echem Dwa, a prawy Echem Trzy.

- Tak jest. Być może zarówno Echo Dwa, jak i Echo Trzy zygzakują. Jeden zwiększa częstotliwość, drugi zmniejsza. Zdaje się, że Echo Dwa skręca w naszą stronę, a Echo Trzy w przeciwnym kierunku.

- Stanowisko numer dwa, śledź Echo Dwa jako nowy kontakt - rozkazał Flood, kręcąc głową. - Załóż wstępnie odległość i okres zygzakowania taki, jaki miało Echo Jeden. Stanowisko numer jeden, śledź Echo Trzy, te same założenia.

Kapitan Philly Breckenridge przy stanowisku numer jeden otrzymał teraz dane z sonaru, aby móc śledzić prawy cel obecnie położony w kierunku 071. Selles przy stanowisku drugim namierzał lewy cel, którego azymut wynosił teraz 067. Dillinger popatrzył ponad ramieniem Sellesa na ekran pomiędzy stanowiskami. Oba sygnały były bardzo silne, zajmowały całą wysokość ekranu. I nie osłabną, dopóki nieprzyjaciel nie przestanie manewrować.

- Dobrze - odezwał się Burke. - Sekcja kierowania ogniem, uwaga. Zamierzam śledzić zarówno Echo Dwa, jak Echo Trzy. Kiedy przestaną zygzakować i ustabilizują kursy, nakierujemy na nich nasze torpedy. Ponieważ mamy już dwie w wodzie, skierujemy każdą z nich ku innemu z celów. Nieważne, które echo to okręt, a które jego dźwiękowa atrapa. Kiedy oba ustabilizują kursy, ustalimy dokładnie ich odległość. Oficerze uzbrojenia, proszę uzbroić w torpedy wyrzutnie trzy i cztery i przygotować je do odpalenia.

Ten cholerny francuski okręt rozmnaża się przez podział, pomyślał Burke, ale to mu nie pomoże. Dobrze, że odpaliliśmy w niego dwie torpedy, a nie jedną, nie muszę teraz wybierać celu.

- Mostek, tu sonar, wzrasta odstęp między sygnałami.

- Potwierdzam - odpowiedział pełnym napięcia tonem Dillinger. Był zirytowany. Za chwilę trzeba będzie zacząć kierować obiema torpedami, inaczej żadna nie trafi w cel. - Koordynator, podaj status zygzakowania.

- Cele ciągle manewrują - odpowiedział Flood, marszcząc brwi. - Zalecam zwolnić bieg torped, żebyśmy mogli ustalić nowe współrzędne.

- Dobrze - zgodził się Dillinger. - Drużyna kierowania ogniem, zwolnić bieg torped jeden i dwa do minimalnej prędkości. Kapitan do sonaru, zwalniam nasze torpedy zgodnie z zaleceniem koordynatora kierowania ogniem.

- Tak jest.

Burke czekał. Na jego czole pojawiły się krople potu.

- Tu stanowisko dwa, ustaliłem położenie celu - zameldował Selles.

- Tu stanowisko jeden, ja też ustaliłem położenie celu - zawtórował Breckenridge.

- Chłopcy namierzyli cele - odezwał się Merc. - Panie kapitanie, namierzyliśmy cele, zalecam kurs dwa osiem zero, zwrot w prawo.

Dillinger popatrzył na stanowisko trzecie i poklepał w ramię Sellesa, który zmienił ustawienia swojego ekranu z amplitudy odbieranych sygnałów na widok „geograficzny”. Było jasne, że cele przestały przemieszczać się na zachód. Wolniej powracające dzięki efektowi Dopplera sygnały wskazywały, że Echo Trzy zmierza na północ. Echo Dwa skręcił tymczasem ku „Hamptonowi”, płynąc na południe. Należało więc zrobić zwrot na zachód, aby sferyczna antena sonaru przecięła azymuty, na których znajdowały się cele; wtedy będzie można poznać ich rzeczywiste prędkości i kierunki ruchu. Płynące na północny zachód torpedy zwolniły tymczasem do osiemnastu węzłów. Oszczędzały w ten sposób energię i czekały na sygnały, które zmienią ich kursy.

- Ster lewo na burt, dwie trzecie naprzód, ustabilizuj kurs na dwa osiem zero. Sonar, tu kapitan. Robię zwrot na dwa osiem zero, skręcam ku celom.

- Tu sonar, potwierdzam.

Dillinger rozkazał przyspieszyć podczas wykonywania zwrotu, aby manewr przebiegł szybko. Zamierzał ustabilizować kurs i wtedy znów zwolnić. Postukał sygnetem Akademii Marynarki w reling mostka. Ręka mu drżała. Spokój! - rozkazał sam sobie.

- Mijamy kurs na północ, panie kapitanie - zameldował sternik.

- Dobrze - odpowiedział Burke, starając się zachować pewny ton głosu.

- Mijamy kurs trzy zero zero, skręcamy w prawo.

- Ster, jedna trzecia naprzód - polecił Dillinger i okręt zaczął skręcać wolniej.

- Tu manewry, jedna trzecia naprzód - usłyszał komandor. - Mijamy kurs dwa dziewięć zero, dziesięć stopni od zaleconego, kontruję sterem.

- Bardzo dobrze.

- Panie kapitanie, ustabilizowałem kurs na dwa osiem zero.

- Kapitan do sonaru, stabilny kurs dwa osiem zero, melduj o wszystkich obiektach.

Albanese odczytywał dane. Po długiej chwili zameldował.

- Mostek, tu sonar, wykrywamy Echo Dwa i Echo Trzy anteną wleczoną.

- Koordynator, wyceluj w oba echa - rozkazał Dillinger. Jeśli nieprzyjaciel nie wykona zwrotu, powinni go trafić. Było jednak oczywiste, że Francuzi dlatego wypuścili akustyczną atrapę swojego okrętu, że usłyszeli „Hamptona”.

- Obliczyliśmy współrzędne celów Dwa i Trzy - zakomunikował półtorej minuty później Flood. - Echo Trzy, odległość piętnaście tysięcy metrów, azymut zero cztery dziewięć, kurs na północ, prędkość, osiem węzłów. Echo Dwa, odległość dziesięć tysięcy metrów, azymut zero siedem dwa, kurs na południe, prędkość osiem węzłów. Obliczyliśmy trajektorie dla torped jeden i dwa, jedynka powinna przyspieszyć i zmienić kurs na zero cztery zero, dwójka przyspieszyć i zmienić kurs na jeden jeden zero. Proszę o pozwolenie na wysłanie sygnału torpedom.

- Dobrze, proszę przesłać sygnał torpedom.

Tonelle przyspieszył torpedy i nadał im nowe kursy.

- Mostek, tu sonar, straciliśmy Echo Trzy - zameldował Albanese. Dillinger skinął głową. Sam zauważył, że sygnał celu, który płynął rta północ, ścichł, aż przestał być słyszalny. Nie miało to znaczenia, ustalono już, gdzie znajduje się Echo Trzy, zmierzała teraz w jego kierunku torpeda. Trafi go nieuchronnie.

- Mostek, tu sonar, straciłem Echo Dwa.

Burke przełknął ślinę. Cel płynący na południe powinien być dobrze słyszalny. Zerknął na Flooda.

- To było urządzenie, które miało nas zmylić - zawyrokował pierwszy oficer. - Czy powinniśmy zmienić kurs torpedy numer 2? A może ruszyć na północ i gonić Echo Trzy?

- Mostek, tu sonar! - zawołał Albanese. - Torpeda w wodzie, azymut zero sześć pięć! Druga torpeda w wodzie, azymut zero sześć cztery!

Nie było czasu na rozważenie zaleceń Flooda. Echo Jeden odpalił właśnie dwie torpedy w stronę „Hamptona”; a może zrobił to wcześniej, tylko dopiero teraz było je słychać. Należało się tego domyślić, skoro Francuzi ich usłyszeli i wyrzucili urządzenie, które miało ich zmylić, nie omieszkali też odpalić dwóch torped.

Tajny podręcznik walki mówił, że okręt może ocalić tylko jedna taktyka - ucieczka przed torpedami z maksymalną prędkością.

- Ster, podwójna cała naprzód! - rozkazał Dillinger, sięgając po mikrofon systemu 7MC.

Młody sternik potwierdził rozkaz.

- Ster, dwadzieścia stopni w lewo, stabilizuj kurs na dwa jeden pięć. Kapitan do sonaru, uciekamy na południowy zachód.

Pokład zadrżał od narastających obrotów śruby, a potem przechylił się nagle, gdy okręt zaczął gwałtownie skręcać. Ściskające reling palce Dillingera zbieleły.

- Możemy zmienić kurs torpedy dwa, żeby trafiła w Echo Jeden - przypomniał Flood.

Burke skinął głową.

- Prześłać torpedzie numer dwa dane Echa Jeden - rozkazał. - Potem odetniemy przewody i odpalimy jeszcze w stronę ostatniej znanej pozycji Echa Jeden torpedy trzy i cztery.

Torpedy zmierzające w stronę nieprzyjacielskiego okrętu, nosiciela rakiet balistycznych, powinny przynajmniej zniechęcić go do dalszych ataków. Peter Vornado nazwał kiedyś przy piwie tego rodzaju taktykę „wypuszczeniem urządzenia kaliber 53 centymetrów mylącego sonar”.

- Ustabilizowałem kurs na dwa jeden pięć, panie kapitanie, manewry meldują podwójną całą naprzód.
 - Uzbrojenie, odrzucić przewody sterujące torped jeden i dwa, zaniknąć pokrywy wyrzutni jeden i dwa!
- Tonelle potwierdził, podczas gdy Dillinger patrzył ponad jego ramieniem na ekran.
- Przewody odrzucone, zamykają się pokrywy wyrzutni jeden i dwa.
 - Uzbrojenie, przygotować w pełni wyrzutnie trzy i cztery.

Nie poddam się bez walki, pomyślał. Ale to wstyd przegrać ćwiczenia z Francuzami. Przecież nie walczę nawet z okrętem myśliwskim, na litość boską. Jakim cudem zdołali usłyszeć „Hamptona”, zanim my ich wykryliśmy?

- Sonar do mostka, zbliżające się torpedy to francuskie ECAN L5 Mod3 - powiadomił Albanese.

L5 osiągały prędkość zaledwie trzydziestu pięciu węzłów. „Hampton” obecnie uciekał im z prędkością trzydziestu dziewięciu i pół węzła. Oznaczało to, że wkrótce nieprzyjacielskie torpedy zostaną w tyle. Była to dobra wiadomość. Zła wiadomość była natomiast taka, że uciekając przed torpedami, Amerykanie szybko oddalali się od „Le Vigilanta”. Trzeba będzie wysłać boję sygnałową SLOT z Kodem Cztery i powiadomić dowódcę grupy operacyjnej NATO, że przeklęty francuski okręt przenoszący rakiety zdołał odpalić dwie torpedy w stronę „Hamptona”. Ale najpierw przynajmniej jeszcze dwie wystrzelą ku Francuzom.

- Wyrzutnie trzy i cztery gotowe, panie kapitanie - zameldował Tonelle.
- Koordynator, czy masz na stanowisku dwa ostatnią pozycję Echa Jeden?
- Tak, panie kapitanie.

- Dobrze. Kierowanie ogniem, uwaga. Zamierzam odpalić na ślepo w stronę celu torpedy trzy i cztery i nadal uciekać na południe. Po odpaleniu torped wyrzucimy boję SLOT. Wykonać. Oficerze dyżurny, proszę przygotować boję z Kodem Cztery i naszą obecną pozycją.

- Tak jest, panie kapitanie - potwierdził Scottson. Burke spytał Flooda:
- Czy jest jakaś możliwość, że te L5 są podrasowane? To znaczy, że mogą rozwinąć większą prędkość niż trzydzieści pięć węzłów?
- Niemożliwe, panie kapitanie - uspokoił Flood, kręcąc głową. - W rozkazie operacyjnym nic na ten temat nie ma.
- W takim razie uciekniemy im bez kłopotu.

- Manewry do mostka, wyciek pary w maszynowni! - odezwał się w głośnikach systemu 7MC zduszony głos Schlussa. Musiał mieć na sobie maskę przeciwgazową.

- Mostek do manewrów - Scottson pierwszy doskoczył do mikrofonu

- podaj lokalizację i stopień zagrożenia!

- Manewry do mostka, wyciek na górnym pokładzie przedziału rufowego! Spada ciśnienie w prawym turbogeneratorze, prawdopodobnie para wycieka z przepustnicy lewej turbiny, którą naprawiano w porcie!

Dillinger zaklął w duchu. Jeśli ktoś naprawdę zostanie ranny albo zginie, będzie to koniec ćwiczeń. „Hampton” już przegrał. Wyciek pary mógł oznaczać śmiertelne niebezpieczeństwo dla okrętu i jego załogi, jeśli natychmiast nie zostaną podjęte działania zapobiegawcze.

- Ster, cała stop! - rozkazał Schlussowi. Złapał mikrofon systemu 7MC.

- Mechaniku, tu kapitan, zwolnić pracę pomp głównego obiegu chłodzenia i uszczelnić lewą stronę maszynowni!

- Zwolnić pompy i uszczelnić lewą stronę! - potwierdził Schluss.

- Wyciek pary w maszynowni - ostrzegł całą załogę Dillinger, posługując się tym razem mikrofonem systemu 1MC. - Drużyna pomocy medycznej, zameldować się w przedziale rufowym!

W sterówce rozległ się cichy gwizd przypominający odgłos delfina. Dolatywał od rufy, z lewej strony.

- Sonar do mostka, zbliżające się torpedy uaktywniły sonary - zameldował Albanese. Oznaczało to, że francuskie torpedy wykryły słaby odgłos „Hamptona” i przełączyły sonary na tryb aktywny, wysyłając sygnały dźwiękowe. Większość torped potrafiła korzystać z aktywnych sonarów i sama skutecznie naprowadzała się na cel za ich pomocą. Torpedy uaktywniają sonary dopiero po usłyszeniu celu w trybie pasywnym. Nie jest trudno śledzić już wykryty cel. Aktywny sonar wzmacnia odbierane odgłosy i ułatwia torpedzie pościg.

- Kapitan do sonaru - odezwał się Dillinger - czy torpedy są już blisko?

- Nie, jeszcze daleko.

- Mechaniku, co się dzieje w maszynowni? - pytał komandor.

- Do mostka - odezwał się przez maskę przeciwgazową zdyszany Schluss - lewa strona maszynowni uszczelniona, wyciek pary ustał, moc napędowa ograniczona do całej naprzód, osiągamy dwadzieścia węzłów.

Dwadzieścia węzłów to zbyt wolno, żeby uciec przed torpedami, pomyślał Dillinger. Może jednak francuskim torpedom skończy się paliwo i zatoną?

- Ster, cała naprzód - rozkazał, a potem odezwał się do mikrofonu systemu 7MC: - Mostek do manewrów, utrzymuj dwadzieścia węzłów.

- Jest, utrzymywać dwadzieścia węzłów.

Komandor popatrzył na prędkościomierz. „Hampton” zwolnił z niemal czterdziestu węzłów do dwudziestu i jak na razie zwalniał dalej.

- Mostek, tu sonar, torpedy się zbliżają.

Burke pomyślał, że teraz może się przydać urządzenie, które zmyli sonary torped.

- Oficer dyżurny, załadować do dziobowej wyrzutni boi sygnałowych urządzenie Mark 9.

Rufowa wyrzutnia boi nie mogła zostać użyta, gdyż obsługa maszynowni była zajęta z powodu wycieku pary. Scotson przekazał rozkaz załozde na dziobie.

- Sonar do mostka, szumy zbliżających się torped narastają - zameldował Albanese.

- Panie kapitanie, może zastosować taktykę podlodową? - odezwał się Flood. - Albo wypłynąć na górę? - dodał, marszcząc brwi.

Aby uniknąć znajdujących się już dość blisko torped, można było zastosować tylko te dwie taktyki. Tak zwana podlodową oznaczała znieruchomienie pod wodą w nadziei, że nawet aktywne sonary nie będą w stanie wykryć nieemitującego żadnych odgłosów okrętu. Nie wykryją go jednak tylko wtedy, jeśli ich działanie opierało się na efekcie Dopplera. To znaczy nie będą widzieć echa o takiej samej częstotliwości, jak wysyłane przez siebie sygnały. Nie można jednak polegać na tym i nieruchomo czekać na nieprzyjacielskie torpedy. Natomiast awaryjne wynurzenie okrętu było równoznaczne z przyznaniem się do porażki. Rozkaz operacyjny jednoznacznie zakazywał wynurzania się. Jednak można było w ten sposób ująć torpedom, jeżeli minimalna głębokość, na jakiej pozwalały im płynąć komputery sterujące, była podobna do programowanej w amerykańskich Mark 48. Z danych wywiadowczych o francuskich torpedach niewiele wynikało.

Dillinger popatrzył na Scottsona.

- Podaj stan przedniej wyrzutni boi sygnałowych - polecił.

- Mark 9 załadowany, panie kapitanie.

- Na mój sygnał odpalić urządzenie. Bosmanie dyżurny, bądź gotów do awaryjnego opróżnienia obu zestawów zbiorników balastowych.

Sekcja kierowania ogniem, zamierzam awaryjnie opróżnić wszystkie główne zbiorniki balastowe i wynurzyć okręt, aby torpedy przepłynęły pod nami. Wykonać.

Od strony rufy rozległ się nagły gwizd. Po chwili dołączył do niego drugi o jeszcze wyższym tonie. Pochodziły z sonarów nieprzyjacielskich torped. Musiały znajdować się w odległości około mili od „Hamptona”.

Dillinger wziął głęboki oddech. Czy złamać rozkaz i wynurzyć okręt, czy też sromotnie przegrać z Francuzami? Tak czy siak będzie to oznaczało porażkę.

- Odpalić Mark 9! Awaryjnie opróżnić wszystkie główne zbiorniki balastowe!

Martinez wstał i odblokował dwie stalowe dźwignie, nazywane „dźwigniami tchórzy”, po czym przesunął je w górę. Natychmiast rozległ się ryk powietrza wypełniającego zbiorniki. Podrażnione już przedtem bębniaki uszu Dillingera odczuły ów ryk boleśnie. Sterówka wypełniła się białą mgłą widoczność zmalała. Burke wymacał reling mostka. Ledwie zdążył się go złapać, a już pokład pochylił się stromo w górę. Nie widać było wskazań przechyłomierza, ale przechył z pewnością osiągnął dwadzieścia stopni. Dillinger widział teraz tylko mgłę. Nagle poczuł się jak we śnie. Dźwięk rozbrzmiewającego na pokładzie alarmu przywrócił go z powrotem do rzeczywistości.

- Wynurzenie, wynurzenie, wynurzenie! - usłyszał z głośników systemu 1MC głos bosmana Martineza.

W dole za „Hamptonem”, na głębokości trzystu metrów, wyrzucone urządzenie akustyczne Mark 9 powinno właśnie wypuszczać z siebie chmurę bąbli, wysyłając jednocześnie donośny sygnał dźwiękowy o częstotliwości trzystu herców, a także odgłos o charakterystyce głośniejszy śruby okrętowej. W tych okolicznościach sonar mniej zaawansowanej technicznie torpedy uzna go za cel, przynajmniej na tak długo, żeby okręt zdążył się wynurzyć.

- Zanurzenie sto dwadzieścia metrów, panie kapitanie - zameldował oficer zanurzenia, bosman sztabowy Fred Davies. - Dziewięćdziesiąt metrów. Sześćdziesiąt.

- Uszczelnić zbiorniki dziobowe i rufowe - rozkazał Dillinger. Martinez przesunął dźwignie w przeciwnym kierunku niż poprzednio.

Mgła w sterówce nie rozwiewała się jednak, ponieważ nie działały wentylatory ani klimatyzacja.

- Sonar do mostka, straciłem sygnały obu torped - zameldował Albanese.

Pokład wyprostował się nagle.

- Wynurzyliśmy się, panie kapitanie - powiadomił Davies.

- Podnieść peryskop numer dwa - rozkazał Scottson.

Rozległ się odgłos siłowników hydraulicznych i peryskop przesunął się w górę. Po przejściu torped należało zanurzyć okręt z powrotem.

- Mostek, tu sonar, straciłem kontakt z obiema torpedami - meldował Albanese.

- Czy straciłeś go z powodu wynurzenia, czy też wyłączyły aktywne sonary?

- Jestem zdania, że wyłączyły się aktywne sonary obu torped, panie kapitanie.

Burke uśmiechnął się, ale zaraz potem zagryzł wargi. Wprawdzie ćwiczebne torpedy „nieprzyjaciela” nie „zniszczyły” „Hamptona”, jednak francuski okręt z rakietami balistycznymi także nie został „zniszczony”. A jeśli jego torpedy miały zdolność do zawrócenia i ponownego wyszukiwania celu?

- Kapitan do sonaru, czy jest pan pewien, że sonary torped nie pracują, czy też sygnał tylko ścichł?

- Sonar do mostka, właśnie usłyszeliśmy, że woda zmiażdżyła obie torpedy - zameldował Albanese. - W tej chwili obydwie rozpadają się na kawałki.

W sterówce rozległ się zbiorowy okrzyk radości.

- Cisz! - warknął Dillinger. - Ster, dwie trzecie naprzód. Zanurzyć okręt na głębokość stu osiemdziesięciu metrów. - Trzeba było się zanurzyć, póki „Hampton” nie zderzył się z jakimś niepodjęrzewającym niczego supertankowcem albo nie został wykryty przez jeden z NATO-wskich radarów i uznany za prawdziwy nieprzyjacielski okręt. Zgubienie francuskiego okrętu przenoszącego rakiety balistyczne i tak już oznaczało porażkę. Narażanie „Hamptona” na ogień sił amerykańskich z powodu niezaplanowanego wynurzenia okrętu byłoby objawem skrajnej głupoty.

- Sonar do mostka, odebraliśmy chwilowy odgłos z kierunku zero cztery dziewięć.

Chwilowy odgłos oznaczał na przykład zamknięcie przez kogoś włazu, upuszczenie na pokład klucza albo otwarcie pokrywy wyrzutni torpedowej.

- Oficer dyżurny, skierować peryskop na zero cztery dziewięć - rozkazał Dillinger i popatrzył na ekran peryskopu. Była noc, ale na ekranie dało się zobaczyć światła jakiegoś statku czy okrętu wojennego. Mało jednak prawdopodobne, żeby taki odgłos stąd właśnie pochodził.

- Czyżby odpalili kolejną torpedę? - wysunął przypuszczenie Flood.

- Nie usłyszeliśmy, jak odpalali dwie pierwsze, a przecież byli wtedy w naszym zasięgu. W tej chwili są daleko za horyzontem - odparł Burke.

- Zanurzyć okręt na sto osiemdziesiąt metrów - odezwał się oficer zanurzenia. - Bosmanie dyżurny, zalać wszystkie główne zbiorniki balastowe i ogłosić zanurzenie przez 1MC.

- Tu bosman dyżurny, zalać wszystkie główne zbiorniki balastowe - powtórzył Martinez.

Chwilę później na wszystkich pokładach rozległ się alarm zanurzeniowy:

- Zanurzenie, zanurzenie! - wołał przez głośniki bosman.

- Zanurzenie szesnaście metrów - meldował Davies. - Szesnaście i pół, kiosk pod wodą, panie kapitanie.

Za wolno się zanurzamy! - pomyślał niecierpliwie Dillinger. Zaczął znów myśleć o zaatakowaniu francuskiego okrętu. Patrzył na ekran sonaru. Chwilowy odgłos, o jakim meldował Albanese, pochodził z tego samego kierunku, w jakim ostatnio znajdowało się Echo Jeden.

- Sonar do mostka, głośny chwilowy odgłos, azymut zero sześć jeden! - przerwał mu myśli kolejny meldunek sonarzysty.

- Panie kapitanie, widzę odpaloną rakietę, wyznaczam azymut! - zawołał nagle od peryskopu Scottson.

- Cholera! - zawołał Dillinger, spoglądając na ekran. - Daj powiększenie!

Obraz się zmienił. Teraz wyraźnie widać było jaskrawy, biały płomień gazów wylotowych odpalanej spod powierzchni wody rakiety balistycznej. Powoli zaczynała pochylać lot.

- Ster, cała naprzód! Zanurzenie, ustabilizować okręt na dwudziestu metrach. Kapitan do sonaru, pozostajemy na głębokości peryskopowej. Radiooperator, podnieść maszt radiowy i przygotować dla dowódcy Grupy Bojowej 2 NATO pilny meldunek OPREP-3 o odpaleniu rakiety. Kierowanie ogniem, uwaga! Echo Trzy odpalił rakietę. Udało mu się z jedną, ale musimy go zatopić, zanim zdąży odpalić więcej. Wyrzutnia trzecia, wystrzelić na ślepo torpedę, azymut zero sześć jeden, odległość czterdzieści tysięcy metrów, tryb aktywny wysoki do średniego, głębokość dwadzieścia pięć metrów. Kapitan do sonaru, odpalam torpedę. - Odpalenie torpedy w tym trybie nie wymagało żmudnego powtarzania komend. Przypominało kowbojski strzał z biodra, jednak Dillinger nie mógł zrobić nic innego, zanim nie zobaczy znowu na ekranie sonaru sygnału od Echa Jeden.

- Gotów! - rzucił Vickerson.

- Czekaj... ognia! - zawołał Tonelle.

Rozległ się głuchy odgłos wyrzutni, ciężka torpeda została wypchnięta za burtę.

- Odpalić na ślepo torpedę z wyrzutni cztery - rozkazywał Dillinger. - Azymut zero sześć zero, odległość czterdzieści pięć tysięcy metrów, tryb aktywny wysoki do średniego.

Okręt zadrżał po raz drugi, gdy opuszczała go kolejna torpeda. Do sterówki wbiegł Mikey Selles z notatnikiem, do którego przypiął wydruk napisanej wiadomości. Był to pilny meldunek do dowódcy grupy bojowej o odpaleniu przez francuski okręt rakiety balistycznej. W przypadku wojny i rakiety uzbrojonej w prawdziwą głowicę termojądrową byłaby to wiadomość o straszliwym wydarzeniu. Takie meldunki przesyłano przy użyciu krótkich kodów. Dillinger natychmiast podpisał meldunek.

- Nadać! - rozkazał. Radiooperator wybiegł ze sterówki.

- Radio do mostka, proszę o pozwolenie na podniesienie masztu radiowego HDR.

- Podnieść maszt HDR - rzucił Burke.

Znów rozległ się odgłos hydrauliki, bosman Martinez podnosił maszt radiowy, aby radiooperator mógł zameldować dowództwu o klęsce.

- Radio do mostka, meldunek nadany, opuszczam maszt - odezwał się radiooperator. Maszt już chował się z powrotem w głąb kiosku.

- Zanurzenie, zejść na dwieście czterdzieści metrów stromym kątem - rozkazał Dillinger. - Ster, cała naprzód, ustabilizuj kurs zero dwa zero.

- Opuszczam peryskop numer dwa - zameldował Scottson. Dillinger poczuł, że pokład zapada się pod jego stopami. „Hampton” schodził w głębinę.

- Sonar do mostka, drugi donośny odgłos tymczasowy od strony Echa Jeden - zameldował Albanese. - Podejrzewam odpalenie drugiej rakiety.

- Cholera jasna - mruknął Dillinger. - Kapitan do sonaru, podaj status dwóch odpalonych przez nas ostatnio torped!

- Sonar do mostka, torpedy trzy i cztery przeszły właśnie w tryb aktywny - odpowiedział Albanese znów spokojnym tonem.

- Czy coś wskazuje na to, że cel je wykrył?

- Nie. - Po krótkiej pauzie sonarzysta meldował dalej: - Sonar do mostka, odbieramy chwilowe odgłosy od Echa Trzy. Kawituje, przyspiesza.

- Teraz ucieka jak wystraszony królik, panie kapitanie - skomentował Scottson.

- Tak samo jak my przed dziesięcioma minutami - zauważył Burke. - Kapitan do sonaru, czy coś wskazuje na to, że Echo Trzy odpowiedziało ogniem?

- Nie.

- Panie kapitanie, torpeda trzy... - Tonelle zająknął się, co normalnie mu się nigdy nie zdarzało.

Dillinger zeskoczył z mostka, zaniepokojony, że ich własna torpeda zawróciła i zbliżała się z powrotem do „Hamptona”. Podbiegł do stanowiska kontroli uzbrojenia.

- Co jest?!

- Śledzę torpedę trzy, panie kapitanie; wykryła cel i manewruje, zbliżając się do niego - wyjaśnił Tonelle.

Rozległ się chóralny okrzyk radości. Teraz francuski okręt zostanie zatopiony.

- Torpeda trzy wykryła cel, panie kapitanie.

Dillinger spojrzał na Flodda. Ćwiczenia nareszcie przybrały pomyślny obrót, chociaż przeklęty nieprzyjacielski okręt zdołał odpalić dwie rakiety balistyczne. Niestety nic już nie można było na to poradzić.

- Straciłem łączność kablową z torpedą trzy - zameldował Tonelle. - I z czwórką też.

- Sonar do mostka, wciąż odbieramy sygnał Echa Trzy. Płynie z maksymalną prędkością na północny zachód, ale obie nasze Mark 48 sygnalizują trafienia. Potwierdzam trafienie Echa Trzy dwiema torpedami.

Dillinger pokiwał głową. Nie udało się zatopić wrogiego okrętu, zanim zdołał odpalić rakiety. Pewnym pocieszeniem było to, że zatopili go później, a „Hampton” ocalał. Czy jednak dowództwo to uzna ze względu na fakt, że „Hampton” się wynurzył?

- Sonar do mostka - odezwał się znowu Albanese. - Słyszę silniki statku powietrznego lecącego na północny wschód. Może być to śmigłowiec przeciwpodwodny.

- Oho, nadciąga kawaleria - mruknął Dillinger. - Mam nadzieję, że nie przypiszą sobie zasługi zatopienia Francuzów.

- Sonar do mostka, śmigłowiec azymut zero trzy pięć wyrzucił sonar. Śmigłowiec zawisł nad powierzchnią wody i opuścił pod wodę hydrofon.

- Mam nadzieję, że nie wziął nas za francuski okręt - zdenerwował się Burke.

- Radio do mostka, anteną VLF odebraliśmy pierwszą literę naszego kodu wywoławczego.

- Dobrze. - Najwyraźniej dowództwo uznało ćwiczenia za zakończone, skoro wzywało „Hamptona” na głębokość peryskopową.

- Mostek, tu radio, odebraliśmy drugą literę naszego kodu wywoławczego. Zalecam przejście na głębokość peryskopową.

- Ster, maszyny stop. Ustalić zanurzenie na czterdzieści pięć metrów. Mostek do sonaru, zmniejszam zanurzenie, aby przygotować okręt do wyjścia na głębokość peryskopową. Meldować o wszystkich odbieranych sygnałach.

Dwie minuty później peryskop „Hamptona” znowu przebił granatowe wody wschodniego Atlantyku. Rozwidniło się już, niebo było bezchmurne.

- Radio do mostka, proszę o zezwolenie na podniesienie masztu HDR.

- Podnieść maszt HDR - rozkazał Dillinger, uważnie przeszukując powierzchnię morza za pomocą peryskopu. Nie było widać żadnych obiektów poza zawieszonym nieruchomo śmigłowcem, którego załoga na widok peryskopu „Hamptona” wciągnęła sonar z powrotem na pokład.

- Radio do mostka, mamy pilną wiadomość z satelity. Wywołuje nas też śmigłowiec przez UHF Nestor.

Burke sięgnął po umieszczoną nad stanowiskiem oficera zanurzenia czerwoną słuchawkę systemu wysokiej częstotliwości Nestor. Był to system umożliwiający bezpieczną głosową komunikację satelitarną.

- Radio, tu kapitan, co mówi meldunek z satelity?

- Meldunek jest następujący - odpowiedział radiooperator. - Format Alfa Victor Dziewięć część pierwsza, Delta Tango X-ray część druga, Whiskey Foxtrot Lima.

- Dziękuję. Nawigatorze?

Mercury-Pryce pośpiesznie kartkował księgę kodów NATO. Tymczasem w głośnikach systemu wysokiej częstotliwości rozległo się kilka nieartykułowanych dźwięków, a potem głos Amerykanina o akcencie rodem z Karoliny powiedział:

- Victor Mike, tu Lima Charlie, odbiory,

- Nawigatorze, rozkodował pan wiadomość od dowództwa? - spytał Merca Burke, patrząc na niego z niecierpliwością. - Wolałbym ją znać, zanim odpowiem temu człowiekowi.

- Panie kapitanie, wiadomość brzmi: zakończyć ćwiczenia, przenieść kapitana na okręt flagowy.

- Tak myślałem. - Komandor podniósł czerwoną słuchawkę do ucha. - Lima Charlie, tu Victor Mike - odpowiedział.

- Lima Charlie do Victor Mike, rozkaz dowództwa Grupy Bojowej 2 do natychmiastowego wykonania: zakończyć ćwiczenia i wynurzyć okręt w celu przewiezienia kapitana śmigłowcem na okręt flagowy, odbiór.

- Potwierdzam Victor Mike, mówi Lima Charlie. Bez odbioru. - Burke odłożył słuchawkę i sięgnął po mikrofon systemu IMC. - Cała załoga uwaga. Mówi kapitan. Ćwiczenia zakończone. „Hampton” ocalał, nieprzyjacielski okręt przenoszący rakiety balistyczne zatopiony; odpalił jednak raketę. - Lepiej powiedzieć tak, niż demoralizować załogę, ogłaszając porażkę, mimo że była to porażka. Mogło być jeszcze gorzej, ćwiczebne torpedy Francuzów omal nie „zatopiły” „Hamptona”. - Kontynuujcie wykonywanie zadań.

Dillinger zwrócił się do Scottsona:

- Zabezpieczyć stanowiska bojowe, wynurzyć okręt i obsadzić drużynę do przeniesienia pasażera na śmigłowiec. Pierwszy oficer zastąpi kapitana. Będę w mojej kajucie, idę się przebrać.

Znalazłszy się w kajucie, Burke zerknął na fotografię Natalie i szepnął:

- Trzymaj się, kochanie. Wracam do domu.

8

Komandor Burke Dillinger stał na ogromnym wewnętrznym pokładzie francuskiego lotniskowca „Charles de Gaulle”, nieopodal umieszczonych tam samolotów. Próbował skupić się na wyświetlanych na ekranie zdjęciach obrazujących bitwę, jaka odbyła się podczas ćwiczeń „Nagły Zryw”; zdjęcia zostały zrobione z wysokości dwunastu tysięcy metrów nad powierzchnią oceanu. Brytyjski oficer operacyjny Grupy Bojowej Dwa opisywał kolejno wydarzenia, akcentując poszczególne słowa. Ożywił się, doszedłszy do decydującego momentu bitwy, kiedy „Le Vigilant” odpalił urządzenie L23 do mylenia nieprzyjacielskich sonarów emitujące takie same odgłosy jak macierzysty okręt. Następnie L23 wykonało zwrot i ruszyło na południe, podczas gdy „Le Vigilant” udał się na północ, a chwilę później wystrzelił dwie torpedy ECAN na azymut „Hamptona”.

Dillinger usłyszał jakieś śmiechy; nagle zorientował się, że zgromadzeni w pomieszczeniu ludzie, oficerowie sztabowi NATO, piloci, kapitanowie okrętów nawodnych i oficerowie „Le Vigilanta”, wszyscy patrzą na niego.

- Panie komandorze Dillinger, czy pan nas słucha? - spytał Anglik.

- Tak, panie komandorze - odpowiedział Burke.

- Kiedy wykryliście zbliżające się torpedy ECAN, nie odpalił pan boi Codę 4 SLOT, czyli nie poinformował pan swojego okrętu flagowego, że jest pan atakowany. Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że było to poważne naruszenie rozkazu operacyjnego. Czy może pan je wytłumaczyć?

Dillinger nachmurzył się.

- Byliśmy zajęci poważnym wyciekami pary w maszynowni, jednocześnie uciekając przed torpedami. W przeciwieństwie do scenariusza ćwiczeń wyciek pary był prawdziwy i stanowił zagrożenie dla mojego okrętu. Wiem, że grupa bojowa czekała na wiadomość o kontrataku. Zdążyliśmy załadować Codę 4, musiałem jednak użyć dziobowej wyrzutni boi sygnałowych do odpalenia urządzenia Mark 9, które miało zmylić torpedy nieprzyjaciela. Musiałem użyć jej natychmiast, kazałem więc wyjąć z wyrzutni Codę 4, załadować Mark 9, a potem wynurzyć okręt w trybie awaryjnym, żeby umknąć torpedom.

- A nie mógł pan po prostu odpalić Codę 4, a potem załadować Mark 9? - spytał Brytyjczyk, marszcząc brwi.

- Straciłbym cenne sekundy i mój okręt zostałby trafiony - bronił się Dillinger. - Chyba nie chce pan powiedzieć, że złożenie przeze mnie meldunku było ważniejsze niż ocalenie mojego okrętu i ludzi?

- Właśnie to chcę powiedzieć, panie komandorze - odpowiedział chłodno Anglik.

Przez następne dziesięć minut trwała dyskusja o tym, jak to komandor Dillinger złamał procedury postępowania i nie skontaktował się z okrętem flagowym. Burke zdawał sobie jednak sprawę, że jego prawdziwą porażką było to, iż dał się zmylić urządzeniu L23 i doprowadził do tego, że okręt przenoszący rakiety z głowicami termojądrowymi zdążył odpalić kolejno dwie rakiety nad południowoatlantyckim poligonem rakietowym Unii Europejskiej. Prowadzący odprawę nie dotarł jeszcze do tego momentu. Burke wiedział, że zebrani nie oszczędzą mu ostrych uwag. Tak jak przewidywał, każda jego decyzja była szczegółowo analizowana i krytykowana. W pewnej chwili kątem oka zobaczył znajomą postać. Peter Vornado.

- Hej - odezwał się półgłosem, udając, że w skupieniu słucha, co mówi prowadzący odprawę. 33;

- Cześć B.K. - szepnął Vornado. - I co o tym wszystkim myślisz?

- Pieprzę ich. Ten cholerny Francuz oszukał mnie swoim hałasującym urządzeniem.

- Okręty przenoszące rakiety zawsze tak robią. To klasyczny sposób obrony.

- I nie mogę uwierzyć, że kazali nam się wynurzyć w samym środku huraganu Helen.

- Słyszałem, że kilku twoich ludzi odniosło poważne rany. Dillinger pokiwał głową.

- Owszem, bosman Murphy zmarł. A trzech innych marynarzy jest na tyle ciężko rannych, że muszą pozostać przez dłuższy czas w szpitalu.

- Co się stało?

- Murphy'ego prosto w czoło trafiło pokrętko zaworu pokładowego systemu wymiany powietrza, które zerwało się z zamocowania podczas przechyłu wzdłużnego rzędu pięćdziesięciu stopni.

- Murphy'ego widziałem tylko raz, ale wydał mi się świetnym chłopakiem.

- Owszem. Zostawił żonę i roczne dziecko. Na łodzi natychmiast muszę odwiedzić wdowę po nim. Ale co ja jej powiem? Że prowadziliśmy tylko grę, by poprawić samopoczucie Francuzów, którzy chcieli się upewnić, że ich okręty przenoszące rakiety balistyczne są bezpieczne?

- Nie wiem, dlaczego Francuzi tak cieszą się ze „zwycięstwa” „Le Vigilanta” - zmienił temat Vornado. - Przecież gdyby to wszystko działo się na serio, Paryż zostałby zrównany z ziemią.

- Cieszą się, bo zrobili z nas frajerów.

- Ale dlaczego tak się stało? - dopytywał się Peter. - Czy zgodnie z rozkazem operacyjnym posłużyłeś się taktyką aktywnego sonaru? Taką właśnie taktykę podczas ćwiczeń stosowaliśmy na naszym okręcie. Uaktywnienie sonaru to jedyna metoda na rozpoznanie urządzenia emitującego takie same odgłosy jak okręt. Gdybyś wysłał parę pisków w stronę tych dupków, szybko posłałbyś ich na dno.

- W samą porę mi to mówisz - mruknął Dillinger. - Problem w tym, że mój pokładowy geniusz sonaru nie potrafi interpretować echa sonaru aktywnego.

- Mój też nie potrafi - przyznał Voraado, kiwając głową. - To problem całej naszej floty. Musisz jednak spróbować lepiej wyszkolić tego człowieka.

- Słusznie... A czy ty zdołałeś choć na chwilę wywachać „Le Vigilanta”?

- Nie. A na odprawie po ćwiczeniach dowiedziałem się, że był niecałe dziesięć mil od nas. Sukinsyn jest cichy jak śmierć.

- W takim razie mój sonarzysta przynajmniej zdołał go usłyszeć i zlokalizować - odparł Burke, kiwając głową. Zagryzł jednak wargi, przypominając sobie, jak nie zdecydował się na uaktywnienie sonaru.

Odprawa trwała, wciąż szczegółowo analizowano błędy Dillingera. Niebezpiecznego wycieku pary w jego maszynowni nie uważano za żadne usprawiedliwienie. Poza tym, tak jak przewidział Burke, angielski dowódca operacji wściekał się z powodu wynurzenia „Hamptona”, co mogło spowodować kolizję z którymś z okrętów nawodnych.

- A co miałem zrobić, panie komandorze? - bronił się Dillinger. - Dać się trafić dwiema torpedami, byle tylko nie zdrapać lakieru z którejś z pańskich łajb huśtających się na falach tam, gdzie nie powinno ich być?

Usłyszawszy jego słowa, Brytyjczyk zmarszczył brwi jeszcze surowiej.

- Najwyraźniej nie rozumie pan powagi sytuacji, panie komandorze - powiedział. - Jestem przekonany, że po złożeniu przez nas raportu pańskim przełożonym zmienią pańskie podejście do wykonywania obowiązków.

- Ustalmy pewne fakty, panie komandorze - nie ustępował Burke, mimo iż wiedział, że nie powinien się odzywać. - Bezwzględne podporządkowanie się pańskim zasadom prowadzenia walki oraz procedurom wyszczególnionym w rozkazie operacyjnym nie prowadziły do zwycięstwa.

- Gdyby zgodnie z rozkazem operacyjnym użył pan aktywnego sonaru, wygrałby pan tę bitwę.

Dillinger popatrzył ze smutkiem na Vornado i nic już nie powiedział. W końcu odprawa dobiegła końca. Jako ostatni zabrał głos francuski admirał. Chwalił załogę „Le Yigilanta” i krytykował siły przeciwpodwodne

Francji i Wielkiej Brytanii, a już szczególnie działania „Teksasu” i „Hamptona”.

Po zakończonej odprawie oficerowie rozeszli się do kajut, aby przebrać się w galowe mundury na przyjęcie wydawane przez oficerów „Le Vigilanta”. Vornado i Dillinger rozmawiali jeszcze przez chwilę zwróci plecami do ekranu, który wciąż ilustrował nieudaną próbę Burke’a powstrzymania francuskiego okrętu przed odpaleniem śmiertelnej rakiety atomowej.

- Rozmawiałeś już z Rachel? - spytał Dillinger.

- Kiepsko ze mną, bracie. Odebrałem szereg maili od niej. Okazuje się, że w czasie naszych ćwiczeń zdążyła już trzykrotnie spotkać się z adwokatem. W domu czekają na mnie różne papiery. Jeszcze nie mogę w to uwierzyć, ale to koniec. Wydaje mi się, że to zły sen. - Peter spuścił wzrok i się zaczerwienił.

- Ogromnie ci współczuję, Peter - szepnął Burke, klepiąc przyjaciela po ramieniu. - Boże, nigdy bym nie przypuszczał, że do tego dojdzie. Słuchaj, stary, w razie potrzeby zawsze jest dla ciebie miejsce w moim domu.

Vornado zamknął oczy i potarł je obiema dłońmi, pociągając nosem.

- Dzięki, Burke Ale czy Natalie nie będzie denerwować, że płaczę się jej pod nogami?

- Na pewno ogromnie się ucieszy, jeśli znami zamieszkaś. Ale, ale, to mi przypomina, że muszę znowu do niej zadzwonić.

- Jak się czuje?

- Jeszcze nie udało mi się z nią skontaktować. Pozostawiłem tylko wiadomości na sekretarce w domu i na jej komórce. - Na zmęczonej twarzy Dillingera pojawił się niepokój.

- Nie napisała do ciebie żadnych maili?

- Napisała kilka. Ale ostatni wysłała trzy dni temu.

- To zadzwoń do niej teraz, B.K. Spotkamy się na przyjęciu.

Dillinger poszedł do jednej z gościnnych kajut olbrzymiego lotniskowca. Obcy świat. Wszystkie ściany płaskie i równoległe, korytarze pomalowane na dziwne kolory, jakieś oznaczenia, napisy w nieznanym języku... Rozpakował biało-czarny mundur galowy, przysłany z eskadry, ciekaw, jak będzie pasował. Niczego nie brakowało, do bluzy były przypięte naramienniki dowódcy okrętu i medale Burke’a. Oprócz białej

bluzy i czarnych spodni znalazł też koszulę, taką, jakie nosi się do smokingu. W mankiety zawczasu włożono spinki. Okazało się, że wykrochmalona biała bluza leży idealnie. Burke włożył jeszcze czarną muszkę, co przypomniało mu nieżyjącego od dziesięciu lat ojca, generała, zastępcę dyrektora Agencji Wywiadowczej Departamentu Obrony. Uznawszy, że muszka pasuje całkiem dobrze, Burke poszedł dwa pokłady wyżej, do nadbudówki lotniskowca, gdzie znajdowało się jego centrum łączności.

- Witam, panie komandorze - odezwał się francuski oficer dyżurny, uśmiechając się szeroko. - Cieszę się, że znowu pana widzę. Mam nadzieję, że uda mi się nawiązać dla pana połączenie satelitarne.

- Dziękuję panu, Pierre - odparł Burke, podając porucznikowi karteczkę z numerami telefonów Natalie.

Znowu nie odpowiadał ani jej telefon komórkowy, ani telefon domowy Dillingerów. Burke spróbował zadzwonić do matki Natalie, ale i tu włączyła się poczta głosowa. Komandor zmarszczył brwi i dopisał na kartce jeszcze jeden numer. Porucznik wystukał go i znowu podał Dillingerowi słuchawkę.

- Kraft, słucham - rozległ się donośny głos Joego Krafta.

- Dzień dobry, panie komandorze. Mówi Burke Dillinger.

- Proszę chwilkę zaczekać, B.K... Jak się pan miewa? Słyszałem o przebiegu ćwiczeń. Nie odniósł pan pełnego sukcesu, ale i tak wykonał pan świetną robotę.

- Dziękuję za nagrodę pocieszenia, panie komandorze. Spieprzyliśmy sprawę. Powinienem był uaktywnić sonar, ale chyba musimy przede wszystkim przeczyścić uszy. Zajmę się tym, panie komandorze. Podobna sytuacja już się nie powtórzy.

- To nasza wina, B.K. Kiedy ostatni raz użyliśmy aktywnego sonaru? Ciągłe ćwiczymy, jak zachowywać się możliwie najciszej. Tak czy owak, powinien pan teraz oddać okręt Floodowi i szykować się do powrotu do domu. Jest pan już gotów?

- Tak, sir. Ale chciałbym prosić pana o przysługę. - Dillinger opisał swoje kłopoty ze skontaktowaniem się z ciężarną żoną. W odpowiedzi usłyszał, jak Kraft przywołuje jednego z oficerów sztabowych i coś mu tłumaczy.

- B.K., wysyłam samochód sztabowy do pańskiej żony - poinformował po chwili. - Proszę podać mi numer, pod który będę mógł do pana oddzwonić.

Dillinger odczytał dowódcy numer podany mu przez francuskiego radiooperatora.

- Zapisałem. Proszę się nie martwić i iść na przyjęcie, B.K.

- Dziękuję, panie komandorze.

Burke podziękował również dyżurnemu radiooperatorowi i poszedł do mesy oficerskiej. Spojrzał na zegarek. Za dwie godziny miał ponownie się przebrać i wsiąść do śmigłowca, który przeniesie go na amerykański lotniskowiec „Nimitz”. A stamtąd przerzucą go szybko myśliwcem do Bazy Lotnictwa Marynarki Oceana w Virginia Beach. Niecałą godzinę po wylądowaniu powinien znajdować się już u boku Natalie. Podróż będzie bardzo szybka, ale Burke nie mógł się już doczekać powrotu do osamotnionej żony.

Otworzył drzwi mesy oficerskiej lotniskowca i poczuł się jak w holu hotelu, gdzie za noc płaci się pięć tysięcy dolarów. Sala była ogromna, stały w niej stoły i krzesła dla co najmniej dwustu oficerów. Stalowe ściany wyłożone były mahoniem, tam gdzie nie było boazerii, świeciła czystością biała farba, w wielu miejscach połyskiwały wypolerowane mosiężne okucia, na stołach leżały wykrochmalone lniane obrusy. Mesę oświetlały świece, z sufitu zwieszały się bandery marynarek wojennych państw uczestników ćwiczeń. Burke zmarszczył brwi i rozejrzał się w poszukiwaniu swoich brytyjskich krytyków. Zastanawiał się, czy i tu będą mu się naprzykrzać. Poszukał też wzrokiem Petera Vornado, ale nigdzie nie było go widać. Zobaczywszy obok stół z przekąskami, Dillinger wzruszył ramionami i wziął talerz. Nie był pewien, którą z egzotycznych potraw sobie nałożyć. Podszedł do niego jakiś Francuz w eleganckim, wykrochmalonym mundurze.

- Pan komandor Dillinger? - odezwał się po angielsku melodyjnym głosem z francuskim akcentem. Mówił całkiem inaczej niż traktujący go oschle francuscy admirałowie. Burke przyjrzał się nieznajomemu mężczyźnie. Był odrobinę wyższy od niego, smuklejszy, miał ciemniejsze blond włosy, zbyt długie jak na amerykański regulamin. Na jego czarnych naramiennikach widniały trzy złote paski poprzedzielane białymi. Oficer był więc odpowiednikiem amerykańskiego komandora. Miał twarz o wydatnych kościach policzkowych i mocno zarysowanej szczęce, zadbane białe zęby i zielone oczy. Układ kurzych łapek w kąciach jego oczu wskazywał, że komandor często się uśmiechał. Wyciągnął do Dillingera rękę.

- Proszę mówić do mnie B.K. - odpowiedział Burke, potrząsając dłonią Francuza.

- Jestem komandor Jean-Paul Gardes - przedstawił się ciepłym tonem oficer, uśmiechając się jeszcze sympatyczniej niż do tej pory. - Poznać pana to dla mnie wielki zaszczyt. Chciałbym przeprosić pana za nietaktowne zachowanie naszych dowódców. Przeraził ich pan, okropnie przeraził. O mało nie zatopił pan odstrasających sił Francji! To znaczy zatopił nas pan, tyle że o dwie rakiety za późno.

- Przykro mi, panie komandorze - odpowiedział Dillinger. - Pracuje pan w sztabie NATO?

- Ja? Skądże znowu, jestem kapitanem „Le Vigilanta”. Proszę mi mówić Jean-Paul.

Burke popatrzył na Francuza ze zdziwieniem.

- Gratuluję panu zwycięstwa - powiedział.

- Daj spokój. - Gardes machnął ręką. - Musieliście płynąć z normalną prędkością, a my prawie staliśmy. Nic dziwnego, że usłyszeliśmy was pierwsi. Gdyby zamieniono nas rolami, zatopiłbyś mnie. A ja nie zdołałem cię zatopić. Uważam, że był remis.

- Owszem, ale zdążyłeś odpalić rakiety.

- Chwilę później nas zatopiłeś - zauważył z uśmiechem Jean-Paul. - Nie uznałbym tego za nasze zdecydowane zwycięstwo.

Dillinger pokiwał głową.

- Może postawić ci drinka, Jean-Paul? - zaproponował.

- Bardzo chętnie się z tobą napiję, stary - odpowiedział z ciepłym uśmiechem Gardes.

Podeszli do baru. Gardes wybrał dla nich obu jakieś niezwykle francuskie wino. Chociaż Burke'owi każde wino poza kalifornijskim wydawało się niezwykle i egzotyczne.

- Słuchaj, B.K., naprawdę mi przykro z powodu tego, jak potraktowało cię dowództwo grupy bojowej. Porządnie dałeś im się we znaki.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo odrzuciłeś w kąć procedury. Taki kapitan jak ty jest dla dowództwa nieprzewidywalny, więc teraz się boją. Nie będą mogli spać ze strachu.

- Moja taktyka okazała się przynajmniej w pewnym stopniu skuteczna.

- Otóż to. Zanim zdążą opisać jako nowe zasady prowadzenia walki, będą się czuli zagrożeni przez ciebie.

- Cześć, B.K. - odezwał się z tyłu głos Petera Vornado.

- Hej, Peter. - Dillinger uśmiechnął się. - To jest komandor Jean-Paul Gardes, kapitan zwycięskiego „Le Vigilanta”. A to komandor Peter Vornado, dowódca USS „Teksas”.

Vornado uśmiechnął się grzecznie i potrząsnął ręką Gardes’a.

- Miło mi pana poznać - odezwał się swoim surowym kapitańskim głosem. - Gratulacje dla pana i pańskiej załogi.

- Dziękuję, panie komandorze.

Po kilku minutach rozmowy Burke uśmiechnął się do Petera i powiedział:

- Gdybym nie musiał za niecałe dwie godziny stąd odlatywać, zaproponowałbym wam, żebyśmy się dzisiaj razem upili.

- Damy sobie radę we dwóch z Jean-Paulem - obiecał Vornado.

Po drugim kieliszku wina Gardes wyciągnął fotografie, które nosił w portfelu.

- To moja żona, Danielle.

Vornado aż gwizdnął, zobaczywszy posągowo piękną blondynkę.

- A to moja córeczka, Margaux. - Jean-Paul pokazał z kolei zdjęcie czteroletniej dziewczynki o jasnych włoskach i niebieskich oczach. Przypominała trochę Burke'owi córeczkę Petera, Erin. - To mój syn, jest najstarszy i ma na imię Marc - kontynuował Jean-Paul. - A to maleństwo to moja druga córka, Renee.

Dillinger zerknął ukradkiem na Vornado, obawiając się, że entuzjazm, z jakim Gardes przedstawia swoją rodzinę, wywoła u Petera falę smutku. Vornado okazał jednak hart ducha, jak gdyby nigdy nic wyciągając fotografie swojej żony i dzieci, pijąc wino. Dillinger uśmiechnął się i pokręcił głową. Miał szczęście, uniknął katastrofy swojego okrętu, a nieprzyjaciel, którego zatopił na ćwiczeniach, okazał się przesympatycznym, dowcipnym człowiekiem, szczęśliwym mężem i ojcem oraz znawcą wina.

- A ty, B.K., masz dzieci? - zagadnął Jean-Paul.

- Jedno, w drodze - odpowiedział z uśmiechem Burke, wyciągając z portfela fotografię. - To jest Natalie, moja żona. Właśnie powinna rodzić.

- Och, prześliczna - skomentował Gardes. - Gratuluję, przyjacielu. Burke zaniepokoił się nagle i spojrzał na zegarek.

- Powinienem pójść do centrum łączności i sprawdzić, czy nie uda mi się z nią skontaktować - powiedział. - Przepraszam. - Zerknął na odchodnym na Petera i Jean-Paula, ale oni, najwyraźniej zaniepokojeni, wpatrywali się w kogoś, kto stał za jego plecami. Dillinger się odwrócił.

Zobaczył francuskiego admirała Amaury'ego Devereux w towarzystwie porucznika Pierre'a Dardina, dyżurnego radiooperatora, który parokrotnie pomagał Burke'owi telefonować. To właśnie Devereux zakończył niedawną odprawę przemówieniem, w którym z pogardą wyrażał się o załogach „Hamptona” i „Teksasu”. Teraz jednak na jego twarzy malowały się smutek i współczucie. Pierre Dardin, bardzo blady, wpatrywał się w pokład. Burke poczuł, jak przyspiesza mu serce, a krew zaczyna pulsować w uszach.

- Panie komandorze Dillinger - odezwał się szorstkim głosem admirał - przyszedłem powiadomić pana o nadzwyczaj pilnej sprawie rodzinnej. Musi pan natychmiast lecieć do domu. Porucznik Dardin odprowadzi pana na śmigłowiec, który już czeka, żeby przetrzucić pana na „Nimitza”. Pańskie rzeczy prześlemy później. Nie ma czasu, żeby się pan pakował.

Dillinger wpatrywał się we francuskiego admirała, czując skurcz w żołądku.

9

Nadzwyczaj pilna sprawa rodzinna! - myślał z przerażeniem Burke. Natalie!

Kilka następnych minut stanowiło lukę w jego pamięci. Pamiętał tylko, że powiedział coś do Petera, a potem francuski radiooperator prowadził go przez labirynt korytarzy lotniskowca; wreszcie znaleźli się na pokładzie startowym, na którym panował przeraźliwy hałas silników. Zapadał wieczór. Jeden z marynarzy podał Dillingerowi kurtkę oraz hełm z mikrofonem i słuchawkami, a potem pobiegli do ogromnego śmigłowca, który już czekał z rozgrzanymi silnikami. Miał wymalowane oznakowanie sił powietrznych Francji, Unii Europejskiej i NATO. Po kilku sekundach Dillinger siedział już przypięty pasami do fotela w tylnej części śmigłowca. Wciąż miał na sobie biały galowy mundur, na który narzucił polową kurtkę. Ale i tak drżał z zimna. Usłyszał w słuchawkach donośny głos francuskiego pilota:

- Czy zapiął pan pasy, panie komandorze?

Burke nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Zobaczył, że pilot ogląda się na niego, a potem odwraca się z powrotem. Łoskot wzmógł się. Dillinger ledwie zarejestrował to, że światła francuskiego lotniskowca nikną w dole, nie pamiętał też, ile czasu minęło, zanim ukazały się światła amerykańskiego „Nimitza”.

Silniki przycichły z gwizdem, drzwi otworzyły się i dwaj amerykańscy marynarze pomogli Burke'owi wysiąść ze śmigłowca. Ktoś zdjął mu z głowy przepocony już francuski hełm i założył amerykański. Dillingerowi zdawało się, że czekający na niego F-14 stoi zaledwie kilka metrów dalej, ale rzeczywistość docierała do Burke'a mocno zakłócona. Miał wrażenie, że zaledwie mrugnął oczami, a już siedział w tylnym fotelu ciasnej kabiny naddźwiękowego myśliwca, otoczony ciasnym kokonem przyrządów i wskaźników, mając nad głową osłonę z pleksiglasu.

Rozejrzał się ze zdumieniem, podczas gdy rozległ się ryk dwóch potężnych silników i dopalaczy. Wcisnęło go w fotel, widział przed sobą tylko przyrządy, jak gdyby znalazł się nagle w ciemnym tunelu.

Pokład lotniskowca znikł gdzieś w dole. Świat skurczył się do rozmiarów kabiny zawieszanej pod ciemnym niebem, słychać było donośny ryk silników i świst opływającego kabinę powietrza. Burke nie wiedział, czy trwało to dwadzieścia minut, czy może kilka godzin. W każdym razie na chwilę stracił z oczu kabinę, a kiedy ponownie otworzył oczy, zobaczył nad sobą chyba z milion jaskrawo świecących gwiazd. Przypomniało mu się, że oglądał takie niebo z mostka któregoś z dowodzonych przez siebie okrętów, ale w tej chwili wydawało mu się, że było to tak dawno, jakby w życiu jakiegoś innego człowieka. Potem znowu znalazł się w czarnej otchłani na bardzo długą chwilę, która mogła trwać parę godzin. W końcu spróbował otworzyć oczy. Tym razem niebo było całkowicie czarne, nie było widać żadnych gwiazd. Wycie silników wzmoгло się raptownie, a zaraz potem niemal całkiem ucichło.

Rozległo się głucho uderzenie, samolot zadrżał. Obok śmignęły jakieś światła, silniki huczały znowu, kabina dygotała. Wreszcie świat obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, a potem osłona kabiny uniosła się powoli. Do środka wpadło chłodne, morskie powietrze. Czyjeś ręce sięgnęły do pasów Dillingera i odpięły go. Wstał i pochylając się, przestąpił burtę kabiny. Mechanicy pomogli mu postawić stopy na szczeblach drabinki. Zszedł na betonowy pas i popatrzył na wielki myśliwiec. Burke'owi zdjęto hełm i włosy miał teraz mokre, przylepione do głowy. Ktoś pociągnął go za ramię w stronę czekającego samochodu osobowego, dużego ciemnego forda crown victoria. Z reflektorów, lusterek, tylnych lamp oraz tylnej szyby zaczęły migać kolorowe światła. Nieoznakowany samochód policyjny. Tym razem Dillinger znalazł się na prawym przednim fotelu. Funkcjonariusz policji stanowej w kowbojskim kapeluszu drogówki wrzucił bieg i energicznie ruszył. Po chwili znaleźli się na autostradzie. A potem znów na bocznej drodze. Wreszcie samochód zatrzymał się przed wejściem do szpitala. Ktoś otworzył drzwi forda. Na dworze stała podoficer marynarki, która wprowadziła Dillingera do szpitala przez automatycznie otwierające się drzwi. Dalej były białe korytarze, drzwi windy. Burke popatrzył na kobietę w mundurze. Skądś ją znał. Tak, to ona zapukała do drzwi jego domu, kiedy zaczynał się huragan. Zdawało mu się, że było to przed stu laty i nie pamiętał jej nazwiska.

Znów korytarz. Zapach środka odkażającego i pasty do podłogi. Ostre światło padające z sufitu, jeszcze jedno drzwi. Ktoś ściągnął Burke'owi kurtkę, zanurzył mu ręce w gorącej wodzie. Pielęgniarka wcisnęła mu ochronny beret na przepocone włosy i owinęła go zielonym

fartuchem. Pomogła jeszcze włożyć szerokie zielone spodnie, jakich używają chirurdzy. I sterylne miękkie zielone kapcie na gumkach zakładane na buty. A także cienkie gumowe rękawiczki. I jeszcze czyste okulary ochronne. W końcu na ramieniu Dillingera spoczęła ręka, która poprowadziła go przez jeszcze jedno, i jeszcze jedno szklane drzwi. Znalazł się w dużym pomieszczeniu pełnym aparatury medycznej, lamp, narzędzi chirurgicznych. Stół operacyjny i ktoś na stole. Wyciągnięta lewa ręka, podłączone kroplówki. Brzuch przykryty zieloną płachtą uniesioną jak poła namiotu.

Głowa przykryta zielonym beretem, twarz zasłonięta maską tlenową. Dwaj mężczyźni i trzy kobiety w zielonych fartuchach uwijający się przy końcu stołu. Dillinger wpatrywał się w przysłoniętą maską twarz. Nos pod przezroczystą osłoną maski niewątpliwie należał do Natalie. I oczy ponad maską też były jej, choć zamknięte.

Odruchowo odnalazł jej dłoń, ciepłą, bezwładną i spoconą. Usłyszał własny głos. Były to pierwsze słowa, które wypowiedział od chwili, gdy przyszedł po niego admirał Devreux.

- Natalie! Jestem przy tobie.

Oczy Natalie otworzyły się powoli. Najpierw patrzyły prosto przed siebie, potem Natalie odwróciła głowę i rozpoznała męża.

- Burke... udało ci się - powiedziała, uśmiechając się pod maską z taką miną, jakby była pod wpływem środków odurzających.

- Dojdiesz do siebie, malutka - powiedział Burke, nachylając się nad twarzą Natalie i ujmując jej dłoń w swoje ręce.

Jej oczy wypełniły się łzami, dłoń drżała.

- Tak się cieszę, że dotarłeś na czas - szepnęła.

- Wiem. - Burke się uśmiechnął. - Nie zostało go wiele. - Popatrzył na chirurga, wysoką, chudą kobietę, która odpowiedziała mu zmarszczeniem brwi. - Ile to potrwa, pani doktor? - spytał.

Lekarka opuściła wzrok i bez słowa powróciła do pracy. Dziwne pomyślał Dillinger. Jakby postanowiła nic mi nie odpowiedzieć.

- Czy poród zaczął się nieprawidłowo, kochanie? - spytał Natalie.

- Nie - odpowiedziała sennym głosem, kręcąc głową. - Cesarskie było zaplanowane.

Zaplanowane? - pomyślał ze zdziwieniem Burke. W takim razie po co sprowadzono mnie w takim pośpiechu, a lekarze czekali z wydobyciem dziecka na świat?

- Dzięki Bogu - powiedział. - Jestem taki podekscytowany! Natalie zamknęła oczy, potem otworzyła je powoli. Płakała. Burke zadrżał. Coś jednak było nie w porządku.

- Tak się cieszę, że wróciłeś - szepnęła Natalie.

- Ja również, malutka - odpowiedział, głaszcząc ją po policzku. Jej twarz była lepka od potu. Oczy miała silnie podkrążone, jeszcze bardziej niż przed jego wyjazdem. Popatrzył na jej rękę. Stała się tak chuda, że odznaczały się kości. Także skóra ręki Natalie wyglądała na nienaturalnie białą, nawet jej piegi jakby pobladły. Burke znowu spojrzał żonie w oczy. Miała chyba powiększone źrenice. Może na skutek działania środka uśmierzającego ból?

- Burke - szepnęła. - Nie... nie bądź na mnie zły.

- Kochanie - odpowiedział łagodnie. - Bardzo wiele porodów odbywa się poprzez cesarskie cięcie. To żaden wstyd. W ten sposób chronimy nasze dziecko.

- Nazwij go Burke. Zrób to dla mnie. I powiedz mu, że go kocham.

Dillinger popatrzył na nią ze zdziwieniem, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Tymczasem lekarze, pielęgniarki i położne najwyraźniej odbierali poród. Dziecko wyciągnął mężczyzna, pewnie położnik. Ostrożnie przeniósł je na mniejszy stół. Dillinger wstrzymał oddech z przerażenia, ponieważ niemowlę było purpurowe jak winogrona. Coś mu jest! - pomyślał Burke. Dlatego mnie tu przywieziono. Popatrzył na Natalie, wiedząc, że musi zachować spokój na twarzy, żeby Natalie nie wpadła w panikę. Przeszedł bliżej stołu z dzieckiem, zajrzał ponad ramionami pielęgniarek i szepnął w ucho najbliższej:

- Czy dziecko jest zdrowe?

Pielęgniarka odpowiedziała mu jednak tylko pełnym irytacji spojrzeniem i z powrotem zajęła się maleństwem. Dillinger się zdziwił. Po raz drugi w ciągu paru minut został niegrzecznie potraktowany przez pracowników szpitala. Zobaczył, że kolor jego dziecka się zmienił, już po chwili było jasnoróżowe. Zapłakało, wydobywając z siebie krótki dźwięk, żalosne łkanie, które poruszyło serce Burke'a jak żaden z odgłosów, jakie dotąd w życiu słyszał. Ogarnęło go nieznane mu wcześniej uczucie, zapragnął przytulić swoje dziecko, żeby je uspokoić i chronić.

- Pani Dillinger - odezwał się położnik, spoglądając na Natalie. Na Burke'a nie zwracał uwagi, jakby był on tylko przedmiotem przeszkadzającym mu w pracy. - Urodziła pani zdrowego chłopca.

Twarz Natalie była cała we łzach.

- Czy mogę go przytulić? - spytała.

Pielęgniarka ostrożnie ułożyła małe zawiniątko na piersi Natalie. Maleństwo miało teraz na miniaturowej główce siatkową czapkę. Zaciskało powieki, jego twarzyczka miała plamy o różnych odcieniach. Noworodek był zawinięty w kocyk. Natalie przytuliła maleńkiego synka wolną ręką, wpatrywała się w niego. Szybko jednak zmęczyla się trzymaniem głowy w górze i powoli opuściła ją z powrotem na poduszkę. Pielęgniarka zabrała dziecko.

- Może ja też go przytulę? - odezwał się Burke.

Pielęgniarka odwróciła się jednak plecami do niego i położyła dziecko na stole oświetlonym przez lampy grzewcze. Dillinger spojrział na żonę. Ciągle płakała. Ujął więc znowu jej dłoń.

- Jest piękny! - powiedział, uśmiechając się szeroko.

Oczy Natalie się zamknęły. Poglądził ją po czole. Było wilgotne i lepkie od potu. Znowu otworzyła oczy. Po jej policzku spłynęła łza. Burke otarł ją, uznając, że Natalie płacze z radości i ulgi.

- Burke - szepnęła. - Kocham cię. Proszę cię, opiekuj się małym Burkiem, dla mnie... - Mówiła z przerwami. - Powiedz mu, że zawsze będę go kochała.

Burke poczuł w ustach palący smak wymiotów. Jego ręce zaczęły drżeć. Co ona mówi?

- Kochanie, będziemy opiekować się nim razem - odpowiedział. - Sama mu powiesz, że go kochasz.

Oczy Natalie rozszerzyły się na chwilę.

- Powiesz mu? - powtórzyła z naciskiem.

- Powiem, Natalie - odpowiedział, marszcząc brwi.

- Burke - szepnęła znowu Natalie, po czym zaniósła się suchym kaszlem.

- Tak, najukochańsza? - Zbliżył twarz do jej twarzy, serce tłukło mu się w piersi. Był przerażony.

- Wiesz, że cię kocham? - upewniła się Natalie. - Kocham cię. Bardzo cię kocham.

Burke przytaknął.

- Wiem - zapewnił powoli. - I ja cię kocham, Natalie.

Natalie skinęła jeszcze głową i zamknęła oczy. Burke pogładził ją po czole i usłyszał alarm, buczenie monitora po drugiej stronie sali. Pielęgniarz wyłączył go ze złością.

Burke spojrział na niego. Zauważył, że chirurg i dwie inne osoby wyszły, została tylko położna i ów pielęgniarz. Pielęgniarz wyłączał po kolei wszystkie urządzenia, aż wreszcie wyjął z ręki Natalie igłę kroplówki, ściągnął też z jej twarzy maskę tlenową. Położna zapisywała coś w zeszycie.

- Czy chce pan przy niej zostać? - spytała surowym tonem doktor. Dillinger patrzył na nią oniemiały. Zdawało mu się, to jakiś koszmarny sen. Nie wiedział, co robić.

- Co tu się dzieje? - spytał, unosząc do ust zaciśniętą, drżącą pięść.

- Co się dzieje? - powtórzyła retorycznie lekarz, ściągając beret. Kasztanowe kręcone włosy opadły jej na ramiona. - Dzieje się to, o czym pana powiadomiono.

Czas jakby się nagle zatrzymał.

- Dlaczego jej nie zaszywacie? Dlaczego zdjęliście jej maskę? - pytał nieswoim głosem Burke.

- Dlatego, że już jej z nami nie ma, panie komandorze! - Doktor podkreśliła z sarkazmem stopień wojskowy Burke'a.

Dillinger nie mógł oderwać wzroku od Natalie. W końcu wyciągnął rękę i dotknął jej czoła. Mniej się kleiło, ale było chłodniejsze. Nie reagowała w żaden sposób.

- Przecież tu jest - zaprzeczył z uporem. Jego głos brzmiał jak z dna głębokiego szybu.

- Jej ciało jest tutaj. No i ma pan, czego pan chciał, zdrowego synka. Burke spojrział na identyfikator na piersi lekarki i huknął kapitańskim tonem:

- Doktor Kipling! Co się, do kurwy nędzy, dzieje?! Doktor Kipling patrzyła na niego nieruchomo.

- Jak państwu powiedziano siedem miesięcy temu, stało się to, co przewidywaliśmy, wskutek nieusunięcia płodu i zaprzestania radio - i chemioterapii. Mogliśmy ją ocalić, ale wolał pan mieć dziecko niż żonę. No to moje gratulacje, panie komandorze. Ma pan syna i może pan rozpocząć nowe życie. Oczywiście musi pan tylko najpierw pochować żonę.

Dillinger poczuł się jak rażony gromem. Patrzył znów na Natalie. Dotknął jej policzka, był zimny i już jakby sztywniejszy. Odwrócił głowę w stronę lekarki, ale nie widział jej dokładnie poprzez łzy.

- Ona nie żyje?! - jęknął.

Niedowierzenie w jego głosie najwyraźniej zirytowało położną.

- Tak, proszę pana. Przecież mówiła panu, że umrze. Kiedy Natalie przyszła do mnie po raz pierwszy, powiedziałam jej, jaka jest sytuacja. Mogliśmy albo walczyć z rakiem trzustki, albo próbować doprowadzić do donoszenia ciąży. Powiedziałam, że jeśli wybierze to drugie, może nie przeżyć porodu, a poza tym nieleczony rak może zabić ją razem z dzieckiem jeszcze przed upływem okresu ciąży. Uparła się jednak, żeby spróbować, bo dziecko jest takie ważne dla pana! Zwłaszcza że to chłopiec.

Burke próbował spojrzeć na lekarzkę, ale światło raziło go w oczy.

- Wiedziała, że to będzie chłopiec? - spytał drżącym, chrapliwym głosem.

- Oczywiście. A co, gdyby była to dziewczynka, pozbyłby się pan jej i ocalił Natalie, żeby móc spróbować jeszcze raz?

Dillinger próbował coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu, nie przychodziły mu też do głowy żadne sensowne słowa.

- Starczy już tego, pani doktor - odezwał się zza jego pleców stanowczy kobiecy głos. - Zawsze tak dręczy pani rodziny zmarłych pacjentów? Czy mam złożyć skargę w związku z tym, co tu się dzieje?

Położna zacisnęła usta, odwróciła się na pięcie i odeszła.

Burke odwrócił się powoli. Zobaczył w drzwiach Rachel Vornado, smutną, pełną współczucia. Podeszedł do niej, znowu bliski łez, a ona go objęła. Przytulił twarz do jej ramienia i gorzko zapłakał. Jak gdyby z pewnej odległości słyszał własny płacz przypominający skomlenie zwierzęcia złapanego w pułapkę. W końcu odzyskał głos.

- Ja nic nie wiedziałem!

- Mój Boże, B.K.! Jak mogłeś nie wiedzieć? - spytała łagodnie Rachel. - Przecież stan jej zdrowia pogarszał się z dnia na dzień. Dlatego właśnie byłam taka zła na ciebie, kiedy uciekałeś z okrętem przed huraganem.

- O niczym nie wiedziałem, przysięgam! Rachel pokręciła głową.

- Zawsze mnie zdumiewa, jak to jest możliwe, że inteligentny mężczyzna nie zdaje sobie sprawy z najprostszyc rzeczy. B.K., zastanów się, przecież jesteś kapitanem okrętu podwodnego. Niecały rok temu przeżyliście z Natalie katastrofę, podczas której zostaliście napromieniowani. Potem Natalie zaszła w ciążę, a mimo to traciła na wadze. Nie wyciągnąłeś z tego żadnych wniosków?

Burke pokręcił głową, czując się jak głupiec.

- Mówiła mi, że nic jej nie jest, że według lekarzy to zwykłe przemęczenie. - Dillinger spojrzał Rachel w oczy. - Zawsze wierzyłem Natalie, cokolwiek mówiła.

Rachel pokręciła znowu głową, patrząc na niego jednocześnie ze współczuciem i irytacją. W końcu złapała go za ramię i pociągnęła ku drzwiom.

- Czekaj! - odezwał się. Podszedł z powrotem do Natalie i ujął jej dłoń. Była bardzo zimna. - Kocham cię - szepnął. Pochylił się i przyłożył twarz do jej szyi. Boże, ileż razy tak robił, kiedy kochali się ze sobą. Wiła się wówczas z rozkoszy, spoglądając na niego sennie i przeczesując palcami jego gęste włosy. Pocałował ją w szyję, a potem wsunął dłonie pod jej plecy i ją przytulił. Stała się tak chuda. Była całkiem inna niż tamtego pamiętnego ranka na Morzu Barentsa. Jak niesłychanie długie miała nogi, gdy gładził ją po biodrze, opuszczając rękę coraz niżej. Całowała go tak namiętnie, że pożądanie narastało w nim z każdą sekundą. A teraz była taka, jakby właśnie wynurzyła się z lodowatej wody po kąpieli Klubu Morsów. - Kocham cię, Natalie - szepnął.

Rachel złapała go za rękę i odciągnęła od zmarłej. Pomogła mu wstać. Burke poruszał się nieprzytomnie jak lunatyk. Ściany korytarza przepływały obok niego. Drzwi windy otworzyły się, a potem zamknęły. Migwały wycieraczki dużego GMC Yukon, którym jeździła Rachel. Na szybę padał rzęsisty deszcz, ale wkrótce ustał. Gdzieś w oddali błysnęło. Potem pojawił się dom, jego dom. Stał tak samo jak przedtem, choć wichura przewróciła jedno z drzew i uszkodziła płot. A oto Mercedes Natalie, którego musiała przyprowadzić z parkingu dla oficerów. Drzwi wejściowe. Buty, które Burke zostawił w przedpokoju. Schody. Zapalające się światło w sypialni.

- Czy musisz iść do łazienki?

Pokręcił w milczeniu głową, rozglądając się. Łóżko było pościelone, w pokoju niezwykły porządek. Natalie musiała posprzątać, bo spodziewała się... wiedziała.

Kapa ściągnięta z łóżka, Rachel rozpinająca mu spinki i guziki koszuli. Koszula na dywanie, palce Rachel na rozporoku spodni. Kiedy to ostatni raz kobieta rozpiniała mu rozporek? Natalie, niecierpliwie ściągając mu spodnie, zawsze dotykała go w taki sposób, że już po paru sekundach byli w łóżku i kochali się namiętnie. Burke wzdrygnął się. Jak można wspominać takie rzeczy, gdy martwe ciało Natalie spoczywało

w kostnicy? Rachel ściągnęła mu spodnie i skarpetki. Wyprostowała się i popatrzyła na niego smutnym wzrokiem, a potem posadziła go na białym prześcieradle i uniosła jego nogi, aby znalazły się pod kołdrą. Przykryła go starannie. Zgasiła światło i Burke'a otoczyła ciemność.

- Nie odchodź - powiedział.

- Zaczekam, aż zaśniesz - odpowiedziała Rachel. - Zamknij teraz oczy. Poduszka była wilgotna, Burke słyszał odległe łkanie. Zstanawiał się,

gdzie naprawdę znajduje się Natalie. Czy nic złego się z nią nie działo? Czy zajęto się nią należycie? Czy będzie szczęśliwa, gdziekolwiek się znalazła? Łzy spływały mu po policzkach.

„Czy powiesz mi, że go kocham?” - spytała z drugiego końca sypialni Natalie. - Kocham cię. Bardzo cię kocham”.

Natalie, myślał z zaciśniętymi powiekami Burke. Dlaczego mi nie powiedziałaś? Odpowiedziałbym ci, że chcę, żebyś zwalczyła raka i żyła.

„Wiem” - odparła Natalie. Burke otworzył oczy. Siedziała na końcu łóżka, po turecku, tak jak zwykle, kiedy chciała mu coś wyjaśnić. Patrzyła na niego poważnie, najwyraźniej zależało jej, żeby ją zrozumiał. „Dlatego właśnie ukrywałam przed tobą wszystko. To było dla mnie ważne, tak ogromnie ważne; wiedziałam, że wolałbyś, bym pozbyła się dziecka”.

„Ale dlaczego mi nie powiedziałaś?”

Natalie pokręciła głową i odgarnęła włosy, jak zawsze robiła, zanim odpowiadała na jakieś pytanie. Burke uwielbiał ten gest.

„Masz teraz syna, Burke. Naszego syna. Musisz być silny dla niego. Wysłałam za mąż za najsilniejszego mężczyznę na świecie. Wiem, że dasz radę”.

Burke usiadł na łóżku i patrzył na Natalie. Światło księżycy padało na jej włosy, Burke miał przemożną ochotę jej dotknąć. Wyglądała tak zdrowo jak w dniu, kiedy się poznali, dawno temu, w jego kajucie na „Tusconie”.

„Wiedziałaś” - odezwał się oskarżycielskim tonem.

Przytaknęła.

„Przepraszam cię, że musiałem być na tych ćwiczeniach z Francuzami” - powiedział.

„Tak było lepiej - odparła Natalie. - Zorientowałbyś się, gdybyś został. Byłbyś wściekły. Ostatnie tygodnie mojego życia spędzilibyśmy na kłótniach. Nie chciałam tego. Dlatego właśnie poprosiłam Joego Krafta, żeby wysłał cię na morze”.

„Co takiego?” - Burke patrzył na nią z niedowierzaniem.

„Miał posłać »Virginie«. Powiedziałam mu, żeby wysłał ciebie, a potem sprowadził cię z powrotem w odpowiedniej chwili. Ćwiczenia miały potrwać tylko dwa-trzy tygodnie”.

Dillinger otworzył usta ze zdumienia.

„Obawiałam się, że nie dożyję porodu. Walczyłam ze sobą, żeby nie zadzwonić do Krafta, bo byłam przekonana, że każe ci się wynurzyć w środku ćwiczeń. Tymczasem on przyjechał do mnie. To dziewczyna z jego sztabu przewiozła mnie do szpitala i powiadomiła Joego, żeby szybko przerwali cię do domu. Wytrwałam ostatkiem sił i udało mi się osiągnąć to, czego najbardziej pragnęłam - jeszcze raz cię zobaczyć”.

Burke wpatrywał się w Natalie. Wstała i spojrzała na drzemiącą Rachel Vornado.

„Kiepsko z nią i Peterem, prawda?” - zapytała.

Dillinger pokiwał głową.

„Pozwól im się rozwieść. Chcę, żebyś był szczęśliwy. Chciałabym, żebyś wiedział, że się zgadzam, kiedy nadejdzie ta chwila”.

„Natalie, o czym ty mówisz?”

Natalie uśmiechnęła się promiennie, tym uśmiechem, który sprawiał, że Burke tak ją kochał.

„Do zobaczenia, Burke”.

Po tych słowach Natalie zniknęła powoli, zostało tylko przeświecające przez zasłony światło księżyca.

- Nie odchódź! Proszę cię, wróć do mnie! - zawołał głośno Burke. Rachel zamruła oczami, wystraszona.

- Mówisz przez sen, B.K. - odezwała się.

- Czy nie chciałabyś się położyć w gościnnym pokoju? - spytał Burke. - Jest już późno.

- A na pewno nic ci nie będzie?

- Zdarzało mi się sypiać lepiej - mruknął Burke. - Ale nie ma sensu, żebyśmy oboje mieli nieprzespaną noc.

- Rano zrobię ci kawy - obiecała sennym głosem Rachel. - Ale potem będę musiała wrócić do siebie, do dzieci.

- Rachel?

- Słucham?

- Czy ty coś wiesz o tych ćwiczeniach z Francuzami, na które wypłynąłem?

Rachel niepewnie skinęła głową.

- Trochę.

- Czy Natalie wspominała ci o tym, że rozmawiała z komandorem Kraftem, żeby wysłał mnie w morze?

- Miałaś się o tym dowiedzieć od samego Krafta, nie ode mnie - odparła Rachel, spuszczać wzrok. - Tak, to prawda, Rachel chciała, żebyś był na rejsie przez ostatnich parę tygodni, żebyś się nie martwił i nie krytykował jej decyzji. Porozmawiała z Kraftem, który zmienił rozkazy i posłał „Hamptona” pod twoim dowództwem zamiast „Virginii”.

Burke wpatrywał się w Rachel oniemiały.

- W jaki sposób Natalie została przewieziona do szpitala?

- Znalazła ją tu dziewczyna ze sztabu Krafta, zadzwoniła na pogotowie i pojechała z nią na salę operacyjną - odparła Rachel. - Powiadomiła Krafta, a on odwołał cię z misji.

Burke pokiwał głową, jakby w słowach Rachel nie było nic dziwnego.

- Śpij dobrze, Rachel.

Pomachała mu ręką na pożegnanie i zostawiła go samego.

Burke wpatrywał się w smugę księżycowego światła wpadającego przez okno. Co za realistyczny sen! Zamknął oczy i zasnął. Przyśniła mu się olbrzymia ośmiornica, która pochwyliła w swoje macki Jean-Paula, kapitana francuskiego okrętu; w jednej z macek Burke dostrzegł także swoje nowo narodzone dziecko. Obudził się przerażony. Potem nic już mu się nie śniło. Jakby zapadł się w czarną otchłań.

Linie celownika karabinu snajperskiego krzyżowały się ponad lewą kieszonką na piersi wartownika. Powiększony obraz w lunecie celownika był wyraźny i na tyle stabilny, że można było dostrzec spływającą powoli z czoła mężczyzny stróżkę potu; minęła oczodół i spłynęła po nosie. Pot wystąpił mu na czoło nie tyle z powodu palącego algierskiego słońca, ile przez to, co miało nastąpić za chwilę.

Wartownik stał przy ufortyfikowanej bramie francuskiej Chancellerie Diplomatique. Spojrzał ukradkiem w lewo, potem w prawo, ocierając jednocześnie rękawem pot z czoła, a potem skinął na kierowcę czekającej ciężarówki. Rozległ się basowy ryk wysokoprężnego silnika i potężna ciężarówka minęła barykadę, przejeżdżając osiemnastoma kołami po progu z opuszczonymi kolcami do dziurawienia opon. Wiozła w beczkach paliwo dieslowskie oraz worki z nawozem azotowym. Zjechała powoli po rampie do wnętrza nowego, betonowego parkingu. Podziemny parking był zarazem miejscem przeładunku towarów. Zbudowano go przy wschodniej bramie ambasady, przy wjeździe dla obsługi. Budowla mieszcząca pomieszczenia obsługi wystawała ponad ziemię, przylegając do ściany ambasady. Powstała, aby osłaniać ambasadę z jednej strony. Kiedy ciężarówka znikła w czeluściach parkingu, wartownik odwrócił się, ale potem jeszcze raz nerwowo zerknął w stronę budynku. Idiota. Stanąwszy w końcu twarzą do ulicy, spojrzął na zegarek.

Mimo że wartownik się kręcił, widoczne w okularze silnie powiększającej lunety karabinu linie cały czas krzyżowały się na jego sercu. Osłona okularu przylegała do oczodołu snajpera, ubranego na ciemno, pewnie trzymającego karabin w kościstych dłoniach. Widać było tylko smagle dłonie i jedno oko snajpera, resztę jego ciała zakrywała szata z kapturem i czarna chusta. Po długiej chwili mężczyzna powoli sięgnął ręką do chusty i ściągnął ją płynnym ruchem, zdjął także kaptur. Obserwator mógłby zobaczyć w tym czasie jego smukłe przedramię, na którym rysowały się wyraźnie mięśnie. Ludzie zawsze przyglądali mu się uważnie, ponieważ był ładnie podobny do ojca. Zresztą ci, którzy nie znali jego ojca, także mu się przyglądali, ponieważ miał ciekawą twarz mimo delikatności rysów świadczącej o silnym charakterze. Miał oliwkową skórę, mocno zarysowaną szczękę, odznaczający się ciemny zarost, pełne, niemal kobiece usta, których kąciki wyginały się w dół, kiedy leżał skupiony przy karabinie. Nos miał łagodnie zaokrąglony, kobiecy. Widząc go w lustrze, myślał zawsze o niemal zapomnianej już matce. Między

innymi dlatego właśnie nie lubił w nie patrzeć. No i te jego jasne, szare oczy... Ktoś kiedyś powiedział, że są zimne i martwe jak oczy bezlitosnego wilka.

Niekiedy opuszczał powieki tak, że można było mieć wrażenie, iż drzemie. Owa szczególna cecha przydawała jeszcze jego obliczu okrucieństwa. Kiedy jednak był podekscytowany, jego oczy otwierały się tak szeroko, że widać było białka wokół jasnych, szarych źrenic. Wyglądał wówczas jak człowiek ogarnięty jakąś manią. Ponieważ nie chciał, żeby z jego ekspresyjnych oczu odczytywano, co myśli, często wkładał ciemne okulary o wielkich szklach. Te okulary stały się jego znakiem rozpoznawczym, nosił je nawet podczas narad w ciemnych, zadymionych salach. Przesuwał je na czoło tylko wówczas, kiedy przykładął do oka okular lunety karabinu. Miał gęste brwi i lśniące, kruczoczarne włosy, może odrobinę za długie. Zaczesał je starannie do tyłu. Zadbana fryzura świadczyła o tym, że lubił panować nad każdym szczegółem swojej osobowości. Na podstawie samego jego wyglądu ludzie mogli stwierdzić, że jest człowiekiem zdecydowanym, że w jego żyłach płynie ta sama krew, która płynęła w żyłach dowódcy brygady najświętszych wojowników w kraju, zwanej przez Francuzów GIA, od *Groupe Islamique Arme*, czyli Islamska Grupa Zbrojna.

Cztery lata wcześniej Front Wyzwolenia Narodowego, partia rządząca Algierią zorganizował krwawą zasadzkę, prawdopodobnie we współpracy z rządem francuskim oraz DGSE, francuską agencją wywiadowczą. W zasadzce Frontu czy też *Direction Generale de la Securite Exteuriere*, jak brzmi pełna nazwa DGSE, zginął przywódca GIA, Antar Zouabri. Organizacja została bez przywódcy, a jego jedyny syn, Issam Akzer Zouabri - bez ojca. Sześć miesięcy później DGSE porwało następcę Antara Zouabriego; podczas akcji zbłąkana kula trafiła w udo matkę Issama. Wykrwawiła się. Mogłaby przeżyć, ale odmówiła przyjęcia pomocy od sanitariuszy będących na usługach rządu. Issam miał wówczas dwadzieścia cztery lata. Od jakiegoś czasu zastanawiał się, czyjego matka wybrała śmierć z nienawiści do rządzącej partii, czy też z żalu za zabitym pół roku wcześniej mężem.

Po tym, jak Antar Zouabri zginął w zasadzce, łatwo było namówić Issama do wstąpienia do GIA. Mimo młodego wieku wykazywał wielki zapał, talent, bezwzględność oraz pomysłowość. W organizacji nie było stanowisk ani tytułów. Gdyby były, Issam zostałby szefem do spraw planowania operacyjnego. Zawsze zgłaszał najlepsze pomysły. Zanim się pojawił, największymi wyczynami GIA bywało poderżnięcie gardła jakiemuś francuskiemu dziennikarzowi albo wysadzenie w powietrze francuskiego baru. Issam natomiast zdążył w ciągu niecałych

czterech lat przeprowadzić pięć poważnych operacji. Najgłośniejszą nich było porwanie trzech francuskich miliarderów. Rodzina jednego z nich przekazała GIA dwadzieścia milionów euro, zanim wykrwawił się na śmierć. Osiągnięciem Issama była także udana egzekucja wysokiego przedstawiciela DGSE. A w tej chwili wykonywał właśnie operację wysadzenia francuskiej ambasady. Jeśli i ten plan się powiedzie, Issam z pewnością stanie się przywódcą GIA, dwa lata przed swoimi trzydziestymi urodzinami. Jakże jednak ma szansę na dożycie owych urodzin, zwłaszcza po wykonaniu obecnego, świętego zadania?

Ciężarówka powinna właśnie zbliżyć się do dwuskrzydłowych drzwi, przez które wnoszono do ambasady zapasy żywności. Issam był ciekaw, czy wartownik zrobi wrażenie zaskoczonego. Z pewnością będzie go kusiło, aby schować się za sięgającym do połowy uda kamiennym murkiem koło wartowni. Jeśli kucnie za murkiem, z pewnością zapamiętają to ci, którzy przeżyją zamach.

Issam przyglądał się wartownikowi przez lunetę bez mrugnięcia okiem. Chłodno oceniał to, co się działo. Jego zmysły i mózg czuwały cały czas, aby zapamiętać każdą milisekundę. Być może pewnego dnia będzie opowiadał o zamachu na ambasadę dzieciom czy wnukom. Nadchodził moment wybuchu. Wartownik stał zwrócony twarzą do ulicy, otarł tylko znowu pot z czoła. Ułamek sekundy później od strony ambasady z oślepiającą siłą rozbłysło drugie słońce. Issam sądził, że będzie mógł obserwować wydarzenie przez lunetę karabinu, ale nie przewidział siły eksplozji. Niecałą sekundę po tym, jak zobaczył światło, fala uderzeniowa odrzuciła go w tył. Mimo wszelkich starań nie zapamiętał całego przebiegu zamachu - pamiętał dokładnie każdy szczegół sprzed wybuchu, a potem to, co działo się, gdy jego ciało uderzyło twardo w dach trzy metry od gzymsu, przy którym kucnął. Najbardziej zdziwiła go w tym momencie absolutna cisza. Spodziewał się hałasu, krzyków, ale nic nie słyszał. Najwyraźniej detonacja ogłuszyła go, czuł się trochę jak we śnie.

Podniósł się powoli i wtedy poczuł zapach - ostrą mieszankę woni chemikaliów, które wybuchły, płonącego drewna i papieru, dymu i czegoś jeszcze - przypalonego mięsa. Palącego się ludzkiego mięsa. Odwrócił się i poszukał wzrokiem karabinu. Podniósł go, sprawdzając, czy nie został uszkodzony. A potem zbliżył się z powrotem do gzymsu i popatrzył na płonące ruiny ambasady. To, co zobaczył w dole, wyglądało jak scena z piekła. Issam poczuł satysfakcję, wyobrażając sobie, że wszyscy Francuzi z ambasady płoną w tym piekle i będą odtąd płonąć w mękach przez całą wieczność.

W górze rozwiewała się czarno-pomarańczowa kula. Ruiny przykrywał ciemny dym, który utrzymywał się przez kilka długich minut. Kiedy i on się rozwił, oczom Issama ukazało się ogromne, wysokie na mniej więcej pięć metrów bezładne rumowisko, które zastąpiło piękny, osiemnastowieczny budynek. Starannie utrzymywane ogrody ambasady szerniały w promieniu pięciuset metrów od centrum eksplozji. Z drzew zostały jedynie kikuty. Bujne krzewy znikły, pozostało tylko trochę osmalonych patyków. Wszędzie leżało potłuczone szkło. Sam budynek wraz z przybudowanym skrzydłem zamienił się w stos kawałów betonu, granitowych kamieni, osmalonych kawałków drewna. Tysiące kartek papieru unosiło się na wietrze. Można też było zobaczyć kilka ślaniających się na nogach osób, które przeżyły zamach. Jedna z nich szła ulicą, podczas gdy jej ubranie płonęło, z czego nawet nie zdawała sobie sprawy.

Nagle rozległa się druga, mniejsza eksplozja, od której Issam niespodziewanie odzyskał słuch; słyszał teraz głośny ryk płomieni. Być może eksplodował zbiornik paliwa do generatora awaryjnego ambasady, a może zbiornik z tlenem, który dostarczano choremu ambasadorowi do gabinetu. Issam poczuł się jakby otrzeźwiony przez ów drugi wybuch. Rozejrzał się za wartownikiem. Nie mógł go rozpoznać pośród błakających się ludzi. Być może był nim człowiek leżący nieruchomo twarzą w dół na ulicy.

Dały się słyszeć odgłosy syren. A jeśli sanitariusze zabiorą wartownika do karetki? Jak on zacznie mówić? Na szczęście po kilku minutach rozpoznał wartownika - tak, to był ten człowiek, który dotychczas leżał nieruchomo; wstał i popatrzył na rumowisko, które zostało z ambasady. Issam obawiał się, że celownik rozregulował się od wstrząsu, mimo to wymierzył w sam środek głowy wartownika i wystrzelił. Kula trafiła mężczyznę w szyję. Odwrócił się na pięcie, oszołomiony, bryzgając krwią. Issam wycelował więc w serce wartownika i wystrzelił po raz drugi. I tym razem kula poleciała za nisko, krwawa plama pojawiła się na brzuchu mężczyzny. Zouabri wstrzymał oddech i wycelował kilka centymetrów ponad jego lewym ramieniem. Tym razem trafił prosto w serce. Wartownik opadł na kolana. Czwarta kula trafiła go w prawe oko,

przeszywając na wylot mózg. Ciało wartownika poleciało w tył. Issam wystrzelił jeszcze piątą kulę, która przedziurawiła pod ostrym kątem klatkę piersiową zabitego mężczyzny i rozszarpała resztki jego serca.

Spokojnie, zerkając na ulicę, Issam rozmontował karabin - wykręcił lufę, zdjął lunetę celownika. Części karabinu pochował do obszernych kieszeni, które miał wewnątrz szaty. Wyprostował się, otrzepał ubranie i bez pośpiechu ruszył do kłapy prowadzącej do wnętrza budynku.

Niecałą minutę później wyszedł z budynku tylnymi drzwiami. Szybko wsiadł do czekającej w pobliżu z włączonym silnikiem starej, przerdzewiałej toyoty. Kierowca wolno ruszył i wyjechał z uliczki w odległości jednej przecznicy od gruzów ambasady. Toyota przemykała się bocznymi ulicami, aż wreszcie dotarła do kryjówki GIA.

Issam Akzer Zouabri wysiadł z samochodu, nie zdejmując ciemnych okularów. Na chwilę wystawił twarz na działanie gorących promieni słonecznych. Dodatkowo rozgrzewała go świadomość, że udało mu się zadać cios w serce niewiernym francuskim sukinsynom, którzy od tak dawna dopuszczali się gwałtu na jego kraju. Oto GIA zlikwidowała Paula Chiraulda - ministra spraw zagranicznych Francji, Jacques'a Miraulta - człowieka numer dwa w DGSE - francuskim wywiadzie, Jona Pierre'a d'Ortalla - ambasadora Francji w Algierii, oraz Aszhera Uthala - wiceprezydenta Algierii i rzeźnika z Frontu Wyzwolenia Narodowego. Całkowite zwycięstwo jest już bliskie.

Przed oczami Issama stanęła wyrazista wizja Algierii jako islamskiego państwa teokratycznego. Wieść o udanym zamachu rozniesie się po całym świecie muzułmańskim i wkrótce przybędą do Algierii zastępy mudżahedinów, aby dołączyć do świętej wojny przeciw Frontowi Wyzwolenia i Francuzom. A on, Issam Zouabri, stanie się w końcu przywódcą GIA, organizacji, której był tak oddany. Z radością oddałby za nią życie.

Wciągnął w nozdrza zapach powietrza, wyobrażając sobie, że aż tu dociera woń ciał palących się wśród gruzów ambasady. To dobry zapach, pomyślał, zapach błogosławiony przez Allaha.

Issam Akzer Zouabri zgasił papierosa i obserwował zza ciemnych okularów człowieka, nad którym jego zastępca do spraw wywiadu pracował w ciągu roku, jaki upłynął od czasu zamachu na francuską ambasadę. Dwaj mężczyźni siedzieli w zatłoczonej kawiarni w Mekce. Był ramadan, zapadł już zmrok, więc w kawiarni tłoczyli się ludzie, jedzący i pijący herbatę. Issam przeszywał rozmówcę spojrzeniem. Jeśli uda się zwerbować Jusufa Tagreba, GIA zrealizuje wszystkie cele prowadzonej przez siebie wojny i zmieni mapę świata. Algieria stanie się państwem islamskim, zaś Francja zamieni się w dymiące zgliszcza.

Tagreb był starszy od Zouabriego, dobiegał czterdziestki; wyglądał jednak na dużo młodszego. Był średniego wzrostu, niższy od Zouabriego niemal o głowę, mocno zbudowany. Mimo lat spędzonych w wojsku robił wrażenie otwartego, życzliwego człowieka, z pewnością nie miał twarzy zabójcy. Zouabri pomyślał, że to dobrze, ponieważ łatwiej będzie kierować Tagrebem. Ostatnie doświadczenia nauczyły Issama, że mężczyźni przed trzydziestką nie jest łatwo zdobyć posłuchu znacznie starszych od siebie. Tagreb miał gęste brwi, duże, ciemne oczy, okrągłą twarz, wydatne usta, szeroki uśmiech i nierówne zęby, choć poza tym był przystojny. Przy Zouabrim uśmiechnął się zaledwie raz, robił wrażenie niezwykle smutnego człowieka. Jusuf Tagreb miał zwracający uwagę głos, dźwięczny baryton, który pozwoliłby mu zapewne śpiewać w operze. Chyba nie zdawał sobie z tego sprawy, a w tej chwili starał się mówić jak najciszej, konspirował przeciw z Zouabrim.

- Mówisz, bracie, że operacja się udała? - upewnił się. - Zabiłeś ambasadora i francuskich gości?

Issam odczekał chwilę, aby sprawić większe wrażenie.

- Liczba ofiar zamachu sięgnęła stu osiemdziesięciu siedmiu osób - oznajmił - chociaż trzydzieści cztery zmarły później, z powodu ran. Poza tym jeszcze około pięćdziesięciu osób zostało poważnie rannych. - Zrobił pauzę i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni szaty srebrną papierośnicę. Zapalił papierosa srebrną zapalniczką, której płomień strzelał na pięć centymetrów w górę. Zaciągnął się dymem i wypuścił go przez nozdrza. Dwa kłęby dymu wzniosły się powoli ku ciemniejącemu niebu. - A jednak operacja była nieudana.

- Nieudana? Dlaczego?

- Celem zamachu było zabicie czterech ludzi: ambasadora Francji w Algierii, zastępcy dyrektora DGSE, wiceprezydenta i wiceprzewodniczącego Frontu Wyzwolenia Narodowego w jednej osobie, oraz ministra spraw zagranicznych Francji. Wszyscy przeżyli, ponieważ w chwili wybuchu żadnego z nich nie było w ambasadzie. Z limuzyn wysiedli inni ludzie.

- Sobowtóry? - upewnił się ze zdumieniem Tagreb.

- Owszem. Wiceszef DGSE i francuski minister przyjechali dlatego, żeby przekazać partii rządzącej dane, jakie zebrał o nas wywiad francuski. Przewidziano zamach na ambasadę.

- Jeżeli DGSE spodziewało się zamachu, to dlaczego go nie powstrzymano? - spytał Tagreb, marszcząc brwi.

- Pomyśl chwilę, Jusuf. - Tagreb uniósł brwi, chyba nieprzyzwyczajony do tego, żeby ludzie zwracali się do niego w taki sposób. Od lat tytułowano go komandorem porucznikiem. - DGSE i Francuzi wykorzystali zamach przeciwko nam, starając się pokazać światu, jacy jesteśmy brutalni. Nie tylko Algierczykom, ale całemu światu. Przewidzieli, że potem uda im się umocnić wpływy. Poza tym FWN - Front Wyzwolenia Narodowego i DGSE chyba spodziewały się, że będę obserwował operację i uczestniczył w niej bezpośrednio jako snajper. Ale czy to ma znaczenie?

- To stało się rok temu?

- Tak. - Zouabri wiedział, że w czasie zamachu Tagreb był na morzu. Nie oglądał w telewizji zdjęć popalonych ciał ani rumowiska. Na szczęście nie słyszał też, jak władze Algierii i Francji chwaliły się, że ich przedstawiciele przeżyli.

- Czy francuski wywiad i algierskie władze rozpoczęły polowanie na was?

- Polowanie? - Issam roześmiał się smutno. - To prawdziwa krucjata. Władze i DGSE dopadły tylu moich braci z GIA, że organizacja została rozbita na kawałki. Pewnie niewiele wiesz o Francuzach, przyjacielu, ale oni potrafią torturować ludzi. Szef naszego wywiadu przyszedł do mnie o wpół do trzeciej w nocy, żeby mnie ostrzec, a pół godziny później wysadzono moje drzwi. Gdyby nie zmuszono mnie do opuszczenia mieszkania, siedziałbym teraz w algierskim albo, co gorsza, francuskim więzieniu, z połamanymi kośćmi, ociekający krwią.

Issam zrobił kolejną pauzę, sięgając po następnego papierosa. Wpatrywał się w Tagreba, potem popatrzył na unoszący się ponad nimi dym.

- Najgorsze, że historia się powtórzyła - kontynuował. - Cztery lata temu FWN, z pomocą francuskiego wywiadu, przeprowadził serię brutalnych, krwawych napaści na GIA. Szatańskie siły FWN zabiły mojego ojca i śmiertelnie raniły moją matkę. Zastępcą mojego ojca był Raszid Abu Turab. Torturowali go tak okrutnie, że wydał wielu. Aresztowali wówczas i zabili prawie tysiąc członków GIA. Wprowadzili też do

naszej organizacji agentów. Kiedy stanąłem na czele jej resztek, zrobiłem wszystko, żeby wypłenić szpiegów i informatorów. - Osobiście zabił siedmiu najgorszych zdrajców, podrzynając im gardła, gdy błagali o miłosierdzie. Potem całkowicie poodcinał im głowy i pokazał każdą do kamery wideo. Podrzucano filmy rodzinom zdrajców, żeby dać nauczką następnym chętnym. Oczyszczenie szeregów organizacji zajęło Zouabriemu ponad rok, aż w końcu nabrał pewności, że pozbył się wszystkich zdrajców. Może się mylił? - A więc taka jest moja historia, bracie - odezwał się znowu Zouabri, wciąż wpatrując się w dym. - Wiesz już o mnie dostatecznie dużo, żebym z tego powodu zginął. Albo dostał się do więzienia. A teraz może zechcesz powiedzieć coś o sobie. - Issam spojrzął na Tagreba, zgasił niedopałek i sięgnął po papierosa kolejnym razem.

Jusuf odstawił filiżankę z herbatą. Z powodu obowiązującego w ramadanie całodziennego postu o tej porze czuł się już słaby. Rozejrzał się dyskretnie, jakby zdumiony tym, dokąd zaprowadziło go życie. Bez wątplenia Mekka bardzo różniła się od północnej Rosji.

- Nie wiem, od czego zacząć - odezwał się, nerwowo zmieniając pozycję. Ten nowy znajomy, którego poznał przed tygodniem, bardzo mu się podobał. Rozmawiali na różne tematy, ale dopiero dziś Zouabri powiedział mu, że jest przywódcą organizacji terrorystycznej. Jusuf Tagreb nie miał dotąd okazji opowiadać nikomu o swoich doświadczeniach.

Przed rokiem ojciec Jusufa umarł w ich rodzinnym domu, w turkmeńskiej wiosce. Turkmenistan, dawna republika radziecka, jest obecnie ubogim państwem islamskim na północ od Iranu i Afganistanu. Jusuf myślał, że czas ukoji jego ból po stracie ojca, jednak w rocznicę jego śmierci poczuł się jeszcze gorzej niż przedtem. Czy to wiara ojca przywiodła go do Mekki? A może to, że Jusuf był dla ojca imama tak wielkim rozczarowaniem?

- Byłeś policjantem? A może żołnierzem? - spytał Zouabri. Tagreb zmarszczył czoło, nie kwapiąc się z odpowiedzią.

- Dlaczego tak uważasz? - spytał.

- To widać po twoim sposobie bycia. Czy służyłeś w rosyjskiej armii? - Nie. W marynarce wojennej. Jestem, a właściwie byłem, oficerem rosyjskich sił podwodnych.

Przez te wszystkie lata, kiedy nosił mundur marynarki rosyjskiej, był dla swojego ojca odszczepieńcem. Wcześniej odkryto wysoką inteligencję młodego Jusufa, miał szczęście, teraz wyglądało na to, że nie była to wola Allaha, trafić na Uniwersytet Moskiewski. Od początku interesowała się Jusufem marynarka. Obecnie byłoby to całkiem niewyobrażalne, ale pod koniec lat osiemdziesiątych Turkmenistan należał do

ZSRR i człowiek tak utalentowany jak Jusuf Tagreb musiał trafić do radzieckich sił zbrojnych. Po sześciu latach studiów miał już doktorat z inżynierii atomowej. W rzeczywistości najbardziej lubił języki obce, uczył się ich z wielką łatwością, od razu zapamiętując słówka, całe zdania i gramatyczne struktury. Potrafił mówić, czytać i pisać po angielsku, francusku i hiszpańsku, no i oczywiście po rosyjsku, jak gdyby każdy z tych języków był jego ojczystym. Wolny czas podczas studiów spędzał, czytając książki i artykuły napisane w którymś z wyżej wymienionych języków. Zwrócił uwagę na to, że w każdej kulturze inaczej postrzegano postęp ludzkości.

Miał obowiązek służyć po studiach w marynarce wojennej. Niewiele myślał o tym, co będzie tam robił. Przypuszczał, że zostanie inżynierem w jednostkach pomocniczych albo budowniczym okrętów. Miał zajęcia z budowy okrętów, co nawet nieco go zainteresowało. W pewnym momencie, w czym znów można dostrzec ingerencję Allaha, na Jusufa zwrócił uwagę inny Turkmen, Fayad Ghassab, stary kontradmirał radzieckich sił podwodnych. Na wniosek Ghassaba Tagreba skierowano do ogromnej, tajnej bazy okrętów podwodnych w Murmańsku, za kołem podbiegunowym. Dalszy los dwudziestokilkuletniego wówczas Jusufa został określony. Tagreb nie myślał wiele o przyszłości, ale jego dalsza nauka zmierzała do konkretnego celu. Zrobił doktorat z dynamiki rdzeni reaktorów używanych na radzieckich okrętach. Ghassab pomógł mu obronić doktorat przed czasem, aby Jusuf jak najszybciej rozpoczął szkolenie na okrętach.

Zmiana środowiska uniwersyteckiego, gdzie przeprowadzał eksperymenty na pracującym reaktorze, a nocami czytał o historii Francji, na bazę marynarki wojennej z wojskowym drylem, była dla Jusufa trudna w sensie emocjonalnym. Czuł, że czegoś mu w życiu brakuje. Koledzy radzili mu, żeby znalazł sobie żonę albo przynajmniej kobietę, która uprzyjemni mu życie. Myślał o tym poważnie, ale po roku szkolenia dostał przydział na okręt. Trafił na „Krasnojarsk”, bliźniaczy okręt „Kurska”, który uległ katastrofie. Dwa lata przed katastrofą „Kurska” Tagreb był już jednym z niewielu oficerów rosyjskiej floty podwodnej, którzy świetnie znali się zarówno na technice okrętu, jak i taktyce. Wciąż powierzano mu wachtę oficera dyżurnego i wkrótce umiał również uczyć taktyki młodszych oficerów trafiających na okręt.

Po dwuletniej służbie na myśliwskim „Krasnojarsku” Tagreb dostał przydział na okręt przenoszący rakiety z głowicami termojądrowymi. Olbrzymi okręt nosił oznaczenie TK17 i należał do klasy 941Akuła, nazywanej przez NATO tajfunami. Tu także służył dwa lata, ucząc się odstraszania potencjalnych wrogów Rosji rakietami balistycznymi i krycia się ze swoim groźnym okrętem w głębinie. Mnóstwo czasu spędzał w

przedziale maszynowni. Następnie powrócił na ukochany „Krasnojarsk”, gdzie stał się pierwszym mechanikiem, a potem zastępcą oficera uzbrojenia i taktyki. To były niezwykle czasy! - pomyślał, patrząc w wystygłą herbatę w filiżance.

Opowiadał o najważniejszych wydarzeniach swojego życia najpierw powoli i z przerwami, potem pełnymi zdaniami, z ożywieniem. Ciemne okulary rozmówcy pomagały mu ukrywać myśli. Jusuf zastanawiał się później, czy byłby w stanie to wszystko opowiedzieć, gdyby widział oczy Issama. Kiedy skończył mówić, było po drugiej w nocy, a kawiarnie dawno już zamknięto. Zouabri pokiwał głową ze zrozumieniem, ale widać było, że ma jeszcze pytanie:

- Skoro twoja kariera tak dobrze się rozwijała, bracie, dlaczego przestałeś służyć w marynarce? - spytał Zouabri.

- To już nie była moja marynarka - odparł z westchnieniem Jusuf. - Kiedy mojego pierwszego kapitana przeniesiono na nowy okręt myśliwski, kapitanem „Krasnojarska” został jego pierwszy oficer. A potem doszło do kolizji na Morzu Barentsa, kiedy okręt wynurzył się na głębokość peryskopową przed powrotem do portu. Ja akurat spałem, miałem zacząć wachtę pięć godzin później. „Krasnojarsk” został tylko lekko uszkodzony, ale przedziurawiliśmy tankowiec. Wydawało się, że zatonie, jednak udało nam się przerzucić na niego linę i odholować go bliżej Murmańska. Przejął go od nas holownik, który zaciągnął tankowiec do portu. Na morzu powstała olbrzymia plama ropy. Był to wielki wstyd dla rosyjskiej marynarki. Mojego świeżo upieczonego kapitana zwolniono ze służby i słuch o nim zaginął. Oficjalnie mówiono, że przeniesiono go do służby gdzieś na lądzie, ale plotki głosiły, że kompletnie się załamał.

Tagreb popatrzył na rozgwieżdżone niebo. Od zachodu powoli nadciągały chmury.

- I na mnie ten wypadek wywarł przygnębiający wpływ - ciągnął. - Podważył reputację wszystkich oficerów i marynarzy, którzy służyli na okręcie. Potraktowanie komandora Fiskowa przez dowództwo także mi się nie podobało.

- Komandor Fiskow to kapitan, który zderzył się z tankowcem?

- Tak. Przysłano nam kapitana, który miał poprawić wyszkolenie i morale załogi. Straszego człowieka. Ale załoga była dobrze wyszkolona. Taki wypadek może się zdarzyć każdemu, zwłaszcza że tankowiec płynął bez świateł. Prowadzący śledztwo odnotowali to, ale nie oczyszcili z zarzutów Fiskowa ani nikogo z nas.

- Do ciebie też się przyczepili? Przecież spałeś.

- Uważali, że nie powinienem spać w takiej sytuacji. A przecież było to rutynowe wynurzenie przeprowadzone przez kogo innego. Dostałem nagane, która zrujnowała moją dalszą karierę. Mimo to byłem gotów służyć marynarce, bo nie byłem karierowiczem. Jednak komandor Dostojew, ten kapitan, którego przysłali w miejsce odwołanego wziął się na mnie. - Jusuf roześmiał się smutno. - Postawił sobie za cel udowodnienie mojej niekompetencji... A ja nie miałem czasu na rozgrywki personalne. Akurat wówczas zachorował mój ojciec. Pojechałem do niego, do Turkmenistanu. Okazało się, że ojciec umiera na raka płuc. - Jusuf westchnął. - Był głęboko wierzącym człowiekiem, prawdziwym fundamentalistą. Opowiedziałem mu o wszystkim, co mi się przydarzyło. Myślałem, że ojciec będzie rozczarowany, ale jego twarz pojaśniała. Powiedział, że taki koniec mojej kariery to znak Allaha. Allah chce, żebym przejrzał, przekonał się, że toczymy wojnę z niewiernymi. Na początku trudno mi było to zaakceptować, ale kiedy mój ojciec umarł, ciągle słyszałem jego głos. Zdałem sobie nagle sprawę z tego, że służyłem ludziom nieprawym. Kiedy skończył się mój urlop, postanowiłem zdezerterować. Przyjechałem tutaj i tak poznałem ciebie, bracie.

Zouabri przyglądał się Tagrebowi bez słowa. Po długim czasie spytał cicho, ale stanowczo:

- Jusuf, czy wierzysz w uzdrawiającą moc zemsty?

- Powiedziałem ci już, bracie, że należę teraz do społeczności wiernych - odpowiedział ostrożnie Tagreb. - Jest ramadan. Jak mógłbym uciec się do przemocy?

- Koniec twojej kariery nie był przypadkiem, Jusuf. To wszystko ma głęboki cel. Całe wieki przed twoim narodzeniem Allah zaplanował, że masz służyć na okrętach podwodnych, nabierać tam doświadczenia. Pozwolił ci na sukcesy w służbie niewiernym tylko po to, żebyś poczuł gorycz zdrady przez tego komandora Dostojewa, o którym mi powiedziałeś. Był narzędziem w rękach Boga. Przekazał ci wiadomość, którą Bóg napisał do ciebie na długo przedtem, zanim pojawiłeś się na tym świecie. Czy rozumiesz moje słowa?

Tagreb patrzył na Zouabriego w świetle świecy. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Przeznaczenie? Dostojew, który zazdrościł mi umiejętności, był narzędziem w rękach Boga? Trudno mi w to uwierzyć. To okrutny złośliwy człowiek. Teraz, kiedy moja dusza powróciła do Boga, okrucieństwo i złośliwość budzą we mnie odrazę.

Issam powoli ściągnął okulary i położył je na stole. Dopiero teraz Jusuf zobaczył po raz pierwszy okrutne oczy swojego brata w wierze. Otworzył usta z przerażenia.

- Czy postrzegasz w Dostojewie boskiego posłańca? - spytał Issam. Tagreb spochmurniał.

- Chyba nie jestem zdolny objąć tego umysłem...

- Mam dla ciebie dwa prezenty, Jusuf - oznajmił Zouabri, nachylając się bliżej. - Ale najpierw coś ci wyznam. Jako przywódca GIA mam pewną władzę. Podlega mi niewielka, ale wierna grupa bojowników, którzy specjalizują się w wywiadzie. Przyznaję, że podczas zamachu na ambasadę okazali się gorsi niż wywiad rządowy i DGSE, ale prostsze zadania wykonują znakomicie. Potrafią nie tylko zbierać informacje. - Issam zrobił kolejną pauzę na zapalenie papierosa. Wiedział, że płomień zapalniczki wywoła zniecierpliwienie Tagreba.

- Czy to było twoje wyznanie? Zouabri wydmuchał dym przez nozdrza.

- Oto ono: znam twoją historię. To, że zaprzyjaźniliśmy się, było zapisane w moim przeznaczeniu, zgodnie z którym kroczę ścieżkami wytyczonymi mi przez Allaha. Twoją historię opowiedział mi przyjaciel przyjaciela krewnego twojego ojca. Przebyła tysiące kilometrów, aby dotrzeć do moich uszu. I dotarła nie bez powodu. Usłyszałem ją z niezwykle ważnej przyczyny, żeby spełniło się proroctwo.

- Dlaczego w takim razie czekałeś, aż opowiem ci jajeszcze raz - spytał z wahaniem Jusuf.

- Było to ważne nie dla mnie, lecz dla ciebie. Allah chciał ci przypomnieć, czego doświadczyłeś z rąk komandora Dostojewa, a pośrednio z rąk Boga najwyższego.

- Dostojew narzędziem Allaha? - Jusuf machnął ręką. - Trudno mi w to uwierzyć.

- Czy nienawidzisz tego człowieka?

- Jakie to ma znaczenie, Issam? Nie myślałem o nim od prawie roku.

- Powiedziałem ci, że mam dwa podarki. - Zouabri sięgnął pod połę szaty, odpiął coś, co miał umocowane na udzie, i położył na stole. Tagreb ujrzał ozdobny kindżał o rękojeści wykładanej drogimi kamieniami. W świetle świec połyskiwały rubiny i brylanty. Powoli, jakby jego ręką kierowała jakaś zewnętrzna siła, dotknął rękojeści kindżału, a potem wyciągnął go z pochwy. Ostrze miało dwadzieścia centymetrów długości. Było wykonane z szarego, matowego metalu, który kontrastował z ozdobną rękojeścią. Widać było, że nóż jest niezwykle ostry. Był także ostro zakończony, a na połowie długości klingi miał zęby. Groźna broń. Jusuf przypomniał sobie, jak pierwszy raz trzymał w ręku broń palną. Pistolet wydał mu się wówczas ciężki i oczywiście bardzo groźny. Natychmiast wzbudził w nim pragnienie, by wycelować w coś,

wypróbować jego śmiercionośną siłę. Pragnienie to nie opuściło go, kiedy odłożył broń. Chcąc przerwać tok niedobrych myśli, Jusuf szybko schował z powrotem kindżał do pochwy.

- Piękna broń, ale po co mi ją dajesz? I dlaczego mnie szpiegowałeś, bracie?

- Liczy się drugi prezent - odpowiedział tajemniczo Zouabri, wyciągając zza poły szaty skórzany pas nabijany złotem. - Przypasz kindżał i chodź ze mną. - Po tych słowach wstał i wyszedł z kawiarni.

Jusuf posłusznie założył pas i przypiął do niego kindżał, a potem wyszedł za przywódcą GIA na wąską ulicę. Przyszło mu na myśl, że mógłby odwrócić się i pójść do domu; był jednak ciekaw, co dalej nastąpi. Minęli kilku mężczyzn strzegących wejścia do ciasnej uliczki, właściwie korytarza, za którym były potężne drzwi. Tych znowu strzegło trzech ogromnych, ponurych ludzi. Najbardziej rosły z nich wyprężył się przed Zouabrim na baczność, a potem otworzył drzwi kluczem i uchylił je przed przybyszami.

Tagreb znalazł się w pogrążonym w niemal całkowitych ciemnościach wnętrzu. Zszedł za Zouabrim po schodach; powietrze stało się chłodniejsze, znaleźli się w głębokiej piwnicy. Jusuf poczuł przykry kwaśny zapach, mieszaninę woni moczu i wymiotów. Przez chwilę zastanawiał się, czy nic mu nie grozi, znajdował się w towarzystwie przywódcy GIA, w jakimś lochu, w otoczeniu ochroniarzy Zouabriego. Tymczasem otworzyły się kolejne drzwi i zapalono jaskrawe światło. Jusuf otworzył szeroko usta ze zdumienia.

Na podłodze klęczał skulony mężczyzna przykuty do kamiennej ściany łańcuchami, które trzymały go za nadgarstki i kostki. Od razu było widać, że nie mył się od wielu dni, może nawet tygodni. Brudne, rozczochrane włosy opadały mu na twarz, miał klejący się od brudu miesięczny zarost. Mimo to Jusuf od razu go poznał.

To był komandor Dostojew z marynarki rosyjskiej, kapitan okrętu podwodnego „Krasnojarsk”.

- Jak zdołaliście to zrobić?! - spytał Jusuf. - I po co?

Tagreb stanął naprzeciw zwisającego bezwładnie z łańcuchów komandora. Zauważył, że jego lewa powieka jest cała czarna i tak spuchnięta, że niemal nie widać oka. Być może stawiał opór albo po prostu ludzie Zouabriego lubili bić więźniów.

- Wiedzieliśmy o nim jeszcze wówczas, kiedy dochodziłeś do wiary, bracie.

Tagreb stał z rozłożonymi rękami, nic nie rozumiejąc.

- Twój ojciec długie lata był wierny Allahowi - tłumaczył Issam. - Za pośrednictwem przyjaciół twojego ojca moja organizacja dowiedziała się o tobie. Jeszcze mój ojciec rozpoczął akcję odnajdywania wiernych, którzy służą albo służyli w nowoczesnych armiach przy uzbrojeniu wysokiej technologii. W bardzo prostym celu. Jeżeli przyłączymy do nas wiernych, którzy potrafią obsługiwać najgroźniejszą broń, w końcu będziemy mogli przejąć wyposażenie samego szatana. Obserwowaliśmy cię, tak jak i wielu innych, gdy doświadczałeś nieuniknionych zniewag, jakich dopuszczają się niewierni wobec uczniów Proroka. - Aon?

- To mój drugi prezent - wyjaśnił Zouabri, uśmiechając się po raz pierwszy, odkąd Jusuf poznał go przed tygodniem.

Naprzeciw Tagreba znajdował się wrak człowieka. Dawny komandor Dostojew był szczupłym, łysiejącym mężczyzną o kościstej twarzy i obwisłych wargach, które raz po raz unosiły się w złośliwym uśmiešku, ukazując nierówne, ciemne od papierosowego dymu zęby. Miał też zimne, niebieskie oczy, które często mrużył. Było w nim coś nienaturalnego, jakby udawał większego, silniejszego, ważniejszego, kogoś, kim chciałby zostać. Irytowało to bardzo Jusufa. Teraz twarz Dostojewa była spuchnięta, posiniaczona. Wyprostował się i więcej już się nie poruszył. Trudno było odczytać wyraz jego oczu spod przymkniętych powiek. Dawniej blady, teraz miał czerwone oblicze. Tagreb patrzył z przerażeniem na swojego dawnego kapitana. Nagle Rosjanin poruszył głowę i plunął na niego. Opluł mu policzki, a przede wszystkim pierś. Śmierdział okropnie. Podniósł wzrok, jakby obudził się ze snu. Poznał Tagreba i przeraził się. Brzęknęły łańcuchy, Dostojew próbował się cofnąć, uciec stąd.

Jusuf popatrzył na Zouabriego, który stał z założonymi rękami, znowu w ciemnych okularach. Skinął głową na najpotężniejszego z ochroniarzy.

- Jusuf, Wafik, który za tobą stoi, sfilmuje cały rytuał kamerą cyfrową. Nagranie prześlemy wiernym, no i rodzinie tej świni.

- Nie rozumiem... - Tagreb zmarszczył brwi, spoglądając na ochroniarza.

- Weź swój pierwszy prezent - powiedział Zouabri - i odetnij głowę człowiekowi, który zdradził cię, ale zarazem sprawił, że zwróciłeś się do Allaha. W ten sposób okażesz mu miłosierdzie, kończąc jego grzeszne życie.

- Mam... odciąć mu głowę?! - zająknął się Tagreb.

Ogarnęło go dziwne uczucie. Kiedy zdezerterował z rosyjskiej marynarki, wmawiał sobie, że już nie jest człowiekiem, który ucieka się do przemocy. Chyba zresztą nigdy taki nie był. To prawda, że służył w marynarce kraju, który mógłby zrównać z ziemią trzecią część globu. Był oficerem kontroli rakiet i stanowisk bojowych okrętu klasy Akula TK-17 i jednym naciśnięciem palca wskazującego mógł sprowadzić nuklearną śmierć i zniszczenie na miliony mężczyzn, kobiet i dzieci. Ale przecież nie wierzył, że kiedykolwiek do tego dojdzie. Poza tym, gdyby istotnie wybuchła straszliwa wojna, w konsekwencji której postanowiono by wystrzelić kilka rakiet i zrównać z ziemią jakieś miasto, a on odmówiłby naciśnięcia przycisku, wyciągnięto by go z fotela, przykuto do ściany i patrzyłby, jak inny oficer wysyła rakietę. Zatem nie on byłby przyczyną atomowej zagłady, tak sobie zawsze powtarzał. Nie uważał się nawet za trybik w wojennej maszynie zniszczenia. Zwyczajnie spłacał dług wobec kraju, który umożliwił mu studia i zapewnił przyzwoite warunki życia. Ani w tej chwili, ani nigdy w życiu Tagreb nie uważał się za wojownika. Był marynarzem, człowiekiem morza i miłośnikiem oraz sługą techniki. Przyzwoitym człowiekiem. Człowiekiem wiary.

Poczuł, że coś dotyka jego biodra. Ze zdziwieniem poczuł lekki nacisk w miejscu, gdzie przypiął sobie prezent od Zouabriego. Zaraz potem usłyszał tarcie metalu o metal i zobaczył dłoń Issama podającą mu kindżał. Jusuf zacisnął palce na rękojeści z zamiarem schowania kindżału do pochwy. Ale zamiast to zrobić, patrzył na niego niemo ogarnięty dziwnym uczuciem. Spojrzał na Dostojewa, który zamknął oczy, znów zwisając bezwładnie z łańcuchów. Wprawdzie był dawniej w konflikcie z Dostojewem, ale przecież nigdy nie zamierzał go zabić. Zouabri zdjął okulary i patrzył na Jusufa swymi okrutnymi oczyma.

- To święta chwila, Jusuf - powiedział powoli. - Moment, w którym możesz wypłynąć na szerokie wody życia. Możesz kosztem zatrutej, niewiernej duszy tego człowieka wyzwolić własną duszę. Kiedy to zrobisz, twoje serce będzie biło w równym rytmie z moim. Jest dla ciebie przyszłość w GIA. Zaplanowaliśmy wielkie rzeczy. Dla ciebie, dla nas, dla GIA i dla przyszłości islamu. Nadszedł czas. Przyłóż kindżał do szyi tego człowieka i oczyść ziemię z jego złego ducha.

Tagreb przez długą chwilę trzymał kindżał i patrzył na Dostojewa. W końcu poczuł wewnątrz dłoni jakby leciutkie mrowienie, które przepłynęło do końców jego palców, a potem przez nadgarstek aż do gardła. Spojrzał na własną dłoń i zobaczył, że jego dłoń drży. Wyczuł przed sobą ruch, to oczy Dostojewa otworzyły się powoli; Rosjanin patrzył na niego z nienawiścią. Tagreb zrobił powoli krok naprzód, potem drugi. Teraz czuł smród ciała Dostojewa, nawet nie oddychając. Dotknął koniuszkiem kindżału miejsca pod brodą swojego dawnego wroga, aby go

przestraszyć, ten jednak roześmiał się tylko pogardliwie i cofnął głowę. Tagreb wyciągnął więc lewą rękę i złapał go mocno za włosy, aby przyciągnąć jego głowę z powrotem. Przesunął ostrze kindżału w lewo, ku prawej stronie szyi komandora, opierając czubek ostrza na miękkiej skórze przykrywającej tętnicę szyjną. Oczy Dostojewa rozszerzyły się raptownie, a już ułamek sekundy później Tagreb z całej siły pociągnął ostrze w prawo, naciskając je jednocześnie, aby weszło jak najgłębiej w ciało Dostojewa.

Nawet tak ostrym nożem nie było łatwo przeciąć mięśnie i ścięgna, jakich wiele znajduje się w ludzkiej szyi. Nóż wbił się na dwa centymetry w gardło Dostojewa i natychmiast trysnęła fontanna tętniczej krwi. Dostojew zdążył cofnąć się i ostrze przecięło tylko lewą stronę jego szyi, prawa pozostała nietknięta. Śliskie włosy komandora wysuwały się Jusufowi z ręki, złapał je jednak niżej, ponownie przyciągnął głowę Dostojewa i wykonał metodyczne drugie cięcie, zaczynając je jeszcze za prawym uchem Dostojewa i ciągnąc ostrze przez jego szyję, aż przecięło tchawicę. Tagreb dziwił się, że Rosjanin nie wydobyl z siebie żadnego dźwięku. Nagle zorientował się, że przecież wrzeszczy. Zdrowe oko rozszerzyło się, wrzask zabijanego człowieka wprawił w drżenie szyby piwnicy. Jusuf zaczął przepiłowywać tchawicę Dostojewa zębami ostrza. Wykonał chyba z dziesięć ruchów, kiedy krzyk ustał i dał się słyszeć tylko syk powietrza i gulgot krwi. Tagreb pociągnął ostrze dalej, dochodząc aż do drugiego ucha Dostojewa, przecinając mu po drodze drugą tętnicę szyjną. Trysnęła następna fontanna krwi, która zbryzgała ścianę za Dostojewem; wreszcie ciśnienie jego krwi spadło na tyle, że wydawszy ostatni nieartykułowany odgłos, spojrzał po raz ostatni w oczy Tagreba i umarł, opadając całkowicie bezwładnie na łańcuchach.

Przez następną minutę Tagreb z wysiłkiem przecinał wszystkie pozostałe tkanki, które łączyły głowę Dostojewa z jego korpusem. Wreszcie doszedł do kręgosłupa. Znalazł miejsce pomiędzy dwoma kręgami szyjnymi i ciął z wielką siłą, aż wreszcie poczuł, że głowa Dostojewa oddziela się od tułowia. Trzymał ją teraz w lewej ręce, za włosy. Długą chwilę wpatrywał się, oniemiały, w obracającą się powoli martwą głowę o jednym oku zapuchniętym, a drugim wytrzeszczonym, czerwonym. Na nogi Jusufa kapala krew z brody i gardła zabitego człowieka. Kiedy jego twarz obróciła się w stronę ściany, Tagreb oprzytomniał nieco. Powoli, jak we śnie, popatrzył w stronę Zouabriego. Spojrzał mu w oczy. Nieludzko zimny wyraz ustąpił miejsca wyrazowi aprobaty i braterskiej miłości. Jusuf uśmiechnął się. To, co zrobił, wydawało mu się teraz bardzo słuszne. Uniósł głowę Dostojewa i pokazał ją do kamery, wciąż się uśmiechając.

- Chodź - odezwał się Zouabri. - Umyjemy cię. Mamy wiele do omówienia.

Tagreb odrzucił głowę Dostojewa, jak gdyby była to zaledwie zwiędła główka sałaty. Wytarł ręce w zbryzganą krwią szatę i ruszył w stronę drzwi. Przystanął, ogarnął jeszcze raz wzrokiem pełne krwi pomieszczenie, wytarł kindżał o szatę i schował go do pochwy. Tutaj, właśnie tutaj odnalazłem swoje miejsce, pomyślał. Nie czuł żalu ani obrzydzenia, nie myślał o człowieku, którego właśnie zamordował. Ogarnęła go radość, że został wreszcie uwolniony. Uwolniony od oków fałszywej moralności, które wiązały go z ideałami niewiernych. Jeszcze raz uśmiechnął się do Zouabriego i ruszył za nim po schodach.

- To, że uderzymy na Francję, jest wpisane w naturalny bieg historii - oznajmił cicho Issam Akzer Zouabri. Siedział na dachu, z którego rozciągał się widok na święte miasto. Połyskujące w ciemności nocy światła Mekki działały uspokajająco. - To nasze przeznaczenie - dodał.

- Rozumiem - zgodził się Jusuf Tagreb, kiwając głową.

- Uderzając śmiało we Francję, zadając jej na oczach świata cios w samo serce, dając jej do zrozumienia, że to uderzenie Algierii, zapoczątkujemy nowe dni. Psy z FWN zostaną pozbawione rządów natychmiast, kiedy stracą wsparcie paryskiej DGSE. Przegnamy zło z naszej stolicy, a wtedy GIA obejmie władzę w imieniu ludu Algierii.

Tagreb kiwał głową.

- Potrzebuję twojej pomocy, Jusuf. Bez ciebie nic z tego się nie stanie.

- Co masz na myśli? - zapytał Tagreb, nie wiedząc, w jaki sposób miał wziąć udział w ataku Zouabriego na Francję.

- Potrzebuję twojej wiedzy, rodowej krwi, pamięci i serca.

- Nie rozumiem. Zouabri się roześmiał.

- Jusuf, jaką masz wiedzę? Jakie wspomnienia? Służyłeś w wojsku, prawda?

- Byłem oficerem na rosyjskich okrętach podwodnych - odpowiedział Tagreb, marszcząc brwi.

- Na jakich konkretnie?

- Przede wszystkim na „Krasnojarsku”. Był uzbrojony w rakiety samosterujące do niszczenia okrętów. Czy to może ci się przydać,

Issam?

- A na jakich jeszcze okrętach pływałeś? Tagreb się przeraził.

- Służyłem też na okręcie przenoszącym międzykontynentalne rakiety balistyczne z głowicami atomowymi TK-17, klasy Akula - powiedział.

- W NATO nazywają te okręty tajfunami. I właśnie jak tajfun uderzymy we Francję.

- Ale Issamie - powiedział ogarnięty lękiem Jusuf - to jest zupełnie niemożliwe. - Zająknął się. - Baza, w której stacjonują okręty klasy Akula, znajduje się na Półwyspie Kolskim, na samej północy Rosji. Jest całkowicie odcięta od świata. Nawet mysz się nie prześlizgnie. W całej prowincji obowiązuje stale podwyższony alarm. Terrorysta prędzej zdołałby złapać piorun w czasie burzy niż porwać okręt Akula. Musimy znaleźć jakiś inny sposób.

Zouabri nawet nie drgnął. Przez chwilę Jusuf myślał, że przywódca GIA nie chce go słuchać, otworzył więc usta, aby wytłumaczyć mu ponownie, że opanowanie radzieckiego okrętu z rakietami balistycznymi na pokładzie po prostu nie może się udać. Zouabri uciszył go jednak ruchem ręki.

- Tak podejrzewałem - powiedział. - Ogromnie trudno było nam porwać twojego znajomego Dostojewa, kiedy ukrywał się w głębi szatańskiego państwa rosyjskiego. Musieliśmy go stamtąd wywabić.

Tagreb przypomniał sobie, jak obcinał głowę Dostojewa, jak ciepła była jego krew, która spływała mu po palcach.

- Ale i tak chcesz porwać okręt podwodny z atomowymi rakietami balistycznymi na pokładzie, żeby użyć ich przeciwko Francji - odezwał się.

Zouabri kiwnął głową, patrząc daleko przed siebie, gdzieś poza horyzont.

- Nadają się do tego również amerykańskie okręty. Mógłbyś przeprowadzić swoją wojnę przy użyciu jednego z nich.

- Teraz to także twoja wojna, Jusuf.

- Owszem - zgodził się Tagreb. Sam się dziwił, dlaczego tak bardzo chciał pomóc Zouabriemu. Było w tym człowieku coś takiego, co sprawiało, że chciało się być mu wiernym do końca.

- Opowiedz mi o amerykańskich okrętach podwodnych - polecił Issam.

Przez następne pół godziny Tagreb opisywał okręty klasy Ohio przenoszące rakiety balistyczne z głowicami termojądrowymi. Znakomicie nadawały się do uderzenia na Francję.

- Kłopot w tym, jak porwać taki okręt - podsumował Tagreb.

- Już wiemy - odpowiedział spokojnym, pewnym tonem Zouabri. - Jakie inne państwa mają okręty podwodne uzbrojone w rakiety atomowe?

- Wielka Brytania, Chiny... Chińskie okręty są strzeżone tak samo jak rosyjskie, poza tym jest to zbyt daleko od Francji, żeby ją zaatakować, i nie wiadomo, czy chińska technologia jest dostatecznie dobra, żeby rakiet trafiła w cel.

- Jest jeszcze jeden kraj, który ma takie okręty.

- Francja - odpowiedział Tagreb, a Zouabri się uśmiechnął. Oczywiście! Użycie francuskiej broni masowego rażenia przeciwko samej Francji byłoby dla niej wyjątkowo bolesnym ciosem.

- Nie znam zbyt dobrze francuskich okrętów ani ich rakiet - przyznał.

- Musiałbym przestudiować ten temat.

- Zajmij się zbieraniem wszelkich informacji, jakie będziesz mógł znaleźć na temat francuskich okrętów podwodnych uzbrojonych w rakiety balistyczne z głowicami termojądrowymi - rozkazał Zouabri.

O świcie Jusuf przyszedł uśmiechnięty do Issama. Bardzo pragnął napić się herbaty albo kawy, ale ramadan kończył się dopiero za pięć dni. Do tego czasu nie będzie jadał śniadań ani rozbudzał się za pomocą kofeiny.

- Czy chcesz mi coś zameldować? - spytał Zouabri.

- Okazuje się, że najnowsza klasa francuskich okrętów nosicieli rakiet idealnie nadaje się do naszych celów. Francuzi zbudowali najlepsze okręty na świecie i mają najcelniejsze systemy naprowadzania rakiet. A do tego ich systemy zabezpieczeń są o wiele słabsze niż brytyjskie czy amerykańskie. Issamie, może nam się udać!

- Oczywiście - odpowiedział Zouabri.

- Pozwól, że opowiem ci o rakietach.

- Nie muszę tego wiedzieć, Jusuf - przerwał mu Issam, machając ręką.

- Wystarczy, że ty się na tym znasz. Powiedz mi tylko, czy gdybyśmy opanowali jeden z francuskich okrętów, o których mówisz, bylibyśmy w stanie zrównać z ziemią największe miasta Francji?

- Tak, Issam. - Tagreb pokiwał głową. - I jeszcze zostałyby nam niewykorzystane rakiety.

- Tym lepiej. - Zouabri ucieszył się. - Zapasowe rakiety przydadzą nam się do powstrzymania krajów Zachodu przed zemstą; a może nawet na samym końcu zniszczymy Londyn i Waszyngton? Jednak o tym pomyślimy później.

- Issam, jak planujesz porwać taki okręt?

- Wiele nauczyliśmy się podczas operacji porwania Dostojewa. To będzie trudne, ale całkowicie wykonalne zadanie. Jeśli zaangażujemy się w nie całą duszą, Bóg nam to wynagrodzi.

Tagreb zagryzł wargi. Zouabri miał skłonność do wygłaszania uduchowionych kazań, a on potrzebował szczegółów technicznych. - Ale w jaki sposób, Issam? - zapytał jeszcze raz.

- Zaczekaj, Jusuf. Zobaczysz.

Jean-Paul Gardes zajechał pod swój dom w uroczym miasteczku niedaleko Brestu. Odprawa w dowództwie przeciągnęła się. Kiedy admirał wreszcie skończył, Jean-Paul zatelefonował do Danielle, że już po wszystkim i mogą rozpocząć miesiąc wakacji, dostał bowiem w nagrodę miesięczny urlop. Postanowił rozpocząć go od zabrania żony i dzieci na obiad do restauracji. Gardes stanął przed domem i zdziwił się, że wewnątrz jest ciemno. O tej porze, tuż po zachodzie słońca, dom był z reguły pełen ruchu i gwaru, dzieci kąpały się i wołały, że nie chcą iść spać. Jean-Paul otworzył drzwi i wszedł do przedpokoju. Najpierw poczuł charakterystyczny zapach, a potem zobaczył pełgający blask chyba ponad dwudziestu świec. Kiedy oczy przyzwyczyły mu się do półmroku, zauważył, że w kącie salonu coś się poruszyło. Zamrugał oczami i zobaczył Danielle na kanapie. Na podłodze, otoczone kolejnymi świecami leżały poduszki zdjęte z kanapy.

Danielle powoli wstała, aby się z nim przywitać. Była w czarnych butach na wysokim obcasie, przez co wydawała się o kilka centymetrów wyższa. Na długich, kształtnych nogach miała czarne kabaretki sięgające do połowy ud, pończochy podtrzymywał czarny, koronkowy pas. Obróciła się dookoła, jakby zachęcała go do tego, żeby na nią patrzył. Z tyłu pończochy miały pionowe szwy. Jean-Paul chciał dotknąć jej bioder, jej pośladków, ale stał bez słowa z kamienną twarzą i opuszczonymi rękami - Danielle tak lubiła. Spojrzał w dół i zobaczył, że poniżej pępka jego żona ma na sobie jedynie pas podtrzymujący pończochy. Długie, smukłe ręce trzymała wyprostowane, opierając dłonie o uda. Pomalowane na kremowo paznokcie kontrastowały ze złocistą opalenizną.

Danielle wyczuła, że Jean-Paul patrzy na jej dłonie, uniosła je więc powoli i oparła na piersiach wypływających obficie z eleganckiego biustonosza typu push-up, który ukazywał jej prężące się już w oczekiwaniu na rozkosz czerwone sutki. Potarła je palcami, opierając dłonie na pełnych piersiach. Mąż spojrzał na jej długą, wdzięczną szyję, na jasne, proste włosy Danielle, tak jedwabiste jak u dziecka. Jego córeczka miała takie same włosy; pomyślawszy o niej, Jean-Paul kolejny raz zdziwił się, jak to możliwe, że Danielle urodziła troje dzieci i w wieku trzydziestu pięciu lat wciąż miała idealną figurę. Nie tylko figurę, także i piękną twarz, w której szczególną uwagę zwracały niezwykle pełne usta. Ponad nimi był nieduży, kształtny, lekko zadarty nos, a powyżej najbardziej zachwycający szczegół wyglądu Danielle - cudowne, ogromne, niebieskie

jak ocean oczy, które wyrażały całe bogactwo jej emocji. Gardes zawsze uważał, że z oczu Danielle potrafi dokładnie odczytać jej nastrój. Tego wieczoru patrzyły tak uwodzicielsko i tajemniczo, że aż przeszył go rozkoszny dreszcz.

Jean-Paul zdał sobie sprawę, że zapewne wygląda idiotycznie w eleganckim białym letnim mundurze Marine Nationale z baretkami orderów i naramiennikami, a jednocześnie w stanie erekcji, która przywiodła mu na myśl sterczące dumnie naprzód działo okrętowe okazałego kalibru. Danielle uśmiechnęła się pełnymi ustami w oczekiwaniu na rozkosz. Oparła opalone dłonie o białe spodnie męża i powoli rozpięła mu rozpiorek. Robiąc to, jednocześnie powoli klęknęła. Później rozpięła mu pas i ściągnęła spodnie i bokserki. I Jean-Paul nie mógł się już doczekać intymnego zbliżenia. Jej wilgotne usta rozchyliły się, wyciągnęła ręce, a potem przesunęła delikatnie paznokciem wzdłuż jego penisa. Leciutki dotyk opuszków jej palców na moment stał się jego jedynym, niezwykłym doznaniem. Wówczas Danielle otworzyła szerzej usta i wysunęła wilgotny język. Zaparło mu dech w piersiach, gdy ciepłe usta Danielle zbliżyły się do jego penisa.

Powoli przesuwając usta naprzód i cofając głowę z powrotem. Machinalnie złapał ją delikatnie za jedwabiste, tak niezwykle piękne blond włosy, a ona, jakby przebudzona jego dotykiem, otworzyła oczy i spojrzała na niego w górę. Widok tych wielkich oczu i długich rzęs działał na niego wprost zniewalająco. Zaczął drżeć, a ona, widząc, co się dzieje, zamknęła z radością oczy i wycofała znowu usta. Jean-Paulem szarpnęły skurcze orgazmu. Teraz Danielle znów otworzyła oczy. Popatrzyła na niego z zupełnie innym wyrazem twarzy, wcześniej mówił o pożądaniu, teraz miała minę uczennicy zadowolonej z dzwonka kończącej lekcję. Uśmiechnęła się i pod jej oczami pojawiły się drobniutkie zmarszczki, których nie znosiła, ale które zdaniem Jean-Paula czyniły ją jeszcze piękniejszą. Wciąż pieściła go językiem. Wreszcie odsunęła głowę z taką miną, jakby żałowała, że to, co przed chwilą robili, już się skończyło.

Jean-Paul przesunął dłońmi po jej ramionach i rękach, delikatnie pomógł jej wstać. Zaczął ją namiętnie całować. Całowali się chyba dziesięć minut. W końcu Jean-Paul ujął jąza ramiona i popatrzył w oczy, a ona jak zawsze spojrzała najpierw na lewe oko, potem na prawe, jakby szukała w nich jego miłości.

- Danielle... - szepnęła.

- Tak? - odpowiedziała jeszcze ciszej.

- Kocham cię - wyznał, głaszcząc ją po włosach; zaś drugą ręką ujął jej ciepłą, miękką pierś.

- Wiem - odpowiedziała Danielle, ukazując w uśmiechu zęby, które mogłyby widnieć na wielkim billboardzie reklamującym pastę do zębów.

Puścił ją na chwilę, aby zdjąć buty i ściągnąć do końca spodnie. Kiedy rozpinął bluzę, Danielle powiedziała jedwabistym głosem:

- Ja to zrobię.

Po chwili poczuł jej delikatne palce rozpinające guziki. Powiesiła równo na oparciu krzesła koszulę jego galowego munduru, a potem ściągnęła mu koszulkę. Kiedy stanął przed nią nagi, powoli zdjęła biustonosz, a później położyła się jak kotka na podłodze, pośród poduszek.

Przesunęła dłonią po włosach Jean-Paula, przeciągnęła lekko paznokciami po jego brzuchu. Odnalazła chłodnymi palcami jego członek, który znów był twardy jak kamień. Chwilę potem była już pod Jean-Paulem, a jej gorące i wilgotne z niecierpliwości wewnątrz przywitało jego penisa. Jean-Paul delikatnie przesunął palcem po jej sutku i zaczął ją całować. Ugryzła go w dolną wargę. Gdy wszedł w nią aż do samego końca, jęknęła z rozkoszy i z bólu. Wycofał się powoli. Jej oczy rozszerzyły się na moment, popatrzyła na niego z miłością i pożądaniem, co zawsze wzmagało jego doznania. Jean-Paul starał się jednak o tym nie myśleć, aby przedłużyć stosunek. Poruszał się teraz rytmicznie, doprowadzając Danielle do coraz większej rozkoszy.

W pewnej chwili zaczęła jęczeć. Jean-Paul uwielbiał słuchać odgłosów, jakie wydawała Danielle; wiedział, że tak będzie zawsze. Jęczała coraz głośniejsze, a on zanurzał się raz po raz w jej wilgotnym wnętrzu. Wreszcie krzyknęła głośno, ogarnięta falami orgazmu, drgając gwałtownie i drapiąc go po plecach, chcąc wepchnąć go w siebie jak najgłębiej. A potem umilkła i znowu otworzyła oczy, patrząc na Jean-Paula z taką rozkoszą, że i nim natychmiast wstrząsnął orgazm. Zaciśnął powieki i na pół przytomny odruchowo zaczął powtarzać jej imię. W końcu zobaczył na nowo pokój, poduszki, a przede wszystkim leżącą pod nim ukochaną Danielle. Popatrzyła na niego, a od jej rozognionej twarzy biło szczęście.

Odzyskawszy oddech, pocałował ją w policzek i trwał zanurzony w niej, podczas gdy jego członek się kurczył. Jean-Paul czuł ustami ciepło policzka Danielle, zapach jej perfum. Zamrugał oczyma, przypominając sobie, że chciał o coś spytać.

- Gdzie dzieci? - odezwał się zawstydzony, że dopiero teraz zainteresował się nimi.

- Nocują u twojej mamy - wyjaśniła Danielle miękkim głosem świadczącym o przeżytej rozkoszy. - Będziesz miał cały miesiąc na zabawę z nimi. Chciałam, żebyś dziś w nocy pobawił się tylko ze mną.

Jean-Paul wziął ją na ręce i zaniósł na piętro, a potem położył na łóżku. Miał zamiar jeszcze się z nią kochać. Poszedł na chwilę do łazienki, ale gdy wrócił, Danielle spała głębokim snem, chrapiąc cicho. Uśmiechnął się pod nosem, myśląc z rozbawieniem o tym, że Danielle potrafi zasnąć w środku wypowiedzanego przez siebie zdania. Zawsze zasypiała błyskawicznie. Budziła się też natychmiast, całkowicie przytomna. Co ciekawe, otwierała oczy zawsze o czwartej rano, wkładała adidas i niezależnie od pogody przebiegała na dworze dwanaście kilometrów. Jean-Paul już przestał próbować dotrzymywać jej kroku. Biegła cały czas z dużą prędkością, wytrzymała jak olimpijka. Gardes'owi nie mieściło się w głowie, jak można biec dwanaście kilometrów w tempie sprintu, ale Danielle robiła tak, odkąd ją poznał. Nawet w dniu urodzenia Margaux przebiegła osiem kilometrów, niezadowolona, że tak mało.

Pocałował ją w policzek, nawet się nie poruszyła. Odpiął jej pas do pończoch, ściągnął pończochy i odłożył je wraz z biustonoszem i szpilkami do szafy. Cieszył się na myśl o tym, że będzie mógł całą noc tulić nagą, smukłą Danielle. Rzadko miał taką okazję, zwykle do łóżka podchodziło dwoje czy troje dzieci chcących przytulić się do mamy. Dlatego też od dawna nie sypiała nago.

13

Jean-Paul pogwizdywał zadowolony, uruchamiając samochód. Wybierał się do dowództwa. Minął miesiąc od powrotu „Le Vigilanta” do portu z załogą Niebieską. Okręt natychmiast wypłynął z załogą Czerwoną, a poprzedniego dnia znów powrócił. Po dwudniowym postoju miał wyjść w morze pod dowództwem Gardes'a, na kolejny miesięczny patrol strategiczny. Następnego ranka odbędzie się ceremonia przekazania dowództwa załodze Niebieskiej przez Czerwoną. Po południu wypłyną w morze i Jean-Paul będzie musiał znów czekać miesiąc na zobaczenie ukochanych dzieci i żony. Martwiło go to, ale z drugiej strony ekscytowała go myśl o tym, że znów pokieruje ogromnym okrętem podwodnym, wpływając na głębokie wody oceanu, gdzie nikt ich nie powstrzyma, nie zmusi do zmiany kursu. Będą wiernie służyć Republice, broniąc jej, zapewniając jej bezpieczeństwo.

Przez czarne szyby wydłużonego mercedesa nie było widać niczego, co znajdowało się wewnątrz. Silnik pracował cichutko. Był rześki wrześnie poranek, czuło się lekki powiew od Atlantyku. Szkoła znajdowała się w odległości jednej przecznicy od wybrzeża w najzamożniejszej dzielnicy Brestu. Limuzyna marki Mercedes nie rzucała się przez to zanadto w oczy. Na tylnej kanapie siedział Abdul-Azim Fakhri, trzymając w lewym ręku ostry jak brzytwa sztylet o dwunastocentymetrowym ostrzu. W pochwie pod lewym ramieniem miał półautomatyczny pistolet glock kaliber 9 mm, nabity, przeładowany i odbezpieczony. Aby strzelić, wystarczyło nacisnąć spust.

Fakhri był przeciętnie wyglądającym Arabem. Golił włosy niemal na łyso, miał wygięty, nieco kartoflowaty nos, nierówne zęby, szare oczy o opadających powiekach, przez co sprawiał wrażenie zaspanego. Jego oczy nigdy nie wyrażały emocji, patrzyły tak samo martwo niezależnie od tego, czy akurat gwałcił prostytutkę, składał raport zwierzchnikowi, czy wynosił śmieci. Rzadko się odzywał, a kiedy to robił, dobywał z siebie gardłowy, chropawy, ostry głos. Na grzbietach obu dłoni miał brzydkie, czerwone blizny powstałe w wyniku setek walk na noże, które stoczył ze swoimi ludźmi, aby pokonać nudę w oczekiwaniu na akcję. Fakhri był prawą ręką Issama Zouabriego od czasu, gdy przybył do GIA. Przyjął go jeszcze ojciec Issama. Abdul był dziesięć lat starszy od Issama i na początku nie podobało mu się, że ma opiekować się młodzieniaszkiem, szybko jednak docenił zdolności Issama i stał się jego najbardziej oddanym podwładnym. Jego pozycja rosła równolegle do pozycji Issama, a kiedy ten ostatni przejął zwierzchnictwo nad rozbitą, niemal pokonaną GIA, Abdul Fakhri stał się drugą najważniejszą osobą w organizacji. Razem z Issamem wybrali resztę jej kierownictwa. Każdy z przywódców GIA był jednocześnie sprawnym bojownikiem, każdy potrafił przeprowadzić zamach albo porwanie i był absolutnie bezwzględny. Gdyby Issam wydał taki rozkaz, posłusznie poobcinaliby głowy własnym matkom. W dodatku każdy z nich potrafił włamać się do systemów komputerowych czy skonstruować broń z metalowych przedmiotów znalezionych w szufladzie z rupieciami. Każdy mógł za zasługi w walce awansować i w razie potrzeby zająć miejsce Zouabriego czy Fakhriego. Issam starannie dobrał ludzi pozbawionych przesadnych ambicji. Żaden z nich nie zamordowałby swojego dowódcy.

Abdul zerknął na drogi zegarek marki Baum & Mercier, jak zwykle nie pokazując po sobie żadnych emocji. Wyrzwał spokojnie przez okno. Było pięć minut po spodziewanym czasie pojawienia się kobiety. Nadeszła wreszcie. Ładna blondynka pchała wózek, w którym siedziała roczna dziewczynka o ciemnych włoskach. Obok szła czteroletnia dziewczynka o tak samo jasnych włosach jak matka, w prążkowanych legginsach i sukieneczce w podobnych kolorach. Za dziewczynką szedł pięcioletni chłopczyk, z rękami w kieszeniach, ubrany w dżinsy i bluzę,

w nasuniętej na oczy baseballowej czapeczce. Fakhri czekał, serce biło mu teraz szybciej i mocniej. Matka z dziećmi zbliżyła się, nie zwracając uwagi na limuzynę; wzdłuż ocienionej drzewami alei stało sporo drogich samochodów. Byli już teraz w odległości jednej przecznicy od mercedesa.

Otworzyły się drzwi domu bezpośrednio za samochodem; z budynku wyszło czterech mężczyzn w zachlapanych farbą koszulkach i dżinsach; rozmawiali ze sobą, śmiejąc się, jak gdyby właśnie skończyli całonocną pracę. Ruszyli w stronę blondynki, poszturchując się wzajemnie i żartując. Na widok kobiety z dziećmi jeden z nich zdjął czapkę baseballową i skłonił się w teatralnym geście, roześmiany od ucha do ucha. Blondynka odpowiedziała „malarzom” wymuszonym uśmiechem i pchnęła wózek przed siebie, żeby ich ominąć.

Następna dziesiąta część sekundy zdawała się trwać wieczność. Dwaj mężczyźni, którzy byli już za blondynką, skoczyli ku dzieciom; ten, który się kłaniał, kucnął, by złapać kobietę za nogi, czwarty złapał ją za szyję. Fakhri otworzył drzwi samochodu na całą szerokość, wyciągając spod poły sportowej kurtki glocka; w lewym ręku cały czas ścisnął sztylet. W następnej sekundzie kobieta została wciągnięta do samochodu. Zaczęła krzyczeć, o wiele za głośno jak na gust Fakhriego. Błyskawicznie wbił więc jej sztylet w ramię, a potem zbliżył jej do oczu zakrwawione ostrze. Prerażona przestała krzyczeć. Tymczasem wepchnięto do samochodu dzieci, niemowlę zaczęło płakać, chłopiec wymachiwał rączkami i nóżkami.

Wrzucono też do środka limuzyny wózek, a nawet czapczkę chłopca, która spadła mu z głowy. Wreszcie wewnątrz mercedesa znikli czterej „malarze”. Ostatni zamknął drzwi, rozległ się szcęk zamków, potężny silnik zawył, i osiem osób w tylnej części kabiny zaczęło gorączkowo szukać jakichkolwiek uchwytów. Samochód ruszył z impetem. Domy, koło których stał, znikły w dali, po chwili pokonał już następny pagórek. Fakhri i cały czas mierzył w kobietę z glocka, trzymając sztylet przy jej oczach. Bandar Kadir, zastępca Fakhriego podczas operacji porwania, człowiek, który kłaniał się ofierze, założył na jej smukłe nadgarstki oraz kostki kajdanki, mocując je do specjalnych uchwytów przy tylnej kanapie, przez co porwana została całkowicie unieruchomiona. Siedziała na środku kanapy i ze łzami w oczach patrzyła na prześladowców. Zaczęła błagać, aby wypuścili jej dzieci, mówiąc, że wówczas zrobi wszystko, czego od niej zażądatają. Fakhri zbliżył się do niej z udawanym współczuciem, a potem uderzył ją z całej siły pięścią w twarz. Kobieta krzyknęła ze strachu i bólu.

- Francuska dziwka - mruknął cicho po francusku Abdul takim tonem, jakby stwierdzał oczywisty fakt. Zerknął na Kadira, a ten zakleił porwanej usta taśmą.

Po niecałej minucie wszystkie dzieci były podobnie skrepowane, a ich buzie zaklejone. Dopiero wtedy Fakhri uznał, że sytuacja w limuzynie jest opanowana i schował sztylet oraz pistolet. Spojrzał blondynce w oczy i odezwał się doskonałą francuszczyzną zwodniczo grzecznym tonem:

- Dzień dobry, pani Gardes. A może powinienem zwracać się do pani per Danielle, biorąc pod uwagę to, że nasza znajomość szybko stanie się bardzo bliska, można by niewątpliwie rzec: intymna. Proszę sprawiać nam kłopotów, wówczas pani i dzieciom nic złego się nie stanie. Jeśli jednak ktoś z was spróbuje ucieczki albo zechcecie zwrócić czyjąś uwagę, będę zmuszony odciąć paluszek jednemu z pani dzieci i nakarmić nim drugie, rzecz jasna na pani oczach. Jeśli skończą się paluszki, wykorzystam następnie oczy. Czy wyrażam się jasno?

Danielle przytaknęła skwapliwie, podczas gdy z jej oczu zaczęły płynąć łzy. Fakhri pomyślał, że obudziła się tego dnia jako bardzo piękna kobieta. O zachodzie słońca może nie być już piękna. A w zależności od tego, czy pójdzie na współpracę ze swoimi porwaczami, czy też nie, może być już matką nie trojga, lecz dwojga czy jednego dziecka.

Abdul sięgnął po telefon komórkowy i wybrał numer Issama.

- Operator czterdzieści trzy - odezwał się metaliczny, beznamiętny głos Zouabriego.

- Mamy pierwszy ładunek - powiadomił Fakhri. - Wszystko przebiegło rutynowo. Dojedziemy na czas.

- Doskonale - pochwalił Zouabri i rozłączył się.

Limuzyna jechała dalej, Abdul wyglądał przez okna; spojrzął na zegarek i pomyślał o mnóstwie rzeczy, które chciałby zrobić porwanym dzieciom, jeśli Issam mu pozwoli. Sama myśl o tym podekscytowała go, jednak spojrzawszy w przerażone oczy żony komandora Gardes'a, oprzytomniał. Nie można teraz pozwolić sobie na takie marzenia. Jeszcze mnóstwo rzeczy mogło pójść źle.

Issam Zouabri szedł powoli długim korytarzem pogrążonego w półmroku ponurego magazynu na odległych przedmieściach Brestu; słychać było miarowy stukot jego wysokich butów na betonowej podłodze. Obok szedł Jusuf Tagreb.

- Nie zapominaj, Jusuf - odezwał się pouczającym tonem Zouabri - że zanim dostaniemy się na okręt, nazywam się Saladyn. I żeby nikt się nie domyślił, że wcale nie jesteśmy bojownikami czeczeńskimi. Francuzi muszą być przekonani, że rakiety okrętu będą wymierzone w Rosję, a nie we Francję. Nie wolno dopuścić do tego, żeby zorientowali się, iż chcemy odpalić rakiety, muszą myśleć, że porwaliśmy okręt tylko po to, aby rzucić światu groźbę. Jeśli nasze prawdziwe zamiary zostaną rozpoznane, nie będziemy już mogli liczyć na powodzenie operacji. Każdy z tych oficerów bez wahania poświęci życie swojej żony i dzieci dla ratowania pięćdziesięciu milionów rodaków. Z pewnością natomiast żaden nie zrobi tego tylko po to, żebyśmy nie mogli zagrozić Moskwie.

Tagreb pokiwał smutno głową. Szli dalej; Issam patrzył pewnie przed siebie, podczas gdy Jusuf rozglądał się niepewnie na boki, robiąc wrażenie zagubionego człowieka.

- Jusuf, czym się martwisz?

- Jak wiesz, Issam... Saladynie, nigdy w życiu nie brałem udziału w czymś takim, w ogóle w niczym podobnym.

- Owszem, ale byłeś przecież oficerem uzbrojenia na okręcie podwodnym przenoszącym rakiety atomowe. W twoich rękach było więc życie stu milionów ludzi, mogłeś nacisnąć przycisk...

- Nie wyobrażam sobie tego - odpowiedział Tagreb. - Rakiet mojego okrętu nigdy by nie użyto. Ta straszliwa broń służy do zapobiegania wojnie.

- Ale gdyby władze twojej ojczyzny, właściwie nawet nie ojczyzny, a tylko kraju, który zapewnił ci wykształcenie i pracę, wydały taki rozkaz, odpaliłbyś te rakiety.

- Tak - zgodził się z westchnieniem Jusuf. - Długo mnie tego uczono. Byłem do tego przygotowany psychicznie i technicznie. Wykonałbym rozkaz. Ale niezależnie od tego, ilu ludzi wówczas zginęłoby, byłoby to coś innego niż zabicie człowieka, którego widzi się naprzeciw siebie.

- Zabiłeś człowieka, którego miałeś przed sobą, swojego byłego dowódcę. Jego krew spływała po twoich dłoniach. Patrzyłem na twoją twarz. Nie miałeś wówczas wątpliwości.

- To było co innego, zabiłem wroga. Nie kobietę ani dziecko. - Tagreb pociągnął nosem. - To trudne, Issam.

- Saladyne - poprawił łagodnie Zouabri. - Nie masz racji, mówię ci szczerze, bracie. Zabicie ich jest najłatwiejsze. Przyjemne. Trudne jest natomiast stworzenie starannie przemyślanego planu, którego każdy szczegół zostałby wyczerpująco omówiony i poddany krytyce. Stworzyliśmy już taki plan, całe skomplikowane myślenie jest za nami. Już wiemy, co i jak robić, pozostaje więc teraz tylko wykonać plan. To proste.

- Zapewne tak jest - zgodził się Tagreb. - Boję się jednak, że nie jestem w stanie zabić niewinnej kobiety ani dziecka.
- Ach, zapewniam cię, że to nic trudnego - odpowiedział Issam, przystając. - Czy masz skrzynkę z narzędziami, Jusuf?
- Słucham?

- Skrzynkę z narzędziami. Młotek, śrubokręt, taśma miernicza, na pewno miałeś kiedyś w życiu narzędzia.
- Oczywiście, że miałem. - Tagreb pokręcił głową. - Dlaczego o to pytasz?

- Gdybyś nigdy nie używał narzędzi, nie zrozumiałbyś, na czym polega sprawowanie przywództwa. Po pierwsze, trzeba zrozumieć swoich ludzi, poznać ich charaktery, dowiedzieć się, co motywuje ich do działania, co nimi kieruje, o czym przede wszystkim myślą. Następnie dowódca musi wiedzieć, w czym każdy z jego ludzi jest dobry. Na przykład runcjąmłotka jest wbijanie gwoździ w drewno. Śrubokręt jest delikatniejszym narzędziem o nieco bardziej technicznie skomplikowanych funkcjach, choć, z drugiej strony, skutek jest podobny. Taśma miernicza w zasadzie tylko pomaga, niczego się nią samą nie zdołała, ale czy młotek albo śrubokręt połączą dwa elementy we właściwym miejscu bez użycia taśmy? Jest więc koniecznie potrzebna. I tak kiedy dowódca zna swoje narzędzia oraz swój cel, nie musi już wiele myśleć, przydzielając każdemu jego zadanie. Czy wyrażam się jasno?

- Posłuchaj, Saladynie - odpowiedział Tagreb, zatrzymując się. - Cenię przypowieści, ale przecież obaj wiemy, że nie chodzi o młotki ani o taśmę mierniczą. Proszę cię, mów jasno, uwierz mi, zrozumiem. Byłem komandorem podporucznikiem rosyjskiej marynarki wojennej, wiem, co to znaczy dowodzić, znam się na technice i na ludziach. Nie traktuj mnie jak dziesięciolatka.

- Mówiąc mi to, nauczyłeś mnie o wiele więcej, niż ja postanowiłem nauczyć ciebie, Jusuf - odpowiedział Zouabri, kiwając głową. - To prawdziwe błogosławieństwo, że podczas tej operacji mam do dyspozycji ciebie. Rzadko mówię o mojej wdzięczności czy w ogóle o uczuciach. Czasem myślę o nich późnym wieczorem, zanim zasypiam. Wtedy zawsze przypominam sobie, że należy chwalić moich ludzi, ale następnego dnia, kiedy wszystko dzieje się szybko, zapominam o tym. Proszę cię, przebac mi. Nie jestem jeszcze doskonałym dowódcą.

Tagreb uniósł rękę.

- Powiedziałem ci, że mam wątpliwości w sprawie zabijania kobiet i dzieci. Wtedy usłyszałem twoją przypowieść o młotkach.

- Rzeczywiście - zgodził się z uśmiechem Issam, ruszając dalej. - Jusuf, to nigdy nie są przyjemne rzeczy dla ludzi takich jak my. Uważamy, że kobiety trzeba chronić przed niebezpieczeństwami, jakie na nie czyhają. Że dzieci, które stworzył Bóg, powinny być oszczędzone w walce, jakajest nasz džihad. Ale popełniamy błąd, nie zauważając ważnego faktu, tego, że owe kobiety są niewierne i dzieci są wychowywane na niewiernych, którzy pewnego dnia mogą przelać naszą krew, wygubić nasze dzieci. Niełatwo nam być stanowczym, ale ani ty, ani ja nie musimy być młotkami, wystarczy wybrać młotek. Tak się składa, że mój zastępca Abdul jest ekspertem od takich spraw, jakby Allah stworzył go do rozwiązywania tego typu trudnych dla nas problemów. Mamy szczęście.

- Czy to znaczy, że pozostawimy wszystko Abdulowi? - upewnił się Jusuf.

Issam zrobił pauzę, a potem kontynuował, patrząc w sufit.

- Nie... Abdul to nasze ręce, ale widzieć musimy własnymi oczami. Nie będziemy siedzieć z nim w zbryzganych krwiąpomieszczeniach, jednak niestety musimy zobaczyć te same sceny, które będą oglądać ludzie, o jakich nam chodzi. - Zouabri opadł dłoń na ramieniu Tagreba. - To nie będzie łatwe ani dla ciebie, ani dla mnie, Jusuf. Ale musimy tego dokonać.

- Chyba masz rację, bracie - zgodził się Tagreb.

Daleko za ich plecami, na końcu długiego korytarza, zaczęły podnosić się wrota magazynu. Do wnętrza zaświeciło jasne słońce poranka.

- Oto pierwsza dostawa - odezwał się z zadowoleniem na twarzy Issam. Do budynku wjechał czarny mercedes.

Jean-Paul Gardes wjechał samochodem do garażu i wyłączył silnik. Wchodząc do domu, pogwizdywał wesoło. Podczas jazdy myślał głównie o liście części i elementów wyposażenia okrętu, które trzeba było uzupełnić lub naprawić. Listę dzielono zwyczajowo na kategorie. Pierwsza obejmowała rzeczy, bez których „Le Vigilant” absolutnie nie mógłby wypłynąć, jednak na szczęście ta rubryka była pusta. Jean-Paul martwił się natomiast o przedmioty należące do kategorii drugiej i trzeciej. Nie lubił mieć uprzedzeń, jednak fakty świadczyły same za siebie: kiedy on i jego załoga Niebieska przekazywali okręt załodze Czerwonej, nie brakowało niczego do ewentualnych napraw podczas rejsu. Kiedy jednak załodze Gardes’a przekazywał okręt komandor Laurent Hurst III, mnóstwo było rzeczy zepsutych i zniszczonych. Jean-Paul już delikatnie zwracał na to uwagę Hurstowi, ale ten był ofiarą *circuit de mesure preventive de penis-cerveau*, czyli sprzężenia penisa z mózgiem. W równym stopniu jak jego oficerowie i marynarze. Sprzężenie penisa z mózgiem to zjawisko równie stare jak pływanie po morzu. Występuje,

kiedy okręt wraca do portu z długiej podróży. Załoga jest wtedy tak pochłonięta wyobrażaniem sobie rychłych kontaktów ze spragnionymi seksu żonami czy dziewczynami, że prawidłowe wykonywanie obowiązków na pokładzie schodzi na dalszy plan. Proste zadania, jak odwiniecie ciężkiej cumy, stają się wówczas trudne, zaś jeszcze trudniejsze, jak prawidłowe obliczenie prądów morskich, niemal niemożliwe do wykonania. Trzeba mieć ogromną siłę woli, żeby w takiej sytuacji skupić się na wykonywanym zadaniu. Gardes'owi także nie był obcy ów problem, gdy wracał do Brestu. Wiedział, że czeka na niego Danielle ze wszystkimi swoimi zaletami. Ich pierwsza noc po jego powrocie zwykle przypominała tę, której właśnie doświadczył. Myśląc o tym, Jean-Paul uśmiechnął się pod nosem.

Zamknął drzwi wejściowe, wciąż się uśmiechając, myśli o pięknej żonie sprawiały, że zapomniał o wszystkich przykrych sprawach. Odłożył klucze do czarki stojącej na kuchennym blacie, niedaleko kuchennych drzwi, których najczęściej używali. Odstawił elegancki, płaski neseserek. Nie zabierał do domu wielu papierów, gdyż niemal wszystkie miały klauzulę wysokiej tajności.

- Danielle? - zawołał, zastanawiając się, czyjego żona jest na piętrze. Nie zdziwiłby się, gdyby czekała naga na pieszczoty przed dwumiesięczną przerwą. Nie znalazł jednak Danielle na piętrze. Pewnie poszła na zakupy albo do domu jego mamy, gdzie spierają się, jak należy wychowywać dzieci. Wyjrzał przez frontowe okno sypialni, żeby zobaczyć, czy Danielle nie wraca, i zobaczył zajeżdżającego przed dom czarnego mercedesa.

Abdul-Azim Fakhri czekał na tylnej kanapie mercedesa, siedząc, za kierowcą. Prowadził Bandar Kadir, którego można by teraz nazwać nowym chłopakiem Danielle Gardes. Roześmiał się na głos, co wywołało żalostny jęk pasażerki siedzącej obok niego. Zdenerwowało go to, więc uderzył ją mocno łokciem w twarz, żeby się zamknęła.

Odezwał się jego telefon komórkowy, który miał także funkcję radiotelefonu. Fakhri podniósł go do ucha.

- Tak?

- Jest w domu - zameldował Kalik Hafiz, jeden z ludzi Fakhriego. Kalik miał w sobie francuską krew i można było wziąć go za rodowitego Francuza. Na szczęście ani trochę nie solidaryzował się z Francuzami.

- To dobrze - odpowiedział Fakhri, rozłączając się. - Jedź - rozkazał Kadirowi.

Zatrzymali się przed domem Gardes'a. Samochód, którym posługiwali się tym razem, był zwykłym mercedesem, chodziło o to, żeby nie zwracał uwagi tak bardzo jak wydłużona limuzyna. Abdulowi było tu jednak zbyt ciasno. Kadir odblokował prawe przednie drzwi, Fakhri wychylił się i otworzył je na oścież, po czym wypchnął zakładniczkę. Poleciała na chodnik, przetaczając się na bok. Abdul rzucił za nią pakunek zawinięty w szary papier. Widać nauczyła się czegoś, bo teraz nie wydała żadnego dźwięku. A może straciła przytomność, uderzając głową w chodnik?

Wszystko jedno. Cholerna francuska dziwka. Gdyby zależało to od niego, pozostawiłby ją tu przekrojoną na pół, z odciętymi piersiami, wepchniętymi jej w usta. Issam jednak dokładnie objaśnił szczegóły planu i nie było mowy o tym, żeby coś zmieniać.

- Ruszaj - powiedział Fakhri do Kadira.

Samochód spokojnie odjechał, jak gdyby nic się nie stało. Dwie przecznice dalej Kadir nieco przyspieszył. Wkrótce znajdą się na idącej wzdłuż wybrzeża autostradzie. Wtedy będą mogli jechać jeszcze szybciej. Abdul spojrział na zegarek. Za dwie godziny mieli być już na Atlantyku, na wyczarterowanym jachcie. Oby tylko nie dostać choroby morskiej.

Przerażony Jean-Paul patrzył na zakrwawione ciało, które wypadło właśnie z czarnego mercedesa. Samochód znikł już z jego pola widzenia. Zbroczony krwią człowiek leżał bez ruchu. Gardes nie był na razie w stanie określić jego płci. Z pewnością bandyci zamordowali kogoś i wyrzucili zwłoki przed jego domem. Nagle znieruchomiał, gdyż wygląd ciała nasunął mu straszliwą myśl.

Danielle!!! - pomyślał.

Zbiegł po schodach, czując się tak, jak gdyby wszystko działo się w zwolnionym tempie. Podobnie czuł się na morzu podczas grożącej katastrofy lub walki. Jedna część mózgu kierowała wówczas jego ruchami i odbierała bodźce, druga zaś racjonalnie analizowała sytuację.

Gdzie jest słuchawka telefonu, do cholery? - myślał. Nigdy jej nie ma, kiedy jest tak potrzebna! Muszę zadzwonić po pogotowie, na policję, powiadomić odpowiednie służby...

Druga część jego mózgu nie myślała logicznie. Targały nią emocje, impulsy, odruchy, niewyraźne słowami, podobne do procesów zachodzących w mózgu zwierzęcia. Napłynęła doń adrenalina, przez co czas zwolnił jeszcze bardziej. Jean-Paulowi wydawało się, że wybiegnięcie z domu zajmuje mu całe godziny. Walczył z zamkiem drzwi frontowych, wreszcie otworzył je z trzaskiem i wypadł na chodnik.

Wiedział, że to, co zobaczył, na zawsze pozostanie w jego pamięci, choćby żył sto trzydzieści lat. Danielle była owinięta zbrukanym krwią białym prześcieradłem okrywającym ją od szyi aż do stóp. Zrobiło to na nim wrażenie całunu, jakim owijano zmarłych. Krew była częściowo wyschnięta, tworząc brunatne plamy, częściowo zaś świeża, czerwona. Widać było też brązowy ślad odchodów Danielle oraz ślady wymiotów. Prześcieradło przytrzymywała taśma klejąca owinięta wokół kostek, ud, pasa, w dwóch miejscach wokół klatki piersiowej Danielle, w ten sposób, że unieruchamiała jej ręce, oraz wokół szyi. Przy szyi prześcieradło było rozdarte, wcześniej zasłaniało także głowę Danielle.

Usta miała zaklejone taśmą, z nosa wyciekła krew i śluz. Jean-Paul zerwał taśmę z ust Danielle i spróbował uspokoić się na tyle, żeby sprawdzić, czy Danielle oddycha. Oddychała, choć płytko. Nagle zeszywniała. Jean-Paul oparł dłoń na jej czole. Było gorące. Powoli otworzyła oczy. Powieki miała spuchnięte, sine.

Spróbowała się odezwać, ale nie zrozumiał jej słów.

- Słucham? - spytał, jednocześnie zerkając na swój samochód i zastanawiając się, czy szybciej sam dowiezie żonę na ostry dyżur, czy też lepiej zaczekać na karetkę.

- Zabierz mnie... do... domu - wypowiedziała z trudem Danielle. Zakaszła. - Do domu, Jean-Paul. Szybko, zanim ktoś mnie zobaczy.

- Do domu? - zdziwił się. Pomyślał, że szybciej byłoby samochodem, ale jeśli po drodze coś się stanie, nie będzie mógł jej pomóc.

Karetka przyjedzie niewiele później, ale sanitariusze od razu się nią zajmą. Trzeba wezwać karetkę.

- Jean-Paul!

- Słyszę cię, kochanie - powiedział, próbując mówić uspokajającym tonem. - Nie martw się, sprowadzę pomoc. Nie powinienem ruszać cię z miejsca...

- Natychmiast przenieś mnie do domu, zanim ktokolwiek mnie zobaczy! - odparła zdecydowanie.

Zamrugał oczami, patrząc na nią ze zdziwieniem.

- Natychmiast - powtórzyła z naciskiem. Mimo opuchlizny powiek otworzyła szeroko oczy. Białka były całe przekrwione. - I zabierz też tę paczuszkę - dodała.

- Danielle - powiedział Jean-Paul bardziej stanowczo - idę do domu po telefon, nie ruszaj się.

Już się odwrócił, kiedy usłyszał jej słowa:

- Oni mają nasze dzieci!

Gardes zamarł, a serce znów mu zakolatało. Właśnie, gdzie są dzieci?!

- Oni zabijają nam dzieci; będą je torturować, jeżeli natychmiast mnie nie posłuchasz. - Danielle zaczęła płakać żałośnie.

Gardes odwrócił się, Danielle wciąż patrzyła oczami wytrzeszczonymi z przerażenia.

- Błagam... przenieś mnie do domu!

Nie zastanawiając się dłużej, Jean-Paul nachylił się i wziął ją na ręce.

- Paczuska! Koniecznie weź paczuszkę! - jęknęła Danielle.

Gardes popatrzył otępiałym wzrokiem, położył ją z powrotem na ziemi, wziął pakiecik w zęby, po czym znów podniósł żonę. Jak tylko mógł najszybciej, zaniósł ją do domu. Położył ją ostrożnie na kanapie, pobiegł do kuchni po ostry nóż, a potem zaczął przecinać krępującą Danielle taśmę.

- Musimy zadzwonić na policję! - mruknął, nagle zdając sobie sprawę, że postępuje jak głupiec, rozcinając w tej chwili taśmę, zamiast wreszcie znaleźć telefon i zadzwonić, gdzie trzeba. Uwolnił ręce Danielle, wyciągnęła je spod prześcieradła. I wtedy aż znieruchomiał, całe jej ręce były pokryte przypaleniami od papierosów i głębokimi nacięciami, posiniaczone, każdy centymetr kwadratowy.

- Matko Boska, co oni ci zrobili! - zawołał Jean-Paul. - Gdzie są dzieci, kto je przetrzymuje?

Danielle nagle złapała go z całej siły obiema dłońmi za głowę i powiedziała ze złością:

- Słuchaj! Jeśli zadzwonisz na policję, przysięgam, że sama cię zabiję! Zobaczył, że jego żonie brakuje niektórych zębów, pozostałe były całe
w zaschniętej krwi.

- Co? - Gardes patrzył na Danielle z przerażeniem.

- Terroryci porwali nas, kiedy szliśmy do szkoły! - wyjaśniła. - Chodzi im o twój okręt. Chcą go opanować. To Czeczeni. Postanowili tak zagrozić Rosji, żeby wycofała się z ich kraju. Ale nie odpalą rakiet, bo nie potrafią tego zrobić. Zresztą w ogóle nie mają takiego zamiaru.

Jeżeli ich nie posłuchasz, będą torturować nasze dzieci... - Danielle umilkła, wyczerpana i dopiero teraz zaczęła płakać ze strachu, smutku i bólu.
- Już robili im okropne rzeczy! A będą robić o wiele, wiele gorsze! Jeżeli mnie nie posłuchasz, nasze dzieci umrą najokropniejszą śmiercią, jaką można sobie wyobrazić!

- Rozumiem, uspokój się, proszę cię.

- Jak mogę być spokojna?! Słuchaj! Mają też inne.

- Co inne?

- Porwali Emmanuelle Courcelle z Serge'em i Christelle. Porwali Michele Teisseire z Juliette i Claire. Veronique De Lorme z dziećmi, Marlenę i Matthieu, i jeszcze Anad's Molyneux. - Daniele załkała, zaczęła się krztusić i kaszleć. - Michele już zamordowali... - dodała ciszej.

- Danielle - odezwał się Gardes, kładąc drżące ręce na jej ramionach. - Czy jesteś pewna tego wszystkiego?

Jego żona zamknęła oczy, łzy płynęły po jej posiniaczonych, zakrwawionych policzkach.

- Widziałam ich wszystkich. Oni robią okrutne rzeczy dzieciom, Jean-Paul! Obcinają im paluszki i dają drugim do zjedzenia, wpychając je im do gardełek, aż się dławią! Karmią dzieci częściami ciała ich siostrzyczek i braciszków! A matki muszą na to wszystko patrzeć! Emmanuelle przykleili taśmą otwarte powieki do czoła, żeby musiała patrzeć! Dzieci Michele zmusili do patrzenia na to, jak ją gwałcą, a potem podcinają jej gardło i obcinają głowę!

Danielle znowu dostała odruchów wymiotnych. Jean-Paul trzymał dłoń na jej czole. Czuł się teraz jakby oddzielony od rzeczywistości, sam na sam ze swoim racjonalnym myśleniem. Patrzył na swoją ukochaną żonę, tak straszliwie cierpiącą, i nie czuł niczego. Strach, przerażenie, wstręt do ludzi, którzy dokonywali tak potwornych czynów, to wszystko znalazło się jak gdyby za pancerną szybą. Znalazła się za nią również jego miłość do Danielle. Nawet jego miłość do dzieci na ułamek sekundy znikła, kiedy zdał sobie sprawę ze znaczenia tego, co powiedziała Danielle. Czas zwolnił jeszcze bardziej niż wtedy, kiedy Jean-Paul zobaczył ją leżącą przed domem. Wiedział teraz, że musi podjąć najtrudniejszą decyzję swojego życia.

Kraj znalazł się w niebezpieczeństwie. Terrorysty porwali żony i dzieci najstarszych rangą oficerów najgroźniejszego okrętu na kuli ziemskiej, którego rakiety mogły obrócić w perzynę połowę Europy. Terrorysty mogli przeprowadzić uderzenie na cały Zachód - Francję,

Wielką Brytanię, Niemcy, Hiszpanię, Stany Zjednoczone, Kanadę. Jean-Paul wziął głęboki oddech i zajrzał do kuchni, gdzie zobaczył słuchawkę telefonu leżącą na ładowarce.

Trzeba zadzwonić na policję i do DPSD - odpowiadają za bezpieczeństwo sił zbrojnych Francji i będą wiedzieli, co robić. Trzeba też zadzwonić do DST, *Direction de la Suveillance du Territoire*, odpowiadającej za obronę terytorium Francji. Nie, najlepiej najpierw zadzwonić do DCPJ, *Direction Centrale Police Judiciaire*, ogólnokrajowej centrali policji śledczej. Oni sami powiadomią odpowiednie służby.

Danielle uniosła głowę i z żalnym wyrazem twarzy szepnęła:

- Jean-Paul, w paczuszce jest płyta DVD. Sfilmowali wszystko, sam zobacz.

Komandor popatrzył na żonę, nagle już niepewny, co robić. Owa sfera racjonalnego myślenia w jego mózgu zaczęła znikać, powrócił do rzeczywistości, w której okropnie bał się o dzieci i nie mógł się pogodzić z tym, co zrobiono jego ukochanej żonie.

- Włącz tę płytę, włącz... - ponagliła go Danielle..

Jak zahipnotyzowany otworzył niewielki pakunek. Danielle złapała tymczasem nóż i przecięła pozostałe taśmy, a potem wstała, pozostawiając prześcieradło na kanapie. Jean-Paul popatrzył z przerażeniem na żonę. Była naga, zakrwawiona, posiniaczona, poprzypalana, poraniona nożem...

- Boże święty, co oni z tobą zrobili, Danielle?!... - jęknął.

- Zgwałcili mnie - odpowiedziała bezbarwnym tonem. - Dwaj, jeden po drugim. Dzieciom kazali patrzeć. Jeden przytrzymał Marcowi powieki, żeby nie zamykał oczu, a drugi mnie gwałcił; potem się zamienili. - Danielle opadła na kolana, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła cicho łkać. Jean-Paul odłożył pudełko z płytą i podszedł do żony, ale ona krzyknęła: - Włącz tę płytę! Nie chodzi o mnie, ale o nasze i cudze dzieci! Oni porwali dziesięcioro dzieci, które mogą zabić, torturując je okrutnie. I cztery kobiety. Teraz pozostały już tylko trzy. Żeby chociaż zwyczajnie je zabili, ale takie tortury!

Włożył płytę do odtwarzacza. Boże, co ja robię! - myślał w szoku. Być może w tej chwili torturują albo zabijają moje dzieci, a ja oglądam film!

Na ekranie pojawiło się pociągłe oblicze młodego człowieka, chyba jeszcze przed trzydziestką. Miał czarną szatę i ciemne okulary zasłaniające jego twarz. Wyglądał w nich jak jakiś owad. Miał czarne włosy, spiczastą brodę, wystające kości policzkowe. Właściwie można by go uznać za przystojnego. Przez długie sekundy człowiek na ekranie nie poruszał się, po prostu patrzył w obiektyw kamery. W tle rozległ się nagle straszliwy krzyk dziecka. Gardes'owi wydawało się jednak, że to nie jego dziecko. Mężczyzna uniósł rękę i krzyk ustał, zmieniając się w rozpaczliwy płacz.

- Panie komandorze Gardes - odezwał się mężczyzna dźwięcznym, stanowczym tenorem, lekko skłaniając głowę, co miało sugerować, że darzy Gardes'a szacunkiem. - Nie ma znaczenia, kim jestem. Nieważne, kogo reprezentuję. Dla pana moja motywacja nie ma znaczenia. Ale ma znaczenie dla moich rodaków żyjących daleko stąd. - Uniósł rękę i natychmiast dał się słyszeć kolejny straszliwy wrzask dziecka. Trwał całe trzy przerażające sekundy, dopóki mężczyzna nie opuścił ręki. - Ważna jest natomiast wiarygodność. Wiara w realia. Kutuz - teraz odezwał się do kogoś - zechciej łaskawie obrócić kamerę i pokazać pokój.

Obraz zmienił się powoli. Mężczyzna w czerni zniknął, pojawiła się czerwono-czarna sceneria. Jean-Paul zobaczył, że na ścianach pokoju pozawieszano plastikowe płachty pobrudzone krwią.

- Zatrzymaj kamerę, Kutuz. Czy widzi pan krew, panie komandorze? - Brzmiało to surrealistycznie, bestialski porywacz zwracał się do Jean-Paula grzecznym tonem, wymieniając jego stopień wojskowy z szacunkiem należnym dowódcy okrętu. - Stworzenie tej scenerii wymagało, żeby jedna z pańskich znajomych, niejaka Michele Teisseire, została pokrajana na kawałki. Jej głowę oddzielono od reszty ciała, czego oczywiście nie da się naprawić. Rzecz jasna, wszystko to sfilmowaliśmy. Owa scena pojawi się później na niniejszym nagraniu. Przesłałem je panu, panie komandorze, aby wszystko panu po kolei wytłumaczyć. Kutuz, pokaż mnie znowu.

Kamerzysta przekreślił kamerę, pokazał mówiącego.

- Może pan mnie nazywać Saladynem. Oczywiście nie tak nazwali mnie moi czcigodni rodzice, ale to historyczne imię, panie komandorze. *Satah al Din* znaczy „Prawość Wiary”, jest to imię islamskiego wodza, który uwolnił Jerozolimę od krzyżowców. Wkrótce przekona się pan, że nie jest to bez znaczenia. Pochodzę z małej wioski w Czeczenii. Nie tak dawno wpadli do mojego domu Rosjanie. Moja matka miała równo pięćdziesiąt lat. Mówię w czasie przeszłym, ponieważ już nie żyje. Rosjanie zgwałcili ją, bijąc ją jednocześnie. Mnie i moją siostrę zmusili do patrzenia. Potem zaczęli tłuc moją matkę kolbami po głowie, aż ją zmiażdżyli. Wtedy wzięli się do mojej siostry. Gwałcili ją bezwstydnie i okrutnie, uciekając się do najohydniejszych perwersji. Cały czas trzymali mi nóż na gardle, każąc na to patrzeć. W końcu zabili ją, podczas gwałtu, ale zanim to nastąpiło, dręczyli ją bardzo, bardzo długo. Przecięli jej gardło. Czy wyobraża pan sobie, jak to wyglądało?

Gardes zerknął na Danielle, która leżała na dywanie, kołysząc się do przodu i do tyłu, nadal krwawiąc. Chciał podejść, okazać jej w jakiś sposób ciepło, ale warknęła tylko:

- Oglądaj!

Człowiek, który kreował się na Saladyna, mówił dalej:

- Krew rozbryznięła się wszędzie dookoła. Żeby lepiej pan to sobie wyobraził, moi ludzie zrobili to samo z żoną pierwszego mechanika pańskiego okrętu. Zrozumie pan, jak się czułem, patrząc na siostrę. Jak to, nie chce pan na to patrzeć? Dobrze, w takim razie niech popatrzy sam pierwszy mechanik, pan komandor podporucznik Aymeric Teisseire. Celowo wybraliśmy akurat panią Teisseire, ponieważ z czternasciorga naszych zakładników przedstawiała dla nas najmniejszą wartość. Mąż porzucił ją, nieprawdaż? Chciał potem, żeby do niego wróciła, ponieważ miała władzę nad jego dziećmi, a nie dlatego, że ją kochał. Proszę go spytać, przyzna to panu. Czy to nie interesujące, panie komandorze, co jest

w stanie zrobić mężczyzna, kiedy ktoś ma władzę nad jego dziećmi? W tej chwili to więcej niż akademicki dylemat, ponieważ ja, Saladyń, mam władzę nad pańskimi dziećmi, panie kapitanie, a także dziećmi pańskiego ulubionego pierwszego oficera, Vincenta Courcelle'a, zwanego Niedźwiedziem Polarnym, jak pan widzi, bardzo dobrze się przygotowaliśmy. Nie będę tracił więcej czasu i przejdę do sedna sprawy, panie komandorze, jednak zanim to zrobię, pozwolę sobie jeszcze na przedstawienie panu listy zakładników, jakich przetrzymujemy. Po pierwsze, pańskie dzieci - mały Marc, słodka córeczka Margaux, i ulubiona, wiem, nie jest poprawne politycznie wymienianie swojego ulubionego dziecka, jednak ona właśnie jest pańskim ulubionym dzieckiem, panie komandorze, malutka Renee.

Przez następne dziesięć sekund na filmie widać było straszliwe tortury dokonywane na dzieciach Gardes'a, który z przerażenia, odruchowo, zakrył usta rękami. To było najdłuższe dziesięć sekund jego życia.

- A teraz inni. Oto potomstwo pańskiego pierwszego oficera. Córeczki pierwszego mechanika, te same, o których odzyskanie tak się starał. Córka i syn oficera uzbrojenia pańskiego okrętu, oni są starsi, córeczka ma chyba trzynaście lat. Moi ludzie są nią zachwyceni. Jestem przekonany, że w ciągu nadchodzących godzin jeszcze się nią wiele nacieszą.

Gardes zacisnął pięści, mając ochotę rozbić telewizor. Żałował, iż dożył tego strasznego dnia, a nie umarł we śnie jeszcze w dawnym życiu, które było przyjemne.

- Muszę jednak powiedzieć - kontynuował przywódca porywaczy - że niektórzy z moich ludzi, choć osobiście tego nie rozumiem, wykazują znacznie większe zainteresowanie piętnastoletnim Matthieu. Nie dyskutuje się o gustach, prawda, panie komandorze? Po prostu tak to już jest. Jakże mógłbym zapomnieć wreszcie o kobietach. Spójrzmy na początek na piękną Emmanuelle.

Gardes zamknął oczy, ale słowajednego z porywaczy, wykrzykującego do Emmanuelle obrzydliwe polecenie, całkiem mu wystarczyły.

Nie był już w stanie oglądać dłużej. Sięgnął po pilota, jednak Danielle znów krzyknęła:

- Nie wyłączaj, oglądaj!

Zamarł, zobaczywszy gwałconą i torturowaną Veronique De Lorme.

- O Boże! - zawołał, a z oczu pociekły mu łzy.

- Zamknij się, Jean-Paul! - syknęła Danielle. - Jeżeli trudno ci to oglądać, wyobraź sobie, co to znaczy doświadczać czegoś takiego!

Gardes przesunął palcami po włosach. Był to jego charakterystyczny odruch świadczący o niepokoju.

- Teraz Anad's, śliczna, niedawno poślubiona żona nawigatora pańskiego okrętu - kontynuował bandyta. - Kiedy moi ludzie wyłupią jej oczy, będzie chyba znacznie mniej atrakcyjna, nie sądzi pan, panie komandorze? I na koniec nasza najważniejsza zakładniczka, pańska wspianała, ukochana żona, Danielle. Czyż nie była dawniej modelką, panie komandorze? Może pan się dziwić, dlaczego nazywam ją zakładniczką, skoro już ją wypuściliśmy. Jednak widzi pan, panie Jean-Paul, zmusiliśmy ją do oglądania wszystkiego, co zawiera druga część niniejszego filmu. Chwilami zamykała oczy, ale przykleiliśmy jej powieki do czoła. Wypuściliśmy ją, pozostawiając panu tę płytę, aby przekonać pana, co się stanie w wypadku powiadomienia władz, jak pan widzi, jest nam obojętne, czy nasi zakładnicy przeżyją, czy nie. Za to dla was, ich ojców i mężów, ma to wielkie znaczenie. Dodaliśmy także do tego element tortur, jeżeli nie wypełni pan zadania, które zaraz panu zlecę, pańskie dzieci nie tylko umrą, ale będą umierać bardzo powoli. Są tysiące sposobów, żeby zadać śmierć, panie komandorze. Mamy nawet kroplówki, aby te małe istotki nie umarły zbyt wcześnie, podczas gdy ból będzie niemal pozbawiał je przytomności.

Gardes podbiegł nagle do zlewu i zwymiotował. Samozwańczy Saladyn kontynuował:

- Przejdźmy do interesów, panie komandorze. Czas przekonać pozostałych starszych oficerów pańskiego okrętu. Obawiam się, że będzie pan musiał wielokrotnie oglądać ten film do samego końca. Kiedy już starsi oficerowie okrętu zostaną powiadomieni o sytuacji, przedyskutuje pan z nimi skutki ewentualnego zwrócenia się do policji czy innych służb. Oczywiście dojdzie do takiej dyskusji, ponieważ wszyscy jesteście ludźmi. Życie, czucie i myślenie, więc omówcie to. Rozważcie sprawę dokładnie, powyobrażajcie sobie, co się stanie, jeżeli zawiadomicie władze. Zapewne poczujecie się o wiele mniej osamotnieni, w waszych domach pojawią się uzbrojeni agenci, zaczną was przesłuchiwać, będziecie mieli wrażenie, że sprawy idą w dobrym kierunku. Ale my natychmiast dowiemy się o wszystkim, ponieważ obserwujemy wasze domy i podsłuchujemy wasze telefony. Obserwujemy także pański okręt. Wszędzie mamy agentów, nawet w waszych służbach. Dowiemy się. I co się stanie, jeśli ktokolwiek z was zwróci się do policji? Powiem panu. Zaczniemy ciąć wasze dzieci na kawałki. Bardzo metodycznie. Obawiam się, że do czasu przybycia przedstawicieli władz z waszych synów i córek zostanie już niewiele. Nie będzie nawet co pochować, ponieważ od pewnego czasu trzymamy w pobliżu agresywne psy, którym nie dajemy jeść. Na sam koniec oddamy im na pożarcie żyjące jeszcze wasze dzieci i żony. Czy śnił pan może kiedyś, jak zjada pana głodny potwór, panie komandorze? Z pewnością nie jest to przyjemny sen. Wasi najbliżsi w ostatnich chwilach życia będą myśleli tylko o zakrwawionych zębach pożerających je zwierząt. - Saladyn pokręcił głową. - To bardzo

niesmaczne. I niepotrzebne. Wiem. Pewnie zadaje pan sobie pytanie, czego chcemy? Oczywiście chcemy opanować „Le Vigilanta”. Żądamy, żebyście po wypłynięciu wpuścili nas na pokład. Co chcemy zrobić z waszym okrętem? Użyć rakiet? Nie, nie ma pan racji. Chcemy tylko je posiadać. Naszym celem jest wypędzenie Rosjan z Czeczenii, raz na zawsze. Dlatego zatrzymamy na jakiś czas wasz okręt ukryty w nieznanym nikomu miejscu. W obliczu zagrożenia atakiem jądrowym Rosjanie wycofają się z mojej ojczyzny, jestem tego pewien. Nie mam natomiast pewności, czy później nie wkroczą z powrotem. Dlatego naszym celem będzie czuwanie w gotowości do natychmiastowego odpalenia rakiet na rosyjskie miasta. Zdaje pan już sobie sprawę z naszego zdecydowania, bo zademonstrowaliśmy je na przykładzie pańskiej rodziny i rodzin podległych panu oficerów. Oczywiście nie ma wątpliwości, że skoro potrafimy być tak bezwzględni wobec kobiet i dzieci, jesteśmy również w stanie nacisnąć przycisk, który wyśle miliony Rosjan na spotkanie z Allahem czekającym na nich z mieczem ognistym. Kiedy już opanujemy okręt, wypuścimy pana i pańską załogę. Damy wam także zapieczętowaną kopertę. - Saladyn pokazał do kamery dużą białą kopertę. - Wewnątrz tej koperty jest adres magazynu, w którym teraz się znajdujemy. Będziecie mogli wówczas powiadomić policję, agencje wywiadowcze, kogo tylko zechcecie. Przedstawiciele waszych władz znajdą wszystkich zakładników żywych. Będą posiniaczeni, pokaleczeni, dwoje mogło doznać wstrząsu mózgu. Jeśli posłuchacie moich poleceń, nikomu nie wydlubiemy oczu. W sumie obcięliśmy cztery palce u nóg lub małe palce u rąk, ale to nie oznacza poważnego kalectwa. Musieliśmy przekonać Danielle co do powagi naszych zamiarów. Zatem z wyjątkiem pani Teisseire wszystkim zakładnikom darujemy życie. Może na początku będą musieli spędzić ze dwa tygodnie w szpitalu... - Saladyn uśmiechnął się, a ten jego uśmiech był teraz po prostu przerażający. - Ale muszę pana ostrzec, panie komandorze. Część moich ludzi pozostanie tu do czasu, aż „Le Vigilant” znajdzie się w naszych rękach. Z dwóch ważnych powodów. Po pierwsze, abym mógł spełnić swoją groźbę w wypadku, gdybyście zawiadomili władze przed przejściem przez nas okrętu. Po drugie, aby mogli zapewnić pomoc medyczną, żywność i opiekę zakładnikom w chwili opanowywania przez nas „Le Vigilanta”. Całe to cierpienie - w tym momencie na ekranie zamigwały zmontowane krótkie ujęcia scen tortur - skończy się, kiedy przejmiecie okręt. Zdajemy sobie sprawę, że wypływacie dopiero jutro. Będziecie więc mieli noc pełną stresu, wiedząc, że dręczymy waszych najbliższych. Musimy jednak to robić, abyście z niecierpliwością oczekiwali chwili, kiedy oddacie nam wasz okręt. Zatem jutro w piątek, o jedenastej przed południem, wybieriecie cumy i wyruszyacie na Atlantyk. W południe znajdziecie się już tak daleko od Brestu, że będziecie gotowi zanurzyć wasz wspaniały, groźny okręt. A my będziemy czekać na was w tym miejscu.

Na ekranie pojawiła się mapa wyjścia z portu Brest. Zaznaczono najdalej położoną boję i położony na wschód od niej punkt. Poniżej wyraźnego X wypisano dużymi literami długość i szerokość geograficzną.

- Proszę zanotować sobie tę pozycję, panie komandorze. Niech pan sięgnie po długopis i kartkę.

Gardes odnalazł długopis, oddał kawałek gazety i zanotował współrzędne.

- Będziemy tam na was czekać w białym jachcie. Zwolnicie i wpuściecie nas na pokład. Kiedy to się stanie, starsi oficerowie „Le Vigilanta” będą mogli przesiąść się i popłynąć nim z powrotem do portu. Nie bójcie się kary; kiedy wasi szefowie obejrzą to nagranie, zrozumieją was w pełni. Stwierdzą, że nie mieliście wyboru. Co mieliście robić, czekać, aż powydłubujemy oczy waszym dzieciom? Aż powiesimy pańską córeczkę na jelitach pańskiego jeszcze żywego synka? Oczywiście, że nie... Wyczuwam pańską następną myśl. Niepokoi się pan o to, co stanie się z resztą waszej załogi. Nie będzie nam potrzebna, ale jacht jest zbyt mały, aby pomieścić sto jedenaście osób. Uznaliśmy więc, że powinniśmy poczekać na pomoc w tratwach ratunkowych „Le Vigilanta”. Czy zaakceptuje to pan, panie komandorze? Wiem, że nie może pan do mnie przemówić. Odpowiedzią będzie pańskie działanie. A teraz, panie kapitanie, druga część nagrania: pełna dokumentacja tego, co wycierpiało każde z zakładników. Pozwalam panu zatrzymać nagranie w tym miejscu, aby przed odtworzeniem reszty mógł pan wezwać do swojego domu resztę starszych oficerów okrętu. Wyobrażam sobie, że napotka pan z ich strony opór przed oddaniem tak potężnej broni w ręce niestroniących od przemocy ludzi. Proszę się nie martwić. Wszelki opór zniknie, kiedy pokaże pan swoim podkomendnym ten materiał. Proszę pamiętać, jesteśmy brutalni, ale nie jesteśmy waszymi wrogami. Jesteśmy nieprzyjaciółmi przeklętych Rosjan. Zapamiętajcie, że to ich chcemy rzucić na kolana, nie was. - Saladyń znowu spoglądał w kamerę, tak samo jak na początku. - Do zobaczenia na morzu, panie kapitanie. Niech Allah będzie z panem do tego czasu.

Nastąpiła przerwa, a potem pokazano Michele Teisseire wciąganą do białego pomieszczenia. Gardes zatrzymał nagranie.

Odwrócił się i odruchowo przytulił Danielle. Jego dotyk był dla niej tak bolesny, że aż jęknęła.

- Trzeba przewieźć cię do szpitala!... - mruknął Jean-Paul, czując się tak bezradny, jak jeszcze nigdy w życiu.

- Sam mi pomóż - odpowiedziała Danielle, dygocząc z bólu. - Pomóż mi wejść do wanny z ciepłą wodą. A potem wezwij starszych oficerów okrętu.

Gardes nie zdążył tego zrobić, ponieważ nagle zadzwonił telefon. Aż podskoczyli oboje. Podniósł słuchawkę.

- Słucham, Gardes - odebrał drżącym głosem.

- Panie kapitanie! - usłyszał głos Vincenta Courcelle'a, Niedźwiedzia Polarnego. - Stało się coś strasznego!

Gdyby tylko wiedział, jak strasznego... pomyślał Jean-Paul.

14

- Jak wyglądam? - spytał Issam Jusufa. Zouabri miał na sobie granatowy mundur i czapkę komandora podporucznika francuskiej marynarki wojennej. Tagreb pokręcił z podziwem głową.

- Olsniewająco - odparł. Spojrzał w poplamione lustro, sam miał na sobie mundur komandora. Ze względu na wiek mógłby być już naprawdę komandorem, choć w rzeczywistości był tylko komandorem podporucznikiem rosyjskiej marynarki, a więc jak gdyby awansował o dwa stopnie. Jusuf czuł się nieswojo we francuskim mundurze, ale chyba wyglądał w nim na wyższego, bardziej męsko.

Zouabri skłonił głowę, wkładając z powrotem czarne okulary. Abdul-Azim Fakhri, jego zastępca, wszedł do znajdującego się w budynku magazynu pomieszczenia stanowiącego ich centrum dowodzenia. Także Fakhri miał na sobie mundur komandora podporucznika.

- Wszystko gotowe? - spytał Issam.

Abdul skinął głową, po czym wyciągnął z worka marynarskiego duży pistolet maszynowy Heckler & Koch MP-5 kaliber 10 mm i włożył do niego magazynek pełen śmiertelnej amunicji.

- Przed wyjazdem musimy zrobić jeszcze jedną rzecz - powiedział. - Wielka szkoda, że nie możemy bawić się tak nieco dłużej.

Zouabri skinął głową, najwyraźniej myśląc o czym innym. Tagreb popatrzył z przerażeniem na pistolet.

- Saladynie? Issam? Co tu się dzieje? - spytał z niepokojem. - Po co ta broń?

Fakhri rzucił mu pogardliwe spojrzenie, po czym pokręcił głową i ruszył do drzwi.

- Issam! - krzyknął Tagreb. - Powstrzymaj natychmiast tego człowieka, bo inaczej nigdzie nie płynę! Obaj dobrze wiemy, że beze mnie ta operacja się nie uda.

Zouabri ruchem ręki zatrzymał Fakhriego.

- O co ci chodzi, Jusuf? - spytał Issam. Trudno było odczytać jego nastrój z powodu ciemnych okularów.

- Chcę, żebyśmy zrobili tak, jak obiecaliśmy. Zapewnili pomoc medyczną zakładnikom i ich wypuścili!

- Dlaczegoż to, przyjacielu?

- Bo to niewinne dzieci i kobiety. Nacierpieli się już dość.

- I tak jutro czy może za tydzień zginą od uderzenia naszej rakiety - odpowiedział ze śmiechem Zouabri. - Czy nie jest bardziej miłosierne pozbawienie ich życia dzisiaj niż wtedy?

- To wcale nie jest miłosierne - zaprzeczył z naciskiem Tagreb, pewniejszym niż przedtem głosem. - Lepiej dla nich, jeśli zginą tak, jak żyli. Będą może w szkołach, w kościołach, w łózkach, może matki będą ubierać dzieci. A tak umrą jak spętane zwierzęta, daremnie czekając na pomoc. Sam mnie nauczyłeś, że sposób, w jaki człowiek umiera, ma znaczenie. Pomyśl o tym, jak umarł Dostojew. Jego śmierć odzwierciedlała to, na co zasłużył swoim nędznym życiem. Ci niewinni ludzie nie zasługują na taką śmierć, jaką chcesz im zadać. Jeśli zginą od wybuchu głowicy termojądrowej, ich śmierć będzie inna. Taka śmierć była im pisana. Odejdźcie razem z wielką częścią ich narodu. - Tagreb pokręcił głową. - Żądam tego, Issam. Wypuść ich.

Zouabri patrzył długi czas na Tagreba, który miał ochotę spuścić wzrok, ale tego nie uczynił. Przecież własnymi rękami odciął głowę nieprzyjacielowi. Po takim doświadczeniu nie odczuwał już większego strachu. Zouabri miał rację, że zmieni ono duszę Jusufa, musiał teraz jednak radzić sobie ze wszystkimi konsekwencjami tego faktu, który sam spowodował. Jusuf Tagreb był obecnie po części dziełem Zouabriego. Do pewnego stopnia zaczynał już nawet myśleć jak Zouabri.

- Jeśli ich wypuścimy - odezwał się spokojnie Issam - powiadomią swoich najbliższych oraz policję. Z naszej operacji nic nie wyjdzie. Całe cierpienie zakładników, które miało określony sens, stałoby się bezcelowe.

Tagreba zaczynały już męczyć metafizyczne przenośnie, w jakich lubował się jego młodszy brat w wierze. Chodziło o prawdziwych, żywych ludzi, kobiety i dzieci. Nie zasługiwali na taką śmierć.

- Obiecaliśmy im, że wyjedziemy, a potem powiadomimy władze, aby zdążono ich uratować. Nalegam, żebyśmy wypełnili swoją obietnicę.

- Nie mam w tej chwili ochoty czynić im krzywdy - odpowiedział Zouabri. - Chodzi mi jedynie o to, jaki wpływ ich los będzie miał na naszą operację. Co jesteś w stanie zaproponować, Jusuf, żebyśmy mogli oszczędzić tych niewiernych, nie stwarzając jednocześnie zagrożenia dla realizacji naszego świętego celu?

- Mamy kopię nagrania, które podrzuciliśmy kapitanowi okrętu. Możemy pocztą przesłać to nagranie policji, podając adres magazynu. Przesyłka będzie szła jeden dzień. Najpóźniej w poniedziałek policja zjawi się tu i uwolni zakładników. To będzie już trzy dni po naszym wypłynięciu.

- Pomyśl o wszystkich skutkach tego, co mówisz, Jusuf. Jeśli tak zrobimy, francuskie władze dowiedzą się, że przejęliśmy „Le Vigilanta”.

- Co z tego? I tak sami się zorientują.

- Jakim sposobem?

- Są setki sposobów, Saladynie. Rejs takiego okrętu przebiega według z góry określonych procedur, dzięki którym dowództwo ma pewność, że wszystko jest w porządku. Na przykład inny okręt, jeden z okrętów myśliwskich, tych, których zadaniem jest polowanie na okręty nieprzyjaciela, śledzi okręt przenoszący rakiety, aby mieć pewność, że żadna jednostka należąca do innego kraju nie robi tego samego. Innym razem okręt przepływa nad hydrofonami umieszczonymi gdzieś na oceanie i odbierane przez nie sygnały docierają do dowództwa, które wie, że nic nieprzewidzianego się nie stało. Jeszcze inny sposób to wypuszczenie przez okręt radiowej boi sygnałowej, która z pewnym opóźnieniem nadaje sygnał, że wszystko w porządku. Nie znamy procedur francuskiej marynarki, ale na pewno one istnieją. Mój TK-17 rosyjskiej Floty Północnej także oczywiście podlegał tego rodzaju procedurom. Ponieważ cały czas rządy państw muszą wiedzieć, że ich znajdujące się na odległym oceanie wyrzutnie rakiet z głowicami atomowymi wciąż istnieją i mogą być przez nich użyte, że nie utracono ich z powodu katastrofy

okrętu, zatkanego zaworu układu utrzymywania stałej pozycji w zanurzeniu czy buntu na pokładzie. Jeśli sami powiadomimy policję, nic to nie zmieni. „Le Vigilant” to mistrz świata w kategorii cichego pływania, najcichszy okręt podwodny, przynajmniej na tej półkuli. Jest więc całkowicie bezpieczny. Nawet ich własna, francuska marynarka wojenna nie będzie w stanie znaleźć „Le

Vigilanta”, jeśli wymknie się jej spod kontroli. - Tagreb umilkł nagle. Nauczył się od Issama, jak używać milczenia w trakcie negocjacji.

- Jednak do poniedziałku odpalimy już rakiety... - odezwał się Zouabri.

- Nie wiadomo. Zależy, ile czasu zajmie mi poznanie technicznych szczegółów, znalezienie sposobu na to, aby jeden człowiek, czy choćby kilku ludzi, uruchomił wszystkie sprzężone ze sobą mechanizmy skomputeryzowanego układu odpalania rakiet, oddając salwę bez zgody francuskiego dowództwa. Muszę także poznać systemy celowania, aby rakiety poleciały dokładnie w zaplanowane przez nas miejsca. Poznać procedurę samego odpalania rakiet. Jest w rękach Allaha, ile czasu mi to zajmie. Być może tydzień, może dwa tygodnie. Niewykluczone, że nawet trzy. Miej też na uwadze, że to na mnie spadnie obowiązek wydawania twoim ludziom poleceń, kiedy będziemy prowadzili ten ogromny okręt. Tego nie jest w stanie robić jeden człowiek. Nawet zespół specjalistów musi uważać, żeby nie popełnić błędu, sterując okrętem podwodnym pomimo całej automatyzacji. Załoga „Le Vigilanta” liczy sto jedenaście osób, a my będziemy dysponowali jedynie czternastoma szturami lądowymi i jednym doświadczonym oficerem okrętu podwodnego, który jednak nie został przeszkolony do służby na tym typie okrętu. Pierwsze godziny zajmie nam jego bezpieczne zanurzenie oraz poznanie maszynowni, systemu balastowania, systemu nawigacyjnego. Bez precyzyjnej nawigacji żadna rakiet nie trafi w cel, ponieważ, aby tak się stało, musi być znane dokładne położenie wyrzutni. Saladynie, nie odpalimy rakiet w poniedziałek ani nawet za tydzień.

Zouabri spoglądał surowo na Tagreba z za ciemnych okularów. Chyba aż do tej pory nie zdawał sobie sprawy z tego, o czym powiedział Jusuf; nigdy o tym nie rozmawiali. Jaki Issam ma wybór? - myślał Tagreb. - Pozostawić przy życiu francuską załogę tak długo, żeby pokierowała okrętem, a może nawet wycelowała rakiety? Może od początku miał taki zamiar? Nagle Jusuf nabral wątpliwości, czy Zouabri naprawdę chce, aby to on poprowadził okręt, czy też zamierza wykorzystać do tego francuskich marynarzy. Jeśli tak, Jusuf stałby się zbędny w chwili zanurzenia okrętu. Czy wówczas Issam zabiłby go? Tagreb poczuł skurcz w żołądku. Zrobiło mu się niedobrze, ale stał wyprostowany, starając się niczego po sobie nie pokazywać.

- Całkowicie zmieniasz naszą operację, Jusuf - odezwał się w końcu powoli Zouabri. - Zanim wypełnimy nasze przeznaczenie, będziemy wiele dni pływać w głębinach oceanu. Pozwolimy zakładnikom powrócić do domów. Sami zawiadomimy francuskie władze, że porwaliśmy ich okręt.

Skłonimy ich do tego, aby nas szukali. - Zrobił pauzę, zaciskając zęby i mierząc go gniewnym spojrzeniem. A potem uśmiechnął się. Tagreb był zaskoczony. Issam Zouabri potrafił pięknie się uśmiechać, tylko nigdy tego nie robił. - Jusuf, podoba mi się twój sposób myślenia - kontynuował Zouabri. - Mój bracie, twoje pomysły są jeszcze śmielsze niż samo porwanie okrętu. - Oparł dłonie na ramionach Tagreba i uściśnął go. - Dziękuję ci, Jusuf. Naprawdę zesłał mi cię Allah. - Spojrzał na Fakhriego i oznajmił: - Następuje zmiana planu, Abdul. Pozostawimy zakładników żywych, ponieważ w niczym nam to nie przeszkodzi. Upewnij się, czy się nie wymkną, ale niech nie będą spętani w sposób, który sprawiałby im ból. Zmieńcie im kroplówki, sprawdźcie igły, dopełnijcie butelki z wodą, które przy nich stoją. Umyjcie ich gąbkami z płynem zawierającym antybiotyki i opatrzcie im rany. Zatrudnij do tego wszystkich naszych ludzi. Niczego nie zaniedbajcie. Nikt z tych dzieci ani kobiet nie może umrzeć w ciągu trzech dni, na które pozostawimy ich samych. Czy moje rozkazy są jasne? Jeśli cokolwiek w nich pominąłem, wykaż własną inicjatywę, aby osiągnąć skutek, o jakim mówię. Zrób to z pomocą Allaha, Abdul.

Fakhri słuchał bez protestów z taką miną, jakby zadowolony był z rozkazu.

- Zrobię dokładnie tak, jak powiedziałaś, Saladynie - oznajmił, skłaniając głowę. Włożył pistolet maszynowy z powrotem do worka i wyszedł, aby wykonać rozkazy Zouabriego.

- Jusuf, przygotuj przesyłkę dla francuskich władz zawierającą płytę. Mamy opóźnienie... Zrób wszystko tak, aby Francuzi byli absolutnie przekonani, że jesteśmy z Czeczenii. Nie chcę, aby ewakuowano Paryż.

Tagreb wziął kartkę i zaczął pisać list do francuskich władz. Przez moment zastanowił się, czy Zouabri pozwoli mu go wysłać. Napisał list odręcznie, wyjaśniając, kim są zakładnicy oraz gdzie znajduje się magazyn. Włożył płytę i wiadomość do koperty, którą zakleił. Zaadresował ją po prostu do centrali policji śledczej w Paryżu. O dokładny adres mógł dowiedzieć się na pocztę.

Zouabri wsiadł do furgonetki, zajmując miejsce obok kierowcy, którym był Kutuz Madari, i kazał mu ruszać.

- Kutuz, znajdź pocztę - polecił.

- Poczta jest kilometr stąd, przy drodze - powiedział Kutuz.

- Świetnie.

Tagreb wysiadł przy poczcie, aby wysłać list. Spytał urzędniczkę o adres centrali policji śledczej, dopisał go na kopercie i sięgnął po pieniądze, aby zapłacić za znaczek.

- Priorytetowy czy zwykły? - spytała kobieta. - Jeśli wyśle pan tę przesyłkę jako priorytetową, powinna dotrzeć już jutro.

Jusuf zastanowił się. Był piątek rano. Przypuszczał, że do poniedziałku któreś z zakładników może umrzeć. Zouabriemu mówił o poniedziałku, jednak nawet jeśli przesyłka priorytetowa dotrze na policję na czas, czyli w sobotę, nie było gwarancji, że w sobotę zostanie otwarta i że zostaną podjęte odpowiednie działania. Za to przynajmniej w poniedziałek rano na pewno ją otworzą. Zwykła przesyłka mogłaby w tym czasie być jeszcze w drodze. Jeśli wyśle priorytetową, nie będzie to złamanie ustaleń z Zouabrim. Skinął głową i powiedział:

- Poproszę priorytetowy. - Nakleił znaczek, zapłacił i wrócił do furgonetki. Pojechali dalej, do portu jachtowego.

Być może dał porwanym dzieciom i kobietom jeszcze tylko kilka dni życia, a najwyżej parę tygodni, a jednak uważał, że ma to znaczenie. Przynajmniej nie umrą w tym obskurnym magazynie, gdzie doświadczyli już tylu cierpień. Zginą nagle, w trakcie normalnego życia. Tak, to ma znaczenie. Allah będzie z tego rad.

15

Kapitan Emile Everard podniósł do oczu lornetkę i zobaczył biały jacht motorowy, jakich Oceaniczne Siły Strategiczne używały do przewozu personelu. Na rufie jachtu powiewała francuska bandera oraz bandera *Force Oceanique Strategique*. Jacht był jednak biały, a nie szary. Widocznie admirał D'Aubigne postarał się o dodatkowy jacht do przerzutu wysokich rangą oficerów. Everard nie umiał wytłumaczyć, dlaczego admirał postanowił wymienić część załogi zaraz po wypłynięciu okrętu w morze, ale takie otrzymali rozkazy, kiedy odbijali od brzegu.

Zresztą na pokładzie działy się dziwne rzeczy. Kapitan, pierwszy oficer i szefowie sekcji byli w złych humorach, jacyś zamyśleni. Może na „Le Vigilant” mieli wsiąść kontrolerzy w celu dokonania szczegółowej inspekcji okrętu i oceny załogi? To tłumaczyłoby wszystko. Emile wzruszył ramionami. Wkrótce załoga dowie się, o co chodzi.

- Widzę jacht do przewozu personelu, panie kapitanie - zameldował. - Proszę o zezwolenie obsadzenia pokładu zespołem do przerzutu personelu.

Gardes skinął głową, odchrząknął i powiedział:

- Obsadzić pokład zespołem do przerzutu personelu. Pokieruje nim pierwszy mechanik.

- Tak jest, panie kapitanie - potwierdził Everard. Zazwyczaj takim zespołem kierował najstarszy rangą bosman podlegający bezpośrednio pierwszemu oficerowi i będący przełożonym marynarzy. Jeśli jednak przybywali wysocy oficerowie z dowództwa floty, nic dziwnego, że kapitan oddelegował jednego z najstarszych oficerów. Gdyby ktoś wpadł do wody, pogorszyłoby to jeszcze sytuację.

- Sterówka, tu mostek, obsadzić pokład zespołem do przerzutu personelu - rozkazał. - Z rozkazu kapitana zespołem ma pokierować pierwszy mechanik.

- Jest mostek, tu sterówka, obsadzić pokład zespołem do przerzutu personelu, zespołem pokieruje pierwszy mechanik.

W głośnikach na całym okręcie odezwał się gromki głos bosmana Turnocka:

- Obsadzić pokład zespołem do przerzutu personelu, zespołem pokieruje pierwszy mechanik.

Teisseire musiał spodziewać się tego rozkazu, ponieważ pierwszy wyłonił się z włazu do przedziału rakietowego, ubrany w sztormiak i wyposażony w uprząż bezpieczeństwa. Za nim wyszli po kolei marynarze należący do zespołu do przerzutu personelu, minęli kiosk i zbrali się na przednim pokładzie. Było ich dwunastu, poprzypinali się za pośrednictwem uprząży do idącej wzdłuż pokładu prowadnicy.

- Ster, tu mostek, maszyny stop - rozkazał Everard, gdy jacht podpłynął bliżej. Widać było na jego pokładzie oficerów. Jacht, długości około piętnastu metrów, był nowiutki, miał nowocześnie zaokrągloną rufę i dwa bliźniacze silniki spalinowe. Ładna łódka. Dowództwo Sił Strategicznych musiało sporo na niego wyłożyć. A może dostali specjalne fundusze? Jacht mógł być używany do rejsów wypoczynkowych, w jakie wypływają bogaci ludzie. Miło by było spędzić dzień na morzu na takim jachcie. Można by z niego na przykład łowić ryby, które występują dalej od brzegu. Ciekawe, czy któryś z obecnych na pokładzie jachtu oficerów zabrał ze sobą sprzęt wędkarski?

Nagle Everard zwrócił uwagę, że coś jest nie tak. Uniósł lornetkę i stwierdził, że przybysze mają na sobie niewłaściwe mundury, granatowe, a nie używane latem białe. Wprawdzie był już wrzesień, jednak mundury zgodnie z regulaminem zmieniało się dopiero za tydzień. Widocznie przybysze zamierzali dłużej pozostać na pokładzie „Le Vigilanta”, zejść z niego dopiero w październiku. To dopiero będzie patrol! Kontrolerzy rozgospzczą się na pokładzie, pozabierają oficerom kajuty, będą panoszyć się w mesie, wypijać kawę, której musiało starczyć do końca rejsu, i brać prysznic, zużywając całą ciepłą wodę. Pieprzone sztabowe szczury! Everard pokręcił głową. Nagle przyszło mu do głowy

inne wyjaśnienie sytuacji, być może Gardes popełnił tak wielkie błędy, że przysłano zespół, który miał przeprowadzić dochodzenie w jakiejś sprawie. Taki zespół miałby granatowe mundury niezależnie od pory roku, aby podkreślić powagę swojej misji. Emile zerknął znowu na Gardes'a, który wydawał się z każdą minutą coraz bardziej zdenerwowany.

Jacht przybił do prawej burty na wysokości dziobu „Le Vigilanta” i podał cumy. Everard uniósł mikrofon i powiedział:

- Mostek do nawigatora, do naszej prawej burty na wysokości dziobu przybił jacht do przewozu personelu. - Molyneux musi odnotować to zdarzenie w dzienniku pokładowym. Pewnie przez peryskop sam widział, co się działo, jeśli jednak był równie wytrącony z równowagi jak kapitan, lepiej mu o tym przypomnieć.

- Tak jest - odpowiedział bezbarwnym głosem Mołyneux.

Na przednim pokładzie Teisseire, zwisając z uprząży, podawał właśnie rękę pierwszemu z przybyszów. Wciągnął go na pokład i przekazał marynarzom, którzy przytrzymali go i odprowadzili na rufę, przechodząc obok kiosku. Dziwne, że nie mieli kamizelek ratunkowych. Przecież przepisy tego wymagają. Może ten zespół śledczy, czy cokolwiek to było, został zebrany tak pośpiesznie, że jego członkowie nie mieli nawet czasu zabrać wymaganego wyposażenia? Albo zapomniano im powiedzieć, że nowy jacht nie został jeszcze wyposażony we wszystko, co potrzebne. Ta myśl uspokoiła nieco Everarda. Jeśli szczury lądowe ze sztabu popełniają takie błędy, nie mogą zbyt surowo osądzać kapitana „Le Vigilanta”. Chyba że sami wszystko sobie wybaczą, czepiając się innych. Jeszcze jeden powód, żeby jak najszybciej pozbyć się tych nieproszonych gości.

Wciągnięto na pokład drugiego, potem trzeciego oficera ze sztabu. W sumie Emile naliczył ich piętnastu. Najstarszy miał stopień komandora. Mimo to rozglądał się, jakby nigdy wcześniej nie był na pokładzie „Le Vigilanta”. Dziwne. Everard znał ludzi ze sztabu D'Aubigne'a. W ostami czwartek, dzień przed egzaminem na symulatorze ataku, był w sztabie na proszonym obiedzie. Nie widział ich tam, ale akurat mogli mieć służbę. Wszyscy z wyjątkiem komandora mieli ciemną cerę i włosy. Akurat to nie było specjalnie dziwne. Wielu oficerów marynarki wojennej pochodziło z wybrzeża Morza Śródziemnego, ponieważ w czasach zimnej wojny w Tulonie znajdowała się baza okrętów podwodnych.

Nagle Emile'a zmroziła myśl, że komandor, który przybył na „Le yigilanta”, może zastąpić Gardes'a. Everard zerknął znowu na swego dowódcę, ale ten wydawał się teraz odrobinę spokojniejszy. Na przednim pokładzie Nosorożec kierował załadunkiem worków marynarskich przybyszów. Gdy znalazły się na pokładzie okrętu, marynarze zaczęli je przenosić do wnętrza kadłuba. Wreszcie wszyscy zniknęli pod pokładem, poza Teisseirem i starszym bosmanem sztabowym Marcelem Folletem - głównym bosmanem okrętu. Follet oddał liny, za pomocą których przenoszono ludzi na pokład. Nosorożec, przechodząc obok kiosku, zawołał w stronę latającego mostka:

- Jacht do przewozu personelu odbił od naszej burty!

- Tak jest, zrozumiano! - odpowiedział Everard. - Panie kapitanie, zespół z dowództwa na pokładzie.

- Dziękuję - potwierdził Gardes. - Schodzę pod pokład. Proszę prowadzić okręt dalej do punktu zanurzenia. Zabezpieczyć latający mostek i powiadomić mnie, kiedy pokład będzie gotowy do zanurzenia okrętu.

- Tak jest, panie kapitanie - odparł Everard, ustępując Gardes'owi miejsca, aby mógł przejść do włazu i zejść po drabince na dół.

- Proszę również zmienić wachtę manewrową na następną, a także zebrać dowódców sekcji w mesie oficerskiej. Spotkamy się z pasażerami.

- Tak jest.

Jacht do przewozu personelu powinien był zawrócić i ruszyć z powrotem do Brestu, ale zamiast tego stał w miejscu, kołysząc się swobodnie na falach. Przez chwilę Everard miał dziwne wrażenie, że na pokładzie jachtu nikogo nie ma.

- Mostek, tu sterówka, obsada pokładu zewnętrznego zesła na dół, załoga i pasażerowie w komplecie, właz zabezpieczony - usłyszał.

- Tu mostek. Cała naprzód, ster pięć stopni w lewo, ustabilizuj kurs dwa siedem osiem.

Żeby tylko nie zaczepić o jacht z dowództwa, pomyślał Emile.

- Oko, zamelduj się na latającym mostku i zabezpiecz go do zanurzenia - rozkazał.

Okręt przyspieszył i zawrócił ku wyznaczonej wcześniej trajektorii rejsu. Wiatr i fala dziobowa wzmogły się. Emile zazwyczaj czuł się wspaniale, kiedy kapitan schodził pod pokład i pozostawiał w jego rękach dowodzenie okrętem w drodze do punktu zanurzenia. Jednak w tej chwili daleko było mu do radości. Z westchnieniem podniósł do oczu lornetkę, żeby zobaczyć, czy coś widać na horyzoncie.

Jean-Paul zbiegł szybko po drabince do sterówki. Courcelle'a i Molyneux'go już nie było, pewnie czekali na niego w mesie oficerskiej. Otarł pot z czoła. Jak do tej pory wszystko przebiegło gładko, lepiej niż się spodziewał. Postawienie na latającym mostku Everarda było doskonałym pomysłem, niczego się nie domyślił. Legard dostałby zawału serca, zobaczywszy cywilny jacht zamiast zwykłego jachtu dowództwa, niewłaściwie wywieszane bandery oraz podejrzenie wyglądających oficerów w nieodpowiednich, wymiętych mundurach, bez kamizelek ratunkowych. Terroryci przynajmniej domyślili się, żeby zdobyć banderę Oceanicznych Sił Strategicznych, choć była to jej stara wersja. W dodatku opuścili jacht do ostatniego człowieka, pozostawiając go na pastwę morza. O Jezu! Legard bez wątplenia uruchomiłby alarm. Od razu było widać, że żaden z „pasażerów” nie jest Francuzem. Nie potrafili też poruszać się w swoich nieodpowiednich do pory roku mundurach, w których wyraźnie czuli się jak przebierańcy. Dobrze, że żaden z nich się nie odzywał, bo natychmiast zdradziłby ich akcent. Zachowali dość przytomności umysłu, by ukryć broń. To chyba dlatego wybrali zimowe mundury, pod którymi można było schować pistolet w kaburze. Jean-Paul wymacał pistolet w kieszeni spodni. Skoro jest tylko piętnastu terrorystów na pokładzie, może oficerowie „Le Vigilanta” zdołaliby ich powystrzelać? Jednak przypomniał sobie natychmiast, że ich dzieci i żony wciąż były w rękach terrorystów, być może torturowane.

Pomyślał, że przede wszystkim musi spytać Saladyna, czy wypełnił obietnicę i uwolnił zakładników. Jeśli te czeczeńskie skurwysyny odpowiedzą że ich zamordowali, Jean-Paul sięgnie do spodni, wyciągnie pistolet i zacznie strzelać. Nie martwił się już tym, że być może go zabiją zanim zdoła pozabijać terrorystów. Co to byłoby za życie, jeśli straci swych najbliższych? Jeśli zginąłby w walce z ludźmi, których wpuścił na „Le Vigilanta”, popełniając niewybaczalny akt zdrady ojczyzny, to tym lepiej. Na chwilę odzyskał dawną pewność siebie.

Nie na długo. Nacisnął klamkę mesy oficerskiej, ale została zamknięta na klucz. Po chwili zasłona nad okrągłym okienkiem podniosła się i drzwi otwarto. Wielka ciemna łapa chwyciła go i wciągnęła do mesy, po czym zatrzęsnęła drzwi z powrotem. Czeczeni pozdejmowali już bluzy, rzucając je na podłogę; byli teraz w białych koszulach i czarnych spodniach. Saladyn, przywódca bandy, rozsiadł się w kapitańskim fotelu Gardes'a. Robił wrażenie zupełnie spokojnego, zadowolonego z siebie. Mimo niezbyt silnego oświetlenia mesy nosił ciemne okulary. Otaczali go pozostali członkowie bandy trzymający w rękach pistolety maszynowe. Jean-Paul pomyślał, że zanim zdążyłby do nich wystrzelić, zrobiliby z niego sito.

Przy stole siedzieli już Courcelle oraz trzech dowódcy sekcji. Każdy z nich miał równie zrezygnowaną minę jak Gardes i trzymał dłonie na blacie.

- Niech pan wejdzie, panie kapitanie - odezwał się wesoło Saladyn, wskazując komandorowi miejsce koło siebie. Szef terrorystów zachowywał się jak gospodarz eleganckiego przyjęcia. Jakby na podkreślenie „zaproszenia” jeden z Czeczenów złapał Gardes’a obiema rękami i pchnął go na krzesło. Jean-Paul podniósł wzrok, starając się nie robić wrażenia załamane go. Przysunął się blisko do stołu, tak aby móc po kryjomu wyciągnąć pistolet. Może zdołałby przynajmniej strzelić w Saladyna, zanim sam zostałby zabity? Najwyraźniej terroryści nie zamierzali wypuścić oficerów „Le Vigilanta”, przynajmniej teraz, ponieważ jacht pozostał już w tyle, pusty.

- Proszę położyć ręce na stole, panie komandorze - polecił natychmiast Saladyn, jak gdyby odczytał jego myśli. - Fajad, rozbrój komandora Gardes’a, tak samo jak rozbroiłeś tamtych.

Jeden z Czeczenów, potężny mężczyzna o twarzy goryla, oddał broń kompanowi, po czym podniósł Gardes’a z krzesła, rozpiął jego sztormiak i wyjął mu ze spodni pistolet. Zatknął pistolet za własny pas, po czym rzucił Gardes’a na fotel i odebrał swoją broń.

- Co zrobiliście z naszymi rodzinami? - zapytał Gardes, próbując przybrać groźny ton. Nie do końca mu się udało, ponieważ głos zawiódł go przy ostatnim słowie.

- Jusuf - odezwał się Saladyn do szczupłego, wysokiego czterdziestolatka, który przed chwilą miał na sobie mundur komandora. - Powiedz panu kapitanowi, co zrobiłeś z dziećmi i kobietami.

Jean-Paul poczuł skurcz żołądka. Przeraził się, że za chwilę Jusuf opowie, w jak sposób torturował i zamordował jego ukochane dzieci i Danielle. Mężczyzna nazwany Jusufem powiedział jednak:

- Dzisiaj rano wysłałem policji śledczej przesyłkę zawierającą to samo nagranie, które podrzucił panu Saladyn, panie kapitanie. Dołączyłem też list z adresem i opisem położenia magazynu z zakładnikami. - Mężczyzna mówił łagodnym tenorem, z wyraźnym współczuciem. Oszukuje, pomyślał Gardes i spojrzał mu w oczy, mając nadzieję, że jego szósty zmysł tym razem go nie zawiedzie. A jednak Jusuf niewątpliwie mówił prawdę. - Zdezynfekowaliśmy i opatrzyliśmy im rany. Wymieniliśmy im kroplówki, zaopatrzyliśmy w wodę. Wkrótce do magazynu przybędą przedstawiciele władz. Nikt z zakładników nie został trwale okaleczony, jeśli nie liczyć amputacji palców, o których

wspominał panom Saladyn. Rany po amputacjach zostały należycie opatrzone. Wszyscy poza panią Teisseire przeżyją i wrócą do zdrowia. Jeśli zaś chodzi o panią Teisseire, cóż, musieliśmy to zrobić, abyście wiedzieli, że nie żartujemy.

- Starczy, Jusuf - zakończył łagodnym acz zdecydowanym tonem Saladyn. - Nie ma potrzeby ich przepraszać. - Ostatnie słowo wymówił z pogardą. - Powinno im wystarczyć, że oszczędziłeś ich żony i dzieci. Powiem panu prawdę, panie kapitanie - ciągnął Saladyn obco akcentowaną francuszczyzną - miałem zamiar pozbyć się zakładników. Możecie podziękować bojownikowi Tagrebowi za ocalenie życia waszych żon i dzieci. Upierał się, żeby tak zrobić. Jeśli chodzi o wasz los, obiecaliśmy, że was wypuścimy, jednak w tej chwili wstawiennictwo Jusufa już nic nie da. Obawiam się, panowie, że nadszedł dziś dla was sądny dzień. - Saladyn powiedział to tak obojętnym tonem, jak gdyby rozmawiał o pogodzie.

Reakcja Gardes'a zaskoczyła go. Jean-Paul popatrzył znowu na Tagreba, czując się nagle lekki jak piórko, chociaż właśnie usłyszał wyrok śmierci na siebie. Przynajmniej jego ukochane dzieci i Danielle będą żyć. Prawdę mówiąc, dopuściwszy się aktu tak straszliwej zdrady ojczyzny, wolał umrzeć tego dnia na swoim okręcie niż z rąk rodaków, po wyroku skazującego go sądu. Albo niż gnić przez resztę życia w wojskowym więzieniu, dźwigając straszliwe brzemie poczucia winy z powodu zdradzenia Republiki. To byłoby jeszcze gorsze. Poczul, że musi podziękować Tagrebowi. Skłonił głowę w jego stronę i powiedział:

- Dziękuję panu, panie Jusufie. Pozostali tu obecni oficerowie także panu dziękują.

Tagreb wyglądał na zawstydzonego, nic nie odpowiedział.

- Przejdźmy zatem do dalszych spraw - odezwał się znowu Saladyn, takim tonem, jakby przeprowadzał odprawę. - Właśnie powiedziałem panom, iż wasze nadzieje na dalsze życie okazały się płonne. Nie mogę wam pozwolić na pokierowanie rewoltą na pokładzie tego okrętu. Mojego okrętu. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął srebrną papierośnicę oraz zapalniczkę. Zapalił papierosa i wydmuchał pod sufit kłęb dymu. - Na wasze nieszczęście mam was w ręku, podobnie jak miałem waszych najbliższych. Ograniczmy się na razie do oficerów siedzących w tym pomieszczeniu. Udało nam się dostać na pokład okrętu, co oczywiście bardzo nas cieszy, jednak jak dotąd kontrolujemy zaledwie tę maleńką jego część. Ma to wprawdzie duże znaczenie, ale jesteśmy jeszcze dalecy od osiągnięcia celu naszej misji.

Gardes zastanawiał się, dlaczego Saladyn zwraca uwagę na to, że sytuacja terrorystów wcale nie jest taka pewna. Owszem, mieli pistolety maszynowe, jednak na zewnątrz mesy oficerskiej było stu pięciu marynarzy, z których każdy z pewnością stawi opór tym bandytom, nawet wiedząc, że zginie.

- Fajad - odezwał się znowu Saladyn. Potężny terrorysta, który rozbrajał Gardes'a, sięgnął do jednego z worków marynarskich i wyciągnął duży pistolet maszynowy oraz tłumik. Wprawną ręką nakręcił tłumik na lufę, a potem podał broń Saladynowi. Ten wziął ją i wycelował w sufit.

- Panie kapitanie, chcę od pana jeszcze jednej rzeczy. - To powiedziawszy, wycelował broń w Teisseire'a i nacisnął spust. Wystrzelona cicho kula trafiła pierwszego mechanika w czoło. Gardes z przerażeniem zobaczył, jak głowa Nosorożca rozpada się na kawałki. Ciężkie ciało opadło na pokład.

Jean-Paul zerwał się, ale lufa pistoletu była już w niego wycelowana. Poczul się, jakby zaglądał w lufę działa, które miało właśnie wystrzelić.

- Cz... czego pan chce? - zająknął się.

- Chcę usłyszeć, co pan woli, panie kapitanie - usłyszał. - Powiedziałem panu, że umrze pan dzisiaj. Może pan jedynie wybrać sposób, w jaki się to stanie. Czy chce pan umrzeć tak samo jak pierwszy mechanik, żeby pańscy ludzie oglądali pański mózg na ścianie, czy też wolicie wszyscy umrzeć razem, z pewną godnością? Mogę wam to zaofiarować. Dotyczy to także członków waszej załogi.

Gardes zerknął na De Lorme'a, przypominając sobie, jaką odwagę zademonstrował przed pięcioma laty, w cichej nadziei, że być może oficer uzbrojenia coś wymyśli. Ten patrzył jednak tylko przed siebie z przerażeniem.

- Zatem jak będzie, panie kapitanie? - spytał Saladyn. - Czy robi pan dla nas jeszcze jedną, ostatnią rzecz, umożliwiając nam przez to zesłanie na was wszystkich jednocześnie godnej śmierci, czy też zmusi mnie pan do zabicia wszystkich stu jedenastu marynarzy i oficerów po kolei, w taki sam sposób, w jaki zabiłem pana Teisseire'a?

- Czego pan żąda? - spytał zrozpaczony Gardes. Poczul, że łzy napływają mu do oczu. Otarł je.

- Niech pan odejdzie ze mną na bok, panie kapitanie, porozmawiajmy w cztery oczy jak dwaj dowódcy, dobrze? - Saladyn wstał i wyszedł drzwiami prowadzącymi do małego kambuza dla oficerów. Jean-Paul w końcu ruszył za nim, zdając sobie sprawę z tego, że patrzą na niego zarówno złowrodzy Czeczeni, jak i jego oficerowie.

Drzwi z drugiej strony kambuza zostały zamknięte na klucz, czuwał przy nich inny z roślých terrorystów. Okienko tych drzwi także zostało zasłonięte. Zasłony były po to, aby w mesie mogły odbywać się tajne odprawy, aby nikt z podoficerów i marynarzy nie zobaczył map, nie poznał żadnych innych ważnych danych. Saladyn zamknął drzwi do mesy. W kambuzie był teraz tylko on, Gardes i czeczeński wartownik.

- Słucham - odezwał się Jean-Paul, chcąc, żeby przywódca terrorystów powiedział już, o co mu chodzi.

- Nie jest mi obojętny wasz głęboki ból, panie kapitanie - oznajmił łagodnym tonem Saladyn. - Gdybym znajdował się w podobnej sytuacji, czułbym się tak samo. Jednak życie dało mi niejedną lekcję. Zaledwie przed paroma godzinami nauczyłem się, że bardzo istotny jest sposób, w jaki człowiek opuszcza ziemię. Nauczył mnie tego Jusuf, przekonując, wbrew moim pierwotnym zamiarom, abym pozwolił żyć waszym najbliższymi. Jusuf miał rację. Śmierć od strzału w czoło to hańba. Z tego, co wiemy, panie kapitanie, ból, choć krótkotrwały, jest wówczas straszliwy. Być może przez te ułamki sekundy człowiek czuje się, jakby cierpiał całe wieki, i jeszcze ma świadomość tego, jak żałośnie umiera.

Gardes wziął głęboki oddech, mając nadzieję, że terrorysta przejdzie wreszcie do rzeczy.

- Nie chodzi też tylko o to, jak pan umrze, panie kapitanie, ale i o to, czy zginie pan sam, czy ze swoimi ludźmi - ciągnął Saladyn. - Wiem, że przyglądanie się, jak umierają nasi podkomendni, jest bardzo przygnębiające. A jednak śmierć każdego członka pańskiej załogi jest nieunikniona. Być może zabicie wszystkich po kolei zajmie nam nawet trzy dni. Niewykluczone, że niektórzy zechcą stawić opór, niektórzy mogą zjednoczyć się przeciwko nam. Wiem, że być może nawet kilku moich ludzi zginie w walce. Ale i tak w końcu ją wygramy, ponieważ jesteśmy lepiej uzbrojeni, a poza tym walka jest naszym żywiołem. Prowadzimy dżihad, który przynosi nam chwałę, i każdy z nas modli się o śmierć wojownika. Dla nas oznacza ona prostą drogę do raj. Zaś pańscy marynarze będą umierać niegodnie, od strzału w głowę. Pozwolę sobie jednak zaoferować panu znacznie godniejszą możliwość odejścia z tego świata, panie kapitanie. To od pana zależy zmiana waszego losu. Jako człowiek, który dba o dowodzonych przez siebie ludzi, może pan podjąć decyzję, by cała wasza załoga umarła w tej samej chwili. Szybko, mniej

boleśnie, bez długiego oczekiwania na okropną egzekucję. Zabijemy was w łagodny sposób, tak jak weterynarz usypia czyjegoś ukochanego psa. Czy pomoże mi pan posłać pańską załogę do Allaha w spokoju, panie kapitanie?

Jean-Paul znowu poczuł łzy w oczach. Spuścił wzrok. Następna sekunda zdawała się trwać godzinę. Jego szósty zmysł podpowiadał mu, że Saladyn mówi poważnie. Pomyślał też, że jeśli marynarze stawią zbiorowy opór, jeśli choć jeden z nich przeżyje, być może odmieni to los „Le Vigilanta”. Z drugiej jednak strony, jak mógł ktoś ocaleć, skoro terroryści byli uzbrojeni w pistolety maszynowe i nie bali się śmierci? Obawiał się, że jego ludzie ukryją się po prostu w rozmaitych zakamarkach okrętu, które terrorystom trudno będzie od razu znaleźć. W zbiornikach wody pitnej, zęzach, cuchnących zbiornikach na ścieki. Wyobraził sobie dziecko ukrywające się przed hitlerowcami w śmierdzącym kanale. Czy chciał, aby jego ludzie pochowali się jak zwierzęta, a potem i tak zostali kolejno pozabijani?

- Czego pan żąda, Saladynie? - spytał, bliski końca wytrzymałości psychicznej.

- Jusuf Tagreb oraz mój zastępca Abdul, ubrani w mundury, aby wyglądać na francuskich oficerów, pójdą z panem do wentylatorni. Mam nadzieję, że będąc kapitanem tego okrętu, wie pan, gdzie znajduje się wentylatornia.

O Boże, system wentylacyjny! - pomyślał Gardes. Tak zamierzają nas pozabijać. Skinął jednak tylko głową, nie podnosząc wzroku.

- Jeszcze raz obiecuję, że wszystko odbędzie się szybko. Wiem, że już składałem panu obietnice, których nie dotrzymałem, musi pan jednak przyznać, panie kapitanie, że dotrzymałem tej najważniejszej. I to właśnie Tagreb tego dopilnował. Pójdzie teraz z panem. Nie będzie to dla pana zbyt bolesne. Może pan uznać Jusufa za swojego anioła. Trudno trafić na kogoś lepszego, bo Jusuf ma złote serce. Pojemniki, jakie przywieźliśmy ze sobą, są nastawione na dwuminutowe opóźnienie, co znaczy, że jeśli się pan pospieszy, być może zdąży pan nawet tu wrócić, zanim gaz zacznie działać.

- Istnieje awaryjny układ zapewniający powietrze do oddychania - powiedział Gardes. - Moi ludzie wyczują gaz i pozakładają maski.

Saladyn pokręcił głową.

- Ten gaz jest bezwonny i nie ma smaku. Wystarczy, że pańscy ludzie raz odetchną i już padną na pokład. Drugi oddech wystarczy, żeby ich ośrodkowe układy nerwowe przestały funkcjonować. Serca zatrzymają się po kilku sekundach. Ludzie nawet się nie zorientują, co się stało,

zupełnie jakby ktoś nagle zgasił światło. W jednej chwili będą wesoło pełnić wachty, a już w następnej spotkają się w niebie ze swoimi przodkami. I stamtąd będą doglądać swoich dzieci. To samo stanie się z panem.

- Chce pan ze mnie zrobić anioła śmierci, który zabije całą załogę - odpowiedział Gardes, pociągając nosem. - Chce pan, żebym podarował wam życie ich wszystkich.

- Chcę - przytaknął Saladyn. - Ale to pański wybór, pańska ostatnia decyzja jako dowódcy okrętu, panie kapitanie. Jeśli porównamy oba rodzaje śmierci - ten, w którym pańscy marynarze umrą natychmiast, nie zdając sobie nawet sprawy, że stało się coś strasznego, z tym, w którym będą umierać z całą świadomością, niegodnie, z lufą przyłożoną do skroni, pośród krwi i zwłok ich zabitych wcześniej towarzyszy - który z nich pozwoli im odejść z tego świata szczęśliwszymi? Gaz czy kula?

Komandor Gardes stał nieruchomo przez dziesięć sekund, potwornie długie dziesięć sekund, nie będąc w stanie odpowiedzieć. A potem oświadczył przez zaciśnięte gardło:

- Nie jestem w stanie tego zrobić. Nie zrobię tego.

Saladyn pokiwał w zamyśleniu głową, jakby wcale niezdziwiony.

- Oczywiście rozumiem, panie kapitanie. - Niespodziewanie uśmiechnął się. Gardes aż przeraził się jego z pozoru tak ciepłego uśmiechu.

- Cóż, warto było spróbować. Wrócimy chyba do pozostałych, prawda? - Wskazał drogę ręką, jakby grzecznie zapraszając do stołu. Jean-Paul ze zwieszoną głową wrócił do mesy.

Pozostali przy życiu oficerowie patrzyli na niego intensywnie, szukając na jego twarzy śladów nadziei. Pokręcił jednak głową, ledwie będąc w stanie spojrzeć im w oczy. Kiedy szedł na koniec stołu, usłyszał za plecami trzask wystrzału pistoletu z tłumikiem. Odwrócił się i zobaczył zakrwawione ciało Bertranda De Lorme osuwające się na podłogę. Saladyn trzymał dymiącą jeszcze broń. Siedzący naprzeciw De Lorme'a Molyneux wytrzeszczył oczy i krzyknął przerażony, unosząc pięść do ust. Saladyn wycelował mu powoli między oczy.

- Panie kapitanie - odezwał się - jak rozumiem, chce pan, abym nacisnął spust? To właśnie powiedział mi pan w kambuzie, prawda?

Gardes popatrzył na przywódcę terrorystów, widząc go jak przez mgłę. Otarł łzy, wściekły, że zdradziły jego emocje.

- Panie Saladyńie - odpowiedział - nie mogę zaprowadzić was do wentylatorni i umożliwić wytrucia mojej załogi. W ten sposób stałbym się waszym wspólnikiem. Niech pan robi ze mną i moimi marynarzami, co pan zechce, ale ludzie stawiają wam opór.

- Dobrze, panie kapitanie. - To powiedziawszy, Saladyń nacisnął spust. Głowa nawigatora pękła, a ciało osunęło się na ziemię.

- Pokażę wam, gdzie jest wentylatornia - odezwał się nagle Courcelle z przerażeniem w oczach. Spojrzał na Gardes'a. - Panie kapitanie, wentylatornia jest na wysokości wręgi CP-4. Zaprowadzę ich. - Zamrugał oczyma, patrząc znacząco na Jean-Paula.

Wręgi, stalowe obręcze tworzące szkielet okrętu, znajdują się w odpowiednich odstępach od dziobu aż do rufy i są kolejno ponumerowane. Wentylatornia była umieszczona jednak nie na wysokości wręgi CP-4, lecz wręgi 214.

CP-4 to coś zupełnie innego. Litery CP stanowiły skrót od *circuit principal*, „obwód główny”. Tak nazwano obwody komunikacji głosowej na okręcie. Obwód CP-1 był to ogólnookrętowy radiowęzeł. Głośniki systemu CP-2 odzywały się w pomieszczeniu manewrowym. CP-3 obejmował przedział raketowy i centrum kontroli rakiet. Zaś CP-4 był obwodem bezpieczeństwa. Przełącznik CP-4 łączył wszystkie zestawy słuchawkowe na „Le Vigilant”, których było setki, z głośnikami obwodu CP-1. Marynarze regularnie ćwiczyli używanie systemu CP-4. Często w głośnikach CP-1 odzywały się ciche słowa: „woda w maszynowni”, wypowiedziane przez kogoś do mikrofonu jednego z zestawów słuchawkowych i nadane na cały okręt dzięki CP-4.

Courcelle użył więc swoistego szyfru - zaproponował Gardes'owi, że użyje CP-4, aby powiadomić załogę o niebezpieczeństwie. Marynarze mogliby przygotowywać się do walki.

Pomysł był tak oczywisty, że Jean-Paul poczuł się, jakby obok niego rozbrzmiał nagle gong. Nie mógł sobie darować, że sam w porę nie wpadł na to, aby uruchomić CP-4; przez niego niepotrzebnie zginął Molyneux... Choć z drugiej strony jednym z zadań oficerów było właśnie podpowiadanie pomysłów kapitanowi okrętu; trudno samemu wpaść na wszystko. Poprowadzę terrorystów do wentylatorni, pomyślał, ale po drodze skoczę do któregoś z zestawów słuchawkowych i ostrzegę załogę, jeśli nawet mam zostać zabity. Może wystarczy to, aby nasi marynarze zdążyli przygotować się i pokonać terrorystów, ocalając okręt.

- Nie - powiedział głośno, spoglądając na Saladyńa. - Sam was zaprowadzę. Widzę, że nie mam wyboru, skoro mój pierwszy oficer zgadza się wam pomóc. Trudno. - Odgrywał swojarolę tak, aby terroryści byli przekonani, że jest wściekły na Courcelle'a. - Jestem gotów -

zakomunikował, wyobrażając sobie drogę do rufowego przedziału maszyn pomocniczych, przypominając, gdzie po drodze znajdują się zestawy słuchawkowe.

- Doskonale, przyjacielu - pochwalił Saladyn, skłaniając głowę. - Nie będziesz tego żałował. Jusuf, Abdul!

Dwaj terroryści włożyli z powrotem kurtki mundurowe i przeszli do ciasnego kambuza; Fakhri wziął ze sobą ciężki worek marynarski.

- Zdejmijcie czapki - poradził Gardes. - Nigdy nie nosi się czapek wewnątrz okrętu.

Tagreb i Fakhri rzucili czapki na podłogę.

- Chodźmy - mruknął Jean-Paul. Saladyn osobiście otworzył im drzwi.

- Tędy - rzucił Gardes, starając się nie stracić panowania nad sobą. Prowadził przebranych terrorystów korytarzem idącym wzdłuż kadłuba. Minęli właz do przedziału raketowego. Po drodze napotkali kilku członków załogi, każdy z nich witał kapitana, nie zadając żadnych pytań. Wszystkie zestawy słuchawkowe znajdowały się bliżej burt, z wyjątkiem jednego, przy wyrzutni numer osiem. Gardes wiedział, że jeśli tylko zatrzyma się, natychmiast go zastrzelą czy w inny sposób zneutralizują. Zagryzł więc wargi, zastanawiając się, czy wytrzyma napięcie, zanim dotrą do przedziału maszyn pomocniczych. Znajdowały się tam trzy zestawy słuchawkowe, przy każdym był przełącznik CP-4.

Znów minęli trzech marynarzy, wszyscy skłonili z szacunkiem głowę, nie odzywając się. Gardes próbował swoim wyglądem dać im do zrozumienia, że dzieje się coś złego, ale wszyscy patrzyli w bok, unikając kontaktu wzrokowego, i nikt nie zauważył jego miny. Jean-Paul i terroryści szli dalej szybko środkowym pokładem w stronę przedziału maszyn pomocniczych. Przystanęli przy wodoszczelnych drzwiach. Komandor przypomniał sobie, że w przedziale będzie pełniący wachtę członek załogi.

- Jest tam mechanik na wachtce - powiadomił Fakhriego. Ten skinął głową i sięgnął pod połę bluzy, wyciągając pistolet maszynowy. Szybko nakręcił tłumik i ponownie kiwnął głową.

Gardes otworzył drzwi. Potężny młodzieniec, pełniący akurat dyżur w pomieszczeniu, spojrzał na niego ze zdziwieniem. Rzadko się zdarzało, żeby kapitan okrętu odwiedzał maszynownię czy pomieszczenia maszyn pomocniczych; a jeśli tak było, zawsze towarzyszył mu pierwszy mechanik albo asystent do spraw kontroli uszkodzeń.

- Dzień dobry, panie kapitanie - odezwał się z szacunkiem marynarz. Zobaczył pistolet Fakhriego i popatrzył nań z niepokojem.

Zanim zrozumiał, o co chodzi, cicho pyknęły dwa strzały. Jedna kula przedziurawiła mu głowę ponad uchem, druga przebiła szyję. Padł, nie wydawszy żadnego odgłosu, krwawiąc obficie.

- Tam - mruknął Gardes, pokazując w stronę pomieszczenia wentylatorów, jednocześnie powoli sięgając drugą ręką po czarny zestaw słuchawkowy.

Przez metalową obudowę wentylatorów przepływało całe powietrze krążące po pomieszczeniach okrętu. Do niedawna wodoszczelny włącz do tunelu prowadzącego na mostek pozostawiano otwarty, gdy „Le Vigilant” płynął po powierzchni. Jednak podczas ostatniego patrolu przy wysokim stanie morza zdarzyło się, że fala chlusnęła prosto do sterówki pełnej delikatnych urządzeń elektronicznych. Gardes rozkazał więc zamykać dolny włącz tunelu niezależnie od tego, jak piękna pogoda jest na zewnątrz. Ludziom trudno odzwyczaić się od nawyków, ale jeśli zapamiętali rozkaz i zamknęli włącz, okręt był całkowicie szczelny. W takim wypadku gaz niewątpliwie zabije wszystkich. Za jakieś trzy minuty... Chyba że zdoła ostrzec załogę przez CP-4.

- Trzeba otworzyć klapę, przekręcając te dźwignie w prawo - powiedział.

Tagreb zajął się klapą, a Fakhri pilnował pomieszczenia. Jean-Paul włączył CP-4, jednocześnie podnosząc szybko drugą ręką słuchawki, i zawołał do mikrofonu, jak tylko mógł najgłośniej:

- Rakiety w niebezpieczeństwie! Mesa i maszyny pomocnicze! - Usłyszał w głośnikach ponad głową swój cichy, ale wyraźny głos. - Okręt opanowali...

Tagreb znieruchomiał i odwrócił się, otwierając usta z przerażenia. Fakhri zaś bez wahania wycelował w Gardes'a z MP-5 i z wściekłą miną nacisnął spust. Kule uderzyły Jean-Paula w pierś. Kolejne kule przebiły mu szyję, omal nie urywając głowy. Następne trafiły go w szczękę i w prawą skroń. Fakhri puścił wreszcie spust, kiedy ciało kapitana „Le Vigilanta” leciało już na ziemię.

Gardes skurczył się, szarpany bólem, podczas gdy ołowiane kule przeszywały mu ciało; jedna z nich otworzyła z boku jego czaszkę, inna przebiła aortę. Widział zbliżający się do jego oczu w zwolnionym tempie pokład. Jednocześnie ściemniało się szybko. Zanim uderzył w pokład, było już całkiem ciemno. Wszystko to trwało zaledwie moment.

Ciemność trwała może minutę, może godzinę, a może dzień. Później zastąpiła ją zielonkawa poświata. Najpierw niewyraźna, szybko zmieniła się w soczystą trawę, która rosła całymi kilometrami wokół Gardes'a. Zobaczył naprzeciw siebie Danielle. Wyglądała tak jak tego wieczoru, kiedy wrócił po ćwiczeniach na symulatorze. Była wysoka, szczupła, jej skóra połyskiwała, jak również wspaniałe, długie, proste blond włosy. Uśmiechała się, jej oczy błyszczały. Czy to jakiś znak przesłany przez tak odległą od niego Danielle? Czyżby dziękowała mu za ocalenie dzieci? Może był to komunikat zza grobu? Jej skąpa odzież zmieniła się stopniowo w długą ciemną szatę z mieniącego się materiału. Obok Danielle pojawił się mały Marc w swojej ulubionej czapeczce baseballowej New York Yankees. Podniósł wzrok na ojca. Zaraz potem zjawiła się Margaux, jasnowłosa, z niebieskimi oczkami; była wierną kopią swojej pięknej matki! Wreszcie pojawiła się Renee, która stała się dorosłą, dwudziestokilkuletnią kobietą, równie piękną jak Danielle. Na twarzy Renee malował się wyraz wdzięczności i przebaczenia.

Danielle i dzieci Jean-Paula znikli równie niespodziewanie, jak się pojawili, i teraz stał na trawie sam. Spojrzał pod nogi i wtedy ziemia stała się przezroczysta, tuż pod jej powierzchnią zobaczył pokład pomieszczenia maszyn pomocniczych, na którym leżało straszliwie zmasakrowane kulami ciało, całe we krwi, której reszta wyciekała z niego stopniowo. Trawa powoli rozstała się. Zostało tylko pomieszczenie maszyn pomocniczych i martwe ciało. Przyklęknął przy nim na jedno kolano i ze smutkiem pogłaskał delikatnie zmarłego po włosach. Zastanowił się, kto to leży, i nagle przyszło mu na myśl, że patrzy na własne ciało.

I nagle wszystko zrozumiał.

Przyłożył dłoń do zakrwawionej piersi ciała, tam gdzie było jego serce. Ciało stygło szybko i już sztywniało. Do widzenia, stary przyjacielu - powiedział w myślach.

Wstał, nie odrywając wzroku od ciała, a potem odwrócił się. Wówczas pomieszczenie okrętu, którym do tej pory dowodził, zniknęło, powróciła za to rzeczywistość, jaką oglądał dawno temu, zanim pojawił się na ziemi.

Podniósł wzrok i zobaczył czterech uśmiechniętych młodych mężczyzn podchodzących do niego bezgłośnie. Uśmiechnął się szeroko w odpowiedzi i odezwał się do nich bez słów:

- Vincent, Adrian, Aymeric, Bertrand, witajcie! Czy śmierć była dla was bolesna?

Pokręcili zgodnie głowami.

- Cieszę się...

Tagreb i Fakhri wyczerpując siły, otworzyli klapę, za którą pracowały wentylatory. Jusuf przytrzymał klapę, a Fakhri wyciągnął z marynarskiego worka osiem pojemników, każdy przypominający wymiarami gaśnicę. Pokrętłami nastawił wskaźniki na dwie minuty, przyciskami zablokował każde z pokręteł, a potem powrzucał pojemniki do wentylatorni. Tagreb zatrzasnął klapę i uszczelnił ją, przekręcając dźwignie.

- Szybko! - powiedział. - Maski!

Abdul sięgnął do worka i wyjął dwie ciężkie butle ze sprężonym powietrzem, długie na jakieś dwadzieścia centymetrów. Każda była za pośrednictwem zaworu i długiej czarnej rurki połączona z reduktorem przy czarnej, gumowej masce.

Tagreb nałożył maskę, naciągnął mocujące ją paski i otworzył zawór. Umocował butlę na plecach i odetchnął na próbę. Powietrze z butli było gorące, suche i miało metaliczny zapach, ale można było nim normalnie oddychać. Jusuf miał nadzieję, że maska okaże się szczelna.

- Kapitan zdążył ostrzec załogę! - odezwał się drżącym głosem. - Czy myślisz, że już tu idą?

- Za kilkanaście sekund pójda do piekła - odpowiedział Fakhri. - Nieważne, gdzie są teraz.

Chwilę potem wieczka pojemników z gazem podpadały z głośnym szcękaniem. Teraz okaże się, czy moja maska jest szczelna, pomyślał Tagreb. Jeśli nie, to zginę. Popatrzył na drzwi, za którymi gdzieś niedaleko znajdowali się członkowie załogi okrętu, którą komandor Gardes sprytnie zdążył ostrzec za pomocą zwykłego, niepozornego mikrofonu. Jusuf podszedł do drzwi i zamknął na zasuwę. Dziwne, pomyślał, to pomieszczenie maszyn ma drzwi z zasuwką, mimo że przegroda nie jest wodoszczelna. Na TK-17 i „Krasnojarsku” nie było żadnych zamków nawet przy drzwiach kajut oficerskich, a co dopiero w pomieszczeniach maszynowni.

Ledwie zamknął drzwi, ktoś uderzył w nie mocno czymś twardym. Podskoczył, przestraszony, czuł się całkiem bezbronny, nie mając przy sobie pistoletu. Fakhri uniósł broń. Jusuf podbiegł do worka marynarskiego i wyciągnął drugi MP-5, a potem zaczął gorączkowo grzebać w worku w poszukiwaniu magazynka. Abdul trzymał broń w pogotowiu, nie zostało mu już jednak zbyt wiele amunicji. Gdzie ten magazynek?! W końcu Jusuf go znalazł.

W ciągu następnego ułamka sekundy zdarzyło się mnóstwo rzeczy.

Tagreb włożył magazynek do swojego MP-5.

Do pomieszczenia wpadło, w przerażająco zwolnionym tempie, czterech mężczyzn.

Fakhri otworzył ogień, wystrzelując ostatnie cztery kule.

Jusuf uniósł broń i nacisnął spust.

Jeden z Francuzów uniósł wielkiego glocka kaliber 9 milimetrów i strzelił.

Pistolet maszynowy Tagreba nie zareagował na naciśnięcie spustu.

Drugi z Francuzów wycelował swojego glocka.

Na piersiach dwóch francuskich marynarzy wykwitły czerwone plamy.

Jusuf zdał sobie sprawę, że nie odbezpieczył broni.

Koło jego ucha śmignęła kula.

Gorączkowo sięgnął do dźwigienki bezpieczeństwa.

Fakhri wrzasnął dziko, zorientowawszy się, że nie ma już czym strzelać.

Czterej biegnący marynarze zbliżyli się do dwójki terrorystów; jeden wycelował z pistoletu prosto w oczy Tagreba.

To koniec! - pomyślał Jusuf. Okazuje się, że po tym wszystkim, co przeszedłem, muszę dzisiaj umrzeć.

Zorientował się, że Fakhri chwyta jego MP-5, odrzucając własną broń.

Nagle sytuacja zmieniła się gwałtownie.

Chwilę wcześniej Francuzi biegli ku Jusufowi i Abdulowi, pełni energii. Teraz znieruchomieli jak na stop-klatce, tyle adrenaliny napłynęło gwałtownie do mózgu Tagreba. Zaraz potem dwaj Francuzi z czerwonymi plamami na piersi unieśli ręce, zbliżając dłonie do ran. Pozostali dwaj zamarli, otwierając usta; ich oczy rozszerzyły się nagle. A potem wszyscy czterej zaczęli powolutku przewracać się na pokład.

Tagreb patrzył, jak Francuzi w zwolnionym tempie padają na ziemię. Fakhri zdążył tymczasem wreszcie odbezpieczyć odebrany mu MP-5. Nacisnął spust i kule trafiły jednego z francuskich marynarzy, który klęczał już na pokładzie. Ostatni z Francuzów, którego do tej pory nie

trafiła żadna kula, również runął na pokład. Fakhri przestał strzelać; wszyscy czterej Francuzi leżeli już na pokładzie. Ciałem tego, który nie został trafiony, wstrząsały konwulsje.

- Gaz! - zawołał z ulgą Tagreb. - Zabił ich gaz!

Czterej napastnicy leżeli nieruchomo.

Udało się! Okręt jest nasz! - pomyślał Jusuf. Z tym, że „Le Vigilant” wciąż nie był zanurzony, a sternik umarł właśnie przy kole sterowym. Być może okręt zaczął teraz pływać w kółko.

Fakhri odnalazł zapasowy magazynek, załadował go do swojego MP-5 i skinął na Jusufa, żeby ruszył z nim z powrotem w stronę dziobu. Tagreb zerknął na zwłoki kapitana Gardes'a. Szkoda, że go zabiliśmy! - pomyślał. Gardes wyglądał na miłego człowieka.

Ciało komandora Jean-Paula Gardes'a już od dawna było martwe. Leżało na boku, na pokładzie pomieszczenia maszyn pomocniczych. Krwawiło jeszcze tylko odrobinę, już stygnąc i sztywniejąc.

Wewnątrz ogromnego okrętu pozostało tylko piętnaście żywych istot - Issam Zuoabri, samozwańczy Saladyn, Jusuf Tagreb i trzynastu innych terrorystów.

16

Tagreb wbiegał po stromym trapie na górny pokład tak szybko, jak gdyby ścigała go jakaś krwiożercza bestia. Nie wiedział, czy zdoła uratować siebie i resztę bojowników na czas. Powietrza w butlach starczało na dwadzieścia minut. Kiedy oddychało się spokojnie, a nie biegało po schodach.

Jeśli nie zdąży, bojownicy umrą tak jak załoga „Le Vigilanta”. Dotarł do przegrody, w której od strony rufy były małe drzwi. Zamrugał oczami za przymglonymi okularami maski, a potem otworzył drzwi i wpadł do sterówki. Widok był koszmarny. Wszędzie trupy. Głowy w słuchawkach zwieszały się nad pulpitemi. Zdawało się, że człowiek przy peryskopie znieruchomiał w czuwaniu, wciąż stał oparty o peryskop, oplatając go spoczywającymi na uchwytach rękami. Wyglądało to, jakby został ukrzyżowany. Tagreb skierował wzrok w stronę pulpitu

sterowania okrętem, gdzie z foteli zwieszały się podtrzymywane pasami ciała sternika oraz sternika głębokości. Drugim w kolejności pilnym zadaniem Jusufa było nauczenie sterowania jednego z ludzi Zouabriego. „Le Vigilant” nie powinien kręcić się bez celu po powierzchni morza, bo jakiś samolot albo przepływający w pobliżu statek handlowy powiadomią odpowiednie służby, że dzieje się coś dziwnego z jednym z okrętów podwodnych.

Jusuf popatrzył na opisane po francusku pulpity, tłumacząc sobie w myśli napisy na rosyjski. Był jednak przyzwyczajony do sterówek rosyjskich okrętów. Stwierdził, że na pulpitych przed sternikami nie ma tego, czego szukał. Jednak przy stanowisku otoczonym z trzech stron pełnymi przyrządów pulpitymi, za stanowiskami sterników, znalazł podniszczoną książeczkę: *Standardowe procedury sterowania okrętem klasy Sól 6*. Dzięki Allahowi! Spojrzał na początek, potem na koniec, nie było spisu treści. Musiał więc przejrzeć po kolei całą instrukcję w poszukiwaniu właściwego rozdziału, na szczęście były one zaznaczone wystającymi fragmentami stron. Przerażony obecną sytuacją czytał po francusku wolniej niż zwykle.

„Zmiana zanurzenia przy użyciu zbiorników równoważących”, przeczytał. „Wstępne zanurzenie”. „Wynurzenie”. „Zanurzenie na głębokość testową”. „Wypuszczanie spalin”. „Przygotowanie wyposażenia przed zanurzeniem”. „Standardowe ładowanie akumulatorów”. Cholera! Nie mogę znaleźć! - myślał. Czytał szybko dalej. „Pożar”. „Zalanie”. „Kolizja”. „Awaryjne wentylowanie okrętu”. Jest! Zaczął szybko czytać. Należało podnieść główny maszt do zasysania powietrza. Nie było napisane, gdzie się go włącza, więc pewnie łatwo to znaleźć. Podniósł wzrok. Ograniczona z powodu maski i jej przymglonych okularów widoczność wzmagała jego panikę. Zbliżył oczy do pulpitu, aby lepiej widzieć. Jeśli nie zdołam przewentylować okrętu w ciągu... - spojrzał na zegarek, siedmiu minut, także i nas zabije gaz bojowy! Szybko! W końcu, na wysokości bioder podoficera, który obsługiwał stanowisko, znalazł napis ZASYSANIE POWIETRZA - GŁÓWNY. Znajdował się przy dźwigni, obok były inne dźwignie opisane jako: RADIO 1, RADIO 2, WSKAŹNIK KIERUNKU, RADAR. Zatem to te dźwignie muszą uruchamiać siłowniki hydrauliczne podnoszące maszty. Przesunął dźwignię zasysania powietrza. Natychmiast usłyszał odgłos hydrauliki, maszt się podnosił. Zielona poprzeczna kreska przy dźwigni ustąpiła miejsca czerwonemu kółku. Maszt był podniesiony.

Nagle Tagreb podskoczył. Z głośnika nad nim odezwał się donośnie energiczny głos:

- Sterówka, tu mostek! Dlaczego podnosi się maszt zasysania powietrza?!

Kapitan Emile Everard patrzył ze zdumieniem na znajdujący się za nim kiosk. Dlaczego nagle zaczął się podnosić główny maszt do zasysania powietrza? Bez jego pozwolenia! Przecież to on był oficerem dyżurnym! Zdenerwował się. Podniósł mikrofon obwodu numer 7, łączący go ze stanowiskiem sterowania okrętem, i zawołał ze złością:

- Sterówka, tu mostek! Dlaczego podnosi się maszt zasysania powietrza?!

Czekał na odpowiedź, a jego gniew narastał. Jeśli komandor Gardes usłyszy, że podczas jego wachty coś zaniedbano, nie wyniknie z tego nic dobrego. Zwłaszcza że na pokładzie znajdują się oficerowie z dowództwa. Odpowiedzi nie było. Spojrzał więc ze złością na siedzącego na oku marynarza, który jednocześnie pełnił funkcję telefonisty latającego mostka.

- Proszę przekazać moje pytanie przez telefon: dlaczego podniesiono maszt do zasysania powietrza - powiedział.

- Tak jest!

Czekając na wykonanie swego polecenia, miał ochotę złapać za mikrofon obwodu siódmego i wrzasnąć do niego znowu, ale się powstrzymał.

- Sterówka nie odpowiada, panie kapitanie. - Na twarzy młodego marynarza pojawił się niepokój. Everard pokręcił głową. Że też wybrali sobie akurat ten dzień na schrzanienie roboty!

- Mostek do sterówki, co się tam dzieje?!

Tagreb zmarszczył brwi. Na kiosku, na latającym mostku, pozostał jeszcze przy życiu oficer, a może nawet kilku marynarzy. Issama to nie ucieszy. A co będzie, jeśli za chwilę któryś zejdzie po drabince? Jusuf wyciągnął krótkofalówkę i powiedział:

- Issam, potrzebuję pomocy! Weźcie broń!

- Już idziemy! - rzucił szybko Zouabri.

- Mostek do sterówki, co się tam u was dzieje?! - rozległo się nad głową Jusufa.

Nie miał czasu do stracenia. Zaglądając do instrukcji, sprawdził, które automatyczne zawory należy otworzyć, aby okręt został przewentylowany. Okazało się, że to o wiele prostsze niż na okrętach, na których dotąd pływał.

- Ster, tu mostek, kontrola połączenia, potwierdź! - huknął Francuz. - Sterowanie napędem atomowym, tu mostek, kontrola połączenia.

Oficer francuski był coraz bardziej zaniepokojony.

- Mostek do sterówki, użycie telefonu obwodu A zasilanego głosem! Za ile sekund pośle na dół ludzi? - myślał zdenerwowany Jusuf.

Nagle do sterówki wpadli Zouabri i Fakhri.

- Co się dzieje? - spytał Issam zza maski.

- Ktoś jest nad nami, na kiosku! - odpowiedział Tagreb. - Woła przez głośniki, pyta co się tu dzieje. Za chwilę może zejść albo posłać tu kogoś!

- Rozumiem - odpowiedział krótko Zouabri. Fakhri wycelował broń w zamknięty właz w suficie sterówki.

- Panie kapitanie, cały czas nikt nie odpowiada... - odezwał się marynarz.

Everard znowu pokręcił głową, nic z tego nie rozumiejąc. Popatrzył na podporucznika Rolanda Beauvais'go, który pełnił wachtę zastępcy oficera dyżurnego, i powiedział:

- Pewnie to jakieś ćwiczenia. Proszę zejść na dół i zobaczyć, co się dzieje.

- Schodzę - potwierdził Beauvais. Oddał lornetkę marynarzowi na oku. Everard uniósł kratę ochronną, przykrywającą wylot szybu włazu, i Beauvais znikł w jego wnętrzu.

- Cholera! - zaklął pod nosem Emile. Niezapowiedziane ćwiczenia podczas jego dyżuru! Bez wątpienia ktoś pod pokładem patrzył na stoper, mierząc czas reakcji oficera dyżurnego. Kontrolerzy z dowództwa robili notatki na temat sprawności kapitana Everarda...

Czekał, stukając nerwowo palcami w reling. Minęła minuta i wciąż nic się nie działo.

- Jakieś dziwne ćwiczenia, prawda, panie kapitanie? - odezwał się marynarz.

Everard pokiwał głową.

- Tak. Zaraz się skończą, jak tylko podporucznik Everard zamelduje się przez telefon albo krzyknie z dołu. Słyszysz coś?

- Nic.

- Obraca się pokrętko włazu - ostrzegł Fakhri. - Właz się otwiera. Tagreb zamarł. Zobaczył marynarski but, potem drugi. Wreszcie dwie

nogi i całego człowieka, który zszedł po drabince. Odwrócił się i popatrzył na Fakhriego, a potem na leżące wokół ciała i ludzi w maskach przeciwgazowych.

- Kapitanie! - zdążył krzyknąć Beauvais. Zaraz potem długa seria z pistoletu maszynowego Fakhriego przeszła jego pierś. Ciało podporucznika runęło na pokład. Fakhri narobił straszego hałasu, pomyślał Tagreb, ale po otwarciu włazu gaz być może przedostanie się do latającego mostka i zabije stojących tam ludzi. Dzięki temu mogę mieć nieco więcej czasu na przewietrzenie okrętu. A do sterówki już teraz dostaje się świeże powietrze.

- Co to było? - spytał Everard.

- Nie wiem, panie kapitanie. Jakiś łoskot.

- Cholera! - Emile zastanawiał się, co robić. - Zejdź na dół, ale zatrzymaj się przy włazie i zawołaj do mnie. I tak żaden obwód łączności nie działa.

- Panie kapitanie, a może dlatego podnieśli maszt do zasysania powietrza, że na dole jest pożar albo trujący gaz?

Emile pomyślał chwilę.

- W sterówce, jakieś pół metra od włazu, jest półka z maskami przeciwgazowymi. Wstrzymaj oddech, zanim zejdziesz na dół, i natychmiast włóż maskę.

- Panie kapitanie, boję się zejść do środka, jeżeli w sterówce jest trujący gaz...

- Nie martw się, to pewnie tylko ćwiczenia. Przy ćwiczeniach z zatruciem załogi gazem nie powinno być łączności.

- Tak, panie kapitanie, ale nigdy nie słyszałem, żeby robiono takie ćwiczenia.

Everard miał ochotę sam zejść na dół i zbić na kwaśne jabłko oficera, który wpadł na pomysł przeprowadzenia tak przerażających ćwiczeń.

- To ćwiczenia - uspokoił marynarza. - Zejdź na dół, tylko nie zapomnij o masce, bo inaczej prowadzący ćwiczenia zaznaczą, że jesteś martwy, tak jak zrobili z porucznikiem Beauvais'm. Odezwij się do mnie natychmiast, jak zorientujesz się, co się dzieje.

- Tak jest. Ale niech pan kapitan weźmie słuchawki telefonu, może ktoś się odezwie.

Emile nałożył słuchawki i jeszcze raz uniósł kratę szybu włazu. Marynarz zszedł na dół. Everard został sam na latającym mostku. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak samotny.

Rozejrzał się po niewielkiej kabinie. Wszystkie urządzenia łączności, jakie się w niej znajdowały, służyły do porozumiewania się z wnętrzem okrętu. Jedyne krótkofalówka, którą miał przypiętą u pasa, nadawała sygnał radiowy, ale miała niewielki zasięg. Na morzu nie było widać żadnej jednostki pływającej, a to znaczyło, że nie zostałby przez nikogo usłyszany. Wszystkie mechanizmy sterowania znajdowały się na dole w sterówce i położonej daleko w stronę rufy maszynowni. Jeżeli załogę wytruł toksyczny gaz, okręt będzie płynął przed siebie, aż z czymś się zderzy. Emile się skrzywił. Chyba ma zbyt bujną wyobraźnię.

- Jeszcze jeden marynarz - ostrzegł Issam.
- Wpuśćmy go - zaproponował Tagreb. - Zobaczmy, czy padnie od gazu.
- Nie strzelaj, Abdul - rozkazał Zouabri.

Marynarz schodził po drabince, a Jusufowi przyszła do głowy myśl, żeby spytać go, gdzie znajduje się dźwignia zaworu do wypuszczania na zewnątrz powietrza z pokładu. Zouabri i Fakhri pozwolili Francuzowi zejść na pokład sterówki. Rozejrzał się z najwyższym przerażeniem, po czym wlepił wzrok w lufę pistoletu maszynowego Fakhriego, nie będąc w stanie wydusić z siebie żadnego dźwięku. Stał tak kilka długich sekund. Być może gaz już przestał działać? Albo duża jego część wyleciała przez szyb włazu?

Nagle marynarz wytrzeszczył oczy i runął na pokład. Natychmiast znieruchomiał.

Tagreb znalazł na pulpicie obrotową dźwignienkę z napisem SPRĘŻARKA WYPYCHANIA POWIETRZA Z KADŁUBA. Przetawił ją w położenie „start”, a potem „włączona”. Rozległ się wściekły terkot potężnego silnika sprężarki. Wentylacja się rozpoczęła, jednak Tagreb nie wiedział, ile czasu zajmie usunięcie gazu z wnętrza kadłuba. Czy w ich butlach pozostało jeszcze powietrza na choćby trzy minuty? Czy awaryjna wentylacja okaże się na tyle skuteczna, że będzie można bezpiecznie zmienić maski na te, które znajdowały się na okręcie? Czy też wszyscy oni zginą od tego niezwykle silnie trującego gazu?

Ryk sprężarki był słyszalny także na latającym mostku. Dochodził od strony masztu używanego do awaryjnej wentylacji. Everard pomyślał z ulgą, że na dole pozostał przy życiu ktoś, kto w tej chwili znajduje się przy pulpicie sterowania balastem. Ale co robić, skoro posłany do sterówki marynarz się nie odzywa?

Uznał, że to jednak ćwiczenia. Sięgnął po lornetkę i rozejrzał się po horyzoncie. Nigdzie nie było widać żadnych statków. Nic zatem się nie stanie, jeśli na chwilę opuści latający mostek. Zresztą dla bezpieczeństwa z pewnością podczas tych ćwiczeń ktoś czuwa przy peryskopie. Emile podniósł wzrok. Peryskop od dłuższego czasu się nie poruszył. Ale radar pracował. Przynajmniej patrząc na radar, zauważyliby, że coś płynie.

Minęła kolejna, nieznośnie długa minuta. Wentylacja działała, jednak nikt się nie odzywał ani w słuchawkach, ani w głośnikach. Everard podjął decyzję. Zejdę na dół. Co innego mogę zrobić, stać tu bezradnie jak głupek?

Podniósł kratę i zaczął schodzić szybem do sterówki.

- Trzeci - odezwał się cicho Fakhri, zerkając na właz. - Pozwólmy mu zejść - powiedział Tagreb. - Będzie naszym królikiem doświadczalnym!

- Roland? - odezwał się Francuz. Słysząc było, że to ten sam młody oficer, który przedtem wołał przez głośniki.

Tagreb, Issam i Fakhri milczeli.

Oficer zszedł. Był przystojnym jasnowłosym, niebieskookim młodzieńcem. Podobnie jak jego poprzednicy popatrzył na ciała wokół siebie i na uzbrojonych ludzi w maskach.

- Ręce do góry! - odezwał się w końcu Fakhri. Everard zawahał się chwilę, a potem uniósł ręce.

Dobrze, pomyślał Tagreb. Ciągle stoi. Wentylacja okazała się skuteczna.

- Jednak nie jesteście z dowództwa Oceanicznych Sił Strategicznych, prawda? - zapytał w końcu chłopak.

- Niestety, nie - odpowiedział Zouabri.

- To dlatego kapitan był taki smutny?

- Właśnie. Odsuń się od tej drabinki, przyjacielu - polecił Issam. Emile spojrzał w górę, przez właz, po czym ostrożnie przestąpił ponad ciałami, cały czas trzymając ręce nad głową.

- Podejdz tutaj - rozkazał Zouabri. Everard skrzywił się i ruszył ku prawej burcie.

- Przejdźmy tam. - Issam zaprowadził go do pomieszczenia nawigacyjnego. Młody oficer wciąż wyglądał na zdrowego. Zouabri poprowadził go jeszcze po kolei we wszystkie kąty sterówki. W końcu popatrzył na Tagreba i pochwalił go: - Dobrze się spisałeś, Jusuf. Ocaliłeś nas i okręt.

Właśnie w tym momencie Tagreb poczuł, że nie ma czym oddychać, butla się wyczerpała. Ściągnął maskę i ostrożnie odetchnął. Poczul zapach śmierci i jeszcze czegoś, być może resztek gazu. W każdym razie chwilowo żył. Uśmiechnął się do Issama.

- Abdul - odezwał się Zouabri. - Czy chcesz wziąć ostatniego zakładnika i wykorzystać go do zaspokojenia swoich żądz?

Fakhri zastanowił się, przyglądając się Francuzowi, w końcu jednak pokręcił głową.

- Nie jestem w nastroju. Nabawiłem się dość w magazynie.

- Jasne. - Issam pokiwał głową. - W takim razie poślij go do Allaha. Jeszcze nie przebrzmiało jego ostatnie słowo, a Zouabri już otworzył ogień, wypuszczając strumień kul, które prawie przecięły Everarda na pół.

- Przestań, człowieku! - zawołał Tagreb. - Tu wszędzie pełno delikatnej elektroniki! Chcesz, żebyśmy zatonęli, idioto?

W tym czasie ostatni członek załogi „Le Vigilant” już nie żył, jego krwawiące ciało leżało na pokładzie.

- Issam, nie możemy więcej używać broni! - ostrzegł Tagreb. - Najlepiej w ogóle ją odłożyć. Inaczej cała operacja może się nie udać, a my sami możemy zginąć. To, co robimy, jest dostatecznie niebezpieczne.

- Zgadzam się - skwitował Zouabri.

- Dobrze, teraz potrzebny mi człowiek, który usiądzie na tym stanowisku i przejmie ster.

- A czy nie ma tu automatycznego pilota? Tak jak na jachcie?

Dobre pytanie. Tagreb się rozejrzył. Owszem, był pulpit automatycznego pilota. I wyglądało na to, że obsługa jest bardzo prosta - było pokrętło, którym należało ustawić żądany kurs, oraz przyciski „włączony” i „wyłączony”. Spojrzał na kompas. Płynęli kursem 270, prosto na zachód. Ustawił więc pokrętło na „270” i wcisnął „włączony”. Zapaliło się zielone światelko. Okręt był teraz sterowany automatycznie. Na „Krasnojarsku” nie było takiego urządzenia.

- I co teraz? - spytał Zouabri.

- Musimy się zanurzyć. Żeby to zrobić, najpierw trzeba zmniejszyć prędkość okrętu. Pójdę na rufę. Potrzebuję jednego z ludzi. Poza tym trzeba będzie przenieść zabitych do magazynu torped.

- Dlaczego właśnie tam?

- Możemy wystrzelić ciała z wyrzutni torpedowych - wyjaśnił Tagreb. - Moglibyśmy zamknąć je także w chłodni, ale przypuszczam, że jest wypełniona zapasami żywności. Okręt został przygotowany do długiego rejsu.

Zouabri pokiwał głową.

Tagreb wyszedł ze sterówki, ocierając pot z czoła. Dopiero teraz wziął głęboki oddech. Niewiele brakowało, pomyślał. Naprawdę niewiele.

Zanurzenie okrętu i uruchomienie systemu kontroli atmosfery wewnętrznej przy pomocy niewyszkolonych terrorystów zajęło Tagrebowi kilka godzin i kosztowało go mnóstwo wysiłku i nerwów. Potem jeszcze musiał sprawdzić, czy systemy nawigacyjne pracują prawidłowo.

- Kiedy będziemy mogli odpalić rakiety? - zapytał Issam. Tagreb pokręcił bezradnie głową.

- Powiem ci, kiedy dobrze wyczytam się w instrukcje. Doskonale wiem, dlaczego jest to takie pilne, i obiecuję ci, bracie, że będę się śpieszył.

„Le Vigilant” płynął dalej, teraz cichy i niewidoczny pod wodą. Kierował się na południowy zachód, oddalając się od europejskiego wybrzeża i od tych, którzy mogliby go zaatakować. W zanurzeniu nic mu nie zagrażało, poza samą wodą. Terrorysty byli całkowicie bezpieczni, chociaż na razie w pewnym sensie bezbronni. Za dziesięć do dwudziestu dni ten okręt stanie się aniołem zemsty Allaha, pomyślał z zadowoleniem Issam. Paryż pochłonie ogień, a niewierni staną oko w oko z szatanem.

Część 3

Państwo morskie

17

W sobotę rano wiceadmirał Thibaut D'Aubigne zawsze pracował w swoim gabinecie. Bywał wówczas w wyśmienitym humorze, ciesząc się spokojem, nie było sztabowców, telefony milczały, mógł więc szybko i wydajnie wykonać pracę, która pozostała po minionych pięciu dniach tygodnia. Czasem wkładał mundur, szczególnie wtedy, kiedy wybierał się na kolację z odwiedzającymi jego sztab admirałami z dowództwa floty czy sztabu generalnego. Częściej jednak chodził po cywilnemu, w dzinsach albo nawet w szortach i koszulce polo, żeby wszyscy wiedzieli, iż tego dnia nie pracuje i nie można zwracać się do niego z żadnymi sprawami. Ludzie, którzy przychodzili do pracy do budynku dowództwa w soboty, a nie znali dobrze D'Aubigne'a, sądzili, że wpadł tylko na chwilę, ponieważ zapomniał czegoś w piątek.

D'Aubigne postawił neseser na masywnym, błyszczącym mahoniowym biurku, które kiedyś należało do jednego z admirałów z epoki napoleońskiej. Wyciągnął kilka teczek dokumentów, ułożył papiery na wysprzątanym biurku i włączył komputer. Podczas gdy logował się do sieci, Thibaut podszedł do barku i uruchomił ekspres do kawy. Po chwili szumiący ekspres napełnił pokój wspianiałym aromatem. Przywołał on

Thibautowi wspomnienia z lat jego młodości, kiedy służył na okrętach i pływał po oceanie. Wyciągnął z pojemnika cygaro przypominające kształtem torpedę, uciął jego końcówkę i zapalił ozdobną zapalniczką z wygrawerowanym napisem „LE VIGILANT”. Dowódca okrętu dał mu ją w prezencie po ceremonii wodowania. Spojrzawszy na zapalniczkę, D’Aubigne pomyślał o niedawnych ćwiczeniach NATO i o tym, w jak zręczny sposób dowodzony przez Jean-Paula Gardes’a okręt umknął wszystkim czyhającym na niego jednostkom z różnych krajów.

Thibaut nalał kawy do filiżanki i usiadł w wygodnym, skórzanym fotelu. Wypiwszy dwie filiżanki kawy i wypaliwszy pół cygara, zakończył pracę nad siedmioma dokumentami, co zaplanował wykonać tego ranka. Schował wszystkie papiery do teczek i odłożył je do pojemnika na dokumenty przychodzące swojego głównego asystenta. Komandor podporucznik Guillaume Swithin był asystentem D’Aubigne’a od dwóch lat, to znaczy od chwili, kiedy Thibaut został mianowany ALFOST, inaczej Force Oceanique Strategique Admirał Aux Commandes, czyli głównodowodzącym Oceanicznych Sił Strategicznych. Miał teraz duże kompetencje, autonomię, mógł usprawnić francuską flotę okrętów przenoszących broń jądrową. D’Aubigne cieszył się tym wszystkim, jak też i współpracą z tak zdolnymi ludźmi jak Swithin, dla którego zaplanował na przyszłość stanowisko pierwszego oficera „Le Vigilanta”. Pomoże to w dalszej karierze rudowłosemu komandorowi podporucznikowi, ponieważ jak dotąd Swithin służył tylko na okrętach myśliwskich. Są one idealnym miejscem, gdzie oficer może nauczyć się walczyć, jednak przyszłych admirałów wybiera się z grona oficerów, którzy okazali się najlepsi zarówno na okrętach myśliwskich, jak i na tych przenoszących rakiety z głowicami jądrowymi, których zadaniem jest krycie się i ciche odstraszenie potencjalnego nieprzyjaciela. Na przykład Jean-Paul Gardes dowiódł już, że jest znakomitym dowódcą obu rodzajów okrętów podwodnych.

D’Aubigne wyjął palmtopa i sprawdził, kto kiedy dyżuruje. Jeśli dobrze pamiętał, tej soboty Swithin miał dyżur w centrum dowodzenia Oceanicznych Sił Strategicznych. To świetnie. Doskonale. W razie jakichś wątpliwości związanych z bieżącymi sprawami zwróci się do nudzącego się Swithina. Na pewno się nudził, ponieważ stosunki międzynarodowe na świecie ostatnio nie były napięte, a w sobotę szczególnie niewiele się działo. Na tym jednak polegała praca w dowództwie Sił Strategicznych, ochrona Republiki Francuskiej bez oddawania choćby jednego strzału.

Admirał odpoczywał, rozmyślając. Pił kawę i żuł dawno już wygasłe cygaro. Spojrzał na zegarek i pomyślał, że tego dnia chyba wyjdzie z biura wcześniej. Może uda mu się zaprosić córkę i jej narzeczonego na kolację, którą zjedliby we czworo, razem z żoną Thibauta, Anastasią.

Przed ślubem trzeba było załatwić jeszcze mnóstwo spraw, a on zdecydowanie nie znał się na tym. Mógłby się trochę wykazać i tym samym poprawić swoją opinię w oczach Anastasii. Jego żona ostatnio bywała zamyślona, rozdrażniona, zestresowana zbliżającym się ślubem i weselem córki. Thibaut nie ignorował spraw domowych, lecz po prostu miał od pewnego czasu zbyt dużo pracy. Spojrzał na olejny portret Anastasii wiszący na przeciwległej ścianie. Jaka ona jest piękna! Im starsza, tym piękniejsza!

Nagle rozległ się ostry sygnał kodującego telefonu. Wiceadmirał aż podskoczył.

- Słucham, D'Aubigne - odezwał się głębokim basem.

- Panie admirale, tu oficer dyżurny - usłyszał głos komandora podporucznika Swithina. - Mamy nieprzewidzianą sytuację. Potrzebujemy pana admirała w centrum dowodzenia.

- Już idę - rzucił Thibaut, po czym natychmiast wypadł z gabinetu, zamykając go na klucz, i pobiegł do windy. Zjechał na piętro, gdzie znajdowało się centrum dowodzenia, i przeskanował identyfikator w elektronicznym zamku. Zdawało mu się, że winda niemiłosiernie się wlecze. Starał się zachować spokój, choć wiedział, że czeka go raczej zła wiadomość. W każdym razie wkrótce ją pozna. Minął wartownika i wszedł do centrum dowodzenia. Guillaume Swithin zerknął na niego znad komputera, a potem wstał i przywitał się.

- Chodzi o „Le Vigilanta” - powiedział Swithin. - Nie spotkał się z „Amethyste”.

Niedobrze, pomyślał D'Aubigne. Postępując według rutynowej procedury, okręt myśliwski „Amethyste” czekał na „Le Vigilanta” w zanurzeniu, krążąc powoli wokół precyzyjnie określonego współrzędnymi geograficznymi punktu na Atlantyku. Drugiego dnia od wypłynięcia z portu okręt przenoszący rakiety balistyczne zawsze spotykał się na oceanie z okrętem myśliwskim. Oficerowie francuskiego okrętu myśliwskiego wiedzieli, kiedy dokładnie okręt z rakietami ma pojawić się w wyznaczonym miejscu. Gdyby był śledzony przez okręt myśliwski jednego z państw nienależących do NATO, Francuzi z okrętu myśliwskiego wykryliby intruza. Zachowywano taki sposób postępowania jeszcze od czasów zimnej wojny, kiedy radzieckie okręty myśliwskie miały zwyczaj potajemnie śledzić francuskie okręty z bronią jądrową po opuszczeniu przez nie portu. W ten sposób położenie francuskich wyrzutni rakietowych przestawało być tajne. Okręt z bronią jądrową na pokładzie był zneutralizowany, jeśli cały czas czyhał na niego w głębinie okręt myśliwski przeciwnika. Wystarczyłoby, że okręt Strategicznych Sił Oceanicznych wynurzyłby się na głębokość, z jakiej odpala się rakiety, a już zostałby zatopiony nieprzyjacielskimi torpedami. W ten sposób

francuskie uderzenie, czy ściślej mówiąc raczej kontruderzenie jądrowe, zostałyby powstrzymane. Aby zapobiec takiemu rozwojowi wydarzeń, okręt z raketami był, jak to nazywano, „odwszawiany” przez jeden z francuskich okrętów myśliwskich. Ostrzegali on okręt przynoszący rakietę o intruzie, a kapitan takiego na przykład „Le Vigilanta” mógł podjąć działania mające na celu zgubienie nieprzyjaciela. Przeciwczono to choćby podczas niedawnej operacji

Thibaut nalał kawy do filiżanki i usiadł w wygodnym, skórzanym fotelu. Wypiwszy dwie filiżanki kawy i wypaliwszy pół cygara, zakończył pracę nad siedmioma dokumentami, co zaplanował wykonać tego ranka. Schował wszystkie papiery do teczek i odłożył je do pojemnika na dokumenty przychodzące swojego głównego asystenta. Komandor podporucznik Guillaume Swithin był asystentem D’Aubigne’a od dwóch lat, to znaczy od chwili, kiedy Thibaut został mianowany ALFOST, inaczej Force Oceanique Strategique Admiral Aux Commandes, czyli głównodowodzącym Oceanicznych Sił Strategicznych. Miał teraz duże kompetencje, autonomię, mógł usprawnić francuską flotę okrętów przynoszących broń jądrową. D’Aubigne cieszył się tym wszystkim, jak też i współpracą z tak zdolnymi ludźmi jak Swithin, dla którego zaplanował na przyszłość stanowisko pierwszego oficera „Le Vigilanta”. Pomoże to w dalszej karierze rudowłosemu komandorowi podporucznikowi, ponieważ jak dotąd Swithin służył tylko na okrętach myśliwskich. Są one idealnym miejscem, gdzie oficer może nauczyć się walczyć, jednak przyszłych admirałów wybiera się z grona oficerów, którzy okazali się najlepsi zarówno na okrętach myśliwskich, jak i na tych przynoszących rakietę z głowicami jądrowymi, których zadaniem jest krycie się i ciche odstraszenie potencjalnego nieprzyjaciela. Na przykład Jean-Paul Gardes dowiódł już, że jest znakomitym dowódcą obu rodzajów okrętów podwodnych.

D’Aubigne wyjął palmtopa i sprawdził, kto kiedy dyżuruje. Jeśli dobrze pamiętał, tej soboty Swithin miał dyżur w centrum dowodzenia Oceanicznych Sił Strategicznych. To świetnie. Doskonale. W razie jakichś wątpliwości związanych z bieżącymi sprawami zwróci się do nudzącego się Swithina. Na pewno się nudził, ponieważ stosunki międzynarodowe na świecie ostatnio nie były napięte, a w sobotę szczególnie niewiele się działo. Na tym jednak polegała praca w dowództwie Sił Strategicznych, ochrona Republiki Francuskiej bez oddawania choćby jednego strzału.

Admirał odpoczywał, rozmyślając. Pił kawę i żuł dawno już wygasłe cygaro. Spojrzał na zegarek i pomyślał, że tego dnia chyba wyjdzie z biura wcześniej. Może uda mu się zaprosić córkę i jej narzeczonego na kolację, którą zjedliby we czworo, razem z żoną Thibauta, Anastasią.

Przed ślubem trzeba było załatwić jeszcze mnóstwo spraw, a on zdecydowanie nie znał się na tym. Mógłby się trochę wykazać i tym samym poprawić swoją opinię w oczach Anastasii. Jego żona ostatnio bywała zamyślona, rozdrażniona, zestresowana zbliżającym się ślubem i weselem córki. Thibaut nie ignorował spraw domowych, lecz po prostu miał od pewnego czasu zbyt dużo pracy. Spojrzał na olejny portret Anastasii wiszący na przeciwległej ścianie. Jaka ona jest piękna! Im starsza, tym piękniejsza!

Nagle rozległ się ostry sygnał kodującego telefonu. Wiceadmirał aż podskoczył.

- Słucham, D'Aubigne - odezwał się głębokim basem.

- Panie admirał, tu oficer dyżurny - usłyszał głos komandora podporucznika Swithina. - Mamy nieprzewidzianą sytuację. Potrzebujemy pana admirała w centrum dowodzenia.

- Już idę - rzucił Thibaut, po czym natychmiast wypadł z gabinetu, zamykając go na klucz, i pobiegł do windy. Zjechał na piętro, gdzie znajdowało się centrum dowodzenia, i przeskanował identyfikator w elektronicznym zamku. Zdawało mu się, że winda niemiłosiernie się wlecze. Starał się zachować spokój, choć wiedział, że czeka go raczej zła wiadomość. W każdym razie wkrótce ją pozna. Minął wartownika i wszedł do centrum dowodzenia. Guillaume Swithin zerknął na niego znad komputera, a potem wstał i przywitał się.

- Chodzi o „Le Vigilanta” - powiedział Swithin. - Nie spotkał się z „Amethyste”.

Niedobrze, pomyślał D'Aubigne. Postępując według rutynowej procedury, okręt myśliwski „Amethyste” czekał na „Le Vigilanta” w zanurzeniu, krążąc powoli wokół precyzyjnie określonego współrzędnymi geograficznymi punktu na Atlantyku. Drugiego dnia od wypłynięcia z portu okręt przenoszący rakiety balistyczne zawsze spotykał się na oceanie z okrętem myśliwskim. Oficerowie francuskiego okrętu myśliwskiego wiedzieli, kiedy dokładnie okręt z raketami ma pojawić się w wyznaczonym miejscu. Gdyby był śledzony przez okręt myśliwski jednego z państw nienależących do NATO, Francuzi z okrętu myśliwskiego wykryliby intruza. Zachowywano taki sposób postępowania jeszcze od czasów zimnej wojny, kiedy radzieckie okręty myśliwskie miały zwyczaj potajemnie śledzić francuskie okręty z bronią jądrową po opuszczeniu przez nie portu. W ten sposób położenie francuskich wyrzutni raketowych przestawało być tajne. Okręt z bronią jądrową pokładzie był zneutralizowany, jeśli cały czas czyhał na niego w głębinie okręt myśliwski przeciwnika. Wystarczyłoby, że okręt Strategicznych Sił Oceanicznych wynurzyłby się na głębokość, z jakiej odpala się rakiety, a już zostałby zatopiony nieprzyjacielskimi torpedami. W ten sposób

francuskie uderzenie, czy ściślej mówiąc raczej kontruderzenie jądrowe, zostałyby powstrzymane. Aby zapobiec takiemu rozwojowi wydarzeń, okręt z raketami był, jak to nazywano, „odwszawiany” przez jeden z francuskich okrętów myśliwskich. Ostrzegał on okręt przenoszący rakiety o intruzie, a kapitan takiego na przykład „Le Vigilanta” mógł podjąć działania mające na celu zgubienie nieprzyjaciela. Przecwiczono to choćby podczas niedawnej operacji

„Nagły Zryw”, kiedy „Le Vigilant” znikł z ekranów sonarów „Teksasu” i „Hamptona”.

Ćwiczenia „Nagły Zryw” wykazały, że francuskie okręty myśliwskie mają poważne kłopoty z wykrywaniem okrętów klasy Triumphant. Dlatego właśnie przeprowadzono te ćwiczenia. Dowództwo NATO chciało się przekonać, do jakiego stopnia nowe triomphanty mogą być wykrywane i śledzone przez amerykańskie okręty myśliwskie klasy Virginia. Amerykańskie okręty myśliwskie okazały się znacznie skuteczniejsze niż francuskie, zarówno dzięki czulszym sonarom, jak i temu, że same wytwarzały mniej hałasu. Jednak nie zdołały zareagować na czas i powstrzymać „Le Vigilanta” przed odpaleniem rakiet. Francuskie okręty klasy Rubis, jak „Amethyste”, nie miały takich możliwości akustycznych jak amerykańskie Virginie czy ulepszone jednostki starej klasy 688. Mimo wszystko podczas „odwszawiania”, kiedy załoga okrętu „Amethyste” klasy Rubis z góry znała dokładne miejsce i czas pojawienia się triomphanta, była w stanie wykryć zarówno jego, jak też i ewentualnego intruza.

Skoro „Le Vigilant” nie pojawił się na czas w obszarze przeszukiwanym przez „Amethyste”, musiało stać się coś złego. Okręt przenoszący rakiety musiał doznać jakiejś awarii czy znaleźć się w niebezpieczeństwie. Najgorsze byłoby, gdyby się okazało, że uległ katastrofie. Mógł też doznać awarii napędu, która ograniczyła jego prędkość, czy też awarii systemów nawigacyjnych. Ponieważ jednak były one wielokrotnie zdublowane, bardzo wątpliwe, żeby mogło coś spowodować taki błąd w nawigacji.

- Jak bardzo spóźnia się „Le Vigilant”? - spytał D'Aubigne.

Swithin spojrzął na zajmujący całą ścianę ekran wyświetlający elektroniczne mapy. Na mapie migał zaznaczony na czerwono obszar działania „Amethyste”. Przechodziła przez niego gruba zielona linia - zaplanowana trajektoria rejsu „Le Vigilanta”. Pięćdziesiąt mil morskich za punktem spotkania zielona linia kończyła się kółkiem opisanym jako „punkt Delta”. W tym miejscu położenie okrętu przenoszącego rakiety stawało się z założenia nieznane nawet dowództwu. „Le Vigilant” miał rozkaz po minięciu punktu Delta pływać w głębinie oceanu zgodnie z

losowo wyznaczanymi przez komputer pokładowy kursami. Nawet kapitan ani załoga „Le Vigilanta” nie wiedzieli z góry, jaki następny kurs obiorą. Oprogramowanie wyznaczało tylko granice obszaru, w którym ewentualne cele znajdowały się w zasięgu rakiet okrętu. Poza tym okręt mógł znajdować się w zanurzeniu gdziekolwiek. Uznawano, że jeśli nawet dowództwo nie wie, gdzie jest podlegający mu okręt, to i ewentualni szpiedzy w dowództwie nie będą wiedzieli. Właśnie po to umieszcza się wyrzutnie rakiet z głowicami jądrowymi na okrętach podwodnych, aby ich położenie było nieznane nikomu poza załogą okrętu. I nawet owa załoga nie miała pojęcia, gdzie będzie za sześć godzin.

- Dwie godziny, panie admirale - odpowiedział Swithin.

D'Aubigne pokiwał głową. Sześć godzin z pewnością oznaczałoby poważną awarię. Dwie godziny dawało się jeszcze wytłumaczyć mniej istotną usterką. Na przykład mogło nastąpić zakłócenie pracy reaktora, co zmusiło okręt do powolnego posuwania się naprzód na głębokości peryskopowej, podczas gdy mechanicy atomowi rozwiązywali problem. Tego rodzaju awaria nie wymagała informowania dowództwa. Gdyby natomiast zdarzyła się jakaś poważna awaria, zagrażająca okrętowi albo jego strategicznej misji, załoga w miarę możliwości poinformowałaby dowództwo przez radio, łamiąc ogólnie obowiązującą zasadę zachowania ciszy radiowej.

- Kto został już powiadomiony? - zapytał.

- Centrum dowodzenia marynarki wojennej, no i pan, panie admirale.

- Dobrze - pochwalił Thibaut. Wciąż od niego zależało podjęcie decyzji o dalszych działaniach. Jeśli „Le Vigilant” nie da znać o sobie w ciągu następnych czterech godzin, zgodnie z procedurami należało zaalarmować znajdujące się w porcie okręty myśliwskie i wysłać je na morze w celu poszukiwania zaginionego okrętu. Jednocześnie dowództwo marynarki wysłało w tym samym celu okręty nawodne, samoloty oraz śmigłowce. Wszyscy będą prowadzić poszukiwania wzdłuż zaplanowanej trajektorii rejsu „Le Vigilanta”. D'Aubigne miał uruchomić operację poszukiwawczą od razu, aby nie tracić cennych godzin, jednak jeśli po godzinie okaże się, że „Le Vigilant” pojawił się tam, gdzie powinien być, zostanie uznany za panikarza. Taki incydent zdecydowanie nie pomógł admirałom w dalszej karierze.

Musiał więc polegać na własnym instynkcie. Co mogło się wydarzyć? Jeśli „Le Vigilant” zatonął w na tyle płytkiej wodzie, że można było przeprowadzić operację ratunkową, liczyła się każda minuta, każda minuta zaniechania działania oznaczała mniej tlenu, jaki jeszcze

pozostał uwięzionej na dnie załodze. Z drugiej jednak strony, jeśli wyśle teraz niepotrzebnie w morze całą marynarkę wojenną Francji, może zostać pozbawiony stanowiska.

Popatrzył na wyświetlaną na ścianie mapę. Przyjrzał się zielonej linii, przechodzącej przez zaznaczony na czerwono obszar przeszukiwany przez „Amethyste” i zagryzł wargi. Trzeba było uwzględnić jeszcze to, jakim człowiekiem był Jean-Paul Gardes. Czy mając dwu - lub trzygodzinne opóźnienie złamałby ciszę radiową i zameldował przez radio dowództwu o awarii, czy też, wciąż kryjąc okręt przed potencjalnymi wrogami, rozwiązałby problem samodzielnie?

Thibaut znał Jean-Paula Gardes’a od siedemnastu lat. Gardes wiedział, że czeka na niego „Amethyste”, i że jeśli spóźni się na spotkanie, kapitan okrętu myśliwskiego podniesie alarm. Wiedział też, że natychmiast zostanie o tym zawiadomiony D’Aubigne, że to on będzie musiał zdecydować, co robić. Gardes nie ma zwyczaju niczego ukrywać przed swoim dowódcą. Taki wniosek ułatwił D’Aubigne’owi podjęcie decyzji. Nie ulegało wątpliwości, że stało się coś bardzo złego.

- Proszę wysłać alarm Kod Jeden wszystkim siłom przeciwpodwodnym - rozkazał wiceadmirał - podwodnym, nawodnym i powietrznym. Niech admirał Devereux jak najszybciej zadzwoni do mnie przez kodujący telefon.

Swithin popatrzył na niego z niepokojem, po czym skinął głową i pobiegł wykonać rozkazy.

Wiceadmirał D’Aubigne czekał w napięciu kilka minut; wreszcie uświadomił sobie, że stoi w centrum dowodzenia ubrany w szorty i koszulkę polo. Postanowił wrócić na chwilę do gabinetu i się przebrać. Dzisiaj zostaje w pracy dłużej, niż zamierzał. Żołądek skurczył mu się z niepokoju. Thibaut nie był w stanie pozbyć się lęku. Zacisnął więc zęby, aby przynajmniej go nie zdradzać.

Jezus Maria, Jean-Paul, pomyślał, co się z tobą stało?

Wpadł do gabinetu i do szafy ściennej, gdzie zawsze trzymał mundur przygotowany na wypadek, gdyby praca przedłużyła się do następnego dnia. Zapinał właśnie koszulę, kiedy zobaczył, że na ekranie komputera miga pilna wiadomość. Nigdy nie był entuzjastą systemu informacji mailowej, jaki wprowadzono we flocie, ani w ogóle porozumiewania się za pomocą poczty elektronicznej. Nalegał przynajmniej, aby każdy, kto do niego pisze, zaznaczał, na ile ważna jest wiadomość. Bezwzględnie wymagał tego od podwładnych. Biada oficerowi, który jako pilną wysłałby wiadomość dotyczącą spraw administracyjnych. Ale także nie darowałby podkomendnemu, który nie zaznaczyłby jako pilnej

jakiejs kluczowej informacji, przez co czekałaby ona wraz z innymi w kolejce na przeczytanie. Potem D'Aubigne musiałby tłumaczyć się przez telefon admirałowi Devereux, dlaczego nie zareagował na tak ważną wiadomość. W każdym razie podwładni Thibauta już wiedzieli, jakie wiadomości zaznaczać jako pilne. Kazał też informatykowi ustawić oprogramowanie tak, aby pilne wiadomości pojawiały się na ekranie od razu po nadejściu, migając jaskrawymi kolorami. W takich wypadkach ekran komputera migał czerwienią, a na środku widniał duży napis PILNE.

W tej właśnie chwili system informował o nadejściu pilnej wiadomości.

Może to reakcja sztabu admirała Devereux na podniesienie przez niego alarmu Kod Jeden? Jednak oni posłużyliby się raczej kodującym telefonem. Mogła to być wiadomość od głównodowodzącego flotą okrętów myśliwskich, wiceadmirała Philipa Pierponta, lub od każdego z setki dowódców, których dotyczył ogłoszony przez D'Aubigne'a alarm.

Postanowił przeczytać wiadomość i zaraz wrócić do centrum dowodzenia. Nie siadając w fotelu, nachylił się nad klawiaturą i odczytał, od kogo nadeszła wiadomość, oraz jej temat. E-mail przyszedł przed pięcioma minutami, nadawcą był Jean-Paul Gardes. Jak to możliwe, ponieważ znajdował się pod wodą? Ale w prawdziwe przerażenie wprawił D'Aubigne temat wiadomości wypisany wielkimi literami:

ALARM, ALARM, ALARM, „LE VIGILANT” PORWANY - KMDR J.-P. GARDES

D'Aubigne opadł na fotel.

Otworzył wiadomość, przeczytał, a potem podniósł czerwoną słuchawkę telefonu kodującego i wcisnął przycisk łączący go natychmiast z oficerem dyżurnym w centrum dowodzenia.

- Słucham, panie admirale - odezwał się Swithin.

- Proszę powiadomić kancelarię prezydenta, centrum dowodzenia marynarki wojennej, admirała Devereux oraz admirała Pierponta, że „Le Vigilant” został porwany - powiedział D'Aubigne, starając się powstrzymać drżenie głosu.

18

Komandor Burke Dillinger podniósł słuchawkę, niechętnie zrzucając ładowarkę telefonu na podłogę.

- Słucham, Dillinger! - burknął ze złością, przekrzykując histerycznie płaczące niemowlę, które trzymał na rękach. Chłopczyk darł się od dwóch godzin, ponieważ bolał go brzusek.

Przed dwoma tygodniami Burke pochował Natalie. Na pogrzeb stawiała się cała eskadra, a właściwie wszyscy podwodniacy Wschodniego Wybrzeża. Przyjechało nawet kilku admirałów z Waszyngtonu. Przed podjęciem służby na „Tusconie” Natalie była asystentką wysoko postawionego oficera i miała szerokie znajomości w Pentagonie. Dillinger rozglądał się po zgromadzonym w kościele tłumie i dziwił się, jak niewielu z obecnych tu ludzi zna. Kobieta, którą tak bardzo kochał, zmarła, zanim zdążył ją dobrze poznać. Był z nią tylko przez miesiąc operacji w Arktyce, która skończyła się straszliwą katastrofą na Morzu Barentsa, a później wówczas, kiedy Natalie była w ciąży i już chorowała. Większości swoich znajomych nie zdążyła mu nigdy przedstawić. Nie poznał nawet jej siostry, pierwszy raz w życiu zobaczył ją w domu pogrzebowym, przy identyfikacji zwłok. Vera D’Assault nie była ani trochę podobna do Natalie. Była trzydziestoletnią kobietą.

Siostra Natalie przywiozła chyba z tysiąc fotografii jego zmarłej żony. Burke nigdy ich wcześniej nie widział. Natalie jako niemowlę, jako małe dziecko, potem w kostiumie sportowym, w którym biegała w czasach szkoły średniej. Natalie unosząca zwycięsko ręce ku niebu, obwieszona medalami. Nastoletnia Natalie w sukni i na wysokich obcasach, podczas uroczystości wręczania świadectw maturalnych. Kadetka Natalie podczas studiów, zdjęcie, na którym unosi szablę, prowadząc kompanię na paradę odbywającą się na placu apelowym. Potem Natalie służąca na okrętach nawodnych, piękna fotografia, na której w granatowej czapce opierała się o statyw kompasu na mostku niszczyciela. Wreszcie zdjęcia z lat jej służby w Pentagonie, na niektórych z majorem marines, z którym była zaręczona. Na tych fotografiach wprost promieniała szczęściem. Wyglądała tak, jak wówczas, kiedy pierwszy raz się kochali. Ostatnie zdjęcia zostały zrobione na krótko przed tym, zanim się poznali. Piękna, ciemnowłosa Natalie spoglądała na niego wesoło.

Przypomniał sobie, jak się poznali. Kiedy podoficer do spraw administracyjnych powiedział mu, że przyjechała, Burke się skrzywił. Niechętnie zaakceptował fakt, że pierwszym oficerem jego okrętu będzie teraz kobieta. Potem otworzyły się drzwi kapitańskiej kajuty Dillingera i jego oczom ukazała się najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widział. Pomyślał, że to jakiś żart. Chyba Peter Vornado przysłał mu striptizerkę z klubu przebraną w mundur oficerski. Natalie okazała się jednak znakomitym oficerem. Witając się z nią po raz pierwszy, Burke zająknął się, potem jednak zaraz zebrał się sobie. Narodziny ich wielkiej miłości wydawały mu się z obecnej perspektywy pięknym snem. Kiedy wspominał

Natalie, zdawało mu się, że znał ją od urodzenia, a może jeszcze dłużej. Odwrócił wreszcie wzrok od fotografii i popatrzył na matkę Natalie. Patrzyła na niego z pogardą, jako na człowieka, który ożenił się z jej córką, a potem pozwolił jej umrzeć, aby mógł odziedziczyć jej majątek. Nie powiedziała tego, ale miała to wypisane w oczach. Ani ona, ani siostra Natalie pod żadnym względem nie były podobne do jego żony. Ciekawe, jakim człowiekiem był ojciec Natalie.

Podczas mszy żałobnej Dillinger tulił maleńkiego Burke'a. Dziecko wydawało pełne zadowolenia odgłosy, a on kołysał je i czekał, aż Joe Kraft wygłosi mowę pogrzebową. Rachel Vornado radziła pozostawić dziecko z wynajętą przez nią nianią, argumentując to tym, że noworodek nie powinien być narażony na zarazki przyniesione przez pięciuset uczestników pogrzebu. Burke pomyślał jednak, że pogrzeb Natalie będzie ostatnią okazją do bezpośredniego kontaktu jego synka z matką, którą pozna później na podstawie zdjęć i opowieści ojca.

Kiedy msza żałobna się skończyła, Dillinger wyszedł z kościoła w ciemnych okularach, zasłaniających jego napuchnięte od łez oczy, a potem pojechał limuzyną cmentarz. Zobaczywszy trumnę, pomyślał, że chciałby spytać o coś Natalie. Wydawało się to szalone, ale tak właśnie czuł od chwili jej śmierci. Nosił w sobie myśl, którą chciał się z nią podzielić. Ze dwadzieścia razy dziennie myślał o tym i dopiero potem uświadamiał sobie, że przecież umarła. Próbując zasnąć, cały czas myślał o Natalie, myślał o niej, kiedy tylko się budził. Najgorsze w przebudzeniu było to, że w pierwszym przeblysku świadomości nie zdawał sobie sprawy, że Natalie nie żyje, a sekundę później przypominał sobie wszystko. Podczas pogrzebu, kiedy słońce jasno świeciło, na chwilę znowu zapomniał, że jego żona nie żyje.

Miał ochotę spytać Natalie, czy sądzi, że Rachel i Peter Vornado zdołają uratować swoje małżeństwo. Peter znajdował się akurat po jego prawej ręce, jakby chciał ponaglić Burke'a do zadania owego pytania. Rachel stała w tłumie daleko od nich, patrząc na Burke'a pełnymi łez oczami. Na Petera nie spojrziała ani razu. Dillinger zorientował się, że wciąż przygląda się Rachel, nieobecny myślami, przypominając sobie szczęśliwsze dni. Popatrzył na trumnę, a potem zbierających się przy niej ludzi. Przy trumnie stał wzruszony, z zamkniętymi oczami pułkownik marines w ozdobionym orderami galowym mundurze. W końcu przeżegnał się i odszedł nieco dalej, mierząc Dillingera takim spojrzeniem jak wcześniej matka i siostra Natalie.

Po pogrzebie Burke czuł się jak półprzytomny. Witiał bezbarwnym tonem ludzi przychodzących do jego domu na stypę, której organizacją zajęła się Rachel. Co by bez niej zrobił? Rachel dwoiła się i troiła. Tragedia, jaką przeżywał Burke, wyzwalała w niej niespożyte

zasoby energii. Rzadko odzywała się do Dillingera, ale gdziekolwiek spojrzał, wszędzie była obecna. Przez pierwszy tydzień Peter Vornado mieszkał u Burke'a. Jednocześnie szukał małego mieszkania, w którym mógłby się pomieścić z trójką dzieci. Żony, która go porzuciła, unikał. Tydzień po pogrzebie Natalie „Teksas” został nagle wysłany w morze. Daty powrotu nie określono. Rachel zaprosiła kolejno na rozmowę chyba ze czterdzieści niań i wreszcie wybrała niską, pulchną dwudziestodwulatkę. Rachel obiecała jej pomagać, kiedy komandor będzie na morzu. Joe Kraft wiedział jednak, że Burke musi przede wszystkim dojść do siebie. Posyłał na ćwiczenia i rutynowe patrole inne okręty eskadry, podczas gdy „Hampton” stał zacumowany przy końcu mola na ulubionym stanowisku Dillingera. Burke zaczął chodzić do pracy, kręcąc się bez celu jak lunatyk; podczas lunchu w gwarnej zwykle mesie oficerskiej panowała grobowa cisza. Prawie nie jadł i nie pił, jeśli nie liczyć szklaneczki szkockiej, która umożliwiała mu wieczorem zaśnięcie. Nie pokazywał się w pubie Dolphin, gdzie kiedyś tak dobrze się bawił. Schudł, mundur wisiał na nim, zapadły mu się policzki, wyglądał jak człowiek wyniszczony chorobą. Puste dni zlewały się w szare tygodnie. Nic się nie działo, jeśli nie liczyć domowych, rutynowych zajęć, które wykonywała głównie Hannah, niania, a nadzorowała Rachel. Burke zastanawiał się czasem, jaki jest dzień tygodnia, ponieważ wszystkie zdawały się takie same. Zdarzyło mu się przyjść na okręt w sobotę, a innym razem w niedzielę i rozglądał się wówczas ze zdziwieniem w poszukiwaniu nieobecnej załogi.

Jednak ta wrześnie sobota była pełna wydarzeń, Hannah miała grypę i sama potrzebowała opieki; jej matka zajmowała się nią w domu, zaś Rachel nie dawała znać o sobie. Małeńki Burke dostał wyjątkowo silnej kolki i całe popołudnie wrzeszczał. Dillinger miał już zamiar zawieźć go do szpitala, kiedy zadzwonił telefon. Odebrał tylko dlatego, że wydało mu się, iż to Natalie dzwoni.

- Halo?! - krzyknął do słuchawki. Nikt mu nie odpowiadał. - Cholera, nic nie słyszę! - zaklął.

Zmrużył oczy, aby odczytać z wyświetlacza, kto dzwoni, ale w pokoju było zbyt ciemno. Chciał już odłożyć słuchawkę, kiedy usłyszał głos:

- Burke, to ja. - Telefonowała Rachel. Miała miękki, melodyjny, niski głos. Zbyt niski jak na kobietę. Tłumaczyła się, że to dlatego, bo była przez całe lata zmuszona krzyczeć na dzieci. Jednak w dniu, kiedy poznali się z Peterem, mówiła takim samym, niemal męskim głosem. Burke znał tylko dwie kobiety o równie niezwykłych głosach, swoją dawną dziewczynę Daynę Baines, która była dziennikarką telewizyjnych wiadomości, oraz Natalie. Pokręcił głową, zastanawiając się, kiedy przestanie używać czasu teraźniejszego, myśląc o Natalie.

- Boże, gdzie się podziewałaś, mój aniele stróżu? - jęknął. - Odpadły ci skrzydła? - Zdawał sobie sprawę, że jednocześnie czuje się zirytowany i wdzięczny Rachel. Wkroczyła ze swoją pomocą w chwili, kiedy wrócił ze szpitala z malutkim synkiem. Czasem przychodziła z małym Erinem, częściej jednak zostawiała go u sąsiadki. Mówiła, że pomagając mu przy dziecku, może zapomnieć o rozwodzie z Peterem. Nie chciała, żeby Burke starał się ich pogodzić.

- Och, słyszę go przez telefon! - powiedziała, mając na myśli noworodka. - Jaki on jest słodki! Śliczny i podobny do matki.

- Dzięki, Rachel, ale mam już dość jego krzyków.

- Powiedz mu, że Rachel właśnie przyjechała.

- Dobrze - ucieszył się Dillinger i rozłączył się. Otworzył Rachel drzwi. Tego dnia miała na sobie ciemny kostium z krótką spódnicą, eleganckie buty, kremową bluzkę i srebrny łańcuszek z perełką. Burke zdał sobie sprawę, że od śmierci Natalie nie widział Rachel w niczym innym niż dzinsy i zwykłe bluzki. Jej kruczoczarne włosy, tak krótkie zeszłego lata, kiedy Peter był chory, urosły jej już do ramion. Połyskiwały w świetle lampy. Przez chwilę Burke przypomniał sobie włosy Natalie. Zawsze miała dłuższe włosy niż Rachel, czego tamta jej zazdrościła. Stwierdził teraz, że Rachel to naprawdę piękna kobieta.

- Wróciłaś do pracy? - spytał bez entuzjazmu. Jeśli Rachel wróciła do pracy w marketingu, gdzie zarabiała więcej niż jej mąż, dowódca okrętu podwodnego będzie musiał radzić sobie sam z noworodkiem.

- Daj mi to kochane maleństwo - powiedziała uspokajającym, ciepłym tonem. Dillinger podał jej synka, który poczuwszy dotyk Rachel, umilkł, tylko od czasu do czasu cichutko pojękując. Rachel kołysała go w ramionach tak samo jak przed chwilą Burke.

- Jak ty to robisz? - mruknął. Przecież w taki sam sposób bezskutecznie kołysał dziecko od godziny.

- On wie, kto zna się na rzeczy - odpowiedziała Rachel.

- Dlaczego włożyłaś kostium? Wróciłaś do pracy? - spytał ponownie Dillinger.

Podniosła wzrok. Jej zielonkawe oczy w świetle żyrandola wydawały się jeszcze jaśniejsze. Burke wyczuł jakiś nowy zapach. Tego dnia Rachel użyła jakichś szczególnie przyciągających Dillingera perfum. Na wszelki wypadek cofnął się dwa kroki.

- Nie, nie wróciłam - odpowiedziała z tajemniczym uśmiechem na ustach. Odłożyła torebkę i przeszła do kuchni.

- To dlaczego tak się ubrałaś?
- Nie podoba ci się?
- Ależ skąd! W gruncie rzeczy... - Burke zająknął się - świetnie wyglądasz.
- Czy to znaczy, że w dżinsach i swetrze jestem brzydka? - spytała z uśmiechem.
- Przecież wiesz, o co mi chodzi. - Dillinger zastanowił się, czy powinien zaproponować Rachel drinka. - Przynieść ci piwo? - spytał.
- Chyba będzie lepiej, jeśli dzisiaj napijemy się kawy - odparła, kręcąc głową.

- Jasne - rzucił, ruszając w stronę ekspresu. A potem znowu spytał ją o ten kostium.

- Tak cię to intryguje? - Znowu spojrzała na dziecko. - I tak miałam ci powiedzieć. Byłam w SCIF.

Burke zamarł. SCIF to skrót od *Special Compartmented Information Facility*, czyli „specjalna zamknięta placówka informacyjna”. Pomieszczenia, jakimi dysponuje na przykład CIA w swojej centrali albo dowództwo Atlantyckich Sił Podwodnych. Są odcięte od świata, także w sensie dźwiękowym, doskonale wytłumione, nawet powietrze w przewodach wentylacyjnych krąży tak, aby na zewnątrz nie wydostało się ani jedno słowo. Są regularnie kontrolowane w poszukiwaniu podsłuchów; nawet dochodzące do nich przewody elektryczne, a tym bardziej łączności, mają zabezpieczenia przed urządzeniami podsłuchowymi. SCIF-y zwykle buduje się pod ziemią, służą do omawiania rzeczy nieporównywalnie tajniejszych niż ściśle tajne.

- Składałam zeznania w CIA - oznajmiła Rachel, wstając w poszukiwaniu suchej pieluszki.

Starszy Burke zmarszczył brwi.

- Czy muszę cię ciągnąć za język? - spytał zirytowany.

- Nie. - Rachel spojrzała mu w oczy. - To komandor Kraft zawiózł mnie do CIA, ponieważ wiem o waszej misji arktycznej.

Dillinger patrzył w zdumieniu na Rachel, podczas gdy do jego świadomości docierało, co oznaczają jej słowa. Wiedziała o operacji na Morzu Barentsa, o tym, co stało się Peterowi, jemu i Natalie.

- O Jezu, Rachel! - jęknął. - Zadzwońska z tym do Joego Krafta? Wiesz, że to może zrujnować karierę Petera?

Rachel wzruszyła ramionami.

- To Peter zatelefonował do Krafta i powiadomił go, że być może nastąpił przeciek. Komandor wezwał mnie więc, żebym pojechała z nim do placówki CIA. Powiedziałam im prawdę. Peter czasami mówi we śnie, kiedy jest bardzo zmęczony. W ten sposób usłyszałam kilka rzeczy.

Dillinger napełnił ekspres wodą.

- Czy dlatego wystąpiłaś o separację?

- To nie separacja, B.K. - odpowiedziała Rachel, pochmurniejąc. - To rozwód.

- Rachel, cholera jasna, przecież nigdy nie zdradzałby ci tajemnic, gdyby nie mówił przez sen z powodu tej operacji.

- Nie w tym rzecz - skwitowała Rachel.

Woda się zagotowała. Dillinger patrzył na siedzącą naprzeciw niego przy kuchennym stole Rachel, która już zmieniła dziecku pieluchę.

- Powiedz mi, co wiesz - odezwał się.

- W CIA powiedziano mi, że żadna taka operacja nie miała miejsca. - Rachel roześmiała się melodyjnym śmiechem. - Przynajmniej raz mogę powiedzieć tobie, że to, co wiem, jest zbyt tajne, żebyśmy mogli o tym rozmawiać.

Burke skinął głową.

- Peter ma kłopoty? - zagadnął.

- Nie. W CIA byli zadowoleni, że chciał zapobiec przeciekowi. A ja absolutnie nie mam zamiaru z kimkolwiek rozmawiać o tym, co wiem.

Burke spuścił wzrok.

- Zatem fakt, że podczas tej operacji Peter był z inną kobietą, raz na zawsze zamknął mu drogę powrotu do ciebie? - spytał.

- Nie chodzi o tę dziewczynę, B.K. - odpowiedziała smutno Rachel. - Chodzi o to, że okłamał mnie w sprawie tego, co robił. Mówił, że będzie w stoczni w Ameryce Południowej, a tymczasem popłynął tym pieprzonym okrętem, którym dowodzi, na samobójczą misję.

- Musiał cię w tej sprawie oszukać, Rachel - powiedział Burke. - W CIA powiedzieli ci to samo: misja była zbyt tajna, żeby o niej mówić. Gdyby nie dotrzymał tajemnicy, mógłby za to trafić do więzienia.

- B.K., wiesz, że jestem głęboko wierzącą katoliczką - odpowiedziała cicho Rachel. - Każdego wieczoru, kiedy Peter był w morzu, pod wodą, odmawiałam specjalną modlitwę za niego i zapalałam świecę. Może to według ciebie głupie, ale mam wrażenie, że właśnie dzięki temu przeżył. A on mnie okłamał. - Wbiła wzrok w Dillingera. - Nie cierpię, jak ktoś mnie okłamuje. Mam nadzieję, że zapamiętasz to na przyszłość.

Burke zamrugał oczami. Co ma znaczyć to ostrzeżenie?

- A zatem rozwodźcie się z powodu kłamstwa Petera na temat tamtej operacji? - spytał.

Rachel pokręciła głową.

- Rozwód, podobnie jak małżeństwo, jest skutkiem wielu rzeczy. To była kropla, która przepelniła czarę. Ostatnie z tysiąca ukłuc, które mnie bolały. To, które mnie wreszcie przebudziło. Przestałam go kochać, B.K. Przestałam, ponieważ woli codziennie narażać się na śmiertelne niebezpieczeństwo, niż zająć trójką własnych dzieci. - Rachel zerknęła na malutkiego Burke'a. - Może i ty się zastanów, co robisz ze swoim życiem.

Dillinger spojrział na nią, marszcząc brwi. Ale Rachel wciąż zajęta była dzieckiem. W końcu odwróciła się do niego.

- Nie uda ci się wypić tej kawy - powiedziała. - Będę na górze. - Wstała, ostrożnie podnosząc dziecko.

- Dokąd idziesz? - zawołał, zdziwiony.

- Masz towarzystwo - odpowiedziała od schodów.

Burke wzdygnął się na dźwięk dzwonka. Otworzył drzwi i zobaczył wysokiego, postawnego, krótko ostrzyżonego niebieskookiego blondyna, komandora Josepha Krafta. Uśmiechnął się niepewnie, unosząc pytająco brwi.

- Niech pan wejdzie, szefie - powiedział. - Właśnie zaparzyłem kawę. Kraft nie uśmiechał się ani nie ruszał z miejsca. Za jego plecami widać

było czarne lincolna navigatora, którym jeździł prywatnie. Samochód stał z włączonym silnikiem i zapalonymi reflektorami. Obok zatrzymał się radiowóz stanowej policji drogowej z migającymi lampami na dachu.

- Spakował się pan, B.K.? - spytał Kraft.

- Co się dzieje, panie komandorze?

Rachel zbiegła po schodach z dzieckiem na ręku. W drugiej ręce dźwigała zielony worek marynarski Dillingera, mundur polowy na wieszaku i buty, które przywiązała sznurowadłami do uchwytu worka.

- Przepraszam pana - odezwała się Rachel do Krafta. - Dopiero przyjechałam.

- Ma pan trzydzieści sekund na powrót do swojej roli - oznajmił Kraft Dillingerowi przez zaciśnięte zęby.

- Nie powie mi pan o co chodzi, panie komandorze? - spytał ze zdziwieniem Burke, patrząc ze złością na Rachel. - A może ty mi powiesz?

- Dowie się pan w samochodzie - uspokoił go Kraft. - Jedźmy już.

Nie można było kłócić się z dowódcą. Dillinger wziął od Rachel mundur, odszedł, aby się w niego przebrać, a chwilę później był już z powrotem oficerem marynarki, dowódcą okrętu podwodnego. Kraft i Rachel rozmawiali ściszymi głosami. Dowódca eskadry pożegnał się z Rachel i szybkim krokiem ruszył do swojego samochodu. Burke wziął worek marynarski, spojrzał na Rachel i odezwał się przepraszającym tonem:

- Nie wiem, kiedy wrócę. Będziesz opiekować się moim dzieckiem?

- Nie martw się - odpowiedziała Rachel, zbliżając się na tyle, że znów zwrócił uwagę na zapach jej perfum. Spojrzała mu w oczy roziskrzonym wzrokiem. - Wracaj, kiedy będziesz mógł. I uważaj na siebie - dodała drżącym głosem - bardzo uważaj...

Co się u licha dzieje?! - zastanawiał się Dillinger. Nagle poczuł się tak samo jak w pamiętnym dniu ucieczki przed huraganem. Znów czeka go jakaś niebezpieczna misja. Inna kobieta mówi mu, żeby uważał, tak samo, jak mówiła Natalie.

- Już idę, panie komandorze! - zawołał do Krafta. - Czy wiesz, co się dzieje? - spytał Rachel.

Skinęła głową z bardzo poważną miną. Burke miał ochotę ją pocałować. Ale nie, nie może tak się zachować wobec Natalie.

- Wiem od Petera - odpowiedziała Rachel. - Między innymi to właśnie powiedział jakiś czas temu przez sen.

O czym ona mówi? - zastanawiał się Burke. Nagle przypomniał sobie, co powiedział mu Peter Vomado tamtego pamiętnego dnia, kiedy szli po molo, w deszczu. Czy coś się stało z francuskim okrętem nosicielem rakiet balistycznych? O Boże!

- Będę uważał - zapewnił Rachel, po czym nachylił się i delikatnie pocałował w policzek maleńkiego synka, który zdążył już zasnąć. Burke wyprostował się z powrotem i zobaczył, że Rachel znów spogląda mu w oczy. Nie wiedział, co powinien zrobić; uniósł ręce i oparł dłonie na jej ramionach. Poczul jedwabisty dotyk materiału jej kostiumu, a pod nim - napięte mięśnie ramion. Otworzyła lekko usta. Uścisnął ją więc mocno, żeby nie zdążyć zrobić czegoś niemądrego. Czuł ciepło jej ciała, jej zapach; poczuł przypływ pożądania, którego wcale nie chciał. Puścił więc Rachel równie nagle, jak ją przytulił i odsunął się od niej, aby już wyjść.

- Dziękuję ci, Rachel - powiedział pełnym wzruszenia głosem.

- Będę zapalała w twojej intencji świeczkę, Burke - odpowiedziała cicho. - Co wieczór.

Nigdy wcześniej nie mówiła do niego „Burke”, zawsze „B.K.”. Popatrzył na nią jeszcze chwilę, zaskoczony tym, co się działo. Nie wiedział, co powiedzieć, obawiał się, że użyje jakichś niewłaściwych słów. Skłonił więc głowę, nie odrywając spojrzenia od oczu Rachel, a potem odwrócił się i wyszedł. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, miał ochotę oprzeć na nich dłoń, tak samo jak zrobił w dniu, kiedy nadciągał huragan. Przemógł się jednak i poszedł do samochodu Krafta.

Komandor Kraft wycofał półciężarówkę z podjazdu na ulicę. Przełączył automatyczną skrzynię na jazdę naprzód i z piskiem opon ruszył za odjeżdżającym radiowozem. Dillinger nie odrywał wzroku od swojego domu, aż skręcili w główną ulicę. Radiowóz energicznie przyspieszył, widać było w ciemności błyskające na jego dachu lampy.

Burke zastanawiał się, jak spytać przełożonego o to, czego już się domyślił ze słów Rachel.

- Wypląniemy na długo, sir? - zapytał w końcu.

- Ja nie wypływam - uściślił Kraft. - To pan wypływa.

- Gdzie pański sztabowy samochód i kierowca?

- Muszę z panem porozmawiać po drodze - wyjaśnił dowódca eskadry, sięgając po pudełko z cygarami. - Zapali pan?

- Nie, dziękuję. Ale przytnę panu cygaro. - Burke wziął cygaro marki Cohiba, obciął jego końcówkę i oddał je Kraftowi. Ten zapalił, wypełniając kabinę samochodu aromatycznym dymem. - Nie mógłby pan komandor powiedzieć mi, o co chodzi, w sztabowym samochodzie? - pytał Dillinger.

- To zbyt tajne dla uszu kierowcy.

- A po co ten radiowóz?

- Nie domyśla się pan? Ściągamy całą załogę pańskiego okrętu.

- Domyśliłem się - przyznał Dillinger.

- B.K., mamy poważne kłopoty. Bardzo, bardzo poważne kłopoty. „Hampton” zostaje zmobilizowany na potrzeby operacji „Uderzający Orzeł”.

- Rozumiem...

Kraft spojrział na Dillingera z ukosa, ściskając cygaro w zębach.

- Banda terrorystów porwała francuski okręt podwodny „Le Vigilant” przenoszący rakiety balistyczne z głowicami atomowymi. Najnowszy okręt francuskiej floty podwodnej, ten sam, z którym walczyliście podczas ćwiczeń „Nagły Zryw”.

- Zatem te ćwiczenia były na serio? - spytał Burke. - To znaczy dowództwo przewidywało, że może nastąpić coś takiego?

- Nie do końca. - Kraft pokręcił głową. - Podejrzewano raczej, że może zostać porwany jeden z okrętów brytyjskich. Celem operacji „Nagły Zryw” było zademonstrowanie Brytyjczykom, że powinni zaostrzyć środki bezpieczeństwa. Francuzi tylko z nami współpracowali.

- Kto dokładnie porwał ten okręt?

- Algierskie ugrupowanie islamistyczne o nazwie GIA. Algierczycy od pokoleń mają na pieńku z Francuzami. Agenci terrorystów z GIA obserwowali brytyjskie bazy okrętów podwodnych, co wykrył nasz wywiad. Najwyraźniej w ostatniej chwili zdecydowali się jednak porwać okręt francuski. Może celowo chcieli odwrócić uwagę naszych służb. Albo Brytyjczycy aż tak bardzo zaostrzyli procedury bezpieczeństwa. W tej chwili nie ma to już znaczenia. Ważne jest to, że ugrupowanie terrorystyczne, które nienawidzi Francuzów, dysponuje w tej chwili tyloma głowicami termojądrowymi, że może zrównać z ziemią wszystkie największe miasta na półkuli północnej;

- O Jezu! - Dillinger przełknął ślinę. - Jakim sposobem zdołali opanować taki okręt?

- Tego CIA nam nie powiedziało.

- Dlaczego nie można było wezwać mnie zgodnie z normalną procedurą i wyjaśnić wszystkiego w rozkazie operacyjnym? - spytał Burke.

- Przyjechał pan komandor do mnie własną półciężarówką, bez szofera, w obstawie policji...

- Odpowiedź jest złożona - zaczął Kraft. - Żeby dopaść terrorystów, potrzebny jest okręt wyposażony w sonar FY08. Już zaalarmowaliśmy Petera i jego „Teksas” bierze udział w operacji. A także „Virginia” pod dowództwem McDonovana. Ale na „Virginii” zdarzył się właśnie wyciek wody chłodzącej w maszynie, który z każdą chwilą staje się coraz poważniejszy. Zdecydowaliśmy więc, żeby Mac skierował okręt do bazy Faslane w Szkocji, gdzie usuną mu awarię.

- Panie komandorze, porwanie tego francuskiego okrętu może mieć nieobliczalne konsekwencje. Chrzążmy promieniowanie, McDonovan musi szukać terrorystów.

- Niestety, B.K., awaria na jego okręcie jest zbyt poważna. Poziom promieniowania w maszynowni „Virginii” stał się niebezpieczny dla życia załogi. Mac musi wyłączyć reaktor, ostudzić go i wypuścić parę. Potem czeka go generalny remont wytwornicy pary.

- Szkoda - mruknął Dillinger.

- Pieprzona maszyna zawsze się psuje w najmniej odpowiednim momencie.

- Co z Peterem? - wypytywał Burke.

- Dowództwo martwi się o niego. Peter nie jest w najlepszym stanie psychicznym.

- Wie pan, że Rachel wystąpiła o rozwód, panie komandorze? - upewnił się Dillinger.

- Wiem - westchnął Kraft. - Fatalna sprawa, ale zdarza się. Parę lat temu mnie zdarzyło się to samo.

Burke spuścił wzrok, spoglądając na swoje buty.

- Ja też nie jestem w najlepszej formie psychicznej - przyznał.

- Wiem - odpowiedział grobowym głosem Kraft. - Już od czasu rejsu w wodach Arktyki jest pan w słabszej formie. Gdyby nie to, dopadłby pan „Le Vigilanta” przed odpaleniem przez niego rakiet.

Burke nie był tego pewien. Francuski okręt i jego dowódca spisali się doskonale.

- Wciąż nie powiedział mi pan komandor, dlaczego w tak dziwny sposób się nas wysyła.

- Jeszcze do tego nie doszedłem. Proszę zrozumieć, Francuzi nie podejrzewają, że wiemy, co się stało. To z natury niezależny naród. Próbuje rozwiązać problem samodzielnie, własnymi środkami. Wcale nie wezwali na pomoc NATO.

- Nie możemy zadzwonić do nich i porozmawiać o tym?

- Nie. Wiemy o sprawie dzięki źródłom i metodom wywiadowczym, jakich oficjalnie nie powinniśmy stosować wobec naszych sojuszników. A stosujemy je właśnie ze względu na to, że zdarzają się takie gówniane sytuacje, jak ta.

Dillinger wciąż się zastanawiał, dlaczego dowódca eskadry wezwał go w tak dziwny sposób. Zdecydował się spytać go o to po raz trzeci.

- Dowództwo Sił Atlantyckich próbuje złożyć wszystko na barki Petera - odpowiedział z westchnieniem Kraft - ale martwię się o niego. Wie pan, jaki dobry jest kapitan francuskiego okrętu; mieliśmy wątpliwą przyjemność dostać od niego niezłego kopa w dupę podczas operacji „Nagły Zryw”.

- A nie sądzi pan, że terroryści wymordowali załogę okrętu, skoro go opanowali?

- CIA mówi, że nie - odparł Kraft, kręcąc głową. - Ale nie chcą powiedzieć, na podstawie czego tak sądzą.

- To znaczy, że terroryści mają czym szantażować kapitana.

- Pewnie tak. CIA jest zdania, że Algierczycy oszukali załogę „Le Vigilanta”, przekonali ją, że są Czeczenami i chcą zagrozić Rosji. Kiedy Algierczycy będą już mogli odpalić rakiety, wymordują załogę. Wycelują we Francję... Jeśli jednak zabiją Francuzów na pokładzie okrętu, będzie go można bez skrupułów zatopić.

- Wtedy będzie już za późno... - ocenił Burke.

- Dla Francji - odpowiedział Kraft, patrząc na niego znacząco. - Nie dla nas. Islamscy terroryści z Algierii nienawidzą przede wszystkim Francji. Ale i Stanów Zjednoczonych, dlatego musi pan popłynąć i ich zatopić.

- Domyślam się.

- Operacja została zaplanowana tak: wysyłam „Hamptona” zgodnie z zaleceniem admirała Wortha z Dowództwa Atlantyckich Sił Podwodnych. Rozkazy naczelnego dowódcy Floty Atlantyckiej jeszcze nie nadeszły. Jednak w Atlantyckich Siłach Podwodnych chcą, żeby znalazł się pan we wschodniej części środkowego Atlantyku i płynął dalej na wschód. Ma pan cztery dni na dotarcie tam. Do tego czasu Francuzi zorientują się, że kiepsko im idzie i wezwą nas na pomoc. Wtedy pan i Vornado będziecie już na miejscu. Macie sonary FY08, ciche okręty i magazyny pełne torped, więc na dane przez nas hasło zatopicie tych skurwysynów.

Dillinger pokiwał głową. Komandor Kraft pojechał po niego prywatnym samochodem, ponieważ rozkazy były nieoficjalne. Burke zastanawiał się, czy admirał Worth rzeczywiście poradził Kraftowi wysłanie „Hamptona”, czy też było odwrotnie. Zresztą nie miało to znaczenia. Cóż znaczą ambicje poszczególnych dowódców wobec tak niebezpiecznej sytuacji międzynarodowej?

- Martwi mnie jedna rzecz - przyznał nagle Kraft.

- Jaka, panie komandorze?

- Martwię się, jak pan się spisze, B.K. Naprawdę jest pan w kiepskiej formie. Jeżeli będzie pan tak postępował jak na Morzu Barentsa, to nie ma obawy, ale jeżeli tak jak w sierpniu, załatwią pana. Zginie pan i cała pańska załoga.

- Całkiem możliwe - przyznał Dillinger, kiwając głową.

- Zgodnie z rozkazem operacyjnym ma pan popłynąć kursem zero pięć zero z maksymalną prędkością -oznajmił Kraft. - Nie mam prawa rozkazać panu płynąć z alarmową prędkością maksymalną, ale może pan tak zrobić, kiedy tylko wyjdzie pan z portu. Proszę nie zwalniać i nie wynurzać się na głębokość peryskopową aż do czasu osiągnięcia punktu X. Wówczas zostanie pan wezwany do wynurzenia się na głębokość peryskopową za pomocą radia ELF. Otrzymacie dalsze dokładne rozkazy.

- Tak jest, sir... Czy nie można czegoś zrobić, jeśli Algierczycy odpalą raketę? - spytał Burke. - Wydaliśmy miliardy dolarów na tarczę antyrakietową. Nie będą w stanie zestrzelić rakiety?

- Spytałem o to samo CIA - odpowiedział Kraft, marszcząc brwi. - Dyrektor operacyjny Agencji rozważa tę sprawę, od czasu katastrofy na Morzu Barentsa stale chodzi z podkrążonymi oczami i postarzał się o dziesięć lat.

- A co zrobimy, jeśli Francuzi nie poproszą nas o pomoc?

- Poproszą. W tej chwili wysyłają już w morze całą marynarkę wojenną. Widać to wyraźnie, nie musimy ich specjalnie szpiegować. Więc zapytamy ich, co się dzieje.

- A oni odpowiedzą, że to ćwiczenia.

Kraft zgasił cygaro i popatrzył Dillingerowi w oczy.

- W tej chwili ewakuują Paryż.

- Cholera! - zaklął przerażony Burke.

- Sytuacja jest poważna. Zapytamy ich, o co chodzi z tą ewakuacją. CIA szacuje, że w ciągu czterech dni Francuzi dojdą do wniosku, że rozsądniej poprosić nas o pomoc, zwłaszcza jeśli okaże się, że całkiem przypadkowo akurat pan i Peter będziecie na miejscu.

- Nie wyda się to Francuzom podejrzane?

- Może i się wyda, ale wtedy nie będą już przywiązywać do tego wagi. Poza tym, gdyby okazali się uparci, nasz prezydent wyda wam rozkaz zatopienia „Le Vigilanta”.

- Jeżeli według danych wywiadu terroryści opanowali okręt i trzymają w szachu załogę, dlaczego nie strzelają już teraz?

- CIA jest zdania, że francuska załoga wytrzyma tydzień, a potem pęknie. Chyba oszacowali to na podstawie doświadczeń na naszych ludziach. Po tygodniu przetrzymywania przez terrorystów nawet najbardziej lojalna załoga okrętu podwodnego może nie wytrzymać tortur. Tym bardziej, jeśli okażą się wyjątkowo okrutne. Oczywiście nic nie jest pewne, bo przecież marynarze zdają sobie sprawę, że stawką w tej grze jest życie stu milionów ludzi. A więc być może nie poddadzą się nawet przy najstraszliwszych torturach.

- Jeśli jednak Algierczycy wymordowali załogę i mają na pokładzie jakiegoś własnego fachowca, który prowadzi statek?

- To nieprawdopodobne - ocenił Kraft. - Słyszał pan o algierskich okrętach podwodnych o napędzie atomowym?

- Mogli przekupić jakiegoś rozgoryczonego oficera, który wystąpił z marynarki brytyjskiej, rosyjskiej albo chińskiej.

- B.K., czy potrafiłby pan wejść na pokład obcego okrętu podwodnego i pokierować nim już pierwszego dnia? Szczególnie zaś okrętu nosiciela rakiet; zawsze przecież pływał pan na okrętach myśliwskich. Dałby pan radę odpalić rakietę z głowicami atomowymi?.

- Zajęłoby mi to trochę czasu - przyznał Burke. - Ale potrafiłbym to zrobić. Na okręcie są instrukcje. Doszedłbym do tego.

- W czasie krótszym niż cztery dni?

- Nie. - Dillinger pokręcił głową. - To niemożliwe.

- Właśnie. Dlatego założyliśmy, że francuska załoga wciąż żyje i jest przetrzymywana w charakterze zakładników, bo to gorszy scenariusz. Jeżeli w rzeczywistości okręt prowadzi jakiś były chiński oficer, to łatwo skopiecie mu tyłek. Walka nie będzie trudna. Sen z powiek spędza natomiast dowództwu scenariusz z zakładnikami.

- Rozumiem.

Półcieżarówka dojechała do bramy bazy marynarki w Norfolk. Policjant wyłączył ostrzegawcze światła radiowozu i zawrócił, machając przez szybę ręką na pożegnanie. Kraft i Dillinger pokazali wartownikowi dokumenty. Wysyłając w morze „Hamptona”, dowódca 8. Eskadry ryzykował ze względu na obniżoną sprawność Dillingera. Peter Vornado także był w nie najlepszej kondycji psychofizycznej.

- Panie komandorze, nie zawiodę pana - obiecał Burke. - To dla mnie zaszczyt, że ma pan do mnie tak wielkie zaufanie.

Kraft kiwnął głową bez słowa. Dojechali do wartowni przy wejściu na molo. - Niech pan płynie z Bogiem, B.K. - powiedział dowódca. Dillinger uściśnął mu dłoń, wziął swój worek marynarski i rzucił na odchodnym:

- Jeszcze raz dziękuję, sir.

- Powodzenia i dobrego polowania!

Kraft popatrzył za odchodzącym Dillingerem. Miał okropne przeczucie, że widzi go po raz ostami. Spróbował otrząsnąć się z tego wrażenia; ruszył dalej, postanawiając wejść na pokład okrętu pomocniczego eskadry i spędzić godzinę w swoim gabinecie.

19

Jusuf Tagreb po raz piąty napełnił filiżankę kawą i usiadł przy stole w mesie oficerskiej. Nie spał od tak dawna, że nawet nie był pewien, jaki jest dzień. Spojrzał na chronometr na ścianie, ale nie wiedział, czy pokazuje on godzinę poranną czy wieczorną. „TK-17” i „Krasnojarsk” miały dwudziestoczworgodzinne zegary, więc tam nie miał podobnych wątpliwości. Nastawiał je zawsze na czas Greenwich, wiedząc, że tak robią na Zachodzie. Chciał być bowiem zsynchronizowany z załogą nieprzyjacielskiego okrętu, z którym mogłoby mu przyjść walczyć. Dawniej, kiedy chronometr rosyjskiego okrętu pokazywał czas moskiewski, jego załoga wykazywała najmniejszą sprawność podczas moskiewskiej nocy. Zdaniem Tagreba nie było to bezpieczne. A dziś był jedynym wyszkolonym człowiekiem na całym okręcie i w ogóle bał się zasnąć, przynajmniej dopóki nie opanuje sytuacji.

Po raz pierwszy uświadomił sobie, że misja, w jakiej bierze udział, jest samobójcza. Jakim sposobem mieliby zdołać odpalić wszystkie rakiety, nie zostając wykryci i zatopieni? Wydawało się to nierealistyczne, choć na ich korzyść przemawiał element zaskoczenia oraz fakt, że położenie okrętu było nieznane nieprzyjacielowi. Na razie. Kiedy w niebo polecą pierwsze rakiety, „Le Vigilant” zdradzi tym samym, gdzie jest. Może uda się przekonać Zouabriego do odpalania rakiet salwami, po cztery. Jednak była to sprawa przyszłości.

Na razie, po opanowaniu sterowania okrętem i jego urządzeniami, najważniejszym problemem była nawigacja. Wiele godzin zabrało Tagrebowi odnalezienie niezbędnych instrukcji i podręczników, widział jednak, że wciąż brakuje części materiału. Inercyjny system nawigacyjny pracował, dzięki czemu Jusuf wiedział, gdzie znajduje się okręt. System ten będzie jednak wkrótce potrzebował świeżych danych satelitarnych, a nie jest wykluczone, że Francuzi zdołają przeprogramować satelity w celu uniemożliwienia im oddania celnego strzału. Tagreb postanowił nie wspominać o tym Zouabriemu. W końcu co za różnica, jeśli głowica zamiast uderzyć w wieżę Eiffla, spadnie pół, trzy albo nawet i siedemnaście kilometrów od niej? I tak Paryż spłonie. Tagreb odłożył na jakiś czas podręczniki i przeszedł do kolejnego pilnego zadania - szkolenia załogi.

Przeszkolenie ludzi Zouabriego w obsłudze stanowiska sterowania okrętem zajęło Jusufowi trzy razy więcej czasu, niż powinno. A i tak miał wątpliwości, czy są w stanie prawidłowo wykonywać polecenia. Nie wyłączał automatycznego pilota, ale nawet automatycznego pilota trzeba kontrolować. Gdyby zdarzył się jakiś błąd komputera, okręt mógłby zejść tak głęboko, że zmiażdżyłaby go woda; Tagreb mógł nie zdążyć zareagować na czas. Niestety, bojownicy zasypiali, siedząc beczynn timer przy pulpitych. Widział, że nigdy nie zdoła z nich zrobić prawdziwych marynarzy okrętu podwodnego.

Przespał się dwie godziny. Kiedy Asad Javadi go budził, Jusuf miał wrażenie, że tak okropnie nie czuł się od wielu lat. Musiał jednak wstać z pryczy pierwszego oficera i wziąć się do dalszej pracy. Powlókł się do mesy oficerskiej, gdzie przygotował instrukcje obsługi urządzeń sonaru. Po nauczeniu się obsługi francuskich sonarów zamierzał przejść do stanowisk kierowania ogniem i sprawdzić, jak strzela się torpedami. Następnie postanowił pełnić wachtę przy sonarze, aby mieć pewność, że nikt nie strzela do „Le Vigilanta”. Zamierzał zabrać do pomieszczenia sonaru instrukcje odpalania rakiet balistycznych i tam uczyć się obsługi wyrzutni. Musiał w jakiś sposób nauczyć Zouabriego obsługi systemu odpalania, który wymagał jednoczesnego działania dwóch osób. Jeśli to się nie uda, wymyśli się jakąś sztuczkę techniczną, która pozwoli oszukać system. Musiał także przestudiować instrukcje dotyczące samych rakiet, aby dowiedzieć się, jak działają i jak się nimi celuje.

Przyspieszona nauka, gdy był tak niemiłosiernie zmęczony, wyczerpywała go jeszcze bardziej. Zorientował się, że czyta kilka razy tę samą stronę, próbując zrozumieć, co jest na niej napisane. Potrzebował jednak więcej snu. Wstał więc, aby wrócić do kabiny pierwszego oficera i

położyć się, kiedy nagle do mesy wszedł wyspany, całkiem zrelaksowany Zouabri. Tagreb rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, które mówiło: lepiej nie pytaj, bracie, za ile czasu będę w stanie odpalić rakiety.

Jusuf dotarł do koi i z powrotem przykrył się kołdrą. Czy w ogóle zdoła odpalić rakiety? Czy jeden człowiek, choćby nie wiadomo jak zdolny, naprawdę jest w stanie wystrzelić rakiety balistyczne na Francję z ogromnego, skomplikowanego okrętu, którego nigdy wcześniej nie widział? Rakiety i ich wyrzutnie tak bardzo różniły się od uzbrojenia okrętu klasy Akula, jaki poznał za młodych lat. Zachodnie i radzieckie systemy uzbrojenia powstawały całkiem niezależnie od siebie. Na „Le Vigilancie” Tagreb czuł się jak na innej planecie. Zamknął oczy i spróbował się uspokoić.

Był tak wyczerpany, że nawet nie wiedział, kiedy zasnął. Obudził się piętnaście godzin później.

Dillinger miał wrażenie, że odkąd zamknęły się za nim drzwi półciężarówki komandora Krafta, minęło zaledwie parę minut. Betonowy pirs zdawał się płynąć w jego kierunku, a potem on sam jak gdyby szybował nad nim, aż znalazł się przy czarnym kadłubie „Hamptona”. Ledwie dotarli do Dillingera słowa oficera dyżurnego. Nie zapamiętał, kto to był. Stanął na szczycie kiosku, przypięty pasami do relingu latającego mostka; za nim, na rufie, łopotała w ciemności bandera. Fala dziobowa pieniała się już po bokach kadłuba. Prawoburtowe światło pozycyjne „Hamptona” oświetlało pianę na czerwono, a lewoburtowe na zielono. Po obu stronach przesuwwały się światła boi, okręt płynął kanałem Thimble Shoal. Potem ujrzeli nad sobą most Bay Bridge. Oficer dyżurny skierował okręt tak, aby nie spotykać innych jednostek. Wreszcie dziób zaczął rozcinać fale, wskazując prosto na zachód. Burke wypływał w morze po raz pierwszy od śmierci Natalie. Czegoś mu brakowało w tak dawniej wspaniałym akcie wypływania w rejs, przestał on być mistycznym, duchowym przeżyciem, jakim był jeszcze w dniu, kiedy „Hampton” uciekał przed huraganem. Teraz misja była tylko kolejnym zadaniem do wykonania, nie bardziej poruszającym niż wynoszenie śmieci czy zmienianie dziecku pieluszek. Wypełnieniem rozkazu: „proszę wypłynąć i zatopić francuski okręt”. Kiedy Burke myślał o maleńkim synku, Peterze czy Natalie, zapomniał o upływającym czasie. Przypomniał sobie twarz Rachel, która spojrzała mu w oczy i powiedziała: „Będę zapalała w twojej intencji świeczkę”. Co miała na myśli? Dillinger ocknął się, kiedy Lionel Tonelle zawołał do niego:

- Panie kapitanie! Jesteśmy gotowi do zabezpieczenia latającego mostka przed zanurzeniem okrętu.

Czyja naprawdę przestałem bez ruchu pięć godzin na latającym mostku jak idiota? - zdziwił się komandor. Jeszcze nigdy w życiu mu się to nie zdarzyło. Zawsze schodził pod pokład i monitorował działania załogi podczas tak ryzykownej części rejsu, jaką było płynięcie po powierzchni morza. Skinął głową, odpiął uprząż od relingu i zszedł po drabince do wnętrza „Hamptona”. Znalazł się w swojej kajucie, gdzie całkiem bezwiednie zmył z siebie sól pod prysznicem i ubrał się w używany na okręcie kombinezon. Poszedł do sterówki i mrugając oczami, aby się skoncentrować, wydał dyżurnemu pozwolenie zanurzenia okrętu. A później usiadł przy stole w mesie w otoczeniu oficerów „Hamptona”, pijąc kawę i spoglądając na mapę Atlantyku wyświetlaną na rufowej przegrodzie mesy. Matt Mercury-Pryce, nawigator, gestykulował laserowym wskaźnikiem. Dillinger czuł się tak, jakby tę mapę widział już w snach.

Wyświetlaną teraz mapę nazwano OPERACJA UDERZAJĄCY ORZEŁ/FLOTA CINCLANT PLAN OP 2201. Teatrem przewidywanej bitwy był obszar Atlantyku na północ od równika. Celem, francuski okręt przenoszący rakiety balistyczne, „Le Vigilant”. Jeśli plan się powiedzie, „Le Vigilant” nie zdąży przepłynąć na południe od równika. Z Norfolk w stanie Wirginia, z bazy najgroźniejszych sił amerykańskiej marynarki, prowadziły na wschód trzy strzały. Rozdzielały się na obszarze szelfu kontynentalnego: jedna szła dalej na północny wschód, druga prosto na wschód, wreszcie dolna, na południowy wschód. Północna oznaczała Grupę Bojową 2.0 podległą Dowódcy Floty Atlantyckiej, zgromadzoną wokół lotniskowca USS „Nimitz”. Drugą była Grupa Bojowa 10.0 tej samej Floty Atlantyckiej, którą stanowiły okręty zgrupowane wokół lotniskowca USS „Reagan”. Południową zaś Grupę Bojową 1.0, czyli lotniskowiec USS „Eisenhower” i otaczające go okręty. Z prawej strony mapy narysowano dwa współosiowe niepełne okręgi, których środek znajdował się we francuskiej bazie w Breście, skąd wypłynął „Le Vigilant”. Większy z łuków ograniczał obszar, w jakim mógł znaleźć się „Le Vigilant”, jeśli płynął ze średnią prędkością dwudziestu węzłów. Była to prędkość możliwa, ale niepraktyczna ze względów taktycznych, okręt wytwarzałby duży hałas. Mniejszy okrąg zakreślał obszar, w jakim znajdzie się „Le Vigilant”, jeśli jego średnia prędkość nie przekroczy dziesięciu węzłów, i zdecydowanie tam należało się go spodziewać. Mercury-Pryce pokazał następny obraz, tę samą mapę, ale przedstawiającą sytuację po upływie pewnego czasu. Górna i dolna strzałka zakręcały łukiem na wschód, trajektorie grup bojowych przypominały z wyglądu widelec. Okręgi wokół Brestu stały się większe. Pojawiły się także dwa łuki z przerywanych kresek, czerwony i niebieski, oznaczające możliwe pole rażenia rakiet atomowych „Le Vigilanta”, zależnie od obszaru, w jakim będzie się znajdował. Zasięg jego rakiet wynosił 3240 mil morskich. Kolejna wersja mapy pokazywała podział płynącej południowym

kursem Grupy Bojowej 1.0 na dwie mniejsze: 1.1 zgrupowaną wokół „Eisenhowera” oraz 1.2, której dowódca znajdował się na okręcie „Carl Vinson”. Grupa 1.2 kierowana daleko na południe od równika miała pozostać w odwodzie. W skład każdej z grup bojowych wchodziły po dwa myśliwskie okręty podwodne, których zadaniem była ochrona owych grup przed ewentualnymi okrętami podwodnymi nieprzyjaciela. Przodem, w poszukiwaniu „Le Vigilanta”, posłano „Teksas”, dowodzony przez Petera Vornado, oraz „Hamptona” Dillingera.

Na środku Atlantyku zaznaczona była idąca z północy na południe gruba linia, która oznaczała system nasłuchu dźwiękowego SOSUS. Był to szereg umieszczonych jeden za drugim hydrofonów, pomyślany niegdyś jako pułapka ostrzegająca przed okrętami radzieckimi, które ośmieliłyby się przekroczyć ową linię w kierunku zachodnim. Z upływem lat wymieniano hydrofony na nowocześniejsze, choć uważano, że i tak nie są dość czułe, aby wykryć cichy okręt w rodzaju „Le Vigilant”. Jednak nawet bardzo cichy okręt wydawał niekiedy krótkotrwałe odgłosy, kiedy zatraskiwano włazy, upuszczano klucze, otwierano pokrywy wyrzutni rakietowych. Komputery systemu SOSUS zwracały uwagę także i na takie dźwięki. Do pamięci komputerów wprowadzono wzorce tysiąca różnych chwilowych odgłosów charakterystycznych dla okrętów podwodnych. System nie był wystarczająco czuły, ale mógł wykryć niewprawnie kierowanego „Le Vigilanta”. Na północnym wschodzie inna linia pokazywała sonary SOSUS, idące od Grenlandii, poprzez Islandię aż do Wielkiej Brytanii. Ułożono je, aby wykrywać radzieckie okręty wpływające na północny Atlantyk od strony Arktyki. Teraz mogły wykryć „Le Vigilanta”, jeśli terroryści zamierzali ukryć się pod arktyczną czapą lodową. Była i trzecia linia hydrofonów, przechodziła dwieście mil morskich na wschód od Stanów Zjednoczonych, stanowiąc niejako ostatnią linię obrony przed zbliżającymi się do USA nieprzyjacielskimi okrętami. Ona jednak z pewnością nie mogła przydać się podczas operacji „Uderzający Orzeł”.

Dillinger ziewnął, podczas gdy na ekranie zaczęła migać trajektoria „Hamptona”. Przewidziano, że okręt znajdzie się na obszarze, gdzie mógł skryć się „Le Vigilant”, jeśli będzie płynął dwadzieścia mil na godzinę. Trajektoria „Hamptona” przebiegała na wysokości Afryki Północnej. Następnie zamigał obszar, który miał patrolować „Teksas”. Peterowi Vornado przydzielono kurs z północnego zachodu na południowy wschód, pomiędzy wewnętrznym a zewnętrznym okręgiem. Patrząc na mapę, Burke znowu przypomniał sobie o Peterze i rozpadzie jego małżeństwa z Rachel; przed oczami jego wyobraźni stanął obraz ich ślubu, który brali w jasny, słoneczny dzień. Oczy Rachel śmiały się, kiedy patrzyła na Petera. Potem Burke przypomniał sobie jej spojrzenie na sali operacyjnej, kiedy umarła Natalie, a jej nieruchome ciało było

jeszcze podłączone do kroplówek i systemów monitorujących funkcje życiowe. Burke przytulił wówczas zimne ciało Natalie, a Rachel oderwała go od niego i spojrzała mu w oczy. Co wyrażało jej spojrzenie? Żal po śmierci Natalie? Współczucie dla niego?

- I co pan myśli, panie kapitanie? - spytał Steve Flood.

- Słucham? Przepraszam, czy mógłby pan powtórzyć pytanie? - poprosił Dillinger. Jego oficerowie byli inteligentnymi ludźmi i niewątpliwie myśleli to samo, co komandor Kraft, że kapitan „Hamptona” jest w nie najlepszej kondycji psychofizycznej.

- Chodzi o brytyjskie okręty podwodne - wyjaśnił Lionel Tonelle. - Czy nie sądzi pan, że także Anglicy wyślą swoje okręty, żeby pomóc Francuzom i nam?

Burke popatrzył na mapę. Nie zaznaczono na niej niczego, co dotyczyłoby okrętów Królewskiej Marynarki.

- Przypuszczam, że jak na razie sprawa jest tajna - skwitował. Zamrugał oczami. Jeśli nie poproszono o pomoc Brytyjczyków, był to wielki błąd.

- Nigdzie nie ma mowy o wspólnych siłach NATO - zauważył pierwszy mechanik Pat Schluss. - Operacja pod egidą NATO oznaczałaby także możliwość posłania do akcji najnowszych niemieckich okrętów podwodnych. Nie mówiąc już o norweskich okrętach z silnikami Diesla, które są wyjątkowo ciche. To fatalnie, że nie sporządzono skoordynowanego planu operacyjnego w ramach NATO.

- Nie powiadomiono nas także, gdzie będą się znajdować francuskie siły przeciwpodwodne - dodał Mercury-Pryce. - A wiadomo, że widmo odgłosów francuskich atomowych okrętów myśliwskich jest podobne do widma odgłosów nosiciela rakiet klasy Triumphant. Jeśli nie skoordynujemy naszych działań z Francuzami, panie kapitanie, może się okazać, że polujemy na niewłaściwe okręty. - Nawigator zmarszczył brwi, wpatrując się w mapę. - To poważne niedopatrzenie, panie kapitanie. Być może nawet błąd, który spowoduje katastrofalne skutki.

- Plan będzie codziennie udoskonalany - uspokoił go Dillinger, machając ręką. - Jestem pewien, że brytyjskie okręty zostaną dołączone do operacji, skoordynujemy też nasze działania z Francuzami w ramach operacji NATO. Rozkaz operacyjny, jaki na razie otrzymaliśmy, wydano po to, abyśmy wypłynęli na czas z Norfolk. Chociaż dla nas to nie robi wielkiej różnicy. Musimy zdać sobie sprawę z podstawowej rzeczy, panowie. Każdą jednostkę, każdy okręt zaznaczony na tej mapie będzie można narysować jako kółko, ponieważ w zasięgu jego sonarów znajdzie się pewien obszar oceanu. Wysyłając tak duże siły i rozmieszczając je w taki sposób, dowództwo Floty Atlantyckiej utworzy na oceanie wielką sieć, w środku której znajdzie się „Le Vigilant”. Ale zanim ta sieć zostanie zastawiona, na spotkanie „Le Vigilanta” wysuną się naprzód, jako przednia straż, dwa okręty podwodne, my oraz „Teksas”. Wszystkie pozostałe jednostki grup bojowych będą zacieśniać tylko krąg, uniemożliwiając terrorystom ucieczkę. Być może nasze dowództwo myśli, że terroryści planują opuścić ten obszar, przyciąć się gdzieś nawet na parę miesięcy, aby potem uderzyć na Paryż z zaskoczenia, kiedy sprawa przycichnie. Gdyby Algierczycy mieli taki zamiar, mogliby spróbować skierować się na południowy Atlantyk albo do Arktyki. W takim wypadku któraś z jednostek naszych grup bojowych wykryłaby ich i skierowałaby nas na nich. Ale tak się nie stanie. - Dillinger pokręcił głową. - Jestem przekonany, że Algierczycy będą cały czas trzymać się w takiej odległości od Francji, żeby móc ją razić.

- Dlaczego pan tak myśli, panie kapitanie? - spytał Flood, unosząc brwi.

- Sam bypvtaić zrobił - odparł, wzruszając ramionami, Dillinger - gdybym znalazł się na nieznanym sobie obcym okręcie. Płynięcie z dużą prędkością oznacza większe ryzyko katastrofy. Wystarczy, że zatnie się zawór któregoś ze zbiorników balastowych albo nastąpi destabilizacja reaktora pracującego z dużą mocą. Poza tym większa prędkość oznacza wzrost hałasu, czyli duże prawdopodobieństwo, że zostanie się wykrytym i zatopionym. Terrorystom wcale się nie uśmiecha bitwa z jakimkolwiek okrętem, możecie mi panowie wierzyć. Ich celem jest odpalenie rakiet balistycznych, kiedy tylko poznają, jak się to robi. Potem najchętniej zniknęliby stąd.

Flood przytaknął.

- Czy francuska załoga jest przetrzymywana w charakterze zakładników i pod przymusem odpali rakiety, czy też terroryści pozabijali Francuzów i sami prowadzą okręt? - spytał.

- Nie wiemy - odpowiedział Mercury-Pryce. - A czy to ma znaczenie?

- Myślę, że francuska załoga o wiele łatwiej poradziłaby sobie z nieprzyjacielskim okrętem niż terroryści - odparł Flood. - Jeśli nawet wśród Algierczyków znajduje się były oficer okrętu podwodnego któregoś z państw atomowych, nie mając pełnowartościowej załogi, nie poradzą sobie w walce z innym okrętem.

Dillinger pokiwał głową.

- A poza tym porwany francuski kapitan może postarać się przegrać bitwę z naszym okrętem myśliwskim, niweczając w ten sposób zamiary terrorystów - powiedział.

- Samobójczy pomysł - skwitował Merc.

- To co? - spytał retorycznie Schluss. - Lepiej zginąć niż pozwolić na zniszczenie całej swojej ojczyzny bronią jądrową. Gdyby to mnie porwano, tłukłbym kluczem w burtę, żeby zdradzić naszą pozycję, albo otworzyłbym główny zawór wody zaburtowej i zatopiłbym własny okręt razem z terrorystami.

Dillinger poczuł się nagle bardzo zmęczony. Nie spał wiele w ciągu dwóch ostatnich nocy. Brak snu powodował, że czuł się jak w jakimś nierealnym świecie. A może było to spowodowane koszmarnym zagrożeniem, z powodu którego wysłano „Hamptona” w morze? I fakt, że właśnie na „Hamptonie” oraz na „Teksasie” spoczywał główny ciężar zatopienia „Le Vigilanta”? Podczas operacji na Morzu Barentsa Dillinger

nie spał przez długi czas, ale nigdy nie czuł się do tego stopnia oderwany od rzeczywistości. Coś przerażającego działo się z jego poczuciem czasu, niektóre minuty ciągnęły się godzinami, inne mijały tak szybko, że ani się orientował, a już była inna pora dnia. Musi się wyspać. Misja, jaką powierzył mu Kraft, była zbyt poważna, aby mógł pozostawać w kiepskiej kondycji psychofizycznej.

- Czy to wszystko, nawigatorze? - spytał.

- Tak, panie kapitanie - odpowiedział Merc.

- Dobrze. Koniec odprawy. Pierwszy oficerze, proszę iść ze mną do sterówki.

Dillinger ruszył do sterówki, Flood poszedł za nim. Merc objął wachtę oficera dyżurnego, luzując Phila Breckenridge'a, najmłodszego z oficerów. Powierzono mu na jakiś czas wachtę, żeby bardziej doświadczeni oficerowie mogli być na odprawie.

- Słucham, panie kapitanie - odezwał się Flood.

- Niech pan przejmie moje obowiązki na czas środkowej wachty - powiedział Burke. - Spróbuję trochę się przespać. Ale jeśli cokolwiek się wydarzy, proszę nie wahać się mnie obudzić. Także jeśli otrzymamy uaktualnienie rozkazu operacyjnego.

- Tak jest, panie kapitanie. Spokojnego snu.

Dillinger poszedł do swojej kajuty. Zgasił światło, przyciemnił oświetlenie wskaźników na pulpicie przy koi, ściągnął kombinezon, wszedł pod kołdrę, zamknął oczy i spróbował zasnąć. Jednak jego umysł nie chciał się wyłączyć, pracował powoli, ale uparcie.

A jednak zasnął, nie zdając sobie sprawy, kiedy to nastąpiło. Obudził się z krzykiem o drugiej nad ranem, z powodu sennego koszmaru. Usiadł na koi, cały spocony i spróbował przypomnieć sobie sen. Pamiętał tylko, że coś złego czyhało na niego w głębi morza. Nagle otworzyły się drzwi. Podniósł wzrok, spodziewając się wejścia Natalie. I przypomniał sobie, że Natalie umarła.

- Panie kapitanie? - odezwał się Steve Flood. - Czy wszystko w porządku?

- Miałem tylko zły sen - wyjaśnił Dillinger. Całe jego życie jest ostatnio podobne do złego snu. Drzwi zamknęły się, a on spróbował znów zasnąć.

Pułkownik Augustę Guischarde został mianowany dowódcą Międzyagencyjnej Antyterrorystycznej Taktycznej Grupy Uderzeniowej Policji Śledczej przed sześcioma miesiącami. Jak na zajmowane stanowisko był młodym dowódcą, gdyż jednostkę, którą dowodził, uważano za

niezwykle ważną. Żadnemu z jego poprzedników, a być może także następców, nie przyszłoby do głowy zjawić się w gabinecie w pełnym rynsztunku żołnierza jednostki antyterrorystycznej, ale on uważał, że najskuteczniej dowodzi się z okopów. Myśl o spędzeniu reszty życia za biurkiem, z dala od jakichkolwiek niebezpieczeństw, gdzie najwyżej można było skaleczyć się kartką papieru, przyprawiała go o mdłości. Dlatego właśnie, kiedy wezwano ich do akcji, natychmiast przekazał biurowe obowiązki zastępcy i pojechał do swoich chłopców. Okazało się, że sytuacja jest gorsza niż kiedykolwiek.

Zakładnicy, tortury... Guischarde zaciskał usta, aby jego chłopcy nie widzieli, w jakim jest stanie.

Przyklęknął, unosząc powoli rękę, aby dać sygnał. Miał na sobie gruby, czarny kombinezon, pod którym znajdował się pancerz z kevlaru. Augustę wydawał się w nim potężny, mimo że był żyłasty, raczej drobnej kości. Nawet grube nylonowe rękawice miały wewnątrz kevlarowe płytki. W prawej ręce trzymał pistolet maszynowy uzi kaliber 9 mm. U pasa miał dziesięć granatów, po prawej pięć błyskawic hukowo-dymnych, które miały ogłuszyć przeciwnika, dezorientować, a po lewej granaty odłamkowe o tak wielkiej sile rażenia, że były w stanie zburzyć jednopiętrowy dom. Przy prawym udzie Guischarde miał jeszcze zawieszony pięć podłużnych granatów z gazem łzawiącym, a przy lewym z gazem pieprzowym. W kaburze pod prawą pachą dźwigał odbezpieczony czarny pistolet Mark VII Desert Eagle kaliber 0,5 cala, którym można było odstrzelić człowiekowi głowę. Zaś pod lewą pistolet na gaz pieprzowy DeMarc87-T, który powalał przeciwnika na ziemię, oślepiał i sprawiał, że zaczynał się krztusić. Celnym strzałem z bliskiej odległości można było zabić człowieka, jeśli w pobliżu nie czekała karetka. Wyposażenie Guischarda dopełniał czarny hełm, spłaszczony i matowy, aby nie odbijał światła, z pełną, także antyrefleksyjną osłoną na twarz. Pod osłoną znajdowała się maska przeciwgazowa, zasilana z dwóch czarnych butli, które miał na plecach. Starczały na półgodzinny pobyt w wypełnionym dymem budynku. Przed prawym okiem Guischarda znajdował się włączany fotokomórką sensor podczerwieni, który pozwalał mu widzieć w ciemności i dymie, ale stawał się przezroczysty, kiedy przejrzystość powietrza i otaczające światło umożliwiały normalne widzenie. Wreszcie, choć nie było to bynajmniej bez znaczenia, za plecami Auguste'a znajdowało się trzydziestu dowodzonych przez niego ludzi. Wszyscy byli tak samo wyposażeni i wyszkoleni jak on. Prowadzili niełatwe życie, poddając się morderczym ćwiczeniom i stale ryzykując. Każdy z nich był równie groźny i bezwzględny jak ci, z którymi walczyli.

Augustę poczuł, jak jego puls przyspiesza. Dał sygnał ręką. Jego zastępca wcisnął przycisk nadajnika i trzysta kilogramów plastycznego materiału wybuchowego semtex RDX/PETN nagle rozjaśniło ciemność w miejscu, gdzie do tej chwili były zamknięte wrota garażu, wstawione w ścianę ogromnego, opuszczonego magazynu. Fala uderzeniowa była ogłuszająca i tak silna, że kawałki drzwi przeleciały antyterrorystom nad głowami. Uniosła się ogromna chmura dymu, a kiedy tylko opadły odłamki, Guischar i jego ludzie wbiegli do budynku z bronią gotową do strzału, rozdzielając się. Uruchomił się czujnik podczerwieni przed okiem Augustę, dzięki czemu widział on zarysy korytarza, a także promieniowanie cieplne grupy ludzi, którzy znajdowali się kilkadziesiąt metrów przed nim. Po chwili zatrzymał się przed drzwiami pierwszego z pomieszczeń, w lewym ręku trzymając granat błyskowo-hukowy. Dał znak swemu partnerowi i jednocześnie kopnęli w drzwi z taką siłą, że spadły z górnego zawiasu i zawisły bokiem, pod dziwnym kątem. Guischard wpadł do pomieszczenia i znieruchomiał.

Zobaczył scenę jak z nocnego koszmaru. Naprzeciw niego zwisała z łańcuchów naga kobieta o ciele pokrytym ranami od papierosów i noża, cała we krwi. Przed nią znajdowało się troje nagich, skrępowanych taśmą klejącą dzieci, wszystkie także zakrwawione i posiniaczone. Z początku Guischard nie był pewien, czy którakolwiek z ofiar zbrodni żyje. Chwilę później jego wyostrzony instynkt odnotował, że w pomieszczeniu nie ma żadnego zagrożenia.

W ciągu następnych pięciu minut antyterrorysty włamali się do wszystkich pomieszczeń magazynu, w sześciu znajdując podobne rzeczy. W siódmym było jeszcze gorzej: ściany i podłogę wyłożono białą plastikową płachtą, a na której leżały zwłoki kobiety z obciętą głową i rękami. Płachta oznaczała, że bandyci musieli chyba uwiecznić swój czyn na filmie; a może stanowiła element jakiegoś potwornego satanistycznego rytuału? Co za zbrodniarze byli w stanie torturować w tak nieludzki sposób kobiety i dzieci?!

Pół godziny później magazyn został oczyszczony, antyterrorysty upewnili się, że sprawcy tej koszarnej zbrodni dawno opuścili to miejsce. Guischard schował uzi, ściągnął hełm i maskę przeciwgazową i wrócił do pierwszego z pomieszczeń. Sanitariusze zdążyli już uwolnić i wynieść dzieci, przecinali obecnie łańcuchy krępujące kobietę. Auguste'owi zrobiło się niedobrze, kiedy poczuł w magazynie smród. Kobieta miała całą twarz we krwi i wymiotach. U jej stóp leżało... to była ręka, ręka innej kobiety. Wyglądała na pogryzioną. Co za potwory! Guischardowi zrobiło się niedobrze, więc odwrócił wzrok, a potem wziął haust powietrza z butli. Odzyskawszy panowanie nad sobą, spojrzął na sanitariusza.

- Czy wszyscy nie żyją? - spytał.

- Nie - zaprzeczył sanitariusz, ubrany w taki sam kevlarowy pancerz jak Guischar. - Choć może byłoby dla nich lepiej, gdyby umarli.

- Skurwysyny! - zaklął Augustę. - Czy którakolwiek z ofiar jest przytomna?

- Ani jedna.

Guischar wyszedł z budynku, żeby nadać meldunek dowództwu przez kodujący telefon komórkowy. Minął dwadzieścia karetek, do których ładowano nieprzytomnych zakładników. Przywieziono właśnie na noszach zaopatrzonych w kółka zaledwie czteroletnią dziewczynkę o zakrwawionej twarzy. Bandyckóbcieśli jej trzy paluszki. Guischar zamknął oczy i stał chwilę, próbując się uspokoić, a potem zdecydowanym krokiem ruszył w stronę samochodu dowodzenia. Zobaczył, że jeden z jego ludzi wymiotuje w krzakach.

Jezu! - pomyślał Augustę, zakładając słuchawki. Kto zrobił coś tak potwornego, i dlaczego? Gdzie w tej chwili są ci zbrodniarze?

20

- Dzieje się coś bardzo złego! - zawołał od progu Abdul-Azim Fakhri, wbiegając do kajuty pierwszego oficera, którą zajął Jusuf Tagreb. Tagreb usiadł na koi. Serce tłukło mu się w piersi jak oszalałe.

Nie pytając, o co chodzi, naciągnął używany na okręcie kombinezon oraz buty, jakie wyszukał sobie w jednej z szafek, i wypadł za Fakhrim z kajuty. Idąc korytarzem, poczuł, że okręt pochyla się dziobem w dół, poza tym powietrze z każdą sekundą stawało się coraz gorętsze. Zdestabilizowali reaktor! - pomyślał z przerażeniem. Pomodlił się w myśli do Allana. Przywrócenie do pracy stosu atomowego, który wygasł, to jedna z najbardziej skomplikowanych operacji na okręcie podwodnym. Tagreb zdążył przestudiować ją dokładnie, odnajdując według wskazań instrukcji każdy przełącznik, przycisk, przetwornik i kluczyk. Ale uczenie się uruchamiania reaktora w teorii to nie to samo, co dokonanie tego w praktyce. Można spowodować jeszcze poważniejsze problemy.

Tagreb schylił się i przeszedł przez właz do przedziału raketowego, a potem pobiegł korytarzem pomiędzy przypominającymi las pionowymi wyrzutniami raketowymi. Dobiegł do przedziału maszyn pomocniczych, gdzie zginął kapitan okrętu. Słysząc już stąd było

ostrzegawcze wycie syreny w pomieszczeniu sterowania reaktorem, syrena oznaczała najpoważniejszy z alarmów. Jusuf zbiegł po trapie na środkowy pokład, a potem wszedł przez właz do osłoniętego tunelu przechodzącego przez przedział reaktora, wreszcie dotarł do maszynowni. Zanim wspiął się na jej górny pokład, był już cały mokry od potu. Wpadł do pomieszczenia sterowania napędem atomowym i na początek wyłączył syrenę, dzięki czemu zapanowała cisza. Cisza była niestety zbyt głęboka, nie pracowały turbogeneratory, które normalnie hałasowały jak silniki odrzutowe; nie było też słycać szumu przepływającej pary. Wyłączył się także system kontroli atmosfery, wentylatory stanęły, pozbawione zasilania, podobnie jak klimatyzatory. Temperatura powietrza wynosiła już pięćdziesiąt pięć stopni i rosła, niedługo będzie można się ugotować! Chyba jedyne, co pracowało normalnie, to oświetlenie, automat przełączył je na zasilanie z akumulatorów. Choć tylko Allan wie, na jak długo starczy zgromadzonej w akumulatorach energii. Kiedy się wyczerpią, wszystko zgaśnie. A spory przechył pokładu w dół oznaczał, że okręt być może zbliża się do głębokości, na której woda zmiażdży kadłub.

- Co się stało? - spytał Jusuf Bandara Kadira, który wraz z Kalikiem Hafizem pełnił wachtę w pomieszczeniu. Kadir był oddanym sprawie bojownikiem i chyba najlepiej ze wszystkich radził sobie z urządzeniami technicznymi. Złożoność urządzeń sterowania reaktorem i turbinami całkowicie go jednak przerastała. Miał więc jedynie obserwować pulpity i wezwać Tagreba w wypadku, gdyby działo się coś złego. Pytanie Jusufa było właściwie retoryczne. Odczytywał szybko wskazania poszczególnych przyrządów, podczas gdy Kadir mamrotał coś o wyjącej syrenie.

Świeciły wszystkie kontrolki w dolnej części panelu sterowania prętami reaktora. Napędowa moc reaktora wynosiła zero. Moc cieplna powoli malała, znajdując się znacznie poniżej zakresu mocy napędowej. Licznik neutronów wskazywał, że ich emisja maleje co minutę o jedną trzecią. Tagreb sięgnął do przepustnic silników głównych. Były zamknięte, zgodnie z jego instrukcjami, polecił wyłączyć silniki, jeśli zawyje syrena. Wskaźnik naładowania akumulatorów pokazywał, że stan ich naładowania szybko spada, o wiele za szybko. Jusuf uruchomił wyłącznik drugorzędnych obwodów, a następnie wyłączył je wszystkie, chodziło o odłączenie każdego urządzenia, którego praca nie była w tej chwili absolutnie niezbędna, po to, aby oszczędniej gospodarować zużyciem energii elektrycznej.

- Zauważyliśmy, że manometry w kotłach zaczęły pokazywać gwałtowne skoki ciśnienia pary - powiadomił Kadir. - A później włączyła się syrena.

Tagreb skinął głową. Tak właśnie myślał. Wiedział, że powinien był przedmuchać wytwornicę pary, ale to bardzo hałaśliwy zabieg. W tej chwili nie mieli wyboru. W obwodzie chłodzenia drugiego stopnia zebrały się nieczystości, mierniki ciśnienia pary w kotłach pozapychały się, a to one sterowały zaworami zasilającymi kotły odpowiednią ilością wody ze skraplaczy. Jeżeli główne zawory zasilające otworzyły się nagle całkowicie, mogły zalać kotły taką ilością zimnej wody, że w efekcie moc reaktora automatycznie skoczyła w górę. Wówczas obwody bezpieczeństwa zamknęły zawory, a reaktor się wyłączył. Była to trudna sytuacja, ale nie tracił nadziei, że zdoła rozwiązać problem. Kłopot w tym, że musiało to zająć nieco czasu, a jednocześnie trzeba było koniecznie ustabilizować zanurzenie okrętu i utrzymywać je przez cały czas, kiedy on sam będzie zajęty przy reaktorze i napędzie. Ponieważ dziób „Le Vigilanta” ciąży w dół, należało przepompować ruchomy balast z dziobowych zbiorników do rufowych. Jednak krócej potrwa uruchomienie zapasowego napędu.

- Chodź ze mną, Bandar - powiedział Jusuf, podczas gdy w drzwiach sterowni pojawił się Zouabri.

Tagreb i Kadir pobiegli do rufowej części maszynowni, gdzie za reduktorami znajdował się awaryjny silnik pomocniczy. Jusuf odnalazł panel jego sterowania, sprawdził, że jest ciśnienie w obwodach hydraulicznych i otworzył zawór. Rozległ się donośny szczęk, ogromne sprzęgło odłączyło przekładnię i silniki główne od wału napędowego. Teraz do śruby podłączony był silnik pomocniczy. Jusuf włączył jego zasilanie, a potem przesunął przepustnicę na minimalną naprzód. Zobaczył, że wał rusza i zaczyna obracać się coraz szybciej, aż wreszcie stabilizuje obroty. Trzydzieści jeden obrotów na minutę. Doskonale.

- Bandar, biegnij do sterówki i powiedz sternikom, że mamy prędkość trzech węzłów, więc mogą wypoziomować okręt. Niech to jak najszybciej zrobią!

Kadir pobiegł w stronę dziobu, Tagreb skierował się do pomieszczenia sterowania napędem atomowym. Przy drzwiach stał Issam. Jusuf odczekał chwilę, pokład powoli zaczął się podnosić. Dzięki Allanowi! Teraz należało przedmuchać przegrzaną wodą wytwornicę i ciśnieniomierze.

- I jak? - spytał Zouabri.

Tagreb otarł pot z czoła.

- Mogę uruchomić reaktor z powrotem, ale żeby to zrobić, trzeba przedmuchać wytwornice pary, które zatkały się brudną, pełną osadów wodą.

- Zrób to - odparł Issam.

- Musisz najpierw zdać sobie sprawę z konsekwencji, bracie. To jest najgłośniejsza rzecz, jaką w ogóle możemy zrobić, nie licząc wystrzelenia rakiety balistycznej.

- A nie da się przedmuchać tych kotłów ciszej? Tagreb pokręcił głową.

- Można to zrobić tylko przegrzaną wodą, pod niezmiernie wysokim ciśnieniem. Przy przedmuchiwaniu wytwornic pary ta wylatuje za burtę okrętu i wpada do zimnego oceanu. Powoduje to taki hałas, jakby... nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić, bracie. - Jusuf wytężył umysł, zastanawiając się, czy nie jest możliwe skierowanie wody przedmuchującej kotły do jednego ze zbiorników wewnątrz okrętu. Konstrukcja maszynowni uniemożliwiła to jednak, projektanci zrobili tak celowo, ponieważ energia wody z obwodu chłodzenia drugiego stopnia mogła rozsadzić rury i zbiorniki, pozabijać mechaników oraz zniszczyć maszyny.

- Co oznacza dla powodzenia naszej operacji spowodowanie tak wielkiego hałasu? - zapytał Zouabri.

- Być może nic, a być może wszystko. Zależy od tego, jak blisko są ci, którzy na nas polują.

- Założmy, że są blisko, co wtedy?

- Wówczas wyślą w kierunku źródła hałasu okręt myśliwski, który nas storpeduje. Zginiemy, a nasza misja się nie powiedzie.

- Czy nie szkolili cię, jak wykrywa się takie okręty i je zatapia?

- Szkolili.

- Dasz sobie radę z napastnikiem?

Okręt myśliwski jest lepiej od „Le Vigilanta” przystosowany do strzelania torpedami. Mogło ich uratować wystrzelenie urządzenia akustycznego do wprowadzania w błąd sonarów przeciwnika, ale jak dotąd Tagreb nie znalazł jeszcze instrukcji obsługi owego urządzenia. Ze strzelaniem torpedami już się zapoznał, prawie cały dzień spędził na studiowaniu komputerowych systemów naprowadzających torpedy. Był także w magazynie torped i przećwiczył ładowanie torped do wyrzutni. Do wyrzutni numer jeden kazał załadować urządzenia akustyczne do

zakłócania sonarów, nie miał jednak dotąd czasu przestudiować, jak się go używa. Przede wszystkim zaś nie zdążył się jeszcze zająć systemem kierowania ogniem rakiety. Zouabri naciskał, aby Jusuf się z tym pospieszył i jak najszybciej nauczył się odpalać rakiety balistyczne. Jednak tego dnia Tagreb zamierzał poznać okrętowe systemy sonaru, aby móc wykryć nieprzyjaciela. Gdy nauczy się obsługi sonaru, przejdzie następnie do czytania instrukcji dotyczących rakiet i ich wyrzutni. Wiedział już, że jeśli nie śpi przynajmniej sześć godzin na dobę, nic mu nie wchodzi do głowy.

- Nieważne, czy dam sobie radę - odpowiedział Tagreb. - W tej chwili nie mamy wyboru. Musimy przedmuchać wytwornice pary, bo inaczej nie uda się uruchomić reaktora i utrzymać jego pracy.

Zouabri skinął głową.

- W takim razie przedmuchaaj.

Tagreb skinął głową i nachylił się nad pulpitemi sterowania napędem atomowym. Zwrócił uwagę na wskaźnik stanu naładowania akumulatorów. Jeśli wciąż będą używać awaryjnego silnika pomocniczego, akumulatory wyczerpią się za niecałe pół godziny. Należało się spieszyć. Odnalazł podręcznik sterowania napędem atomowym, a w niej instrukcję przedmuchiwania wytwornic pary. Przeczytał ją szybko.

- Pójdź do sterówki, bracie - powiedział do Zouabriego - i każ sternikom podnieść okręt na głębokość trzydziestu metrów. Potem przyślij mi do maszynowni czterech ludzi.

Issam kiwnął głową i poszedł. Tagreb zszedł z opasłym podręcznikiem na dolny pokład maszynowni. Położył książkę na szafce z wyposażeniem pomiędzy głównymi zaworami zasilającymi kotły. Odnalazł zawory do przedmuchiwania wytwornic pary i jeszcze raz prześledził wzrokiem całą procedurę. Niedobrze, myślał. Będzie musiał uruchomić każdą z głównych pomp zasilających i napełnić całkowicie kotły, a potem otworzyć zawory i przedmuchać wytwornice, wypuszczając przegrzaną wodę za burtę, aż wskaźniki pokażą, że kotły są puste. Do tego czasu pompy wyczerpią kompletnie akumulatory. A jednak nie mam wyboru.

Wcisnął przycisk włączający pompę zasilającą, ominął sterownik głównego zaworu zasilającego i wypełnił obie wytwornice pary. Nie było to łatwe, wskaźniki poziomu napełnienia kotłów wahały się z dużą amplitudą, ustalił jednak przeciętną wartość wskazań. Po kilku minutach pompowania zamknął zawory zasilające i wyłączył pompę, modląc się do Allaha, żeby okazało się, iż w akumulatorach jest jeszcze dość energii.

Przeszedł do zaworów przedmuchiwania i otworzył zawór do wypuszczania przegrzanej wody za burtę, później zawór dopełniający, wreszcie zawór przedmuchiwania lewoburtowej wytwornicy. Rozległ się ogłuszający hałas; Jusuf otwierał coraz bardziej zawór, śledząc wskazania miernika napełnienia kotła. Zanieczyszczona woda z wytwornicy wytryskiwała za burtę. Rozbolały go uszy; szkoda, że nie ma zatyczek do uszu. Wydawało mu się, że przedmuchiwanie kotła trwa w nieskończoność, ryk pary trwał przez kolejne przedłużające się minuty. W końcu prawoburtowy kocioł był prawie pusty. Tagreb zamknął zawór, a potem zaczął otwierać zawór przedmuchiwania prawoburtowej wytwornicy. Ryk powrócił, Jusufowi wydawało się, że jest on jeszcze głośniejszy. Śledził wskazania miernika napełnienia kotła, w końcu zamknął zawór, a potem jeszcze zawory w kadłubie i dopełniające. Ryk pary nareszcie ustał, choć Tagrebowi dzwoniło w uszach.

Ponownie uruchomił główną pompę zasilającą i jeszcze raz napełnił kotły wodą, a potem znów wyłączył pompę. Wiedział, że powinien jak najszybciej dodać do wody kotłowej środek zapobiegający osadzaniu się kamienia. Na razie musiał jednak uruchomić reaktor. Potężna pompa zasilająca z pewnością wyczerpała akumulatory do tego stopnia, że trzeba będzie rozgrzać reaktor i wytwornice pary w tempie, które mogło je uszkodzić. Inaczej jednak czekała ich pewna śmierć.

Jusuf pobiegł z powrotem na górny poziom maszynowni. W pomieszczeniu sterowania silnikami i przekładniami wyłączył trzy przerywniki pracy zbiorczego siłownika prętów sterujących, a potem wpadł do pomieszczenia sterowania napędem atomowym. Zouabri czekał na niego, chciał wypytać o sytuację, ale Jusuf machnął tylko ręką i popatrzył na wskaźnik stanu naładowania akumulatorów oraz woltomierz mierzący napięcie w ich obwodzie. Było gorzej, niż sądził. Niewykluczone, że akumulatory przestaną zasilać okręt już za kilka minut. Lepiej nawet nie wyobrażać sobie tego, co musiało nastąpić potem.

Złapał instrukcję, zajrzał do niej i popatrzył na pulpit sterowania reaktorem. Poziom emisji neutronów spadł z zakresu średniego do rozruchowego. Tagreb pokręcił głową i złapał dźwignię przełącznika zakresów mocy źródłowej reaktora. Przetawił ją na „poziom rozruchowy”. Następnie odnalazł wyłącznik bezpieczeństwa reaktora przy zakresie niskiego ciśnienia i przestawił go na „bezpiecznik - niskie ciśnienie”. Wziął głęboki oddech, wiedząc, że może popełnić błąd i doprowadzić do ponownego wyłączenia się reaktora, ale musiał spróbować go uruchomić.

Odnalazł przełącznik zbiorczego nastawu prętów sterujących i ustawił go tak, aby opadły do końca. Po upływie trzydziestu sekund zaczął je podnosić. Dziesięć sekund później pogasły kontrolki oznaczające całkowite opuszczenie prętów. Zatem podnosiły się. Wskaźniki wysokości prętów ruszyły; jeśli można było im wierzyć, pręty wysuwały się z rdzenia. Reaktor znajdował się w fazie rozruchu! Tagreb śledził wskaźnik szybkości rozruchu oraz wskaźnik poziomu emisji neutronów. Wskazania pierwszego zmieniły się z minus jednej trzeciej na zero i rosły dalej, dochodząc do ośmiu na minutę. Dopiero wtedy Jusuf przestał wysuwać pręty. Serce biło mu mocno, znów uświadomił sobie, że jego kombinezon jest cały mokry. Poziom neutronów osiągnął maksimum zakresu rozruchowego. Tagreb przełączył więc na „bezpiecznik - faza rozruchu” i wysuwał pręty z rdzenia reaktora jeszcze bardziej. Ruszyła wskazówka średniego zakresu poziomu emisji neutronów. I ona wzrosła do ośmiu na minutę.

Wskazówka zbliżała się do maksimum zakresu. Tagreb zerknął na wskaźnik stanu naładowania akumulatorów i zdał sobie sprawę, że jest bardzo źle. Akumulatory się wyczerpały.

Jusuf zaklął w duchu, a zaraz potem na okręcie zapanowała absolutna ciemność.

Drugi dzień rejsu przebiegł spokojnie, jeśli można uznać za spokojne zajęcie podążanie w stronę okrętu przenoszącego rakiety z głowicami termojądrowymi zagrażającymi połowie świata. „Hampton” posuwał się zgodnie z wyznaczonym kursem, pokład drżał, a silniki

główne buczały donośnie, wyzwalając moc napędową trzydziestu tysięcy koni mechanicznych. Dygotanie okrętu przypominało załodze o tym, że jej zadanie jest bardzo pilne. O północy „Hampton” znajdował się tuż za czterdziestym siódmym południkiem, na szerokości geograficznej czterdziestu stopni na północ od równika, około pięciuset mil morskich na południowy wschód od Nowej Fundlandii, gdzie zaczyna się środkowa część Atlantyku. Zachowując obecną prędkość, „Hampton” miał przybyć w wyznaczony obszar z wyprzedzeniem jednej doby. Rozkaz operacyjny nakazywał znaleźć się na trzydziestym stopniu długości geograficznej zachodniej i czterdziestym pierwszym stopniu szerokości geograficznej północnej, czyli pięćset mil morskich na północny wschód od Azorów, skąd łatwo było dopłynąć do wybrzeży Afryki Północnej, Hiszpanii, Portugalii, Francji czy Wielkiej Brytanii. Następnie „Hampton” miał odebrać uaktualnioną przez dowództwo wersję rozkazu umożliwiającą znalezienie się bliżej porwanego okrętu.

Burke Dillinger wpatrywał się w filiżankę z kawą. Na powierzchni cieczy tworzyły się małe kręgi spowodowane drzeniem pokładu. Komandor spojrzął na panel wskaźników. Kompas pokazywał, że „Hampton” z prędkością trzydziestu trzech i pół węzła mknie na północny wschód w kierunku Portugalii, na głębokości dwustu metrów. Dillinger zastanawiał się, dlaczego dowódca Floty Atlantyckiej nie rozkazał im płynąć z awaryjną maksymalną szybkością, dzięki czemu mogliby osiągnąć jeszcze jeden, dwa węzły więcej. Odbyłoby się to kosztem skażenia maszynowni znacznie zwiększonym promieniowaniem, z powodu nadtapiania się elementów rdzenia reaktora i skażenia radioaktywnego pierwotnego obiegu chłodzenia. Czyż jednak jest to istotne, jeśli może od tego zależeć los połowy świata? Nawet jeśli załoga „Hamptona” zostałaby napromieniowana dawkami bliskimi śmiertelnymi. Burke pokręcił głową. Brak rozkazu maksymalnego przyspieszenia oznaczał jedno: dowództwo nie wiedziało, gdzie znajduje się porwany okręt.

Odezwał się telefon z mostka. Dillinger sięgnął pod stół po słuchawkę. Przypominał sobie, jak Natalie dotknęła jego dłoni, kiedy sięgnął po telefon podczas operacji na Morzu Barentsa. Boże, ależ za nią tęsknił! Czy naprawdę zobaczył Natalie w nocy po jej śmierci? Czy to naprawdę była ona, czy też tylko mu się przyśniła? Ale przecież powiedziała mu coś, czego nikt nie wiedział, że Joe Kraft wysłał go na ćwiczenia „Nagły Zryw” w odpowiedzi na jej prośbę. Zapytał o to później i dowiedział się, że tak istotnie było, choć nigdy by tego nie podejrzewał. Był to niewątpliwy dowód na to, że gdziekolwiek była dusza Natalie, w jakąkolwiek formę się przekształciła, wciąż istniała. Tak cudowna istota jak Natalie D’Assault Dillinger nie mogła chyba po prostu zniknąć z wszechświata. Gdzie jesteś, Natalie? Burke wołał do niej w

myślach, ale nie słyszał żadnej odpowiedzi, nie wyczuwał obecności ukochanej żony. Zupełnie inaczej niż tego wieczoru, kiedy umarła. Wtedy pojawiła się naprzeciw niego równie prawdziwa jak za życia. Teraz jednak otaczała go pustka. Burke zamrugał oczami, zastanawiając się, jak to możliwe, żeby ktoś, kogo znał tak krótko, odmienił całkowicie jego życie, a potem zniknął bez śladu. Potarł oczy i stwierdził, że ma mokre palce. Podniósł słuchawkę i odezwał się:

- Kapitan przy telefonie.

- Tu oficer dyżurny, sir - usłyszał głos nawigatora. - Okręt osiągnął punkt N jak November, zmieniłem kurs na zero osiem siedem. Wciąż płyniemy z maksymalną szybkością.

- Doskonale - pochwalił Burke. Spojrzał na chronometr. Ostatnio jego poczucie czasu pozostawało dziwnie zaburzone, czas na przemian gwałtownie przyspieszał albo niemalże stawał w miejscu, a poszczególne sceny trwały jak gdyby oświetlone błyskiem lampy stroboskopowej. Ostatnie pół godziny minęło na przykład w jednej chwili; kawa przed Dillingerem była zupełnie zimna. - O pierwszej zero zero wachnię dyżurnego dowódcy okrętu obejmie pierwszy oficer.

- Tak jest, sir - odpowiedział Merc. - Spokojnego snu, panie kapitanie. Burke odłożył słuchawkę, co znowu przypomniało mu o Natalie. Boże,

czy kiedykolwiek przestanie odczuwać żal z powodu jej śmierci?

Jusuf poczuł, że gorący prysznic go uspokaja, napięcie opadało z niego szybko. Mięśnie rozluźniały się stopniowo. Na „Krasnojarsku” ciepła woda skończyłaby się już przed pięcioma minutami, jednak Francuzi zaprojektowali swój okręt tak, aby załoga miała luksusowe warunki. Tego rodzaju udogodnienia czyniły trudny rejs całkiem znośnym. Bieżący dzień był szczególnie trudny. Minęło niecałe sześć godzin, odkąd reaktor zdestabilizował się i wyłączył, a automatyka okrętu przełączyła najrozmaitsze urządzenia elektryczne na zasilanie akumulatorowe. Jusufowi udało się wprawdzie przedmuchać wytwornice pary i uruchomić na nowo reaktor, ale zanim zakończył pracę przy nim, akumulatory się wyczerpały. W normalnych warunkach oznacza to nieuchronną katastrofę okrętu z powodu braku zasilania, przy nieczynnych zarówno turbogeneratorach siłowni jądrowej, jak i akumulatorach.

Kiedy zapadły ciemności, Tagreb wymacał latarkę i oświetlił nią panel sterowania reaktorem. Utrata zasilania oznaczała zaprzestanie pracy niemal wszystkich urządzeń elektrycznych okrętu. Jusuf sprawdził, czy reaktor wyłączył się awaryjnie po raz drugi, na szczęście tak się stało. Pobiegł na rufę. Zbiegł po trapie, a potem skręcił w stronę dziobu i przeszedł przez właz do pierwszego przedziału. Pograżony w ciemnościach, zanurzony okręt podwodny budził lęk. W pewnej chwili zderzył się z kimś, kto poruszał się po omacku w przedziale dziobowym. Jusuf dotarł do sterówki, gdzie panowała panika.

- Zamknijcie się i słuchajcie! - huknęła. - Ciągłe możecie sterować okrętem dzięki siłownikom hydraulicznym, pulpity sterowania także pracują, mają własne awaryjne akumulatory! - Uspokoiwszy obsadę sterówki, powłączał znajdujące się tu lampy. Świeciły słabo dla oszczędności prądu, ale w ich żółtej poświacie widać było wskazania przyrządów. Okręt znajdował się na głębokości stu pięćdziesięciu metrów. Trzeba było wyjść na głębokość peryskopową i wysunąć maszt do wypuszczania spalin z silnika Diesla. Jusuf spojrzął na panel sterowania balastem i zaklął, komputer sterujący utrzymaniem stałej pozycji w zanurzeniu nie działał. Ręcznie ustawił więc zawory do wypychania zgromadzonym w zbiornikach sprężonym powietrzem wody ze zbiornika sterującego zanurzeniem. Pokład zdążył się już przechylić dziobem w dół. Najwyraźniej „Le Vigilant” miał cięższy dziób niż rufę. Trzeba było sobie z tym poradzić.

Jusuf wypychał na raty wodę ze zbiornika sterującego zanurzeniem, aby nie doprowadzić do wynurzenia okrętu z wielkim hałasem. Wiedział, że gdyby to zrobił, „Le Vigilant” zostałby natychmiast wysledzony. Powolne zbliżenie ogromnego okrętu do powierzchni morza zajęło mu całą godzinę. Akumulatory awaryjne w panelach sterowania okrętem oraz napędem atomowym też miały ograniczoną pojemność, ale powinny wystarczyć na jakieś sześć godzin. Wreszcie staromodne awaryjne głębokościomierze pokazały, że zanurzenie wynosi piętnaście metrów, licząc od stępki. Tagreb oświetlił latarką panel sterowania siłownikami do podnoszenia i opuszczania masztów oraz anten. Odnalazł dźwignię masztu do wypuszczania spalin i przesunął ją. Małe akumulatory nie zasilają jednak tego panelu. Poszukał więc nad głową pokrętła ręcznego otwierania zaworu obwodu hydraulicznego podnoszenia masztu. Świecił latarką po suficie, ale nie mógł znaleźć zaworu. Wcisnął się więc za stanowisko sterowania balastem, ledwie się tam mieścił, mimo że był szczupły.

Odnalazł wreszcie baterię zaworów obwodów hydraulicznych, na szczęście pokrętła były opisane. Odnalazł zawór obwodu podnoszenia masztu do wypuszczania spalin i zakręcił pokrętłem. Jęknęło w przewodach i olej pod ciśnieniem wypchnął maszt w górę. Następnie Jusuf

odnalazł zniszczony podręcznik standardowych procedur postępowania i otworzył go na instrukcji wypuszczania spalin. Uruchamiało się podobnie jak wentylację kadłuba, którą przeprowadzał przed czterema dniami, choć zdawało mu się, że było to przed wiekami. Wreszcie w sterówce wszystko było gotowe. Tagreb ruszył więc ku rufie i zbiegł po trapie na dolny pokład, gdzie znajdował się olbrzymi silnik spalinowy. Wziął głęboki oddech i poświecił latarką na instrukcję uruchamiania silnika. Odpowiednie ustawienie potrzebnych zaworów zajęło mu trochę czasu, ale w końcu wszystko było gotowe. Przesunął dźwignię rozrusznika na sprężone powietrze. Powietrze ze zbiorników przesunęło tłok, obracając wał silnika. Powietrze szumiało, wał obracał się coraz szybciej. Jedno i drugie powodowało okropny hałas. Tym razem Jusuf odnalazł zatyczki do uszu, odstawił na chwilę latarkę i zatkał bolące uszy. W tej samej chwili ogromny silnik Diesla ryknął i zaczął pracować o własnych siłach. Tagreb śledził wzrost temperatury oleju oraz zaburtowej wody chłodzącej. Silnik rozgrzewał się powoli, ale pracował, jak należy. Należało teraz uruchomić generator prądu, co nie było łatwe przy braku zasilania. Na końcu korpusu generatora znajdowało się gniazdo do podłączenia awaryjnego akumulatora, aby można było wstępnie wytworzyć pole elektromagnetyczne generatora dzięki zewnętrznemu zasilaniu. Trzeba było jednak znaleźć ów najważniejszy na okręcie akumulator. Jusuf szukał go i szukał, ale na próżno. Postawił latarkę w miejscu, gdzie podłączało się akumulator, potrzebne było takie samo napięcie jak w latarce. Może wystarczy wyjąć akumulator z jednej z latek? Odnalazł dwie latarki i rozmontował jedną, wyjmując akumulator i podłączając go do gniazda. Odnalazł przycisk „awaryjne wzbudzenie pola”. Wcisnął go i natychmiast hałas w pomieszczeniu zmienił się, do ryku silnika Diesla dołączył odgłos generatora. Tagreb przeszedł parę metrów w stronę rufy, do wyłącznika prądu z generatora napędzanego silnikiem Diesla. Normalnie sterowało się tym przełącznikiem zdalnie, z pomieszczenia sterowania napędem atomowym. Przesunął w górę wielką, stawiającą spory opór dźwignię. Nic się nie wydarzyło. Generator wytwarzał prąd, który nie płynął jednak dalej. Trzeba było włączyć obwód i naładować główne akumulatory z dieslowskiego generatora. Wyłącznik akumulatorów znajdował się kilka metrów bliżej dziobu, w pomieszczeniu przełączników i urządzeń pomocniczych znajdującym się pomiędzy pomieszczeniem silnika Diesla oraz magazynem torped. Tagreb włączył obwód, mając nadzieję, że potężna bateria akumulatorów poniżej magazynu torped nie wybuchnie. Gdyby tak się stało, okręt zatonałby w mgnieniu oka. Jusuf ze strachu zamknął oczy.

Kiedy je otworzył, zapalało się oświetlenie. Napięcie akumulatorów osiągnęło normalny poziom. Tagreb wyłączył latarkę i ją odłożył. Rozejrzał się po pomieszczeniu silnika Diesla, po czym wbiegł na środkowy pokład i ruszył w stronę rufy. Przebiegł przez przedział rakietowy i

tunel przedziału reaktora, wreszcie wrócił do pomieszczenia sterowania napędem atomowym. Zouabri popatrzył na niego. Był cały spocony i jeśli Jusuf się nie mylił, w jego oczach widział strach. Nic dziwnego. Okręt nie był jeszcze w pełni sprawny. Jusuf zastąpił człowieka, który obsługiwał sterowanie silnikami elektrycznymi. Włączył zasilanie ogromnych silników na prąd stały z akumulatora. Zaczęły pracować, napędzając z kolei generatory prądu zmiennego, tak właśnie można na skalę przemysłową zamieniać prąd stały na zmienny. Odczekał chwilę, zastanawiając się, czy wszystko nie wybuchnie, ale nic takiego nie nastąpiło, w sterowni panowała cisza, jeśli nie liczyć cichutkiego bzyku przyrządów i jarzeniówek. Tagreb wziął więc głęboki oddech i włączył sterowanie głównymi wyłącznikami urządzeń prądu zmiennego. Na koniec podłączył obwody mniej ważnych urządzeń. Popatrzył na wskaźniki. Napięcie i natężenie przepływającego prądu były w normie. Głośna praca dieslowskiego generatora zdradzała wprawdzie położenie okrętu, ale przecież na oceanie pełno było statków z silnikami spalinowymi, rybackich czy handlowych, wszystkie były napędzane silnikami Diesla. Silnik spalinowy o mocy zaledwie tysiąca pięciuset kilowatów nie mógł wzbudzić żadnych podejrzeń. Przynajmniej Jusuf miał taką nadzieję.

Powrót zasilania spowodował między innymi ponowne uruchomienie wentylatorów. Trzeba także było ponownie uruchomić ogromne klimatyzatory. Tagreb wbiegł na górny pokład i uruchomił klimatyzatory typu R1 14 oraz pomocnicze urządzenie z bromkiem litu. Jeśli nie uda się uruchomić na nowo reaktora, wkrótce na okręcie zrobi się zbyt zimno.

Musiał jednak zrobić jeszcze coś ważnego. Ustabilizowawszy chwilowo pracę urządzeń okrętu, pobiegł z powrotem aż do sterówki i upewnił się, że Bandar Kadir i Kalik Hafiz utrzymują prawidłowe zanurzenie. Następnie wszedł do pomieszczenia sonaru, gdzie wachtę pełnili Jaul Karim z Asadem Jawadi. Sonar nie włączył się jednak. Tagreb uruchomił więc wszystkie urządzenia i odczekał, aż na ekranie pojawił się obraz. Trwało to dłuższą chwilę, podczas której Jusuf znów się spocił, obawiając się, że sonar nie powróci do normalnej pracy. Powrócił jednak, chociaż silnik Diesla czynił tyle hałasu, że sonarzyści nie byliby w stanie wykryć cichego okrętu podwodnego. Tym bardziej należało uruchomić ponownie reaktor. Tagreb pobiegł więc z powrotem do sterowni napędu.

Uruchomienie reaktora i osiągnięcie mocy napędowej zajęło mu dwadzieścia minut, zaś kolejne dwadzieścia - rozgrzanie turbogeneratorów napędu głównego. Skoro pracował silnik Diesla, nie było powodu ryzykować uszkodzenia elementów napędu poprzez uruchamianie go w tempie awaryjnym. Wreszcie półtorej godziny po tym, kiedy zaczęły się kłopoty, „Le Vigilant” ponownie płynął cicho jak

rekin, napędzany reaktorem atomowym, zaś silnik Diesla czekał na następną awarię napędu głównego. Kiedy Tagreb skończył pracę, był tak spocony, że nawet w butach miał mokro. Powłókł się do swojej kabiny i wziął prysznic, aby zmyć z siebie pot i stres.

Poznał już torpedy, ich wyrzutnie, komputerowe systemy kierowania ogniem. Uzupełnił wiedzę w zakresie obsługi sonaru, zdołał nauczyć bojowników przynajmniej tyle, żeby alarmowali go, gdyby coś się działo. Nie było mowy, żeby ci prości zabójcy kiedykolwiek stali się kimś więcej niż wachtą wczesnego ostrzegania. Ale w tym wąskim zakresie dobrze już spełniali swoje obowiązki.

Okręt stawał się stopniowo przedłużeniem ręki Jusufa. Poznał zamysły francuskich projektantów i musiał przyznać, że większą część urządzeń „Le Vigilanta” zaprojektowano genialnie. Tagreb znalazł się jak gdyby w innym świecie, równoległym do „TK-17” klasy Akula. Wyglądało na to, że wszystkie problemy, nad którymi biedzili się radzieccy twórcy owego okrętu, tutaj zostały rozwiązane. I ta wspaniała, groźna broń, jaką stworzyli Francuzi, miała zostać zwrócona przeciwko nim samym. Dla Issama było to coś w rodzaju zamkniętego kręgu kosmicznej sprawiedliwości. Tagreb niczego takiego nie dostrzegał. Wiedział po prostu, że zrówna z ziemią miasta jednego z mocarstw Zachodu, cywilizacji, którą za młodu podziwiał, zanim jego oczy otworzyły się na Koran i wyznaczone przez niego ścieżki postępowania. Wraz z nowo odnalezioną wiarą Jusuf zrozumiał jednak także oczyszczającą moc zabijania. Gdyby nie odciął głowy swojemu dawnemu gnębicielowi Dostojewowi, być może czułby inaczej, teraz jednak pojmował, że niewierni nie zasługują na życie. Być może ci Francuzi, którzy przeżyją nuklearną pożogę, jaka zrówna z ziemią ich miasta, ujrzą nagle w sercu światło Allana? Światło, które może ich zbawić.

Aby jednak tak się stało, Jusuf musiał jeszcze poznać systemy kierowania ogniem rakiet balistycznych. Zdążył już nauczyć się o samych rakietach i poznał podstawy komputerowego systemu kierowania ogniem, ale nie umiał jeszcze dobrze go obsługiwać. Wiedział już natomiast, że uda mu się ominąć obwody bezpieczeństwa i zależne od siebie nawzajem wyłączniki. Było to zaskakująco proste. Z początku zdziwił się, że tak łatwo wystrzelić rakiety z głowicami atomowymi człowiekowi, który nie został przeszkolony w ich obsłudze. Doszedł jednak do wniosku, że przecież załoga miała odpalić rakiety już po zaatakowaniu Francji przez nieprzyjaciela, a więc bez dalszych instrukcji z zewnątrz, bez kontrolowanych przez władze i najwyższe dowództwo kodów umożliwiających odbezpieczenie głowic. Spust był zaprojektowany w elegancki sposób - dwa nieco groteskowe plastikowe pistolety na spiralnych kablach. Jeden z owych pistoletów zamknięty był w sejfie w pomieszczeniu kontroli rakiet, drugi zaś w takim samym sejfie w sterówce. Chodziło o to, że kapitan w sterówce musiał nacisnąć spust jednocześnie z oficerem

uzbrojenia siedzącym w pomieszczeniu kontroli rakiet. Dopiero równoczesne wciśnięcie przycisków w obu pistoletach zamykało obwód i powodowało odpalenie rakiet, czyli, mówiąc dokładniej, uruchomienie wytwornicy gazu, która wypychała raketę z wyrzutni. Projektanci nie zastanowili się tylko nad jedną rzeczą, można było obejść pistolet ze spustem umieszczony w sterówce, łącząc zwykłym kabelem dwa przewody pod panelem sterowania MCP-5 w pomieszczeniu kierowania ogniem. W ten sposób skrócony obwód umożliwiał odpalenie rakiet przez jednego człowieka. Doszedłszy do tego, Tagreb wybuchnął głośnym śmiechem. Zdublowany spust miał najwidoczniej na celu uczynienie całego systemu bezpieczniejszym w oczach polityków i obywateli. Wyglądał na bezpieczniejszy, niż był w rzeczywistości.

Jeszcze kilka godzi nauki i Jusuf nauczy się całego systemu. Kiedy tak się stanie, odpali rakiety, wszystkie naraz, pojedynczą salwą. Zastanawiał się, co stanie się potem. Pewnie spróbują uciec dokądś okrętem. Najlepiej do wybrzeża Afryki, Maroka czy Sahary Zachodniej. Mogliby zatopić tam okręt i popłynąć na brzeg na jednej z gumowych tratw wyposażonych w silniki elektryczne. Potem wystarczy podziurawić tratwę nożem, a zatonię razem z silnikiem. W ten sposób po całej operacji nie pozostanie żaden ślad.

Tagreb wytarł się, ubrał i sięgnął po pudełko instrukcji systemów kierowania ogniem raketowym, wydrukowanych z mikrofilmów rysunków, opisów technicznych, wszystko ściśle tajne. Poszedł z nimi do pomieszczenia sonaru, gdzie pełnił wachtę Jaul Karim. Jusuf pozdrowił go i usiadł w wygodnym skórzanym fotelu stanowiska numer dwa. Otworzył pierwszą książkę na pierwszej stronie, a potem podniósł wzrok na ekran naprzeciw siebie. W porównaniu ze stanem sprzed pół godziny, kiedy uruchamiał system, zakłócenia były nieporównanie słabsze. Teraz mógł zobaczyć, co się dzieje dookoła, a działało się niewiele. Spojrzał na górny ekran, był to ekran sonaru niskiej częstotliwości i dużej czułości. Pokazywał sygnały odbierane przez antenę wleczoną. Komputer automatycznie rysował kwadraty wokół sygnałów o interesujących częstotliwościach, przy czym kwadraty migały, jeśli system oceniał, że jest to coś ważnego.

Co chwila obraz znikał, a zaraz potem na ekranie pojawiały się świeżo odebrane, uaktualnione dane. Silny sygnał w pewnym zakresie częstotliwości oznaczał jednostkę pływającą, jeśli widmo częstotliwości nie odpowiadało statkom czy okrętom nawodnym, które zawsze były głośne, znaczyło to, że zbliża się zanurzony okręt podwodny. Tagreb ziewnął. Obsługa tych sonarów była aż za łatwa. „Krasnojarskowi” i „TK-17” daleko było do takiego poziomu nowoczesności.

Ponieważ sonary nie wykrywały niczego niepokojącego, Jusuf skupił się na czytaniu. Minęła godzina, potem druga; Tagreb był całkowicie skoncentrowany na szczegółach skomplikowanych, błyskotliwie zaprojektowanych przez Francuzów systemów kierowania ogniem rakiet balistycznych. A jednak co kilka minut podnosił wzrok i kontrolował wskazania sonaru. W ciągu trzech godzin zdążył przestudiować dwie obszerne instrukcje. W końcu wstał, przeciągnął się, otworzył drzwi i przeszedł do sterówki. Skinął głową, pozdrawiając Diję Wakara, który siedział na stanowisku kierowania ogniem. Wakar, podobnie jak Tagreb, był zgorzchniony postępowaniem Abdula w stosunku do pojmanych dzieci. Jusuf zagryzł usta, próbując oddalić od siebie okropne wspomnienia. Te dzieci, choć niewierne, nie zasługiwały na taki los, jaki zgotował im Fakhri. Nawet jeśli ich przeznaczeniem było umrzeć za kilka dni, w tej chwili może nawet godzin.

Do sterówki wszedł Zouabri.

- Witaj, Jusuf - odezwał się. Kolejny raz zadał pytanie, które Tagreb słyszał dziesięć razy dziennie od chwili, gdy bojownicy opanowali okręt: - Czy zbliżyłeś się do chwili odpalenia rakiet, bracie?

Tagreb pokiwał głową.

- Tak, odpalimy rakiety dzisiaj - odpowiedział. - Pozostało mi jeszcze tylko kilka godzin pracy.

- Znakomicie! Co musisz zrobić w ciągu tych kilku godzin, żebyś mógł wystrzelić rakiety?

- Muszę zapamiętać trzy opasłe instrukcje.

- Zapamiętujesz książki techniczne? Jusuf wzruszył ramionami.

- Wystarczy, że raz przeczytam i mam przed oczami każdą stronę, każdy obwód elektryczny, każde rozwiązanie. To nie jest aż takie trudne.

Zouabri uśmiechnął się.

- Ty naprawdę jesteś darem Allaha.

Dillinger znów stał koło stołu operacyjnego, jak działał się w każdym jego śnie od dnia śmierci Natalie. W niektórych snach Natalie mówiła do niego. Tak było i tym razem. Zazwyczaj po prostu słyszał jej głos. Teraz jednak zobaczył ją poruszającą ustami, co wyglądało dziwnie, ponieważ jej oczy wciąż spoglądały martwo w sufit.

„Peter został poświęcony, aby wypełnić swoje przeznaczenie” - powiedziała.

„Czy to znaczy, że umrze?” - upewnił się Burke.

„Jego misja została wypełniona. Koło się zamyka”.

„Co się dzieje? Czy mogę to powstrzymać. Pomóc mu?” - pytał Dillinger.

Natalie zamrugała nagle oczami, które ożyły. Nie spoglądała jednak na niego, wpatrywała się w sufit. Burke przypomniał sobie, jak obudził się raz w nocy, w tygodniu poprzedzającym ucieczkę „Hamptona” przed huraganem i ćwiczeniami „Nagły Zryw”. Zobaczył, że Natalie patrzy w sufit i płacze, łzy spływały jej po skroni we włosy. Nie odezwał się wówczas, tylko zamknął oczy i spróbował zasnąć z powrotem, nie chcąc przeszkadzać żonie w jakichś szczególnych rozmyślaniach. Rano spytał ją jednak, co się stało. Spochmurniała wówczas na chwilę, a potem powiedziała, że nie płakała, że po prostu przysniło mu się to. Teraz wiedział, że na pewno myślała o swojej chorobie, o tym, jak niewiele życia jej zostało, jak Burke poradzi sobie sam z maleńkim dzieckiem.

„To niedługo się zdarzy, z powodu twojej decyzji” - powiedziała Natalie we śnie.

„Co masz na myśli?”

Nie odpowiadała, patrzyła tylko w sufit.

„Natalie?”

Nagle odezwał się głośno telefon ze sterówki; Dillinger obudził się z przerażeniem. Usiadł na koi, zlany potem. Sięgnął po słuchawkę.

- Tu kapitan - odezwał się. Dobrze przynajmniej, że panował nad głosem.

- Panie kapitanie, tu pierwszy oficer - powiedział Steve Flood. - Oficer dyżurny melduje, że odbieramy sygnał anteną bardzo niskiej częstotliwości. Rozkazałem mu zwolnić i zmniejszyć zanurzenie, aby wyjść na głębokość peryskopową.

Dillinger opuścił słuchawkę. Zakręciło mu się nagle w głowie. Peter został poświęcony, aby wypełnić swoje przeznaczenie, koło się zamyka z powodu twojej decyzji... Burke otarł pot z czoła.

- Doskonale - odpowiedział Burke, podnosząc z powrotem słuchawkę do ucha. - Proszę czekać na mnie w sterówce.

Wstał, zmienił bieliznę, włożył kombinezon i poszedł do sterówki. Pokład już nie drżał, dyżurny zmniejszył prędkość okrętu. Dziób „Hamptona” zaczął unosić się stromo. Dillinger powitał ruchem dłoni oficera dyżurnego, którym był Merc, potem skinął głową w stronę Flooda. Rozejrzał się i wysłuchał raportu o aktualnej sytuacji.

- Jest pan wolny - powiedział do Flooda. - Obejmę dowództwo okrętu - poinformował Merca.

- Tak jest, sir.

- Będę w pomieszczeniu radiowym.

Burke wszedł do pomieszczenia radiooperatorów, wstukując kod do zamka cyfrowego. Przy odbiorniku sygnału bardzo niskiej częstotliwości stał główny radiooperator, bosman sztabowy Marconi. Radiooperator Mikey Selles zaglądał mu przez ramię.

- Dobry wieczór, panowie - powitał ich komandor. - Mamy coś?

- Tak jest - odpowiedział krótko Selles, nie uśmiechając się jak zwykle. - Odebraliśmy anteną ELF nasz kod wywoławczy. Zalecam wyjście na głębokość peryskopową i odebranie komunikatu.

Dillinger odwrócił się na pięcie i wrócił do sterówki. Flood czekał już przy centrum kontroli walki.

- Dyżurny, proszę o raport - polecił Burke.

- Tak jest, panie kapitanie - odezwał się Merc stojący teraz przy peryskopie. - Zanurzenie czterdzieści pięć metrów, kurs zero osiem zero, prędkość siedem węzłów, kontrola aktywna sonaru przeprowadzona, żadnych kontaktów, proszę o pozwolenie na wyjście na głębokość peryskopową.

- Wynurzyć okręt na głębokość peryskopową - rozkazał Dillinger.

- Tak jest - potwierdził Mercury-Pryce. - Radio, sonar, wychodzimy na głębokość peryskopową. Ustabilizować zanurzenie na dwadzieścia metrów! Ster, jedna trzecia naprzód!

- Tak jest, radio do mostka.

- Jest, sonar do mostka.

Pokład przechylił się znowu dziobem w górę, Merc sięgnął ponad głowę i zawołał:

- Rozejrzę się przez peryskop numer dwa!
- Zanurzenie czterdzieści trzy - zameldował oficer zanurzenia.
- Prędkość sześć - dodał sternik.

- Peryskop w górę! - Merc przekręcił zawór obwodu hydraulicznego i peryskop powoli ruszył w górę. Nawigator przyłożył oczy do osłony ekranu peryskopu, opuścił uchwyty i zaczął szybko obracać peryskop wokół osi, jeszcze pod wodą sprawdzając, czy niczego w pobliżu nie ma. Byłoby bardzo niedobrze uderzyć od spodu w supertankowiec, zwłaszcza w tej sytuacji.

- Trzydzieści metrów! - meldował oficer zanurzenia.
- Dobrze - pochwalił Merc.
- Dwadzieścia siedem! Dwadzieścia cztery metry.
- Nie widzę statków ani cieni - powiadomił Merc.
- Dwadzieścia dwa, dwadzieścia jeden metrów!
- Dobrze!... Peryskop wychodzi z wody.
- Dwadzieścia i pół metra.
- Wychodzi z wody.
- Równo dwadzieścia!
- Peryskop nad wodą!

Zapadło milczenie, podczas gdy oficer dyżurny wykonywał jak najszybciej kręgi peryskopem, aby dostrzec ewentualny zbliżający się statek czy okręt nawodny. Wynurzając się, można trafić na jakąś jednostkę i zderzyć się z nią. Obsada sterówki wstrzymała oddechy, czekając na komendę „awaryjne zanurzenie”. Merc milczał jednak, już spokojniej kręcąc peryskopem.

- Żadnych bliskich obiektów! - zameldował. - Bosmanie, proszę podnieść maszt radiowy!

Rozległ się odgłos hydrauliki i dyżurny bosman podniósł maszt antenowy HDR.

- Sterówka do radia, maszt HDR w górze! - zameldował.

- Radio do sterówki, zrozumiałem - odpowiedział przez głośnik bosman sztabowy Marconi. A po chwili zameldował: - Radio do mostka, wiadomości odebrane, maszt HDR idzie w dół, zalecam zanurzenie.

- Zanurzyć okręt i całą naprzód - rozkazał Dillinger. - Idę do radia. Mikey Selles wszedł do sterówki i podał mu notatnik z przypiętym wydrukiem ściśle tajnej wiadomości. Burke powoli przeczytał ją raz, a potem drugi. Podał pierwszemu oficerowi, żeby sam ją przeczytał.

- Kurwa - zaklął Flood.

- Właśnie. Proszę zebrać chłopców w mesie.

Czas znowu przyśpieszył. Następną godzinę minęła jak z bicia strzelił. Oficerowie powstawali z miejsc i wyszli z mesy. Na ściennym ekranie wciąż widniała mapa półkuli północnej.

- Proszę zostawić na chwilę mapę - odezwał się Burke do nawigatora. Podniósł filiżankę z kawą i usiadł z powrotem.

Flood także postanowił zostać. Wpatrywał się w swoją filiżankę, mieszając kawę ze śmietanką, którą oficer aprowizacyjny zdobył przed wyjściem z portu.

- I co pan myśli? - spytał Dillinger.

Flood popatrzył na mapę. Wyglądała mniej więcej tak, jakby satelita zrobił zdjęcie z wysokiej orbity, unosząc się nad środkową częścią północnego Atlantyku.

- Wszyscy się mylili - skwitował Flood. - Terrorysty wcale się nie spieszyli, tylko płynęli powoli i cicho. Dopóki coś im nie nawaliło. Dzięki temu ich znaleźliśmy.

Nadszedł raport sytuacyjny. Okazało się, że ludzie, którzy prowadzili „Le Vigilanta”, popełnili poważny błąd. Przed pięcioma godzinami wykryto wyjątkowo głośny odgłos w basenie wschodniego Atlantyku, na wysokości północno-zachodniego krańca Hiszpanii. Oznaczał przedmuchiwanie wytwornic pary albo otwarcie zaworu bezpieczeństwa pierwotnego obwodu chłodzenia, w każdym razie za burtę została wyrzucona przegrzana woda, wywołując łoskot donośniejszy od ryku silnika raketowego. Gdyby terroryści na tym poprzestali, udałoby im się pewnie uniknąć wykrycia. Jednak chwilę później odezwał się w tym samym miejscu głośny silnik Diesla i pracował przez ponad półtorej godziny. Przez tak długi czas ustalono dokładnie pozycję „Le Vigilanta” dzięki metodzie triangulacyjnej, odgłosy odbierało jednocześnie wiele

sonarów. Jako pierwszy usłyszał je dowodzony przez Vornado „Teksas”, który krążył na północ od Azorów, czekając na ewentualne pojawienie się okrętu terrorystów. Sonarzyści „Teksasu” zorientowali się, że odgłosy dochodzą z kierunku południowo-wschodniego; ponieważ niedaleko znajdowała się Francja i Hiszpania, ograniczało to położenie „Le Vigilanta” do stosunkowo niewielkiego obszaru. Odebrano jednak dodatkowe dane z sonarów systemu SOSUS rozmieszczonych na środkowym Atlantyku wzdłuż południka czterdziestego piątego, a także ze starszego szeregu sonarów ciągnących się od Grenlandii do Islandii oraz od Islandii do Szkocji. Przecinające się linie wskazywały pozycję „Le Vigilanta” z dokładnością do kilkuset mil morskich. Wcześniej na mapie widniały olbrzymie okręgi wynikłe z przyjęcia założenia, że terroryści mogli płynąć z prędkością dziesięciu lub nawet dwudziestu węzłów; sprawiało to, że załogi poszukujących ich okrętów martwiły się, że szukają igły w stogu siana. Teraz jednak „Le Vigilant” sam zdradził im swoją pozycję.

„Teksas” skierowano w stronę Brestu, aby znalazł się na wschód od ściganego okrętu. Dillingerowi rozkazano natomiast skorygować kurs „Hamptona” nieco bardziej na północ i wciąż płynąć z maksymalną szybkością. Stratedzy z admiralicji chcieli, aby „Le Vigilant” znalazł się pomiędzy ich dwoma okrętami myśliwskimi. Obszar działań, ale i możliwości zmniejszyły się radykalnie. Pierwotny plan operacyjny przewidywał znalezienie „Le Vigilanta” na środku Atlantyku, gdzie grupy bojowe okrętów nawodnych mogły zacieśnić wokół niego swoją sieć, wówczas „Teksas” i „Hampton” wpłynęłyby do środka i zaatakowały. Teraz oba amerykańskie okręty oraz wszystkie grupy bojowe znajdowały się zbyt daleko na zachód od porwanego nosiciela rakiet, ten zaś miał za sobą wybrzeże Francji. Wschodnia część Atlantyku pomiędzy Wielką Brytanią, Francją i Hiszpanią jest płytsza niż rejon Azorów. Mogło to ułatwić zadanie sonarzystom, choć z drugiej strony francuskie siły przeciwpodwodne, które wypłynęły z Brestu, w tej chwili stanowiące już część sił biorących udział we wspólnej operacji państw NATO, powodowały mnóstwo hałasu.

- Czułbym się lepiej, gdyby na polu walki pozostał tylko „Hampton” i „Teksas”, no i oczywiście „Le Vigilant” - odezwał się Burke. - Teraz na północ od niego jest mnóstwo okrętów brytyjskich, a od strony Brestu francuskich. Będziemy widzieć w rejonie celu zbyt wiele zanurzonych okrętów.

- Może dowództwo powinno nam kazać poczekać w pewnej odległości od Azorów, aż terroryści wypłyną dalej na zachód?

- Szkoda czasu - ocenił Dillinger. - Ich specjalista wkrótce nauczy się odpalania rakiet; a z tak niewielkiej odległości z pewnością trafi.

- „Teksas” dopadnie tych skurwysynów pierwszy - zauważył ponuro Flood.

- Nie wiadomo - odparł Burke ogarnięty dziwnym uczuciem. O co chodzi? Dreszcz przeszedł mu od ramion w dół, wzdłuż kręgosłupa. Wyczuwał ją. Czuł, że Natalie znajduje się koło niego, w mesie oficerskiej „Hamptona”, dwieście metrów pod powierzchnią Atlantyku. Rozejrzał się ciekaw, czy zobaczy jej ducha, tak jak zdarzyło się to pamiętnej nocy w jego sypialni; nie widział jednak niczego szczególnego.

- Panie kapitanie? - odezwał się Flood. - Co się stało? Pobladł pan, wygląda pan jak duch.

- Słucham? Nie, nic, zamyśliłem się - odpowiedział Burke.

- W takim razie nie będę panu przeszkadzał, panie kapitanie - oznajmił Flood i wyszedł. Dillinger ledwie to zauważył. Został w mesie sam. Chronometr pokazał pierwszą w nocy.

Ona ciągle tu była.

„Natalie? - spytał w myśli Burke. - Czy to ty?” Czym innym było słyszeć jej głos w snach, a czym innym czuć jej obecność i słyszeć jej głos, gdy się czuwało.

„Słucham?” - odezwał się nie wiadomo skąd głos Natalie, a Burke poczuł lęk.

„Natalie, tak okropnie za tobą tęsknię!”

Nie odpowiadała, ale poczuł falę ciepła.

„Czy przyszłaś tu z jakiegoś powodu?” - spytał z kolei.

„Tak” - usłyszał.

„Czy chodzi o to, że chcesz mi coś powiedzieć?”

Obecność Natalie najsilniej wyczuwał przy mapie. Popatrzył więc na nią, na linie obrazujące kierunki, z których odebrały sygnał hydrofony SOSUS oraz „Teksasu”. Linie te przecinały się na wschodnim Atlantyku w odległości czterystu mil morskich na zachód od Brestu. Natalie istniała tam, w migającym punkcie przecięcia się linii prostych.

„W chwili podejmowania decyzji...” - odezwała się powoli.

„Tak? Słucham cię”.

„Burke, w chwili podejmowania decyzji, nie zawahaj się. Peter ocalił ci życie. Ty nie będziesz w stanie uratować Petera”.

Co?! Cóż to miało znaczyć? Peter i „Teksas”...

„Natalie, czy Peter Vornado zginie?” - upewnił się.

Przez kilka sekund nie słyszał żadnej odpowiedzi. A potem głos Natalie powtórzył:

„W chwili podejmowania decyzji, nie zawahaj się, Burke”.

I nagle Natalie zniknęła, a wraz z nią dziwne uczucie w plecach i ramionach Dillingera. Czuł się teraz tak, jakby nic się nie stało. Potrząsnął głową, zastanawiając się, czy zasnął przy stole. A jednak cały czas pozostawał w pełni świadomy. Patrzył tępo w filiżankę z kawą. Znow mu wystygła. Podniósł filiżankę; dłoń drżała mu tak, że rozlał kawę na rękaw kombinezonu. Odstawił ją do zlewu, wyłączył ekran i poszedł do swojej kajuty, próbując wyteńczyć zmysły i ponownie wyczuć Natalie. Jednak jej już nie było.

Czy może wierzyć w to, co usłyszał? Czy po prostu świadczy to o tym, że jest chory psychicznie? Że powinien na stałe przekazać dowodzenie „Hamptonem” Floodowi? Ale jeśli naprawdę go odwiedziła? Co w takim razie oznaczały jej słowa? Że nie będzie w stanie ocalić Petera Vornado? Pokręcił głową. Niech ta operacja wreszcie się skończy, w ten czy inny sposób.

Pułkownik Augustę Guischar, dowódca elitarnej francuskiej jednostki antyterrorystycznej, poprawił słuchawki. Wyglądał ponuro przez okno śmigłowca NH90, lecąc wzdłuż Sekwany ponad centrum Paryża. Maszyną wstrząsały turbulencje od pożarów w mieście. Augustę pokręcił głową. To było coś okropnego. Myślał, że rzeźnia, jaką stał się magazyn, gdzie przetrzymywali zakładników terroryści, którzy porwali „Le Vigilanta”, to najokropniejszy widok, jaki było mu dane oglądać; jednak ewakuacja Paryża była czymś jeszcze gorszym. W dole, w ciemności kończącej się pomału nocy, widać było czerwone sznury świateł renówek, citroenów, autobusów, motocykli i skuterów, które zatkały wszystkie wychodzące z miasta ulice, zakorkowały autostrady. Na ulicach kłębiło się mnóstwo rowerzystów i pieszych. Masowy exodus z wielkiej metropolii stanowił przygnębiający widok. Od czasu ogłoszenia, że Paryż jest bardzo poważnie zagrożony atakiem atomowym, w godzinę po starcie ostatniego śmigłowca rządowego, który zabrał odpowiedzialnych za te wydarzenia polityków do bezpiecznego i wygodnego podziemnego bunkra, paryżanie w panice powrzucaли do walizek ubrania, pieluszki i butelki z wodą, poupychali, co się dało w bagażnikach samochodów albo sakwach rowerów i ruszyli w stronę tak zwanej strefy bezpieczeństwa, czyli pierścienia znajdującego się w odległości stu pięćdziesięciu kilometrów od wieży Eiffła. Guischar wiedział, że nawet ci uchodźcy, którzy znajdują się w stawianych przez jednostki obrony terytorialnej namiotach w strefie bezpieczeństwa, mogą nie uniknąć śmiertelnej dawki promieniowania. Bóg wie, w którą stronę zawieje wiatr, gdy wyrośnie grzyb atomowy. Różne męty przystąpiły do grabieży. Dowodziły tego liczne pożary. Panika wśród uciekającej ludności spowodowała ofiary, wypadki, korki na drogach i bójki. Szacowano, że już około dziesięciu tysięcy ludzi poniosło śmierć, a rannych było być może cztery razy tyle. Jeśli nawet atak nuklearny nie nastąpi, zniszczenia spowodowane paniką trzeba będzie usuwać latami. Augustę pomyślał, że Paryż podobnie musiał wyglądać w 1940 roku, kiedy wkraczali do niego hitlerowcy.

W dole, na ulicach, policja, wojsko i żandarmeria usiłowały patrolować miasto. Miały chronić dobra materialne, na wypadek gdyby udało się uniknąć ataku. Poza tym wyszukiwano tych, którzy nic nie słyszeli o ewakuacji. Wydawało się, że to nie do uwierzenia, ale byli tacy - niepełnosprawni, stroniący od ludzi chorzy psychicznie, samotni staruszkowie, pamiętający jeszcze II wojnę światową. Policjanci i żołnierze

robili, co mogli, aby ich ewakuować. Jednak trzy tysiące uzbrojonych funkcjonariuszy nie było w stanie zaradzić wszystkiemu w ogarniętej paniką wielomilionowej metropolii. Tym bardziej że każdy z nich czuł śmiertelny strach. Tuż przed wejściem na pokład śmigłowca Guischarde rozmawiał z żołnierzami, których pozostawiano w mieście. Każdy z nich co chwila spoglądał w niebo, sprawdzając, czy nie nadlatują z naddźwiękową prędkością głowice.

Nawet Guischarde nie był w stanie przestać myśleć o zbliżającej się tragedii. Został dowódcą sił patrolujących Paryż, co oznaczało, że zginie wraz ze swoimi żołnierzami. Kiedy nadlecą głowice? Za dwie godziny? Za dwa dni? A może za dziesięć? Jak umiera się w rozpalonym do białości ogniu atomowej eksplozji? Czy zdąży odczuć ból, zanim jego ciało wyparuje? Czy w jednej sekundzie będzie żywym, myślącym i czującym człowiekiem, a w drugiej już tylko plazmą rozproszonych po okolicy cząstek elementarnych, znacznie mniejszych od atomu?

Zacisnął zęby, próbując nie okazywać strachu. Rozkazał pilotowi skierować maszynę na południowy wschód. Nawet Auguste Guischarde nie był w stanie powstrzymać się od wyglądania przez szybę ponad głową, zerkania w ciemnoniebieskie, rozgwieżdżone, upstrzone dymami pożarów niebo, w poszukiwaniu smug nadlatujących głowic.

Jusuf Tagreb z westchnieniem zamknął ostatnią instrukcję systemu kierowania ogniem SAD, czyli *Systeme d'Armes de Dissuasion*. Służył do wprowadzania danych potrzebnych do wycelowania oraz odpalenia znajdujących się na pokładzie rakiet balistycznych. Jusuf postanowił pójść do pomieszczenia kontroli rakiet i tam odłożyć ważące ze dwadzieścia kilogramów podręczniki, na wypadek gdyby znowu ich potrzebował. Poza tym zamierzał wykonać obejście pod panelem MCP-5, aby nie trzeba było wyciągać z sejfów dziwacznych, plastikowych pistolecików.

Spojrzał na zegarek, nie spał już od dwudziestu godzin. Pomyślał, że najlepiej będzie, jeśli prześpi się przed przystąpieniem do procedury odpalania rakiet. Według czasu Greenwich był sam środek nocy, czwartek, drugi października. Tagreb wszedł do pomieszczenia kontroli rakiet, odłożył pudełko z instrukcjami, a potem uruchomił wszystkie urządzenia. Po pół godzinie czuł się już pewnie, zaabsorbował świeżo wchłoniętą wiedzę, konfrontując schematy obwodów, gdzie pozaznaczano wyłączniki, zasilanie, blokady i przekaźniki, z rzeczywistymi przyrządami, wskaźnikami i szafkami pełnymi urządzeń. Całe pomieszczenie kontroli rakiet było jak gdyby jednym wielkim spustem, ze wszystkimi zabezpieczeniami, jakich potrzebowało tak potężne działo. Jego komputery pobierały także dane z inercyjnego systemu nawigacyjnego w

znajdującym się na górnym pokładzie pomieszczeniu nawigacyjnym. Żadna rakiet nie mogła bowiem trafić w cel, jeśli nie było znane położenie wyrzutni z dokładnością do dziesięciu metrów. Komputery były także połączone z samymi raketami i mogły przysyłać do ich komputerów współrzędne celów. Wielogłowicowy moduł balistyczny każdej pojedynczej rakiety był w stanie rozdzielić poszczególne głowice i sprawić, że spadną w odległości nawet do stu kilometrów od siebie, mógł też skierować je tak, aby upadły blisko siebie i straszliwym uderzeniem zmiotły z powierzchni ziemi wielkie miasto. Tagreb pomyślał, że wyceluje w Paryż aż osiem raket - połowę wszystkich, jakie miał „Le Vigilant”. Miasto wraz z przedmieściami było ogromne, zajmowało obszar o średnicy mniej więcej sześćdziesięciu kilometrów. Gęsto zaludnione tereny ciągnęły się jeszcze dziesiątki kilometrów dalej. W obrębie organizmu miejskiego, objętego zasięgiem podmiejskiej kolejki, mieszkało ponad piętnaście milionów ludzi. Dwie rakiety postanowił wymierzyć dokładnie w wieżę Eiffla, nastawiając wszystkie sześć głowic pierwszej na eksplozję naziemną, trzy metry nad ziemią. Kolejne sześć głowic miało eksplodować na wysokości trzystu metrów, aby fala uderzeniowa sięgnęła wszystkiego, co ocalało po wybuchu pierwszych trzech. Pozostałe trzydzieści sześć głowic miało spaść osobno i wybuchnąć tuż nad ziemią, nad miejscami stanowiącymi polityczne, społeczne i kulturalne centra Paryża.

Wybór celów stanowił ulubione zajęcie Zouarbiego. Zappełnił zajętą przez siebie kajutę kapitana mapami Francji, na których pozaznaczał Paryż, Lille, Orlean, Strasburg, Brest, Le Havre, Dunkierkę, Metz, Lyon, Marsylię, Tulon, Niceę, Perpignan, Rouen, Tuluzę, Bordeaux, Tours, Limoges, Nantes. Na każde z osiemnastu drugorzędnych w stosunku do Paryża miast miały spaść po dwie stopięćdziesięciokilotonowe głowice. Pozostawało jeszcze dwanaście głowic na cele trzeciego rzędu, na jakie zostały wybrane Vierzon, Le Mans, Moulins, Clermont-Ferrand, Montpellier, Arcachon, LaRochele, Brivela-Gaillarde, Montiucon, Besancon, Saint-Dizier i Saint-Nazaire. Dla każdego z celów Issam wybrał miejsce eksplozji głowicy, a także wysokość, na jakiej miał nastąpić wybuch. Osobiście wyznaczył nawet dokładne współrzędne geograficzne miejsca wybuchu każdej z głowic oraz kolejność odpalania raket i podział poszczególnych modułów balistycznych na głowice.

Tagreb spytał go, czy nie chce wycelować części raket w Moskwę, Waszyngton, Berlin, Frankfurt, Nowy Jork albo Londyn. Z początku Zouabri popatrzył na niego z zaskoczeniem, a potem skinął głową i przeznaczył dwie rakiety na inne cele - głowice jednej rozdzielił pomiędzy Waszyngton a Nowy Jork, drugą zaś kazał skierować na Moskwę. Nie zgodził się jednak bardziej zmniejszyć liczby głowic, które miały spaść na Francję, choć Tagreb sugerował użycie jeszcze dwóch raket przeciwko innym krajom. Następnie Zouabri poszedł do swojej kajuty, aby

zdecydować, czy w związku z tym niektóre z francuskich miast drugorzędnych mają zostać trafione pojedynczymi głowicami, czy też oszczędzić pewne miejscowości wybrane na cele trzeciorzędne. Jusuf zdawał sobie sprawę, że zaprogramowanie szesnastu rakiet musi zająć nieco czasu. Usiadł więc z powrotem na stanowisku numer jeden i zaczął programować raketę numer 01 tak, aby wszystkie jej głowice trafiły w wieżę Eiffla.

Jusuf skupił się całkowicie na programowaniu rakiet i ich głowic. Czasem opadały mu ręce, bo okazało się to bardzo skomplikowane. Informatycy, którzy stworzyli system kierowania ogniem SAD, musieli chyba pracować w pośpiechu albo zabrakło im wyobraźni, w każdym razie poszczególne elementy oprogramowania nie znajdowały się tam, gdzie intuicyjnie należało się ich spodziewać. Gdyby Jusuf miał jeszcze tydzień, mógłby zoptymalizować oprogramowanie, upraszczając jego obsługę. Nie o to jednak w tej chwili chodziło. Po wprowadzeniu wszystkich danych do pierwszej rakiety Tagreb spojrzął na zegarek. Minęła równo godzina. Programowanie komputera drugiej rakiety zajęło mu zaledwie dwadzieścia minut. Nabrał w związku z tym nadziei, że ostatnie rakiety będzie programował po pięć minut każdą.

Zaprogramowawszy trzecią raketę, wstał i wbiegł po trapie do pomieszczenia sonaru, aby upewnić się, czy wszystko w porządku oraz czy Karim i Jawadi czuwają. Piętnaście minut Jusuf spędził na stanowisku sonarzysty, analizując odbierane sygnały, aby mieć pewność, czy nie zbliżają się żadne okręty podwodne ani jednostki nawodne. Morze było jednak zaskakująco puste. Zaczął żałować, że powiadomił władze o zakładnikach w magazynie. Brak statków na morzu go niepokoił. Jeśli sonar działał prawidłowo, francuska marynarka wojenna rozkazała statkom handlowym zmienić zwykłe trasy, aby łatwiej było odnaleźć i zatopić „Le Vigilanta”. Jusuf zmarszczył brwi, a optymizm, jakiego niedawno nabrał, przygasł odrobinę. Szacował, że zaprogramowanie reszty rakiet oraz wynurzenie okrętu na głębokość strzału zajmie mu w sumie około dwóch godzin. Godzinę po odpaleniu przez niego salwy cała francuska cywilizacja zostanie zniszczona, zaś Moskwa, Waszyngton i Nowy Jork będą płonącymi zgliszczami. Niewiernym zostanie zadany śmiertelny cios, a Issam Zouabri zajmie należne mu miejsce przywódcy nowego rządu Algierii. Co stanie się z Jusufem? Czy Issam zaproponuje mu jakieś wysokie stanowisko w państwie, czy też może zapłaci mu i go odeśle?

Tagreb wpatrywał się w nic nieznaczący szum tła na ekranie szerokopasmowego sonaru. Próbował wysilić intuicję i odnaleźć w stogu siana igłę, śmiercionośną igłę, która mogła zbliżyć się w celu pozbawienia go życia. Mimo to nic nie widział, jeśli nie liczyć niesamowitych odgłosów odległych wielorybów, szmeru ławic krewetek oraz pojedynczych odgłosów silników spalinowych dochodzących skądś zza horyzontu.

Popatrzył na ekran wąskopasmowego procesora odbieranych sygnałów, komputer dzielił odgłosy oceanu na porcje i wyszukiwał w nich charakterystyczne hałasy powodowane przez człowieka, o częstotliwościach od najwyższych aż do najniższych. Nie było jednak widać niczego interesującego. W końcu Jusuf wstał, ściągnął słuchawki i przeszedł do sterówki. Wyglądało na to, że sternicy czuwają. Kutuz Madari, który pełnił wachtę na stanowisku kierowania ogniem, skinął na Tagreba głową i wyregulował wskazania swojego ekranu, aby wzmocnić sygnał odległego statku o napędzie spalinowym. Robił to, żeby nabrać wprawy. Jusuf nachylił się nad pulpitem Madariego i udzielił mu kilku wskazówek, a potem przeszedł do pomieszczenia nawigacyjnego. Popatrzył na wyświetlacz map, upewniając się, że okręt płynie na południowy zachód z prędkością czterech węzłów. Nie przepłynęli wiele od czasu opuszczenia Brestu. Mieli jednak już za sobą Zatokę Biskajską i przylądek Ortegal - najdalej na północny zachód wysunięte miejsce Hiszpanii. „Le Vigilant” wpływał właśnie w zachodnioeuropejski basen wschodniego Atlantyku. Za kolejne dwanaście godzin Tagreb zamierzał skrócić na południowy zachód, kierując się pomiędzy archipelag Azorów a Madere. Początkowo myślał o odpaleniu rakiet stamtąd. Potem popłynąłby na południe, aż do zwrotnika Raka. Jeśli jednak uda się odpalić rakiety wkrótce, stosunkowo niedaleko od wybrzeża Hiszpanii, najlepiej będzie odpłynąć z maksymalną prędkością na południe, w kierunku granicy Maroka i Sahary Zachodniej, gdzie można by zatopić okręt i przedostać się wraz z pozostałymi bojownikami na plażę. Zmierzył odległość od miejsca strzału do najbardziej odległych celów. Waszyngton i Nowy Jork znajdowały się w odległości bliskiej zasięgowi rakiet, który wynosił sześć tysięcy kilometrów. Moskwa - podobnie. Gdyby płynęli szybciej, Moskwa znalazłaby się poza zasięgiem rakiet balistycznych M45, którymi dysponował. A Tagreb chciał uderzyć w Moskwę znacznie bardziej niż w miasta amerykańskie czy francuskie.

Postanowił coś zjeść, a potem wrócić do programowania rakiet. Uznał, że powinien odtąd co pół godziny sprawdzać obraz z sonarów oraz sytuację na stanowisku kierowania ogniem. Za dwie godziny rakiety powinny być gotowe do odpalenia. A zatem słońce wschodziło dziś nad Republiką Francuską po raz ostatni. Rakiety spadną na Paryż mniej więcej o szóstej rano. Być może zbyt wcześnie. Postanowił spytać Zouabriego, czy nie woli, aby rakiety uderzyły już po porannym szczycie, dzięki czemu można by zabić więcej ludzi. Issam pozostawił jednak w pomieszczeniu kontroli rakiet kartkę, na której napisał, że prześpi się dwie godziny. Nagle również Jusuf poczuł senność. Wiedział, że po wycelowaniu rakiet odpali je salwą. Będą startować w sześćdziesięciosiekundowych odstępach, zatem cała salwa potrwa szesnaście minut. Podczas tych szesnastu minut okręt będzie absolutnie bezbronny. Potem czeka ich ucieczka z maksymalną prędkością, ponieważ przeciwnicy

będą już znali pozycję „Le Vigilanta”. Tagreb wybrał kurs, którym zamierzał uciekać. Wiedział, że może trafić tam jednak na czekających nieprzyjaciół. W takim razie będzie musiał z nimi walczyć, spodziewał się tego zresztą. Bardziej bał się okrętów podwodnych niż nawodnych. Postanowił odwiedzić magazyn torped, aby poprawić sobie samopoczucie. Wiedział, że powinien siedzieć w pomieszczeniu kontroli rakiet i dokończyć ich programowania, ale mimo wszystko chciał się upewnić, że na wypadek odnalezienia „Le Vigilanta” przez wrogi okręt podwodny, będzie mógł wystrzelić torpedy. Musiały być gotowe.

W magazynie torped dyżurowali Mubin Sabet i Latif Wahdat. Właściwie nie dyżurowali, lecz spali na materacach, które położyli na pokładzie pomiędzy stosami torped ECAN L5 Mod 3. Tagreb przestąpił ostrożnie ponad nimi. Nie gniewał się na nich, że śpią na wachcie, nie mieli nic do roboty, dopóki okręt nie znajdował się w opałach. Jeśli oczywiście spełnili jego polecenia i przygotowali torpedy w wyrzutniach.

Podszedł do drzwiczek wyrzutni. Tak jak rozkazał, lewoburtowe wyrzutnie załadowano urządzeniami Mod 17 zakłócającymi sonary. Wyglądały tak samo jak torpedy ECAN L5. Po prostu z torped pousuwano głowice i zastąpiono je wytwornikiem hałasu i komputerem sterującym. Urządzenie udawało przepływający okręt klasy Triumphant i sonary nieprzyjaciela nie były w stanie odróżnić Mod 17 od „Le Vigilanta”. Mod 17 mógł uratować Tagreba i jego towarzyszy, gdyby odpalono przeciwko nim torpedy. Wyrzutnia numer 2 była odbezpieczona, a jej zewnętrzna pokrywa otwarta. Pokrywa wyrzutni numer 4 była zamknięta, a sama wyrzutnia zabezpieczona, ale podłączono do niej zasilanie. Doskonale. Jusuf przeszedł na prawą burtę, tu wyrzutnie były załadowane prawdziwymi torpedami ECAN. Wyrzutnia numer 1 była odbezpieczona, a jej pokrywa otwarta. Wyrzutnia 3 zamknięta, zabezpieczona, ale podłączona do zasilania. Idealnie. Wrócił niespiesznym krokiem do pomieszczenia kontroli rakiet. Odczuwał coraz większe zmęczenie. A człowiek zmęczony gorzej rozumuje, popełnia więcej błędów. Tagreb ziewnął i polecił swojemu asystentowi Wafikowi Algosaubiemu zaparzyć świeżej kawy i przynieść do pomieszczenia kierowania ogniem cały dzbanek. Czekając na kawę, zaczął programować raketę numer 04.

Torpeda Mark 48 ADCAP płynęła kursem południowo-zachodnim z prędkością dwudziestu czterech węzłów. Była to średnia prędkości torpedy pozwalająca na sprawne pokonywanie odległości przy jednoczesnym zachowaniu względnej ciszy. Torpeda została wystrzelona przed sześcioma minutami. Wcześniej spoczywała w wyrzutni numer 1 po prawej burcie USS „Teksas”. Przez ostatnie pół godziny pokrywa wyrzutni była otwarta, wyrzutnia była podłączona do zasilania i odbezpieczona, a żyrokompas torpedy pracował. Przed dwudziestoma siedmioma

minutami cienka wleczona antena sonaru „Teksasu” zaczęła odbierać odgłosy o wąskim zakresie częstotliwości. Dotarły długą anteną, a następnie przewodami wewnątrz okrętu aż do komputera analizującego widmo sygnałów odbieranych przez sonary systemu FY08 BQQ-5. Z początku nie oznaczało to nic nadzwyczajnego, gdyż analizowane były wszystkie wychwytywane odgłosy. Jednak ten dźwięk miał taką częstotliwość i widmo, że okazał się poszukiwaną igłą w stogu siana. Na jednym z ekranów sonaru pojawił się wysoki, pionowy sygnał o środkowej częstotliwości charakterystycznej dla turbogeneratorów okrętu podwodnego klasy Triumphant. Dyżurny sonarzysta zaalarmował dyżurnego podoficera sonaru, ten zaś oficera dyżurnego. Wreszcie oficer dyżurny powiadomił dowódcę okrętu, Petera Vornado. Vornado rozkazał obsadzić stanowiska bojowe i w ciągu kilku minut nakierował okręt na cel oznaczony już jako Echo Jeden, którym musiał być porwany „Le Vigilant”. Posiadane dane z powodzeniem wystarczyły do wystrzelenia całej salwy torped i trafienia w Echo Jeden.

Dane Echo Jeden, jego azymut, odległość, prędkość oraz kurs zostały przesłane przypominającym pępowinę przewodem do torpedy Mark 48 w wyrzutni numer 1. Torpeda potwierdziła odebranie danych, niczym posłuszny pies myśliwski, który zaszczekał w odpowiedzi na polecenie pana. Mijały sekundy odliczania, po czym odłączono zewnętrzne zasilanie torpedy. Chwilę później ciśnienie za torpedą ogromnie wzrosło i torpeda została wypchnięta z wyrzutni, niczym kawałek plasteliny z dziecięcego pistoleciku. Torpeda wpadła do wody; zamknął się obwód uruchamiający pompę paliwa i otwierający jego zawór przy komorze spalania, włączony został zapłon. Poruszona przepływem wody śruba napędowa spowodowała rozruch silnika. Torpeda przyspieszyła dzięki własnemu napędowi i oddaliła się od okrętu, ciągnąc za sobą długi przewód służący do sterowania nią i ustalenia jej pozycji.

Kurs torpedy nie prowadził prosto do celu. Kierowała się tam, gdzie cel znajdzie za dwadzieścia osiem minut.

Osiem minut później kadłub „Teksasu” opuściła druga torpeda. Po dwóch minutach z dziobowej wyrzutni boi sygnałowych wyrzucono boję SLOT z nadajnikiem. Wypłynęła na powierzchnię oceanu, a kiedy jej pionowa antena wyskoczyła z wody, boja szybko nadała raport sytuacyjny, który zapisał uprzednio w jej pamięci oficer łączności okrętu. Na raport sytuacyjny składały się: aktualna pozycja „Teksasu”, szacunkowa pozycja celu oraz aktualny status ataku torpedowego. Wiadomość została przekazana dowództwu zarówno za pośrednictwem krążącego w górze patrolowego samolotu marynarki, który sam szukał „Le Vigilanta”, jak i za pośrednictwem satelity telekomunikacyjnego marynarki. Po paru sekundach meldunek odebrano w naczelnym dowództwie marynarki oraz w Centrum Operacyjnym Pentagonu. Śledzący

przebieg operacji oficerowie dyżurni natychmiast zakodowali swoją wiadomość dla „Hamptona”, którą przesłali za pośrednictwem satelity w rejon bitwy; ich wiadomość zawierała dane przesłane przez „Teksas”. Jednocześnie ci sami oficerowie dyżurni powiadomili połączony komitet szefów sztabów oraz prezydenta, że największe zagrożenie już chyba minęło.

Torpeda płynęła cicho dalej, na samobójcze spotkanie z „Le Vigilantem”, które miało nastąpić już za siedemnaście minut. Dwie minuty przed zderzeniem torpeda osiągnie punkt, w którym uzbroi głowicę i rozpocznie przeszukiwanie okolicy sonarem pasywnym, po trajektorii przypominającej korkociąg. Po wykryciu celu uaktywni sonar, przyspieszy do trzydziestu dziewięciu węzłów i zacznie manewrować tak, aby trafić prosto w cel. Zanim jednak to nastąpi, magnetyczne sensory zapalnika wyczują stal kadłuba okrętu-celu i uruchomią zapalnik zbliżeniowy. Wówczas osiemset kilogramów materiału wybuchowego HBX wybuchnie, wybijając wielką dziurę w nieprzyjacielskim okręcie. Nie będzie to dobry dzień dla jego załogi.

Jak dotąd przewodem łączącym torpedę z „Teksasem” nie napływały żadne nowe dane ani sygnały. Brak wiadomości oznaczał w tym przypadku dobrą wiadomość. Torpeda zmierzała dalej cicho do celu, podczas gdy malała liczba sekund dzielących ją od spotkania z przeznaczeniem.

- Jakie wiadomości? - spytał czuwający na mostku Dillinger. „Hampton” wynurzył się na głębokość peryskopową natychmiast po odebraniu pierwszej litery swojego kodu wywoławczego przez antenę ELF. Kilka sekund po przebiciu powierzchni oceanu przez peryskop odebrano wiadomość z satelity. Zaraz potem okręt zanurzył się z powrotem na głębokość dwustu pięćdziesięciu metrów, na której sygnały odbierane przez sonary z najdalszych odległości są najsilniejsze.

Selles podał notatnik z wiadomością Mercowi, który pełnił wachtę oficera dyżurnego. Jednocześnie spojrzął na Dillingera i odpowiedział:

- „Teksas” wykrył cel. Podał wszystkim pozycję „Le Vigilanta” i wystrzelił przeciwko niemu salwę torpedową.

- Kurwa! - zaklął Steve Flood. - Już po wszystkim. Na darmo płynęliśmy taki kawał drogi.

Burke się uśmiechnął.

- Właśnie zapobieżono tragedii na skalę globalną, a sytuacja zbliża do pomyślnego rozwiązania dzięki naszemu staremu przyjacielowi Peterowi Vornado. Jak może być to dla pana zła wiadomość?! Dyżurny, pełne zanurzenie, prędkość dwadzieścia węzłów. Obliczyć kurs na spotkanie z celem, zgodnie z danymi przesłanymi przez „Teksas”.

- Tak jest!

- I obsadzić ciche stanowiska bojowe.

- Tak jest, panie kapitanie! - odparł Merc. - Bosman, obsadzić ciche stanowiska bojowe!

Członkowie załogi zameldowali się na swoich stanowiskach i już po chwili sterówka była pełna ludzi. Dillinger spojrzął na mapę. „Teksas” miał wielkie szczęście. Okręt Petera płynął po wielkim łuku do Zatoki Biskajskiej z obszaru, który patrolował poprzednio. Znalazł się tam zgodnie z założeniem, że terroryści płynęli przez cztery doby z prędkością dziesięciu węzłów. Rozkaz operacyjny zlecał teraz Vornado kurs na Bordeaux, potem skręcenie na północ, ku Brestowi i krańcowi Wielkiej Brytanii, wzdłuż południka piątego długości geograficznej zachodniej. Potem Peter miał ewentualnie zawrócić i popłynąć ku północno-zachodniej Hiszpanii, zygzakując w poszukiwaniu „Le Vigilanta”. Tymczasem wykrył go, zanim zmienił kurs po raz pierwszy, wymierzył i odpalił dwie ADCAP Mark 48. Ale bitwa jeszcze się nie skończyła.

- Jak daleko jesteśmy od punktu, w którym możemy wykryć cel? - spytał Burke oficera dyżurnego.

- Osiemdziesiąt mil morskich. Kurs na spotkanie z celem, prosto na wschód, panie kapitanie.

- Cholera - mruknął Dillinger. Aby wziąć udział w bitwie, będzie musiał mknąć tam z maksymalną prędkością, a i tak nie wiadomo było, czy zdąży. Nawet płynąc całą naprzód, zdołają dostrzec „Le Vigilanta” na ekranie sonaru dopiero za dwie godziny. A to znaczyło, że Peter będzie musiał poradzić sobie sam.

Czy jednak bitwa w rzeczywistości nie była już skończona? Przecież załozde „Teksasu” udało się zaskoczyć terrorystów i odpalić dwie torpedy. Burke próbował zebrać myśli, zastanawiał się nad swoimi przeczuciami. Bał się o Petera i załogę „Teksasu”. Duch Natalie i jej przerażające przepowiednie na temat śmierci Vornado i „chwili podejmowania decyzji”, kiedy Burke miał się „nie zawahać”, wydawały mu się za dnia niemądre jak dziecięce urojenia. Po prostu wszystko tu przyśniło mu się albo fantazjował na jawie. Nie mogła spacerować po jego

okręcie i przekazywać tajemniczych wiadomości na temat śmierci Petera i zatopienia „Teksasu”. Burke spuścił wzrok, jego rojenia wydawały mu się teraz naprawdę głupie; dłuższą chwilę zastanawiał się, czy nie zachorował psychicznie. Nagle usłyszał donośny głos Joego Krafta:

„Musisz jak najszybciej ruszyć dupę!”

I miał rację.

- Oficer dyżurny, cała naprzód, kurs prosto na wschód, odpalić boję SLOT i przekazać dowództwu Floty Atlantyckiej, że chcemy przyłączyć się do bitwy, chociaż możemy dotrzeć tam zbyt późno.

- Tak jest, sir - potwierdził Merc. - Ster, cała naprzód, jeden stopień w prawo, ustabilizuj kurs na wschód. Bosman, poślij jak najszybciej po oficera łączności.

Dillinger złapał się poręczy mostka, w całym ciele czuł drgania pokładu przyspieszającego „Hamptona”. Pokręcił głową. Nie zdają.

Programowanie czwartej i następnych rakiet było o wiele łatwiejsze niż poprzednich, większość działań powtarzała się i szesnastą raketę Tagreb zaprogramował w czasie niecałej minuty. Podniósł wzrok znad pulpitu i popatrzył na Zouabriego.

- Skończyłem. Jesteśmy gotowi - oznajmił.

- Doskonale! - odpowiedział z uśmiechem Issam.

- Pozostaje jedynie uruchomić komputer systemu utrzymywania stałej pozycji w zanurzeniu, wyjść na głębokość strzału i odpalić salwę.

- Zróbmy to.

Wtedy odezwała się krótkofalówka Tagreba, którą nosił przy pasku. Znalazł kilka w kajucie pierwszego oficera i rozdał je ludziom w pomieszczeniu sterowania napędem atomowym, w sterówce oraz w pomieszczeniu sonaru.

- Słucham, tu Jusuf - rzucił.

- Jusuf, na ekranie sonaru pojawiło się coś dziwnego - powiedział Jaul Karim.

Tagreb wybiegł z pomieszczenia kontroli rakiet, odpychając Zouabriego. Wpadł do pomieszczenia sonaru i spojrzał na ekran, który pokazywał palcem Karim. W wodzie było coś, co wydawało charakterystyczny odgłos średniej częstotliwości. Włączona antena nie była w stanie dokładnie określić kierunku, z którego hałas dobiegał rozchodzącymi się na wszystkie strony falami. Odgłos był jednak na tyle silny, że

pełen zakłóceń ekran szerokopasmowy także go pokazał; kierunek północny, zero jeden pięć. Najbardziej przeraził Tagreba właśnie ów kierunek, który nie zmienił się od chwili wykrycia przez komputer sygnału, czyli od całych trzech minut. Był to bardzo zły znak.

- Co to jest? - spytał Zouabri.

- Zbliżająca się torpeda - odparł Tagreb, wybiegając z pomieszczenia sonaru. - Módlmy się do Allana! - Sięgnął po krótkofalówkę i zawołał: - Sterowanie napędem atomowym! - W pomieszczeniu sterowania napędem pełnił wachtę Bishr Nassiri. - Bishr, słyszysz mnie?

- Słyszę, tu sterowanie napędem atomowym - odpowiedział Nassiri.

- Przygotuj się do zamknięcia przepustnic i opuszczenia prętów reaktora.

- Dobrze, ale czy jesteś pewien, bracie, że chcesz znowu wyłączyć reaktor?

- Tak, przygotuj się! - powiedział drżącym głosem Tagreb. Usiadł na stanowisku kierowania ogniem. W wyrzutni torpedowej numer 1 znajdowało się urządzenie Mod 17 zakłócające sonary. Torpeda była gotowa do odpalenia, ale należało ją jeszcze zaprogramować. Wyrzutnia była zalana, jej pokrywa otwarta. Tagreb skupił uwagę na pulpicie, ignorując pytania Zouabriego. Zaprogramował urządzeniu Mod 17 taką samą prędkość i kurs, jakie miał w tej chwili „Le Vigilant”. Oczekał, aż komputer potwierdzi to zapisanie danych, zapalając zielone kontrolki. Wówczas wcisnął przycisk odpalania. Ze znajdującej się dwa pokłady niżej wyrzutni rozległ się głuchy huk. Jusuf sprawdził wskazania urządzeń, odpalenie się powiodło.

- Co się dzieje? - pytał Zouabri. - Czy tamta torpeda nas trafi?

Tagreb tylko machnął ręką.

- Nassiri, zamknij przepustnice! - zawołał.

- Zamykam przepustnice - potwierdził Nassiri. - Przepustnice zamknięte.

- Opuść pręty reaktora. Wyłącz go! I wyłącz pompy recyrkulacji reaktora!

- Na pewno dobrze postępujesz? - spytał Issam. - Znowu będziesz musiał uruchamiać silnik spalinowy.

- Nie - rzucił Jusuf, podchodząc do znajdującego się z przodu stanowiska sterowania balastem. Spojrzał na pulpit sterowania okrętem, kontrolując prędkość okrętu, a potem uruchomił komputer układu zachowywania stałej pozycji w zanurzeniu. Zamierzał włączyć układ, kiedy

„Le Vigilant” wytraci prędkość. Trwanie pod wodą bez ruchu było starą taktyką, jakiej nauczył się w czasach służby na „TK-17”. Unieruchomienie okrętu w głębinie umożliwiało ukrycie się nawet przed aktywnym sonarem torpedy, który wyszukiwał echo o wyższej lub niższej częstotliwości niż wysyłane przez siebie dźwięki. Zmianę częstotliwości powracającego do aktywnego sonaru echa powodowało zbliżanie się bądź oddalanie od celu - zjawisko powszechnie znane jako efekt Dopplera. Wyłączenie reaktora i zatrzymanie okrętu oznaczało jednocześnie wyłączenie wszystkich głośnych urządzeń, takich jak: turbiny, przekładnie, główne pompy zasilające oraz olbrzymie pompy recyrkulacyjne reaktora. Odgłosy i tak wyjątkowo cichego okrętu zostaną zredukowane niemal do zera.

Niemal natychmiast w sterówce zaczęło robić się gorąco, na czoło Tagreba wystąpił pot. Jusuf pobiegł w stronę rury, do pomieszczenia nawigacyjnego, gdzie na ekranie komputera nawigacyjnego widać było ślad ostatnio przebytego przez okręt odcinka. Torpeda nadpływała z północy. Jej kurs nie zmienił się jednak od czasu jej wykrycia, jeśli można było wierzyć sonarowi, którego zdublowany ekran znajdował się także i tutaj. Mimo że ich okręt coraz bardziej zwalniał. Znaczyło to, że torpeda nie zdążyła już na spotkanie z „Le Vigilantem”. Jeśli Jusuf miał szczęście, nieprzyjacielska torpeda będzie teraz podążała ku urządzeniu Mod 17.

Nadszedł czas na następny ruch, który zatrzyma nieprzyjacielski okręt. Jusuf wrócił do sterówki i przełączył ekran pulpitu kierowania ogniem na torpedę ECAN w wyrzutni numer 2. Podobnie jak przed chwilą Mod 17 torpeda była podłączona do zasilania, jej żyrokompas pracował, pokrywa wyrzutni była otwarta, a wyrzutnia odbezpieczona. Tagreb zaprogramował torpedę. Polecił jej płynąć dotychczasowym kursem „Le Vigilanta”, dwa pięć zero, ale o cztery węzły szybciej niż urządzeniu do zakłócania sonarów. Torpeda miała więc posuwać się z prędkością dwudziestu węzłów. Tagreb skontrolował jeszcze prędkość „Le Vigilanta”. Zdążyła spaść do zera.

- Rabud, jak pracuje system utrzymywania stałej pozycji w zanurzeniu? - spytał.

- Wygląda na to, że dobrze - odpowiedział Fajad Rabud.

Jusuf sprawdził jeszcze nastawy torpedy. Polecił jej płynąć kursem dwa pięć zero, a po przebyciu pięciu mil morskich skrócić na północny wschód. W ten sposób torpeda będzie znajdować się tam, gdzie byłby „Le Vigilant”, gdyby Tagreb go nie zatrzymał, później zaś skreśli ku nieprzyjacielskiemu okrętowi. Jego załoga ją wykryje, ale jeśli odpowie ogniem, wyceluje w Mod 17, a nie w „Le Vigilanta”. Jusuf improwizował naprędce, przekonany o słuszności swojej taktyki. Za wcześnie jednak na gratulowanie sobie sukcesu.

Torpeda potwierdziła zadane wartości i Tagreb wcisnął po raz drugi przycisk odpalania. Pokład znowu zadygotał. Jusuf spojrział na pulpit i upewnił się, że torpeda pomknęła kursem dwa pięć zero, po piętnastu minutach zamierzając skręcić na zero dwa zero.

Pozostawało teraz jedynie czekać. Tagreb otarł pot z czoła. Jeśli systemy sonaru, kierowania ogniem oraz utrzymywania stałej pozycji nie powyłączają się z powodu gorąca, powinien odpędzić atakujący go okręt.

Ale co w takim razie z odpaleniem rakiet balistycznych? Skoro nieprzyjaciel strzelił do „Le Vigilanta”, to znaczy, że jego pozycja jest znana. Trudno, trzeba będzie zastanowić się nad tym później. Teraz Jusuf mógł tylko starać się ratować okręt.

Komandor Peter Vornado oparł się niedbale o pulpit dowodzenia, wkładając ręce do kieszeni kombinezonu. Wydawał się zupełnie zrelaksowany pomimo bitewnego napięcia. Peter specjalnie przybrał taką pozę, aby dać swoim marynarzom do zrozumienia, że się nie boi. Wcale jednak nie był taki pewny siebie. Bitwa rozwijała się w sposób bardzo podobny do tego, jaki znali z ćwiczeń z amerykańskimi okrętami nosicielami rakiet. Niezależnie od tego, jak silny był sygnał dochodzący od strony okrętu z rakietami, Vornado mu nie ufał. Nosiciele rakiet chętnie odpalały urządzenia zakłócające sonary, które wydawały charakterystyczne odgłosy celu.

Peter poczuł wielką ulgę, kiedy systemy sonaru wyszukały „Le Vigilanta” także w wąskim paśmie częstotliwości. Vornado starał się być ostrożny, podpływał na tyle blisko celu, aby nie stracić go z ekranów sonaru, ale jednocześnie starał się trzymać na tyle daleko, aby nieprzyjaciel go nie usłyszał. Rozejrzał się po sterówce, przyglądając się członkom załogi, którzy obsadzili stanowiska bojowe „Teksasu”. Z niektórymi z nich pływał jeszcze na „Hamptonie” przed operacją na Morzu Barentsa. Na przykład z pierwszym oficerem, komandor podporucznikiem Henrym del Toro, zwanym Bykiem. Pokrzykiwał na młodszych oficerów obsługujących system kierowania ogniem. Byk był olbrzymim mężczyzną o zaskakująco łagodnym sposobie bycia. Kiedy jednak nadzorował stanowiska bojowe, ujawniała się wtedy jego druga, naprawdę wściekła natura.

Vornado spojrział na mosiężny chronometr przyśrubowany do przegrody ponad stanowiskami bojowymi, potem na ekran stanowiska drugiego, który pokazywał parametry Echa Jeden. Oficer przy stanowisku trzecim przełączył ekran na widok geograficzny. Na jego środku widniał „Teksas”. W pewnej odległości na południowy zachód migał romboidalny kształt reprezentujący Echo Jeden, czyli „Le Vigilanta”. Na południowy wschód od „Teksasu” przesuwwały się powolutku dwie cienkie linie - wystrzelone przez „Teksas” torpedy. Płynęły na spotkanie nieprzyjaciela, który przemieszczał się w poprzek ich toru.

- Podać czas spotkania - polecił Peter pierwszemu oficerowi.

Byk nachylił się nad ekranem z widokiem geograficznym, zamienił kilka słów z operatorem stanowiska drugiego, komandorem podporucznikiem Harrisonem O'Dea, zwanym Dickiem. Dick był świeżo upieczonym rozwodnikiem. Ukończył Uniwersytet Notre Dame, a dużo później dostał kulę w brzuch w pewnym barze dla kibiców w Chicago, podczas pijackiej burdy z okazji meczu futbolu amerykańskiego pomiędzy drużynami marynarki i Uniwersytetu Notre Dame. Dick spojrział na ekran i przekazał Bykowi odpowiednie informacje.

- Za dwanaście minut - zameldował del Toro.

Vornado skinął głową i stanął prosto, nie wyciągając rąk z kieszeni. Za mniej więcej dwanaście minut cały ten pieprzony koszmar się skończy, pomyślał, a ja będę mógł wrócić do rozmyślań nad moim małżeństwem, które Rachel właśnie zerwała.

- Mostek, tu sonar - odezwał się chrapliwy głos ponurego sonarzysty, bosmana sztabowego Dave'a Simansky'ego. Simansky pochodził z Wirginii Zachodniej, był wysokim, smukłym, ciemnowłosym podoficerem, dla którego dyscyplina była rzeczą świętą. Poza służbą był kapitanem trzech drużyn „Teksasu” - futbolowej, softballowej i koszykarskiej. Dzięki niemu marynarze „Teksasu” byli w czołówce każdej z wymienionych trzech lig w rozgrywkach wewnątrz marynarki. Simansky interesował się tylko dwiema rzeczami - sportem oraz systemami sonaru AN/BQQ-5E. Kiedy nie pełnił wachty, przesiadywał w mesie załogi, czytając instrukcje i publikacje na temat skomplikowanego sonaru okrętu. - Odebraliśmy kilka odgłosów chwilowych od Echa Jeden - zameldował.

- Koordynator do sonaru - odpowiedział do mikrofonu del Toro. - Sklasyfikuj odgłosy.

- Sonar do mostka, prawdopodobnie były to pokrywy wyrzutni torpedowych.

Vornado uniósł brwi i spojrział na del Toro. Czy to możliwe, żeby Echo Jeden szykował się do odpalenia torpedy?

- Sonar do mostka, kolejny odgłos chwilowy z kierunku Echa Jeden. Zdaje się, że to strzał z wyrzutni torpedowej.

- Zrozumiałem - odpowiedział del Toro, patrząc w oczy Peterowi. Terrorysty odpalili torpedę albo urządzenie do zakłócania sonarów.

Vornado czekał w napięciu, aż sonarzyści wykryją dalsze odgłosy.

- Sonar do mostka, znowu odgłosy chwilowe od Echa Jeden - zameldował po paru minutach Simansky.

Peter popatrzył na ekran z widokiem geograficznym, potem na mapę wyświetlaną za mostkiem. Zastanawiał się, którądy uciekać, jeśli Echo Jeden odpowiedział ogniem.

- Sonar do mostka, nie słycać już odgłosów chwilowych od Echa Jeden. Nie wykryliśmy torped. Ale chyba strzelili z wyrzutni torpedowej co najmniej dwa razy. Sprawdzamy, czy w wodzie nie ma urządzeń zakłócających sonary.

- Dobrze - odpowiedział del Toro.

Vornado czekał, zaciskając zęby. Widać było, że porwanym okrętem wcale nie sterują terroryści, o czym był przekonany wywiad. Francuska załoga musiała wciąż żyć i walczyła z „Teksasem”, bo przecież terroryści nie potrafiliby ani go wykryć, ani sprawnie strzelać. Dlaczego jednak nieprzyjaciel nie zaczął uciekać, skoro wiedział, że zbliża się do niego torpeda?

- Sonar do mostka, cel zygzakuje, Echo Jeden przyspiesza, znowu skręca.

A jednak ucieka, pomyślał Vornado.

- Cel Echo Jeden zygzakuje - powiadomił del Toro oficerów przy stanowiskach bojowych. Musieli teraz użyć innych metod śledzenia celu, ponieważ przyjmowane dotąd założenia prędkości i kursu celu stały się nieaktualne. Trzeba było szybko odgadnąć, co w tej chwili robi „Le Vigilant”, inaczej obie torpedy „Teksasu” chybią. Teraz szala bitwy przechylała się na stronę nieprzyjaciela.

- Sonar do mostka, torpeda w wodzie, kierunek dwa zero dwa! Cholera, wiedziałem! - zaklął w myśli Vornado. Nieprzyjaciel zdołał ich usłyszeć i odpowiedzieć ogniem. Za blisko podpłynęli albo też załoga „Le Vigilanta” usłyszała którąś z torped Mark 48. Niedobrze. W ciągu ułamka sekundy Peter musiał podjąć decyzje, od których zależał dalszy los bitwy. Jeśli się nie wycofa, będzie to niemal równoznaczne z samobójstwem, ponieważ od strony Echa Jeden nadpływała torpeda. Mógł rozkazać zrobić zwrot i uciekać, ale wówczas „Teksas” narobi takiego hałasu, że nieprzyjaciel z pewnością go usłyszy i namierzy. Być może strzelił tylko na ślepo w kierunku, z którego zbliżały się do niego torpedy. Jednak dzięki ucieczce Vornado i jego marynarze mieli szansę przeżyć. Trzeba też powiadomić dowództwo, że nie udało mu się złapać „Le Vigilanta” w pułapkę, że okręt terrorystów odpowiedział ogniem.

- Ster, cała naprzód, pięć stopni w prawo, ustabilizuj kurs na północ! - Peter złapał mikrofon systemu 7MC. - Kapitan do manewrów, kawitować! - Odłożył mikrofon. - Kapitan do radia, wprowadzić dane strzelającego Echa Jeden do boi Codę 4 SLOT i załadować ją do

dziobowej wyrzutni boi sygnałowych! - Więcej pożytku mogłoby przynieść zastosowanie wyrzutni boi sygnałowych do wystrzelenia urządzenia zakłócającego sonary, być może udałoby się zmylić nadpływającą torpedę. Trzeba jednak było powiadomić Pentagon, że „Teksas” znalazł się pod ogniem torped nieprzyjaciela. Do boi załadowano wiadomość o prostej treści: „Jesteśmy atakowani torpedami przez cel na pozycji...”

Pokład zaczął drżeć od gwałtownie zwiększonych obrotów śruby. Serce Petera Vornado było teraz bardzo mocno. Jednak nie z powodu strachu. Z gniewu. Pragnął zemsty. Nie mógł pogodzić się z tym, żeby jacyś terroryści, którzy strzelali do jego ukochanego „Teksasu”, dożyli najbliższego wschodu słońca. Nachylił się nad relingiem z tyłu mostka i zaczął wpatrywać się w mapę, próbując wyobrazić sobie, co myśli kapitan „Le Vigilanta”.

22

Vornado przykucnął koło siedzącego na stanowisku kierowania ogniem Mario Marchese i z zaciśniętymi zębami wpatrywał się w ekran. Od chwili wykrycia zbliżających się torped ECAN „Teksas” płynął z prędkością maksymalną, która wyniosła 42,8 węzła, odrobinę mniej niż w dniu, kiedy okręt został zwodowany. Francuskie torpedy osiągały jednak prędkość zaledwie trzydziestu pięciu węzłów, więc nie stanowiły śmiertelnego zagrożenia dla „Teksasu”, chyba żeby nastąpiła awaria napędu na okręcie. Natomiast Echo Jeden po wystrzeleniu w stronę „Teksasu” dwóch torped przyspieszył do trzydziestu dwóch węzłów i zanurzył się głębiej, uciekając w kierunku zachodnim. Można było się tego spodziewać, skoro wykrył torpedy, które zbliżały się do niego. Vornado natychmiast kazał przesłać torpedom sygnały, które unieważniły zadane im poprzednio parametry celu. Po wystrzeleniu torpedy płynęły bowiem na ślepo do miejsca, gdzie znalazłby się „Le Vigilant”, gdyby nadal posuwał się z minimalną prędkością czterech węzłów. Następnie miały nawiązać kontakt z celem. Ponieważ jednak „Le Vigilant” uciekał teraz z dużą prędkością, należało przeprogramować torpedy, aby nie chybiły.

- Uaktywniłem obie torpedy - zameldował Mario Marchese, oficer uzbrojenia.
- Dobrze, przełącz je na tryb aktywnego wyszukiwania - rozkazał Peter.
- Tryb aktywnego wyszukiwania... przełączyłem, torpedy potwierdziły.

- Kapitan do sonaru, czy słyszysz piski sonarów naszych torped?

- Sonar do kapitana, tak, słyszę.

Vornado pokręcił głową. Jego torpedy goniły teraz uciekający okręt. Trafienie go było znacznie mniej pewne niż w przypadku, gdyby torpedy nadpłynęły spokojnie z boku. Jednak torpedy Mark 48 ADCAP w trybie szybkiego aktywnego wyszukiwania płynęły z prędkością czterdziestu węzłów, zaś po namierzeniu celu przyspieszały aż do pięćdziesięciu ośmiu. Nie było mowy, aby terroryści zdołali im umknąć.

Voraado wpatrywał się w napięciu w ekran. Migał na nim powoli obiekt oznaczający płynącą ADCAP - za każdym razem, kiedy jej sonar wydawał z siebie pisk. Po dziesięciu piskach szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na stronę „Teksasu”.

- Torpeda wykryła cel! - zawołał Marchese. - Torpeda numer jeden wykryła cel!

Torpeda numer jeden odebrała trzykrotne echo swoich sygnałów, odbiły się od tego samego obiektu. Przeszły przez filtr Dopplera, co znaczyło, że obiekt się poruszał. Oznaczało to, że ADCAP pewnie kieruje się na cel. „Le Vigilant” mógł teraz ocaleć tylko w przypadku nagłej awarii torpedy lub wyczerpania się jej paliwa.

- Sonar do mostka, pierwsza z naszych torped przyspieszyła do maksymalnej prędkości. Kierunek jej echa zlał się z kierunkiem Echa Jeden!

- Dobrze! - odpowiedział Voraado, wpatrując się w ekran numer dwa. Torpeda była już blisko celu.

Bitwa szybko zbliżała się do końca.

Francuskie urządzenie Mod 17 do zakłócania sonarów płynęło na zachód z prędkością trzydziestu węzłów, trzysta metrów pod powierzchnią oceanu. W pewnej chwili sonar urządzenia wykrył piski aktywnego sonaru ścigającej je torpedy. Rozpoznawszy pisk, komputer sterujący Mod 17 rozkazał mu zwiększyć moc turbiny napędowej, obroty śruby jeszcze wzrosły. Jednocześnie odpadły osłony z obu boków urządzenia, skąd wystrzeliły dwa niewielkie obiekty, które pozostały z tyłu. Pod wpływem oporu wody rozłożyły się, tworząc dwa parasole. Były one wykonane z cienkiego jak jedwab materiału przetykanego metalowymi nićmi. Zadaniem obu czasz było wzmocnienie odbijanych sygnałów aktywnego sonaru zbliżającej się do nich torpedy. Pomimo pozbycia się osłon Mod 17 nie zwolniło, choć szybko spalało resztki paliwa, a przeciążona turbina mogła wkrótce się rozpaść. Jednocześnie urządzenie uruchomiło potężne elektromagnesy, które symulowały zaburzenia pola magnetycznego charakterystyczne dla kadłuba okrętu.

Mark 48 wydała kolejny pisk, odnotowując jego echo. Cel był wciąż przed nią, w odległości pół mili morskiej. Wysyłała więc piski dalej, a komputer systemu naprowadzającego nakierowywał ją wciąż prosto na cel. Głowica była już uzbrojona i czekała na sygnał zapalnika. Torpedzie pozostało czterdzieści osiem procent paliwa, była zatem w stanie ścigać cel jeszcze przez długi czas. Zbliżała się do niego coraz bardziej. Kiedy była już całkiem blisko, magnetyczny zapalnik zbliżeniowy wykrył wzrost natężenia pola magnetycznego, który odpowiadał zresztą silnemu echu pisku sonaru. W ciągu ostatniej jednej dziesiątej sekundy istnienia torpedy obliczany przez komputer czas powrotu echa zmalał do zera, jednocześnie zaburzenie pola magnetycznego wzrosło do maksimum. Na rozkaz zapalnika elektryczny impuls odpalił niewielkie ładunki przypominające spłonki, zaś ich wybuchy spowodowały eksplozję głowicy bojowej torpedy. Osiemset kilogramów nowoczesnego, silnie zagęszczonego materiału wybuchowego zamieniło się w straszliwą kulę ognia.

Eksplozja dosięgła Mod 17, rozbijając je na tysiące kawałków, które wkrótce opadły na dno oceanu. Fala uderzeniowa przemieszczała się z podwodną prędkością dźwięku, aż odebrały ją anteny sonaru BQQ-5E na pokładzie „Teksasu”. Huk był jednak na tyle głośny, że z łatwością dał się słyszeć i bez sonaru, przechodząc przez podwójny kadłub ze stali HY-100. Obsada stanowisk bojowych w sterówce wydała zbiorowy okrzyk radości.

- Dobra, dobra - odezwał się w ich słuchawkach głos del Toro. - Cisza w sterówce. Pamiętajcie, panowie, że wciąż uciekamy przed torpedą nieprzyjaciela.

Marynarze się uspokoiili.

- Kapitan do sonaru, czy jeszcze słyszysz Echo Jeden? - spytał Vornado. - Sprawdź zarówno szerokie, jak i wąskie pasmo częstotliwości.

- Sonar do mostka - odpowiedział bosman Simansky. - Nie odbieram sygnału Echa Jeden. Ani w wąskim, ani w szerokim paśmie częstotliwości.

- Panie kapitanie - odezwał się znowu Byk - w wodzie jest jeszcze druga nasza torpeda. Lepiej ją dezaktywujemy.

- Dezaktywować torpedę numer dwa - rozkazał Vornado, kiwając głową.

- Sonar do mostka - ścigająca nas torpeda ECAN numer jeden zamilkła.

Skończyło jej się paliwo, pomyślał z uśmiechem Peter.

- Rozumiem, mostek do sonaru - potwierdził przez mikrofon del Toro.

- Sonar do mostka, druga ze ścigających nas torped zamilkła.

- Teraz, chłopaki, możecie krzyżeć z radości! - skomentował Vornado. - Oficer dyżurny, zabezpieczyć stanowiska bojowe. Proszę przejąć mostek i podnieść okręt na głębokość czterdziestu pięciu metrów. Wyjdziemy na głębokość peryskopową i powiadomimy dowództwo o wyniku bitwy. Oficer łączności, proszę przygotować raport sytuacyjny o zatopieniu nieprzyjaciela.

- Tak jest! - zawołał wesoło Selles, ściągając słuchawki i wyskakując z fotela pierwszego stanowiska kierowania ogniem.

Peter nachylił się nad stołem nawigacyjnym znajdującym się przy lewej burcie. Dziób „Teksasu” uniósł się. Vornado wyciągnął z kieszonki kombinezonu okulary i popatrzył na mapę. Kierując się do bazy z umiarkowaną prędkością, powinni dotrzeć do domu w ciągu dziesięciu dni. Być może szybciej, jeśli rozkaz operacyjny dotyczący powrotu nakaże im utrzymywać większą prędkość. Peter westchnął cicho. W domu czekało go niewiele dobrego. Po cóż miał wracać?

A jednak miał przecież przyjaciela, Burke'a. Przyjaźń to ważna rzecz. Musiał także uporządkować sprawę z Rachel. Zastanawiał się, czy naprawdę potrzebna mu kawalerka. Burke miał teraz malutkie dziecko, w jego domu mieszkała opiekunka. Ale zarówno Burke, jak i on próbowali rozpocząć nowe życie, może więc pozostać u niego dłużej, żeby wspierali się nawzajem? Czy Rachel wciąż była zdecydowana na

rozwód? I czy sam pogodził się z rozpadem ich małżeństwa? Jak ja sobie z tym poradzę? - martwił się. Gdybym mógł pozostać z Rachel albo wyprowadzić się, co bym zrobił? Czy ciągle ją kocham?

- Panie kapitanie, oto wiadomość, którą napisałem - usłyszał głos kapitana Freda Easterlinga, oficera łączności.

Wiadomość dla Centrum Operacyjnego Pentagonu oraz dowództwa Floty Atlantyckiej była krótka i treściwa. Informowano, że „Le Vigilant” płynął z prędkością czterech węzłów na południowy wschód w Basenie Zachodnioeuropejskim niedaleko Zatoki Biskajskiej, na północny zachód od krańca Hiszpanii; „Teksas” odnalazł porwany okręt, wystrzelił dwie torpedy Mark 48 ADCAP, umknął odpalonym w odpowiedzi torpedom nieprzyjaciela i ocalał; usłyszano, jak „Le Vigilant” się rozpada; zadanie zostało wykonane.

Vornado przeczytał wiadomość i zmarszczył brwi. Przeszedł do pomieszczenia sonaru.

- Dobry wieczór, panie kapitanie - odezwał się z uśmiechem bosman Simansky. - Gratuluję.

Peter nie odpowiedział na komplement, tylko spytał:

- Bosmanie, czy nie widzi pan czegoś w wąskim zakresie częstotliwości w sąsiedztwie detonacji? Lub jakiegokolwiek odgłosu Echa Jeden?

Simansky pokręcił głową.

- Dookoła nas w oceanie nic nie ma, panie kapitanie - odpowiedział. - Rozwaliliśmy go. Zatonął. Leży na dnie oceanu razem ze swoimi wrednymi raketami atomowymi.

Vornado spojrział na ekrany sonaru. Coś go niepokoiło. Jakoś zbyt łatwo im poszło.

- Doskonale, bosmanie - pochwalił. - Dobra robota.

Wrócił do sterówki, stanął koło mostka i popatrzył na kapitana D.K. Flynna, zwanego Dekiem, który pełnił poranną wachtę oficera dyżurnego po zabezpieczeniu stanowisk bojowych.

- Proszę o raport - zażądał Peter.

- Zanurzenie czterdzieści pięć metrów, panie kapitanie, mieliśmy dwa echa na powierzchni morza, oba to statki handlowe. Sierra sześć siedem płynie na wschód w odległości sześciu mil morskich, powyżej minimalnej odległości zbliżenia. Sierra sześć osiem płynie na zachód w odległości niecałych pięciu mil morskich, także powyżej minimalnej, i oddala się. Proszę o pozwolenie na wyjście na głębokość peryskopową i nadanie raportu sytuacyjnego.

Vornado skinął głową.

- Dobrze, proszę podnieść okręt na głębokość peryskopową i nadać raport. Będę w swojej kajucie.

Paradoksalnie Peter jakoś wcale się nie cieszył. Ale przecież przeszkodził terrorystom w odpaleniu raket i ocalił własny okręt. Dlaczego się martwił? Kręcąc głową, wszedł do kajuty i rozejrzał się, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. Z portretowego zdjęcia, zrobionego w poprzednim roku, przed operacją na Morzu Barentsa, patrzyły na niego cudowne, piwne oczy Rachel. Peter podszedł do przymocowanej do ściany fotografii, odczepił ją i ostrożnie odłożył do szafki. Fotografia ciążyła mu w dłoni, jakby ważyła całe tony. Głowa do góry, chłopie, powiedział sobie w myśli. Właśnie ocaliłeś pół świata przed nuklearną zagładą! Wystarczy, jak na jeden dzień. Vornado uśmiechnął się i opadł na kapitański fotel.

Jusuf zszedł ze sterówki po stromym trapie na środkowy pokład okrętu, uśmiechając się od ucha do ucha. Właśnie udało mu się zrobić durnia z kapitana nieprzyjacielskiego okrętu. Miałem genialny pomysł, żeby wyłączyć reaktor! - myślał. Nie pracowały żadne mechaniczne urządzenia, więc okręt nie wydawał prawie żadnych odgłosów; a poza tym, stojąc pod wodą, nie mógł być wykryty przez aktywne sonary torped, które opierały swoje działanie na efekcie Dopplera. Ogromny „Le Vigilant” stał się niewidzialny dla sonarów większości używanych na świecie torped.

- Nie rozumiem - odezwał się Zouarbi, który próbował dotrzymać kroku śpieszącemu do pomieszczenia kontroli rakiet Tagrebowi - dlaczego za pierwszym razem, kiedy wyłączył się reaktor, wyczerpały nam się akumulatory i musieliśmy uruchomić silnik spalinowy, a teraz wyłączyłeś reaktor na trzy razy dłuższy czas, ale w akumulatorach nie zabrakło prądu?

- To przez główną pompę zasilającą - mruknął Tagreb. Popatrzył na Issama. - Chodzi o to, że poprzednim razem nastąpiła destabilizacja reaktora, która spowodowała olbrzymi pobór prądu. Teraz nic takiego się nie stało. Nie zużywamy tyle energii co poprzednim razem.

- Na jak długo starczą akumulatory?

Tagreb westchnął, siadając na stanowisku kontroli rakiet.

- Bishr - wywołał przez radio Bishra Nassiri, który pełnił wachtę w pomieszczeniu sterowania napędem atomowym.

- Słucham, Jusuf, tu Bishr.

- Powiedz mi, co pokazuje amperomierz na panelu kontrolnym akumulatorów.

- Pięćset siedemdziesiąt pięć.

- Dobrze, dziękuję ci. - Tagreb popatrzył na Zouabriego. - Prądu w akumulatorach spokojnie starczy do czasu odpalenia wszystkich rakiet, a i tak jeszcze zostanie go dużo.

Zouabri otarł pot z czoła. Przypomniało to Tagrebowi, że urządzenia elektroniczne okrętu są bardzo rozgrzane z powodu braku chłodzenia wodą zaburtową oraz klimatyzacji. Utrzymująca się temperatura powyżej pięćdziesięciu pięciu stopni Celsjusza musiała spowodować liczne zaburzenia działania przyrządów oraz wyłączenia poszczególnych urządzeń. Jusuf zamarł na chwilę, przyszło mu na myśl, że zanim zdąży wystrzelić połowę rakiet, okręt, który atakował „Le Vigilanta”, może wrócić. Łatwo będzie znaleźć „Le Vigilanta” po odgłosach odpalanych rakiet, a także po wznoszących się ku niebu smugach ich gazów wylotowych. Wówczas nieprzyjaciel pošle bojowników GIA prosto do Allaha. Tagreb podejrzewał, że torpedy ECAN, jakie odpalił, są powolniejsze od okrętu, który ich atakował. Nie słyszał bowiem odgłosu wybuchu. Gdyby torpedy eksplodowały, czułby się pewniej; był jednak przekonany, że nieprzyjacielski okręt wciąż czai się w głębinie, bezowocnie szukając „Le Vigilanta”. Znajdzie go po odpaleniu przez nich pierwszej rakiety.

Tagreb odwrócił się do Dii Wakara i Kutuz Madari, dwóch bojowników, którzy przeszli szkolenie w zakresie obsługi nowoczesnych systemów uzbrojenia i wykazywali pewne umiejętności przydatne w pomieszczeniu kontroli rakiet.

- Dija, Kutuz - odezwał się - patrzcie uważnie, w jaki sposób będę odpalał raketę numer jeden. Wystrzelę ją, a potem wy wystrzelicie drugą, pod moim nadzorem. Później odpalicie resztę rakiet, podczas kiedy ja będę kursował pomiędzy sterówką, pomieszczeniem sonaru a pomieszczeniem kontroli rakiet. Czy mnie zrozumieliście?

Pokiwali głowami, z lękiem w oczach. Zouabri zmarszczył brwi. Jusuf uspokoił go:

- Wszystkie rakiety zostały zaprogramowane, Issam. Dija i Kutuz będą musieli tylko uruchomić ich komputery, przygotować wyrzutnie i odpalić.

- Skoro uważasz, że sobie poradzą, niech tak będzie - mruknął z niezadowoleniem Zouabri.

Okręt utrzymywał stałą pozycję w wodzie na głębokości pięćdziesięciu metrów, licząc od stępki. Było to idealne położenie do oddania salwy raketowej. Jusuf uruchomił więc komputer sterujący rakiety numer 01, uzyskał potwierdzenie, że miała trafić w miejsce o współrzędnych

geograficznych paryskiej wieży Eiffla, potwierdzenie, że poszczególne głowice spadną i eksplodują razem, a także, że wybuchną tuż nad ziemią. Następnie na ekranie systemu kontroli rakiet SAD, *Systeme d'Armes de Dissuasion*, który sterował odpalaniem rakiet balistycznych, pojawił się stan skomputeryzowanego systemu cyfrowego naprowadzania i sterowania rakiety stworzonego wspólnie przez firmy Sagittaire; Thales i Thomson-CSF. Jusuf włączył jego zasilanie, a potem uruchomił pokładowy żyroskop rakiety. Stabilizacja żyroskopu każdej z rakiet przenoszonych przez „TK-17” zajmowała całe dwadzieścia minut, gdy tymczasem żyroskopy rakiet balistycznych, zaprojektowanych przez francuskich geniuszy z firmy EADS Space Transportation, dawniej Aerospatiale, z Les Mureaux, osiągały stabilność w ciągu zaledwie czterdziestu sekund, w co trudno było Tagrebowi uwierzyć.

Na ekranie zamigła tajemnicza dla Jusufa informacja, wypisana wielkimi literami, w ramce.

NAV01: BŁĄD SINS FAZA A: POZA NOMINALNYM WEKTOREM SBR SYGNAŁU

Po dwóch sekundach komunikat znikł. Jusuf wpatrywał się chwilę w ekran, po czym zaczął szukać w oprogramowaniu wyjaśnienia błędu. Jednak żaden z opisów błędów zdawał się nie dotyczyć wyświetlonego przed chwilą komunikatu. Tagreb zacisnął zęby, rozłoszczony. Gruntownie poznał system, a jednak komunikat niewiele mu mówił. Rejestr błędów okazał się pusty. Oznaczało to, że błąd znikł. Nie była to jednak dobra wiadomość, ponieważ przejściowego błędu nie dało się już zlokalizować.

- Muszę przeprowadzić kontrolę systemu - odezwał się Jusuf. - Sprawdzić, czy wszystko w porządku. Pojawił się błąd.

- Ile czasu to zajmie? - usłyszał.

Tagreb skrzywił się. Może zbyt wiele. Im dłużej systemy komputerowe będą pracować bez chłodzenia, tym bardziej było prawdopodobne, że wystąpi więcej błędów. A w końcu może dojść do wyczerpania się akumulatorów. Trzeba odpalić salwę rakiet teraz, a przynajmniej wystrzelić połowę z nich, uruchomić reaktor i uciekać w inne miejsce.

- Obejdziemy się bez kontroli - zdecydował. - Dija, Kutuz, kontynuujemy odpalanie. Obserwujcie mój pulpit. - Jusuf wcisnął przycisk zaworu zalewania wyrzutni numer jeden; na razie cienka membrana utrzymywała wodę ponad rakieta. Kiedy wyrównało się ciśnienie i powietrze uszło, wcisnął przycisk otwierający pokrywę wyrzutni. Za jego plecami, w górze, siłowniki hydrauliczne płynnie podniosły i otworzyły całkowicie pokrywę wyrzutni. Krucha membrana osłaniająca rakieta przed wodą odsłoniła się, wymalowano na niej numer 01.

Tagreb jeszcze raz skontrolował parametry celu, wszystko się zgadzało. Wybrał więc na ekranie przycisk „automatyczna sekwencja strzału”. Normalnie ekran powinien odpowiedzieć komunikatem: ODBIÓR JEDNOCZESNYCH SYGNAŁÓW OD OFICERA UZBROJENIA I DOWÓDCY OKRETU.

Chodziło o te śmieszne plastikowe pistoleciki w sterówce i pomieszczeniu kontroli rakiet. Jusuf wykonał jednak wcześniej obejście obwodów, dlatego na ekranie pojawił się od razu napis: JEDNOCZESNE SYGNAŁY ODEBRANE. Rakieta była w pełni gotowa do startu. Na ekranie pojawiły się cyfry odliczania - 5,4, 3,2,1 i 0. Pokład zadrżał, a potem podskoczył lekko. Od strony rufy dobiegł łoskot, który po kilku sekundach ścichł. Pokład zachwiał się jeszcze raz i uspokoił się. Na ekranie można było przeczytać komunikat: RAKIETA 01 - PARAMETRY STRZAŁU NORMALNE. Pierwsza rakieta poleciała. Tagreb uśmiechnął się. Jedna poszła, zostało jeszcze piętnaście.

Issam Zouabri także się uśmiechnął.

- Za piętnaście minut Paryż będzie już tylko wspomnieniem - powiedział.

Na długim garbie kadłuba „Le Vigilanta” membrana z numerem 01 rozerwała się wzdłuż szwów na sześć części w kształcie klina. Jej fragmenty rozwiały się pod ciśnieniem wylatującej z wyrzutni pary, która powstała w wyniku uruchomienia silnika rakiety na paliwo stałe w sąsiedztwie specjalnego zbiornika wody destylowanej. Woda, która w jednej chwili zmieniła się w parę, spowodowała w wyrzutni wzrost ciśnienia podobny do tego, jaki powoduje wybuch prochu strzelniczego w lufie działa. Na następne pół sekundy pionowa wyrzutnia raketowa stała się jak gdyby wielkim działem, a potężna rakieta M45 pociskiem. Błyskawicznie wyleciała z wyrzutni, jej kadłuba przez cały czas nie dotykała ani jedna cząsteczka wody. Wielki bąbel pary z wytwornicy obejmował w swoim wnętrzu całą raketę, wznosząc się wraz z nią aż do powierzchni oceanu. Ocean otworzył się i bąbel pary zaczął wylatywać spod wody.

Ponad oceanem wiał lekki wiatr niosący piękne chmury kłębiaste. Godzinę temu weszło słońce, którego ukośne promienie tworzyły na lekko pomarszczonej wodzie fantastyczne obrazy. Wysoko w górze krążyła mewa. Na horyzoncie zza chmury wyleciał czterosilnikowy samolot turbośmigłowy kierujący się na północ. Bąbel pary przebił powierzchnię oceanu. W górę wystrzeliły strumienie wody i piany. A zaraz potem dał się zauważyć biały, podługowaty cylindryczny kształt przypominający pękaty, tępo zakończony ołówek. Na dolnym końcu miał sterowaną dyszę silnika raketowego.

Rakieta wznosiła się ponad wodę, wyrzucona impetem pary, siła ciężenia spowalniała jednak jej ruch. W końcu rakieta zawisła na moment w powietrzu. Zanim zaczęła spadać, szczęknął w niej mały przełącznik, który zadziałał w chwili, kiedy przeciążenie wyniosło zero. Przełącznik posłał prąd do obwodów zapłonu silnika raketowego i kilka milisekund później paliwo stałe rakiety zapaliło się. Po upływie następnych milisekund płomień wewnątrz rakiety osiągnął pełną moc i z dyszy wyleciały w dół gorące gazy. System sterowania rakiety przejął kontrolę nad położeniem dyszy, obracając ją błyskawicznie tak, aby wektor wypadkowej siły odrzutu gazów cały czas skierowany był pionowo w górę, mimo stale zmieniającego położenie środka ciężkości rakiety. Rakieta przyspieszyła gwałtownie, wznosząc się ku niebu. Ocean zamknął się z powrotem, krople wody opadły, a rakieta mknęła w górę. Chwilę później przekroczyła barierę dźwięku. Wraz ze wzrostem wysokości powietrze stawiało coraz mniejszy opór. Niebieskie niebo wokół rakiety stopniowo ciemniało, ustępując miejsca czerni kosmosu. Daleko w dole świeciła piękna, niebieskozielonobiała Ziemia, zaś wysoko w górze na czarnym niebie błyszcząły gwiazdy.

Sonarzysta Dave Simansky wstał, przeciągnął się, ziewnął. Jego zwykła wachta zaczynała się dopiero w południe. Zabezpieczono stanowiska bojowe, mógł więc zdrzemnąć się przed długą popołudniową wachtą, podczas której prawdopodobnie wynurzy okręt w celu odebrania rozkazu powrotu do Norfolk. Zbyt długo byli już w morzu. A może jednak najpierw napić się kawy? - pomyślał. Zanim zdążył odpowiedzieć sobie na to pytanie, jego uwagę zwrócił błysk na szerokopasmowym ekranie sonaru. Rozbłysnął jasno i zgasł, z kierunku zero siedem pięć, który do niczego nie pasował. Cel został zniszczony na zachód od „Teksasu”, a ten chwilowy odgłos dobiegł z północnego wschodu. Ślad odgłosu znikł, ale widniał jeszcze na ekranie historii zdarzeń, jakie nastąpiły w ciągu ostatnich pięciu minut. Dave machinalnie usiadł na stanowisku i założył słuchawki. Nastawił kulką kursor na azymut, z którego dobiegł sygnał, i przełączył na niego odbiór audio. Zamknął oczy i nasłuchiwał odgłosów z kierunku zero siedem pięć.

Rozległ się szczęk - drugi odgłos. To było tarcie metalu o metal, odgłos siłowników hydraulicznych przemieszczających coś ciężkiego. Peryskop albo pokrywę wyrzutni torpedowej. W miejscu, gdzie niczego przedtem nie było!

Drugi odgłos umilkł i znowu zapanowała cisza. Simansky uruchomił więc procesor przeszukiwania wąskopasmowego wiązki odebranej z kierunku zero siedem pięć. Analiza danych musiała jednak potrwać dziesięć minut, zanim uda się definitywnie określić rodzaj odgłosu. Na tym właśnie polegał problem z wyszukiwaniem wąskopasmowym.

Simansky zamknął oczy i skupił się. Usłyszał hałas generatora pary, tak głośny, że aż zerwał słuchawki z uszu.

- Sonar do mostka, donośne odgłosy chwilowe z kierunku zero siedem pięć, możliwe odpalenie rakiety! - zawołał.

Morze otworzyło się i wyrzuciło z siebie ogromną raketę M45; z jej dyszy wystrzelił jaskrawopomarańczowy płomień i rakietę zaczęła wznosić się pionowo, pozostawiając za sobą słup dymu i pary. Dwadzieścia cztery mile morskie od niej samolot patrolowy Lockheed P-3C marynarki amerykańskiej, czterosilnikowa turbośmigłowa maszyna, ciągnąca za sobą długą, cienką sondę do wykrywania anomalii magnetycznych, skręcał właśnie na południe, w ramach zadanej trajektorii przeszukiwania. Jego załoga zobaczyła nagle przez okno kabiny ciągnący się za raketą słup dymu. Obaj piloci zamarli na ułamek sekundy, a potem otworzyli usta z przerażenia.

W ciągu następnych paru minut wyprowadzili samolot z zakrętu, skierowali go w miejsce, gdzie nad powierzchnią oceanu błysnęły płomienie, zanurkowali i otworzyli drzwi bombowe na brzuchu samolotu. Sunął nisko nad falami, z wysuniętymi klapami, aby lecieć wolniej. Radio, w jakie wyposażony był P-3C, nadawało tymczasem na ląd i do zawieszzonego wysoko ponad środkowym Atlantykiem satelity telekomunikacyjnego wiadomość o tym, co się stało. Kiedy samolot znalazł się pięć mil morskich od miejsca, z którego wyleciała rakietę, wypuścił do wody pierwszą torpedę Mark 50 Barracuda. Po chwili zrzucił jeszcze dwie. Pół mili morskiej przed punktem, z którego wyleciała rakietę, załoga samolotu wypuściła kilkadziesiąt boi sonarowych, kontynuując tę czynność podczas przelotu nad punktem startu rakiety i dalej. Boje pływające miały anteny i przekazywały odbierane dźwięki do samolotu, inne zaś boje zatonały na z góry ustaloną głębokość, aby prowadzić nasłuch. Następnie samolot zrzucił kolejne trzy torpedy, które z pluskiem wpadły do wody.

Z komunikatów radiowych samolotu można było wywnioskować, że opanowany przez terrorystów okręt zostanie za chwilę zniszczony. Jednak dowódca sił przeciwpodwodnych miał wątpliwości, sześć zrzuconych przez samolot torped Mark 50 popłynęło na ślepo, ich układy sterowania korzystały z „ustawień fabrycznych”, zamiast z prawdziwych danych o celu. Trafienie w nieruchomy okręt przenoszący rakiety balistyczne, który utrzymywał stałą pozycję w wodzie na niewielkiej głębokości podczas strzału, wymagało wyłączenia filtrów korzystających z efektu Dopplera i uruchomienia od razu aktywnych sonarów; tymczasem trafienie w poruszający się, uciekający okręt można było uzyskać, nie wyłączając filtrów Dopplera, zarówno przy pasywnym, jak też aktywnym trybie pracy sonarów. Sześć wystrzelonych torped miało różne ustawienia, trzy od razu wyłączyły filtry i uruchomiły sonary w trybie aktywnym, stabilizując zanurzenie na głębokości trzydziestu metrów; natomiast pozostałe trzy popłynęły głębiej, mając włączone filtry i sonary pracujące w trybie pasywnym. Wszystkie sześć zaprogramowano na wykonywanie w wodzie powolnych kręgów. Było jednak możliwe, że żadna z sześciu torped nie trafi „Le Vigilanta”. Trafienie okrętu torpedą

wymaga precyzji, a nie działania przypominającego próbę trafienia pociskiem armatnim innego pocisku. Jeśli nawet ich nie trafimy, myślał dowódca, to przynajmniej zmusimy do ruszenia z miejsca. Może wpłyną w pole boi sonarowych. P-3 wciąż wyrzucał bowiem boje, krążąc po coraz większym promieniu wokół miejsca odpalenia rakiety przez okręt.

Telefon ze sterówki dzwonił bez przerwy. Dillinger wytarł twarz, którą właśnie ochlapał wodą nad umywalką, aby nie czuć takiej senności. Podniósł ciężącą mu w rękę słuchawkę, ponieważ znowu pomyślał o Natalie.

- Słucham, tu kapitan - odezwał się.

- Panie kapitanie! - zawołał drżącym głosem Merc. - Odebraliśmy donośny odgłos chwilowy, sonar mówi, że to odpalenie rakiety! „Le Vigilant” wcale nie został zniszczony!

Burke odłożył z trzaskiem słuchawkę i pobiegł do sterówki.

23

Peter Voraado spoglądał ze zmarszczonymi brwiami na ekran sonaru stanowiska kierowania ogniem numer jeden, próbując oddalić myśli o porażce. Pieprzony „Le Vigilant” zrobił z nich balona dokładnie tak samo jak podczas niedawnych ćwiczeń! Jego cholerna załoga odpaliła urządzenie zakłócające sonary, które wydawało bardziej charakterystyczne odgłosy okrętu macierzystego niż sam okręt! A on, Peter Vornado, pomimo całego wyszkolenia dał się oszukać i zaniechał dalszych działań po tym, jak jego torpeda zniszczyła tylko małe, udające nieprzyjaciela urządzenie! Dlatego Echo Jeden wciąż istniał i miał się na tyle dobrze, że właśnie odpalił międzykontynentalną rakietę balistyczną.

Terrorysty zwyciężyli... - myślał ponuro Voraado. I to moja wina! Dziesiątki milionów niewinnych ludzi zapłaci życiem za mój błąd i porażkę! Spojrzał na chronometr. Za kilka minut rakietą zapewne spadnie na Paryż. Za młodu Peter grywał w turniejach tenisowych i sport nauczył go, jak innych ludzi, dużo o życiu. W tej chwili przypomniał sobie lekcję, jakiej udzielił mu trener w Annapolis, który z uporem ćwiczył kadetów, jak się zachowywać, kiedy wszystko wskazuje na to, że mecz jest przegrany. Urządzał im niekończące się alarmy.

- Drużyna kierowania ogniem, uwaga! - odezwał się Peter do obsady stanowisk bojowych. - Przegraliśmy pierwszą rundę i „Le Vigilant” odpalił raketę na Paryż. Ale w tej chwili jesteśmy tu po to, aby nie udało mu się wystrzelić drugiej. Znamy już jego pozycję. - Pokład zaczął drżeć pod nogami. „Teksas” z maksymalną prędkością kierował się tam, skąd wystartowała rakietą. - Sonar podaje nam azymut - kontynuował Vornado. - Obecna pozycja celu jest bliska tej, jaką miał Echo Jeden, kiedy wykryła go jedna z naszych torped. Myślę, że Echo Jeden odpalił urządzenie zakłócające sonary, które przyspieszyło, podczas gdy on wcale nie uciekał, ale zatrzymał się w zanurzeniu. Następnie, nie zmieniając pozycji, odpalił raketę. Przecięcie linii wyznaczającej azymut, z którego usłyszeliśmy odpalenie rakiety, z linią, na której znajdował się Echo Jeden, zanim zniknął, wyznacza nam orientacyjną pozycję celu. Wystrzelimy salwę torpedową w tamtym kierunku. Wykonać.

Jeśli załoga pospieszy się, za cztery minuty w wodzie może się znaleźć osiem torped. Szybka analiza wykazała, że cel znajdował się w odległości dwudziestu mil morskich na północny wschód. Oznaczało to, że torpedy będą płynąć doń przez ponad dwadzieścia minut. W ciągu tego czasu może się wydarzyć zbyt wiele.

- Uruchomić procedury strzału, salwa z wyrzutni poziomych, wyrzutnie jeden do cztery, cel Echo Jeden, trzydziestosekundowe odstępy pomiędzy strzałami - rozkazał Vornado.

- Okręt gotowy - zameldował oficer dyżurny.
- Wyrzutnie gotowe - powiadomił oficer uzbrojenia.
- Współrzędne celu wprowadzone - dorzucił del Toro.
- Ognia! - rozkazał Vornado.

Była to ostatnia rzecz, jaką zapamiętał.

Paliwo stałe wypaliło się do samego końca. Wówczas oddzielił się pierwszy stopień rakiety. Dwie sekundy później zaczął pracować silnik na paliwo stałe drugiego stopnia i rakietą kontynuowała pionowy lot w górę. Niebo było coraz czarniejsze, gwiazdy coraz jaśniejsze, widok coraz piękniejszy. Po wyczerpaniu się paliwa drugiego stopnia rakiety jego silnik zgasł, zaś drugi pierścień sworzni rozpadł się od szeregu mikroeksplozji, odłączając drugi stopień rakiety od reszty. Następnie uruchomił się trzeci stopień. Rakietą wciąż przyspieszała, aż i trzeci stopień nie miał już paliwa i został odrzucony od właściwego pocisku, który poniósł dalej sześć głowic termojądrowych typu TN-71 o energii wybuchu

sto pięćdziesiąt kiloton każda. Pocisk leciał teraz po łuku, wznosząc się coraz wolniej z powodu oddziaływania grawitacyjnego Ziemi. Tak jak leci kamień rzucony przez małego chłopca. Stopniowo przestał się wznosić i zaczął opadać, wciąż po parabolicznym łuku. Kiedy stracił jedną trzecią wysokości, rozpadła się gładka, aerodynamiczna osłona modułu balistycznego, a jej kawałki, koziółkując, zaczęły opadać osobno. Spod osłony pokazało się sześć głowic zamkniętych w osobnych stożkowych pociskach, które umożliwiały im przebijanie się z naddźwiękową prędkością przez powietrze gęstniejące wraz z obniżaniem wysokości lotu.

Środkowy pocisk z głowicą TN-71 o energii eksplozji stu pięćdziesięciu kiloton oddzielił się od reszty jako pierwszy dzięki eksplozjom ładunków wybuchowych przy mocujących go sworzniach. Wszystkie głowice miały zaprogramowany ten sam cel, miały więc opadać blisko siebie, jednak nie za blisko, aby opływające je, świecące strugi zjonizowanego powietrza nie zaburzyły torów lotu sąsiednich głowic, by żadna nie zaczęła koziółkować. Zestaw małych dysz odsunął pierwszy pocisk jeszcze nieco dalej od pozostałych i skorygował tor jego lotu, aby głowica opadała pod właściwym kątem. Ziemia w dole zbliżała się coraz szybciej i szybciej. Uruchomił się zminiaturyzowany układ naprowadzania, sprawdził widok gwiazd i zaczął wysyłać sygnały do dysz, korygując na bieżąco trajektorię głowicy tak, aby opadła dokładnie w zaprogramowane miejsce.

Wzrost tarcia o atmosferę spowodował, że stożkowa osłona głowicy błyskawicznie rozgrzała się, aż pojawiły się wokół niej płomienie. Gęste powietrze stopniowo spowalniało pocisk, wciąż opadający z ponaddźwiękową prędkością. Przez chwilę wydawało się, że gorące jak w piecu powietrze spali głowicę na popiół, jednak w miarę, jak zwalniała, świecenie osłony stawało się coraz słabsze; wreszcie głowica zwolniła do prędkości karabinowej kuli, a powietrze wokół niej stało się przejrzyste, ukazując wspaniałe widoki w dole. Zaś wokół, po bokach i powyżej, opadały inne głowice, odległe każda od siebie o sto metrów, jakby lecące w formacji samoloty.

Ziemia się zbliżała. Większa jej część przesłonięta była cienką warstwą chmur. Dla TN-71 nie miało to jednak znaczenia. Otrzymała precyzyjne liczbowe dane wyznaczające pozycję celu. Zakrzywienie Ziemi przestało być widoczne, chmury zbliżyły się, aż wreszcie głowicę otoczyła kłębiąca się, strzępiasta biel. Niewidoczny cel rósł w dole, a wysokościomierz układu sterującego odliczał kolejne setki metrów. Kiedy pocisk znalazł się nieco ponad tysiąc metrów nad miejscem eksplozji, uruchomił się mechanizm uzbrajania głowicy. Precyzyjnie obrócił grubą metalową płytkę tak, aby nie odgradzał już niedużych, słabych ładunków wybuchowych od większych, silniejszych, ukształtowanych na

podobieństwo kawałków tortu. Na wysokości trzystu metrów nad ziemią, w niezwykle dokładnie zaprogramowanym momencie, nastąpił zapłon sześciu detonatorów, które spowodowały wybuch szeregu słabszych ładunków. Płomienie ich wybuchów przemieściły się przez kanały w płycie bezpieczeństwa i dotarły do trudniej palnych, stabilniejszych, silniejszych ładunków. Ekspłodowały wszystkie sześć jednocześnie, rzucając z wielką siłą sześć przypominających stożki ładunków czystego uranu 235 w kierunku środka głowicy. Porcje uranu złączyły się w jedną kulę.

Kiedy głowica znajdowała się na wysokości stu metrów, charakter procesów zachodzących wewnątrz kawałków uranu zaczął się zmieniać. Kiedy były od siebie oddzielone, niektóre jądra atomów uranu samoczynnie się rozpadały, jeden na sto milionów rozpadał się nagle, powodując wytworzenie dwóch lub trzech ciężkich neutronów oraz stu megaelektronowoltów energii, ponieważ sumaryczna masa produktów rozpadu była mniejsza niż atomu przed rozpadem, zaś różnica masy zamieniała się w czystą energię cieplną. Większość z owych wytworzonych neutronów wylatywała w otaczającą przestrzeń, nie powodując więcej rozpadów. Kiedy jednak kawałki uranu zostały nagle połączone w jedną kulę, większość pochodzących z rozpadu neutronów nie uciekała już na zewnątrz. Dlatego że kula ma najmniejszy ze wszystkich możliwych brył stosunek powierzchni do masy. Tak więc większość pochodzących z samoczynnego rozpadu atomów uranu neutronów trafiało w inne atomy uranu. Powodowało to ich rozpad. Nastąpiła reakcja łańcuchowa - coś, czym Einstein skusił prezydenta Roosevelta. Gwałtownie uwolniona w wyniku reakcji łańcuchowej energia wystarcza do zrównania z ziemią całego wielkiego miasta.

Dziewięćdziesiąt metrów ponad pograżonym we mgle celem coraz więcej neutronów wewnątrz kuli trafiało w atomy uranu, powodując z kolei ich rozpad na neutrony, tempo reakcji łańcuchowej narastało błyskawicznie. Prażona kukurydza najpierw strzela tu i tam, a potem nagle pęka całe mnóstwo ziarenek. W uranowej kuli następowały kolejne etapy rozpadu, rozpad jednego atomu powodował rozpad trzech następnych, każdy z owych trzech kolejnych trzech, zaś każdy z tej dziesiątki znowu trzech. Szybko nastąpił rozpad miliardów, trylionów, kwadrylionów atomów uranu. Ubytek masy w wyniku rozpadu każdego atomu powodował wytworzenie maleńkiej ilości energii, ponieważ jednak wkrótce rozpadły się sekstyliony atomów, kula rozgrzała się do kilku milionów stopni.

TN-71 była głowicą termojądrową, to znaczy, że zawierała nie tylko uran. Oparta na reakcji rozczepienia uranu straszliwa bomba atomowa była zaledwie zapalnikiem. Uranową kulę otaczały bowiem pojemniki z deuterem, ciężkim wodorem, bogatym w neutrony. Pod wpływem wywołanego przez uranową kulę gorąca atomy ciężkiego wodoru zaczęły łączyć się, tworząc atomy helu. Na mocy niezwykłych praw

fizyki kwantowej masa wytwarzanego w wyniku reakcji fuzji helu była mniejsza niż masa ciężkiego wodoru, z którego powstał. Zaś tę część masy, która znikła, zastąpiła energia, która wyzwoliła się w olbrzymiej ilości. Tak wielkiej, że temperatura ładunku wzrosła gwałtownie do rzędu temperatur występujących na powierzchni Słońca.

Wkrótce ilość wyzwolonej w ognistej kuli energii stała się tak wielka, że ładunek zaczął fizycznie rozpadać się w gwałtownej eksplozji, która rozrywała nawet jego atomy, co powodowało jeszcze większy wzrost energii. Średnica rozpalonej kuli rosła. Kiedy się pojawiła, jej środek znajdował się na wysokości osiemdziesięciu pięciu metrów. Brzeg kuli szybko dotarł do wysokości zero i uderzył w Ziemię niczym pięść boga zagłady; eksplozja rozprzestrzeniła się błyskawicznie, niszcząc wszystko, co ją otaczało. Ognista kula, w sąsiedztwie której rozbłysło pięć następnych, niczym spadające z nieba gwiazdy, wciąż powiększała swoją średnicę. Ponad kulami ognia zaczęła wznosić się przegrzana para. Wznosiła się tak gwałtownie, że pozostawiała pod sobą próżnię, która zasysała powietrze ze wszystkich stron, a potem wyrzuciła je w górę w formie słupa, przekształcał się w rosnący, stygnący szybko pomarańczowo-czarny jajowaty kształt.

Z pewnej odległości widać było w tym miejscu chwilę wcześniej tylko chmury i mgłę, sekundę później było już małe słońce, sześć słońc, aż wreszcie sześć straszliwych detonacji wzbilo w niebo sześć olbrzymich, połączonych ze sobą, przerażających, groźnych chmur atomowych grzybów. Wyzwolone w wyniku wybuchów gorąco rozprzestrzeniło się na wszystkie strony. Promieniowanie rozchodziło się z prędkością światła, zaś fala uderzeniowa z prędkością dźwięku, a więc nieporównanie wolniej. Skutki promieniowania cieplnego były potworne, ale nadlatująca później fala uderzeniowa miała tak gigantyczną siłę, że była w stanie zerwać ciało z kości każdego człowieka stojącego na jej drodze.

Ten cud techniki wojskowej, dzieło inżynierów francuskich, okazał się skuteczny. Wyzwolił z siebie straszliwą ilość energii nuklearnej, która dla Issama Zouabriego była aniołem zemsty, zesłanym za jego pośrednictwem przez Allana na znienawidzonych Francuzów.

Chwilę po odpaleniu rakiety numer 01 zdarzyło się chyba mnóstwo rzeczy naraz. A może Jusufowi tylko się tak zdawało, ponieważ stracił poczucie czasu. W krótkofalówce odezwał się pełen przerażenia głos Jaula Karima, który pełnił wachtę w pomieszczeniu sonaru.

- Jusuf, w wodzie słyhać mnóstwo plusków! I krąży samolot! Słyhać też piski, wyraźne piski! Zobacz, pospiesz się Tagreb zerknął na swojego asystenta, Wafika Algosaubiego.

- Przygotuj raketę 02! - rzucił, po czym wypadł z pomieszczenia. Wbiegł pędem po trapie do pomieszczenia sonaru. - Co się dzieje?! - spytał. Nie musiał czekać na odpowiedź. Widniała na ekranie szerokopasmowego sonaru, gdzie dosłownie roiło się od obiektów. Zakłócenia spowodowane odpaleniem rakiety na dwie minuty przesłoniły widok, potem jednak pojawiło się coś głośnego i bliskiego, co przemieściło się błyskawicznie z północy ku południowi. Z taką prędkością mógł się przesuwać jedynie samolot, a ponieważ znalazł się tuż nad nimi, był to z pewnością wojskowy samolot sił przeciwpodwodnych.

Z kierunków wyznaczających tor przelotu samolotu dobiegły chwilowe odgłosy obrazowane przez wykwitające na ekranie błyski. Kilka z owych odgłosów było zdecydowanie za mocnych jak na plusk spadających boi sonarowych. Obiekty te zaczęły wydawać z siebie dźwięki charakterystyczne dla... torped!

Tagreb złapał słuchawki i je nałożył. Nakierował kursor na jeden ze śladów na pełnym obiektów ekranie. Nie mogło być mowy o pomyłce, usłyszał wznoszący się i opadający dźwięk aktywnego sonaru torpedy.

Nakierował kursor na kolejne ślady. Stwierdził, że jeszcze dwie inne torpedy wyszukują „Le Vigilanta” za pomocą aktywnych sonarów. Jedna z nich była tak blisko okrętu, że Jusufowi wydało się, iż słyszy jej piski przez kadłub, bez słuchawek. Popatrzył na Karima, który znieruchomiał ze strachu. Cóż, przynajmniej miał na tyle przytomności umysłu, żeby zawołać Jusufa.

- Nie martw się o te odgłosy - uspokoił Tagreb, pokazując palcem na trzy głośne poruszające się obiekty. - To torpedy w trybie aktywnego wyszukiwania. Wysyłają piski, ale my jesteśmy dla nich niewidzialni, dopóki sienie poruszamy, zachowujemy stałą pozycję w wodzie. Odbite od nas echo wraca z niezmienną częstotliwością, więc ich komputery je odrzucają.

- No a tamte trzy? - spytał Karim.

Tagreb wyszukał pozostałe trzy torpedy. Te nie wydawały pisków. Ich sonary milczały, pracowały w trybie pasywnym. Torpedy przemieszczały się na ekranie po torach przypominających sinusoidę.

- Te trzy torpedy nasłuchują wszelkich odgłosów - wyjaśnił. - Mogą być niebezpieczne, ale z pewnością przeszukują tylko górną warstwę wody. - Jeżeli torpedy wyszukiwały w trybie pasywnym znieruchomiałego w wodzie okrętu, niewątpliwie były nastawione na małe zanurzenie,

śledziły otoczenie do głębokości co najwyżej pięćdziesięciu metrów. Jusuf pomyślał, że gdyby za pomocą systemu do zachowywania stałej pozycji powoli zwiększyć zanurzenie okrętu, nie nadając mu żadnej prędkości poziomej, może uda się zmylić oba rodzaje torped.

Niepokoili go też pozostałe, liczne odgłosy. Zaczął ich słuchać. Obiekty były nieruchome i wydawały ciche piski. Musiały więc być bojami sonarowymi aktywnie szukającymi kadłuba okrętu i przekazującymi dane do samolotu. Aktywne sonary nie wykryją „Le Vigilanta”, który się nie poruszał. Samolot z pewnością wyrzucił także boje, których sonary prowadzą nasłuch w trybie pasywnym, lecz przy wyłączonym napędzie okręt był bardzo cichy.

Tagreb spojrział na zegarek. Doszedł do wniosku, że chowając się przed torpedami w głębinę, wyczerpie akumulatory.

- Bishr! - zawołał przez krótkofalówkę do Bishra Nassiriego, który wciąż czuwał w pomieszczeniu sterowania napędem atomowym. - Ile amperogodzin pozostało w akumulatorach?

- Tylko sto - odpowiedział Bishr drżącym głosem; na pewno przeraziły go dobiegające przez kadłub odgłosy sonarów.

Niech Allah nam dopomoże! - powiedział w myśli Tagreb. Akumulatory wyczerpywały się. Trzeba było zanurzyć okręt głęboko, a potem uruchomić reaktor. Energii w akumulatorach nie starczyłoby na odpalenie nawet pięciu rakiet. Dlaczego myślał, że energii starczy na ponad godzinę?

Pobiegł do sterówki, żałując, że nie ma żadnych środków do walki z samolotami. Kiedy służył na „Krasnojarsku”, opowiadano, że już wkrótce zostanie stworzona rakietka, która będzie w stanie wylecieć z kiosku, odnaleźć samolot na niebie i go zestrzelić. Instrukcje „Le Vigilanta” nie wspominały jednak o istnieniu podobnego systemu. Wielka szkoda! Jak mogli to zaniedbać? Zastanawiał się, jak długo będzie musiał kryć się przed atakującymi go z samolotu niewiernymi. Kiedy uruchomi reaktor, okręt przestanie być całkowicie cichy. Odgłosy współpracujących z reaktorem urządzeń sąna tyle silne, że nasłuchujące w trybie pasywnym torpedy usłyszą ich. Ale tylko wówczas, jeśli pozostaną na niewielkiej głębokości.

Do sterówki wszedł Zouabri.

- Jusuf, wiem, że jesteś zajęty - odezwał się - ale co robisz? Tagreb usiadł na stanowisku sterowania balastem i spojrział na ekran komputera systemu do utrzymywania stałej pozycji w wodzie. Na ekranie widniał ostrzegawczy komunikat:

POZ01: BŁĄD OBLICZ KONTROLI GŁĘBOK: PRZEKROCZ TEMP PROCESORA

Jusuf zmarszczył brwi. Przypomnił mu się poprzedni komunikat o błędzie, ten, który zobaczył przed odpaleniem rakiety numer 01. Wówczas na ekranie pojawiło się „Nav 01” i „Błąd SINS faza A”. Ciekawe, czy te dwa błędy mogą być ze sobą powiązane? Skoncentrował się na treści komunikatu. Zobaczył wyświetlony obok przycisk „Szczegóły”. Wcisnął go więc i przeczytał:

TEMPERATURA KOMPUTERA SYSTEMU UTRZYMYWANIA STAŁEJ POZYCJI W GŁĘBINIE PRZEKROCZYŁA ZNAMIONOWĄ. NASTĄPI AUTOMATYCZNE WYŁĄCZENIE PROCESORA - CZAS: 02.23

Cyfry na końcu komunikatu bladły. Procesor się przegrzał... Za nieco ponad dwie minuty się wyłączy. A jeśli komputer tak ważnego systemu się wyłączy, to znaczy, że systemy sonaru i kontroli rakiet są równie nieodporne na wysoką temperaturę. Okazał się głupcem, wyobrażając sobie, że zdoła odpalić wszystkie rakiety, korzystając jedynie z zasilania akumulatorowego, pozbawiwszy rozgrzany reaktor i cały okręt chłodzenia. Jusuf zdał sobie sprawę, że włosy ma mokre od potu, podobnie jak i kombinezon.

- Jusuf, co robisz? Muszę wiedzieć! - odezwał się ostro Zouarbi. Tagreb zignorował go jednak. Wprowadził do systemu inną wartość zanurzenia okrętu, zmieniając położenie analogowego pokrętkła z trzydziestu na trzysta metrów. Było jeszcze drugie pokrętkło regulujące tempo zmiany zanurzenia. Ponieważ komputer miał wyłączyć się za dwie minuty, Tagreb musiał zanurzyć okręt jak najszybciej. Ustawił więc maksymalne tempo zmiany zanurzenia, dziesięć metrów na sekundę. Wiedział, że to niebezpieczne. Ogromny okręt runie w dół jak winda. Jeśli nie zareaguje się błyskawicznie w odpowiednim momencie, „Le Vigilant” osiągnie głębokość, na której woda go zmiażdży. Tagreb obserwował ekran, okręt zaczął schodzić w głębinę. Dopiero wówczas podniósł wzrok na Issama i powiedział:

- Zanurzam pionowo okręt. Wkrótce system nie będzie w stanie zatrzymać opadania. - Zerkał na ekran. Miał ochotę pobiec do pomieszczenia sterowania napędem i uruchomić z powrotem reaktor, musiał jednak siedzieć tu jeszcze przynajmniej przez minutę, po której wyłączy się komputer sterujący zanurzeniem. Potem trzeba będzie ręcznie przerwać niebezpieczną wycieczkę okrętu w głąb oceanu. Pozbawiony komputerowego sterowania okręt łatwo mógł stracić równowagę i zacząć przechylać się dziobem czy rufą w dół. Na głębokości trzystu metrów doprowadziłoby to do katastrofy. Jusuf spojrzął na Zouabriego. Przywódca bojowników stał przy otwartych drzwiach pomieszczenia nawigacyjnego. Z jego plecami migало jakieś światło. Co to takiego?

Tagreb zerwał się i odpychając Zouabriego, wpadł do pomieszczenia nawigacyjnego. Na pulpicie po lewej migało wypisane wielkimi czerwonymi literami ostrzeżenie:

BŁĄD SINS FAZA A

Niedobrze! To samo było w komunikacie, który ukazał się przed odpaleniem rakiety. Tagreb podbiegł do pulpitu, zdając sobie sprawę, że okręt zanurza się z prędkością dziesięciu metrów na sekundę, z wyłączonym komputerem systemu do utrzymywania stałej pozycji w głębinie. Spojrzał z bliska na pulpit, na którym migał alarm. Z francuskiego opisu pulpitu odczytał, że SINS Faza A to główny kontroler inercyjnego systemu nawigacyjnego okrętu. Cały układ inercyjnej nawigacji był wyłączony! Tagreb wyszukał na ekranie szczegółowy komunikat. Komputer wyłączył się automatycznie z powodu zbyt wysokiej temperatury. Wszystko przez wyłączenie reaktora i brak klimatyzacji oraz chłodzenia wodą zaburtową.

- Co się dzieje? - spytał z irytacją Zouabri.

- Jeśli ta awaria wystąpiła przed odpaleniem przez nas rakiety, to znaczy, że nie trafiła ona w cel! - odpowiedział ze złością Jusuf. Patrzył na główny ekran komputera w nadziei, że główny kontroler systemu wyłączył się w sposób, który nie powodował zaprzestania działania pozostałych jego komponentów. Odczytał jednak komunikat: SINS WYBRAŁ LOSOWĄ POZYCJĘ. - Och, nie! - jęknął.

- Co znowu? - dopytywał się Issam.

- Przeszła awaria głównego komponentu inercyjnego systemu nawigacyjnego okrętu. Stało się to przed odpaleniem przez nas rakiety. - Jusuf usiadł w fotelu, odczytując wskazania analogowego głębokościomierza, a potem wyłączył komputer systemu utrzymywania pozycji tuż przed jego samoczynnym wyłączeniem się. Zaciskał szczęki, pot zalewał mu oczy.

- Co to znaczy? - dopytywał się Zouabri, w coraz gorszym humorze. Tagreb widział to, miał jednak obecnie większe problemy.

- Widzisz, Issam, żeby rakiet balistyczna precyzyjnie trafiła w cel - odpowiedział - trzeba dokładnie znać położenie wyrzutni, czyli miejsce, z którego strzelamy. Jeżeli system nawigacyjny błędnie wskazuje położenie okrętu, to rakiet nie trafi w cel.

- Chcesz powiedzieć, że nasza rakiet nie poleciała do Paryża?!

Tagreb skupił się na pulpicie sterowania balastem. Miał nadzieję, że zdoła ręcznie wyprowadzić „Le Vigilanta” z pionowego zjazdu w głębinę. Spróbował uruchomić główną pompę zbiorników wyrównowazających. Jeśli pompa nie zacznie działać - zginą. Pompa włączyła się jednak. Bez komputera nie wiadomo było, kiedy należy zakończyć wypompowywanie wody ze zbiorników. Okręt mógł stać się zbyt lekki i wynurzyć się z powrotem albo wciąż pozostać zbyt ciężki i tonąć dalej. Na Allaha, powinienem być w czterech miejscach naraz! - myślał Jusuf. Wypompowywał wodę przez dwie minuty, aby ustabilizować zanurzenie „Le Vigilanta”. W końcu poczuł, że okręt przestał się zanurzać, pozostając na głębokości trzystu metrów. Jednak rufa zaczęła opadać, a dziób wznosić się. Tagreb pomyślał, że trzeba przepompować ruchomy balast ze zbiorników rufowych do dziobowych. Przede wszystkim musiał jednak uruchomić ponownie reaktor.

- Jusuf, zostało tylko sześćdziesiąt amperogodzin - odezwał się przez radio Bishr.

- Już idę - odpowiedział Jusuf, zrywając się z fotela i ruszając biegiem do pomieszczenia sterowania napędem atomowym.

Przechodził przez otwarty właz do przedziału reaktora, kiedy rozległa się potężna eksplozja wstrząsająca okrętem. Tagreb upadł na pokład. Uderzył się w głowę tak mocno, że aż oślepl na chwilę, zakręciło mu się w głowie z bólu. Otworzył oczy, ale nie zobaczył niczego. Zgasło oświetlenie.

Dwadzieścia pięć mil morskich na południowy zachód od sześciu rosnących grzybów atomowych eksplozji samolot sił przeciwpodwodnych P-3C Orion skręcał ostro w lewo, aby zrzucić kolejny szereg boi sonarowych. Piloci starali się precyzyjnie ustalić pozycję porwanego przez terrorystów okrętu i umożliwić celne trafienie go torpedami. Nagle pilotów oślepiło światło termojądrowych eksplozji. Usiłowali prowadzić samolot na wycucie, próbując opanować strach. Jednak po paru sekundach do samolotu dotarła fala uderzeniowa, która oderwała oba skrzydła, złamała kadłub na pół i wściekłym podmuchem rozsiała po powierzchni oceanu kawałki aluminium, stali oraz zerwanych kabli.

Rycząca fala uderzeniowa rozchodziła się na wszystkie strony ponad powierzchnią oceanu. Na południowy zachód od epicentrum wybuchu jej czoło po przebyciu dwudziestu siedmiu mil morskich osiągnęło pozycję zanurzonego w głębinie okrętu, który odpalił rakietę. Dziewiętnaście mil morskich dalej w prawie tym samym kierunku fala uderzeniowa znalazła się ponad kadłubem zanurzonego „Teksasu”. Mknęła przed siebie. Przebywszy dalsze pięćdziesiąt osiem mil w kierunku zachodnim, napotkała pod sobą drugi amerykański okręt podwodny -

„Hampton”. Przez następne minuty tworzące ogromny atomowy grzyb chmury wznosiły się w niebo aż do stratosfery. Wiejące wysoko wiatry zaczęły przechylać go ku zachodowi. Fala uderzeniowa dotarła z wielką energią do dna oceanu dwieście dziewięćdziesiąt siedem mil morskich na południowy zachód od Brestu. Głowice nie spadły na Paryż, ponieważ komputery sterujące rakieta zostały błędnie zaprogramowane przez system kontroli rakiet „Le Vigilant”. Po wyłączeniu reaktora na okręcie zapanowała tak wysoka temperatura, że główny komponent systemu nawigacyjnego wyłączył się i system przekazał do pomieszczenia kontroli rakiet błędne dane nawigacyjne przyjęte przez jeden z komputerów.

Przez pierwsze minuty po przejściu podwodnej fali uderzeniowej „Le Vigilant” dryfował w zanurzeniu, dwieście metrów powyżej głębokości zgniotu kadłuba. Światła wewnątrz okrętu zgasły, reaktor nie pracował, wszystkie bezpieczniki porozłączały obwody z powodu przeciążenia. Na pokładzie „Teksasu” tak samo zapanowały ciemności, a wszystkie urządzenia przestały pracować, jednak załoga amerykańskiego okrętu niemal natychmiast zaczęła włączać obwody z powrotem. Płynącemu dalej na zachód „Hamptonowi” nic się nie stało, tylko siedzącemu na stanowisku obsługi sonaru operatorowi dzwoniło w uszach. Sonar zarejestrował połączoną eksplozję. „Hampton” mknął więc dalej z maksymalną prędkością ku miejscu, z którego odpalono rakieta. Dwie wyrzutnie torpedowe „Hamptona” miały już otwarte pokrywy, a torpedy we wszystkich czterech wyrzutniach były podłączone do zasilania i gotowe do odpalenia.

Komandor Burke Dillinger wpatrywał się z wściekłością w ekran sonaru, żalując, że nie udało się na czas zniszczyć porwanego przez terrorystów okrętu. Ale jeszcze przed końcem tej wachty zamienimy naszą porażkę w zwycięstwo! - obiecał sobie w myśli.

24

Zdawało się, że czas się zatrzymał i każda sekunda trwa wieczność. Jusuf odczuwał to wyraźnie, ponieważ syrena reaktora, która normalnie wyła w dwusekundowym cyklu, teraz wyła najpierw basem, potem zwiększała wysokość tonu i dochodziła do najwyższego chyba przez całą minutę. Tagreb zorientował się, że jest tylko potłuczony; zerwał się na nogi i po omacku poszukał na ścianie tunelu latarki. Przebiegał tym tunelem przynajmniej pięćdziesiąt razy i zapamiętał, gdzie są stanowiska z powietrzem do awaryjnego oddychania oraz latarki. Pośliznął się

nagle, omal nie przewracając się na pokład. Chwilę później odnalazł latarkę i ją zapalił. Dzięki Allanowi, działała. Oświetliła korytarz snopem ostrego światła.

Jusuf musiał pobiec na dolny pokład do przedziału dziobowego i włączyć z powrotem bezpiecznik akumulatorów, który znajdował się w pobliżu silnika Diesla. Już raz to robił. Miał nadzieję, że w akumulatorach zostało jeszcze dość energii, by uruchomić reaktor bez konieczności wynurzenia okrętu na głębokość peryskopową i uruchamiania silnika spalinowego. W obecnej sytuacji równałoby się to samobójstwu. Pobiegł po pochylonym w stronę rufy pokładzie. Włączył bezpiecznik. Światło zamigotało, a potem się zapaliło. W krótkofalówce odezwał się głos przerażonego Bishra. Jusuf wyczuwał, że pokład jest coraz bardziej pochylony na rufę. Wbiegł do pomieszczenia sterowania napędem atomowym, dysząc z wysiłku.

Natychmiast rozpoczął procedurę ponownego uruchamiania reaktora, postępując tak samo jak przedtem. Teraz jednak nie dysponował dużą ilością energii elektrycznej, którą poprzednim razem zapewnił silnik Diesla. Przez następne dwadzieścia minut spocony Tagreb przywracał do pracy reaktor i związane z nim urządzenia pomocnicze. Nie zapominał jednocześnie o torpedach, które krążyły w górze jak rekiny. A może fala uderzeniowa termojądrowej eksplozji zniszczyła torpedy albo skończyło się im już paliwo?

Skup się! - przykazał sobie w myśli. Właśnie omal nie podłączył nieprawidłowo turbiny, która mogłaby chyba przez to rozerwać obudowę, w której pracowała. W końcu reaktor ponownie osiągnął moc wystarczającą do napędu wspomagających go urządzeń.

- Otwórz przepustnice i ustaw trzydzieści obrotów śruby - polecił Jusuf Bishrowi.

Pobiegł w stronę dziobu, wywołując przez radio Fajada Rabuda, który dyżurował na stanowisku sterowania okrętem.

- Fajad, mamy prędkość czterech węzłów - powiedział. - Przejmij kontrolę nad ruchem okrętu i jego zanurzeniem. Wyjdź na głębokość dwustu metrów i ustabilizuj kurs na zachód.

Rabud potwierdził otrzymany rozkaz. Jusuf wciąż biegł ku dziobowi, w całkiem mokrym od potu kombinezonie. Nagle zrobiło mu się w nim zimno, ponieważ klimatyzacja zaczęła znów pracować. Wpadł więc do swojej kabiny, zrzucił mokry kombinezon i włożył drugi, a potem, nie zwlekając, pobiegł do sterówki. Najpierw skoczył do pulpitu sterowania balastem i ponownie uruchomił komputer systemu utrzymywania stałej pozycji w zanurzeniu. System uruchomił się i rozpoczął wewnętrzną kontrolę. Miało to chyba potrwać jeszcze z minutę, więc Tagreb

pobiegł do pomieszczenia sonaru i uruchomił cały system. Także sonar miał zacząć efektywnie działać dopiero za kilka minut. Jusuf wrócił zatem do sterówki i pouruchamiał komputery systemu kierowania ogniem, na ostatek zaś wpadł do pomieszczenia nawigacyjnego i sprawdził, co się dzieje z komputerami inercyjnego systemu nawigacyjnego. Stan głównego komputera jeszcze się pogorszył, jednak komputer numer dwa, który przełączył się na zasilanie awaryjne z własnego akumulatora, pracował chyba normalnie. Tagreb usiadł na stanowisku i posługując się oprogramowaniem, odłączył nieprawidłowo pracujący komputer od reszty systemu nawigacyjnego. Wyglądało na to, że dzięki komputerowi numer dwa, który wciąż prawidłowo wskazywał pozycję okrętu, uda się celnie trafić w Paryż.

Jusuf wrócił do sterówki. System utrzymywania stałej pozycji w zanurzeniu pracował normalnie.

- Maszyna stop - polecił Fajadowi, a przez radio wydał rozkaz Bishrowi: - Zamknij przepustnice! - Kiedy okręt wytracał prędkość, Tagreb skontrolował zanurzenie. „Le Vigilant” znajdował się na głębokości dwustu metrów. Po wytraceniu przez niego prędkości Jusuf włączył system utrzymywania stałej pozycji. Działał. Ustawił wynurzenie w tempie jednego metra na sekundę, aż do osiągnięcia przez okręt głębokości trzydziestu metrów, czyli tej, z jakiej odpalało się rakiety.

Podczas gdy okręt powoli się podnosił, Tagreb poszedł do pomieszczenia sonaru i sprawdził, co widać na ekranach. Było widać znacznie mniej niż poprzednim razem. Ale - Jusuf skrzywił się - w całym północno-wschodnim sektorze ekranu panował silny hałas. Czyżby hydrofony sonaru zostały uszkodzone? Przyjrzał się dokładniej ekranowi. Nie, widmo hałasu zmieniało się. To był skutek eksplozji jądrowej. Spowodowała wytworzenie się w wodzie miliardów bąbli, które powodowały zakłócenia uniemożliwiające sonarowi odbiór innych sygnałów.

- Przeszukujcie morze, żebyśmy wiedzieli, czy nie ma torped. Sprawdzajcie wszystkie chwilowe odgłosy - polecił Kadmowi i Jawadiemu. - I kontrolujcie co chwila ekran procesora częstotliwości. Chcę wiedzieć, czy nie przyplłynął tu jakiś nieprzyjacielski okręt podwodny.

- Tak jest - odpowiedzieli zgodnie dwaj terroryści.

Tagreb popatrzył jeszcze na ekrany. Dobre było przynajmniej to, że rakiet balistyczna, która chybiła celu, zniszczyła zagrażające „Le Vigilantowi” torpedy i chyba także samolot sił przeciwpodwodnych. Ocean wokół okrętu znowu stał się pusty. Poszedł do sterówki, żeby rzucić okiem na pulpit systemu utrzymywania pozycji. Okręt stał już w miejscu na głębokości trzydziestu metrów, idealnie poziomo. Tagreb zajrzał

więc do pomieszczenia nawigacyjnego i z radością stwierdził, że komputer nawigacyjny numer dwa pracuje bez najmniejszych zakłóceń. Nie będziemy mieli żadnych kłopotów przy odpalaniu drugiej rakiety, pomyślał. Zszedł znowu do pomieszczenia kontroli rakiet, gdzie czekał niecierpliwie Issam Zouabri, chodząc od ściany do ściany.

- Będziemy kontynuować odpalanie rakiet - oznajmił Tagreb, siadając na stanowisku zero i nastawiając ekran na komputer układu naprowadzania rakiety 02.

- Czekaj! - syknął groźnie Zouabri.

- Słucham - odpowiedział Jusuf, spoglądając na niego.

- Czy to francuski samolot zrzucił na nas torpedy? Tagreb pokręcił głową.

- Wątpię. - Odgłosy sonarów torped były charakterystyczne dla torped amerykańskich. Przypomniał sobie szkolenia, które odbył, służąc w rosyjskiej Flocie Północnej. - Amerykański.

- Która rakietą jest wycelowana w Waszyngton?

- Szesnasta. A piętnasta w Nowy Jork.

- Te dwie odpalimy najpierw - oznajmił Zouabri. Tagreb uniósł brwi.

- Jesteś pewien, bracie? Issam pokiwał głową.

- Od naszych niewiernych wrogów gorsi mogą być tylko niewierni, którzy powstrzymują nas przed uderzeniem na naszych wrogów. Odpalaj rakietę, zaczynając od piętnastej i szesnastej, a potem przejdź do drugiej.

- Tak jest, Issam.

- Powtórz mi jeszcze, bracie, jakie są cele poszczególnych głowic. Tagreb wywołał rakietę numer 16.

- Szesnastka ma spaść na Waszyngton, głowica numer 1 na Biały Dom, głowica numer 2 na Kapitol, numer 3 na Stary Budynek Biura Wykonawczego, numer 4 na kierownictwo CIA w McLean, numer 5 na Sąd Najwyższy, a numer 6 na Pentagon.

- A głowice rakiety, która ma uderzyć w Nowy Jork?

- Rakieta 15... głowica numer 1 - Wieża Wolności przy Wall Street, numer 2 - Park Centralny, numer 3 - Empire State Building, 4 - Lotnisko imienia Kennedy'ego, 5 - Lotnisko imienia La Guardia i 6 - na Crown Heights w Brooklynie - rejon, gdzie mieszkają Żydzi.

- Tym razem na pewno trafisz?

- Tym razem nasze rakiety trafią idealnie - obiecał Tagreb.

- To dobrze. Zaczynaj odpalanie.

Komandor Vornado usiłował otworzyć oczy, nie był jednak w stanie tego zrobić ani oderwać twarzy od zimnego pokładu. Jedno oko miał jakby zaklejone, drugie mokre. Podniósł dłoń do oczu, ale poczuł ostry ból w ręku. Albo coś złamał, albo był bardzo potłuczony. Jeszcze raz spróbował podnieść rękę, tym razem powoli. Dotknął twarzy i starł maź, która sklejała mu oczy. Spróbował usiąść; kręciło mu się w głowie. Miał przed sobą dziwny widok. Siedział w jakimś słabo oświetlonym pomieszczeniu na pokładzie zalanym ciemną cieczą. Dotknął jej palcami. Była cieplejsza niż pokład. To jego krew! Znowu zakręciło mu się w głowie i poczuł mdłości, jakich nie pamiętał od czasu operacji „Skradzione Strzały”. Co też go tak mocno uderzyło? Pamiętał, że znajdował się w sterówce swojego okrętu i że ścigali porwany przez terrorystów francuski okręt nosiciel rakiet. Co się jednak stało, że leży teraz na pokładzie?

Rozejrzał się w ciemności w poszukiwaniu jakiegoś innego przytomnego człowieka. Tylko Henry del Toro zdradzał oznaki życia.

- Pierwszy oficerze - odezwał się chrapliwym głosem Vornado. - Co się stało?

- O rety, panie kapitanie! - odezwał się swoim zaskakująco łagodnym głosem Byk. - Ma pan paskudną ranę głowy, okropnie pan krwawi.

- Chyba nic mi nie będzie - odpowiedział Peter, ocierając czoło i rozglądając się dalej. - Co się z nami, na Boga, stało? - zapytał. - Czy trafiła nas torpeda?

- Nie wiem, panie kapitanie. Pamiętam, że szykowaliśmy się do oddania strzału.

Nagle przypomniał sobie przebieg wydarzeń. W pobliżu znajdował się opanowany przez terrorystów okręt przenoszący rakiety balistyczne. Spróbował wstać pomimo zawrotów głowy.

- Światło zgasło - powiedział. - Coś musiało w nas tak trzepnąć, że nastąpiło przepięcie i wywaliło wszystkie bezpieczniki.

Del Toro podniósł wzrok, jak gdyby chciał dostrzec powierzchnię oceanu.

- Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że to był wybuch jądrowy - oznajmił.

Vornado kiwnął głową.

- Ale okręty klasy Triumphant nie są wyposażone w rakiety przeciw-podwodne z głowicami atomowymi.

- Wiem. Mają rakiety balistyczne. Może rakietę, jaką wystrzelili, wcale nie poleciała w stronę celu, tylko spadła z powrotem w miejsce, z którego została odpalona.

- Myśli pan, że chybili?

- Tak. Nic innego nie zdołaloby nas tak urządzić, chyba że torpeda. Ale gdyby dopadła nas torpeda z „Le Vigilanta”, najpierw byśmy ją słyszeli. A poza tym już leżelibyśmy na dnie oceanu. To była ta rakietę balistyczna, którą wystrzelili, panie kapitanie. Zamiast w Paryż, trafili w samych siebie, bo coś im się pochrzaniło. Albo może specjalnie starali się trafić w nas. Rakietę wzlatuje wysoko, spada z powrotem prawie prosto w dół, wybuch na wysokości zero, jedyny sposób, żeby nas zabić.

- Pewnie jedyny - zgodził się Vornado - aleja nie zastosowałbym takiej taktyki przeciw znajdującemu się w pobliżu okrętowi podwodnemu. Teraz już cały świat wie, gdzie jest „Le Vigilant”.

- Jeśli jeszcze istnieje. Mógł oberwać od tego wybuchu równie mocno jak my.

- Oby tak było.

- Pójdę do bezpiecznika akumulatorów - powiedział del Toro, ostrożnie się prostując.

- Czy oprócz nas jest tu ktoś przytomny? - Vornado sięgnął ponad głowę po latarkę. Włączył ją i oświetlił nieruchome ciała.

Byk pokręcił głową. - Tylko my dwaj.

- Niech pan idzie - rzekł Peter. Odnalazł mikrofon systemu M7. Systemy łączności wewnętrznej były awaryjnie zasilane z własnych akumulatorów. - Manewry, tu kapitan - odezwał się Vornado. Nie było odpowiedzi. - Mostek do manewrów, odezwijcie się. - Nic. Jest gorzej, niż myślał. Popatrzył w stronę pulpitu sterowania okrętem. Awaryjny głębokościomierz, tradycyjny manometr oparty na rurce Bourdona, pokazywał, że okręt dryfuje na głębokości stu osiemdziesięciu pięciu metrów. Zanurzał się jednak coraz głębiej, a pokład był pochylony dziobem w dół. Peter przestąpił ponad półprzytomnymi ludźmi i dostał się do pulpitu sterowania balastem. Uruchomił system utrzymywania stałej pozycji

i wypompował wodę ze zbiornika kontroli zanurzenia numer dwa. Zawory otworzyły się i zamknęły automatycznie, po kilku sekundach okręt był o parę ton lżejszy. Teraz zaczął się wznosić. Vornado popatrzył na dyżurnego bosmana, który mrugał oczami.

- Bosmanie, wracaj na ziemię! - odezwał się głośno Peter, uderzając go po policzkach.

Ludzie powoli odzyskiwali przytomność, w sterówce odezwały się jęki. Nagle zapaliło się światło. Natychmiast potem w głośnikach systemu 7MC odezwał się donośny głos mechanika Mikę'a Logana:

- Manewry do mostka, uruchamiam ponownie reaktor, wyskoczyły wszystkie bezpieczniki!

Vornado skoczył do mikrofonu:

- Kapitan do manewrów, uruchamiaj reaktor w tempie awaryjnym!

- ...już zacząłem - odpowiedział Logan. Początku jego wypowiedzi nie dało się zrozumieć. Obwód 7MC musiał zostać uszkodzony, głośniki charczały.

Odezwały się wentylatory w suficie, uruchamiały się urządzenia drugiego rzędu ważności. Na chwilę zapaliły się ekrany stanowisk kierowania ogniem, potem zgasły z powrotem. Dyżurny technik kierowania ogniem powłączał z powrotem komputery i doprowadził oprogramowanie do stanu nominalnego. Vornado pokuśtykał do pomieszczenia sonaru. Sonary też już działały. Bosman Simansky stał przy nich, mając na twarzy zaschniętą krew. Środkowy pulpit był pęknięty.

- Nic panu nie jest?

- Przeżyję, panie kapitanie - odparł Simansky pozbawionym emocji głosem. - Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego o sonarze.

- Tak? Co się dzieje?

Bosman popatrzył na Petera z miną chirurga, któremu właśnie zmarł pacjent na stole.

- Niedobrze, panie kapitanie. Wszystkie kontrole systemów wykazują błędy. Idę do pomieszczenia z urządzeniami sonaru, może da się coś naprawić.

Vornado cofnął się, żeby przepuścić Simansky'ego. Chwycił mikrofon systemu 7 MC i powiedział:

- Kapitan do manewrów, pierwszy mechaniku, przejdźmy na JA. - Odłożył mikrofon i podniósł słuchawkę telefonu systemu JA.

- Słucham, tu pierwszy mechanik - odezwał się w słuchawce zniekształcony głos Logana.

- Podaj status rozruchu reaktora.

- Panie kapitanie, w tej chwili... - Nagle Peter usłyszał wibrujący głos syreny reaktora. - Cholera! Panie kapitanie, reaktor znowu się wyłączył. Co? O Boże, pożar w przedziale rufowym!

Peter rzucił słuchawkę i skoczył do mikrofonu systemu 1MC.

- Pożar w przedziale rufowym! - zawołał na cały okręt. - Pożar w przedziale rufowym, drużyna pomocy medycznej, zameldować się na rufie! Uwaga, cała załoga, założyć maski przeciwgazowe! - Odłożył mikrofon i krzyknął do dyżurnego bosmana: - Bosmanie, proszę włączyć alarm przeciwpożarowy i powtórzyć mój komunikat!

Vornado sięgnął pod sufit, do schowka, w którym leżały maski przeciwgazowe. Wyjął jedną i założył, potem wyciągnął pozostałe i zaczął zakładać je półprzytomnym członkom załogi. Wentylacja wyłączyła się. Do sterówki wbiegł znowu del Toro. W masce przeciwgazowej, z czarnym wężem, wyglądał jak olbrzymi owad.

- Biegnę na rufę, panie kapitanie - oznajmił.

- Proszę się zameldować, kiedy tylko będzie pan mógł. Bosmanie, opróżnić zbiorniki kontroli głębokości i podnieść okręt na czterdzieści pięć metrów!

- Tak jest, opróżnić zbiorniki kontroli głębokości i podnieść okręt na czterdzieści pięć metrów! - powtórzył rozkaz starszy bosman Swillerton.

Peter starał się zachować spokój, żeby załoga nie wpadła w panikę. Oddychał miarowo, czekając na meldunek od walczących z pożarem na rufie ludzi. Pojawił się koło niego oficer dyżurny stanowisk bojowych kapitan Nate Hanscomb, atletycznie zbudowany mężczyzna średniego wzrostu, zawsze bardzo pewny siebie.

- Dobrze, że pan oprzytomniał - powiedział Peter. Zastanawiał się, czy Hanscomb da się zwieść jego spokojnemu zachowaniu. Nieraz potrafił przejrzeć ludzi na wylot.

- Przepraszam, panie kapitanie. Co się stało?

- Pierwszy oficer jest zdania, że to rakiet balistyczna wystrzelona przez porwany okręt spadła z powrotem na niego. Miejmy nadzieję, że zniszczyła okręt terrorystów, bo my w najbliższym czasie nie zaatakujemy go ponownie, chyba że zdarzy się cud. Mamy pożar w maszynowni. Pierwszy oficer pobiegł na rufę, żeby pokierować akcją.

- Zrozumiałem, panie kapitanie.

- Proszę znaleźć oficera łączności. Ma przygotować zakodowaną wiadomość do nadania przez boję SLOT. Niech poda naszą pozycję oraz ocenę tego, co stało się z „Le Vigilantem”, jak również zamelduje o tym, że mamy awarię.

- Przygotujemy wiadomość, panie kapitanie - obiecał Hanscomb - ale jeżeli nad nami nastąpił wybuch jądrowy, łączność radiowa jest niemożliwa ze względu na impuls elektromagnetyczny.

Ma rację, pomyślał Vornado. A jednak warto spróbować.

- Mimo wszystko proszę wysłać boję - zdecydował. Zmarszczył brwi, gdyż zobaczył, że do sterówki zaczyna pomału przedostawać się dym. Najpierw rzadki, potem coraz gęstszy. - Musimy przygotować się do awaryjnego przewietrzenia okrętu.

Do sterówki wleciały kłęby czarnego dymu, toksyczne, gorące gazy natychmiast podniosły temperaturę w pomieszczeniu o trzydzieści stopni. Dlaczego Byk milczy?

- Kapitan do manewrów, proszę podać status pożaru! - krzyknął do mikrofonu systemu 7MC.

Usłyszał najbardziej przerażającą odpowiedź - ciszę.

Burke wpatrywał się w zdublowany ekran sonaru. Nie działało się dobrze. Cały obszar od kierunku 060 aż do 085 pokrywały zakłócenia z powodu bąbelków pary wywołanych przez wybuch termojądrowy. BQQ-5 nie był więc w stanie wykryć niczego, co mogło się tam znajdować. Widać było tylko donośne, nieregularne zakłócenia. Miliardy bąbelków płynęły w górę, pękały, gulgotały. Zanim znikną, upłynie wiele godzin, a może nawet parę dni. I do tego czasu „Hampton” nie wykryje niczego, co może płynąć pomiędzy nim a bąbelkami lub też za nimi. Nawet wąskopasmowe przetwarzanie sygnału na nic się nie zda, mimo że można by za jego pomocą wyszukać płacz niemowlęcia pośród odgłosów tłumu. Niestety ze względu na położenie miejsca, z którego odpalono raketę, sytuacja była szczególnie niepomysłna. Kiedy „Le Vigilant” wystrzelił raketę, Dillinger natychmiast polecił skierować okręt w prawo w stosunku do azymutu, z którego nastąpił strzał, potem zaś skręcił w

lewo. Komputer obliczył odległość celu na podstawie różnicy azymutów oraz prędkości „Hamptona”, co było tym łatwiejsze, że odgłos strzału nie przemieszczał się w bok. Detonacja, która nastąpiła piętnaście minut później i spowodowała zakłócenia w wodzie, miała miejsce za punktem, z którego odpalono raketę. Znaczyło to, że „Le Vigilant” znajduje się pomiędzy „Hamptonem” a źródłem zakłóceń. Podobnie zresztą jak „Teksas”. Gdzieś na północnym wschodzie, niewidoczne dla sonaru z powodu zakłóceń, znajdowały się obydwaj okręty, ten, który Dillinger chciał zniszczyć, i ten, którego zniszczyć nie było mu wolno.

Burke znowu poczuł w okolicy kręgosłupa dziwny dreszcz, zignorował go jednak. Na jego rozkaz „Hampton” płynął z maksymalną prędkością na wschód, w kierunku, z którego odpalono raketę balistyczną. Dla Dillingera nie miało już znaczenia to, czy terroryści usłyszą jego okręt, nie było czasu na ciche podejście. Niewykluczone, że skoro pierwsza rakietą poleciała niewłaściwym torem, ludzie na pokładzie „Le Vigilanta” są zajęci rozwiązywaniem problemu, który spowodował chybiony strzał. Następna rakietą, jaką wystrzelą, będzie już celna. Dlatego Dillinger musiał okręt terrorystów zasypać torpedami Mark 48 ADCAP, zanim atomowy koszmar stanie się rzeczywistością.

Burke spojrzał na kapitana Eddiego Scottsona, który pełnił wachtę oficera dyżurnego przy obsadzonych stanowiskach bojowych.

- Czy ma pan naniesiony na mapę tor wystrzelonej rakiety? - Dillinger znał odpowiedź na to pytanie, widział, jak jeden z członków załogi przenosi dane z systemu kierowania ogniem. Chciał jednak porozmawiać ze Scottsonem.

- Tak jest, panie kapitanie - odpowiedział Scottson, kiwając głową.

- Proszę pokazać. Pierwszy oficerze, czy można pana na chwilę prosić?

Steve Flood przeszedł od stanowisk bojowych w lewy tylny róg sterówki, gdzie znajdował się stół nawigacyjny z plotterem do map. Burke nachylił się nad mapą, wyobrażając sobie, jak ocean wygląda z góry, jak gdyby oglądał Ziemię z orbity. Gdzie jest „Teksas”? I gdzie znajduje się „Le Vigilant”?

- Słucham, panie kapitanie - odezwał się Flood, spoglądając na Dillingera piwnymi oczami. Przez moment Burke przypomniał sobie operację na Morzu Barentsa i chwilę przed tym, zanim strzelił do nieprzyjaciela. Czy wówczas nie pochylał się nad mapą w sterówce identycznego okrętu? I czy nie stał wówczas przy nim Steve Flood, tyle że w roli oficera dyżurnego, a nie koordynatora kierowania ogniem? Z tym że na prawo od Flooda stała wówczas Natalie D'Assault, pierwszy oficer okrętu Dillingera i jego doradczyni. Pamiętał do dziś, jak wtedy

wyglądała, w jaki sposób stała, jak leżał na niej kombinezon, jak wyglądała z bezprzewodową, pojedynczą słuchawką i mikrofonem. Jej włosy błyszczały w oświetleniu sterówki. Podczas tamtej bitwy stali ramię w ramię i walczyli z okrutnym wrogiem, związani ze sobą bliżej niż jakiegokolwiek istoty ludzkie na ziemi, może z wyjątkiem matek i ich dzieci. A gdzie jest Natalie teraz? Odpowiedź natychmiast pojawiła się w jego głowie: Natalie jest tutaj, stoi przy stole do map, koło Flooda i Scottsona; nachyla się nad stołem, jak gdyby miała podjąć strategiczną decyzję. Burke pokręcił głową, jakby chciał w ten sposób odpędzić ogarniające go dziwne uczucie.

- Czy mógłby pan powtórzyć? - zwrócił się do Flooda.

- Powiedziałem, że pozycja „Le Vigilanta” znajduje się gdzieś w obrębie okręgu, jaki możemy narysować wokół punktu odpalenia rakiety. Wiemy, że w chwili jej odpalenia był tutaj. - Steve wziął cyrkiel i kalkulator, a potem narysował wokół punktu odpalenia rakiety okrąg o średnicy mniej więcej dwóch i pół centymetra. - Promień okręgu równa się odległości, jaką przebyłby cel, poruszając się z prędkością pięciu węzłów przez dwadzieścia minut, jakie minęły od chwili odpalenia rakiety. - Flood rozstawił nóżki cyrkla szerzej. - A oto okrąg przy szybkości dziesięciu węzłów. - Narysował jeszcze okręgi wynikające z założeń, że średnia prędkość celu wyniosła piętnaście i dwadzieścia węzłów oraz przy maksymalnej prędkości francuskiego okrętu. Ostatni krąg niemal sięgał obecnej pozycji „Hamptona”. - Kłopot w tym, panie kapitanie - odezwał się znowu Steve - że z miejsca, gdzie jesteśmy, zakłócenia uniemożliwiają nam wykrycie tych skurwysynów. - Flood narysował linią prostą od świecącej się pozycji „Hamptona” w kierunku 060 i drugą w kierunku 085. - Ten wycinek oceanu jest dla nas niewidoczny z powodu zakłóceń - powiedział. - Proszę jednak zobaczyć, co się stanie, jeśli zmienimy kurs na południowo-wschodni, powiedzmy jeden jeden zero. Jeśli popłyniemy tędy - Flood narysował kolejną linię, tym razem wzdłuż kierunku 110 - o godzinie czternastej dwadzieścia czasu uniwersalnego przetniemy południową granicę okręgu wynikającego z założenia, że cel porusza się z prędkością dziesięciu węzłów. - Flood dokonywał szybkich obliczeń. - Cel, jeśli poruszał się z prędkością poniżej dziesięciu węzłów, znajdzie się na północ od nas, a zakłócenia na północnym wschodzie. Jeżeli zatem będziemy posuwać się kursem jeden jeden zero, a potem, za dwadzieścia minut, zwolnimy tutaj, będziemy mogli odpalić torpedy w „Le Vigilanta”, nie ryzykując, że trafimy w „Teksas”.

Burke przyglądał się mapie. Steve będzie znakomitym kapitanem, pomyślał. Zastanawiał się, ile może przypisywać sobie zasług w tym względzie.

- Co pan o tym sądzi? - spytał Scottsona. Sam już się zdecydował, ale nie chciał czegoś przeoczyć. W takiej sytuacji oficer dyżurny powinien starać się wyszukać słabe punkty w rozumowaniu pierwszego oficera.

Scottson zmarszczył brwi, pochylając się nad mapą.

- Być może, że cel nie ucieka z dużą prędkością. Uważam, że raczej stara się wykorzystać zakłócenia. Ja tak bym postąpił na jego miejscu. Jeżeli płynie w tamtym kierunku ze średnią prędkością piętnastu węzłów, i tak będzie znajdował się nieco w bok od obszaru zakłóceń, więc go usłyszymy. Jeżeli jednak płynie z prędkością dwudziestu węzłów, zdoła w porę osiągnąć obszar zakłóceń i już go nie zobaczymy.

Dillinger pokiwał głową.

- Proszę zmienić kurs na jeden jeden zero. Zachować maksymalną prędkość i śledzić wskazania chronometru. O czternastej dwadzieścia musimy koniecznie zwolnić.

- Tak jest, panie kapitanie - potwierdził Scottson. - Ster jeden stopień w prawo, ustabilizować kurs jeden jeden zero.

- Główny sonarzysta proszony do sterówki - Dillinger wezwał Toma Albanese.

Bosman sztabowy Tom Albanese za chwilę podszedł do stołu nawigacyjnego. Był krępy, rudowłosym człowiekiem. Jego pewność siebie zawsze działała na innych uspokajająco.

Dillinger dobrze znał Toma. Czasami podczas nocnej wachty palił papierosy w pomieszczeniu sonaru, co było surowo zabronione. Jednak oficerowie dyżurni puszczali mu to płazem, ponieważ był geniuszem sonaru i można się było od niego niejednego nauczyć. Burke spojrział na Toma i strzelił palcami. Albanese uśmiechnął się i poczęstował go papierosem. Dillinger zapalił i wypuścił pod sufit kłęb dymu. Palił tylko w wyjątkowych sytuacjach.

- Niech pan zapali - powiedział do Toma. Sonarzysta zapalił papierosa i poczęstował Scottsona i Flooda.

- Bosmanie - odezwał się Burke, wskazując na mapę - jesteśmy tutaj, zakłócenia są tu, a „Le Vigilant” znajduje się gdzieś w obrębie tego okręgu. Zwolnimy do ośmiu węzłów w tym miejscu o czternastej dwadzieścia i popatrzymy na północ, w głąb tego koła. Spodziewam się, że znajdziemy tam „Le Vigilanta”. Jeśli nie, popłyniemy na północny wschód, w stronę miejsca, z którego została odpalona rakietka. Niewykluczone, że nie opuścił tego miejsca, chociaż wydaje się to szalonym pomysłem.

Albanese skinął głową, spojrział na zegarek, po czym zgasił papierosa o czubek buta.

- Mamy zwolnić za dziesięć minut? Lepiej już wróć do sonaru, panie kapitanie.

- Powodzenia, bosmanie - powiedział Dillinger, po czym zgasił swojego papierosa. Serce biło mu mocno. To z powodu nikotyny, nie ze strachu, próbował się uspokoić.

Peter Vornado pocił się pod maską. Oświetlenie wciąż działało, ale w sterówce było ciemno z powodu czarnego dymu. Reguły postępowania mówiły, żeby najpierw zgasić pożar, a potem wietrzyć okręt, jednak dym zaczynał już wciskać się pod maski. Obecni w sterówce dwaj członkowie załogi, którzy mieli brody, osunęli się na pokład z powodu zatrucia dymem, ponieważ ich maski nie przylegały szczelnie. Od czasu wybuchu pożaru z przedziału rufowego nie nadszedł żaden komunikat. Jeśli szalał tam pożar, którego nikt już nie był w stanie opanowywać, wkrótce wszyscy znajdujący się w tym przedziale ludzie zginą, a umieszczone na rufie urządzenia zaczną się po kolei wyłączać. Kiedy zawiedzie sprężarka obwodów hydraulicznych, nie da się już korzystać z systemu utrzymywania stałej pozycji w zanurzeniu. Wkrótce spali się także generator prądu.

Zaledwie Vornado o tym pomyślał, zgasły lampy i wyłączyły się wszystkie systemy, które do tej pory jeszcze działały. Okręt dryfował bezradnie pod wodą. Jedyne, co można było zrobić, to awaryjnie opróżnić zbiorniki balastowe. Okręt wynurzyłby się i pootwierano by włazy. Jednak wówczas terroryści będą mogli ich bezkarnie storpedować. Dopóki Vornado miał torpedy w magazynie, nie chciał się poddać. Być może załogę „Teksasu” czekała śmierć, mieli jednak niezwykle ważną misję do wypełnienia. Peter zakaszłał. Sześćdziesiąt metrów pod powierzchnią oceanu, uwięzieni we wnętrzu wypełnionego dymem płonącego okrętu, w którym nie działał żaden obwód elektryczny, marynarze „Teksasu” musieli umrzeć przed upływem godziny. Vornado zdał sobie sprawę, że nie ma żadnego wyboru.

- Rakieta numer 15 - oznajmił Jusuf Tagreb, siadając przy stanowisku. Chwilę wcześniej był na górnym pokładzie, aby ostatni raz sprawdzić pracę systemów nawigacyjnych. Komputer SINS Faza B działał idealnie. To z niego Tagreb przesłał dane do komputera pokładowego rakiety numer 15. Ostatni raz sprawdził współrzędne celu. Każda z głowic otrzymała instrukcje. Reaktor pracował, klimatyzacja także działała na pełnych obrotach, więc urządzenia elektroniczne nie miały powodu źle funkcjonować. Jusuf sprawdził jeszcze raz, czy na pewno nie wystąpił żaden błąd. Wszystko zdawało się funkcjonować normalnie. Uśmiechnął się. Znakomicie!

No, może sytuacja nie była aż tak znakomita, ponieważ po eksplozji termojądrowej komputery wchodzące w skład systemu sonaru miały trudności z uruchomieniem przetwarzania wąskopasmowego. Widziały jednak potężne zakłócenia o szerokim zasięgu, które znajdowały się tak blisko, że „Le Vigilant” powinien być niewidoczny dla sonarów wszelkich torped, które ewentualnie miałyby się do niego zbliżać. Teraz żaden nieprzyjacielski okręt nie znajdzie bojowników, jeśli w ogóle okręty te nie zostały zniszczone w wyniku eksplozji. Jusufowi nigdy nie przyszłoby do głowy, aby użyć międzykontynentalnych rakiet balistycznych do walki z okrętami, ale wyglądało na to, że właśnie coś takiego zrobił. Wokół nie było nikogo, samolot, który ich prześladował, już nie istniał, torpedy także przestały działać, a okręt niewiernych został uszkodzony albo leżał na dnie. Zachód mógł więc teraz jedynie drzeć w oczekiwaniu na zemstę Allana.

Tagreb uśmiechnął się do Zouabriego, który pokiwał głową, znowu pewny siebie. Jusuf otworzył zawory i zalał membranę wyrzutni numer 15 wodą. Kiedy wyrównało się ciśnienie, otworzył pokrywę wyrzutni. Od rufy dobiegł cichy odgłos hydrauliki i pokrywa otworzyła się powoli. Wysoko ponad „Le Vigilantem” zza chmur wyłoniło się słońce. Jego jaskrawe światło odbijało się od kadłuba płytko zanurzonego okrętu.

Jeszcze tylko wcisnąć przycisk i rakieta poleci, pomyślał Tagreb. Warto jednak ostami raz skontrolować układ celowania oraz system nawigacyjny.

- Mówi kapitan, objąłem mostek - zakomunikował głośno Burke Dillinger. Zaciśnął pięści i rozkazał: - Ster, prędkość dziesięć węzłów! Sonar, tu kapitan, zwalniamy w zaplanowanym punkcie! Drużyna kierowania ogniem, uwaga. Zwalniamy w celu rozpoczęcia przeszukiwania akwenu, będziemy płynąć z prędkością ośmiu węzłów. Musimy zminimalizować wytwarzany przez nas hałas i wyteńczyć słuch, aby usłyszeć choćby najcichszy odgłos celu. Mam zamiar utrzymywać kurs jeden jeden zero, podczas gdy sonar przeszuka akwen w pełnym zakresie częstotliwości. Jeśli wykryjemy cel, z największą możliwą prędkością popłyniemy w jego kierunku i wystrzelimy torpedy. Nie zamierzam marnować ani jednej sekundy. Kiedy tylko wykryjemy cel, robimy zwrot. Przyspieszymy już w trakcie zwrotu, a następnie weźmiemy kurs na zachód. Zaraz potem macie ustalić drugi azymut celu i obliczyć jego parametry, aby można było strzelać. Załatwmy tego sukinsyna, zanim zdoła odpalić choć jedną raketę więcej. Wykonać!

- Prędkość dziesięć węzłów, sir! - zameldował sternik.

- Świetnie. Dwie trzecie naprzód. Kapitan do sonaru, stabilizujemy prędkość osiem węzłów. Melduj o wszystkich wykrywanych obiektach!

- Tak jest - odpowiedział Albanese.

Dillinger niecierpliwie odliczył w myśli do dziesięciu. Miał już otworzyć usta, żeby wrzasnąć na Toma, kiedy usłyszał jego głos:

- Sonar do mostka, wykryłem dwa obiekty; Sierra Jeden azymut zero zero osiem, być może to zanurzony okręt podwodny, azymut się nie zmienia, liczne odgłosy chwilowe od strony celu. Drugi obiekt, Sierra Dwa, azymut zero zero dziewięć, obiekt niemożliwy do rozpoznania, z pewnością nie jest to jednostka nawodna, azymut również się nie zmienia, liczne odgłosy chwilowe i...

- Panie kapitanie, spływają dane z sonaru, azymuty obu obiektów zaczynają się zmieniać! - zameldował Flood.

- Doskonale. Kapitan do sonaru, czy jesteś pewien, że to nie pojedynczy obiekt? - spytał przez zaciśnięte zęby Burke. Dwa obiekty, których śruby nie pracują? To na pewno jeden okręt. Tym razem Albanese się pomylił.

- Sonar do kapitana, to z całą pewnością dwa różne obiekty, obydwa blisko nas, poniżej dziesięciu kilometrów, bardzo dobry stosunek sygnałów do szumów, cele znajdują się na różnych głębokościach. Na Sierra Jeden pracują maszyny, na Sierra Dwa, nie.

- Kapitan do sonaru, czy możliwe, że Sierra Dwa to uszkodzone urządzenie do zakłócania sonarów?

- Sonar do kapitana, myślę, że Sierra Dwa to „Teksas”, na którym doszło do jakiejś bardzo poważnej awarii. Słychać szum. Być może zalewa go woda.

O Jezu! - pomyślał Dillinger, zerkając na Scottsona.

- Koordynator, oznacz Sierra Jeden jako Echo Jeden.

- Tak jest. Mamy azymuty celu, zalecam manewr - odpowiedział Flood.

- Ster, cała naprzód pełna, ster dziesięć stopni w lewo, stabilizować kurs na zachód.

- Cała naprzód, ster dziesięć stopni w lewo, stabilizuję kurs na zachód. Dillinger popatrzył na prędkościomierz. Należało zwolnić, bo
inaczej

można było stracić cel z ekranów.

- Ster, szybkość standardowa.

- Jest szybkość standardowa, mijamy kurs na północ.

Burke zacisnął zęby i czekał. Podszedł do stanowiska kontroli uzbrojenia, gdzie Lionel Tonelle sprawdził stan torped.

- Ustabilizowałem kurs na zachód, sir - zameldował sternik.

- Jedna trzecia naprzód. Wyznaczyć azymut. Kapitan do sonaru, stabilny kurs w kierunku numer dwa.

- Jest, tu sonar. Sonar do mostka, silny odgłos chwilowy od Echa Jeden. Chyba... otwiera się pokrywa wyrzutni raketowej...

- O kurwa... - zaklął pod nosem Dillinger. - Strzelaj na ślepo z wyrzutni numer jeden! - zawołał. Nie mógł czekać ani chwili dłużej.

Musiał strzelić natychmiast albo pogodzić się z odpaleniem przez „Le Vigilanta” drugiej rakiety.

- Ale panie kapitanie... - odezwał się Flood, z rozszerzonymi z przerażenia oczami. - W zasięgu wyszukiwania torpedy znajdują się oba obiekty!

- Echo Jeden jest płytko, a „Teksas” głęboko - odpowiedział Burke. - Uzbrojenie, nastawić dolny pułap torpedy na sześćdziesiąt metrów!

Uzbroić natychmiast, tryb pasywnego wyszukiwania o średnim zasięgu, w kierunku Echa Jeden!

- Nastawienia wprowadzone! - zameldował Tonelle.

- Potwierdzone! - dodał Mikey Selles przy stanowisku numer dwa.

- Czekam - rzucił Tonelle.

- Ognia! - rozkazał Dillinger.

Pokład podskoczył i torpeda wyleciała do wody.

- Sonar do mostka, nasza torpeda w wodzie, strzał normalny!

- Strzelaj na ślepo z wyrzutni dwa - rozkazał Burke.

W ciągu piętnastu sekund wystrzelono drugą torpedę. Obie torpedy pomknęły w kierunku, w którym znajdowały się w wodzie dwa okręty, jeden nieprzyjacielski, który właśnie zamierzał odpalić raketę balistyczną z głowicą termojądrową, zaś drugi amerykański dowodzony przez najlepszego przyjaciela Burke'a.

Przed pięcioma minutami, tak przynajmniej wydawało się Peterowi, ponieważ nie widział żadnych zegarów, a w trakcie szalejącego pożaru każda minuta zmieniała się w godzinę, wysłał na rufę komandora podporucznika Henry'ego del Toro, aby sprawdził, co się dzieje. Nie pracowały już nawet zwykłe telefony, więc Byk nie mógł złożyć meldunku. Peter miał jednak nadzieję, że jego pierwszy oficer przynajmniej zdoła się jakoś wycofać z przedziału rufowego, nie wpuszczając jednocześnie ognia do przedziału reaktora.

- Panie kapitanie, to ja! - usłyszał obok siebie stłumiony, chrapliwy głos.

- Jest pan wreszcie. Co się tam dzieje?.

- Źle, panie kapitanie! Dotarłem do tunelu przez przedział reaktora. Ale za włazem były tylko płomienie... Myślę, że... wszyscy mechanicy zginęli. My też zginjemy. Musimy opuścić okręt, sir! To koniec. Zakończyliśmy już nasz udział w bitwie.

Vornado westchnął głęboko. Czy może być jeszcze gorzej?!

Nagle przez grubą, podwójną kadłub usłyszał odgłos śruby zbliżającej się torpedy; a potem drugiej.

Pokład zaczął się przechylać, Peterowi zakręciło się w głowie. Dzieje się ze mną coś strasznego! - pomyślał. Widocznie dym przedostał się jednak pod maskę.

Była to jego ostatnia myśl, zanim padł na pokład.

25

- Sonar do mostka, kierunki i wysokości Echa Jeden i „Teksasu” zlały się w jedno! - zameldował lekko drżącym głosem Tom Albanese. - Zerowa separacja obiektów.

Steve Flood popatrzył na Dillingera, który stał na mostku z założonymi rękami.

- Panie kapitanie, musimy wyłączyć torpedy - odezwał się Steve. - Trafimy w „Teksas”. I tak kiepsko z nimi, prawdopodobnie nie są w stanie uciekać.

Burke wpatrywał się w ekran sonaru. Albanese mówił prawdę. Sytuacja pogmatwała się całkowicie. Trzeba było popłynąć nieco dalej na zachód, wyznaczyć nowe azymuty obu okrętów, amerykańskiego i nieprzyjacielskiego. Żeby można było trafić w terrorystów, nie zatapiając przy okazji „Teksasu” wraz z jego przyjacielem, z którym znali się niemal całe życie.

- Sonar do mostka, nowe odgłosy chwilowe z kierunku Echa Jeden! Dillinger pokręcił głową. Echo Jeden, czyli „Le Vigilant” za chwilę odpali drugą raketę balistyczną, tym razem celną. Torpedy już się do niego zbliżały. Burke nie mógł ich teraz wyłączyć. Istniała szansa, że to „Le Vigilant” jest bliżej.

- Sonar do mostka, donośne odgłosy chwilowe z kierunku Echa Jeden, ale myślę, że to właśnie jest „Teksas”. Mostek, wydaje nam się, że „Teksas” jest bliżej nas!

Oczy Flooda omal nie wyszły z orbit.

- Panie kapitanie, „Teksas” jest pomiędzy nami a „Le Vigilantem”. Torpedy trafią w „Teksas”! Musimy wyłączyć torpedy! Musimy!

Flood zamarł z otwartymi ustami.

Szum kilmatyzatorów ustał.

Wycie generatorów ucichło.

W sterówce zapanowała absolutna cisza. Dillinger wciąż oddychał, ale kiedy odwrócił się i rozejrzał, nikt się nie poruszał. Jeden z kreślarzy przy stole nawigacyjnym do ręcznego nanoszenia danych, który stanowił uzupełnienie na wypadek awarii komputerów, upuścił ołówek. Ołówek zawisł w powietrzu.

Burke patrzył na ekrany komputerów kierowania ogniem. Azymuty „Le Vigilanta” i „Teksasu” były identyczne. Spojrzał na stanowisko kontroli uzbrojenia. Torpedy znieruchomiały w drodze do celu. A jeśli jednak Burke ich nie wyłączy, zapewne trafią w „Teksas”, w Petera.

A więc tej bitwy nie da się wygrać? Jeżeli Burke wyłączy torpedy, terrorystom uda się odpalić rakiety i zginą dziesiątki milionów Francuzów. Jeśli zaś pozwoli torpedom płynąć dalej, pozabijają jego towarzyszy broni oraz przyjaciela, z którym mieszkał w akademiku w Annapolis, który potem, na Morzu Barentsa, ocalił mu życie. Jemu i Natalie.

Natalie!

Wyczuł ją nagle. Dawno temu, kiedy w sterówce USS „Tuscon” na Morzu Barentsa szykował się do oddania strzału do nieprzyjacielskiego okrętu, Natalie stała po jego prawej stronie, niemal dotykając go ramieniem. Teraz, w sterówce „Hamptona”, wyczuwał ducha Natalie dokładnie w tym samym miejscu, co wtedy. Spojrzał, z początku widząc tylko puste miejsce, ale już po chwili Natalie stała obok niego równie realna, jak członkowie załogi „Hamptona”. Miała na sobie kombinezon, jaki nosiła tamtego dnia podczas wachty bojowej na Morzu Barentsa. Włosy opadały jej na ramiona, równie błyszczące jak owego arktycznego poranka, miała tak samo podwinięte rękawy. Wyglądała jednak tak, jakby składała się z samego światła; choć z drugiej strony była równie materialna jak on sam. Poczł jej zapach. To była ona, jego Natalie! Spojrzała na niego znacząco, ze współczuciem.

„Cześć, Burke” - odezwała się aksamitnym głosem, takim jak zwykle, choć jej usta się nie poruszyły.

„Cześć, kochanie - odpowiedział Dillinger, także bezgłośnie. - Wiedziałem, że tu będziesz”. Uświadomił sobie, że kroczy po ścieżce przeznaczenia. Nie zdziwił się, kiedy zobaczył Natalie.

„Chciałam przyjść do ciebie ostami raz, Burke” - powiedziała.

„Wiem, kochanie. - Nagle poczuł, że oczy mu wilgotnieją. - Czy u ciebie wszystko dobrze, malutka? Tak się o ciebie niepokoję! Chciałbym tylko wiedzieć, że nie dzieje ci się nic złego”.

„Mam siębardzo dobrze, Burke”. - Uśmiechnęła się tym samym olśniewającym uśmiechem, który pojawił się na jej twarzy w dniu, kiedy zobaczył japo raz pierwszy. To właśnie uśmiech Natalie sprawił, że Burke się w niej zakochał. - „Wolno mi odwiedzać naszego synka, dopóki nie podrośnie - dodała. - Kiedy przychodzę do niego, uśmiecha się i wita mnie z radością”.

Dillinger miał wrażenie, że to, co się koło niego dzieje, jest całkiem normalne.

„Powiedziałas, żebym nie zawahał się w chwili podejmowania decyzji. - Jakbym miał wybór pomiędzy poświęceniem Petera i wykonaniem zadania. Ale nie mogę zwyciężyć. Jedyne, co jestem w stanie teraz zrobić, to ocalić przyjaciela. Bitwa i tak będzie przegrana”.

Natalie zmarszczyła brwi, jakby szukała sposobu na wytłumaczenie Burke’owi sytuacji. W końcu jej spojrzenie rozjaśniło się i odpowiedziała:

„To była wigilia, prawda? Pamiętasz scenę przy choince w rodzinnym domu Petera? Rachel włożyła czerwoną suknię i popełniła błąd. - Natalie uśmiechnęła się kolejny raz. - Ta to dopiero ma temperament. Peter nie był w stanie jej okiełznać, ale myślę, że ty zdołasz. Do zobaczenia, najdroższy”.

„O czym ty mówisz, Natalie?”

Ale Natalie zniknęła. W jednej chwili, natychmiast. Przed momentem stała koło niego, a zaraz potem już jej nie było; zdarzyło się to tak szybko, że Burke przez chwilę wątpił, że w ogóle ją widział, a jednak cudowny zapach Natalie trwał jeszcze przez krótki czas, wyczuwał jeszcze jej ducha. Przez tę chwilę Natalie pozostawała jeszcze przy nim, mimo że jej nie widział. Ale potem zapach i to szczególne odczucie także znikły.

Komandor Burke Dillinger stał samotnie w sterówce „Hamptona” otoczony znieruchomiałą, jakby skamieniałą na ułamek sekundy załogą.

Miał więc całą wieczność na rozważenie tego, co Natalie powiedziała.

Była wigilia, stał przy choince w rodzinnym domu Petera. Rachel Phelps ubrała się w czerwoną suknię. Działo się to miesiąc po tym, jak Peter i Burke ją poznali. Dillinger nie przestał jeszcze konkurować z przyjacielem o względy Rachel. Tamtego wieczoru zbyt wiele wypił i mówił Rachel, jak bardzo jest piękna, jak chciałby z nią być. Nigdy w życiu nie zrobiliby tego na trzeźwo, a już na pewno nie w obecności Petera. W pewnej chwili poszedł za Rachel do pustego pokoju i wyciągnął rękę, aby złapać ją za pośladki. Nie zdawał sobie sprawy, że ją to już nie bawiło. Odwróciła się i z wściekłością na twarzy chlusnęła w niego pełną szklaneczką ajerkoniaku. Być może się tego spodziewał, a może przydał mu się refleks, jaki wyrobił w sobie, uczestnicząc w turniejach bokserskich marynarki. W każdym razie zdołał wykonać zręczny unik, a ajerkoniak przeleciał mu nad głową i trafił prosto w Petera, który szedł za Burkiem, aby nakłonić go wreszcie do pozostawienia Rachel w spokoju. Na widok oblanego żółtym płynem Petera Burke i Rachel wybuchnęli śmiechem. Peter po chwili dołączył do nich. Od tamtej chwili przyjaźń pomiędzy nimi wzmocniła się tak, że już nic nie mogło jej rozerwać.

Przynajmniej do czasu operacji na Morzu Barentsa. Co jeszcze mówiła Natalie? Że Peter nie był w stanie okiełznać znanej z wybuchowego temperamentu Rachel, ale jemu zapewne się to uda? Cóż to miało znaczyć? I dlaczego Burke, zawieszony w czasie pomiędzy

dwoma tyknięciami zegara, rozmyślał teraz akurat o Rachel? Jeśli to wszystko była prawda, a nie jakieś reminiscencje z przeszłości, wywołane napięciem chwili, dlaczego Natalie postanowiła przypomnieć mu tę historyjkę w momencie, kiedy śmierć zaglądała w oczy Peterowi?

Dillinger zamrugał oczami. Nagle zrozumiał. Wtedy, w wigilię, zrobił unik.

Skoczył na mostek i sięgnął do czerwonego mikrofonu pod sufitem. Czas nagle ruszył w normalnym tempie, jak gdyby gwałtowne kroki Burke'a uruchomiły wskazówki zegara.

- Kapitan do sonaru, przygotuj UQC i podłącz je do mostka! - zawołał do mikrofonu. - Szybko!

- Podłączam UQC, gotowe!

UQC nazywano podwodnym telefonem. Był to stary wynalazek, jeszcze z czasów początków okrętów podwodnych. Mikrofon UQC podłączano do aktywnej sferycznej anteny sonaru BQQ-5E, który mógł posłużyć do przesłania przez wodę ludzkiego głosu. System ten z zasady sprawiał kłopoty.

Zazwyczaj ludzki głos był bardzo zniekształcony, dudnił jak z wnętrza metalowej beczki. Jednak od czasu do czasu zdarzało się, że rozbrzmiewał w wodzie idealnie czysto. Na to właśnie liczył Dillinger. Wcisnął guzik mikrofonu i powiedział wyraźnie i stanowczo:

- „Teksas”, „Teksas”, „Teksas”, pełne zanurzenie! Powtarzam: „Teksas”, „Teksas”, „Teksas”, pełne zanurzenie! - Skinął na Scottsona. - Proszę to powtarzać. - Podał Eddiemu mikrofon.

Scottson wszedł na mostek i zaczął powtarzać do mikrofonu: -”Teksas”, „Teksas”, pełne zanurzenie! Powtarzam: „Teksas”, pełne zanurzenie! Na „Hamptonie” słychać było przez kadłub głos Eddiego, który odbijał się od oceanicznego dna, przez co każde słowo brzmiało podwójnie.

- „Teksas”, „Teksas”, „Teksas”, pełne zanurzenie! Dillinger doskoczył do stanowiska kontroli uzbrojenia.

- Drużyna kierowania ogniem, uwaga! - zawołał, przekrzykując Scottsona. - Odciąć przewody w wyrzutniach jeden i dwa, pozamykać ich pokrywy. Uzbrojenie, przygotować do strzału torpedy w wyrzutniach trzy i cztery. Dolny pułap sześćdziesiąt metrów, odbezpieczyć, wyszukiwanie pasywne, zasięg średni.

Scottson nadawał wciąż przez UQC, podczas gdy oficer uzbrojenia Lionel Tonelle przygotował dwie następne wyrzutnie.

- Wyrzutnie i torpedy trzy i cztery gotowe, panie kapitanie! - zameldował.

- Uruchomić procedurę strzału w kierunku Echa Jeden z wyrzutni trzy i cztery, najpierw wyrzutnia trzy - rozkazywał Dillinger.

- Okręt gotowy! - zawołał Scottson w przerwie pomiędzy kolejnymi powtórzeniami komunikatu, jaki nadawał przez podwodny telefon.

- Torpedy gotowe - zameldował Tonelle.

- Cel zaprogramowany - dorzucił Flood.

- Strzelać w zaprogramowanym kierunku! - polecił Dillinger.

- Gotów! - rzucił Selles.

- Czekam - odezwał się Tonelle.

- Ognia! - huknął Burke.

Tonelle nacisnął spust. Pokład znowu podskoczył, kiedy torpeda wylatywała za burtę.

Chwilę później na rozkaz Burke'a została odpalona torpeda z wyrzutni numer cztery. Sekcja uzbrojenia ponownie załadowała wyrzutnie pierwszą i drugą. Ku „Le Vigilantowi” zmierzało już sześć torped. Albo ku „Teksasowi”, jeśli Peter Voraado nie słyszał wołania przez UQC lub nie był w stanie na nie zareagować.

Kiedy do uszu załogi „Hamptona” dotarł huk pierwszej eksplozji, wszyscy umilkli, próbując ocenić, co się stało. W kogo trafili?

-”Teksas”, „Teksas”, „Teksas”, pełne zanurzenie! Powtarzam: „Teksas”, pełne zanurzenie!

- Eddie - powiedział cicho Burke - może już pan przestać nadawać.

Eddie Scottson odwiesił mikrofon systemu UQC, blady jak ściana.

Jusuf Tagreb czuł, że tworzy historię. Wreszcie bojownicy Allaha zadadzą bolesny cios niewiernym. Wybrał przycisk „automatyczna sekwencja strzału” dla rakiety numer 15 i go wcisnął. Na ekranie pojawił się komunikat: JEDNOCZESNE SYGNAŁY ODEBRANE. Rozpoczęło się odliczanie: 5,4,3...

Tagreb uśmiechnął się pod nosem. Za dwie sekundy miało się rozpocząć to, co spowoduje koniec Nowego Jorku.

Pierwsza z wystrzelonych przez załogę „Hamptona” torped płynęła zgodnie z zaprogramowanym kursem na okręt z raketami balistycznymi. Mark 48 ADCAP nie uruchamiała aktywnego sonaru, ale cicho wylapywała sonarem pasywnym wszelkie odgłosy. Płynęła ze średnią prędkością w miejsce, gdzie zdaniem jej pokładowego komputera powinien znajdować się cel. Jednak dwa cele znajdujące się naprzeciw niej oznaczały pewne problemy. Torpeda porównała siłę sygnałów dochodzących z obydwu, a potem skorygowała swój tor odrobinę w lewo, kierując się ku głośniejszemu z celów.

Zbliżywszy się do niego, poczuła, że pole magnetyczne narasta, zaburzał je stalowy kadłub okrętu. Wreszcie znalazła się o połowę swojej długości od celu. Była w pełni uzbrojona, zamykający się obwód czujnika zbliżeniowego przesłał prąd do detonatorów. Po chwili potężny ładunek wybuchowy w głowicy torpedy spłonął momentalnie w całości, wytwarzając ognistą kulę oraz falę podwyższonego ciśnienia wody, które uderzyły w grubą na pięć centymetrów stal HY-130 tworzącą kadłub celu i przebiły ją, wgniatając jej fragmenty do wnętrza okrętu. W miejscu, gdzie przed chwilą była jeszcze burta wysokiego na trzy pokłady przedziału raketowego, powstała nagle ogromna dziura, przez którą do środka okrętu runęły tony wody. Siła wybuchu rozszarpała ścianę wyrzutni raketowej numer 04, powodując wybuch paliwa stałego rakiety.

Ekspłodowało wewnątrz wyrzutni, zamieniając ją w ciężkie odłamki olbrzymiego granatu, które zniszczyły wyrzutnie numer 06, 02 oraz 03. Paliwo stałe wewnątrz znajdujących się w tych wyrzutniach rakiet także powybuchoło, powodując kolejne eksplozje sąsiadujących ze sobą rakiet.

W ciągu ułamków sekundy okręt zamienił się w coś, co przypominało olbrzymią strzelającą wiązkę sztucznych ogni. Dwie sekundy po uderzeniu pierwszej torpedy przedział rakietowy obiektu, który jeszcze niedawno był przenoszącym rakiety balistyczne okrętem podwodnym „Le Vigilant”, zmienił się w jedną wielką podłużną kulę ognia. Eksplozje paliwa raketowego spowodowały dodatkowo wybuchy materiałów wybuchowych w połowie głowic TN-71, rozrzucając w głębinie oceanu materiały rozszczepialne.

Podczas gdy rakiety numer 10 oraz 11 właśnie wybuchały, w kadłub „Le Vigilanta” trafiła druga Mark 48 ADCAP. Uderzyła nisko i przedziurawiła kadłub w takim miejscu, że rozerwała znajdujące się obok trzy torpedy ECAN. Najpierw zapłonęło ich paliwo, a kiedy wybuchł ładunek pierwszej z torped ECAN, spowodował eksplozje ośmiu pozostałych. Magazyn torped znajdował się bezpośrednio pod pomieszczeniem kontroli rakiet, w którym siedzieli Issam Zouabri i Jusuf Tagreb zamierzający śledzić start rakiety numer 15. Kiedy jednak na ekranie komputera pojawiła się cyfra 0, pomieszczenie rozpadło się na kawałki. Części pokładu poleciały w górę, a potężna fala ciśnienia wgniotła Zouabriego i Tagreba w sufit z taką siłą, że ich kości rozpadły się w drzazgi, podczas gdy ich krew wyparowała od gorąca, zaś mózgi zagotowały się i zmieniły w szary pył w ciągu niecałej jednej dziesiątej sekundy. Ostatnią myślą Tagreba było zadowolenie z powodu udanego odpalenia rakiety na Nowy Jork. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że umiera, tak nagłe i gwałtowne były eksplozje.

Na dolnym pokładzie w przedziale dziobowym, w ogromnej zamrażarce na zapasy żywności, spoczywały w ciemnościach, niczym w mauzoleum, ciała francuskich marynarzy. Kiedy poniżej eksplodowały torpedy, ściany wielkiej zamrażarki pozostały nietknięte, jeśli nie liczyć niewielkiej dziury w rogu.

Znacznie bliżej rufy znajdowała się wyrzutnia rakietowa numer 15. W momencie uderzenia pierwszej torpedy ciśnienie w wyrzutni było już równe ciśnieniu otaczającej okręt wody. Gdy paliwo kolejnych rakiet wybuchało, rakietka 15 zaczynała wylatywać z wyrzutni pod wpływem ciśnienia wypychającej ją pary z generatora. Kiedy rakiety 11 i 12 rozpadły się w strumieniach ognia, szatkując wyrzutnie numer 13 i 14, rakietka 15 była w połowie ponad wyrzutnią, górną część rakiety otaczał bąbel pary. Podwójna eksplozja rakiet 11 i 12 gwałtownie zachwiała rakietą 15

na boki, gdy zdążyła się wysunąć z wyrzutni na dwie trzecie swojej długości. Kiedy fala uderzeniowa następnych eksplozji dotarła do wyrzutni numer 15, była w niej już tylko dysza wylotowa rakiety, tak że siła wybuchów poszarpała prawie już opróżnioną wyrzutnię. Ciśnienie wypychającej raketę pary trochę spadło, gdyż część jej przedostała się bokami do rozszarpywanego przedziału raketowego.

Mimo że wyrzutnia numer 15 została zniszczona wybuchem, bąbel pary miał wystarczająco dużą energię, aby dotrzeć wraz z rakieta do powierzchni wody i rozdzielić ją. Generator pary został bowiem zaprojektowany tak, aby para mogła przebić cienki lód, jeśli rakiety odpalano by w Arktyce. Ponad „Le Vigilantem” nie było lodu, więc zmniejszona ilość pary wystarczyła, aby wynieść raketę ponad wodę. Drgania rozpadającego się tuż pod rakieta okrętu wstrząsnęły nią gwałtownie, jednak pozostała cała. Zawisała nieruchomo tuż nad wodą. Kiedy następował zapłon silnika rakiety, ocean pod nią zaczął się znowu rozstępować, ponieważ fale uderzeniowe eksplozji dotarły do powierzchni wody. Prawie pionowo w górę wystrzeliły z niej para, fontanny wody oraz szczątki okrętu, podczas gdy z dyszy rakiety buchnął w dół strumień płonących gazów wylotowych.

Pod wodą przedział raketowy „Le Vigilanta” rozszarpany na strzępy ogromną siłą wielu następujących tuż po sobie wybuchów oderwał się od przedziału dziobowego i już po chwili okręt rozpadł się na trzy części, które zaczęły opadać na dno, niemal nienaruszony przedział rufowy wraz z przedziałem reaktora, przedział raketowego i przedział dziobowy, rozdarty od spodu na dużej przestrzeni siłą eksplozji wielu torped. Pierwszy uderzył w skaliste dno przedział rufowy, później przedział dziobowy, wreszcie obydwie zostały zasypane kawałkami blachy, która tworzyła przedział raketowy. W szczątkach przedziału dziobowego, w chłodni, pomimo wszystkich eksplozji i uderzenia w skały atlantyckiego dna, wciąż pozostawały niemal nietknięte zwłoki francuskiej załogi „Le Vigilanta”, które wreszcie spoczęły w spokoju. Na górze ich zamrożonego stosu leżało ciało Capitaine de Fregate Jean-Paula Gardes’a. Kiedy dziobowa część wraku legła ostatecznie na dnie, ciało kapitana okrętu obróciło się nieco, tak że jego twarz spoglądała w kierunku Brestu, a jego lewa ręka uniosła się w wodzie, a potem spoczęła na otworach po kulach, gdzie kiedyś biło jego serce.

Wysoko ponad grobowcem, jakim stał się porozrywany wrak, ponad rozbryzgiwaną podmuchami eksplozji spienioną wodą, wisiała rakiet numer 15, z której dyszy wydostawał się z naddźwiękową prędkością płomień gazów wylotowych. Krople wody i para buchająca z dołu

dosięgły rakiety. W końcu siła bezwładności gazów wylotowych uniosła ciężką raketę i oddaliła ją od gotującego się oceanu, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Na wysokości czterech kilometrów rakietę przekroczyła prędkość dźwięku, wlatując w górę.

Niebo pociemniało i widoczna już była krzywizna Ziemi. W górze pojawiły się gwiazdy, a tor lotu rakiety stał się łukowaty. Wyczerpało się paliwo pierwszego stopnia. Ekspłodowały ładunki sworzni ścinanych wybuchowo i pierwszy stopień rakiety został w tyle, uruchomił się za to silnik drugiego stopnia. Rakietę kontynuowała swoje zadanie, kierując się coraz bardziej na zachód. W końcu odpadł pozbawiony paliwa drugi stopień i uruchomił się trzeci, wynosząc raketę jeszcze wyżej, na suborbitalną trajektorię. Kiedy i trzeci stopień wygasł i odpadł, rakietę leciała już bardziej na zachód niż w górę. Po pewnym czasie moduł balistyczny z sześcioma głowicami termojądrowymi w środku osiągnął apogeum lotu nad Atlantykiem. W dole widoczny był piękny poranek. Wschodnie Wybrzeże kontynentu północnoamerykańskiego jaśniało zielenią jak szmaragd.

- O Boże! - jęknął bosman sztabowy Tom Albanese, zrzucając z uszu słuchawki sonaru. Wskoczył ze swojego pomieszczenia, wpadł do sterówki i zawołał: - Panie kapitanie, liczne eksplozje z kierunku Echa Jeden, wtórne detonacje torped albo rakiet balistycznych, ale...

- To dlaczego ma pan taką smutną minę? - przerwał Dillinger, spodziewając się, że Albanese za chwilę obwieści, iż został zatopiony „Teksas”.

- Panie kapitanie, słyszałem start rakiety balistycznej. Spóźniliśmy się... Burke nie wahał się ani chwili.

- Ster, szybkość standardowa, oficer zanurzenia, wyjść na dwadzieścia metrów, stromym kątem. Sonar, radio, wychodzimy na głębokość peryskopową. Oficer łączności, przygotować raport operacyjny dla Pentagonu i Białego Domu!

- Tak jest! - zawołał Selles.

Flood popatrzył na Burke'a, pokręcił głową i powiedział tylko:

- Impuls elektromagnetyczny po wybuchu pierwszej rakiety prawdopodobnie wciąż uniemożliwia nam nawiązanie łączności, panie kapitanie.

- Być może, ale trzeba spróbować! - odparł Dillinger, zaciskając zęby. Wiedział, że musi natychmiast ostrzec Waszyngton, że terrorystom udało się odpalić drugą raketę. Wyglądało na to, że „Le Vigilanta” już nie ma. Czy „Teksas” także poszedł na dno?

Ośłona modułu balistycznego rakiety numer 15 rozpadła się, ukazując sześć mniejszych pocisków z głowicami, które kolejno oddzieliły się od siebie. Małe dysze sterujące ostrożnie poodsuwały głowice od siebie, choć spadały dalej w odstępach tylko kilku kilometrów. Głowica 01 była wycelowana w nowojorską Wieżę Wolności zbudowaną koło miejsca po World Trade Center. Iglica Wieży wznosiła się dumnie w niebo, jakby wyzywając wszystkich terrorystów świata. W dole, w dzielnicy finansowej, setki tysięcy Amerykanów załatwiali swoje interesy, gdyż przed mniej więcej dwiema godzinami rozpoczął się dzień pracy. Ludzie ci nie wiedzieli nic o sześciu zwiastunach śmierci, które z naddźwiękowymi prędkościami wlatywały z powrotem w ziemską atmosferę wysoko ponad nimi.

Ostra stożkowata osłona głowicy 01 pędziła w dół po parabolicznym torze w stronę Manhattanu. Wokół stożka zaczęły pojawiać się płomienie zjonizowanego powietrza, ponieważ atmosfera wokół gęstniała i tarcie pocisku o nią wytwarzało ogromne ilości ciepła. W końcu szalejące płomienie zgasły i głowica mogła znowu podziwiać piękno zbliżającego się wybrzeża, które znajdowało się jeszcze dość daleko w dole. Na prawo odchodziła Long Island, niczym pokazująca kierunek ręka. Widać też było Manhattan i otaczające go w pewnej odległości zielone lasy stanów Connecticut i New Jersey. Z perspektywy tej głowicy pozostałe głowice były ledwie widocznymi punkcikami na niebie spadającymi równoległe po różnych stronach. Każda zbliżała się ku swojemu przeznaczeniu. Dolny Manhattan stawał się coraz bliższy, można już było rozróżnić poszczególne ulice.

Wysokościomierz zasygnalizował osiągnięcie wysokości tysiąca metrów. Rozległ się szcęk i głowica uzbroiła się, ciężka płytką bezpieczeństwa obróciła się, otwierając przeloty pomiędzy słabymi a silnymi ładunkami wybuchowymi. TN-71 opadała dalej, widać już było szczegółowo stojące poniżej budynki.

Dało się też dostrzec Wieżę Wolności połyskującą w porannym słońcu. Wieżowiec rósł w oczach, widać było dokładnie każdą z łopat obracającego się wiatraka, który wytwarzał energię elektryczną na potrzeby budynku.

Eksplozja głowicy, zaprogramowana starannie przez nieżyjącego już terrorystę Jusufa Tagreba, miała rozpocząć się na wysokości trzydziestu metrów ponad iglicą Wieży Wolności. Ognista kula atomowej eksplozji powinna zniszczyć osłonę głowicy dokładnie w chwili, kiedy znajdzie się ona na wysokości zwieńczającej iglicę anteny. Zanim eksplodujący termojądrowy ładunek opadnie kolejne piętnaście metrów, kula ognia rozprzestrzeni się na wszystkie strony, zrównując z ziemią cały Dolny Manhattan.

Wysokościomierz zasygnalizował wysokość trzydziestu metrów ponad miejscem eksplozji i impuls elektryczny spowodował wybuch małych ładunków. Płomienie ruszyły przez kanały w płycie bezpieczeństwa w stronę silnych ładunków wybuchowych, pod którymi znajdowały się stożkowate porcje uranu.

- Meldunek nadany, antena HDR opada - zameldował przez głośniki radiooperator.
- Dobrze - pochwalił Dillinger. - Kapitan do sonaru, czy słyszysz coś poza szumem z kierunku „Teksasu”?
- Nie.
- Może odgłosy pęknięcia kadłuba? - Nie.

Burke westchnął. Wahał się, co robić. Może pozostać na głębokości peryskopowej, aby przekonać się, czyjego ostrzeżenie dotarło do Centrum Operacyjnego Pentagonu. A może zejść w głębinę i poszukać wraka „Teksasu”? Wiedział już, że „Le Vigilant” się rozpadł, ponieważ dane z sonaru potwierdziły zbieżność miejsca odpalenia rakiety i eksplozji torped. Burke próbował sprawdzić, czy któraś z sześciu torped, jakie kazał wystrzelić, wybuchła gdzie indziej niż przy kadłubie „Le Vigilanta”, jednak albo wszystkie w niego uderzyły, albo zostały zniszczone przez liczne eksplozje, kiedy rozpadał się na kawałki.

Burke postanowił pozostawić okręt na głębokości peryskopowej, żeby zorientować się, dokąd poleciała wystrzelona rakiet balistyczna. Czy trafiła w Paryż lub inne francuskie miasto?

Gorące gazy powstałe w wyniku wybuchu małych ładunków niewielkiej mocy przemieszczały się kanałami w płycie bezpieczeństwa głowicy termojądrowej. Miniaturowych eksplozji było pięć. Szósty ładunek nie wybuchł, ponieważ szarpnięcie, jakiego doznała rakiet, opuszczając wyrzutnię, spowodowało zerwanie się dochodzącego do ładunku przewodu. Uruchomił się system bezpieczeństwa głowicy. Zorientowawszy się, że wybuchło tylko pięć mikroładunków zamiast sześciu, błyskawicznie obrócił płytką z powrotem, zamykając drogę płomieniom. Jednak płomienie mikroeksplozji zdołały zapalić jeden z dużych ładunków. Wybuchł, rozrywając osłonę głowicy i rozsypując część uranu po dachu wieżowca. Dolna połowa głowicy uderzyła w krawędź dachu i odbiła się nieco, rozbijając po kolei czterdzieści siedem okien, zanim trafiła w śmieciarkę, wgniatając głęboko jej dach. Górna część głowicy zmiażdżyła jeden z dużych klimatyzatorów, które stały na dachu.

Pozostałe pięć głowic także spadło dokładnie na swoje cele. Ta, która miała uderzyć w Empire State Building, nawet nie zaczęła wybuchać, tylko wybiła sześciometrowej głębokości krater w chodniku przed wieżowcem. W tej, która spadła na Central Park, wybuchł tylko jeden mikroładunek i płytka bezpieczeństwa zamknęła się, zanim stało się coś więcej. Głowica spadła na kępę wysokich drzew i spoczęła pośród połamanych gałęzi niedaleko domku, gdzie wypożyczano łódki. Głowica, która spadła na lotnisko La Guardia, trafiła w wielopiętrowy garaż i rozpadła się tak, że jej promieniotwórczy ładunek rozsypał się na obszarze dwóch tysięcy metrów kwadratowych. Ta, która została wycelowana w lotnisko Kennedy'ego, nawet się nie uzbroiła, z ogromnym pluskiem wbiła się w dno zatoki Jamaica Bay, nieopodal początku pasa startowego. Głowica wymierzona w Brooklyn także sienie uzbroiła, przebiła dach pięciopiętrowego budynku mieszkalnego przy Nostrand Avenue i spadła szybem windy, wbijając windę w fundamenty budynku.

Całkowite straty, jakie spowodowało sześć głowic termojądrowych, które spadły na amerykańską ziemię, oszacowano na kilkadziesiąt milionów dolarów. Większość pieniędzy została wydana na usunięcie skażenia radioaktywnego, a także na spory prawne, która z instytucji antykryzysowych odpowiada za szczątki termojądrowych niewybuchów. Burmistrz Nowego Jorku wymienił z tego powodu z prezydentem Stanów Zjednoczonych kilka ostrych słów przytaczanych przez środki masowego przekazu jeszcze wiele tygodni po zdarzeniu.

- Panie kapitanie - odezwał się od peryskopu Scottson - widzę samolot, to chyba P-3. Na horyzoncie ukazały się także dwa niszczyciele. Oho, widzę, że załoga P-3 nas zobaczyła. Mam nadzieję, że wiedzą, że nie jesteśmy terrorystami.

- Zobaczmy, czy zdołamy się z nim porozumieć - powiedział Burke. Tego tylko brakowało, żeby samolot zrzucił na nich uzbrojone torpedy.

- Mamy więcej towarzystwa, panie kapitanie - informował Scottson.

- Sonar do mostka, widzę liczne jednostki nawodne, to okręty wojenne - zameldował Albanese.

- Widzimy je przez peryskop.

- W naszą stronę leci śmigłowiec... co najmniej kilka śmigłowców, panie kapitanie.

Gdzie byli, kiedy ich potrzebowaliśmy? - pomyślał Burke. Obawiał się, że ci podniebni turyści poodpalają torpedy i przypiszą sobie zwycięstwo nad „Le Vigilantem” albo, co gorsza, zatopią „Hamptona”.

- Radio do mostka, podłączyłem do mostka nadajnik UHF kodujący głos. Nasz kod wywoławczy to „Bravo Kilo Delta”. Najbliższa nas grupa bojowa ma kod wywoławczy „Uniform Victor”, a wszystkie jednostki NATO to „November Tango”.

- Dobrze, tu mostek. Bosmanie, proszę podnieść maszt HDR. - Burke zbliżył do ust mikrofon kodującego głos nadajnika radiowego. - Uniform Victor, tu Bravo Kilo Delta - powiedział. - November Tango, mówi Bravo Kilo Delta, odbiór.

W radiu rozległy się trzaski, a potem zabrzmiał donośny męski głos o bostońskim akcencie:

- Bravo Kilo Delta, potwierdzam, tu Echo Whisky z Uniform Victor.

- Kapitan do radia, z kim, do diaska, rozmawiam?! - zawołał Burke do mikrofonu w suficie.

- Ze śmigłowcem przeciwpodwodnym z lotniskowca „Nimitz”. - Potwierdzam Echo Whisky, tu Bravo Kilo Delta, czekaj, odbiór. -

Dillinger rozejrzał się za Sellesem, który przyniósł zakodowaną wiadomość, jaką chcieli nadać. Skierowana do Pentagonu oraz znajdujących się na oceanie sił NATO wiadomość mówiła o tym, że „Hampton” zatopił „Le Vigilanta”, że porwany okręt zdołał odpalić kolejną rakietę oraz że „Teksas” zaginął. Dillinger zaczął czytać zakodowaną wiadomość przez mikrofon radia, ale po kilku słowach przerwano mu:

- Break break break, Bravo Kilo Delta, tu Echo Whisky, Uniform Victor odebrał twój poprzedni raport operacyjny. Nadeszła następująca odpowiedź Uniform Victor: bravo żulu, bravo żulu. Moje gratulacje, panie komandorze.

Burke zamrugął oczami, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Odebrałem, Echo Whiskey - wydusił z siebie w końcu. A jednak „zwycięstwo” przyznano jemu.

- Jaki jest kod wywoławczy „Teksasu”? - zawołał do Sellesa.

- Charlie Papa Victor.

- Echo Whiskey, musimy rozpocząć poszukiwania Charlie Papa Victora.

- Potwierdzam, Delta, poszukiwania już trwają. Mamy dla was nowy rozkaz, nadszedł przez satelitę. Dowódca okrętu ma przenieść się natychmiast do Uniform Victora.

- Panie kapitanie, odebraliśmy przez antenę HDR wiadomość oznaczoną „tylko dla dowódcy okrętu” - powiadomił Selles.

Dillinger odczytał wiadomość. Nie było w niej nic nadzwyczajnego. Miał wynurzyć okręt, przekazać dowództwo pierwszemu oficerowi, który odprowadzi okręt do Norfolk. Sam Burke miał zostać zabrany przez śmigłowca na pokład lotniskowca „Nimitz”. Dillinger wydał usta. Wyobrażał sobie, że wkrótce czeka go kolejny przerzut naddźwiękowym myśliwcem na Wschodnie Wybrzeże Stanów Zjednoczonych.

Ale co stało się z tą rakietą balistyczną?

Komandor Burke Dillinger stał na zewnętrznym pokładzie „Hamptona”. Steve Flood przypiął uprząż swojego dowódcy do zaczepu zwisającej ze śmigłowca liny.

- Proszę opiekować się moim okrętem! - zawołał na pożegnanie Burke, przekrzykując terkot wirników śmigłowca.

- Tak jest, panie kapitanie! Proszę do nas pisać!

Lina pociągnęła Burke’a w górę, odrywając jego stopy od pokładu. Przez długą chwilę komandor wisiał w powietrzu, mając nad sobą śmigłowca, a pod sobą własny okręt. Popatrzył na morze, w kierunku ostatniej pozycji „Teksasu”. Biedny Peter. Natalie wszystko przepowiedziała. „Peter ocalił ci życie. Ty nie będziesz w stanie uratować Petera”. Natalie pomogła Burke’owi podjąć decyzję, aby się nie zawahał wystrzelić torped. Miała rację. Peter musiał zginąć podczas tej misji. Dillinger pokręcił głową. Mógł mieć jedynie nadzieję, że Peter Vornado znajduje się w tej chwili w równie przyjemnym miejscu jak Natalie. Na dnie oceanu jest zimno i ciemno. Burke nie chciał, żeby jego stary przyjaciel tam przebywał.

Wciągnięto Dillingera do śmigłowca. Pilot wykonał zwrot na północ i zwiększył obroty wirników. Pół godziny później oczom Burke’a ukazał się gigantycznie wielki lotniskowiec „Nimitz”. Śmigłowca osiadł łagodnie na jego pokładzie. Na Dillingera czekał komitet powitalny: najstarsi rangą oficerowie „Nimitza” wraz ze znajdującym się na lotniskowcu dowódcą grupy bojowej. Stali w oczekiwaniu na Burke’a. Kiedy postawił stopę na pokładzie, dowódca grupy bojowej, admirał, wyprężył się na baczność. Rzucił krótki rozkaz i wszyscy zaszalutowali Dillingerowi. Następnie admirał uśmiechnął się od ucha do ucha i uściśnął dłoń Dillingera.

- Bravo Żulu, panie Burke, dobra robota! Świetna robota!

- Hm, dziękuję, panie admirale - odpowiedział komandor. - Czy przyleciałem tu, żeby złożyć panu raport?

- Och nie - zaprzeczył z uśmiechem dowódca grupy bojowej. - Widzi pan tego F-14? Ma pan czas na pójście do łazienki i zdobycie jakiejś kanapki. Punktualnie o dziewiętnastej czeka pana kolacja z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Chciałby usłyszeć dokładnie z pańskich ust, jak to wszystko się odbyło.

- Co stało się z tą drugą wystrzeloną rakieta? - spytał Dillinger. - Czy spadła na Paryż?

- Na Paryż? Nie, komandorze, spadła na Nowy Jork. Burke znieruchomiał z ustami otwartymi z przerażenia.

- W porządku, panie Burke, jedna z pańskich torped załatwiła ją na dobre. Żadna z głowic nie wybuchła. Powybijały tylko dziury w ziemi.

No i zdenerwowały polityków, którzy będą mieli o czym gadać. Nie zatrzymuję pana dłużej, oczekuje pana prezydent.

Dillinger skinął głową. Jednak zamiast cieszyć się, myślał o Peterze Vornado. I o Rachel. Boże, kto powinien powiadomić Rachel? Kiedy nad-dźwiękowy myśliwiec wystartował i skierował się na zachód, Burke zamknął oczy. Zapadł w głęboki sen, a kiedy się obudził, dolatywali do Bazy Sił Powietrznych Andrews. Spojrzał na zegarek. Burke wiedział, że perspektywa kolacji u prezydenta powinna napełniać go entuzjazmem, ale marzył tylko o długiej, dobrze przespanej nocy, podczas której nie będzie musiał się martwić o dalszy los świata.

Trzeba jednak porozmawiać z Rachel i jej dziećmi, spróbować jakoś ich pocieszyć.

Epilog

Wiceadmirał Thibaut D'Aubigne powoli wszedł do szpitalnej sali. Stał, przyglądając się, jak Danielle Gardes oddycha. Wciąż pomagał jej w tym respirator. Była w śpiączce i trudno było przewidzieć, czy umrze, czy przeżyje. Obok admirała stała czteroletnia córeczka Danielle, Margaux i pięcioletni synek, Marc. Oraz siostra Danielle trzymająca na rękach roczną Renee. Od respiratora Danielle dochodził syk powietrza i cichutkie trzaski, poza tym panowała tu zupełna cisza.

D'Aubigne zbliżył się do Danielle. Była kiedyś taka piękna! Wspomnił swojego przyjaciela, Jean-Paula Gardes'a. Otworzył wyściełane aksamitem pudełeczko, wyjął z niego nadawany za zasługi bojowe krzyż Croix de Guerre i przypiął go do poduszki Danielle. Kiedy żołnierzy czy marynarzy odznaczano pośmiertnie, wręczano odznaczenia ich żonom. Wiceadmirał pomyślał jednak, że zwykłe położenie pudełeczka na stoliku przy łóżku byłoby bezsensownym gestem. Thibaut wyprostował się i stał jeszcze przez długi czas, a potem pochylił się, pocałował Danielle w policzek i pogładził ją po włosach. Popatrzył na jej dzieci. Pomyślał, że ich porwanie mogło zakończyć się eksplozją głowic termojądrowych o sumarycznej energii wybuchu równej pięciu megatonom trotylu. Paryż przestałby istnieć, a atomowa zagłada ogarnęłaby zapewne całą Francję. Właśnie teraz umierałyby miliony ludzi. Wszelkie środki bezpieczeństwa, jakie stosowano, miały na celu zabezpieczenie samego okrętu. Nikomu nie przyszło nawet do głowy, aby strzec także jego załogi oraz jej rodzin. D'Aubigne zorientował się, że dzieci nie mogą już ustać w miejscu. Przyklęknął więc na jedno kolano, uśmiechnął się do nich i powiedział:

- Wasz tata był bardzo dzielnym człowiekiem. Odważnie walczył na morzu w obronie Francji. Przyszedłem tu, żeby wręczyć waszej mamie odznaczenie, krzyż, na który zasłużył sobie wasz tata. Był wielkim, wspaniałym człowiekiem. - Thibaut popatrzył na smutne buzie dzieci. Przytulił starsze z nich, a potem musnął palcem policzek niemowlęcia. Wyszedł z sali, czując się o dziesięć lat starszy niż kilka dni wcześniej. Kiedy tylko zakończą się jego przesłuchania przez agendy rządowe, przekaze swoje stanowisko komuś młodszemu. Zresztą, kto wie, czy za rok Oceaniczne Siły Strategiczne w ogóle będą jeszcze istnieć? Formację tę powołano w celu ochrony Francji, jednak o mały włos nie spowodowało to zagłady kraju.

Thibaut westchnął. Nie dość, że stracił całą załogę „Le Vigilanta”, będzie musiał przyglądać się temu, jak wszystkie francuskie okręty podwodne przenoszące rakiety balistyczne zostaną pocięte na żyłki. A może już przyszedł na to czas? Może świat się

zmienił? Może era okrętów, nosicielei raket balistycznych z głowicami atomowymi przeminęła już ładnych parę lat temu, tylko do tej pory nie zdano sobie z tego sprawy?

Wyszedł z budynku szpitala i wszedł do samochodu sztabowego.

W tym czasie powieki Danielle Gardes zadrżały. Przez następne osiem godzin powoli wracała jej świadomość. Dwa dni później Danielle zaczęła widzieć salę, choć jeszcze jakby zamgloną. Jedną z pierwszych rzeczy, które zobaczyła po odzyskaniu pełnej przytomności, był Croix de Guerre przypięty do jej poduszki. Zaczęła płakać, ponieważ wiedziała, że gdyby Jean-Paul żył, przypięliby mu ten krzyż do munduru.

Czarna limuzyna zabrała Dillingera z Białego Domu do rządowego budynku Old Executive Office Building. Powtórzył tam to, co opowiedział prezydentowi, tyle że tym razem mówił do senatorów i kongresmanów. Kiedy skończył, podszedł do niego komandor, adiutant dowódcy operacji morskich. Uśmiechał się, jakby przynosił mu dobre wiadomości.

- Panie komandorze, jest do pana telefon na kodującej linii. Proszę za mną. - Udali się do pustej sali konferencyjnej. Adiutant z Pentagonu wcisnął przycisk i podał Burke'owi słuchawkę, po czym zostawił go samego.

- Słucham, komandor Dillinger - odezwał się do słuchawki Burke.

- Witam, B.K. - usłyszał basowy głos Joego Krafta. - Jak się pan miewa? Pęcznieje pan z dumy, opowiadając najważniejszym osobistościom o swoich wyczynach?

- Pewnie można to tak określić, panie komandorze - mruknął Dillinger. Wszyscy, z którymi rozmawiał, zachowywali się tak, jakby jego misja zakończyła się ogromnym sukcesem. Burke miał jednak świadomość, że nie wszystko poszło dobrze.

- Jest tu ktoś, kto chce z panem porozmawiać - oznajmił Kraft.

- Dobrze, sir. Proszę podać mu słuchawkę. - Dillingerowi było wszystko jedno, kto dzwoni. Usiadł w jednym z foteli, czując się, jakby miał dziewięćdziesiąt lat.

- B.K., ty draniu! Joe Kraft kazał ci ruszyć dupę, a ty podpłynąłeś i odpaliłeś torpedy nie w ten okręt, co trzeba!

Dillinger skoczył na równe nogi.

- Peter?! Gdzie ty byłeś? Myśleliśmy, że nie żyjesz, ty i twoja załoga. Całkiem przestaliśmy was słyszeć.

- Wiem, B.K. W przedziale rufowym „Teksasu” wybuchł pożar. - Vornado wyraźnie posmutniał. - Zginęli wszyscy mechanicy i ponad dwudziestu marynarzy z przedziału dziobowego. Od dymu i płomieni. Do przewodów wentylacyjnych dostał się tlenek węgla i większość z nas straciła przytomność. Nasza śmierć była już właściwie pewna, ale dziwnym trafem okręt wypłynął na powierzchnię. Załoga jednego ze śmigłowców zauważyła wystający

ponad fale dziób. Podpłynął do nas niszczyciel, wysłał nurków, którzy opróżnili zbiorniki balastowe od zewnątrz. Szybko działali. Potem zabrano nas z pokładu i ewakuowano wszystkich, których można było. Innych ratowano na miejscu. - Voraado zakaszła. - Jestem jeszcze trochę podtruty.

Dillinger usiadł powoli z powrotem.

- Nie do wiary. Ty żyjesz, ty naprawdę żyjesz... Vornado roześmiał się.

- Wracaj tu - rzucił. - Myślę, że jesteś mi winien przynajmniej grilla z to, że cała chwała spłynęła na ciebie. To ja miałem zniszczyć „Le Vigilanta”.

- Czy mogę zadać ci jedno pytanie? - odezwał się Burke. - Słyszeliście nasze wołanie przez UQC, żebyście zeszli głębiej?

Peter umilkł na chwilę.

- O czym ty mówisz, B.K.? - spytał.

Dziwne, pomyślał Dillinger. Jeśli Natalie naprawdę wówczas tam była, dlaczego przekazała mi, abym poradził Peterowi zrobić unik, skoro i tak tego nie usłyszał? Może wcale nie chodziło jej o ocalenie w ten sposób Petera, chciała tylko, żebym odważył się strzelać? Albo, co jest najbardziej prawdopodobne, Natalie wcale nie pojawiła się w sterówce, kiedy podejmowałem decyzję. To tylko mój mózg próbował rozwiązać problem na swój sposób, przypominając o Natalie. Tak to musiało być.

Burke posmutniał na chwilę na myśl o tym, że Natalie wcale nie było koło niego na „Hamptonie”. A poza tym powiedziała wtedy, że odwiedza go po raz ostatni.

- B.K., jesteś tam? - spytał Peter.

- Przepraszam, Peter, zamyśliłem się.

- Słuchaj, czeka na ciebie jeszcze jedna niespodzianka. Przygotowała ją Rachel.

- Czyżbyście byli znów razem? - zapytał Dillinger. Serce mu zadrżało. Wiedział jednak, że nie ma prawa myśleć o niej inaczej, jak tylko o żonie Petera.

- B.K., uważaj, co ci powiem. Rachel i ja zerwaliśmy ze sobąna dobre, przyjacielu. Oboje wypełniliśmy papiery rozwodowe. Za miesiąc nasze małżeństwo będzie już przeszłością w świetle prawa.

- Współczuję ci, Peter.

- Nie współczuj. Próbujemy zostać z Rachel przyjaciółmi.

- W takim razie chyba się cieszę. - Wracaj tu, B.K.

Burke się rozłączył. A potem z uśmiechem na ustach poszedł spakować teczkę.

- Nie mogę się doczekać, aż to zobaczysz - odezwała się Rachel pełnym podniecenia tonem. Sto metrów za plecami Burke'a czekał w samochodzie Peter Voraado. Tymczasem

Rachel prowadziła Burke'a na porośnięty trawą pagórek, gdzie znajdował się grób Natalie. Dillinger niósł na rękach swojego małego synka, który smacznie spał. Był taki podobny do matki! Będzie przystojnym chłopakiem. Dillinger był tak zajęty dzieckiem, że nie zauważył, iż doszli do celu.

Kiedy podniósł wzrok, aż zaparło mu dech. Na grobie Natalie stał wysoki kamień zasłonięty niebieskim płótnem.

- Zazwyczaj zajmuje to około dwóch lat - poinformowała Rachel. - Ale Joe Kraft i ja przycisnęliśmy kamieniarza. Jesteś gotów?

Dillinger skinął głową. Rachel ściągnęła zasłonę i oczom Burke'a ukazał się naturalnej wielkości posąg Natalie. Rzeźbiarz przedstawił ją ubraną w okrętowy kombinezon i buty, z podwiniętymi rękawami, tak samo jak tamtego poranka, którego rozgrywała się bitwa na Morzu Barentsa. Włosy Natalie opadały na jej ramiona, tak jak owego poranka. Twarz rzeźby wyrażała upór i bojowego ducha, ducha walki, który tak dobrze charakteryzował Natalie D'Assault Dillinger. Artysta nie zapomniał jednak i o łagodności jej spojrzenia. Natalie była piękna, a rzeźba naprawdę udana. Posąg stał w takiej samej odległości od niego, jak duch Natalie, gdy zjawiała się na pokładzie „Hamptona”.

- Jest cudowna! Jak żywa! Zupełnie jakby tu naprawdę była! Dziękuję ci! Tak bardzo ci dziękuję!

- Nie ma za co, Burke - odparła krótko Rachel.

Popatrzył na nią. Rzadko zwracała się do niego inaczej niż „B.K.”. Wiatr zwiewał ciemne włosy z czoła Rachel, a jej miodowe oczy zaglądały w oczy Dillingera.

- Czy mógłbym cię o coś prosić? - odezwał się.

- O co tylko chcesz, Burke - szepnęła Rachel, a oczy jej zwilgotniały.

- Czy mogłabyś zabrać małego do domu? Chciałbym zostać tu jakiś czas. Popatrzeć na posąg Natalie.

- Oczywiście. - W oczach Rachel wyraźnie widać było łzy. - Chodź, malutki - szepnęła łagodnie do dziecka, odbierając je ostrożnie od Burke'a. Małeństwo zaczęło się kręcić, a potem przytuliło się do jej piersi. Rachel chciała już ominąć Burke'a, ale nagle przystanęła i dotknęła jego ramienia. Uniósł dłoń i położył ją na dłoni Rachel, czując, że przeszło pomiędzy nimi coś na podobieństwo iskry. Zacisnął powieki, próbując oddalić od siebie ogarniające go uczucie.

Kiedy Rachel odjechała, Burke długi czas stał i przyglądał się pomnikowi. Jego cień na trawie zaczął się wydłużać. Zachodziło słońce.

W końcu zrobiło się zimno. Dillinger postanowił wracać. Zanim odszedł, zbliżył się jeszcze do pomnika i dotknął wyrzeźbionej ręki Natalie.

- Natalie, najdroższa, dziękuję ci - szepnął.

Spojrzał na nią, zastanawiając się, czy usłyszy wśród szumu wiatru jej głos. Nie słyszał jednak nic nadzwyczajnego.

Stał przy jej grobie, sam.

Kamień, z którego wykonano rzeźbę, był zimny.

Burke przesunął dłonią po ręce posągu; nie miał ochoty odchodzić. Wreszcie jednak odwrócił się i powoli zaczął schodzić z pagórka ku swojemu samochodowi.

Podziękowania

Ta powieść powstawała w jednym z najtrudniejszych okresów mojego życia. Gdyby nie moi przyjaciele i współpracownicy, nie napisałbym jej nigdy.

Chciałbym podziękować mojemu wydawcy, Dougowi Gradowi z wydawnictwa Penguin, za jego mądre rady i wizję tej książki, a także mojemu agentowi Jake 'owi Elwellowi za doprowadzenie do podpisania umowy; wreszcie im obydwu za cierpliwość w czasie, kiedy próbowałem pisać, jednocześnie starając się pozbić z życiowego kryzysu.

Przed wszystkim chciałbym podziękować moim drogim przyjaciółom i współpracownikom: Christopherowi Barnasowi, George 'owi Christatosowi, Patti DiMercurio, Arniemu Katzowi, Paulowi Reedowi, Jonathanowi Rowe i Danowi Shulzowi.

Specjalne podziękowania winien jestem administratorowi mojej strony internetowej i mojemu przyjacielowi, twórczemu geniuszowi, Billowi Parkerowi z Parker Information Resources, który specjalizuje się w stronach pisarzy i agentów literackich. Stworzył i zarządza niezrównaną stroną ussDevilfish.com, a także niesamowitą stroną fortress.com Dale'a Browna, wreszcie stronami wielu innych uznanych autorów. Jego własna strona to Parkerinfo.com, można do niego pisać na bparker@parkerinfo.com.

Ogromny dług wdzięczności zaciągnąłem wobec Tima Skarpa, prezesa fanklubu Michaela DiMercurio i głównego zarządcy mojej poczty internetowej. Hm zajął się przychodzącą do mnie pocztą i odpowiadał w moim imieniu, kiedy bywałem nieosiągalny przez Internet, kończąc pracę nad niniejszą powieścią.

Chciałbym podziękować Mattowi, Marli i Meghan DiMercurio za ich poświęcenie oraz pełną entuzjazmu, bezwarunkową miłość i zrozumienie, wykraczające ponad ich wiek.

Prawdziwą wdzięczność chciałbym także wyrazić Patti DiMercurio, mojej byłej żonie i byłej partnerce życiowej, która nawet po rozpadzie naszego małżeństwa pozostała moją najlepszą przyjaciółką i sprawiała, że wciąż widziałem w życiu jakąś perspektywę.

Pragnę szczególnie podziękować kobiecie, która, jak zbyt późno się zorientowałem, była największą miłością mojego życia, po prostu za to, że istnieje, że była przy mnie w kluczowym, trudnym momencie, że przekazała mi coś, co miało dla mnie większe znaczenie niż słowa czy czyny kogokolwiek innego. Chciałbym również przeprosić ją za cierpienie, za złamanie jej serca, za cały dramat, jaki się rozegrał. W przyszłym życiu odnajdę Cię i zadośćuczynię Ci to wszystko.

Na koniec dziękuję z całego serca wszystkim moim przyjaciółom i znajomym za słowa pocieszenia, jakich nie szczędzili w najgorszych chwilach mojego życia, do czasu, aż wreszcie słońce zaświeciło dla mnie na nowo, na co już nie liczyłem.

„KB”